

Fiona McIntosh

Zdrada

Betrayal

Trójca Księga I

Tłumaczyła

Iwona Michałowska



*Mojej niezwykłej trójcy
Ianowi, Willowi i Jackowi McIntoshom*

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI	3
PODZIĘKOWANIA	5
PROLOG	7
1 UJARZMIENIE W TWYFFORD CROSS	13
2 TANIEC KWIATÓW	19
3 KAMIENIE ORDOLTU	24
4 ZNIKNIĘCIE ALYSSY QYN	36
5 UWOLNIENIE CLOOTA.....	43
6 KRÓL MORZA	60
7 KOBIETA ZE SNU	72
8 U PANNY VYLET	79
9 PUNKT ZWROTNY	93
10 KRÓLEWSKI SEKRET	98
11 ZNOWU RAZEM.....	110
12 ZDUMIENIE MERKHUDA.....	132
13 CYRK ZORROS.....	141
14 SAXON KLOEK	166
15 ZEMSTA GOTHA.....	180
16 PODRÓŻ TORA.....	191
17 SERCE LASU.....	213
18 HISTORIA ORLACA.....	233
19 XANTIA.....	244
20 SZOK O PORANKU	260
21 ACZABBA YEISZUIT	274
22 AZYL	291
23 ZAKAZANA MIŁOŚĆ.....	312
24 NARODZINY.....	324
25 POJMANIE	337
26 ROZPRAWA.....	345

27 GOŚCIE.....	355
28 UKAMIENOWANIE.....	358
29 OSTATNIA ZDRADA	366

PODZIĘKOWANIA

Składam serdeczne podziękowania mojej rodzinie i przyjaciołom. Kilka osób zasługuje na specjalną wzmiankę. Są to: Pip Klimentou, która w obawie, że poranki pomyłają mi się z nocami, wydzwaniała do nas o szóstej rano codziennie przez ostatnich osiemnaście miesięcy; Annę Madox, czytelniczka moich brudnopisów, której entuzjazm był tak odurzający, że chciałyby się go przechować w butelkach; Paul Meehan, mój specjalista od śmiechu i królik doświadczalny od wszelkiej magii; moi rodzice, Monnica i Fred Richardsowie, którzy nieprzerwanie mnie wspierali; Bryce Courtenay, doradca i dobry duch; mój wydawca, Nicola O'Shea, zawsze służąca radą i pomocą i wreszcie Stephanie Smith, która dostrzegła potencjał *Zdrady*, gdy ta była zaledwie jednym z wielu chaotycznych maszynopisów.

W szczególności jednak pragnę podziękować Ianowi.

TALLINOR



PROLOG

To był doskonały dzień na egzekucję: łagodny, bezchmurny i bezwietrzny. Zaskoczony spokojem tłumu Sallementro wnikliwie obserwował zgromadzonych. Zbliżało się południe. Wkrótce miano wyprowadzić więźnia - tak przynajmniej oświadczył stojący w pobliżu widz, nie kierując jednak tych słów do nikogo konkretnego. Ludzie kiwali głowami, mówili szeptem i przestępowali z nogi na nogę, niemal nie zauważając wymyślnych popisów wynajętego błazna, który miał ich rozgrzać w oczekiwaniu na akt sprawiedliwości. Niektórzy wręcz odwracali głowy, ignorując krzykliwy spektakl i zatapiając się w rozmyślaniach.

„Ciekawe” - pomyślał Sallementro.

Przybył do Tal dopiero tego ranka. Jak wielu wędrownych minstreli żywił nadzieję, że jego pieśni wpadną w ucho jakiemuś bogatemu szlachcicowi, który zechce skorzystać z usług trubadura, by sprawić przyjemność swojej damie lub zaimponować przyjaciołom. Może nawet zaproszą go na dwór królewski? To by dopiero było...

Wrócił do teraźniejszości. Wszystkie gospody i targowiska miasta huczały od rozmów o egzekucji, o skazańcu jednak Sallementro nie dowiedział się prawie niczego. Bez wątpienia ów młodzieniec był kimś ważnym, skoro sam król Lorys wybrał dla niego tak archaiczny sposób uśmiercenia.

Ukrzyżowanie i ukamienowanie. Sallementro zadrżał. To barbarzyństwo, ale jakże piękną balladę będzie mógł o tym ułożyć! Już teraz, przedzierając się przez tłum, słyszał w głowie jej pierwsze takty.

Wychowany w urodzajnej krainie na dalekim południu, sprzeciwił się życzeniom ojca. Jego rodzina od pokoleń uprawiała żyzną glebę wokół Arandonu, dorabiając się wielkiego bogactwa i licznych zaszczytów. Od chłopca oczekiwano, że podporządkuje się najstarszemu bratu, by zapewnić konsolidację rodzinnego majątku. Sallementro argumentował, że jako trzeci syn nie jest rodzinie niezbędny, ale rozgniewani rodzice nawet nie chcieli go słuchać. Podczas licznych kłótni matka wykrzykiwała, że nawet sutanna byłaby lepsza niż to. Wędrowny śpiewak! W swoim uporze i arogancji krewni chłopca nie potrafili sobie wyobrazić, że na rodzinę mogłaby spaść większa hańba. Sallementro jednak od niepamiętnych czasów marzył tylko o tym.

Później zaczęły go nawiedzać dziwne sny, w których tajemnicza kobieta żądała od

niego, by podążył za swoim powołaniem. Kazała mu odejść w dal i ćwiczyć się w sztuce. Kobieta szeptała coś o młodej damie, która go potrzebuje - nie tylko jako przyjaciela, lecz także wybawcę.

Dziwne. Był śpiewakiem, a nie żołnierzem. Kogo mógłby chronić? Wystarczyło, że matka głośniej krzyknęła, a już się kulił. Co z niego za bohater?

Kobieta jednak była nieubłagana. Nachodziła go w snach przez dziesięć lat. Później wyruszył w świat. Minęła kolejna dekada, w ciągu której zjechał kawał królestwa, a kobieta wciąż mu towarzyszyła. Czuł się, jakby była z nim od zawsze, choć w istocie znał jedynie jej głos i życzenia. To głupie, ale nigdy nie zdołał nawet zapamiętać jej imienia: Lys czy jakoś tak...

Nigdy też nikomu o niej nie powiedział, przyznawał jednak przez samym sobą, że tajemnicza zjawia ma nad nim dziwną władzę. To ona dała mu odwagę, by wystąpić przeciwko rodzinie; to dzięki jej szeptom miał dość mocy, by ich opuścić i poświęcić się śpiewaniu. Kim była?

Nagle szturchnęła go czyjaś tłusta łapa, wrywając z rozmyślań. Szybko zaczął przeproszać otyłą damę za to, że nadepnął jej na palce, gdy wtem wszystkie głowy jak na komendę poczęły się odwracać. Dama straciła zainteresowanie winowajcą i obróciła trzęsące się podbródki ku północnej wieży, którą w podnieceniu wskazywali inni. Sallementro również podążył wzrokiem w tamtym kierunku.

- Oto ona! - wrzasnął ktoś.

Minstrel patrzył z zapartym tchem, jak na balkon wychodzi młoda kobieta prowadzona przez dwóch krzepkich żołnierzy. Strząsnęła z siebie ich ręce i dumnie uniosła głowę. Gdy to zrobiła, południowe słońce załśniło nagle na przyklejonym do jej czoła bladym, przypominającym klejnot owalu. Przez tłum przebiegł głośny pomruk.

Sallementro czuł, jak wali mu serce, a w głowie słyszał - niczym grzmot - refren pieśni. Oto ona. Dziewczyna, o której opowiadano mu od dwudziestu lat. A zatem sen nie kłamał. Sallementro nagle poczuł się boleśnie związany z tą piękną kobietą o smutnej twarzy, z powagą wpatrującą się w tłum. W końcu ją odnalazł. Teraz musi ją chronić.

Napięcie, które narastało przez cały poranek, sięgnęło zenitu. Niektórzy wykrzykiwali pod adresem dziewczyny słowa otuchy, podczas gdy inni potrząsali głowami lub ronili łzy.

- Kim ona jest? - szepnął Sallementro.

- To jego kochanka - odparł stojący obok leciwy jegomość. - Warto dla takiej umrzeć, co?

- Błagam, niech mi pan zdradzi jej imię!

- To żadna tajemnica. Nazywa się Alyssandra Qyn.

Dalszą rozmowę uniemożliwił im ryk trąb, obwieszczający przybycie suwerena. Król Lorys i jego małżonka Nyria byli najlepszymi władcami, jacy dotychczas rządili Tallinorem, a legendy o ich szczęściu małżeńskim krążyły po ościennych królestwach. Teraz jednak Sallementro nie dostrzegał w tej dwójce oznak radości. Sztynni, z rozbieganymi oczyma, ledwie odpowiadali na powściągliwe powitania tłumu, a na piękną dziewczynę w ogóle nie spojrzeli. „Może to i dobrze” - pomyślał. Na jej twarzy malowała się bowiem bezgraniczna nienawiść, a oczy spoglądały wprost na króla.

- Gdyby wzrok mógł zabijać, Lorys wilby się już w drgawkach - mruknął mężczyzna stojący przed Sallementrem.

- Jej wzrok może zabijać, dumniu! - skarcił go sąsiad. - Zapomniałeś, że jest Nietykalną? Kipi magią. Widzisz ten klejnot na jej czole?

Sallementro słyszał o Nietykalnych. Rozpoznał dysk archalitu, wskazujący na przynależność dziewczyny do klanu obdarzonych mocą kobiet, zamieszkujących odległy region na północy królestwa. Inkwizytorzy zapewniali im całkowitą nietykalność pod warunkiem używania zaczarowanego kamienia, blokującego talent. Gdy kobieta wstępowała do klanu, przykładano jej do czoła odłamek wypolerowany na podobieństwo szklanego owalu. Jeśli naprawdę była Obdarzoną, odłamek natychmiast się przyssał i pozostawał tam na zawsze, by zapobiegać używaniu magii zarówno przez nią, jak i przeciw niej.

- Co ten kamień oznacza? - zapytał Sallementro sąsiada, który wydawał się zorientowany w tych sprawach.

- Musisz pochodzić z południa, minstrelu, skoro nie słyszałeś o archalicie - odparł mężczyzna.

- Oświeć mnie, a napiszę o nim balladę! - zaimprovizował pomysłowo Sallementro.

Jego informator miał wyjątkowo dobry humor.

- Kobieta, która nosi archalit, jest pod ochroną króla. Żaden mężczyzna nigdy nie będzie mógł jej dotknąć. Nawet ci plugawi inkwizytorzy.

Sallementro pokiwał głową i powrócił wzrokiem do stojącej na balkonie kobiety. Teraz wyraźniej widział lśniący kamień i mimowolnie zaczął układać w głowie pierwszy wers pieśni, która, już o tym wiedział, będzie jedną z najlepszych w jego życiu.

- Uwaga, nadchodzi skazaniec! - zakrzyknął ktoś.

Młodsze kobiety uderzyły w płacz. Sallementro był zdumiony. Niektórzy zaczęli coś wołać do więźnia, mimo iż ten pozostawał jeszcze niewidoczny. Na balkonie Alyssandra Qyn oderwała wreszcie nienawistny wzrok od króla, by podążyć oczyma za kochankiem.

Jedna z młodych dziewczyn szlochała tak rzewnie, że aż zasłabła. Sallementro pomógł jej przyjaciołom ją ocucić. W miarę zbliżania się więźnia tłum stawał się coraz bardziej podekscytowany. „To musi być niezwykle człowiek - pomyślał minstrel - skoro jego egzekucja wywołuje w ludziach aż taką rozpacz”.

Nie mylił się.

*

Skazaniec, Torkyn Gynt, zmrużył porażone południowym słońcem oczy. Po siedmiu dniach spędzonych w ciemnym lochu jasność sprawiała mu ból. Dudnienie w uszach zagłuszało większość rozlegających się na zamkowym dziedzińcu dźwięków. Więzień wkroczył tam otoczony kolumną żołnierzy, którzy świetnie go znali i niechętnie wiedli na miejsce egzekucji. Tor był ukochanym synem Tallinoru. Ci żołnierze, należący do elitarnej grupy zwanej Tarczą, szkolili go we wszystkich sztukach, od picia piwa po fechtunek. Nie mieli pojęcia, że nie potrzebuje miecza, by się obronić. Bogowie obdarzyli go tak potężną mocą, że doskonale sobie radził dzięki magii, obiecał jednak, że dziś się nią nie posłuży. Zgodził się na śmierć, by ratować Alysse Qyn. Umrze godnie. Wypełni przeznaczenie.

Mijał kobiety, które otwarcie płakały, i dostrzegął w ich oczach własny strach. Mężczyźni spoglądali na niego beznamiętnie, wiedział jednak, że w duchu dziękują bogom, iż nie ich to spotyka. Serce biło mu tak mocno, że był pewien, iż pęknie i zabije go na długo przedtem, nim pierwszy kamień sięgnie celu. Przerzązał go rodzaj śmierci, jaki wybrał dla niego ukochany monarcha. Dziwił się wręcz, że w ogóle może iść o własnych siłach.

Odwagi, chłopcze. Nie okazuj cierpienia. Nie daj temu draniowi Gothowi satysfakcji patrzenia na twoją słabość.

Głos Merkhuda w kółko wibrował mu w głowie, ale znacznie łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Gdy stary mentor odwiedził go w lochu po raz ostatni, zachowywał się jakoś dziwnie.

*

- Ufasz mi? - zapytał, łapiąc Tora za rękę.

- Zawsze ci ufałem - skłamał Tor. Zbyt wiele wiedział o przeszłości Merkhuda, by uwierzyć, że za słowami starego nie kryją się jakieś knowania.

- Więc zaufaj i tym razem.

Łagodny zwykle głos Merkhuda był nabrzmiały bólem. Starzec ze wszystkich sił próbował zdławić w sobie lęk o chłopca, którego traktował jak syna. A także o siebie samego.

Czy zdoła wprowadzić w życie swój szalony plan? Czy naprawdę można zapanować nad taką magią?

Po raz ostatni mógł objąć tego wspaniałego młodzieńca... młodzieńca, którego z rozmysłem zdradził.

Zdawkowo ucałował go w głowę, po czym wstał i zaczął walić laską w ciężkie drewniane wrota, a te otworzyły się niemal natychmiast. Nim strażnik wszedł do celi, Tor zdążył zauważyć łzy w oczach Merkhuda. Jego mistrz wyglądał teraz, jakby się postarzał o sto lat. Zanim wyszedł, wyszeptał cicho, tak aby tylko czułe ucho Tora usłyszało jego tajemnicze słowa:

- Niezależnie od tego, co się dziś stanie, musisz mi zaufać. Wyłącz wszelki szum i strach i nasłuchuj mojego głosu. Przybędę.

Tor z powagą kiwnął głową, choć nie rozumiał, co Merkhud chce mu powiedzieć. Ale nie zastanawiał się nad tym zbyt długo. Już i tak nie można było nic zrobić.

- Obiecuj, że będziesz odważny. Zrób to dla niej i dla mnie. I postaraj się przebaczyć królowi. Nie wie, co robi.

Po tych słowach Merkhud odszedł.

Tor poczuł się nagle bardzo samotny. Nie mógł się skomunikować z Alyssą za pomocą łącza mentalnego. Pewnie znów założyli jej archalit. Myśleli, że przylgnie do niej na zawsze. Nie mieli pojęcia, że jego dziwna, niewyczuwalna magia potrafi go usunąć jednym muśnięciem. Ale teraz przyjdzie jej nosić go do końca życia. Tor nienawidził ich za to, że ją napiętnowali.

Dobrze jednak, że oszczędzono jej barbarzyńskiej śmierci, którą przeznaczono jemu. Udało mu się przekonać króla, by rozgrzeszył ją z czegoś, co - wedle słów Tora - nie było romanssem, lecz uwiedzeniem. Zauważył, że Lorys łatwo się zgodził. Królowa Nyria także to dostrzegła.

Fascynacja. Pragnienie. Żądza. Tor dobrze to rozumiał. Alyssa była piękną kobietą i jeśli mogło ją to uratować od śmierci, dlaczego nie?

Stojący w drzwiach celi strażnik odchrząknął, nie bardzo wiedząc, co robić. Lubił tego chłopca. Wszyscy go lubili. Zaczął zamykać drzwi tak cicho, jak tylko się dało, po czym powiedział coś, czym miał nadzieję go pocieszyć:

- To już niedługo, mały. Godzinka, dwie i będzie po wszystkim.

Ale jego słowa nie odniosły pożądanego rezultatu. Spokojny dotychczas Tor zaczął ronić łzy. Płakał nad sobą, nad swoją żalną śmiercią i głupotą własnych postępów, które go przywiodły do takiego końca. Płakał też nad Alyssą, która nigdy nie prosiła o nic z wyjątkiem jego miłości, a on dwa razy ją zdradził. Płakał nad rodzicami, zastanawiając się, czy przybędą do Tal, by oglądać przedwczesną śmierć swego sławnego syna. Przede

wszystkim jednak płakał nad losem dwojga nowo narodzonych dzieci, których nigdy nie miał poznać. Nawet ich matka, jego ukochana Alyssa, nie wiedziała, że żyją. To była jego trzecia zdrada. A teraz miał zginąć, pozostawiając ją na zawsze w nieświadomości.

*

Tor...

Ktoś zawołał go cicho. To był Herek. Chciał wiedzieć, czy skazaniec nie potrzebuje pomocy.

Czyżby się potknął? Trudno było znieść blask słońca, krzyki tłumu i bicie własnego serca. A teraz kazali mu usiąść na specjalnym krześle. Zorientował się, że to Krzesło Potępionych. Siądzie na nim, a oni będą mu mówić, za co zostanie ukamienowany. To czysta formalność - wszyscy zebrani dobrze wiedzieli, jaką zbrodnię popełnił Torkyn Gynt - ale widok krzesła boleśnie uświadomił mu nieuchronność śmierci, jednocześnie przedłużając udrękę. Był to czas, w którym ofiara miała ostatnią szansę żałować za grzechy i błagać o litość, jeśli odczuwała taką potrzebę. A publiczność, zwykle łaknąca krwi, mogła się nasycić widokiem przerażenia skazańca.

Tor usiadł zdezorientowany, wpatrując się w zalegający na ziemi pył. Nie potrafił patrzeć na ludzi. Jeden z najwyższych rangą dworzan, którzy przewodniczyli procesowi w sali tronowej, rozwinął rolkę pergaminu i głośno przeczytał całe oskarżenie. Odczytanie wyroku natomiast mogło się odbyć dopiero po formalnym przedstawieniu kata.

Tor nie mógł już znieść tych słów. Uciekł w głąb siebie, zamykając dostęp światu zewnętrznemu i pozwalając myślom cofnąć się w czasie. Wszystko zaczęło się przed siedmiu laty, w pewne piękne popołudnie w Twyfford Cross...

1

UJARZMIENIE W TWYFFORD CROSS

Torkyn Gynt był młody, żądny przygód i znudzony. Uczył się na skrybę, bo wszyscy oczekiwali, że będzie kontynuował wspaniałe dzieło ojca, ale nienawidził tego zajęcia. Przyglądał się, jak Jhon Gynt mruży oczy nad listem, nad którym pracował z wdową Ely. Miał coraz gorszy wzrok i nie było tajemnicą, że wkrótce syn będzie musiał przejąć po nim obowiązki.

Tego dnia jednak mieli spędzić ciepłe, słoneczne popołudnie na pracy w Twyfford Cross. Była to najbardziej senna i nudna osada, jaką Torkyn mógł sobie wyobrazić. Miał ochotę wrzeszczeć z furii, gdy po raz kolejny wysłuchiwał narzekań wdowy na bolące biodro. Dopiero gdy stary pies młynarza, Boj, przyczłapał do orzecha, w którego cieniu pracowali, i trącił dłoń Tora, chłopak oderwał się od ponurych myśli. Wiekowy kundel dawno już przestał być najlepszym łapaczem myszy we wsi, ale i tak wszyscy go kochali.

Tor patrzył, jak ojciec męczy się, by odczytać stukniętej wdowie list, który w jej imieniu napisał, i zrobiło mu się wstyd. zaproponował, że sam dokończy, i z westchnieniem umoczył stalówkę w atramencie, zastanawiając się, czy istnieje nudniejsze życie.

Notując monotony potok słów grubej wdowy, wspominał krągłość piersi Alyssy Qyn. Uśmiechnął się, ale suchy kaszel klientki i napomnienie ojca, który dobrze wiedział, jaki z jego syna marzyciel, zmusiły go do powrotu do męczącej rzeczywistości.

Gdy tak pisał, drapiąc się po żebrach i spoglądając spode łba na ojca, do jego uszu dotarł nagle złowroźny dźwięk. Miał wyborny słuch. Jego matka zawsze mawiała, że Tor słyszy nawet, jak ptaki na drzewach oddychają. Nazywała to darem niebios. Choć nie powiedziała tego wprost, w końcu się zorientował, że posądza go o nadprzyrodzoną moc. Nie były to dobre czasy dla Obdarzonych; przeciwnie, wszelkie zdolności magiczne stanowiły przekleństwo. Dlatego o tych rzeczach nie mówiło się głośno. Już od piętnastu lat dziwny, ogromny talent Tora trzymano w ścisłym sekrecie.

Wdowa Ely głądziła i głądziła, nie zauważając nawet, że Tor wyciągnął długie nogi spod stołu i wstał. Tylko Boj obudził się i powoli poczłapał w dal.

Tor tymczasem nasłuchiwał. Jeźdźcy! Było ich wielu i poruszali się szybko. Nie

musiał ich widzieć, by wiedzieć, że stanowią niebezpieczeństwo. Jhon Gynt z przerażeniem patrzył, jak syn zrzuca ze stołu atrament, pergamin i stalówki i podnosi wrzask.

Za późno. Już tam byli. Na środku ulicy Boj został stratowany przez dwunastu jeźdźców, którzy galopem wpadli na plac wioskowy. Tor nie miał wątpliwości, kim jest głównodowodzący. Nigdy przedtem go nie widział, ale słyszał dość dokładne opisy, by rozpoznać wielkiego inkwizytora Gotha. Jego twarz była żywą maską: pokryta bliznami, z jednej strony bezwładna, z drugiej skręcająca się w nieustającym tiku. Prawe oko inkwizytora mrugało bezustannie, a na ustach powoli wykwitł wredny uśmiezek wywołany widokiem przerażonych wieśniaków. Zdychający Boj zdołał jeszcze ugryźć w kopyto wierzchowca Gotha i choć został za to dźgnięty mieczem w brzuch, Tor podziwiał jego odwagę. Niektórzy z obserwatorów zdrygnęli się w przerażeniu, lecz przezornie milczeli.

Tor zamrugał chabrowymi oczami. Czuł, jak wzbiera w nim moc.

Ojciec musiał to wyczuć, bo ścisnął go za ramię.

- Tylko bez żadnych głupstw, Torkyn - szepnął.

Goth przyglądał się wieśniakom, którzy w ciszy czekali na nieunikniony rozkaz znieawidzonego inkwizytora. Przez chwilę milczał, sycąc się ich przerażeniem. Gdziekolwiek się pojawiał, wszędzie witał go taki sam śmiertelny strach.

Wreszcie przemówił wysokim, nieco zniewieściałym głosem, zawsze zdumiewającym tych, którzy słyszeli go po raz pierwszy.

- Dobrzy ludzie, minęło sporo czasu, odkąd poprzednio tu byliśmy. Widzę, że odbudowaliście swoją knajpkę.

Mówiąc to, wykonał ruch głową w stronę oberży Pod Białym Jeleniem, trzy zimy wcześniej podpalonej przez jego ludzi. Spocony oberżysta jęknął. Małe, bystre oczka Gotha natychmiast go wyłowiły z tłumu.

- A, pan Pawl - rzekł przeciągle. - Bez obaw. Tym razem wieś z pewnością da mi to, po co przyszedłem.

Pozostali inkwizytorzy, ubrani w czarne peleryny i purpurowe jedwabie, zaśmiali się szyderczo.

Tor wyczuł jakiś ruch za nimi i obrócił się, by ujrzeć skręcającego w ulicę samotnego jeźdźca. Był to starszy człowiek o siwej brodzie i włosach, które wymykały się spod ronda kapelusza. Na chwilę zatrzymał się, oceniając wzrokiem sytuację, po czym popędził czarnego rumaka naprzód.

Adiutant Gotha, Rhus, także dostrzegł starca i dał sygnał dowódcy. Goth odwrócił się, uniósł oczy ze złością i zaklął.

- Po co tu przybyłeś, Goth? - odezwał się obcy. - Czy jakieś biedne dziecko zobaczyło w chmurach kształty zwierząt i spędziło ci to sen z powiek? A może to nieszczęsne stworzenie, które widzę u twoich stóp, miało jakieś nadprzyrodzone zdolności? Na przykład potrafiło wyczarowywać kości z powietrza?

Ktoś parsknął krótkim śmiechem, ale reszta wieśniaków zachowała milczenie. Nikt, kto rzucał Gothowi wyzwanie, nie żył dostatecznie długo, by móc o tym opowiedzieć. Tor przesunął się, by mieć lepszy widok, i z rozbawieniem zauważył, że twarz Gotha przybrała kolor jego kosztownych jedwabi.

- Podobnie jak ty, doktorze Merkhud, wykonuję rozkazy króla - odparł tamten, siląc się na spokój, choć w duchu przeklinał królewskiego medyka za to, że pojawił się nie w porę.

Starzec uśmiechnął się szyderczo.

- Nigdy nie porównuj mojej pracy do swoich niegodziwych postępów, Goth.

- Och, z przyjemnością przekażę jego królewskiej mości twoją opinię - odparł Goth słodko, nieco odzyskując rezon.

Starzec pokręcił głową.

- Nie trudź się. Sam mu to powiem, gdy następnym razem będę spożywał posiłek w jego towarzystwie.

Merkhud wiedział, że te słowa zranią Gotha. Cóż z tego, że inkwizytor jeździł pod królewskim sztandarem, skoro to on był najstarszym i najdroższym przyjacielem monarchy. Obiecał sobie, że poważnie porozmawia z Lorysem na temat Gotha.

Nie ulegało dla niego wątpliwości, że inkwizytor przybył do Twyfford Cross, by dokonać ujarzemia. Wierność Lorysa barbarzyńskiej praktyce karania Obdarzonych poprzez nakładanie im uzd i znakowanie była doprawdy prymitywna. „Trzeba położyć kres wiekom prześladowań tych niewinnych, władających mocą istot” - myślał Merkhud. Może to właśnie one uratują w przyszłości cenny tron Tallinom.

Starzec nawet się nie poruszył, gdy podszedł do niego chłopiec stajenny i zabrał lejce z jego dłoni. Wpatrywał się w inkwizytora. Goth kipiał z wściekłości. Merkhud popsuł mu zabawę, obalając pozory, że wymierza królewską sprawiedliwość.

Machnął gniewnie na Merkhuda, by się nie wtrącał, po czym swoim piskliwym głosem zwrócił się do tłumu:

- Przychodzimy po kobietę znaną wam jako Marya.

Jakaś niewiasta krzyknęła. Dołączyły do niej inne. Goth uwielbiał takie chwile. Podniósł głos, by przebić się przez gwar.

- To Obdarzona. Nie ma dla niej miejsca w naszym społeczeństwie. W imieniu króla

Lorysa obwieszcza, że skazano ją na ujarzmienie. Żądam natychmiastowego przeprowadzenia jej. W przeciwnym razie wieś pójdzie z dymem.

Głowy odwróciły się w kierunku czterech kobiet. Najstarsza osunęła się na piach, bijąc się w pierś i wykrzykując bezradne wyzwiska. Jeźdźcy spoglądali na to z rozbawieniem, które jeszcze wzrosło, gdy córki kobiety zaczęły płakać. Tylko najmłodsza, przeciętnie wyglądająca dziewczyna o rozmarzonym spojrzeniu czarnych oczu nie okazywała rozpaczy. Skrzyżowała wzrok z Gothem i patrzyła nań hardo.

Nie posiadała wielkiej mocy, ale Tor zdołał wyczuć jej zamiary. Już miała się rzucić na inkwizytora, gdy nagle otworzyło się łącze mentalne i odezwał się przez nie cichy głos.

To bezcelowe, Maryo. Chroni ich archalit. Poddaj się, by ocalić matkę i siostry. Jeśli będziesz walczyć, dasz mu pretekst do wybicia całej twojej rodziny.

Głos był stanowczy, lecz łagodny. Wstrząśnięty Tor rozglądał się gorączkowo. Kto mógł przemawiać z taką mocą? Nim zdołał się zreflektować, zaczął sięgać zmysłami coraz dalej, podążając za ledwie wyczuwalnym śladem... aż dotarł do starca. Tylko na chwilę sprzęął się z jego mocą i szybko odskoczył, przerażony swoim zuchwalstwem. Za późno. Na twarzy nieznanego odbiło się wywołane kontaktem zdumienie. Tor pobiegł wzrokiem z powrotem ku Maryi, rzuconej na kolana przed inkwizytorem. Ale nie uciekał dość szybko, a nieznanemu okazał się równie dobrym tropicielem.

Medyk Merkhud zatopił wzrok w odwróconej głowie młodego skryby, identyfikując intruza. Torkyn musiał uciekać. Niebezpieczeństwo było ogromne. Jak mógł zrobić coś tak głupiego po tylu latach samokontroli? Choć inkwizytorzy nie wychycili kontaktu, Tor wiedział, że został na zawsze naznaczony przez kogoś, kto w znacznie bardziej subtelny sposób posługiwał się magią i - podobnie jak on - potrafił ukryć fakt jej stosowania.

- Chodźmy stąd, ojczy - rzekł i w pośpiechu zaczął zbierać papiery, kiwając przepraszająco głową w kierunku wdowy Ely. Ona jednak stała wpatrzona w makabryczne wydarzenia na placu.

Jhon Gynt chwycił syna za ramię.

- Torkyn... On oczekuje widowni podczas ujarzmiania. Mnie także się to nie podoba, ale musimy pozostać, by nie wzbudzać w nim gniewu.

Tor ponownie spojrzął na Merkhuda i tym razem ich spojrzenia się skrzyżowały. Na twarzy starca nadal malowało się zdumienie.

Goth tymczasem korzystał z okazji, by pokrótce opowiedzieć zebranym, w jaki sposób namierzył dziewczynę, podążając za jej magią, i wyrazić zdziwienie nieostrożnością, z jaką jej używała.

W końcu rzucił komendę:

- Ujarmić ją!

Marya zaczęła histerycznie krzyżeć, miotając się i drapiąc trzymających ją ludzi. Rzucała na prześladowców strzępami magii, ale - jak ostrzegwał Merkhud - i ich, i konie chronił tajemniczy archalit, odbijający czary z powrotem ku niej.

Tor nie mógł znieść widoku jej cierpienia. Niewiele myśląc, posłał jej impuls własnej mocy, by ją zamroził. Wyczuł, że starzec jest przerażony jego zuchwalstwem, ale nie zaszczycił go spojrzeniem.

Dziewczyna tymczasem osunęła się na ziemię. Jej matka głośno zanosila do niebios modły o karę dla łotrów, którzy odbierają jej dziecko. Na szczęście Goth był zbyt zajęty przyglądaniem się, jak jego ludzie wyjmują z worka matową skórzaną uzdę nabitą archalitem, by zwracać uwagę na obelgi matki. Kilku inkwizytorów całkiem niepotrzebnie przytrzymało na ziemi bezwładne ciało Maryi, podczas gdy inny uniósł jej głowę. Rhus włożył na twarz dziewczyny uzdę i umieścił między zębami metalowy pręt. Marya odzyskała przytomność i zaczęła jęczeć. Dług boleśnie wbijał jej się w język. Oprawcy zatrzasnęli zamek z tyłu głowy, starannie wbijając dwa skoble. Szorstkie ręce podniosły dziewczynę i zdarły z niej ubranie. Stała chwiejnie - naga, ujarzmiona, drżąca i oniemiała z przerażenia.

Wielu mężczyzn, którzy ją znali, odwróciło wzrok, zawstydzonych nagością kobiety i własną bezradnością. Torkyn czuł, że znów zaczyna tracić kontrolę, ale nagle łagodny głos ponownie wdarł się w jego myśli.

Jeszcze nie czas, chłopcze. Nie ujawniaj się.

Torkyn znów czuł, że oczy stojącego po drugiej stronie drogi starca wwiercają mu się w głowę. Był tak zaskoczony wtargnięciem tamtego w swoje myśli, że na moment jego moc osłabła. Przyglądał się, jak przyprowadzają miejscowego kowala, by dokonał poniżającego zabiegu. Mężczyzna trzymał w ręku znak z symbolem Obdarzonego: znieawidzoną gwiazdą.

- Oznakuj ją, jak ci kazano, kowalu... lub giń.

Kowal stał bez ruchu. Dobrze znał Maryę. Jego jedyny syn, poważny chłopak, bardzo ją lubił i zaczął się nawet przymierzać do małżeństwa.

- Dalej! - wrzasnął Goth głosem niemal łamiącym się z napięcia.

Gdy i ta komenda została zignorowana, zeskokczył wściekle z konia i wyjął dymiący znak z bezwładnej ręki kowala.

- Zabić go - rozkazał.

Rhus nie zawahał się. Odrąbał kowalowi głowę z taką siłą, że ta potoczyła się po ulicy i zatrzymała dopiero obok zmasakrowanego Boja. Ludzie podnieśli krzyk. Goth wydawał się

nie zwracać uwagi na wijące się w drgawkach bezgłowe ciało, z którego tryskała krew. Upewniwszy się, że jego ludzie mocno trzymają Maryę za ramiona, po kolei przyciskał dymiącą gwiazdę do drobnych piersi kobiety. Gdy zapach świeżej krwi zmieszał się z wonią palonego ciała, inkwizytor dokończył dzieła, odciskając znak między nogami Maryi.

- Zbawiliśmy jeszcze jedną sługę piekieł - zwrócił się do wstrząśniętej publiczności. - Teraz nie będzie już kusić mężczyzn, by płodzić diabelskie, magiczne bękarty.

Zadowolony, odrzucił gwiazdę na bok i gestem wskazał oberżyscie Pawłowi, że on i jego ludzie mieliby ochotę się czegoś napić. Pawł drżącą ręką wskazał drzwi oberży.

Dwaj jeźdźcy wrzucili zmaltretowane ciało Maryi na stojący obok powóz. Ignorując ryzyko, wieśniacy po kolei podchodzili do niego, nakrywając dziewczynę własnymi ubraniami, dotykając jej łagodnie i szepcząc obietnice zaopiekowania się rodziną. Żadne z tych słów nie docierały do niej.

Jeden z mężczyzn podniósł głowę kowala i z czcią umieścił na piersi zalanego krwią ciała. Potem wieśniacy wynieśli je w milczeniu.

O Boju nikt nie pamiętał.

Tor wiedział, że musi uciec od tej wstrząsającej sceny najdalej, jak się da. Powolnym krokiem podszedł do niewielkiego powozu ojca, wrzucił nań swoje rzeczy i złapał za lejce. Nie miał odwagi spojrzeć na starca. Gdy tylko ojciec wdrapał się na sąsiednie siedzenie, Tor poprowadził konia na wschód, ku oddalonemu o kilka mil bezpiecznemu domowi we Flat Meadows.

Przez całą drogę ojciec i syn nie zamienili słowa.

TANIEC KWIATÓW

Letni Taniec Kwiatów był ulubionym lokalnym świętem Tora. Od czasu ceremonii ujarzmiania chłopak chodził jakiś nieswój i nie mógł sobie znaleźć miejsca, ale tamtego ranka, gdy wyruszył powozem do Minstead Green, znów był w doskonałym nastroju.

Jedno z jego najwcześniejszych wspomnień dotyczyło chwili, gdy, trzymając matkę za rękę, przyglądał się wiejskim dziewczętom, wykonującym skomplikowaną sekwencję kroków. Nadal uwielbiał koloryt i przepych festiwalu.

Tego roku po raz pierwszy wyruszał do Minstead samotnie i upajało go poczucie wolności, które dodatkowo wzmacniał fakt, że jest to również rok pierwszego w życiu występu Alyssandry Qyn. Od tej pory była już kobietą i jeśli chciała, mogła sobie wziąć męża.

Tor przyglądał się jej tęsknie, jak plotkuje z innymi dziewczętami z Green, gładząc się po połyskujących w słońcu włosach barwy miodu. Alyssa nigdy nie miała w sobie krzty próżności, choć wszyscy zachwycali się jej urodą. Jej matka dawno zmarła, a ojciec, Lam Qyn, spędzał większość czasu przy kieliszku, na ogół więc, w przeciwieństwie do Tora, dziewczyna sama zajmowała się swoim wychowaniem, dodatkowo opiekując się ojcem i usiłując utrzymać rodzinę z niewielkich dochodów, jakie dawała produkcja maści i prostych mieszanek ziół leczniczych.

Tor był nią oczarowany od czasu ich pierwszej rozmowy. Kilka lat wcześniej Alyssa nierozważnie uruchomiła łącze, wysyłając sygnał na chybił trafił, i padło na niego. Tor był tak wstrząśnięty, że rozlał całą zawartość kałamarza na nowy arkusz papieru, za co dostał ostrą reprimendę od dobrodusznego zwykle ojca. Chłopiec nie potrafił się wytłumaczyć. Przecież nie powie, że winna jest jakaś bezczelna dziewięciolatka, mieszkająca po drugiej stronie rzeki.

Przepraszam, kimkolwiek jesteś - szepnęła, wysłuchawszy wyrzutów jego uszami.

Od tamtej chwili łączyli się codziennie i w każdej rozmowie przewijało się pytanie, czy inkwizycja kiedyś ich wychwyci. Bawili się tą myślą, nieświadomi jej pełnego sensu. Teraz, starsi i lepiej rozumiejący, czym to grozi, doceniali swoją niewykrywalność i - domyślając się, że jej źródło leży w którymś z nich - postanowili kontaktować się wyłącznie z

sobą.

Tor westchnął. We wszystkich okolicznych wioskach nie było piękniejszej dziewczyny, ale najbardziej cenił Alyssę za jej siłę i przyjaźń. Przymknął w duchu rozmawiającym w pobliżu kobietom, które wychwalały jej urodę, lecz wzdrygnął się na sugestię, że jakiś bogaty kupiec któregoś dnia uwiezie ją z sobą.

Właśnie dlatego zamierzał z nią dziś poważnie porozmawiać. Widywali się tak rzadko, że mimo częstych kontaktów mentalnych obawiał się odmowy z jej strony. Tak czy owak, postanowił wyznać jej miłość i poprosić o rękę, gdy tylko złapie ten przeklęty bukiet.

Ujrzał w wyobraźni kulminację Tańca Kwiatów, podczas której dziewczęta zamykały oczy i wyrzucały bukiety wysoko w górę, a kawalerowie starali się złapać ten należący do ukochanej. Według tradycji każdy mężczyzna, który oświadczy się, nim wypuści bukiet z dłoni, zostanie przyjęty. Dziewczęta wierzyły również, że jeśli zaręczą się w dniu Tańca Kwiatów, małżeństwo będzie szczęśliwe, pierwsze dziecko okaże się synem, a mąż pozostanie wierny.

Tego lata w Minstead Green zebrało się około czterdziestu kobiet, niosących jasne polne kwiaty związane źdźbłem trawy. Naturalne i piękne, wszystkie panny z Minstead prezentowały się prześlicznie, odziane w swoje najlepsze bawełniane suknie. Alyssa wybrała jasnozielone płótno. Prosty krój perfekcyjnie uwydatniał jej szczupłą szyję i wąską talię, a do tego pomysłowo współgrał z kolorem oczu. Tor wiedział, że musiała się obyć bez wielu posiłków, by łączyć fundusze na zakup takiej tkaniny.

Zdawał sobie sprawę, że nie jest jedynym mężczyzną, którego oczarowały jej wdzięki. Wystarczyło się rozejrzeć, by zauważyć, że zbyt wielu obecnych na paradzie młodzieńców nie widzi świata poza Alyssandrą Qyn.

Dziewczyna skończyła wreszcie poprawiać sobie suknię i włosy, podniosła głowę i uśmiechnęła się. Serce zabiło mu mocniej.

Tor, jeśli Rufys Akre złapie mój bukiet, zabiję cię! - oznajmiła poprzez łącze.

Mhm, wyobraź sobie, jak cię skubie co noc tymi trupimi wargami...

Ze śmiechem posłał jej swoją myśl. Stojący obok Rufys spojrzał na niego dziwnie, zastanawiając się, co tak rozbawiło Tora.

Po prostu złap ten bukiet, bo jeśli biednemu Rufusowi się nie uda. Eli Knox już mi obiecał, że to zrobi.

Tor rozejrzał się i zobaczył, jak przystojny sklepikarz rozmawia z przyjaciółmi, wskazując głową Alyssę. Skrzywił się.

Nie martw się o mnie. Po prostu dobrze go rzuć!

Żadne z nich nigdy nie wątpiło, kto złapie bukiet. Nawet gdyby dwanaście tuzinów mężczyzn próbowało tego dokonać, kwiaty i tak należałyby do Tora. Po jego stronie była magia i tego popołudnia używał jej po mistrzowsku, ściągając wiązki stokrotek, dzwonek i chabrow wprost w swoją uniesioną rękę. Z całej siły złapał bukiet i nie puścił nawet, gdy siedmiu innych wpadło na niego i powaliło na ziemię. Niektórzy, wśród nich Eli Knox, ośmielili się nawet próbować wyrwać mu kwiaty.

Alyssa podeszła do niego.

- Odbierz nagrodę, mój panie - powiedziała, wykonując groteskowe dygnięcie.

Tego już było za wiele dla Eliego Knoksa.

- Chyba zapijaczony mózdzek ojca zaczął oddziaływać na twój, Alyso, skoro sądzisz, że ten biedny skryba potrafi ci zapewnić przyzwoite życie!

Tor nie zdołał się powstrzymać. Posłał w kierunku Eliego impuls, który sprawił, że chłopak na końcu zdania zająknął się mocno.

- Och, Kn-Kn-Knox - przedrzeźniał go Tor - Anabel Joyse powiedziała, że możesz wziąć jej k-k-kwiatki.

Anabel Joyse była monstrualnych rozmiarów panną w średnim wieku o rumianych policzkach, jaskrawoczerwonych włosach i zaledwie czterech zębach. Od lat nie brała udziału w Tańcu Kwiatów, ale młodzi mężczyźni wciąż się nią straszili.

- P-p-p-się, Gynt - jąkał się Knox.

- Ty też się t-t-trzymaj, Knox. Chodź, Alyso.

Ujął dziewczynę za rękę i oboje uciekli z Green, zatrzymując się dopiero w pobliżu stajni Minstead. Po raz pierwszy od wielu dni Tor potrafił się swobodnie śmiać. Zdarzenie w Twyfford Cross wytrąciło go z równowagi. Wielokrotnie je wspominał, przeklinając swoje tchórzostwo. Teraz jednak myślał tylko o tym, by poprosić Alyssę o rękę. Kwiaty były po jego stronie. Musiało się udać.

Alyssa oparła się o ścianę stajni.

- Mało brakowało, a straciłbyś bukiet, ofermo!

- Ale czy straciłbym także ciebie? - zapytał, chcąc ją pocałować.

Alyssa uznała, że Tor nigdy nie zbierze się na odwagę, więc mu pomogła. Przyciągnęła go do siebie i ich wargi złączyły się w pocałunku. Było znacznie lepiej, niż sobie wymarzył: pocałunek był powolny, głęboki i tak namiętny, że Tor przestał cokolwiek słyszeć. Świat pogrzyżył się w ciszy. Istniały tylko słodkie, miękkie usta Alyssy.

W końcu dziewczyna odepchnęła go od siebie. Oboje oddychali ciężko.

Patrzyła na niego z powagą.

Popros - powiedziała mentalnie.

Już miał się odezwać, gdy usłyszał, jak jeden z koni wierci się w boksie. Spojrzał przez ramię i jego zapal zgasł w jednej sekundzie na widok wspaniałego karego rumaka z królewskim sztandarem Tallinom. Odsunął się od Alyssy i z niedowierzaniem spoglądał w mrok stajni, gdzie tylko muchy leniwie naprzykrzały się koniom.

Tor? - Alyssa potrząsnęła go za ramię. Nie odpowiedział, ale malujący się na jego twarzy niepokój mówił wszystko. Czują, jak chłopak zamyka łącze.

- Co się dzieje? - zapytała na głos, próbując dostrzec w ciemnej stajni coś, co mogło przykuć uwagę Tora.

Tor był przerażony. Potworna scena z Twyfford Cross powróciła do niego z pierwotną siłą. Stracił z ramienia rękę dziewczyny i odwrócił się ku niej.

- Musimy stąd iść - powiedział cicho, lecz stanowczo.

- Iść? Dokąd?

- Jak najdalej - rzekł tylko, biorąc ją za rękę i ciągnąc z powrotem w stronę Green.

Wyraźnie zirytowana, ponownie posłużyła się łączem.

Co się dzieje, Tor? Myślałam, że...

Odciał dostęp.

- Nie używaj łącza - powiedział z naciskiem.

Pociągnął ją przez ulicę i miasteczko ku powozowi ojca, przy którym ich klacz Lady z zadowoleniem raczyła się owsem z worka.

- Przestań, Tor! Wystraszyłeś mnie! - zawołała Alyssa, zatrzymując się.

- Musimy się stąd wydostać. Później ci wszystko wyjaśnię.

Ruszył dalej, ona jednak nadal stała w miejscu.

- Powiedz mi teraz - zażądała, skonsternowana i wyraźnie rozczarowana.

Tor obrócił się gniewnie.

I wtedy go zobaczył. To był ten starzec, którego spotkał w Twyfford Cross. Człowiek króla.

Człowiek magii.

*

Medyk Merkhud istotnie poszukiwał młodego skryby od momentu, w którym był świadkiem aroganckiej sztuczki, jakiej ten dokonał w Twyfford Cross na nieszczęsnej Maryi. Uratował jej życie, ale niewiele brakowało, a ściągnąłby na siebie wyrok śmierci. Tymczasem Goth i jego kompani nawet nie mrugnęli okiem, najwyraźniej nieświadomi, że ktoś używa im przed nosem tak potężnej magii. Odkrycie chłopca i jego ogromnej, niewykrywalnej mocy

zdumiało medyka, który zachłannie uchwycił się myśli, że oto znalazł tego, kogo szukał. Przez trzy wieki poszukiwań nie udało mu się bowiem spotkać nikogo, kto - tak jak on sam - potrafiłby ukryć swoją moc przed prześladowcami.

A teraz ten wysoki, przystojny młodzieniec znów przed nim uciekał. Medyk poprzysiągł sobie, że tym razem go dopadnie.

*

Alyssa podążyła za przerażonym wzrokiem Tora. Grube, czarne włosy chłopaka uwolniły się z przepaski i zwisały luźno, a szeroko rozwarte jasnoniebieskie oczy błyszczały jeszcze bardziej niż zwykle, wpatrzone w stojącego po drugiej stronie Green starego człowieka. Popęłniła wtedy brzemienny w skutki błąd, gniewnie otwierając zatrzaśnięte przez Tora łącze i celowo przez nie przemawiając.

Co to za człowiek? Dlaczego uciekamy?

Merkhud, zaskoczony po raz drugi w tak krótkim czasie, przeniósł wzrok z młodzieńca na piękną młodą dziewczynę, stojącą po drugiej stronie ulicy. I oto wszyscy troje stali w oszołomieniu. „To musiało się wydarzyć” - pomyślał Torkyn.

Miał wrażenie, że wszyscy w Minstead zamarli w momencie, w którym Merkhud usłyszał w głowie głos Alyssy. Bawiące się dzieci, rozmawiające grupki kobiet, roześmiane pary - wszyscy znieruchomieli, gdy życie Tora osunęło się w jakąś inną przestrzeń. Nie słyszał nic z wyjątkiem bicia własnego serca.

Zmusił się do wzięcia głębokiego wdechu, nim przemówił przez łącze, nie dbając już o to, że nieznajomy go usłyszy, lecz troszcząc się jedynie o Alyssę.

Alyssso, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką dla mnie zrobisz, uciekaj. Weź powóz i jedź. Nie, nie mów, dokąd. Wkrótce się do ciebie odezwę. A teraz biegnij.

Odwrócił się i zaczął iść w przeciwnym kierunku.

Tor, zaczekaj! - zawołała.

Biegnij! - wrzasnął.

Posłuchała go. Ruszyła ku Lady, zraniona jego chłodem i agresją. Chłopak nie czekał, by zobaczyć, co zrobi starzec. Wiedział, że ten pędzi już do stajni po swego rumaka. Tor zablokował umysł przed Alyssą i ruszył przez pola, pilnując, by trzymać się jak najdalej od dróg.

3

KAMIENIE ORDOLTU

Minęły dwa dni od ostatniego spotkania, ale Tor wciąż nie mógł się otrząsnąć. Opowiedział rodzicom bajeczkę o tym, jak to na obrzeżach Minstead zostali napadnięci przez pijanych zbirów, a Alyssie udało się uciec wraz z powozem i koniem. Wystarczyło spojrzeć na jego przerażoną twarz i rozchełstane ubranie, by uwierzyć. Na szczęście ta historyjka dostarczyła mu także pretekstu do niewyściubiania nosa z domu.

Było mu bardzo przykro, że okłamał rodziców i dołożył ojcu kolejne brzemię. Zawsze żyli oszczędnie w małym kamiennym domku we Flat Meadows - sennej wiosce, której jedyną atrakcją stanowiła wspaniała gospoda i bliskość głównej drogi, wiodącej do stołecznego miasta Tal. Ojciec ciężko pracował, by utrzymać rodzinę i nauczyć syna fachu. Matka dokładała do tego drobną pensyjkę zarobioną gotowaniem dla gospody.

Ailsa Gynt wpadła jak burza do domu, w którym cisza mogła panować jedynie pod jej nieobecność. Tor jednym uchem słuchał, jak matka trajkuje o upieczonych dziś przez siebie wspaniałych szarlotkach. Wyjęła jedną z wielkiego kosza i położyła na matowym blacie kuchennego stołu. Smakowity aromat w normalnych okolicznościach wywołałby w żołądku Tora skurcz rozkoszy, ale tego dnia było inaczej.

- Przemyciłam jedną dla ciebie, synku. Musisz nabrać ciała... Ostatnio bardzo źle wyglądasz.

Tor milczał. Rozpaczliwie usiłował skomunikować się z Alyssą, ale nie mógł jej złapać. Dziwne. Pewnie wyciągnęła błędne wnioski z jego nienaturalnego zachowania w Minstead i późniejszego milczenia. Gdyby tylko mógł z nią porozmawiać, byłoby mu lżej. Doszedł do wniosku, że dziewczyna zamknęła przed nim swój umysł. A jednak dotychczas zawsze udawało mu się omijać jej blokady. Coś tu było nie tak.

Matka dalej trajkotała, nieświadoma męczarni syna, kręcąc się po kuchni ze swobodą, zdumiewająco lekko jak na osobę o jej tuszy. Tor często się zastanawiał, jak to możliwe, że wyrósł na kogoś tak wysokiego i szczupłego, mając tak niskich i pulchnych rodziców.

Nie dosłyszał pytania.

- Pytam, czy nadal tak źle się czujesz, Tor? - powtórzyła matka.

Wrócił do rzeczywistości.

- Mmra... nie, dzisiaj znacznie lepiej. Jutro już będę mógł pójść do pracy - odparł.

- No, czas najwyższy, Torkyn! - odezwał się dobrodusznie Jhon Gynt, wchodząc przez tylne drzwi. - Szykuje się potężna burza, mamusko. Spójrz na te chmurzyska.

Tor podszedł do drzwi i spojrzał w niebo, na którym zgromadziły się ciemne kłęby sinych chmur. Bryza ustała i drzewa tkwiły nieruchomo. Późnopołudniowy świat zamarł w złowieszczym bezruchu. Powietrze zdawało się kruche i wyczekujące.

- Boisz się o Lady? - zapytał Tor z poczuciem winy w głosie.

- Nie. Alyssa będzie miała dość rozumu, by ją zamknąć w stodole. Zresztą ta burza może nawet nie dotrzeć do Mallee Marsh. Lepiej dla Lady, że tam jest. Będzie mi jednak potrzebna w czwartek, synu. Mam nadzieję, że do tego czasu wydobrzejesz na tyle, by po nią pojechać.

Tor skinął głową. Ojciec położył mu rękę na ramieniu.

- Zobaczmy, co też za delicje przyniosła nam tym razem mamuska - rzekł łagodnie.

Dwie godziny później burza gniewnie załomotała im do drzwi.

Ailsa Gynt zadrzała.

- Nienawidzę grzmotów i błyskawic. Ciarki przechodzą mi po plecach - odezwała się z fotela na biegunach, ani na chwilę nie wypuszczając z rąk igły i przędzy.

- Dlaczego? - zapytał Tor, z ziewnięciem zamykając książkę.

- Och, to niemądre, ale moja babcia zawsze mówiła, że to zły omen... że bogowie się złością.

- Ailso, kochanie, daj spokój tym bredniom - mruknął łagodnie Jhon. - Synu, zdaje się, że tylna brama uderza o ścianę. Jeśli jej nie podeprzemy, wyleci z zawiasów.

Tor włożył wielki kapelusz, owinął się wiszącym na haku przy drzwiach kocem i wyskoczył na dwór. Dokładnie w tym momencie niebo rozświetliła wielka błyskawica, po której rozległ się ogłuszający grzmot.

- Tuż-tuż - wymamrotała Ailsa, szyjąc gorączkowo. - Bogowie muszą być wściekli!

Jhon Gynt mlasnął językiem w udawanej złości i powrócił do swoich rachunków. I właśnie w tym momencie coś całkiem innego niż burza zabębniło w drzwi.

*

Tor był zachwycony otaczającym go spektaklem natury, ale niedługo go podziwiał, deszcz bowiem siekł potwornie, zmieniając podwórze w śliskie grzęzawisko. Po raz nie wiadomo który w ciągu dwóch dni posłał sondę w kierunku Alyssy, ta jednak trafiła w jakąś dziwną, posępną nicość. Był tak przygnębiony, że przez chwilę pozwalał się bombardować

deszczowi. Potem, gdy ostrożnie obchodził rosnące kałuże, usłyszał, jak matka woła go od progu. Zmrużył oczy i dostrzegł, że Ailsa macha na niego, by się pospieszył.

„Co znowu?” - pomyślał gniewnie.

Wszedł do domu, bezskutecznie usiłując strząsnąć krople wody, nim wsiąkł w koc. Zrezygnowany, powiesił go wraz z kapeluszem na haku, po czym odwrócił się i zamarł. Pomiedzy rodzicami stał, uśmiechając się dobrotliwie, srebrzystowłosy starzec. Torkyn instynktownie zablokował mu dostęp do myśli całej trójki.

Imponujące - usłyszał głos starca w swojej głowie. - *Ale nie bój się mnie. Nie jestem twoim wrogiem.*

Jhon Gynt coś mówił. Tor próbował otrząsnąć umysł z dotyku tamtego. Ojciec wydawał się oszołomiony faktem, iż odwiedził ich ktoś tak ważny.

- Torkynie, to medyk Merkhud. Jest lekarzem ich wysokości króla Lorysa i królowej Nyrii.

Patos, z jakim to powiedział, miał przekonać lekarza o szacunku Jhona.

Dlaczego mnie prześladujesz, starcze? - rzucił Tor przez otwarte łącze, jednocześnie chyląc głowę w uprzejmym skinieniu.

Merkhud również się skłonił.

Cierpliwości, chłopcze. Wszystko ci wyjaśnię - odpowiedział, po czym przerwał kontakt.

- Proszę mi wybaczyć to późne i dramatyczne przybycie - rzekł na głos. - W poniedziałek powinienem być w Tal, ale musiałem porozmawiać z waszym synem, nim opuszczę okolicę. Spotkaliśmy się w Minstead kilka dni temu.

- Nic nam nie powiedziałeś, Tor! - skarciła syna Ailsa, sadzając starca na wygodnym krześle przy kominku. - Jadł pan już?

„Zawsze najpierw myśli o jedzeniu” - pomyślał gorzko Tor.

W przeciwieństwie do niego Merkhud ucieszył się z pytania.

- Prawdę mówiąc, cały dzień jestem w drodze i nie miałem czasu skubnąć nawet okruszka.

„Matka jest w siódmym niebie” - myślał Tor, z trudem przybierając uprzejmy wyraz twarzy. Czyżby to był ten zły omen, o którym mówiły przesady jego prababki?

W odpowiedzi zabrzmiał kolejny grzmot.

- Pewnie zmarł pan na kość, doktorze Merkhud. Podam panu coś na rozgrzanie - zaproponował Jhon Gynt.

Rodzice Tora rzadko miewali gości, szczególnie tak bliskich królowi, i najwyraźniej

dobrze się bawili. Chłopak nadal utrzymywał blokadę, ale wrócił na krzesło, zaciekawiony i przestraszony jednocześnie. Mężczyźni wymieniali uprzejmości, podczas gdy Ailsa zwinnie i bezszelestnie kręciła się po kuchni. Rozmowa w końcu zesłała na życie w stolicy i Tor nie mógł powstrzymać narastającej fascynacji.

Głos starca w miał w sobie jakąś gładkość i melodyjność, a sam medyk z bliska wcale nie wyglądał groźnie. Jego długa broda została starannie przycięta, a zwisające niegdyś w strąkach włosy teraz były związane z tyłu, odsłaniając głębokie zielone oczy wyglądające spośród przyjaznych zmarszczek.

- Jaki jest król Lorys? - zapytał Tor, gdy gość odchylił się na krzesło, by Ailsa mogła położyć mu na kolanach tackę.

- Dziękuję - rzekł starzec łagodnie, z uśmiechem patrząc kobiecie prosto w oczy. Potem zwrócił się do Tora: - Hm, Lorys... pomyślmy. To niezwykle monarcha. Znacznie lepszy niż jego ojciec i dziadek, których orężem był strach. Lorys odczuwa duchową bliskość z ludem. On i królowa Nyria...

- Dlaczego zatem pozwala ten lud okaleczać, torturować i zabijać? Czego się boi? - wybuchnął Tor.

Z przyjemnością patrzył, jak Merkhud ściąga usta w odpowiedzi na jego agresję. Medyk ugryzł kromkę chleba, by ukryć irytację.

- To dobry człowiek, Torze, ale jeśli ma jakąś wadę, jest nią nietolerancja dla Obdarzonych. Ślepo naśladuje swoich przodków w ich archaicznych, tchórzliwych zwyczajach. Mnie też to smuci.

Ailsa powróciła z miską parującego gulaszu.

- Proszę, to pana postawi na nogi.

Jej gulasz z królika z dodatkiem mieszanki przypraw i aromatycznych ziół sływał na całą okolicę. Położyła na tacy talerz, dokładając kilka kawałków szczerze posmarowanego masłem chleba.

Merkhud bez dalszej zachęty przystąpił do konsumpcji pysznej, choć prostej potrawy.

- Niesamowity jest ten gulasz - wykrztusił między kęsami ku rozkoszy Ailsy.

Chciała powrócić do szycia, uznała jednak, że będzie to nieuprzejme, więc tylko wygładziła sobie spódnicę, odchrząknęła i spojrzała na męża, oczekując od niego, że rozpocznie poważną rozmowę. Syn wydawał się niezadowolony z wizyty. Jego promienne zwykle oczy zrobiły się teraz matowe, jak u tego królika, którego zabiła rankiem. Nie знаła przyczyny złego nastroju Tora, ale gość był zbyt ważny, by tak go traktować.

Jhon Gynt zrozumiał aluzję.

- Cóż, doktorze Merkhud, miło nam pana gościć w naszych skromnych progach, ale mówił pan, że chciał się widzieć z Torkynem?

„Bezpośredni jak zawsze” - pomyślała pani Gynt, porzucając nadzieję na długi wieczór w dobrym towarzystwie i sięgając po swoją przędzę.

Merkhud skończył właśnie wycierać chlebem talerz z resztek smacznego, gęstego sosu. Miał szczerą ochotę oblizać palce. Zamiast tego umoczył je w miseczce z wodą, podniósł leżącą obok serwetkę i zaczął nią wycierać ręce i wąsy. Wszystko po to, by zyskać na czasie.

- Proszę mi wybaczyć szczerą... - zaczął w końcu.

Jhon Gynt kiwnął głową.

- Docenię ją - rzekł.

Merkhud patrzył teraz wprost w oczy Tora.

- Wiem, że państwa syn jest Obdarzonym... Proszę mi pozwolić dokończyć - dodał, gdy rodzice spazmatycznie wciągnęli powietrze, a blokada wokół nich wyraźnie się wzmocniła.

Wynocha stąd, medyku! - warknął Tor poprzez łącze.

Matka bełkotała coś, a ojciec zerwał się na równe nogi.

- Proszę, dajcie mi skończyć. Nie przybyłem tu w imieniu króla, nie mam też nic wspólnego z rzeźnikami, którzy określają się mianem inkwizycji - kontynuował błagalnie Merkhud. Potem zwrócił się wprost do chłopca: - Tor, nie zniechęcisz mnie, więc skończ z tymi groźbami - rzekł stanowczo. - Zdumiewasz mnie tylko i przekonujesz, że mam rację, upatrując w tobie nadzieję dla nas wszystkich.

- Co to za bzdury? - Tor machnął lekceważąco ręką, ale jeszcze bardziej uszczelnił blokadę wokół siebie i rodziców, przerażony mocą medyka-maga.

Łagodny zwykle głos Jhona Gynta zabrzmiał teraz władczo.

- Doktorze Merkhud, proszę wybaczyć memu synowi zuchwalstwo... cokolwiek uczynił. Z oczywistych względów nie rozmawiamy o mocy Torkyna. Przeraża nas, że wspomina pan o niej tak swobodnie. Proszę powiedzieć to, co ma nam pan do powiedzenia. Obawiam się, że nie jest to przypadkowa wizyta.

Po czym posłał synowi lodowate spojrzenie, dając mu do zrozumienia, by się nie wtrącał.

Merkhud skinął głową.

- Ma pan rację, Jhonie Gynt. Nie przybyłem tu w celach towarzyskich. Ja także jestem obdarzony mocą. - Pozwolił, by te słowa przez chwilę wisiały w powietrzu między nimi. - I

podobnie jak w przypadku Tora moje zdolności nie zostały wykryte przez Gotha i jego wesołą gromadkę. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. - Skłamał. Nie miał innego wyjścia. - Dopóki nie zobaczyłem, jak pański syn używa swojej magii, by pomóc tej biednej dziewczynie w Twyfford Cross, uważałem się za jedyne go człowieka, który posiada niewykrywalną moc.

Kolejne kłamstwo.

Zaległa ciężka cisza. Merkhud wiedział, że rodzice chłopca nie mają pojęcia, czy i kiedy ich syn używa magii, i był przekonany, że przez całe życie zabraniali mu to robić. Wziął głęboki wdech, wiedząc, że nadeszła decydująca, długo oczekiwana chwila. Nie miał wiele czasu. Musiał zrobić wszystko, by osiągnąć cel.

- Za zgodą Tora, i państwa, rzecz jasna, chciałbym zabrać chłopca do Tal, by został moim uczniem.

- Do pałacu? Dlaczego? - krzyknęła rozdzierająco Ailsa, tracąc kontrolę nad sobą.

- Na Światłość, człowieku, czy pan oszalał? To tak, jakbyśmy go oddali w ręce Gotha. Równie dobrze moglibyśmy mu wymalować na czole napis „Obdarzony” - ryknął Jhon Gynt w jednym ze swoich rzadkich ataków furii.

- Nie, panie Gynt. Proszę pomyśleć. Jak powiedziałem, zarówno pański syn, jak i ja potrafimy posługiwać się mocą, unikając wykrycia. Nigdzie Tor nie będzie bezpieczniejszy niż w Pałacu, pod moją całkowitą ochroną. Nikt nie ośmieli się go tknąć i nikt tego nie zrobi. Nauczę go medycyny i ustanowię swoim następcą; będzie zamożny, szanowany i bezpieczny od barbarzyńców włóczących się po kraju. Kto wie, może to właśnie on pomoże mi zmienić świat...

Merkhud zamilkł gwałtownie. Był podekscytowany, że trafia mu się taka szansa. Nie wątpił, że chłopak jest tym, kogo szuka. Nie mógł go stracić.

Jedź ze mną, chłopcze - szepnął poprzez łącze. Dopiero wtedy ujrzał błysk w dziwnych, niebieskich oczach Tora i wiedział, że zwyciężył.

- Chce pan, żebyśmy powierzyli panu swoje jedyne dziecko? - zapytała Ailsa, już ze łzami w oczach.

- Proszę, aby oddali go państwo pod moją opiekę i, nawet jeśli to zabrzmi patetycznie, ofiarowali go ludowi Tallinom.

- Medyku, czy pan kiedykolwiek miał dziecko? Czy pan wie, co to znaczy oddać własnego syna? - spytał Jhon szorstkim od napięcia głosem.

Przez chwilę zdawało im się, że świat stanął w miejscu. Nawet burza na dworze jakby umilkła.

- Tak - odparł Merkhud ledwo dosłyszalnym głosem. - Miałem dwóch synów. Pierwszy, śliczny chłopczyk, zmarł zaraz po urodzeniu. Drugi był darem, który ukoił nasz ból. Kochałem go bardziej niż kogokolwiek, ale i on odszedł tragicznie. To było dawno temu. Od tamtej pory stałem się zgorzkniałym samotnikiem, głuchym na błagania wielu młodzieńców, którzy chcieli się szkolić pod moim kierunkiem, by kiedyś, być może, przejąć po mnie schedę.

Wszyscy milczeli.

- Co jest w tym winie, Jhonie Gynt? Moje stare dźiąsła jeszcze nigdy nie wyłapały tak cennej informacji.

- Doktorze Merkhud, Torkyn sam musi podjąć decyzję. Nie będę go nakłaniał ani nawet prosił, by nas opuścił, niebiosa wiedzą, jak bardzo potrzebuję jego oczu i rąk, ale to dla niego wielka szansa. Znacznie większa, niż ojcu mogłoby się marzyć.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku siedzącemu spokojnie Torowi. Chłopak z trudem przełknął ślinę i rozejrzał się po znajomych kątach.

- Chciałbym pójść.

Merkhud oszalał z radości, ale na twarzy zachował powagę.

- Czy mógłbym zamienić z nim słówko na osobności? - zapytał zasmuconych rodziców chłopca.

Pod pretekstem opróżnienia tacki gościa Ailsa pospiesznie udała się do kuchni. Jhon przeprosił i podążył za nią.

Merkhud ponownie spojrział na młodzieńca dysponującego być może największą potęgą spośród wszystkich obywateli kraju - młodzieńca, który mógł dzierżyć klucz do Trójcy.

- Jesteś pewien, że tego chcesz?

Tor zmarszczył brwi.

- Tak sędzę, doktorze.

- Musisz mieć pewność, Tor. To nie jest decyzja, którą można podjąć bez namysłu. Nie można jej też łatwo cofnąć. Jeśli tylko sędzisz, że masz pewność, to nie jesteś jeszcze gotów.

Spojrzenie Merkhuda było twarde i nieugięte. Nie zamierzał, rzecz jasna, zrezygnować z chłopaka, ale potrzebował także jego entuzjazmu. Niełatwo jest przywyknąć do życia w pałacu.

Tor wyprostował się, wyciągnął dłoń i wpatrywał się w nią w skupieniu. Merkhud był skonsternowany, ale poszedł za przykładem chłopca. Po chwili powietrze nad dłonią

zawibrowało i zmaterializowała się na niej mglista wizja trzech olśniewająco barwnych kuleczek. Merkhud wstrzymał oddech. Nie mylił się: Torkyn pokazywał mu Kamienie Ordoltu.

- Tor - odezwał się ochryple - gdzieś ty je znalazł?

Głos Tora brzmiał, jakby dobiegał z bardzo daleka.

- Zdaje się, że je wyśniłem ubiegłej nocy.

Poruszył palcami i kulki owinęły się łagodnie wokół nich, połyskując kolorami w blasku świecy. Potem chłopak zamknął dłoń.

- Wiesz, co to jest? - zapytał w skupieniu. Jego głos znów brzmiał normalnie.

Merkhud nie miał już wątpliwości, że Tor jest tym, za kogo go uważał.

- Nie - skłamał po raz trzeci - ale są bardzo piękne. A może ty coś o nich wiesz? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Nie. Wiem tylko, że ten sen, twoje przybycie i obecne odczucia nakazują mi jechać z tobą.

Tor postanowił już, że zabierze z sobą Alysę, ale na razie zachował tę decyzję dla siebie.

Starzec westchnął głęboko. A zatem Hostia mówiła prawdę. Pojawił się ktoś, kto miał uratować kraj. Pierwsza część jego poszukiwań, po wiekach bezowocnych prób, dobiegła końca.

*

„Teraz będzie najtrudniej” - pomyślał Tor. Znalazł rodziców siedzących w milczeniu w ich małym pokoiku. Chyba po raz pierwszy zwrócił uwagę na ubogi wystrój wnętrza. Brakowało tam zbytków. Było to po prostu miejsce, w którym ciężko pracujący, uczciwi ludzie znajdują odpoczynek i skromne przyjemności. Tylko łóżko było wygodne - matka uwielbiała miękki materac - natomiast reszta mebli miała wyłącznie praktyczne zastosowanie.

Jedyny element upiększający stanowiła mała seria rysunków, które Tor wykonał jako dziecko, a matka oprawiła w skórzany album. Od czasu do czasu przeglądali te prymitywne obrazki, śmiejąc się razem. Rodziców bawiło, że Tor zawsze rysował rodzinę w składzie czteroosobowym. Gdy był małym chłopcem, upierał się, że ma starszego brata i rysował go jako wielką, groźną postać, a czasem nawet do niego przemawiał. Ale nikt taki nie istniał. Gyntowie podejrzewali, że Tor po prostu przelewa na papier swoje marzenia, miejscowy lekarz jednak rozwił wszelkie ich nadzieje na danie chłopcu rodzeństwa.

Tor nie miał pojęcia, co powiedzieć, więc wzruszył przepaszająco ramionami.

- W porządku, Tor, to właściwa decyzja - odezwał się Jhon, nie wiedząc, czy pociesza

syna czy siebie.

Ailsa znów zaczęła płakać. Tor dwoma krokami przemierzył pokój. Nie mógł znieść łez w oczach tej kobiety, która do tej pory zawsze nad sobą panowała. Przygarnął ją i kołysał lekko. Po chwili silne ramiona ojca otoczyły oboje, trzymając mocno, jakby chciały zdławić własną rozpacz.

Tor zatracił poczucie czasu. Nie wiedział, jak długo tak stali ani kiedy wyschły łzy. Potem przez kilka minut mówili o tym i owym. Rozmowa się nie kleiła i później nawet nie potrafił jej sobie przypomnieć. W końcu, gdy znów zaległa ciężka cisza, ojciec i matka ujęli Tora za rękę.

- Mama i ja musimy ci powiedzieć o czymś szczególnym - rzekł Jhon Gynt i odchrząknął. - To trudne, Tor. Przez piętnaście lat trzymaliśmy to w tajemnicy. Miałem nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli zdradzać sekretu nikomu, a zwłaszcza tobie, ale teraz, gdy wyjeżdżasz, mamy obowiązek ci go wyjawić.

Tor poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku w oczekiwaniu na dalsze słowa ojca. Czuł, że nie będą to dobre wieści.

- Nic mi nie mówcie. Nie chcę tego słyszeć. Proszę! Cokolwiek to jest, nie ma dla mnie znaczenia.

Spojrzał ojcu w twarz, ale znalazł tam tylko rezygnację i wielki smutek.

- Musisz to usłyszeć, Torkyn. - Jhon przyciągnął syna do siebie. - Choć nosisz nasze nazwisko, chłopcze, nie zostałeś spłodzony przeze mnie ani zrodzony przez swoją matkę.

Świat na moment zawirował Torowi przed oczyma, zapadając się w rozedrganą pustkę, z której wybiegły ku chłopcu trzy mieniące się kolorami kulki. Czuł, że znalazł się w niebezpieczeństwie, i chyba wrzasnął, bo z wizji wyrwał go dźwięk własnego głosu. Ojciec potrząsał nim, trzymając za ramiona.

Tor z niedowierzaniem kręcił głową. Widział, że Jhon coś mówi, ale nie słyszał nic z wyjątkiem słabego pulsowania krwi. Jeszcze raz potrząsnął głową, by oczyścić umysł.

- Słuchasz nas, Tor? - Zaczerwienione, opuchnięte oczy matki wyrażały błaganie, podobnie jak jej słowa.

- Spójrz na mnie, synu, i posłuchaj - rzekł Gynt, obracając ku sobie twarz Tora i patrząc mu prosto w oczy. - Piętnaście zim temu przybyła do naszego miasta pewna kobieta. Przywiozła z sobą ślicznego, opatulonego i płaczącego chłopczyka.

Ojciec uśmiechnął się smutno do wspomnień. Puścił twarz Tora i ręce opadły mu na kolana.

- Chłopczyk „nie miał rodziców. Oboje, jak nam powiedziano, zginęli w pożarze,

który strawił cały dom. Tylko chłopczyk pozostał przy życiu. Nie miał krewnych. Kobieta znalazła się tam przypadkiem, pomagając sąsiadom w gaszeniu ognia. Ktoś wcisnął jej dziecko w ramiona i opiekowała się nim przez całą noc. Następnego dnia nikt się nie zgłosił po chłopca. We wsi mieszkali biedni ludzie i nie było ich stać na wykarmienie jeszcze jednej gęby. Tak więc kobieta, która jedynie przechodziła tamtędy w drodze do Tal, z konieczności musiała się zająć kilkumiesięcznym niemowlęciem.

Tor nie chciał tego słuchać, lecz Jhon mówił dalej:

- Zabrała chłopca i przebyła z nim wiele mil, aż w końcu dotarła do Flat Meadows i zatrzymała się na noc w gospodzie. Wiesz, jaka jest mama - zrobiło jej się żal kobiety, a na widok bezdomnego, pozbawionego matczynej miłości, zapłakanego wiecznie dziecka omal jej serce nie pękło. Wzięła chłopca na ręce, a on od razu się uspokoił. No i, jak to ona, tak się zakochała w dzieciaku, że zaczęła błagać kobietę, by jej go zostawiła.

- Nie mogłam ci się oprzeć, Tor - przyznała Ailsa. - Pokochałam cię od pierwszego wejrzenia, a z każdym mijającym rokiem moja miłość wzrastała. Widzisz, ojciec i ja nie mogliśmy mieć własnych dzieci, choć staraliśmy się o nie wiele lat.

Rzuciła mężowi porozumiewawcze spojrzenie, a on odpowiedział tym samym, wspominając spędzone w tej samej sypialni miłosne noce.

Tor patrzył na matkę.

- I ona wam mnie oddała?

- Tak. Byłeś bezradny, bezdomny i niechciany. Nie przelewało nam się, ale nie klepaliśmy biedy. Bardzo chcieliśmy mieć dziecko, lecz nie było nam to dane. I wtedy pojawiłeś się ty. Decyzja nie była trudna, Tor. Po prostu od razu cię pokochaliśmy.

- I nikt o nic nie pytał? - zdziwił się Tor.

- Och, jasne, że pytali. We Flat Meadows aż huczało - odparł ojciec. - Mówiliśmy jednak prawdę i wszyscy szybko przyjęli ją do wiadomości, akceptując cię jako naszego syna, Torkyna Gynta.

- A ta kobieta?

- Cóż, przypuszczam, że osiedliła się w Tal. Bardzo się cieszyła, że znalazła dla ciebie dobry dom, i natychmiast ruszyła w dalszą drogę. Nigdy więcej nie mieliśmy od niej wieści. - Ailsa patrzyła na Tora skonsternowana. - A co, wołałbyś zostać przy niej i wieść inne życie?

- Nie, po prostu jestem tak zaskoczony... No a... czy kiedykolwiek próbowaliście się czegoś dowiedzieć o moich prawdziwych rodzicach? Kim byli? Jak doszło do pożaru?

Teraz to Jhon miał niewyraźną minę.

- Nie, Tor. Nie próbowaliśmy. Byłeś dla nas błogosławieństwem... darem od bogów.

Tor mimowolnie zadrżał na dźwięk tych słów.

- Oni nie żyli. Nie mieliśmy powodu, by tropić duchy. Byłeś nasz. Chcieliśmy tylko dać ci dom pełen miłości i radości - powiedziała łagodnie Ailsa.

- I zrobiliście to. - Tor ścisnął mocno dłoń matki. - Czy to już koniec tej historii?

Jhon Gynt rozluźnił się nieco.

- Tak, synu. To jedyna rzecz, jaką przed tobą ukrywaliśmy. Oboje z mamą przypuszczaliśmy jednak, że nadejdzie chwila, kiedy przyjdzie nam wyjawić prawdę. Od najwcześniejszych dni wiedzieliśmy, że jesteś wyjątkowy, ale ignorowaliśmy to. Miałeś dość wrażliwości, by się zorientować, że otrzymałeś niebezpieczny dar. Medyk Merkhud wzbudził moje zaufanie. Wierzę, że będzie cię chronił, gdy ruszysz własną drogą.

- Kiedy zamierzasz nas opuścić, synku? - zastanawiała się głośno Ailsa, w rzeczywistości nie chcąc znać odpowiedzi.

- Merkhud dał mi sakiewkę, żebym sobie kupił konia i solidne buty i ruszył, gdy będę gotów. On wyjeżdża jutro, ja jednak pomyślałem, że zostanę jeszcze parę dni, by wam pomóc przy listach w Beckynsayle... a potem... może w sobotę... - Tor mówił coraz ciszej, aż zamilkł.

Ailsa dała mężowi kuksańca w zebro.

- A kamienie?

- A, kamienie. Byłbym zapomniał.

Jhon sięgnął do niewielkiej komody, mrużąc coś pod nosem. Przeszukał szuflady i wyjął starą skarpetkę, a z niej mały mieszek z mięciutkiej skóry, w którym coś dźwięczało. Tor zrobił wielkie oczy.

- Cóż, sam chciałbym wiedzieć, do czego one służą - rzekł Jhon. - Ta piękna kobieta o złotych włosach powiedziała nam, że miałeś je związane na szyi, gdy cię uratowano. - Wysypał na dłoń zawartość mieszka: trzy niewielkie matowe kulki. - Dała nam jednak bardzo precyzyjne instrukcje. Miałeś otrzymać kamienie, gdy osiągniesz... odpowiedni wiek.

Ailsa wpatrywała się w kulki.

- Zapytaliśmy, co rozumie przez „odpowiedni”, a ona odparła, że będziemy wiedzieli, kiedy ci je dać. - Podniosła głowę. - Myślę, że to jest ta chwila, synku - powiedziała cicho.

- Proszę, Torze. Dbaj o nie - rzekł Jhon. - Nie mam pojęcia, dlaczego tak się upierała, żeby ci je dać. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że należały do twojej prawdziwej rodziny. Dlatego zawsze tak pieczołowicie je chronilem. Chciałem, żebyś miał po niej jakąś pamiątkę.

Jhon położył kamienie na dłoni Tora, a te natychmiast zaczęły się mienić.

- Na Światłość! - wykrzyknęła Ailsa, wyciągając rękę ku synowi.

- Wszystko w porządku. Są bezpieczne... wywołują przyjemne uczucie.

Tor wzruszył ramionami, by pokazać, że nie przywiązuje do kamieni wielkiej wagi. Było jednak całkiem inaczej: oto trzymał w ręku te same kulki, o których śnił poprzedniej nocy, a później wyczarował je na użytek Merkhuda. Teraz ostatecznie utwierdził się w swojej decyzji odjazdu ze starym medykiem.

Ojciec z konsternacją spoglądał na mieniące się w dłoni Tora kamienie.

- Schowaj je, synu, i trzymaj w ukryciu - rzekł, wyciągając ku niemu skórzany worek. - Będzie lepiej, jeśli nikomu ich nie pokażesz. Nawet Merkhudowi.

Tor wrzucił kulki z powrotem do sakiewki i skinął głową.

- Masz rację. Chociaż... jeśli tak postąpię, jak zdołam się dowiedzieć, do czego służą?

Tym razem to ojciec wzruszył ramionami.

- Może powinieneś po prostu zostawić je w spokoju. Jeśli w ogóle mają jakiś cel, ten z pewnością sam się ujawni. Obiecuj mi, że to będzie nasz sekret. Nie zdradzaj go nikomu. Ta złotowłosa kobieta... - Jhon urwał nieporadnie i odchrząknął. - Powiedziała, że są magiczne i że nie powinien ich oglądać nikt oprócz ciebie. Mieliśmy cię nakłonić, byś ich nikomu nie pokazywał. - Położył rękę na trzymającej worek dłoni Tora. - Ja nic z tego nie rozumiem, synu. Podobnie jak nie pojmuję twojej magicznej mocy. Obawiam się tylko, że to wszystko może prowadzić do czegoś, czego nie zrozumie żadne z nas. - Uśmiechnęła się do Ailsy. - No, mamusiu, dość już tego smutku. Nasz syn wyrusza do pałacu. Powinniśmy być dumni, a nie załamywać ręce. Chodźmy spać, a jutro zrobimy sobie wolne. Pojedziemy do Rymond i wybierzemy Torowi konia, buty i nową koszulę na drogę. Kto wie, może znajdziemy tę z żółtego jedwabiu, o której marzyłaś.

Ailsa w końcu się uśmiechnęła. Torowi także zrobiło się lżej na duszy. Wiedział, że rodzice sobie poradzą, a sam był coraz bardziej podniecony wizją przyszłości. Miał jednak do pokonania jeszcze jedną przeszkodę: chciał przekonać Alysę Qyn, by mu towarzyszyła.

A skoro nie mógł się z nią skontaktować mentalnie, będzie się musiał pojutrze pofatygować do jej wioski i osobiście jej wszystko opowiedzieć.

4

ZNIKNIĘCIE ALYSSY QYN

Alyssa weszła do domu, wołając ojca, by sprawdzić, czy ten jest na miejscu. Jemu wprawdzie i tak było wszystko jedno: ostatnio spędzał większość czasu na pijackich rozmowach z duchami. Nie potrafiła mu wybaczyć kobiet. Nie wątpiła, że kochał matkę. Po jej śmierci starało się o niego kilka zacnych dam, on jednak znajdował pociechę w ramionach tych, które nie pragnęły jego miłości, lecz pieniędzy.

Łzy nabiegły jej do oczu. Co mogło tak zdenerwować Tora, że zaczął na nią wrzeszczeć i zupełnie zapomniał o bukiecie? Była pewna, że chłopak wreszcie zdobędzie się na zadanie pytania, na które tak czekała.

Wszystko szło świetnie, dopóki nie pojawił się ten siwy staruch. Ciekawe, co to za jeden. Na domiar złego od tamtej pory Alyssa pomimo wielokrotnych prób nie potrafiła się skontaktować z Torem. Myśli, które mu wysyłała, napotykały jakąś tajemniczą pustkę. Czyżby chciał ją w ten sposób ukarać?

Przemyśla sobie twarz, by się pozbierać, wiedząc, że ojciec w każdej chwili może się pojawić. W końcu wrócił, jak zwykle pijany. Zdejmując mu buty, Alyssa zaczęła wesoło trajkotać, próbując złagodzić jego chroniczny gniew. Potem poprowadziła milczącego ojca do stołu i podała mu miskę zupy. Siedział wpatrzony w naczynie, a ona paplała dalej, mając nadzieję, że jej głos zachęci go do jedzenia, a potem ukołyszże do snu.

Może i udałoby jej się, gdyby nie zaczęła podśpiewywać pod nosem podczas zabierania talerza ze stołu. Jak na pijaka Lam Qyn zareagował z oszalelami szybkością. Nim się spostrzegła, jego wielka dłoń uderzyła ją w twarz z takim impetem, że talerz roztrzaskał się o przeciwległą ścianę, a ona sama upadła na kolana, uderzając nimi boleśnie o kamienną posadzkę. Zupełnie straciła czucie w policzku, w który trafił cios.

- Żebyś więcej nie słyszał w tym domu piosenek twojej matki! - ryknął na nią Lam.

Patrzyła przez łzy, jak ojciec chwiejnym krokiem opuszcza dom i znika w mroku. Tym razem nie wróci tak szybko.

Nienawidziła swojego życia. Jedyńm jego światłem był Torkyn Gynt. Możliwość rozmawiania z nim pomimo dzielącej ich odległości stanowiła dla niej jedyną pociechę w tej

samotnej, pozbawionej miłości egzystencji.

Gdyby jej matka zdołała przeżyć narodziny córki, którą ledwie zdążyła przytulić, nim skonała! O co chodziło ojcu? Czyżby obwiniał Alyssę o śmierć ukochanej żony? Dziewczyna ze łzami w oczach myślała o Torze. Tak bardzo go teraz potrzebowała. Tymczasem godziny mijały, a ona wciąż płakała.

W końcu zdołała wstać i powlec się do swojej maleńkiej sypialni. Wzięła z chyboczącego się stołu dzbanek i naląła do miski trochę wody. Była lodowato zimna, Alyssa zmusiła się jednak do zanurzenia w niej całej twarzy, próbując dojść do siebie.

Dokładnie obmyła się flanelową szmatką, szczególnie koncentrując się wargach i szyi, gdzie Torowi udało się złożyć krótki pocałunek, jakby usiłowała zmyć z siebie jego namiętność. Wycierając się ręcznikiem, spostrzegła, że jej żal zmienił się w gniew. Ze złością wspominała wyraz twarzy Tora, gdy ten spoglądał na starca: w jego oczach - tych wielkich, niebieskich, hipnotyzujących oczach - malował się nie tylko strach. Był tam też podziw.

Alyssa potrząsnęła głową, by wyrzucić z myśli obraz Tora. Potem włożyła czyste ubranie i zeszła po wąskich kamiennych schodach, nienawidząc swego domu i bojąc się powrotu ojca. Łyknęła trochę wody, by się uspokoić, ale nagle dzbanek wypadł jej z drżących rąk i roztrzaskał się o posadzkę.

W drzwiach stała jakaś postać.

Alyssa poczuła w ustach krew. Chyba przegryzła sobie wargę.

- O rany - odezwała się grzecznie nieznajoma, zdejmując czepek i szal i niepewnie przestępując próg.

- Przepraszam... Myślałam, że to... - Alyssa urwała. - Kim pani jest?

- Po prostu przechodziłam i pomyślałam, że może pozwolą państwo starej kobiecie odpocząć chwilę w stodole.

Alyssa prawie jej nie słyszała. Opadła na kolana i płakała rzewnie, po trosze z ulgi, a po trosze z rozpacz, nie dbając o to, że jej spódnica nasiąka wodą z rozbitego naczynia.

- Już dobrze, dziewczę. Nie płacz. To tylko woda, a ten gliniany dzbanek łatwo można zastąpić innym.

Starsza pani okazała się zdumiewająco silna. Zdecydowanym ruchem podniosła Alyssę, posadziła ją na krześle i zabrała się do sprzątania. Dziewczyna przyglądała się temu bez większego zainteresowania. Nieznajoma nie stanowiła zagrożenia; przeciwnie, jej towarzystwo uspokajało skołatane nerwy.

- Może pani odpocząć tutaj. W domu nie ma nikogo oprócz mnie.

Kobieta skinęła głową na znak wdzięczności i zaczęła podśpiewywać pod nosem

kołysankę, która podziałała na zbolaną Alyssę niczym balsam. Nie wiedzieć kiedy na stole pojawił się kubek ziołowej herbaty słodzonej miodem. Dziewczyna mocno zacisnęła na nim palce. Tylko przez sekundę zadawała sobie pytanie, skąd się wziął; później zapomniała o tym i z zadowoleniem popijała napar, w milczeniu wsłuchując się w śpiew kobiety.

W pewnym momencie ktoś zapalił świece, zamknął okiennice przed blaskiem księżycy i poprowadził dziewczynę na górę. Czowała, że jakieś ręce rozbierają ją łagodnie i delikatnie kładą do łóżka, luźno związawszy włosy wstążką. Potem Alyssa została okryta kołdrą w ten sam sposób, w jaki otulał ją ojciec, gdy była mała, a on jeszcze ją kochał. Uśmiechnęła się do odległego wspomnienia - a może tylko tak jej się zdawało.

Na skraju świadomości nadal pobrzmiwała kołysanka. Powieki dziewczyny stały się ciężkie i w końcu zmorzył ją słodki sen. Spała spokojnie, a starsza pani przez cały czas siedziała przy niej, owinięta wyblakłym, znoszonym szalem, i niestrudzenie nuciła tę samą łagodną melodię.

*

Alyssa zbudziła się wypoczęta. Niepokój wprowadzie jej nie opuścił, ale kuszący zapach świeżo upieczonych ciastek szybko poderwał ją z łóżka. Ściągając przez głowę koszulę nocną i czując dreszcz wywołany chłodem poranka, usiłowała sobie przypomnieć, kiedy, u licha, przebrała się do snu.

Odemknęła okiennice. Na dworze lekko mżyło, jakby mgła osiadała, a biała smuga światła słonecznego ledwie zaznaczała swą obecność za gęstą kotarą szarych chmur. Alyssa zadrżała i opatulila się ciepło. Ubranie było znoszone, jak większość jej rzeczy, których zresztą miała niewiele, ale dobry humor skłonił ją do energicznego wyszczotkowania włosów i związania ich jedyną jedwabną wstążką, jaką posiadała.

Przypomniała sobie dziwną, lecz wielkoduszną kobietę, która pojawiła się w domu minionego wieczoru. Widocznie została na noc, bo zapachy dochodzące z kuchni z pewnością nie były dziełem ojca. Nigdy nie nauczył się gotować. Przez chwilę Alyssa zastanawiała się, dokąd poszedł i czy powinna go szukać. Zazwyczaj znajdowała go na ulicy lub w jakimś zaułku, gdzie dochodził do siebie po nocnej libacji. Obmywała go i kładła do łóżka, a potem, gdy już się zbudził, dawała mu jeść i wysłuchiwała utyskiwania na posiłek. W końcu przeważnie udawało jej się doprowadzić ojca do takiego stanu, by mógł się zająć robotą. I tak sobie żyli. „Żalodne” - pomyślała z westchnieniem.

Przypomniała sobie o Torze, ale zbyła jego obraz nieszczerym uśmiechem. Nie chciała teraz o nim myśleć. Później znów spróbuje uruchomić łącze. Wiedziała, że musi wkrótce zwrócić Lady, bo inaczej ojciec chłopaka nie będzie mógł pracować. Szybko zesła

na dół i mina jej zrzędała na widok starszej pani, która zawiązywała właśnie czepek, szykując się do wyjścia.

- O, jesteś. Dobrze wyglądasz, moja droga. Cóż za ulga. - Kobieta z promiennym uśmiechem owijała się szalem. - W takim razie pójdę już sobie, mała. Chyba się nie gniewasz, że zostałam na noc? Po prostu nie mogłam cię zostawić w takim stanie. Pomyślałam, że powinnaś nabrać ciała, więc upiekłam ci trochę ciastek. W czajniczku jest świeżo zaparzona herbata. Będę spokojniejsza, wiedząc, że zjadłś porządne śniadanie.

Kobieta podeszła do oszołomionej dziewczyny i objęła ją, po czym odwróciła się, by zabrać swój tobolek. Alyssa podbiegła do drzwi i zatrzasnęła je. Wzrok miała tak dziki, że kobieta krzyknęła z przerażenia, łapiąc się za gardło.

- Pani... pani nie może tak wyjść... To znaczy jeszcze nie teraz. Muszę z panią porozmawiać - wykrztusiła Alyssa, dławiąc się łzami. - Nie znam nawet imienia osoby, która była dla mnie tak dobra.

Starsza pani przez chwilę patrzyła na dziewczynę, po czym, ku jej uldze, odłożyła tobolek i zdjęła czepek.

- Nazywam się Sorrel.

Usiadła, splatając dłonie na kolanach. Alyssa tymczasem naląła dwa kubki herbaty, pragnąc zatrzymać gościa jak najdłużej.

- A twoje imię? - zagadnęła Sorrel, siorbiąc herbatę.

- Och, byłam pewna, że wczoraj się pani przedstawiłam! Jestem Alyssandra - powiedziała, częstując starszą panią ciastkiem.

- Wszyscy we wsi nazywają mnie jednak Alyssą - dodała.

- Bardzo piękne imię - orzekła Sorrel, gryząc ciastko.

- Dziękuję. Mój ojciec je wymyślił. Tak ma... to znaczy miała... na imię moja mama. Podobno była bardzo piękna.

- Ja także wcześniej straciłam matkę - odparła łagodnie starsza pani. - To trudne dla dziewczyny. Ile masz teraz lat?

Alyssa pociągnęła łyk ziołowej herbaty i skrzywiła się, bo od gorąca zapiekła ją przygryziona poprzedniego wieczoru warga.

- Piętnaście.

- No tak... W tym wieku najboleśniej odczuwa się brak matki - powiedziała Sorrel, po czym ze swobodą zaczęła opowiadać o swoim życiu wędrowniej zielarki.

Alyssa słuchała oczarowana, sama bowiem całkiem nieźle znała się na ziołach. Opisawszy zdarzenia z odległej przeszłości, Sorrel przeszła do tych nowszych, by zakończyć

gawędę relacją z ostatniej wizyty we Flat Meadows, gdzie wszyscy mówili tylko o tym, że jeden z mieszkańców udaje się do Tal i będzie mieszkał w pałacu.

- Cała wieś była dumna i podekscytowana. Miałam nawet okazję zobaczyć tego chłopaka. Bardzo przystojny. Ma takie dziwne, niebieskie oczy... Rany, kobiety z Tal skradną mu niewinność w ciągu paru godzin od przekroczenia bram miasta...

Sorrel zaśmiała się porozumiewawczo, ale wzrok miała poważny. Obserwowała Alyssę czujnie.

- Znam sporo osób we Flat Meadows - odezwała się oszołomiona dziewczyna. - Czy poznała pani nazwisko tego chłopca?

- Nie... Chyba nie. Po prostu przechodziłam przez wieś i zatrzymałam się na kolację w pobliżu gospody. To taki wysoki chłopak. Ma bardzo lśniące ciemne włosy i pełne blasku chabrowe oczy. Nigdy przedtem takich nie widziałam.

- Torkyn Gynt - rzekła ponuro Alyssa, patrząc na Sorrel nieprzytomnym wzrokiem.

- Nie wiem, moja droga. Czekał no... Nazwisko Gynt coś mi mówi. Jego ojciec jest miejscowym skrybą?

Alyssa żałośnie skinęła głową.

- No, w każdym razie wszyscy kupują mu piwo i gratulują. Uroczystości przeniosły się poza gospodę i stąd się dowiedziałam. Oberzysta wspomniał, że chłopak ma zostać uczniem słynnego medyka Merkhuda. - Kobieta zakaszłała i uderzyła się w pierś. - Ktokolwiek to jest.

Alyssa była blada jak ściana.

- Znam Gynta, ale nie miałam pojęcia, że zamierza się przenieść do Tal. Czy ktoś wspominał, kiedy wyjeżdża?

Sorrel wzruszyła ramionami, udając obojętność.

- Zdaje się, że planował to zrobić dziś rano. Cała wieś miała go żegnać.

Alyssa wstała nagle i zaczęła sprzątać ze stołu, kryjąc pod maską opanowania złamane serce.

- Ach tak? Szkoda, że ominęły mnie te uroczystości.

Ogromnym wysiłkiem woli zmusiła się do zachowania spokoju, podczas gdy w jej duszy wściekłość walczyła o prymat z przerażeniem i żalem. Sorrel nie powiedziała nic więcej o Torze. „Cóż - myślała Alyssa - to nie jej wina. Skąd mogła wiedzieć, że jesteśmy parą i mieliśmy się pobrać?”.

Mimo rozpaczliwej chęci poznania szczegółów dziewczyna zmieniła temat i rzeczowym tonem zaczęła opowiadać o własnym życiu.

- Nie wiem, czy ojciec w jakimś stopniu wini mnie za śmierć matki - zakończyła ze smutkiem.

Sorrel wstała i wyprostowała się.

- A jesteś do niej podobna?

- Tak. Ci nieliczni, którzy ją pamiętają, mówią, że wyglądam całkiem jak ona.

Wzruszyła ramionami, z pewnym zawstydzeniem przypominając sobie, że wcześniej wspomniała Sorrel o niezwyklej urodzie matki.

- W takim razie przypuszczam, że kochał ją tak mocno, iż rani go każde spojrzenie na ciebie. Prawdopodobnie nie radzi sobie z życiem, bo wciąż żyje przeszłością.

- Tak pani sądzi? - Alyssa miała wrażenie, że otwierają się przed nią jakieś drzwi.

- Być może powinnaś przestać tak nad nim skakać. Może już czas, żebyś poszła własną drogą - powiedziała starsza pani, strząsając z ubrania okruszki.

- Ale co będzie jadł? Kto mu pomoże wytrzeźwieć? Kto się nim zajmie?

- On sam! - prychnęła Sorrel.

Alyssa była wstrząśnięta, ale i podekscytowana.

- Niby dokąd miałabym pójść? Mam piętnaście lat i żadnych pieniędzy ani perspektyw, a pani mi mówi, że mam odejść z wioski.

Sorrel uśmiechnęła się i zaczęła poprawiać sobie szal. Alyssę począł dławić strach.

- Już pani idzie?

- Tak, moja droga. Pora się zbierać. Mam przed sobą długą podróż, a ten głupi osioł, który tam stoi, ryczy do mnie, że słońce jest już wysoko. Od Twyfford Cross dzieli nas osiem mil, a musimy tam dotrzeć przed zmrokiem.

I znów podniosła tobolek.

- Może odprowadzisz mnie kawałek, Alyssandro? - zaproponowała, idąc szybko ku drzwiom i otwierając je. Było już popołudnie. Przestało mżyć, wciąż jednak w powietrzu unosiła się wilgoć, a niebo spowijał posępny całun chmur.

Wtedy Alyssa zrobiła coś, co wprawiło ją w najwyższe zdumienie. Pognała za Sorrel, płosząc osła.

- Sorrel! Zabierz mnie z sobą!

Starsza pani przystanąła i odwróciła się. Była poważna, lecz nie zdumiona.

- Nawet nie wiesz, dokąd pójdę z Twyfford Cross.

- Wszystko jedno. Po prostu mnie zabierz. Nie będę ciężarem. Umiem gotować i zadbać o siebie. Mogę wykonywać drobne prace. Potrafię siodłać konia. Potrafię pisać. Mogę zarabiać dla nas pieniądze. Znam się na ziołach...

Zamilkła, spoglądając na Sorrel z niepokojem.

Starsza pani przez chwilę wpatrywała się w niebo, a potem powróciła wzrokiem do Alyssy.

- Wiem, że masz dość tego smutnego życia - rzekła z rezygnacją - ale przed czym jeszcze uciekasz, mała? Mój wielki nos mówi mi, że chodzi o coś więcej.

Nos Sorrel istotnie był duży, zwłaszcza gdy nim poruszała. Alyssa zaśmiała się smutno i ścisnęła dłoń starszej pani.

- Masz rację, ale na razie nie chcę o tym mówić. Powiedzmy, że wyjeżdżam ze względu na ojca. Kiedy przestanę mu się kręcić przed oczami, być może zdoła zapomnieć o matce, pozbierać się i zacząć nowe życie.

Sorrel otoczyła ją ramionami.

- Jak mu to wytłumaczysz?

- Zostawię mu wiadomość... Chcesz powiedzieć, że mogę z tobą jechać? - Alyssa wstrzymała oddech.

- Cóż, wygląda na to, że nie zdołam się ciebie pozbyć.

Dziękczynny okrzyk dziewczyny znów przestraszył osiołka Kythaya, który stanął dęba, z całej siły ciągnąc za lejce i kalecząc się. Teraz z kolei Alyssa się wystraszyła. Podeszła do wielkookiego zwierzęcia, mruczając pod nosem jakieś bezsensowne dźwięki. Wyciągnęła rękę, by łagodnie pogłaskać osła po czole i przesunęła nią aż po aksamitny nos. Uspokojony, przestał się miotać i nie patrzył już tak dziko. Nawet nie zdążyła podnieść jabłka, a Kythay już skubał trawę, jakby nic się nie stało.

Sorrel uniosła brwi.

- Jestem pod wrażeniem. Widzę, że świetnie sobie radzisz z prostymi stworzeniami.

- Zawsze tak było... Dlatego tak dobrze mi szło z Torem - mruknęła pod nosem, obracając się na pięcie.

- Że co? - Sorrel mimo podeszłego wieku miała świetny słuch.

- Och, nic. Poczekasz, aż się spakuję? Niewiele mam do zabrania.

- Weź tylko tyle, ile będziesz mogła udźwignąć - zawołała za nią starsza pani.

Przez chwilę spoglądała w drzwi, w których znikła dziewczyna, po czym z rozmysłem odwróciła się plecami do domu, skupiając się na wysłaniu prostej informacji.

Dziewczyna jest moja.

Usłyszała westchnienie ulgi, po którym nadeszła lakoniczna odpowiedź.

Mamy dziś szczęście - mówił Merkhud.

UWOLNIENIE CLOOTA

Po godzinach jazdy Tor w końcu zwlókł się z grzbietu konia, masując obolałe pośladki i wydłubując spomiędzy zębów ziarenka piasku. Dał za tę kobyłkę sporo pieniędzy - w zostawionej mu przez Merkhuda sakiewce była pokaźna sumka, a rodzice wybrali właśnie Bess - ale nie zmieniało to faktu, że niemal kulał, gdy wreszcie stanął przy bogato zdobionych kolumnach strzegących wjazdu do Hatten. Wypływając resztki piasku, Tor poprowadził klacz zatłoczonymi ulicami miasteczka. Najważniejsze było teraz znalezienie gospody.

Merkhud nalegał, by chłopak nocował w porządnym lokalach, a rodzice sporządzili nawet dla niego listę odpowiednich miejsc. Zamierzał dotrzymać obietnicy, ale gdy przybył do oberży Pod Prosiakiem i Gwizdkiem, okazało się, że zniszczył ją niedawny pożar, wskutek czego w drugim i trzecim lokalu z jego listy panował tłok.

Mimo zmęczenia Tor był świadom, że musi się troszczyć przede wszystkim o konia. Po tak długiej podróży zwierzę potrzebowało świeżego siana, wody pitnej i uczciwie zarobionego worka owsa. Gdy przechodzili obok przyjemnie wyglądającej stajenki, chłopak był niemal pewien, że Bess spogląda na niego z wyrzutem.

- Masz ochotę wstąpić do najlepszego salonu piękności dla koni w Hatten? - zapytał kobyłkę, która przyjęła to z wyraźnym zadowoleniem.

Pogłaskał ją po bujnej białej grzywie i podprowadził do stajni. Zapłacił stajennemu z nawiązką, rozkoszując się myślą o kąpieli, solidnym obiedzie i jednym lub dwóch piwach, które pomogą mu przepędzić z myśli śliczną twarz Alyssy.

- Masz jeszcze pół regala - powiedział. - Dopilnuj, żeby miała tu wygodę.

Chłopak, który przedstawił się jako Bart, zapewnił Tora, że jego koń trafił w najwłaściwsze ręce.

Oddalając się, Tor usłyszał za sobą podniesione głosy. Odwrócił się i zobaczył krzepkiego, nieogolonego mężczyznę, trzymającego za ramię młodą, szczupłą kobietę, która wrywała się i przeklinała go. Przechodnie śmiali się na ich widok. Po chwili mężczyzna i jego ofiara znaleźli się obok Tora.

- Dość tego! - Tor ze zdumieniem usłyszał własny głos.

- Pilnuj własnego nosa, dumy szczeniaku! To moja baba!

Już sam oddech mężczyzny wystarczył, by chłopak odskoczył w tył, unikając przy okazji dobrze wymierzonego ciosu.

- Twoja! Goron, ty zbirze, nie zostałabym twoją nawet za całe złoto Largoth. Puść mnie wreszcie, ty diabelski pomociu!

Dla podkreślenia swoich słów kobieta kopnęła nieszczęśnika w krocze, wywołując wśród zgromadzonej gawiedzi kolejną salwę śmiechu. Goron osunął się na kolana i jęczał z bólu.

Nawet Tor nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Zdaje się, że ta młoda dama wołałaby sobie pójść - szepnął do Gorona, posyłając mu prosto w brzuch mentalną kulę sprężonego powietrza na wypadek, gdyby słowa nie były dość przekonujące.

Widzowie zobaczyli jedynie, jak Goron się krzywi i ponownie zgina w pół, puszcżając ramię chudej dziewczyny, która błyskawicznie uciekła, tylko raz odwracając się, by pożegnać Tora szerokim uśmiechem.

Ludzie rozproszyli się równie szybko, jak się zebrali. Przyjaciele pomogli Goranowi pozbierać się i poprowadzili go do piwiarni, by mógł uleczyć nie tylko bolące krocze, ale - jak mniemał Tor - także zranioną dumę.

Torkyn podniósł swoją sakwę i ruszył z powrotem w stronę rynku. Kierując się niezawodnym węchem, szybko znalazł stoisko z szaszłykami i ustawił się w kolejce.

Na głównym placu musiało się odbywać jakieś przedstawienie, dobiegały stamtąd bowiem okrzyki i salwy śmiechu. Gdy Tor w końcu znalazł się przy ladzie, sprzedawczyni spojrzała na niego z kwaśną miną.

- Ile?

- Dwa, proszę.

Nie chcąc się afiszować z pełną monet sakiewką, by nie napytać sobie biedy, pogrzebał w kieszeni i znalazł dwa royale. Kobieta umoczyła skwierczące szaszłyki w ciemnym, gęstym sosie, po czym wzięła monety i podała Torkynowi dwa szpikulce ze smakowitym mięsem. Odwróciwszy się, ściągnął zębami pierwszy kawałek i ruszył w kierunku rynku, zbyt pochłonięty jedzeniem, by się zastanawiać, co jest przyczyną hałasu. Niby zwyczajne szaszłyki, a jednak tak go ucieszyły, że uśmiechał się do siebie, ocierając sos z brody.

Był to pierwszy szczery uśmiech na twarzy Torkyna od ładnych paru dni. Odkąd zastał dom Qynów pusty, a ojca Alyssy znalazł na wioskowym placu, pijanego,

wykrzykującego świństwa i potrząsającego pięścią trzymającą wymięty list, czuł się zdezorientowany. Alyssa znikła. Odeszła z nieznaną zielarką, nie wiadomo dokąd ani dlaczego... Zostawiła ojcu krótką wiadomość z serdecznym pożegnaniem, o Torze jednak nie wspomniała ani słowem. Czyżby wciąż się gniewała? Obiecał jej przecież, że się odezwie. Zahaczył w drodze o jej wieś, by zadać pytania, których nie zdążył zadać w Minstead. Miał nadzieję, że zdoła ją nakłonić, by z nim pojechała. Był pewien, że się zgodzi. Tymczasem ona ni z tego, ni z owego opuściła dom i udała się w nieznaną.

Kolejny raz potrząsnął głową, by przestać myśleć o Alyssie, ale wciąż nie mógł się pozbyć bólu.

Dotarł do placu i natknął się na tłum, uświadamiając sobie, że krzyki, które słyszał, są w rzeczywistości drwinami. W niektórych miejscach stało ponad dwadzieścia rzędów ludzi. Tor usiłował się precyzować, by coś zobaczyć, ale okazało się to niełatwe, więc wycofał się i ruszył w kierunku jednego ze sklepów, zapominając na moment o drugim szaszłyku. Usłyszał męski głos, obwieszczający coś, ale ludzie zaczęli się wzajemnie uciszać i całkiem go zagłuszyli. Tor wszedł na niewysoki gzyms i wyteżył wzrok. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim.

Pośrodku placu klęczał oszołomiony mężczyzna, sprawiający wrażenie, jakby mamrotał coś do siebie. Miał mocno zdeformowaną twarz, na widok której dzieci prawdopodobnie uciekały, kulturalni ludzie odwracali wzrok, a niekulturalni go wlepiali. Prawdopodobnie był też kaleki, bo jedną z nóg miał nienaturalnie skrzyżowaną. Na domiar złego oprawcy przybili go do słupa za prawe ucho i mocno związali ręce i nogi. Tor zauważył, że czerwone pręgi na nadgarstkach mężczyzny miejscami krwawią.

Szydzący tłum z lubością obrzucał go zgniłymi owocami, a pewien pomysłowy handlarz zaczął nawet sprzedawać rybnie łby po draku od sztuki. Jacyś ludzie - prawdopodobnie ci, którzy pojмали więźnia - kopali go, a on, choć nie mógł się bronić, znosił to w całkowitym milczeniu. Nie wiadomo, czy robił to z rozmysłem, oprawcy byli jednak wściekli, że psuje widowisko.

Tor zastanawiał się, jaką zbrodnię mógł popełnić ten człowiek. W końcu zdobył się na odwagę, by zapytać sprzedawcę.

- Podglądał kobiety w łaźni - odparł tamten.

- Tylko tyle?! - wykrzyknął Tor tak głośno, że kupiec aż się cofnął.

- Tacy jak on nie są tu mile widziani. Straszą dzieciaki i porządne kobiety.

Wystarczyło, że facet pojawił się wczoraj na rynku, a już sprzedaż spadła. Ludzie się burzą na sam jego widok. Powinno się takich zabijać zaraz po urodzeniu.

Tor prychnął z oburzeniem. Pyszałkowaty sprzedawca w mgnieniu oka zepsuł mu humor. Smak mięsa, który chłopak wciąż czuł w ustach, wydał mu się nagle kwaśny. Drugi, nienapoczęty szaszłyk wystrzelił w powietrze i wylądował przed sklepem, gdzie rzuciły się na niego głodne psy.

Tor poczuł się nagle przytłoczony wrzaskami tłumu, smrodem ciał i wspomnieniem upokarzanego kaleki. Był zmęczony. Potrzebował kąpieli, piwa i miejsca, w którym mógłby odpocząć i zapomnieć o tym, co zobaczył. Szybkim krokiem zaczął się oddalać, przepychając się wśród widzów, którzy wciąż napływali na plac, chcąc popatrzeć na więźnia. Odepchnąwszy łokciem roślą kobietę, której ciało aż drżało z podniecenia wywołanego potwornym widowiskiem, usłyszał nagle w głowie cichy głos.

Pomóż mi... Proszę...

Obejrzał się gwałtownie.

- Kto to powiedział?

Kilka osób spojrzało na niego, jakby słyszał głosy, co na swój ponury sposób było nawet zabawne.

Głos przemówił znowu, głęboki, lecz łagodny.

Torkynie Gynt, proszę, pomóż mi. Jestem niewinny.

Tor pobiegł z powrotem ku witrynie sklepowej i ponownie stanął na gzymsie, ignorując protesty sklepikarza. Znow miał przed oczami ponizający spektakl. Chciał, aby więzień na niego spojrzał. Potrzebował dowodu, że to naprawdę on przemawia, a nie wyobraźnia.

Kto do mnie mówi? - zapytał, uruchamiając łącze.

Cloot. Więzień. Zostałem niesłusznie oskarżony i potrzebuję twojej pomocy, Torkynie Gy... - Głos mężczyzny załamał się, gdy jeden ze strażników potężnym ciosem rozkwaślił mu nos.

Twarz więźnia zalała się krwią. Tora ogarnęła wściekłość. Nie wątpił, że całe to przedstawienie zostało zorganizowane raczej dla rozrywki niż w celu zadośćuczynienia sprawiedliwości.

Cloot... łącze jest otwarte. Spróbuj zaczerpnąć mojej siły.

Zaczął się energicznie przepychać przez tłum, nie mając pojęcia, dlaczego zaproponował więźniowi, by go wykorzystał jako podporę. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie próbował i nie wiedział, czy w ogóle jest to wykonalne. Po prostu nic innego nie przychodziło mu do głowy. Dlaczego właściwie tam szedł? Po co robił biedakowi nadzieję? „To śmieszne” - pomyślał.

Nadal jednak parł naprzód, rozpychając rozwrzeszczanych gapiów. W końcu dotarł tak blisko Cloota, że cały czas miał go przed oczami. Ze zdumieniem powitał nowe doznanie: kaleki mężczyzna przeobraził łącze w fizyczną więź, pochłaniając zasoby energii Tora, by zachować przytomność.

Wysunął się przed tłum, słysząc za plecami utyskiwania, jaka to ta dzisiejsza młodzież niewychowana. Zauważył, że ten sam brutalny strażnik, który przedtem uderzył Cloota, przymierza się do kolejnego ciosu. Musiał go powstrzymać. Nie mając czasu na kombinowanie, użył prostej sztuczki, wymyślonej kiedyś przez Alysę: posłał oprawcy w oczy krótki, lecz osłepiający impuls bólu. Strażnik zamarł zdumiony, po czym wrzasnął i padł na ziemię.

Tor przykląkł obok więźnia.

Dziękuję, że zostałeś, Torkynie.

Głos był nabrzmiął bólem. Tor wiedział, że musi działać zdecydowanie. Zdezorientowany strażnik gramolił się już na nogi. Kolejny magiczny atak nie wchodził w grę. W tłumie na pewno kręcili się inkwizytorzy, którzy mogliby nabrać podejrzeń mimo niewykrywalności mocy Tora.

Potem odezwał się inny głos:

- Dobrzy ludzie, proszę, uciszcie się. Corlin, bądź uprzejmy poprosić swoich dzielnych strażników, by się powstrzymali od dalszego kaleczenia więźnia. Z pewnością na razie nam nie uciekną.

Ostatni komentarz wywołał chichoty wśród stojących najbliżej gapiów. Tor przyglądał się człowiekowi dyskutującemu z szefem straży. Mężczyzna zachowywał się bardzo swobodnie i zdawał się wręcz rozbawiony własnym udziałem w spektaklu.

Corlin nie podzielał jego wesołości.

- Ta sprawa nie leży w twojej gestii, Cyrusie. I w ogóle nic ci do niej. Występuję w imieniu porządných obywateli Hatten.

- Dla ciebie i twoich nieustraszonych wojaków jestem marszałkiem Cyrusem. A sądząc po wyglądzie więźnia, wymierzono mu już dostateczną karę. Czy mógłbyś powtórzyć, o co go oskarżono? - zapytał ze złowróżbnym sarkazmem.

Corlin był wściekły, ale ten człowiek przewyższał go rangą. Dowódca straży wzięł głęboki wdech i zwrócił się do zgromadzonych, przybierając teatralną pozę w nadziei, że uda mu się wskrzesić ich entuzjazm.

- Jest oskarżony o podglądanie kobiet podczas porannej kąpieli w łaźni!

Zabrzmiało to jednak idiotycznie. Przystępstwo, które wydawało się haniebne kilka

godzin wcześniej, gdy żony kilku spośród najbogatszych i najbardziej szanowanych obywateli Hatten wniosły oskarżenie, teraz było zaledwie drobnym występkiem.

Marszałek okazał się wysokim, barczystym mężczyzną o gęstych ciemnych włosach i krótko przyciętej brodzie. Nie nosił służbowej odznaki, a ubrany był w proste ciemne bryczesy i białą koszulę. Miał wyraźny, głęboki głos, a w szarych oczach nieprzerwanie błyszczała iskierka rozbawienia, które teraz objawiło się w pełnej krasie w postaci serdecznego śmiechu. Cyrus wprost zanosił się rechotem, a spora część tłumu wkrótce mu zawtórowała. Nawet Tor wyszczerzył zęby, zadowolony, że nowe wydarzenia odwróciły uwagę od jego ataku na gwardzistę.

- Ha! Bogate, rozpieszczone damulki, które uczęszczają do łaźni, powinny się w duchu cieszyć, że ktokolwiek chce podglądać ich tłuste pośladki i opasłe uda.

W tym momencie już wszyscy z wyjątkiem Corlina i jego pomocników ryczeli ze śmiechu. Tor zauważył jednak, że iskra w oczach marszałka zgasła, gdy skierował wzrok z powrotem na oprawców. Jego głos był teraz zimny jak górski strumień.

- Wypuść tego biedaka, Corlin, i znajdź sobie i swoim małpom jakąś lepszą zabawę. Niezależnie od tego, czy ten człowiek jest winien, czy nie, został już dostatecznie ukarany.

- Kto tak mówi? - rzucił buńczucznie Corlin, który do tej pory uważał się za głównego aktora przedstawienia.

- Ja! - Oczy marszałka były teraz niebezpiecznie ciemne.

- Rozkazuję natychmiast go uwolnić. Odwołaj tych zbirów, którzy udają wojsko, i niech ci nawet nie przyjdzie do głowy sięgnąć po miecz, bo twoja głowa potoczy się do rynsztoka, nim zdążysz go dobyć.

- Doczekam chwili, w której tego pożałujesz, panie marszałku - syknął Corlin. - Kiedy się spotkamy innym razem, może to o twoją głowę psy stoczą walkę.

Odwrócił się zwinnie, wyjął nóż i przeciął więzy na rękach i nogach Cloota. Potem skrzywił się znacząco pod adresem tłumu i odszedł, zabierając swoich ludzi.

Widzowie, którzy kilka minut wcześniej domagali się krwi, teraz dostrzegli w więźniu z maltretowanego kalekę i zawstydzeni poczęli się oddalać.

- Będę wdzięczny, jeśli mi zdradzisz, kim jesteś i co zamierzałeś przed chwilą zrobić - zwrócił się Cyrus do Torkyna, który nadal klęczał obok Cloota.

Tor i jego kaleki przyjaciel porozumieli się bezgłośnie. Potem Tor wstał i stanął oko w oko z marszałkiem. Było to nowe doświadczenie dla obu, każdy z nich przywykł bowiem do faktu, iż góruje nad otoczeniem. Tor z ulgą spostrzegł, że wzrok Cyrusa złagodniał. Jak zwykle, gdy nie wiedział, co powiedzieć, Torkyn skwitował pytanie charakterystycznym

wzruszeniem ramion.

- Pytałem, jak się nazywasz, chłopcze - przypomniał mu cicho Cyrus.

- Tor, proszę pana. Torkyn Gynt.

- I pochodzisz z...?

- Z Flat Meadows, panie marszałku. Dopiero co przyjechałem... Zostawiłem konia w stajni i poszedłem szukać pokoju na noc, no i... natknąłem się na tego... hm, na niego. - Tor ruchem głowy wskazał milczącego więźnia.

- Znasz go?

- Nie, panie marszałku. To znaczy, mówił... Nie, proszę pana. Nie znam go. W każdym razie nie za bardzo.

Cyrus znów spojrzał na niego dziwnie. Starannie wymawiając słowa, na wypadek, gdyby Tor nie zrozumiał poprzedniego pytania, zapytał ponownie:

- Czy kiedykolwiek przedtem spotkałeś tego człowieka? Nie próbuj kręcić, chłopcze.

- Nie - odparł Tor z ulgą, że może udzielić uczciwej odpowiedzi.

Marszałek zmrużył oczy, próbując wy badać Tora. Jego oficerowie świetnie znali to spojrzenie: Cyrus dysponował niewiarygodną zdolnością oceny ludzkiej uczciwości. Wszyscy w korpusie królewskim wiedzieli, że muszą uciekać przed tym spojrzeniem, jeśli mają coś do ukrycia. Tor czuł ogromną chęć spuszczenia wzroku i kopnięcia kamienia albo szurnięcia nogami ze wstydu, powstrzymał ją jednak i spokojnie wytrzymał wzrok Cyrusa.

Clout, wciąż przybity do pała tkwiącym w uchu gwoździem, jęknął z bólu. Cyrus rzucił spojrzenie na więźnia, a potem powrócił wzrokiem do Tora. W końcu wyciągnął w kierunku chłopaka dużą i zdumiewająco wypielęgowaną dłoń.

- No, Torkynie Gynt, jeśli naprawdę nie znasz tego człowieka, to jesteś głupcem. - Ku zdumieniu Tora uśmiechnął się szeroko. - Ale odważnym głupcem. Cieszę się, że ktoś ośmielił się stawić czoło tej sadystycznej świni... choć tylko bogowie wiedzą, co zamierzałeś.

Promieniejący niepohamowaną radością uśmiech zgasł w mgnieniu oka, gdy wzrok marszałka spoczął na zmaltretowanej ofierze.

- Pomóż mi, chłopcze. Uwolnijmy tego półgłówka.

- To nie półgłówek! Nazywa się Clout... panie marszałku.

Tor trochę zbyt żarliwie wystąpił w obronie więźnia. Cyrus zmierzył go ponurym, lecz zaskoczonym spojrzeniem, które zastępowało wszystkie słowa.

- To znaczy... - Tor zaczął się płatać. Wiedział, że popełnił błąd. - Z całym szacunkiem, panie marszałku, z tego, co widzę, może być niemową, ale niekoniecznie idiotą...

Tor uśmiechnął się szeroko, mając nadzieję, że to pomoże, i z ulgą patrzył, jak brew

marszałka unosi się w wyrazie rozbawienia.

- A zatem jesteś nie tylko wojownikiem, lecz także lekarzem? - mruknął Cyrus z łagodnym sarkazmem.

- Nie, proszę pana. Hm, właściwie tak. Uczę się na medyka. Po prostu pomyślałem, że gdyby umiał mówić, krzyczałby z bólu. Prawda?

Cyrus mamrotał coś cicho do siebie, podważając nożem niedbale wbity gwóźdź.

- Dość tych potworności - powiedział, uwalniając Cloota, który opadł bezwładnie w ramiona Tora. - Biedaku - rzekł, widząc, jak mocno pokiereszowany jest więzień. - Poczekaj tu, Gynt. Sprowadzę pomoc.

Po tych słowach oddalił się.

Cloot obrócił ku chłopcu swoją wielką głowę. Mimo wrodzonej deformacji rysów i ran zadanych przez oprawców zdołał przywołać na usta uśmiech.

Dziękuję - szepnął wprost do głowy Tora.

Ten był wzruszony godnością nieszczęśnika.

- Odpoczywaj, Cloot.

Wrócił Cyrus z dwójką swoich ludzi ciągnących wózek.

- Załadujcie go, Riss - rozkazał. - Tylko ostrożnie, facet jest ledwie żywy.

Tor wstał.

- Co z nim teraz będzie, proszę pana?

- Moi ludzie odstawią go do przytułku. Jeśli stary Jonas jest jeszcze trzeźwy, poskłada go do kupy najlepiej, jak potrafi, i może znajdzie mu pryczę na noc. Więcej nie możemy zrobić.

Riss z kompanem ułożyli Cloota na wózku i zaczęli się oddalać. Tor wiedział, że to nastąpi: głos Cloota powrócił, nagłący, pełen bólu i niepokoju.

Tor! Nie możemy dać się rozdzielić.

Cloot nadal czerpał z ciała Tora energię, dzięki której zachowywał przytomność.

Chłopak postanowił zaryzykować.

- Panie marszałku!

Cyrus siedział już w siodle.

- Powodzenia, Gynt! - zawołał, zawracając konia.

Tor pognał za nim, krzycząc jednocześnie do mężczyzn, którzy pieczołowicie ciągnęli wózek z Clootem.

- Hej, stójcie!

- Co jest, chłopcze? - zniecierpliwził się Cyrus. - Straciłem już dość czasu na tę sprawę.

Gadaj!

- Ja się nim zajmę - wykrztusił Tor.

- Co takiego? O czym ty, u diabła, gadasz, Gynt? - Cyrus znów zawrócił konia.

Tor sam nie miał pojęcia, o co mu chodzi. Co Clout miał na myśli, mówiąc, że powinni się trzymać razem, i skąd w ogóle znał jego nazwisko? To wszystko było strasznie dziwne, ale w ostatnich dniach wydarzyło się tyle niezwykłych rzeczy, że powoli przestawało to robić na Torze wrażenie.

Zdał się na intuicję.

- Panie marszałku, proszę mi pozwolić się nim zaopiekować. Nie wyobrażam sobie, jaką pomoc miałyby otrzymać w tym przytułku kaleka i to w dodatku niemal zlinchowany przez mieszkańców tego miasta... Kto chciałby się nim zająć? Umrze tam. Obaj o tym wiemy, więc moja pomoc chyba mu nie zaszkodzi... - Tor zamilkł, nie znajdując dalszych słów.

Marszałek znów przyjrzał mu się badawczo.

- Mam dziwne wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego, chłopcze. Co ty możesz dla niego zrobić? Przyznaję, że stary Jonas ma w sobie coś z rzeźnika, ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. - Jego spojrzenie było teraz niemal życzliwe. - Nic tu nie wskórasz, Gynt. Odejdź stąd. Wracaj do swojej wioski i zapomnij o tym przykrym incydencie.

Tor podszedł w stronę wózka.

- To dla mnie ważne. Ten człowiek umrze, jeśli mu nie pomogę. Mam trochę pieniędzy. Może zdołam mu załatwić lepszego lekarza.

Tor wiedział, że błądzi po omacku. Musiał wymyślić co mądrzejszego.

- Pieniądze? I chcesz je zmarnować na udzielanie pomocy jakiemuś ledwie żywemu, upośledzonemu kalece, którego podobno nie znasz? - W głosie marszałka brzmiało zrozumiałe zdumienie.

Myśl, Tor, myśl!

- Uczciwie je zarobiłem, proszę pana, i pomyślałem, że lepiej je wydać na coś, co zapewni mi miejsce w niebiosach, niż wysikać do rynsztoka dzisiejszego wieczoru... - Tor nonszalancko machnął ręką w nadziei, że jego brawura złamie upór marszałka.

I tak się stało.

- Weź go sobie, Torkynie Gynt. Dość się już nacierpiał. Jest wolny. Życzę wam obu powodzenia.

Po tych słowach marszałek odwrócił się do swoich ludzi, ostrym głosem rzucił jakąś komendę i odjechał, nie oglądając się za siebie.

Riss odchrząknął przesadnie głośno.

- Dokąd mamy go zanieść, chłopcze?

- Yyy... co? - Torkyn przeczesał palcami włosy.

- Rozkaz marszałka. Mamy go zanieść do miejsca, w którym się zatrzymałeś.

Z ilości pyłu na ubraniu mężczyzny Tor wnosił, że żołnierz ma za sobą wiele godzin marszu i z pewnością wolałby siedzieć teraz przy piwie, niż wozić wte i wewte wózek z kaleką.

- Nie mam jeszcze lokum - rzekł Tor.

Riss wyglądał, jakby zaraz miał go zdzielić pałą w łeb.

- Półgłówki zwykle trzymają się razem - burknął jednak tylko.

- Słuchajcie, próbowałem coś znaleźć, ale we wszystkich gospodach jest tłok. Może byście mi pomogli? Zapłacę! - wykrztusił z rozpaczą Tor wśród przekleństw żołnierzy.

- Bardzo jesteś dziś hojny, mały - zauważył Riss tonem sugerującym, że nie wierzy, by Tor miał jakiegokolwiek pieniądze.

- Ile? - Głos milczącego dotąd Golaga zaskrzypiał, jakby był zbyt rzadko używany.

- Załatwcie mi pokój, lekarza i gorący gulasz, a dostaniecie po duku na głowę.

Tor zdążył się już domyślić, że żołnierzom piechoty płacono mniej niż duka na tydzień. Była to olbrzymia suma, ale gdyby istotnie pomogli, warto było ją poświęcić. Nie mógł narzekać na ilość gotówki, którą obdarzył go Merkhud, taki wydatek oznaczał jednak, że od tej pory chłopak będzie musiał zacisnąć pasa.

Obaj żołnierze gwizdnęli cicho. Tor miał nadzieję, że nie zdołają się oprzeć pokusie, i ku jego uldze Riss skinął głową.

Chwycili za rączki wózka i zaczęli ciągnąć, a Tor stanął z tyłu, popychając. Koła zaskrzypiały i wózek ruszył z miejsca. Torkyn nie miał pojęcia, dokąd zmierzają, ale był wdzięczny żołnierzom, którzy wyprowadzili ich na główną ulicę i przepychali się przez tłum, mamrocząc pod nosem.

Tor ścisnął Cloota za ramię.

Już niedługo - szepnął łagodnie w udręczony umysł przyjaciela.

Nie było odpowiedzi i część jego sił znów powędrowała do rannego.

*

Sceneria zaczęła się zmieniać: byli teraz na obrzeżach miasta, w bardziej zaniedbanej dzielnicy. Skręcili w brukowaną alejkę i z klekotem posuwali się wąską, otoczoną gęstą zabudową drogą. Na jej końcu znajdował się mały placyk, kipiący jaskrawymi kolorami i wrzawą. Rozwieszano barwne chorągiewki i ustawiano stragany. Zapach smażonej cebulki i wszelakich mięs sprawił, że aż ścisnęło Torkyna w żołądku. Zjadłby konia z kopytami.

- Co tu się dzieje? - zapytał Rissa.

- Będą koronować króla morza.

- Króla morza? - Tor zrobił głupią minę.

- Myślałem, że pochodzisz z tych okolic, Gynt. Jak to możliwe, żebyś nie słyszał o Festiwalu Zbiorów? - To rzekłszy, Riss splunął fachowo.

- Wiodłem spokojne życie, Riss. Pamiętam, że moi rodzice wspominali o czymś takim, ale osobiście nigdy jeszcze nie byłem w Hatten. Na czym polega ten festiwal?

Wózek powoli przetaczał się przez główny plac, a Riss opowiadał Torowi historię święta. Obecnie Hatten było dobrze prosperującym miastem, jego mieszkańcy nie zapomnieli jednak o trudnych początkach, gdy rybołówstwo i produkcja win - dwie gałęzie mające dziś kluczowe znaczenie dla całego regionu - dopiero zaczynały się rozwijać. Miejscowe winogrona nie były tak dobre jak te z mniejszych winnic, położonych w nasłonecznionych dolinach na południe od stolicy, a jednak to właśnie z tej okolicy pochodziły najpopularniejsze wina w królestwie. Co roku pod koniec lata, gdy wielkie ławice wybornych ryb lokki wypełniały sieci trawlerów, a gałęzie winorośli uginały się pod ciężarem soczystych owoców, farmerzy i rybacy składali dziękczynienie.

Festiwal rozwinął się z dorocznego święta zbiorów, podczas którego wybierano króla morza i królową winobrania. Wierzono, że skonsumowanie związku przez królewską parę zapewni pomyślne zbiory w przyszłym roku. Przestrzegany od niemal dwustu lat rytuał urósł w Hatten do rangi wielkiego święta.

Tego wieczoru wszystkie kutry zawijały do portu, a gospody pękały w szwach, oblegane przez właścicieli ziemskich, kapitanów, marynarzy i robotników z winnic oraz przejezdnych kupców i zwykłych ludzi, pragnących wziąć udział w uroczystościach.

„Nic dziwnego, że nie mogłem znaleźć noclegu” - pomyślał Tor.

- Wczoraj wieczorem koronowano tegoroczną królową - kontynuował Riss. - Dziś kolej na króla, a potem wszyscy zaczną świętować.

Ponury Golag wyszczerzył w uśmiechu żółte zęby.

- Może mnie wybiorą? Chętnie bym się zabawił z tą Erynią - zgrzytnął głosem brzęącym jak dwa ścierające się głązy, łapiąc się za krocze dla uściślenia, jaką zabawę ma na myśli.

Żołnierze zatrzymali wózek.

- Co to za Erynia? - zapytał Tor.

- Dziwka, którą mieszkańcy wybrali na królową. Ale Golag chyba nie ma większych szans - rzekł ze śmiechem Riss, dając koledze kuksańca pod żebro.

Tor zmarszczył brwi.

- A więc dzisiaj kobiety wybierają króla?

- Nie, chłopcze. Królowa go sama wyznacza. Na Światłość! Ta Erynia z pewnością nie rozłoży dziś nóg dla żadnego brzydala. Tacy jak my muszą płacić za każde spotkanie.

- Raczej za każde bzykanie - poprawił Golag, zadowolony ze swego dowcipu.

Obaj żołnierze parsknęli śmiechem, który zmienił się w rechot na widok rumieńca na twarzy Tora.

- A... aha. Chyba już rozumiem. Dzięki, Riss.

Próba uprzejmego zakończenia rozmowy wywołała kolejną salwę śmiechu. Tor postanowił szybko zmienić temat. Rozejrzał się wokoło. Stali przed gospodą o nazwie Pod Pustym Kielichem, z wnętrza której dobiegał głośny śpiew i męskie głosy.

- To tu?

Riss już się opanował, ale Golag wciąż jeszcze walił się w pierś, by powstrzymać chrapliwy kaszel, który go ogarnął od śmiechu.

- Tak, chłopcze. Myślę, że przy odrobinie szczęścia i paru monetach, które sypniemy w łapę starego chytrusa Doddy'ego, zdołamy ci załatwić jakiś mały pokoik.

- Ile? - Tor nie chciał pokazywać sakiewki, więc pogrzebał w kieszeniach i wydobył stamtąd kilka baronów oraz garstkę drobnych miedziaków. Golag zgarnął wszystko.

- Hej! - zawołał Tor, ciągnąc żołnierza za brudny rękaw.

- I nie zapomnij o moim duku! - wycodził mu w twarz Golag.

Tor po drodze przełożył dwa duki do kieszeni koszuli i był teraz bardzo zadowolony, że tak się zabezpieczył. Wręczył obie monety Rissowi.

- Co teraz robimy?

Riss odchrząknął i splunął na piasek obok butów Tora.

- Bierz półgłówka na plecy, mały, i chodź za mną.

Nie miało sensu przemawiać teraz do Cloota. Tor zauważył, że przyzwyczajają się do uczucia wywoływanego czerpaniem przez rannego jego energii. Posłał mu kolejny pakiet, mocno odczuwając stratę, i niezgrabnie przerzucił sobie Cloota przez prawe ramię. Zgarbiony, podążył chwiejnie za Rissesem do wnętrza oberży. Od hałasu omal nie pękły mu bębenki. Był to bez wątpienia żołnierski lokal, a wszyscy zebrani wyglądali i śmierdziali tak samo jak Riss i Golag. Uginając się pod ciężarem Cloota, Tor niecierpliwie czekał, aż Riss rozmówi się z grubasem stojącym przy szynkwasiu. Oberżysta pulchnym paluchem wskazał piętro.

- Idź na górę - rzekł Riss do Tora. - A ja znajdę lekarza i na tym moja rola się kończy.

Po tych słowach uśmiechnął się i podał Torowi rękę, co natchnęło młodzieńca optymizmem.

Skinąwszy głową Rissowi, Tor rozpoczął mozolną wspinaczkę po schodach. Zatrzymywał się kilka razy, w tym dwa po to, by przepuścić chichoczące dziewczęta i żołnierzy, zanim w końcu dotarł na piętro. Znajdowały się tam tylko trzy pokoje. Tor otworzył pierwsze drzwi, po czym zatrasnął je szybko na widok starannie wykonującej swoją pracę młodej prostytutki.

- Cholera! - mruknął, czując, jak się czerwieni.

Zostały jeszcze dwie pary drzwi. Tor powłókł się w kierunku tych znajdujących się na końcu dusznego korytarza. Pokój okazał się małą klitką, ale przynajmniej był pusty. Torkyn próbował łagodnie opuścić Cloota na materac, ale był tak zmęczony, że ranny wysliznął mu się z rąk i spadł z hukiem. Tor opadł na podłogę obok niego, wyczerpany i pełen niepokoju. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i stanęła w nich około dziesięcioletnia dziewczynka z dzbankiem wody i miską.

- Prowadzę medyka - zaszcebiotała.

- Ty jesteś Gynt? - odezwał się zza jej pleców męski głos.

- Ten z półgłówkiem?

Tor westchnął i wstał z wysiłkiem.

- Można tak rzec - powiedział, wskazując łóżko.

Lekarz, nazwiskiem Freyberg, oparł o pryczę swój kostur i natychmiast zaczął biadolić pod nosem. Z pomocą Tora zdjął z Cloota łańchmany i obaj wzdrygnęli się na widok palety barw na ciele rannego. Wściekle fioletowe sińce po pierwszych uderzeniach mieszały się z matoworóżowymi, które dopiero miały się objawić w pełnej krasie. Pomiędzy nimi widniały niepokojące czerwone plamy, wskazujące na podskórne krwawienie, najprawdopodobniej, zdaniem Freyberga, wywołane złamaniami kości.

Doktor zbadał pacjenta, nie przestając mamrotać do siebie cicho. W końcu podkasał rękawy i otworzył torbę, którą z sobą przyniósł. Odkorkował buteleczkę z ciemną, lepką, silnie pachnącą goździkami substancją i podał ją Torowi.

- Spróbuj go tym napoić. To pomoże uśmierzyć ból.

Tor wykonał polecenie, delikatnie unosząc Clootowi głowę i wlewając ciemny płyn w opuchnięte usta.

- A zęby, doktorze? To znaczy, czy nie ma obawy, że połknie wraz z tym płynem jakiś wybity ząb? - zapytał, oddając buteleczkę.

Doktor prychnął i przyjrzał się chłopakowi spod krzaczastych brwi, z których jedna

idealnie przytrzymała monokl.

- Hm, nie sądzę, aby połknięcie wybitego zęba było największym zagrożeniem dla tego człowieka, ale jeśli cię to uspokoi, chłopcze, obejrzałem już jego szczękę i wygląda na to, że jest względnie cała. W odróżnieniu od reszty. - Popatrzył na Cloota, a potem znów na Tora i dodał łagodnie: - Jestem jednak pod wrażeniem faktu, że przyszło ci to do głowy, Gynt.

Pochwała ucieszyła Tora. Myślał o tym, by zostać lekarzem, na długo zanim zainteresował się nim Merkhud.

- Jadę do Tal, doktorze - pochwalił się. - Będę się uczył u medyka Merkhuda.

Dumnie wypiął pierś, zadowolony, że wreszcie może o tym komuś powiedzieć. Lekarz uśmiechnął się.

- To wspaniale! Nie miałem okazji osobiście poznać pana Merkhuda, ale jego umiejętności słyną na cały Tallinor, a może i dalej. To najlepszy nauczyciel, jakiego mógłbyś sobie wymarzyć, no i do tego będziesz mieszkał w pałacu... - Freyberg wyduł policzki na znak podziwu. - Cóż za okazja dla takiego młodego człowieka! Ale czekaj, gdzieś słyszałem, że Merkhud nigdy nie brał uczniów...

- Zgadza się! - przerwał mu podekscytowany Tor. - Jestem pierwszy!

- A mnie przypadł w udziale zaszczyt udzielenia ci pierwszej lekcji, paniczu Gynt.

Doktor powrócił do badania pacjenta.

- Muszę ci jednak powiedzieć, że twój biedny przyjaciel jest w bardzo złym stanie po tym przeklętym pobiciu. Nie mam jeszcze pewności co do rozmiarów jego obrażeń, więc jeśli masz mi się do czegoś przydać, musisz obiecać, że będziesz dzielny. To bardzo ciężko ranny człowiek - dodał.

Tor z powagą pokiwał głową. Na placu rozpoczynał się już festyn i odgłosy świętowania przybierały na sile. Przez niewielki lufcik sączyło się do pokoju łagodne, ciepłe światło późnego popołudnia.

- On ma na imię Cloot, doktorze. Mnie może pan nazywać Torem.

Lekarz ledwo dostrzegalnie skinął głową, po czym kontynuował energicznie:

- Z tego, co widzę, Tor, pan Cloot ma złamanych kilka żeber i lewą rękę, bezwładne prawe ramię... prawy nadgarstek też złamany... Silny wstrząs mózgu, prawdopodobnie po szczególnie brutalnym uderzeniu w to miejsce - rzekł, wskazując skroń Cloota. - Szczeka wprawdzie uniknęła złamania, ale jest pęknięta.

Tor milczał.

- Nos bez wątpienia złamany, być może również kość policzkowa. Jeśli dożyje jutra, będzie miał pełno siniaków... Ucho ma strasznie zmasakrowane, przybili go do słupa czy co?

- Nie czekając na odpowiedź, Freyberg wyliczał dalej: - Krwawienie podskórne w kilku miejscach... Jeśli ma obrażenia wewnętrzne, niewiele zdołamy zrobić, ale łudzę się, że to tylko z powodu złamanych żeber. Zastanawiam się, jakim cudem ten facet jeszcze żyje... - Freyberg znów zaczął grzebać w swojej torbie.

Tor nie musiał się zastanawiać. Nasilający się ból głowy i osłabienie nie pozostawiały wątpliwości, skąd Clout czerpie siłę. Chłopak czuł się wypompowany. Musiał odpocząć. Lekarz gadał i gadał, ale Tor już go nie słyszał.

- Będę potrzebował twojej pomocy... Co z tobą, Tor? Jesteś biały jak mleko. To przez ten widok, co? Siadaj, siadaj.

Starszy pan nalegał, dopóki Tor nie usiadł na małym stołku przy oknie, wdychając powietrze w nadziei, że mdłości i osłabienie ustąpią. Wziął czarną fiolkę, którą podał mu lekarz, i skonsternowany podniósł głowę.

- Po prostu powąchaj. Powinno pomóc.

Tor zrobił wdech i w tej samej chwili pożałował tego, krztusząc się, a potem kaszląc i plując. Oczy nabiegły mu łzami i zaczęło lecieć z nosa. Chyba zdołał rzucić lekarzowi gniewne spojrzenie, bo ten parsknął śmiechem i podał mu kolejną, mniejszą ampułkę, uprzednio zdjawszy z niej plombę.

- Dziękuję, doktorze, ale chyba nie lubię pańskich ziół - wychrypiał.

- Zaufaj mi, Tor. Po tym naprawdę poczujesz się lepiej. W pierwszej fiołce były zwykłe, ale silne sole trzeźwiące. Przepraszam.

Tor nie zauważył, żeby doktor był szczególnie skruszony, ale wziął fiolkę i łyknął zawartość. Miała przyjemny smak. Ani słodki, ani gorzki, z łagodnym posmakiem czegoś dotąd Torowi nieznanego. Zasmakowało mu to i istotnie, niemal natychmiast poczuł się lepiej.

- Dobrze, co? Nazywają to arrakiem - rzekł Freyberg, patrząc na niego.

- Co to takiego? - zapytał Tor, oblizując wargi.

Freyberg tymczasem zaczął łagodnie obcierać Cloutowi twarz.

- Jagoda - powiedział. - O fioletowej skórce i jasnoczerwonym miąższu. Bardzo rzadka i niewielkich rozmiarów. Owocuje krótko, tylko podczas wiosennej odwilży. Ledwie śnieg i lód zaczynają topnieć, wychodzę polować na moje arraki. Ale strzeż się surowych jagód - są silnie trujące, paniczu Torze.

- Nigdy dotąd o nich nie słyszałem. - Tor powąchał pustą fiolkę i zapisał zapach w swojej wybornej pamięci. - Jak się je przyrządza?

- Może któregoś dnia ci pokażę. To brudna, ale dość łatwa robota. Po prostu gotuje się

je tak długo, aż zmienia się w syrop. Jeśli jednak chcesz kogoś otruć, wystarczy sok z kilku owoców. Dla sparaliżowania - kilka kropel. Niewiele osób o tym wie.

Doktor łagodnie obmywał Cloota gąbką, usuwając brud, który jeszcze pogarszał i bez tego fatalny obraz ciała. Freyberg zaczął coś nucić, podczas gdy Tor stał w milczeniu, zdumiony nagłym przyływem sił. Zaryzykował nawet posłanie w kierunku Cloota ukradkowego impulsu energii.

- Musisz mi pomóc przy nastawianiu kości, Tor. Czujesz się na siłach?

- Tak. Pomogę panu.

Pracowali przez kolejną godzinę, łagodnie nastawiając złamane kości i zwichnięte stawy, spoceni mimo umiarkowanego wieczornego chłodu. Potem lekarz pokazał Torowi, gdzie nałożyć odpowiednie maści, które wydobył z tajemniczych skrytek w swojej torbie, i nauczył unieruchamiać złamane kończyny. W końcu, gdy zapadł zmierzch i hałasy dobiegające z dworu i z parteru zaczęły zagłuszać ich głosy, doktor wyprostował się z westchnieniem.

- To wszystko, Gynt. Zrobiłem, co mogłem, reszta jest w rękach bogów. - Popatrzył na Tora badawczo. - Nie. Kłamię. Mogę zrobić jeszcze jedno.

Wyjął z torby małą buteleczkę z różowym płynem.

- Podaję ją śmiertelnie rannym pacjentom. Jeśli stanie się najgorsze i na ciele pojawi się więcej czerwonych plam albo twój przyjaciel zacznie kaszleć krwią, wlej mu to do gardła i odmów modlitwę za jego duszę.

Tor był wstrząśnięty. Czysty sok z arraku, odgadł.

- Nie będzie nam potrzebny, doktorze - powiedział ochryple, z zażenowaniem czując, że oczy zachodzą mu łzami.

- Wiem, chłopcze. Nienawidzę tracić pacjentów, ale gdy twój przyjaciel odzyska przytomność, może potwornie cierpieć i umrzeć w męczarniach. To po prostu przyspieszy jego odejście. - Wcisnął chłopakowi buteleczkę do ręki. - Oszczędzisz mu bólu, Tor - dodał łagodnie.

Tor ledwo się trzymał. Był wyczerpany fizycznie i psychicznie.

- Ile jestem panu winien, doktorze?

Medyk niemal się skrzywił na dźwięk jego głosu i szybko zajął się pakowaniem torby.

- Jestem głęboko wstrząśnięty cierpieniem tego człowieka. Nie wezmę od ciebie pieniędzy, Tor. - Jego życzliwy uśmiech przytłoczył Tora, który opadł ciężko na stołek. - A tobie, synku, proponuję wydać te pieniądze na gorącą kąpiel, porządny posiłek i kilka piw. Pan Cloot na razie nam nie ucieknie, więc możesz spokojnie odpocząć i wzmocnić się. Nie

wyglądasz na niedożywionego, ale chyba nie jesteś w najlepszej formie. Chorujesz na coś?

- Nie, proszę pana. Po prostu... od kilku tygodni jestem w podróży i trochę zaniedbałem posiłki. - Skłamał gładko, nienawidząc się za to, zwłaszcza że nie był szczerzy wobec tak wspaniałomyślnego człowieka.

- Zatem do jutra, Tor.

Chłopak wsłuchiwał się w odgłos kroków doktora na schodach, póki nie zatopila ich fala dźwięków dobiegających z baru na dole. Przyjrzał się twarzy śpiącego nieznajomego, próbując widzieć ją taką, jaka byłaby bez opuchlizny i potwornych sińców. Clout nie był piękny. Miał wielki nos, niemal dotykający wydatnej dolnej wargi, i nienaturalnie szerokie czoło. Olbrzymie uszy i niesforna szopa ciemnych włosów nadawały mu wygląd wybryku natury, Tor jednak pamiętał inteligencję, która błyszczała wcześniej w zbolałych oczach rannego. Clout był niemową, z pewnością jednak dalekim od kretynizmu, o jaki posądzała go większość ludzi.

Torkyn ponownie westchnął, wracając do myśli, która prześladowała go, odkąd doktor Freyberg powiedział, że nie może zrobić nic więcej. Nagle z rozmyślań wyrwał go jakiś ruch u stóp łóżka. Z przerażeniem i fascynacją obserwował niewielką armię mrówek, wykańczających broniące się resztką sił karalucha. Zaczęły już fachowo rozczłonkowywać ofiarę, która wciąż wierzgała w powietrzu coraz mniej licznymi odnóżami. Pewien ambitny mrówczy żołnierz uparcie próbował sam odholować wielką nogę. Tor podziwiał maleńkie zwierzę, zmagające się z pozornie niewykonalnym zadaniem, niezłomne jednak w swym poświęceniu. I może to ono go zainspirowało.

Wziął głęboki wdech, podkasał rękawy zgrzebnej koszuli i delikatnie położył dłonie na piersi Clouta. Zamknął oczy, wezwał Barwy i poczuł w palcach znajome mrowienie, podczas gdy pokój spowiła cisza i szarość.

KRÓL MORZA

Po kąpeli i zmianie zakurzonego ubrania Tor pomimo znużenia poczuł się znacznie lepiej. Dołączył do hałaśliwego tłumu świętujących na dole żołnierzy, nieco zagubiony i osamotniony wśród ludzi, którzy dobrze się znali.

Humor poprawiło mu pojawienie się na stole pieczonego mięsa i kufła mocnego piwa. Dziewczyna, która je przyniosła, szybko zniknęła mu z oczu, zasłonięta przez ramiona barczystych mężczyzn. Barwą włosów przypominała Alysę, co wywołało nową falę rozpacz i rozmyślań nad tym, dokąd się udała jego ukochana i dlaczego zniknęła bez słowa. Niemal mimowolnie Tor rzucił w przestrzeń impuls, błagając ją w duchu, by odpowiedziała. Nic. Pustka. Tor błędził w niej po omacku, ale nie zdołał uchwycić śladu Alyssy.

Zbyt pochłonięty upragnionym posiłkiem i myślami o ukochanej nie zauważył, że ktoś do niego podszedł, póki żołnierz nie dobył miecza i nie wbił ostrza w stół. Tor uniósł kufel ku przybyszowi, po czym pociągnął długi łyk.

- Twoje zdrowie, Gynt - rzekł cicho marszałek Cyrus. - Jak tam nasz pokurcz?

- Ma na imię Clout, panie marszałku. Doktor nie daje mi wielkich szans na przeżycie dzisiejszej nocy - odparł Tor, wytrzymując badawcze spojrzenie marszałka.

Cyrus pochylił się ku niemu, przecierając stalowoszare oczy.

- Opowiedz mi o sobie, Gynt. Intrygujesz mnie.

Cyrus mówił szczerym, przyjaznym głosem. Tor czuł coraz większą sympatię do marszałka. Wyczuwał w nim skomplikowaną osobowość z tendencjami do pewnej porywczosci. Intuicja podpowiadała mu także, że jest to człowiek lojalny, stawiający dobro swoich ludzi ponad własnym, a dobro swego monarchy ponad wszystkim.

- Niewiele mogę powiedzieć, panie marszałku. Niedawno opuściłem wioskę, w której spędziłem całe dotychczasowe życie, i jadę do Tal.

Cyrus wskazał głową stygnący posiłek Tora.

- Nie przeszkadzaj sobie.

Tor powrócił do jedzenia. Cyrus tymczasem skinął na przechodzącą dziewczynę, by dołąła mu piwa.

- Ile masz lat?

- Tyle, ile trzeba - wykrztusił Tor z pełnymi ustami.

- Po co jedziesz do Tal?

- Cóż... to chyba najlepsze miejsce na poszukiwanie szczęścia... - Tor zaczął się czuć jak zaszczute zwierzę.

- Twój ojciec jest rolnikiem, Torkynie?

A zatem marszałek zapamiętał jego imię. Tor znów był pod wrażeniem.

- Nie, proszę pana, jest miejscowym skrybą. Mieszkamy we Flat Meadows. Może zna pan to miejsce?

- Istotnie. No, w każdym razie znam tamtejszą gospodę. Kiedyś się tam zatrzymałem, ale nie na długo. Dziwne, że ojciec godzi się na to, żeby taki inteligentny syn nie kontynuował jego dzieła.

Chcąc zyskać na czasie, Tor udał, że dopija resztkę piwa, choć w rzeczywistości kufel już dawno był pusty. Bez wątplenia marszałek był uczciwy, ale trochę za bardzo wścibski.

- Mój ojciec wierzy, że każdy człowiek powinien poznać świat, nim na dobre zajmie się pracą i... rodziną - rzekł Tor, niewinnie spoglądając Cyrusowi w oczy.

- A więc zamierzasz wrócić do Flat Meadows? - zapytał przeciągle marszałek.

- Nie wiem, panie marszałku. Dlaczego tak to pana interesuje, jeśli wolno spytać?

- Interesuje mnie wszystko, co się dzieje w Tallinorze - odparł Cyrus. - Odpowiadam za bezpieczeństwo tego kraju i lubię wiedzieć, kiedy ktoś, kto ma dziwnych przyjaciół, a sam jest jeszcze dziwniejszy, wybiera się do naszej stolicy.

Marszałek siedział swobodnie, trzymając na kolanach w połowie opróżniony kufel z piwem. Tor nie dał się zmylić pozorom: żołnierz najwyraźniej kpił sobie z niego.

- Po prostu mam wścibską naturę, ale coś mi mówi, że się jeszcze spotkamy, Gynt, i wtedy opowiesz mi całą prawdę. - Wstał. - Życzę szczęścia w Tal.

Schował miecz z powrotem do pochwy, zapiął ją, kiwnął zdawkowo głową i ruszył w stronę drzwi. Żołnierze rozstąpili się szybko, by przepuścić uwielbianego przywódcę.

Na dworze tymczasem zabawa rozkręciła się na całego. Główny plac, kipiący kolorami, tańcem i muzyką, oświetlały setki kadzidełek w pięknie dekorowanych lampionach z woskowanego papieru, zawieszonych na długich wstęgach. Łagodna bryza rozwiewała po uliczkach lekko pikantne aromaty.

Tor złapał się na tym, że obserwuje jakąś roześmianą, całującą się w tańcu parę. „Ostatnio byłem zbyt poważny” - pomyślał. Czas na odrobinę relaksu. Alyssa skontaktuje się z nim, gdy będzie gotowa. Clout jest bezpieczny na górze. W stosunkach Torkyna z

marszałkiem zapanował spokojny rozejm, a pierwsze wielkie święto w życiu chłopaka czekało niecierpliwie. Rozprostował koszulę, sprawdził, czy sakiewka i kulki - które, jak zauważył, nieprzerwanie emitowały ledwie słyszalny szum - są na miejscu, po czym przyłączył się do świętujących.

Oszołomiony tańcem z trzema miejscowymi pięknościami, próbował sprostać zadaniu podniesienia wraz z krzesłem niewiarygodnie grubej matrony, gdy jego wysiłki przerwał niespodziewanie dźwięk dzwonu.

Z gospód i bocznych uliczek zaczęli się wysypywać ludzie, szukając miejsc z najlepszym widokiem na stojącą pośrodku placu prowizoryczną scenę. Po chwili pojawił się na niej człowiek w pelerynie i zaczął uciszać tłum.

- Witajcie, dobrzy ludzie. Składamy serdeczne podziękowanie wspomniałomyślnym mieszkańcom Hatten, którzy jak zawsze tego dnia urządzili tu wyborne święto. Teraz jednak nadeszła chwila, na którą wszyscy czekaliśmy: nasza nowa królowa winobrania obierze za chwilę króla morza!

Tłum wydał ryk aprobaty.

- Poproszę teraz kawalerów, którzy uważają się za godnych królewskiego tytułu, o wystąpienie. W szranki może stanąć tylko dwunastu mężczyzn, więc nie zwlekajcie!

Dzwon znów uderzył i Tor śmiał się wraz z tłumem, obserwując, jak tabun mężczyzn, młodych i starych, usiłuje się wspinać na scenę. Drabina została zabrana na górę, musieli więc podciągać się na rękach. Niektórzy potykali się, w pośpiechu biegnąc ku trybunie. Inni spadali w trakcie wspinaczki albo, ku uciesze widzów, zostawali zepchnięci. Jak zwykle kilku osiłków zdołało się dostać na górę i teraz spoglądało stamtąd dumnie na zgromadzony w dole tłum.

Tor ze śmiechem podziwiał błazeńskie wyczyny, gdy nagle czyjeś ręce uniosły go w powietrze. Przy aplauzie gawiedzi porywacze bezceremonialnie wrzucili chłopaka na scenę. Obróciwszy się szybko, dostrzegł plecy sześciu pospiesznie oddalających się krzepkich wojaków. Naburmuszony, rzucił okiem na tyły tłumu i oczywiście znalazł tam uśmiechniętego sardonicznie marszałka Cyrusa z uniesionym kuflem w dłoni.

Organizatorzy w pośpiechu ustawiali kandydatów w dwuszereg, a wściekły Tor pocieszał się myślą, że królowa i tak go nie wybierze, więc niech dowcipnisie mają zabawę.

Głośne fanfary obwieściły przybycie królowej. Rozległa się pompatyczna muzyka i wszyscy zaczęli bić władczyni żartobliwe pokłony. Z daleka wyglądała fascynująco. Miała kruczoczarne, lśniące od lakieru włosy, sięgające nieco za ramiona. Ubrana była w niemal przezroczystą suknię z seledynowej gazy, która uwodzicielsko przylegała do wąskich bioder i

niewielkich, krągłych piersi. Błyszcząca złota pelerynka trzepotała i iskrzyła się na wietrze. Kobieta zbliżyła się, witając podwładnych uśmiechem. Tor wyprostował się i nieświadomie zaczął wygładzać swoją białą koszulę. Policzki dziewczyny były różowe z podniecenia, a wielkie oczy kipiały radością z powodu roli, jaką przyszło jej odegrać. Cały tłum mógł oglądać jej nagie ciało, wyraźnie zarysowane pod cienką tkaniną.

Tor rozpoznał bezczelną trzpiotkę, którą kilka godzin wcześniej uchronił przed cięgami, a ona nawet mu nie podziękowała. To miała być ta Erynia, dziwka z rubasznymi dowcipów Golaga?

Mrugnęła! „Do mnie czy do kogoś innego” - zastanawiał się oburzony Tor.

Łagodna bryza pieściła jej sutki, które nabrzmiały pod prześwitującą sukienką. „Naprawdę jest niesamowita” - pomyślał Tor.

Tymczasem mistrz ceremonii uciszył rozentuzjasmowany tłum i objaśnił procedurę, którą zresztą wszyscy oprócz Tora zdawali się znać na pamięć. Każdy z kandydatów musiał najpierw dokonać niemożliwego: przejść piętnaście kroków po śliskich, niebezpiecznych, rzucających się w przedśmiertnych drgawkach rybach lokki. Po usmażeniu były wyborne, ale żywe potrafiły dotkliwie zranić w palec lub dowolną część ciała, która znalazła się w zasięgu ich ostrych zębów. A jeśli nawet nie dosięgły śmiałka zębami, kaleczyły mu łydki tnącymi jak piła płetwami. Każdy kandydat, który chciał dotrzeć do królowej i zostać obwołany królem morza, musiał boso przejść po rybach. Triumfatorzy z ubiegłych lat dokonali tego, ale przypłacili zwycięstwo bólem i trwałymi obrażeniami. Nikt nigdy nie przedostał się na drugą stronę bez uszczerbku na zdrowiu.

Jeden po drugim kandydaci zanurzali się w śliskiej, rozedrganej masie. Dwaj ledwie zdołali zrobić krok i już odskoczyli w tył, wrzeszcząc, wychłostani przez tnące na oślep płetwy. Inni próbowali iść dalej, krzycząc z bólu, potykając się, wreszcie dając za wygraną. Po kilku minutach chodnik zabarwił się na czerwono. Krew ochotników mieszała się z wodą morską i konającymi rybami, a tłum patrzył na to wszystko jak urzeczony.

Wreszcie przyszła kolej na Tora. Miał przejść po rybach jako ostatni.

Być może po części winien był arrak, a może to tylko zmęczenie i nadmiar wypitego piwa tak namąciły chłopakowi w głowie. Przed chwilą rozpaczał z powodu Alyssy, teraz, patrząc w oczy niby-królowej, naprawdę zapragnął ją zdobyć. Uznał, że lepiej wczuć się w ducha festiwalu, niż się przed nim bronić.

Za plecami słyszał drwiny żołnierzy. Naprawdę nie chciał dać się pokiereszować, ale przekonało go kolejne spojrzenie na królową, która uwodzicielsko naciągnęła przód sukni, pokazując już niemal wszystko, co miała do pokazania. Wstępując na ścieżkę, Tor przelotnie

wspomniął przestrogę Merkhuda, ale był już w szponach pożądania i Barwy krzyczały w jego trzewiach.

Ruszył naprzód, przyzywając na pomoc magię i rzucając czar na groźną masę morskich potworów. Mocno postawił stopy na dwóch ogromnych rybach i poraził je mocą. Natychmiast przestały się ciskać i, łagodne jak baranki, sunęły po grzbietach dogorywających współbraci.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że tłum nawet nie zdążył się zastanowić, jak Tor tego dokonał, a on już wyłaniał się na drugim końcu ścieżki. Ludzi ogarnęła euforia. Oto król. Najlepszy ze wszystkich w historii krwawych zawodów miał za chwilę odebrać należną mu nagrodę.

Tor skłonił się królowej. Podniecony okrzykami tłumu i ciepłem letniej nocy, z trudem panował nad pożądaniem. Erynia obróciła się ku niemu i ujęła go za rękę.

- Nie podziękowałam ci za to, że mnie dzisiaj uratowałeś. Nienawidzę Gorona! Mam nadzieję, że po moim kopniaku jaja mu spuchły jak melony.

Po czym wdzięcznie pomachała do tłumu, podczas gdy dwie służące szybko obmyły Torowi stopy.

Oba trony niesiono teraz przez plac. Tor w przeblysku zdrowego rozsądku pomyślał, że powinien wrócić do Cloota.

- Dokąd nas niosą? - zawołał do Eryni nad głowami tłumu.

- Wkrótce się przekonasz - odzrzyknęła znacząco.

„Jest cudowna” - myślał bezradnie Tor, opadając ciężko na tron. Gdy opuszczali plac, dostrzegł w tłumie marszałka Cyrusa, który z bardzo głupią miną ponownie uniósł ku niemu kufel i zasalutował po tallinorsku.

*

Radosny tłum niósł trony do Domku Letniego, gdzie para królewska miała spędzić noc, by skonsumować swój związek. Wierzono, że zbliżenie króla morza z królową winobrania zapewni obfitość przyszłorocznych połowów lokki i zbiorów winorośli.

Potwornie wyczerpany Tor poczuł nagle, że łącze mentalne uchyla się nieznacznie, po czym szczelina znów się zamyka. Uchwycił nitkę, by odebrać wąty przekaz Cloota. Nie musiał go słyszeć - i bez tego wiedział, że ranny rozpaczliwie potrzebuje nowej dawki energii witalnej. Zapas Tora był na wyczerpaniu, ale chłopak zdołał jakoś pozbierać resztki uzdrawiającej mocy i ostatkiem sił posłał je Clootowi. Świat zawirował, a Tor osunął się na tron ze zwieszoną bezwładnie głową.

Erynia zauważyła to i położyła mu dłoń na ramieniu, wskazując głową przed siebie.

Byli na miejscu.

- Po prostu rób to, co ja, a wkrótce będziemy to mieli z głowy - szepnęła.

Tor przyglądał się kobietom rozsypującym na ścieżce liście winorośli. Na końcu dróżki widniała niewielka budowla, która wydawała się jeszcze mniejsza ze względu na sąsiedztwo ogromnego drzewa rosnącego na szczycie niewysokiego wzniesienia.

- Domek Letni - powiedziała królowa, biorąc go za rękę.

- Chodźmy.

Powoli ruszyli ścieżką, już samotni, podczas gdy tłum za ich plecami śpiewał pożegnalną pieśń na cześć pary królewskiej, która miała teraz skosztować swoje niby-mażeństwo. Była to entuzjastyczna pieśń o płodności.

Próg Domku Letniego był łagodnie oświetlony silnie perfumowanymi świecami i udekorowany aromatycznymi ziołami. Wielkie łóżko spowijał miękki muślin. Innych mebli nie było, z wyjątkiem małego stoliczka z przygotowaną kolacją i winem.

- Pocałuj mnie - rzekła Erynia. - Wtedy sobie pójdą - dodała, widząc jego zmieszanie.

Myśli Tora pobiegły ku Alyssie. W milczeniu zaniósł prośbę do bogów, by nie pozwolili jej usłyszeć, co się z nim dzieje podczas tej szczególnej nocy. Gdy usta Erynii dotknęły jego własnych, usłyszał aplauz tłumu. Pocałunek był długi, łagodny i powolny. Tor zdołał jakoś znaleźć w sobie siłę, by unieść królową w ramionach i zanieść do domku. Położył ją na łóżku i dopiero wtedy ich wargi się rozłączyły.

Wciąż odczuwał silne pożądanie, ale w chwili, gdy opadał na pościel, opuściły go resztki energii. Ostatnim świadomym czynem, na jaki się zdobył tego dnia, było wymamrotanie przeprosin pod adresem kobiety, która leżała pod nim, kipiąc z oburzenia.

*

Domek Letni oblegały hałaśliwe papugi. Wyrwany ze snu przez ich wesołe skrzeczenie Tor rozglądał się po pokoju, wciąż półprzytomny, póki nie przypomniał sobie ubiegłej nocy. W powietrzu wciąż unosił się zapach perfum, a pamięć podsuwała mu wyjątkowo realistyczny obraz ciała Erynii na łóżku.

Wspominając swój żaloszny występ, Tor zaklął głośno i soczyście. Potem przed oczami pojawił mu się obraz Cloota.

Wciąż ubrany w strój z poprzedniego wieczoru, pospiesznie opuścił na podłogę długie nogi i podniósł się z łóżka. Jego buty stały porządnie przy drzwiach. Torkyn włożył je, nie zauważając wetkniętej w środek karteczki.

Pędząc w dół zbocza ku miastu, posłał sondę w kierunku Cloota i z niepokojem oczekiwał odpowiedzi.

Jesteś przytomny!

Tak, dzięki.

Obudziłem cię? Przepraszam.

Nie, jest tu jakiś doktor. Zdaje się, że nazywa się Freyberg.

Tor zamilkł na moment.

Zdziwił się, że tak nagle wyzdrowiałaś? - zapytał głupio.

Skąd, wcale. Właśnie sobie rozmawialiśmy, dokąd to rybki dziś popłyną.

Słyszając w głowie perlisty śmiech Cloota, Tor zastanawiał się ze wstydem, jak wytłumaczy to wszystko lekarzowi.

Zaraz tam będę - rzekł.

Czekam - odparł Cloot.

*

W najmniejszym pokoju gospody Pod Pustym Kielichem rozwścieczony do granic możliwości doktor Freyberg gwałtownym ruchem wcisnął w lewe oko monokl.

- I czego się pan tak szczerzy, panie Cloot? - zapytał gniewnie, wiedząc, że nie ma sensu oczekiwać odpowiedzi. Z niedowierzaniem zbadał zrosnięte kończyny i pobladłe, niemal niewidoczne sińce, które poprzedniego wieczoru przedstawiały potworny widok.

Pacjent pokręcił cudaczną głową i szybko spoważniał.

- A zatem pan słyszy?

Cloot przytaknął.

- Cóż, moja pomoc nie jest już panu potrzebna. Wygląda na to, że aniołowie złożyli panu wizytę i wyręczyli mnie w robocie.

Usłyszeli, jak ktoś wbiega po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Po chwili do pokoju wpadł zadyszany Tor. Freyberg zatrzasnął torbę lekarską i przybrał teatralną pozę.

- Witaj, Gynt. Zdarzyło się coś niewiarygodnego.

Schował ręce do kieszeni, by chłopak nie widział, jak drżą. Nie był pewien, czy jest tak wstrząśnięty samym widokiem cudu, który się tu dokonał, czy raczej jego implikacjami.

Był lekarzem od trzydziestu trzech lat i, jak przedtem jego ojciec, przez cały ten czas pracował w Flatten. Wiedział, że jest dobrym fachowcem. Nie: wiedział, że jest wybitnym lekarzem, a jednak wczoraj wieczorem był bezradny wobec obrażeń Cloota. Teraz niemowa siedział przed nim zdrów jak ryba, a na dodatek, niech go diabli, znów szczerzył głupio tę swoją makabryczną facjatę.

Tor skłonił się formalnie medykowi, po czym spojrzał na Cloota, zobaczył go siedzącego na łóżku i nie mógł się powstrzymać, by nie odwzajemnić szerokiego uśmiechu.

- Wszystko panu wyjaśnię, doktorze, muszę tylko porozmawiać z Clootem - wymamrotał, zamykając drzwi. Dwoma susami przesadził dzielącą ich odległość i mocno uściskał wielką dłoń niemowy.

- Porozmawiać! Jak można rozmawiać z niemową? - Freyberg opadł ciężko na jedyne krzesło w pokoju i gniewnie wyglądał przez małe okienko na rynek w dole, słuchając gorączkowego monologu Tora.

- W pewnej chwili myślałem, że umarłeś, Cloot. Tak się bałem. - Tor poczuł, że oczy wypełniają mu się gorącymi łzami. Zrobił to. Uratował ludzkie życie.

Cicho, mały. Nie wkopuj się jeszcze bardziej - mruknął Cloot wprost do jego umysłu, wskazując ukradkiem lekarza. Uniósł wolną rękę i lekko dotknął głowy Tora. - *Mam ci wiele do powiedzenia, ale teraz muszę odpoczywać, a ty lepiej wymyśl jakąś historyjkę, która zrobi wrażenie na doktorze.*

To rzekłszy, Cloot opadł z powrotem na łóżko.

Tor najpierw wypuścił jego dłoń, a dopiero potem przerwał połączenie. Zwrócił się twarzą do Freyberga, który nerwowo pocierał brodę. „To dobry człowiek” - pomyślał chłopak. Nie chciał go okłamywać, ale przyznanie się do tego, że jest się Obdarzonym, było równoznaczne z podpisaniem na siebie wyroku śmierci. Merkhud usiłował wbić mu to do głowy, nim wyjechał.

„Nie korzystaj z mocy podczas tej podróży” - mówił. - „Nie waż się popisywać. Do niczego i do nikogo się nie wtrącaj. Po prostu pilnuj własnego nosa i jak najszybciej przyjedź do Tal”.

O tyle tylko prosił Merkhud, a co zrobił Tor? Goron, Corlin i jego zbiry, Erynia, Cyrus, Cloot, doktor Freyberg: co najmniej sześć osób miało już kontakt z jego magią, a był w tym mieście zaledwie dobie.

W jego myśli wdarł się głos lekarza.

- I tak nie wymyślisz wiarygodnej wymówki. Po prostu zdradź mi, jakim cudem, na Światłość, ten człowiek wciąż jest wśród żywych.

Tor wstał. Wzrok Cloota podążył za nim.

- To ja... ja to zrobiłem - rzekł Tor matowym głosem. Teraz naprawdę się bał. Jego życie zależało od tego, jak doktor zareaguje na to wyznanie, będące w istocie przyznaniem się do używania zakazanej mocy.

- Jesteś Obdarzonym.

To nie było pytanie, ale Tor mimo wszystko odpowiedział.

- Tak. Nie mogłem pozwolić mu umrzeć.

- I co ja mam z tobą zrobić, chłopcze? Zdajesz sobie sprawę, że królewski edykt nakazuje mi oddać cię w ręce inkwizytorów? - rzucił mu w twarz rozgniewany Freyberg.

Tor milczał.

- Oddać cię tym barbarzyńcom! - wykrzyknął doktor. - Czy medyk Merkhud wie o twojej mocy, młodzieńcze?

Tor zawahał się na moment, wiedząc, że wkracza na grząski grunt.

- Tak - odparł i wstrzymał oddech.

Clout udawał, że śpi. Zafrasowany Freyberg szarpał się za brodę. Przez długą chwilę w dusznym pokoju panowała cisza.

- Dobrze więc! Skoro słynny Merkhud nie ma nic przeciwko temu, kimże ja jestem, by się wtrącać? Nigdy za bardzo nie rozumiałem tego całego szumu wokół mocy, a skoro potrafisz uleczyć śmiertelnie rannego, pomyśl, ile dobra Obdarzeni mogliby uczynić dla królestwa!

Doktor Freyberg stał i wpatrywał się w Tora. Było mu niemal żal tego wysokiego, przystojnego młodzieńca.

- To znaczy, że nikomu pan o tym nie powie?

- Nie.

Tor postąpił ku medykowi i objął go nieporadnie.

- Posiadasz wspaniały, ale niebezpieczny dar, chłopcze - rzekł z powagą doktor. - Musisz zachować znacznie większą ostrożność, używając go. Następna osoba może nie być tak oczarowana jak ja.

Tor skinął głową.

- Muszę już iść, chłopcze. Mam przed sobą wiele wizyt, ale martwię się o to, jak zdołasz wytłumaczyć cudowne ozdrowienie pana Cloota.

- Dotąd zastanawiałem się tylko, w jaki sposób uratować mu życie, ale coś wykombinuję - odparł Tor, przeczesując palcami włosy.

- No, w takim razie myśl szybko, chłopcze. Oberżysta jest wyjątkowym plotkarzem. Nim zdążysz mrugnąć, całe miasto będzie o tym gadać. Dobrze ci radzę, wymknij się stąd pod osłoną nocy i uciekaj najdalej, jak się da.

Freyberg wkrótce wyszedł, a Clout znowu zasnął, Tor udał się więc na dół i skonsumował olbrzymie śniadanie, wypytyując przy okazji służącą o to, jak dojść do osławionej łaźni miejskiej.

Wzmocniony posiłkiem, maszerował labiryntem wąskich alejek, jedząc jabłko i z przyjemnością chłonąc widok wysokich, kolorowych ścian i prania pozawieszanego na

krótkich, wystających z zasłoniętych okien drągach. Przez chwilę nawet pokopał z gromadką dzieciaków nadmuchany świński pęcherz, zapominając, że jest kimś więcej niż tylko turystą podziwiającym uroki miasta.

Potem ruszył dalej i dotarł do małego placyku, który rozpoznał po opisanej przez służącą zdobionej fontannie. Ustawił się w krótkiej kolejce mężczyzn wrzucających monety w rękę starej, znudzonej pracownicy obsługi, która w zamian wręczała każdemu złożoną płachtę płótna.

- Ile? - zapytał Tor, znalazłszy się przy drzwiach.

- No, przystojniaczku, za rzut oka na to, co masz między nogami, wpuszczę cię za darmo - zagdakała starucha.

Tor z obrzydzeniem zauważył, że kobieta nie ma ani jednego zęba. Salwy śmiechu, które rozległy się wokół, tylko ją rozochociły.

- Albo chodź ze mną na zaplecze, a jeszcze zarobisz! - Wiedźma uznała swój dowcip za wyjątkowo zabawny, ponownie strasząc Tora widokiem starczych dziąseł.

Jakiś młodzieniec przepchnął się obok niego.

- Dwa miedziaki - powiedział, rzucając Torowi uśmiech.

Tor wrzucił monety w brudną dłoń staruchy. Szybko chwycił ręcznik i podążył za poprzednikiem, szczęśliwy, że może uciec przed okropnym śmiechem starej jędzy.

- Dzięki - powiedział, zrównawszy się z tamtym.

- Nie ma sprawy. Jest obrzydliwa, ale zachowuje się tak samo wobec każdego, kto na to pozwoli, więc nie czuj się wyróżniony.

- Nie czuję się. Jestem Torkyn Gynt, turysta.

- Miło cię poznać, Torkyn. Ja jestem Petyr, miejscowa dziwka.

Petyr z zachwytem obserwował szok malujący się na twarzy Tora.

- Ejże, Tor, nie bądź taki pruderyjny. Potrzebuję kąpieli podobnie jak ty, sądząc po zapachu. - Zmarszczył lekko nos i ruszył dalej.

Gdy Tor skręcił za kamienny filar, podążając za rozebrany Petyrem, gwar męskich głosów przybrał na sile. Łaźnia była ogromna, ozdobiona wielkimi, sięgającymi kopuły malowidłami przedstawiającymi nagich ludzi hasających po lesie. Tor zagapił się na nie, nie słysząc, że Petyr coś co niego mówi.

- Pytałem, czy wchodzisz, przystojniaczku, czy też będziesz się tak gapił na tych golasów? - zawołał Petyr, leżąc na wodzie.

- Przestań mnie nazywać przystojniaczkiem! - zirytował się Tor.

- Dlaczego nie, durniu? Kiedy ostatnio spoglądałeś w lustro? Jesteś przystojny i

świetnie zbudowany. Widzę jednak, że jeszcze się z tym nie oswoiłeś. Ale to przyjdzie, przyjacielu, to przyjdzie. - Petyr oddalił się, rozbawiony.

Tor wymył się starannie kawałkiem szorstkiego mydła, porozkładanego w mydelniczkach wokół brodzika. Uświadomił sobie, że nie kąpał się od ładnych paru dni. Relaksował się w ciepłej wodzie, podziwiając imponującą architekturę i ideę łaźni miejskich. Wspomnił o tym Petyrowi, gdy ten ponownie znalazł się przy nim.

- Umyć ci włosy? - zaproponował chłopak z łobuzerskim błyskiem w zielonych oczach, wyzierających spod długich, ciemnych rzęs.

Przeżony propozycją Tor pospiesznie polał sobie głowę kilkoma garściami wody, po czym szybko ruszył ku schodom i wyszedł z brodzika. Schwyciwszy ręcznik, błyskawicznie owinął go wokół bioder.

- Wrażliwy jesteś, Gynt - odezwał się Petyr, stając obok. - Ja nie gryzę.

- Słuchaj, dzięki za towarzystwo. Może się jeszcze gdzieś spotkamy. - Tor mówił tak uprzejmie, że miał ochotę odgryźć sobie język.

- Wątpię, czy obracamy się w tych samych kręgach, Gynt, ale słyszałem, że nie dokończyłeś wczoraj roboty przy Erynii. Cóż za rozczarowanie.

Petyr zdążył się już wytrzeć i zwinnie wkładał ubranie. Tymczasem Tor przestał podskakiwać na jednej nodze i niezdarnie wbijał się w bryczesy.

- Znasz Erynię?

- Jak siostrę.

- Więc będziesz wiedział, gdzie ją znaleźć?

- Może.

- Petyr, proszę, przeproś ją w moim imieniu. To nie miało nic wspólnego z nią - mówił, kończąc się ubierać.

- Żegnaj, Tor. Może jej o tym wspomnę... a może nie... Miło się z tobą rozmawiało.

To rzekłszy, Petyr cisnął ręcznik do pobliskiego kosza i oddalił się.

- Czekaj!

Chłopak odwrócił się. Tor również wrzucił swój ręcznik do kosza.

- Zatrzymałem się Pod Pustym Kielichem.

Petyr roześmiał się.

- Pasuje jak ulał.

Po tych słowach zniknął w tłumie mężczyzn kierujących się ku wyjściu.

Tor usiadł na wąskim gzymsie biegnącym wzdłuż ściany i z ponurą miną zaczął wkładać buty, gdy nagle ze środka wypadła jakaś karteczka. Był to liścik od Erynii, który

zdecydowanie poprawił mu nastrój. Ledwie czytelnym pismem dziewczyna wyrażała szczery żal, że poprzedniego wieczoru nie zdecydowała się na pewnego namiętnego, rudowłosego farmera.

Zamierzał się z nią pogodzić, jeśli będzie miał po temu okazję. Tymczasem jednak musiał wrócić do Cloota i dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

KOBIETA ZE SNU

Pod Pustym Kielichem wrzało, Cyrus i jego kompania przygotowywali się bowiem do drogi. Żołnierze nie mogli się doczekać odjazdu. Od wielu tygodni odbywali rutynowe patrole po małych miasteczkach królestwa.

Cyrus cieszył się wśród swoich ludzi taką samą popularnością jak wśród wszystkich Tallinorczyków, którzy przyjmowali go z otwartymi ramionami, dokądkolwiek się udawał. Co ciekawe jednak, choć kobiety za nim szalały, mówiono, że nigdy nie wdaje się w romanse. Jego żona, piękna, delikatna dziewczyna, umarła dziesięć lat wcześniej przy urodzeniu syna. Gdy dziecko także zmarło, Cyrus pogrzyżł się w tak wielkiej rozpacz, że przyjaciele bali się o niego. Król Lorys zawsze lubił młodego, reżolutnego kapitana, więc po śmierci poprzedniego głównodowodzącego bez wahania awansował Cyrusa, choć wśród swych żołnierzy miał trzech wyższych rangą oficerów. Był to zaszczyt dla kogoś tak młodego, ale Lorys nigdy nie pożałował swojego wyboru marszałka Tarczy i cieszył się, że nad bezpieczeństwem Tallinoru czuwa właśnie Kyt Cyrus.

- Wyrównałeś rachunki z tym zdziercą Doddym? - zapytał marszałek swojego adiutanta.

Herek skinął głową.

- Zapłaciłem mu tylko tyle, ile ustaliliśmy zeszłej wiosny.

- Dobrze, choć nie mam wątpliwości, że piwo było rozcieńczone jak diabli.

- Chce pan, żebym tam wrócił i...

- Nie - odparł Cyrus, błędząc myślami gdzie indziej. - Nie, po prostu przyszło mi do głowy, że facet zawsze znajdzie sposób, by to sobie na nas odbić. Oberżyści najwyraźniej sądzą, że skoro występujemy w królewskich barwach, mamy też dostęp do królewskiego skarbcza.

Kapitan nie odpowiedział.

- Wyjeżdżamy o świcie, Herek. Powiadom ludzi.

- Tak jest.

- Ile dni?

- Dwa, panie marszałku. O ile sprawnie przeprawimy się przez Wielki Las.

- Musimy. Gdybyś mnie potrzebował, przez większość dnia będę u burmistrza Reymego. Jeśli nie, po prostu przygotuj ludzi. Wiesz, co robić.

Marszałek dał znak Herekowi, że może odejść, po czym obrócił twarz ku drzwiom i ucieszył się na widok Torkyna Gynta, który po kąpieli i wizycie u fryzjera wyglądał jak nowo narodzony. Herek wyprężył się na baczność, ale marszałek ledwie to dostrzegł, znacznie bardziej zainteresowany Torem i jego wrażeniami z minionej nocy.

- Siemasz, Gynt.

- Marszałek Cyrus! Pan wciąż tutaj? - Tor szedł już w kierunku schodów, ale zawrócił i podszedł do Cyrusa.

- Jak widzisz - odparł tamten, wskazując mu sąsiedni stółek.

- Kiedy wyruszacie? - zapytał Tor, sadowiac się i rzucając krótki impuls w kierunku Cloota. Odkrył, że ten nie śpi, i już miał zacząć z nim rozmawiać, ale powstrzymał się.

- Co się stało? - zapytał Cyrus z dobrodusznym uśmiechem.

Tor powrócił myślą do stołu.

- Kiedy? - zdziwił się.

Tymczasem na blacie pojawiły się dwa piwa.

- Przed chwilą. Pytałeś mnie, kiedy wyruszamy, ale nie usłyszałeś mojej odpowiedzi. Chyba cię nie nudzę?

- Przepraszam. - Musiał zacząć się lepiej kamuflować. - Tyle się ostatnio zdarzyło, że trudno mi się skupić.

- Nie wątpię, Gynt. Po ostatniej nocy... Nawiasem mówiąc, jak ci poszło?

- Chyba dobrze... w każdym razie nie słyszałem żadnych skarg.

- Ha! - Cyrus szybko opróżnił kufel i z hukiem postawił go na stole. Polubił tego chłopaka - Ciekaw jestem, jak też sobie poradzisz w Tal, przyjacielu. Zatem do zobaczenia. Uważaj na siebie.

Tor wstał i mocno, po tallinorsku, uściśnął wyciągniętą dłoń marszałka.

- A tak przy okazji: powodzenia z Merkhudem. Jeślibyś mnie kiedyś potrzebował, daj znać przez straż pałacową - rzucił Cyrus z figlarnym błyskiem w oku.

Tor był oszołomiony.

- Skąd pan wie? - wyjąkał, przekonany, że nie powiedział o swoich planach nikomu poza doktorem Freybergiem.

- Taki mam zawód. - Cyrus popukał się po nosie.

- Niech pana Światłość prowadzi, panie marszałku.

- Zawsze to robi, Gynt.

Mistrz szybkich odwrotów skinął nieznacznie głową i już go nie było w gospodzie.

Będę miał w pałacu potężnego sprzymierzeńca, myślał Tor, wspinając się po schodach na piętro i wchodząc do swojej maleńkiej klitki.

Dobrze wyglądasz, Cloot - zauważył, sadowiąc się przy oknie.

Cloot siedział wypoczęty na łóżku Tora. Najwyraźniej zadał sobie trochę trudu, by się doprowadzić do porządku. Znalazł nawet w swoim niewielkim tobołku czystą koszulę.

I dobrze się mam.

Głos Cloota w głowie Tora brzmiał bardzo dźwięcznie. Chłopak wziął głęboki oddech i odwrócił się, by spojrzeć przez okno na budynki po drugiej stronie rynku.

Skąd wiesz, jak się nazywam? - zapytał cicho, nie odwracając oczu od okna.

Znam cię od zawsze.

Tor był poruszony, ale zmusił się, by kontynuować przesłuchanie.

Kto ci o mnie powiedział?

Lys.

Jakaś kobieta?

Tak.

Co to za jedna?

Nie mam pojęcia - odparł beznamiętnie Cloot.

Skąd o mnie wie?

Musiałbyś spytać o to ją, Tor. - Cloot przepraszająco wzruszył ramionami.

Drugie pytanie: do czego zmierzasz?

Cloot pokręcił lekko głową.

Nie wiem, jaki jest mój ostateczny cel, ale...

Tor obrócił się gwałtownie ku Clootowi, którego wielka, brzydka twarz złagodniała w wyrazie współczującego zrozumienia. Mężczyzna uniósł rękę, by uspokoić chłopca.

Tor, pozwól, że ci powiem o tym, co wiem, zamiast o tym, czego nie wiem, a wtedy może wspólnie zdołamy poskładać niektóre kawałki tej zagadki.

Tor z rezygnacją skinął głową.

Pochodzę z niemal nieznanego regionu na północno-wschodnich rubieżach królestwa, zwanego w lokalnym języku Rork'yel - kontynuował Cloot. - Słyszałem jednak, jak niektórzy starzy mieszkańcy północy nazywają go Skalnym Ostrowem, co brzmi dziwnie, ponieważ z całą pewnością nie jest to wyspa.

Zauważył, że Tor z irytacją mruży oczy, i odchrząknął.

Odkąd pamiętam, odwiedzała mnie w snach kobieta imieniem Lys. Nigdy się nie pokazała, ale zawsze tam była i przez całe życie opowiadała mi o człowieku nazwiskiem Torkyn Gynt, z którym - jak twierdziła - jestem sprzężony.

Jak to „sprzężony”? - przerwał mu Tor.

Zaraz ci wyjaśnię. Najpierw jednak powiedz, czy słyszałeś kiedyś o paladynach.

Tor pokręcił głową.

A zatem to, co teraz powiem, będzie dla ciebie taką samą zagadką, jaką było dla mnie przez wiele lat, dopóki Lys nie przekonała mnie, bym zaakceptował swoje posłannictwo. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem, nawet z rodziną, która być może nigdy mi nie wybaczy, że przed kilkoma tygodniami ją opuściłem.

Clout sprawiał wrażenie spiętego, gdy wspominał o swojej rodzinie.

Mów dalej.

Mężczyzna westchnął.

Grono paladynów składa się z dziesięciu członków, po jednym z każdego spośród pierwotnych ludów królestwa. Mój lud, Brockowie, od wieków zamieszkuje ten sam region. Odkąd byłem dość duży, by rozumieć jej słowa, Lys powtarzała mi, że jestem jednym z dziesięciu.

Zamilkł posępnie.

Ale co to ma wspólnego ze mną?

Paladynowie to strażnicy, Tor. - Clout mówił teraz z wielką powagą. - Dwóch z nas będzie cię chronić swoją magią i życiem.

Ale dlaczego? - Tor usłyszał nagle bicie własnego serca. W ustach mu zaschło, a dłonie miał mokre od potu. Chyba nie chciał znać odpowiedzi.

Bo jesteś Wybrańcem. Narodziłeś się, by zbawić świat, a ja na długo przed twoimi narodzinami zostałem powołany, by cię chronić.

W umysł Cloota wdarł się gniewny głos Tora.

To nie ma sensu, Clout. Wysłuchaj mnie. Jestem synem zwykłego skryby. Prowadziłem zwyczajne życie w zwyczajnej wiosce, gdzie największą atrakcją jest jarmark w Twyfford!

Clout zachował spokój.

A jednak - rzekł łagodnie - ten syn zwykłego skryby zmierza teraz do pałacu, by zostać uczniem najslawniejszego medyka, jaki kiedykolwiek żył w naszym kraju, przypadkiem będącego też potężnym magiem.

To nie ma nic do rzeczy! - wrzasnął mentalnie Tor, zdumiony w duchu, że Clout wie o mocy Merkhuda.

Niech cię Światłość, Tor! A twoja magia? Myślisz, że to go nie obchodzi? Patrz, co zdołałeś zrobić ze mną, ledwie ją rozumiejąc! Pomyśl. Co czuleś, uzdrawiając mnie? Wystarczyło zrozumieć, czego potrzeba, a reszta była już jak świeży pączek od cioteczki Batt - prosta i nie do odrzucenia.

Świetnie. Uzdrowiłem cię - burknął Tor. - Ale właściwie od czego mam nas zbawić?

Clout pokręcił głową.

Tego nie wiem, chłopcze. Może Lys nam powie.

Tor nalał sobie z dzbanka kubek wody. Wypił, uspokoił się, po czym ponownie napełnił naczynie i podał je Cloutowi.

Dobrze. Powiedz mi, co jeszcze wiesz - rzekł, opadając z powrotem na krzesło.

Jego przyjaciel uśmiechnął się.

Lys kazała mi czekać. Przy każdej wizycie powtarzała, że muszę być cierpliwy. Więc czekałem przez pięćdziesiąt lat.

Ile? Masz pięćdziesiąt lat? - wykrztusił Tor. - Ale...

Wiem. Według waszych kryteriów jestem stary, ale my, Brockowie, jesteśmy dziwną rasą. Żyjemy bardzo długo. W oczach starszych członków mojego plemienia nadal jestem bardzo młodym człowiekiem.

Twoi rodzice jeszcze żyją?

Tak, jasne. Podobnie jak starsze rodzeństwo, a nawet dziadkowie. I wszyscy są wściekli, że wyjechałem z Rork'yel - dokończył z promiennym uśmiechem Clout.

Tor mimowolnie się roześmiał.

Clout, czy ty rozumiesz, jakie to wszystko dla mnie dziwne? Parę dni temu ojciec dawał mi burę za to, że rozlałem atrament, a teraz nagle znalazłem się pod ochroną nieznanego, bardzo starego... Brocka, który mi mówi, że mam zbawić nasz kraj od nie wiadomo czego.

Uwierz, Tor. Musisz to zaakceptować, tak jak ja. Pomyśl, jakie to było niezrozumiałe, słuchać o jakimś dziecku, które dopiero się narodzi, a potem, pięćdziesiąt lat później, opuścić swój dom i rodzinę, żeby je znaleźć i chronić.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, rozmyślając o tym, jak splotły się ich losy.

Czy Lys ci powiedziała, czego ode mnie chce? - zapytał w końcu Tor.

Clout wzruszył ramionami.

Nie. Powiedziała tylko, że mamy się kierować intuicją, a sprawy same się potoczą.

Potoczają? Na Światłość! W co ja się pakuję? Czy jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć? Czekaj no. Powiedziałeś, że zostałeś posłany, by mnie odnaleźć. Skąd wiedziałeś,

gdzie szukać?

Clout wypił zawartość kubka i wyprostował się.

Lys przyszła do mnie we śnie podczas ostatniej pełni i powiedziała, że nadszedł czas. Kazala mi odejść przed świtem, a kiedy zapytałem, dokąd mam iść, powiedziała, że będę wiedział, gdy się zbudzę. Miała rację. Kiedy się obudziłem, krótko przed świtem, wyczułem cię i wyruszyłem przez Tallinor, podążając za nitkami Barw. To po nich cię poznałem: twoje kolory mają oślepiającą moc.

Widzisz mnie w kolorach?

Nie. Podziękowałem za kolorami, które uchwyciłem, a one były związane z tobą, i gdyby ten prymitywny kapral nie oskarżył mnie o... co to było? podglądanie? - prychnął Clout - złapałbym cię poza miastem, unikając niebezpieczeństwa.

Co zamierzałeś mi powiedzieć? Oto ja, Clout, twój wielki - i bardzo stary - obrońca?

Nie, skąd. Byłem tak odurzony tą nową magią, że zamierzałem cię zrzucić z konia i zaproponować pojedynek na moc. Dlaczego taki chudzielec jak ty miałby zbawiać świat? Dlaczego nie miałby tego dokonać szlachetny i, nie ukrywajmy, przystojny Brock?

Clout teatralnie wymachiwał rękoma w powietrzu i w końcu Tor zachichotał nerwowo. Dźwięk jego śmiechu przyniósł ulgę obu.

Szczerze mówiąc, Tor, nie miałem pojęcia, co powiedzieć - lub zrobić - gdy cię odnajdę. Po prostu kierowałem się intuicją, jak mi poleciła Lys. No i w końcu to ty mnie odnalazłeś.

A ta moc, którą ostatnio otrzymałeś... Dlaczego jej nie użyłeś?

Tak, to byłoby bardzo inteligentne, zwrócić na siebie uwagę, co? Słyszałem, że nakładają uzdy wszystkim, którzy zdradzają najmniejsze oznaki posiadania mocy. Nie, Lys mnie ostrzegła, bym się nie ujawniał bez potrzeby. Powiedziała, że już sam mój wygląd robi swoje... choć niech mnie Światłość, jeśli wiem, co miała na myśli! Więc posłuchałem jej rady i dałem się przybić za ucho do słupa, żeby całe miasto mogło się zebrać na placu, szydzić i rzucać we mnie jakimiś obrzydlistwami. O tak, zadałem sobie mnóstwo trudu, by pozostać niezauważonym.

Tor polubił poczucie humoru Cloota, a jego samego zaczynał już darzyć szczerą sympatią.

Jaką magią cię obdarzono?

Clout tradycyjnie wzruszył ramionami.

Tak naprawdę to nie wiem, bo nie próbowałem jeszcze nic robić. Byłem zaskoczony, gdy do ciebie wczoraj przemówiłem i prowadziliśmy niesłyszalną dla innych rozmowę.

Gdybym nie był w takim trudnym położeniu, zatańczyłbym z radości.

Ktoś cicho zapukał do drzwi. Tor dwoma susami przemierzył pokój i otworzył. Była to młodziutka służąca, niosąca nowe świece i wodę. Tor wpuścił ją i zauważył, że dziewczyna z przerażeniem wpatruje się w Cloota, który rozsądnie udawał śpiącego. Gdyby rozgadała, że jest przytomny i wyleczony, znów znaleźliby się w niebezpieczeństwie. Tor w pierwszej chwili był pod wrażeniem przytomności umysłu przyjaciela, a gdy Cloot otworzył usta i zaczął potwornie chrapać, dziewczyna pisnęła z przerażeniem i wybiegła z pokoju.

Wścibska bestia.

Tor westchnął.

I co teraz, obrońco mój?

Pójdę tam gdzie ty, Torkyn. Pamiętasz, jesteśmy sprzężeni. Nie, żeby specjalnie chciałem. W mojej ojczyźnie jest mnóstwo ciekawszych rzeczy do roboty. Mogłbym na przykład być teraz w drodze do kuchni cioteczki Batt - mruknął marzycielsko Cloot.

Dobrze zatem. Jeśli nie masz planów, opowiem ci o moich. Jutro wieczorem wymkniemy się stąd w sekrecie i wyruszymy do Tal. Muszę tylko załatwić dla ciebie konia. Później będziemy improwizować. I kimże, na Światłość, jest ta cała cioteczka Batt?

U PANNY VYLET

Kilka godzin później kłócili się tak zawzięcie, że gdyby nie łącze mentalne, słyszałoby ich całe miasto.

Nie zrobię tego!

Cloot, musisz mi zaufać - błagał przyjaciela Tor.

Zaufać? I co, złapiesz mnie na magiczną poduszkę, gdy będę spadał? A może rzucisz czar, który z powrotem wciągnie mnie na górę? - Cloot powstrzymał się, nim na dobre uderzył w szyderczy ton. Nienawidził wysokości i propozycja Tora wydała mu się nie do przyjęcia.

Tor wyciągnął rękę i ścisnął dłoń przyjaciela.

Nie. Zaufaj mi. Po prostu nie pozwolę ci spaść.

Gdzie ty, tam i ja - mruknął Cloot z ponurą rezygnacją.

Posłuchaj więc. Wykombinowałem wszystko i zrobiłem próbę. Musimy tylko przebiec przez kilka dachów, a potem stosunkowo łatwo zdołamy się spuścić na ziemię. Aha, jeszcze jedno: będziesz miał na sobie spódnice i szal, są tutaj.

Tor wskazał leżący w rogu worek i szybko wyszedł z pokoju, zatrzasnąwszy łącze, nim Cloot zdążył ryknąć.

Została mu do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Musiał się przejść do portu i znaleźć burdel o nazwie U Panny Vylet. Na szczęście otrzymane wskazówki okazały się prawidłowe. Burdel przylegał do Bocianiego Gniazda, oberży cieszącej się dużym wzięciem wśród kapitanów statków i ich pasażerów. Tor spodziewał się zobaczyć obskurną dzielnicę, ale budowle były dobrze utrzymane.

Wszedł do środka i niemal się zatoczył, gdy w uszy buchnął mu zgiełk setki głośnych rozmów, przekrzykujących pijackie śpiewy. Wokół gości unosiła się niebieskawa mgiełka dymu tytoniowego. Tor rozejrzał się w poszukiwaniu Eryonii, a kiedy jej nie dostrzegł, poczuł bolesne ukłucie zawodu. Przepychając się, dotarł do baru i zamówił piwo. Zapłacił miedziankami, obrócił się plecami do lady i, wsparty na łokciach, obserwował przebieg zdarzeń.

Napoje i dania podawały kobiety ubrane prowokacyjnie w jedwabie z wielkimi dekolcami i odsłoniętymi ramionami. Kilka innych siedziało na kolanach klientów, podpalając im fajki. Panna Vylet była sprytną kobietą: serwowała dobre piwo, a dobiegające z kuchni zapachy poinformowały Tora, że ma do czynienia z porządną restauracją. Kto raz tu przyszedł, z pewnością chętnie wracał. Vylet brała pieniądze nie tylko za jedzenie, alkohol i nocleg; wystarczyło przejść do sąsiedniego budynku, by wydać ich więcej na zaspokojenie innych potrzeb.

By wzmóc w gościach te potrzeby, Vylet wystawiała swoje piękne dziewczęta na pokaz w bardzo skuteczny sposób. Tor przyglądał się, jak młoda, czerstwa dziewczyna w obcisłej szkarłatnej sukni celowo nisko pochyla się nad stołem, by oczarować swoim idealnie zbudowanym ciałem trzech bogatych facetów, którzy właśnie skończyli jeść. Siedzący najbliżej miał tak dobry widok na jej gładkie, jędrne piersi, że był gotów na miejscu negocjować cenę. Dziewczyna, rzecz jasna, dobrze o tym wiedziała. Potem dostrzegła kogoś na półpiętrze i ruszyła w tamtym kierunku, a facet za nią. Nawet nie zdążył się zastanowić.

Tor podążył za jej wzrokiem i ujrzał szczupłą, wyprostowaną damę w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat. Miała ciemne, bystre, wszytkowidzące oczy. Dostrzegłszy jego spojrzenie i uśmiech, odpowiedziała rozbawionym uniesieniem brwi.

„To musi być panna Vylet” - pomyślał.

Obejrzawszy się, zauważył, że przy stole, od którego odeszła dziewczyna w szkarłatnej sukni, pojawiła się już jej równie piękna następczyni i ochoczo przystąpiła do sprzątanía. O tak, panna Vylet to naprawdę sprytna kobieta, stwierdził. I bez wątpienia bogata, ponieważ pieniądze w jej lokalu przechodziły na drugą stronę lady szybko i w dużych ilościach.

Wypił zawartość kufła. Przepychając się przez tłum w kierunku drzwi, zawadził o rękę mijanego klienta i wylał mu piwo. Pospieszył z przeprosinami, ale tamten dobrodusznie machnął ręką i schylił się, by wytrzeć pianę ze spodni. W tym momencie Tor dostrzegł znajomą kaskadę kruczoczarnych włosów. Zamarł, widząc Erynię siedzącą na kolanach jakiegoś mężczyzny i prowadzącą z nim ożywioną rozmowę. Potem człowiek wycierający spodnie wyprostował się i Tor znów stracił dziewczynę z oczu.

Przesunął się bliżej drzwi, by mieć na nią lepszy widok. Wyglądała olśniewająco. Jej towarzysz śmiał się z jakiejś opowiadanej przez nią historii, głaszcząc ją owłosioną ręką po plecach, ledwie osłoniętych przez zwiewną karmazynową suknię. Dziewczyna drażniła się z nim rozbawiona. Tor zawrzał gniewem. Nie miał do tego prawa, ale nie potrafił opanować wzbierającej w nim furii.

Obok niego przepychała się przez tłum kobieta niosąca tackę z drinkami. Tor dotknął jej łokcia.

- Nie stać cię na mnie, synku - powiedziała przyjaźnie. - Choć naprawdę bym chciała.

Jej rozbawienie i insynuacja szybko rozproszyły w nim gniew.

- Przepraszam - rzekł. - Nie o to mi chodziło.

- A... cóż, szkoda. - Uśmiechnęła się.

- Zastanawiałem się, czy może mi pani powiedzieć, na czyich kolanach siedzi Erynia...

Hm, jeśli to nie narusza tutejszych zasad. - Dla lepszego efektu obdarzył ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

- No, trochę narusza, ale... - Jej wahanie upewniło Tora, że czar podziałał. - A gdzie ona jest? - zapytała kobieta, rozglądając się.

- Tam, w kącie. - Tor kiwnął głową w tamtym kierunku, ale celowo stał odwrócony plecami do Eryni.

- A, już widzę. To kapitan Margolin. Uwielbia ją. Zawsze tu przychodzi, kiedy jest w Hatten, wydaje kupę pieniędzy i odmawia wszystkim innym dziewczynom.

Tor czuł się podle, ale dobrze to kamuflował. Uśmiechnął się szeroko.

- Rozumiem. Czy będę kusił los, jeśli spytam, na jakim statku pływa ten kapitan? - zapytał, rozmyślając intensywnie i wciąż uśmiechając się słodko.

- Niech no pomyślę. Hm, musiałbyś się upewnić u kogoś, kto jest lepiej zorientowany, ale wydaje mi się, że łajba nazywa się „Majestat”. A co, coś z nią nie tak?

I to podsunęło Torowi pomysł.

- Nie, ja... ja po prostu mam wiadomość dla Eryni - powiedział tonem sugerującym, że nie chodzi o nic ważnego.

- Jestem jej przyjaciółką. Mam na imię Elynor. Przekażę jej, ale musisz się pospieszyć. - W skazała głową półpiętro, z którego obserwowała ich panna Vylet.

Tor pokręcił swobodnie głową, jakby rozważał propozycję.

- Dzięki, ale nie będę ci zwracał głowy. Zobaczę się z nią później.

Rzucił dziewczynie nieszczery uśmiech i odwrócił się, by odejść.

Elynor prychnęła za jego plecami.

- To sobie poczekaasz, przystojniaczku. Margolin kupuje ją na całą noc.

Tor poczuł mdłości. Wyszedł na zewnątrz i zaciągnął się mocno ożywczym nocnym powietrzem, by oczyścić nozdrza z dymu, a umysł z hałasu. Co za głupota. Powinien po prostu zapomnieć o Eryni i wrócić do swojej gospody. Podniósł głowę i zobaczył małego chłopca, który akurat go mijał. Tor zagwizdał na niego.

- Chcesz zarobić duka?

- Nie kurwię się.

Odpowiedź chłopca zszokowała Tora. Mały nie miał więcej niż osiem lat.

- Nie pamiętam, żebym cię prosił o... hm...

- Większość ludzi przychodzi tu właśnie po to - rzekł chłopiec, wskazując drzwi lokalu. - Albo chcą przerznąć jakąś laskę, albo jakiegoś faceta, a mnie mieliby ochotę sobie wziąć na rozgrzewkę. Mieszkam w pobliżu i po prostu uwielbiam, jak się do mnie dostawiają. Ciągłe mnie nagabują, czy nie chcę zarobić paru groszy. - Gapił się na Tora, który na chwilę zapomniał języka w gębie. - No, drągalu, jak mam zarobić tego duka? - Chłopak pstryknął Torowi palcami przed nosem, by go przywrócić do rzeczywistości.

- Posłuchaj, krasnalu - odparł Tor, odzyskując poczucie humoru - dam ci duka, a ty wpadniesz do tej gospody, udając, że przybiegłeś aż z doków. Musisz znaleźć niejakiego kapitana Margolina, siedzącego we wnęce o dwa okna od miejsca, w którym stoimy, i powiedzieć mu, że na jego statku wybuchł pożar. Łajba nazywa się „Majestat”. Powiedz mu, że ma tam natychmiast lecieć. Potem wybiegnij najszybciej, jak potrafisz, a ja będę na ciebie czekał za następnym rogiem z drugim dukiem.

Chłopak tylko raz mrugnął.

- Dobra. Dawaj forszę.

- Chwila. Powtórzmy wszystko. - Tor nie wierzył, że dzieciak zapamiętał instrukcje.

- Słuchaj, gościu, mam tę robotę czy nie? Jestem spóźniony, a kiedy dostaję baty od matki, nie ma znaczenia, czy zarobiłem parę dodatkowych groszy, czy nie. Albo dajesz kasę, albo znikam.

Bezczelny typek. Tor wyjął monetę, wrzucił ją w drobną dłoń chłopca i kazał mu się pospieszyć. Nie zdążył powiedzieć nic więcej, a mały już wpadał do gospody z udawanym przerażeniem na twarzy. Tor z zachwytem przyglądał się przez okno znakomitemu występowi dzieciaka, który przedzierał się dramatycznie przez gąszcz nóg pijanych klientów, raz nawet się potykając i pozwalając sobie na mrugnięcie przez szybę. By obejrzeć finał, Tor musiał się przesunąć do następnego okna. Z początku kapitan był rozbawiony, potem jednak, gdy chłopiec z rozszerzonymi, błyszczącymi oczyma wyrzucał z siebie słowa, wymachując przy tym rękami, męczył go coraz większy niepokój. W końcu Margolin łagodnie zsadził sobie Erynię z kolan, poszperał w kieszeni i rzucił jej kilka monet, po czym przypomniał sobie o czymś, obrócił się i pocałował ją w rękę, by wreszcie wskazać na drzwi, tłumacząc coś. Chłopak ruszył do wyjścia, lawirując między nogami i stołami. Kapitan nie mógł dotrzymać mu kroku.

Tor pędem pobiegł ulicą i ukrył się za rogiem. Nie minęło więcej niż kilka sekund, a jego mały wspólnik zjawił się tam z uśmiechem samozadowolenia.

- Dawaj drugiego - powiedział, nawet niezdyszany.

- Nie ma sprawy. Widzę, że jesteś oblatany w takiej robocie.

Torowi spodobał się ten dzieciak z niesforną szopą czarnych włosów i zielonymi oczyma. Dołożył mu jeszcze jedną monetę.

- Ja cię! Trzy!

- Zasłużyłeś. Jak masz na imię?

- Locklyn... Locky. - Chłopakowi świeciły się oczy na widok trzech monet.

Słyszeli, jak Margolin biegnie w przeciwnym kierunku, ku dkom. Parsknęli śmiechem.

- Ja jestem Tor. Świetnie się spisałeś.

- Mam nadzieję, że jest tego warta, Tor. - Locky uśmiechnął się od ucha do ucha, mrugnął i zaczął się oddalać.

- Hej! Mam nadzieję, że matka za mocno cię nie zleje! - zawołał za nim Tor.

Locky obejrzał się przez ramię.

- Skłamałem, nie mam mamy. Siostra się mną opiekuje! - rzucił i zniknął.

Tor ruszył z powrotem do gospody i zaczął się rozglądać za Erynią. Znalazł ją stojącą wraz z Elynor przy barze, gdzie obie czekały z tackami na realizację zamówień. Erynia wyglądała na zirytowaną, a Elynor coś jej tłumaczyła.

Tor rzucił okiem na pannę Vylet, której wszystkowiedzący wzrok spoczywał na nim od momentu, w którym chłopak po raz drugi przekroczył próg lokalu.

Obyś miał pieniądze, by za nią zapłacić, młodzieńcze - zabrzmiał mu w głowie spokojny, opanowany głos.

Tor nie potrafił ukryć szoku. Stał jak wryty, mając wielką nadzieję, że nie opadła mu szczęka.

Mam - rzucił kontrolnie poprzez łącze.

Zatem witaj w domu panny Vylet.

Pooraną zmarszczkami twarz rozjaśnił promienny uśmiech, dając Torowi pojęcie o tym, jaką piękną musiała być panna Vylet za młodu. Uśmiechnął się w odpowiedzi, szybko jednak mina mu zrzędła, bo na jego głowie wylądowała zawartość kufła piwa. Powinien był to przewidzieć.

- Ty draniu! - Erynia rzuciła się na niego z kuflem, który boleśnie uderzył go w kość policzkową.

Głowy obracały się ku nim, a ci, którzy znajdowali się najbliżej, zanosili się śmiechem. Erynia bardzo uważała, by przy okazji nie oblać żadnego z pozostałych klientów.

- Jak śmiałeś! - wrzasnęła.

Mimo niewygodnej sytuacji Tor zauważył, że jej włosy lśnią ślicznie, a potem, w chwili dziwnej jasności, przypomniał sobie polecenie Merkhuda, by nie rzucać się w oczy podczas podróży. Tymczasem on rzucał się w oczy w sposób tak spektakularny, że aż bolało. Najpierw scena na rynku, potem ceremonia zaślubin, a teraz to. Był już tym wszystkim zmęczony i jego cierpliwość się wyczerpała. Chwycił Erynię za łokieć i wyprowadził na zewnątrz, nie bacząc na protesty.

Zaraz wracamy - rzucił w kierunku panny Vylet i usłyszał w głowie jej cichy śmiech, po czym kobieta zamknęła łącze.

Nocna bryza schłodziła jeszcze piwo na głowie Tora, ale im bardziej Erynia się wrywała, tym mocniej chłopak ścisnął ją za ramię. W końcu przestała walczyć i wygięła usta w podkówkę.

- Skoro nie miałeś ochoty więcej mnie widzieć, po co ten liścik? - zapytał Tor, wymachując jej przed nosem zmiętym kawałkiem papieru.

- Chciałam sprawdzić, czy będziesz miał odwagę jeszcze raz się ze mną spotkać - burknęła, zginając i prostując mały palec, co miało sugerować, że Tor nie jest mężczyzną w dostatecznym stopniu, by to zrobić.

- No, ale przyszedłem, prawda? - Nie potrafił wymyślić żadnej mądrzejszej odpowiedzi.

- Owszem. Choć wolałabym, żeby cię tu nie było. Kapitan Margolin płaci mi mnóstwo forsy, a ty właśnie mnie jej pozbawiłeś. Od początku lata czekałam na niego. Ranisz mnie.

Z trudem powstrzymywała się od łez, co zmiękczyło serce Tora, zmieniając gniew w znużenie tym dziwnym życiem, które ostatnio prowadził. Puścił dziewczynę.

- Przepraszam za kapitana, Erynio. Naprawdę mi przykro. Przyszedłem tu, żeby ci powiedzieć, że żałuję tego, co się zdarzyło wczoraj wieczorem. To nie miało nic wspólnego z tobą. Chciałbym móc ci to lepiej wytłumaczyć. - Westchnął, wspominając tamte chwile. - Pragnąłbym wymazać z pamięci wczorajszy dzień. Ale nie potrafię zapomnieć o tym, jak jesteś piękna i zabawna i jak bardzo jestem ci winien przeprosiny. Cóż więc: przepraszam.

Odgarnął włosy z twarzy i Erynia przyglądała mu się w milczeniu, zdumiona jego nieświadomością własnej urody.

- Dam ci sztukę złota, która, mam nadzieję, wynagrodzi straty spowodowane zniknięciem Margolina.

Wyrzebał z kieszeni swoją ostatnią monetę, ciężkiego złotego suwerena, włożył jej w rękę i zamknął pięść. Potem pochylił się, ucałował dłoń trzymającą pieniądz i odszedł.

- Tor, zaczekaj!

Dziewczyna próbowała go ścigać, ale przyspieszył kroku. Podkasła suknię i ruszyła biegiem. W końcu udało jej się złapać go za mokrą kurtkę i obrócić ku sobie. Na Światłość! To naprawdę był najprzystojniejszy facet, jakiego widziała w życiu.

- Proszę, Tor, zaczekaj... - wysapała. - Umrzesz na zapalenie płuc, nim dokądkolwiek dotrzesz.

Wydało jej się, że widzi w twarzy chłopca ból i nagły smutek. Zaczęło mżyć i ludzie chowali się do bram. Wzmógł się też wiatr, który teraz wiał im prosto w twarz.

Torkyn wbił w dziewczynę spojrzenie swoich niewiarygodnie niebieskich, lecz zmęczonych oczu.

- Leć z powrotem, Erynio, bo inaczej sama się przeziębisz, a to może fatalnie wpłynąć na interesy.

Skrzywił się na myśl, jak jest wredny, i zauważył, że ona też nie przyjęła tego obojętnie.

Zapach i bliskość Erynii przypomniały mu o Alyssie i ogarnął go naraz wielki smutek. Musiał iść. Jej spojrzenie wwiercało mu się w oczy, szukając tam czegoś. Tor pochylił się, ucałował ją w czubek głowy i oderwał jej dłoń od swojej koszuli.

- Żegnaj, Erynio. Powodzenia.

- Niech cię diabli, Torkynie Gynt, nie możesz tak po prostu rzucić mi monety i odejść. Mógłbyś przynajmniej odebrać to, za co zapłaciłeś.

Chciał już odejść.

- Jeśli tak ci zależy, znajdź Margolina i powiedz mu, żeby cię przerznął na mój koszt.

Była wyraźnie wstrząśnięta. Najpierw złapała się za gardło i Tor znenawidził siebie. Potem dziewczyna z całej siły zdzieliła go w twarz, a następnie odwróciła się i bez słowa ruszyła ulicą. Patrzył, jak odchodzi, obejmując ramiona dłońmi, by się ochronić przed chłodną, szybko przechodzącą w deszcz mżawką. Był zadowolony. Sprawa nie została zakończona, ale wyrównał rachunki.

Piekła go twarz. Włożył ręce w kieszenie i zaczął się oddalać od Bocianiego Gniazda. Pomyślał o Alyssie, rzucił impuls w dobrze znany kanał i, zgodnie z przewidywaniami, znalazł pustkę. Dałby wszystko, by móc jeszcze raz przytulić ukochaną.

Sprawdził, co się dzieje z Clootem. Ten spał smacznie i Tor z zadowoleniem poczuł, że przyjaciel jest już w pełni sił. Gdy skręcał za róg, by odejść w kierunku centrum miasta, w

jego myśli wdarł się nagle łagodny głos panny Vylet.

Ona na to nie zasługuje.

Tor zaskoczył samego siebie natychmiastową, lakoniczną odpowiedzią:

Niech pani się nie wtrąca, panno Vylet.

Szedł dalej.

Co za tchórzostwo, Torkyn. Mam nadzieję, że następnym razem Merkhud dokona lepszego wyboru.

I z hukiem zatrzasnęła łącze.

Merkhud! Wiedziała o Merkhudzie. W głowie Tora zaroilo się od myśli.

Kim wy wszyscy jesteście? - wrzasnął w łącze, po czym puścił się biegiem. Pędził z powrotem w kierunku Bocianiego Gniazda. W gospodzie nadal panował ruch, ale tłum trochę się przerzedził. Nigdzie nie było widać ani panny Vylet, ani Erynii.

- To znowu ty?

Elynor w jednej ręce niosła tackę, drugą trzymała na biodrze.

- Gdzie znajdę pannę Vylet?

- Jest obok. Więcej ci nie powiem, kochasiu, kimkolwiek jesteś - powiedziała Elynor i oddaliła się.

Wciąż lekko drżąc, Tor przedarł się przez ciężkie kotary zasłaniające mały korytarzyk, który łączył burdel z gospodą. Hałas za plecami ucichł, gdy chłopak przedostał się przez następne, jeszcze szczelniej zasłonięte przejście do rzęsiście oświetlonego hallu. Zza niewielkiego parawanu wychynęła oszałamiająco piękna dziewczyna w złotej sukni z wielkim dekoltem. Uśmiechnęła się do Tora.

- Witam pana - powiedziała, po czym zająknęła się, widząc, jaki jest młody. - Czy... czy mogę w czymś pomóc?

- Owszem, możesz - odparł Tor, znów siebie zaskakując.

- Panno...? - Zerknął na nią pytająco, a ona natychmiast się przedstawiła.

- A zatem, panno Myo, szukam Erynii. Zdaje się, że przybyła tu przed chwilą.

Mya właśnie miała odpowiedzieć, gdy Tor poczuł, że ktoś za nim stoi. Odwrócił się.

- Dobry wieczór.

- Przedstawiam panu pannę Vylet - rzekła pośpiesznie dziewczyna.

Tor podszedł do starszej kobiety, pochylił się i pocałował ją w rękę.

- Miło znów panią spotkać - powiedział na głos, by i Mya mogła usłyszeć. Po czym dodał przez łącze: - *Zdaje się, że mamy wiele do obgadania.*

Istotnie - odparła i przerwała transmisję.

- Myo, pan Gynt i ja mamy wspólnego znajomego. Proszę przyprowadzić Erynię do mojego gabinetu, gdy po nią zadzwonię. Tymczasem chciałabym napić się wina z tym przystojnym dżentelmenem. Czy mogłabyś nam je przynieść?

Po tych słowach odwróciła się od zdumionej dziewczyny, podała ramię Torowi i poprowadziła go wzdłuż korytarza do swoich prywatnych pokoi. Jej salon był najelegantszym miejscem, jakie Torkyn kiedykolwiek widział, chociaż od razu przyznał, że nie miał okazji oglądać wielu eleganckich pomieszczeń. Panna Vylet skwitowała ten komentarz ciepłym uśmiechem i poprosiła go, by się rozgościł w jednym z dużych foteli przy niewielkim kominku.

Tor rozsiadł się i wchłaniał ciepło. Czy istniało coś jeszcze, oprócz porannej kąpieli, co sprawiałoby mu taką przyjemność? Hm. Pocałunek Alyssy, ciepłe ciało Eryni leżącej w łóżku obok niego... Potrząsnął głową, by oddalić te wspomnienia. Gospodyni trzymała w rękach małą tackę i zamykała za kimś drzwi, dziękując. Na tacce znajdowała się karafka z winem śliwkowej barwy i małe kieliszki.

- Lubię wypijać co wieczór odrobinę betanii - powiedziała, nalewając gęsty napój stanowiący specjalność północnego Tallinoru. Podała kieliszek Torowi, przygotowała sobie drugi i usiadła naprzeciw gościa. Wzniesli toast w milczeniu. Panna Vylet siedziała swobodnie, a Tor był tak zmęczony, że z radością przyjmował tę ciszę. Zaczynał się przyzwyczajać do tego, że ludzie mu się przyglądają. Na wszelki wypadek zamknął jednak umysł. Czuł się z tym dziwnie, lecz bezpiecznie.

Vylet sprawdziła go i była pod wrażeniem.

- Widzę, że otoczyłeś się zasłoną.

- To chyba konieczne, nie sądzi pani? - rzucił, nie mając zamiaru jej urazić.

- Istotnie. Tyle że znacznie spóźnione. Dam ci drobną radę. Naucz się zawsze zamykać umysł przed wszystkimi z wyjątkiem tych, z którymi chcesz mieć kontakt. Takich jak...

Czekała, aż Tor poda jakieś imię.

Pokręcił głową, nie wiedząc dlaczego. Może instynkt mu to podpowiedział.

- Obecnie nie ma nikogo, kto mógłby ze mną w ten sposób rozmawiać. Rzecz jasna, z wyjątkiem pani, panno Vylet.

To rzekłszy, Tor dopił przepyszną betanię i ostrożnie postawił kieliszek z powrotem na tacce.

- Och, daj spokój, Torkyn. A medyk Merkhud, na przykład?

- Może potrafi to robić, ale nigdy tego nie uczynił - odparł dyplomatycznie Tor.

- I nikt inny nigdy nie rozmawiał z tobą przez łącze? - Vylet nie potrafiła ukryć ciekawości.

- Cóż, była jedna taka osoba, ale łącze zostało uszkodzone i dawno utraciliśmy kontakt.

Powiedział prawdę. Udając głupiego, Tor postawił swoją gospodynię w niewygodnej sytuacji: albo będzie musiała dążyć dalej, zdradzając coś więcej niż zwykłą ciekawość, albo da mu spokój. Jej milczenie wyrażało przekonanie, że Tor nieźle by sobie radził w kręgach dyplomatycznych królewskiego dworu.

- W każdym razie rozważ moją radę, Tor. To ci dobrze zrobi.

- Panno Vylet, czy mogę o coś spytać?

- Jasne.

- Ile musiałbym zapłacić, gdybym chciał kupić Erynię na całą dzisiejszą noc?

Tor zachował powagę mimo wyrazu zdumienia na twarzy Vylet. Z pewnością nie tego pytania oczekiwała.

- Na Światłość, chłopcze! A wiedziałbyś, co z nią robić?

Kieliszek Vylet zamarł w połowie drogi do ust.

- To już chyba mój problem.

Kobieta otrząsnęła się z oszołomienia.

- Cóż, może ją o to spytasz? - Sięgnęła po sznurek od dzwonka i pociągnęła. - Zaraz tu będzie. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Oczywiście. Chodzi o Merkhuda. Skąd pani zna jego i mnie i co, jeśli cokolwiek, łączy naszą trójkę?

- Znałam Merkhuda przez większość swego życia. I chyba przez cały ten czas potajemnie go kochałam. - Wymknęło jej się krótkie parsknięcie. - Jesteśmy lojalnymi przyjaciółmi i często z sobą rozmawiamy.

- Przez łącze?

- A jakże. Przecież nie będzie przychodził do burdelu. A jeśli chodzi o ciebie, wspomniał, że pojawisz się w Hatten, i poprosił, żebym nad tobą czuwała.

- Czy mogę zapytać, jak miała pani to robić?

- Erynia, Petyr, Locky. W tej czy innej formie wszyscy troje są na moich usługach.

Tym razem to ona triumfowała, widząc zdumienie na twarzy gościa.

- Czy mam przez to rozumieć, że zaplanowała pani te wszystkie spotkania?

- Istotnie.

- A Clout?

- To ten kaleka, któremu pomogłeś wczoraj na rynku?

Tor skinął głową.

- Nie, o nim nic nie wiem. A przy okazji, co się z nim stało?

Vylet wyciągnęła dłonie w stronę ognia.

- Och, zapłaciłem za pokój w gospodzie i załatwiłem mu opiekę miejscowego lekarza.

Dziś zniknął. Nie wiem, co się z nim stało. Medyk mówił, że prawdopodobnie umrze. Mogę się tylko cieszyć, że nie zrobił tego na mój rachunek.

Tor znów gładko skłamał, zastanawiając się, czy uczynił to instynktownie. Coś go skłaniało do zachowania jak najściślej tajemnicy w sprawie Cloota. Panna Vylet kiwała głową. Na szczęście w tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Wejdz, Erynio - rzekła gospodyni.

Pojawiła się Erynia, przebrana w półprzejrzystą, jasnoniebieską sukienkę. Tor wziął głęboki oddech i wstał. Erynia odwróciła od niego wzrok.

- Wzywała mnie pani, panno Vylet?

- Tak. Erynio, znasz obecnego tu pana Torkyna Gynta?

Erynia skinęła głową, nie odrywając wzroku od czubków satynowych pantofli.

- Pan Gynt zadał mi właśnie niezwykle pytanie - kontynuowała panna Vylet. - Chciałby spędzić z tobą dzisiejszą noc, a raczej to, co z niej zostało. Zapytał mnie, ile by to kosztowało, a ja pomyślałam, że będzie najlepiej, jeśli załatwicie to między sobą. Obawiam się, że zbyt wiele już między wami zaszło, abym mogła swobodnie podjąć decyzję. Wybór należy do ciebie, moja droga.

Erynia w końcu spojrzała na Tora. Oczy płonęły jej gniewem.

- Już mi zapłacił, proszę pani. Złotego suwerena. - Wrzuciła ciężką monetę w dłoń starszej kobiety. - To więcej, niż trzeba, by mnie kupić na jedną noc.

Powiedziała to, nie odrywając od Tora wściekłego wzroku.

- W takim razie, moja droga, chyba powinnaś mu pokazać jeden z naszych specjalnych pokoi.

Po tych słowach panna Vylet odwróciła się do Tora i serdecznie życzyła mu dobrej nocy.

- Przyjemności, panie Gynt. Proszę nas odwiedzić, gdy znowu będzie pan w Hatten. Pozdrowienia dla naszego wspólnego przyjaciela i niech się panu wiedzie w Tal.

Zniknęła w drugich drzwiach gabinetu. Zaległa nieznośna cisza.

- Proszę za mną - powiedziała Erynia łamiącym się głosem.

- Erynio, poczekaj chwilę. - Tor czuł się nad wyraz niezręcznie. Pomysł, by spędzić z

Erynią noc, jakoś przestał mu się podobać.

Zignorowała go.

- Proszę tędy.

Wyszła z pokoju. Tor zawahał się chwilę, ale nie pozostawało mu nic innego, jak tylko podążyć za nią. Dotarła już na szczyt schodów i znikła w ciemnym korytarzu, słabo oświetlonym przez migoczące płomyki świec. Tor wspiał się na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz, i zobaczył Erynię wchodzącą do pokoju znajdującego się na samym końcu korytarza.

Szedł powoli, powłócząc nogami. To wszystko wydawało mu się nie w porządku. Światłość mu świadkiem, że dziewczyna była piękna, a najpiękniejsza wtedy, gdy się gniewała i oczy błyszczały jej jak gwiazdy. Dotarł do drzwi. Wokół panowała taka cisza, że zapukał cichutko. Drzwi się otworzyły, a on poczuł nagle suchość w ustach. Erynia była naga.

- Zamknij, proszę. To nie potrwa długo.

Przyglądał się, jak jej kształtne pośladki z kuszącą, płynną gracją wędrują ku łożu z baldachimem. Zasunęła kotary.

- Kiedy tylko będzie pan gotów, sir - mruknęła, nie zadając sobie zbyt wiele trudu, by ukryć sarkazm.

Dość tego. Tor przemierzył pokój i odsunął kotary z taką siłą, że dziewczyna niemal wrzasnęła. Zamiast tego jednak naciągnęła kołdrę na szczupłe ramiona i patrzyła na niego gniewnie.

- Dość tego, Erynio. To wszystko ani mi się podoba, ani mam w tym swój udział. Wybrałaś mnie do ceremonii zaślubin, a teraz dowiaduję się, że byłaś szpiegiem panny Vylet. Kazano ci mnie znaleźć i zrobiłaś to bardzo sprytnie, gdy tylko przybyłem do Hatten. Potem Petyr w łaźni, wreszcie Locky... Rozumiem, że wszyscy jesteście „przyjaciółmi”? - Pokręcił głową, bolejąc nad swoją łatwownością, ale nim dziewczyna zdążyła się odezwać, uniósł rękę, nakazując jej milczenie. - Dziękuję ci za udział w tak skomplikowanej intrydze. Suweren jest twój. Zapracowałaś na niego.

Zasunął kotary, podszedł do małego stolika, na którym stało wino, pociągnął łyk, po czym bez słowa skierował się ku drzwiom.

- To moi bracia, nie przyjaciele - rzuciła Erynia gwałtownie, choć wciąż urażonym tonem.

- Co?

- Powiedziała, że Petyr i Locky są moimi braćmi. - Wysunęła głowę zza kotary. - Nie idź - powiedziała cicho i znikła, by po chwili pojawić się znowu, tym razem już w

satynowej sukience. - Mówię poważnie. Nie odchodź, Tor... - Podeszła do niego, mimo oporu wzięła za rękę i zmusiła, by usiadł obok niej przy kominku. - Tak zimno dziś na dworze...

Tor parsknął krótkim śmiechem.

- Zwłaszcza po zimnym prysznicu.

Dziewczyna nie wypuściła jego ręki; zamiast tego zaczęła ją masować.

- W porządku. Żadnych przeprosin. Po prostu rozejm. Zgoda?

- Zgoda - odparł z ulgą Tor. - Co teraz?

- Skończymy to, co zaczęliśmy ubiegłej nocy, tyle że tym razem wszystko będzie na serio. Jestem tu, bo tak postanowiłam, a nie dlatego, że mi kazano albo że mi zapłaciłeś.

- Masz potworny charakter pisma, wiesz? - powiedział nagle, przypominając sobie liścik.

Zaśmiała się.

- Ciesz się, że w ogóle umiem pisać. Większość dziewcząt tego nie potrafi.

- Kto cię nauczył?

- Margolin i kilku innych, którzy polubili mnie dość, by poświęcić część opłaconego przez siebie czasu na uczenie mnie, a nie... - Tor zamknął jej usta dłonią, nim zdążyła skończyć.

- Nie mów tego, Erynio. Jesteś więcej warta.

- Czyżby? - zapytała tęsknie. - Raczej nie. Naprawdę lubię to życie, Tor, więc nie próbuj mnie zmienić.

Mówiła serio. Przyciągnął ją do siebie.

- Czy mogę przynajmniej dokończyć pocałunek? Gdybyś tylko wiedziała, jaki byłam wściekły, zbudziwszy się i zobaczywszy, że zaprzepąściłem swoją szansę.

Gdy dziewczyna zwróciła ku niemu twarz, cała powaga ulotniła się. Całowali się łagodnie, potem namiętnie. W końcu Erynia oderwała usta i przyglądała się twarzy Tora.

- Czy ten pocałunek był przeznaczony wyłącznie dla mnie, czy też jest nas w tym pokoju więcej?

- Hm, może gdzieś po kątach siedzi parę innych - droczył się z nią.

Zamachnęła się na niego żartobliwie i próbowała wstać. Tor złapał za sukienkę, chcąc ją przytrzymać, a wtedy tkanina zsunęła jej się z ramion. Erynia pognała w stronę łóżka, a Tor ruszył za nią. Ciężko opadli na materac i nagle usłyszeli złowieszczy chrzęst. To pękła główna belka łóżka. Oboje parsknęli śmiechem, a im bardziej uciszali się nawzajem, tym głośniejsze się śmiali.

- Na Światłość! Co powie panna Vylet? - zapytała Erynia, uspokoiwszy się w końcu.

- Nie przejmuj się tym - odrzekł, całując jej ramiona, a potem szyję.

- Zdejmij te obrzydliwe ciuchy - powiedziała Erynia rozmarzonym głosem, podczas gdy Tor przesuwiał palcem wzdłuż jej ciała. - I nie bądź taki nieśmiały. Wiem, że to twój pierwszy raz. Trafiłeś na najlepszą nauczycielkę w tej części kraju!

Kiedy zdejmował mokrą koszulę i spodnie, gdzieś na skraju umysłu zamajaczyła mu niespodziewanie postać marszałka Cyrusa. Co dziwniejsze - Cyrus wzywał go na pomoc. Gdy jednak Tor pochylił się nad ciałem Eryni, wizja znikła.

PUNKT ZWROTNY

Kompania Królewska spokojnie posuwała się drogą wiodącą do Tal. Nie było potrzeby poganiać koni ani ludzi. Jedni i drudzy niemal już czuli zapach miasta, od którego dzieliły ich co najwyżej dwa dni drogi. Wciąż panowały letnie temperatury, ale liście poczęły już zmieniać barwy, by godnie przywitać jesień. Dzieci, farmerzy, a nawet mała grupka wędrownych druciarzy witali przechodzącą kompanię uniesieniem dłoni.

Marszałek nie był zbyt szczęśliwy, słysząc odgłosy zachwyty wydobywające się z ust jego ludzi, gdy ci mijali niewielką winnicę i pracujące w niej kobiety, ale był w zbyt pogodnym nastroju, by udzielić im solidnej reprimendy. Winogrona zebrane w tym miejscu miały być użyte do produkcji smacznych, gęstych win, które potem trafią na stoły możnych, a ci będą nimi popijać słodkie dania. Tegoroczne winobranie zwiastowało wspaniałą ucztę. Cyrus był koneserem trunków i potrafił docenić słoneczną jedwabistość złotego syrica, ale jego podniebienie tęskniło zawsze za zmysłowym urokiem mocnych czerwonych win. Pomyślał o topniejących zapasach wybornego morrieta w swoich pałacowych pokojach i wyobraził sobie, że odpoczywa w ulubionym fotelu, może nawet przy kominku, bo nadchodzące noce z pewnością nie będą ciepłe. Niemal czuł w ustach smak aksamitnego płynu.

Herek zburzył jego nostalgiczny nastrój.

- Pomyślałem, że możemy dziś dotrzeć do Brewis, sir. Pogoda jest dość ładna, co oznacza, że jutro wieczorem prawdopodobnie bylibyśmy już pod murami stolicy. Może nawet w Sherwin. A stamtąd rano tylko godzinka drogi...

Herek mówił to wszystko pytającym tonem. Decyzja należała do marszałka.

Morriet wzywał.

- Zgoda. Zawiadom ludzi, niech przyspieszą. Jeśli mamy dojechać do Brewis, bądźmy tam przed zmrokiem.

Herek zrozumiał. Mała, malownicza wioska Brewis leżała na skraju jednej z długich odnóg Wielkiego Lasu. Żaden Tallinorczyk nie czuł się bezpieczny, przedzierając się nocą przez las, a konie stawały się szczególnie płochliwe, jeśli nie znalazły się w stajni na długo

przedtem, nim w tajemniczych ostępach zapadł zmrok.

Z grani, gdzie zatrzymał się Cyrus i jego dwóch adiutantów, osada była widoczna jak na dłoni. Wokół rozpościerały się pola niewiarygodnie pięknej lawendy, z której słyęła wieś. Kupowali ją wszyscy możni stolicy. Południowo-zachodnia odnoga Wielkiego Lasu, niczym wygrażający palec, celowała wprost w Brewis. Zostały im jeszcze dwie mile drogi, ale Cyrus już obmyślał położenie obozu.

- Tu, sir - odezwał się Herek, wskazując niewielką dolinę.

Cyrus zlustrował okolicę byстрыm spojrzeniem.

- To chyba najlepsze, co możemy zrobić. Pogońmy ludzi, nim zaczną się ściemniać.

To rzekłszy, pokłusował do przodu, podczas gdy Royce, drugi adiutant, przyzywał gestem żołnierzy.

Nim niebo przykrył płaszcz nocy, a chłód stał się dokuczliwy, kompania zdążyła rozbić obóz i rozpałić ognie. Marszałek nakazał rozdać żołnierzom piwo, co przyjęli z entuzjazmem, wznosząc toast na cześć dowódcy. Był im za to wdzięczny. Bardzo sobie cenił lojalność swoich ludzi i ze wszystkich sił starał się zapewnić im dobrą opiekę. Każdy z podkomendnych marszałka Cyrusa służył mu z własnej, nieprzymuszonej woli.

Jeden z zaopatrzeniowców podszedł do dowódcy i podał mu kufel piwa. Cyrus uśmiechnął się.

- Wielkie dzięki, ale dziś nie piję.

Chciał zachować trzeźwy umysł na jutrzejszą podróż; poza tym morriet był już tak blisko, że marszałek nie wyobrażał sobie picia piwa zamiast niego. Wolał poczekać.

Żołnierz wzruszył ramionami i pokuśtykał do najbliższego ogniska, mruczając pod nosem, że będzie więcej dla innych. Cyrus ponownie się uśmiechnął. Potem jego wzrok padł na adiutanta Royce'a.

- Hej, Royce, może byś tak coś zaśpiewał? - rzekł, gestem nakazując mu, by usiadł pośrodku kręgu małych ognisk.

Podczas gdy żołnierze klaskali i wiwatowali na cześć Royce'a, dopijającego piwo z lutnią w ręku, Herek zasalutował.

- Co jest, Herek? - zapytał Cyrus, podnosząc głowę.

- Wszystko zabezpieczone, sir. Czterech ludzi na warcie, po jednym z każdej strony, zmiana co godzinę.

- Dobra robota, Herek. A teraz siadaj i strzel sobie piwko. To ciągle stukanie obcasami działa mi na nerwy.

- Yyy... tak jest, sir, dziękuję, sir. - Herek na wszelki wypadek zasalutował jeszcze raz,

po czym wyruszył na poszukiwanie piwa.

Cyrus ułożył się na posłaniu. Nie spieszyło mu się do snu, chociaż czuł się syty, spokojny i rozgrzany. Royce miał świetny głos. Był dziś w doskonałym nastroju, nie tylko z powodu piwa: jako świeżo upieczony małżonek cieszył się na myśl o rychłym spotkaniu ze swoją młodziutką żoną. Śpiewał żywiołowe pieśni i popijał piwo przez resztę wieczoru, póki nie zasnął - podobnie jak cała reszta.

Cyrus zdziwił się, że nie wypito więcej. Ludzie musieli być wyczerpani, bo kładli się spać szybciej, niż przewidywał. „To dobrze - pomyślał - wyruszymy o świcie”.

Adiutant Royce, wciąż ożywiony śpiewami, zamienił się z jednym z wartowników, który padał z nóg.

- Idź spać, Cork. Postoję za ciebie.

W nagrodę otrzymał szeroki uśmiech i kolejne rozdzierające ziewnięcie. Zauważył, że Herek patrzy na niego, i poinformował go gestem, że przejmuje wartę na północy. Herek kiwnął głową. On także czuł się potwornie znużony, a mimo to dziwił się, że żołnierze tak szybko udali się na spoczynek.

Niebo zasnuło się chmurami, które odcięły blask księżyca. Nim nastała północ, cała kompania chrapała radośnie, pogrążona w lekko pijackim śnie.

Tylko Cyrus spał płytko i trzeźwo, jak miał w zwyczaju.

*

Napastnicy odczekali jeszcze godzinę, by się upewnić, że dodana do piwa mikstura zadziałała. Wyłonili się z ciemności i jeśli nawet Cyrus usłyszał ciche pohukiwanie sowy, nie przejął się nim zbyt. Gdy obracał się na drugi bok, by ogrzać sobie plecy, czterem jego wartownikom podrzynano właśnie gardła. Potem zostawiono ich, by patrzyli, jak życiodajna krew wycieka z nich i wsiąka w chłodną trawę.

Cyrus zbyt późno zauważył nieprzyjaciół. Nim zdążył się zerwać z posłania, przytknięto mu jedno ostrze do serca, drugie do gardła, a usta zamknęła silna, tłusta łapa. Walczył najlepiej, jak potrafił, zdumiony, że jego ludzie nie zbudzili się i nie ruszyli mu z pomocą. Oprawcy wylali z fiolki na chusteczkę jakiś płyn, a ciężkie opary dokończyły dzieła. Marszałek bez słowa osunął się w krzepkie ramiona.

Porzucając dotychczasową ostrożność, napastnicy owinęli Cyrusa jego kocem i ponieśli w stronę lasu. Rzucili go twarzą ku dołowi na koński grzbiet i przywiązali. Nie spieszyli się, wiedząc, że żaden z żołnierzy Kompanii Królewskiej nie obudzi się, choćby bardzo chciał, a czterech spośród nich nie zbudzi się już nigdy.

*

Cyrus powoli odzyskiwał przytomność. Silny środek sprawił, że wciąż szumiało mu w głowie, a w gardle zaschło.

Napastników było pięciu. Ledwie dostrzegał ich sylwetki wokół niewielkiego ogniska. Od czasu do czasu któryś podnosił głowę i spoglądał na niego, sprawdzając, czy się ocknął, ale Cyrus nie miał zamiaru się zdradzać. Musiał najpierw ocenić, jak poważna jest sytuacja.

Nieznacznie odemknął powieki, próbując rozpoznać kogoś ze zbirów. Zdawało mu się, że widzi niejakiego Gorona, sadystycznego dokera z Hatten, który jakimś cudem dochrapał się stanowiska nadzorcy. Tak czy owak, Cyrus nie miał z nim żadnych zatargów. Pozostałych nie znał.

Próbował myśleć logicznie. To wszystko nie miało żadnego sensu. Niepokoił się o swoich ludzi. Domyślił się już, że do piwa coś dodano, nie byłoby to jednak możliwe bez pomocy kogoś z jego żołnierzy albo, co bardziej prawdopodobne, oberżysty. Na tę myśl Cyrus skrzywił się, jakby go uderzono.

No dobrze, uspili mu ludzi, a jego uprowadzili. Ale dlaczego? Czego mogli od niego chcieć? Wszystko stało się jasne, gdy z lasu wyłoniła się znajoma postać. Corlin. A zatem chodziło o zemstę. Całe to szaleństwo kręciło się wokół zranionej dumy Corlina i jego pragnienia wzięcia odwetu na człowieku, który ośmieszył go na rynku w Hatten, gdy ten znęcał się nad nieszczęśliwym kaleką. Cyrus omal nie prychnął głośno, zde gustowany odkryciem. Ten facet był ewidentnie stuknięty.

Corlin powiedział coś cicho do siedzącej grupki, a potem okrążył ognisko, podszedł do związanego marszałka i kopnął go z całej siły. Cyrus stęknął i próbował złapać oddech, czując straszny ból w klatce piersiowej. Jedno z żeber z pewnością było złamane.

- Witam, marszałku - rzekł z udawaną służalczością Corlin. - Role się odwróciły, co?

Cyrus próbował usiąść, ale kopniak obalił go z powrotem.

- Oszczędzaj siły, Cyrus. Będą ci potrzebne - zaszydził obrzydliwie Corlin. - To będzie najdłuższy dzień twego życia, panie marszałku, a ja z przyjemnością popatrzę, jak błagasz mnie o litość.

Jego kompani zarechotali głośno i Cyrus poczuł ucisk w żołądku na myśl o tym, co mogło go czekać. Corlin wrócił do swoich ludzi. Marszałek przyglądał się, jak opróżniają niewielką beczulkę piwa. Z wyjątkiem Corlina, który nie wypił więcej niż pół kufla, porywacze byli dostatecznie pijani, by zrobić wszystko. Prawdopodobnie pozostało mu jeszcze zaledwie kilka minut do rozpoczęcia wymierzania kary.

Tak pewnie czuje się skazaniec przed egzekucją, przeszło mu przez głowę, ale szybko odsunął od siebie tę myśl. O ile bowiem więzień był zwykle winien zbrodni i akceptował

swój los, z Cyrusem rzecz miała się inaczej. Przestał już nawet odczuwać przerażenie. Był wściekły i obiecał sobie, że jeśli przeżyje - choć musiał przyznać, że szanse ma niewielkie - osobiście dopilnuje, by szybko i bezapelacyjnie wymierzono sprawiedliwość.

Corlin wstał od ogniska.

„Zaczyna się - mruknął Cyrus pod adresem drzew. Wspomniał ukochaną żonę i dziecko, od dawna nieżyjących, ale wciąż obecnych w jego sercu. Później pomyślał o swoich ludziach z nadzieją że wezmą odwet. Aż w końcu, ni stąd, ni zowąd, przed oczyma stanęła mu postać Torkyna Gynta. Widział go galopującego ku niemu z kalekim przyjacielem u boku. Szaleństwo! Marszałek skrzywił się żałośnie, zastanawiając się, dlaczego właśnie Tor przyszedł mu do głowy.

Corlin stał już przed nim.

- Podnieście tę kupę gówna - warknął.

Dwóch ludzi przytrzymało Cyrusa, podczas gdy trzeci odciął więzy od pała, po czym ponownie związał szybko ręce jeńca. Corlin splunął mu w twarz. Ślina powoli spływała po czole, potem wzdłuż nosa marszałka, a Cyrus myślał o tym, że nienawidzi stojącego przed nim człowieka bardziej niż kogokolwiek na świecie. Z wielką przyjemnością zrewanżował mu się splunięciem, które wylądowało na wargach zaskoczonego oprawcy.

- Możesz mnie pocałować w dupę, gównojadzie. Nie mogę się doczekać chwili, w której zatopię ostrze w twoim tchórzliwym gardle.

Własna zuchwałość dodała mu sił, ale euforia nie trwała długo. Gdy padła komenda: „Przybić go!”, Cyrusa ogarnęła trwoga.

Wciągnęli go między drzewa.

- Tym razem bez znieczulenia, zasrańcu. - Corlin zaśmiał się obłeśnie, a jego bezmyślne zbiry zawtórowały mu. - Zróbcie to!

Użyli ciężkiego młotka i grubych żelaznych gwoździ. Cyrus poczuł jedynie dwa silne uderzenia. Pierwsze sprawiło, że zwymiotował całą zawartość żołądka, a drugie litościwie pozbawiło go przytomności. Dwa kolejne mocne ciosy przybiły jego prawą rękę do pierwszego drzewa, a trzy następne lewą do drugiego. Gdy już tak wisiał, ocucili go wiadrem zimnej wody, by mieć rozrywkę na resztę wieczoru.

KRÓLEWSKI SEKRET

- Staruszk!

Król Tallinom potrzebował zaledwie kilku kroków, by przemierzyć wielki pokój.

Merkhud skłonił się nisko.

- Witaj, panie.

- Daj spokój z tymi uprzejmościami, Merkhud. Zachowaj to na oficjalne okazje. W tych komnatach masz po prostu pić ze mną wino i opowiadać rubaszne historyjki ze swoich wypraw. - Lorys uściskał medyka serdecznie. - Nyria i ja bardzo się za tobą stęskniliśmy.

Merkhud był szczęśliwy, że jest już z powrotem w Tal. Podróżowanie miało swoje dobre strony, ale niewiele rzeczy dorównywało wygodzie jego komnat w zachodniej wieży. Pojawił się giermek z winem i marynowanymi oliwkami, które ułożył na stole idealnie jak na kogoś tak stremowanego. Chłopak podniósł wzrok na króla i ledwie uchwycił jego mrugnięcie, a już spuścił go z powrotem, kłaniając się nisko, po czym oddalił się, by zapalić świece. Chłodny, pochmurny dzień zwiastował rychłe nadejście jesieni. Jeszcze kilka tygodni i wokół zamku zapłoną ogniska.

Merkhud pociągnął solidny łyk dobrego wina - coriela, produkowanego z winogron rosnących wyłącznie na bogatych ziemiach południa. Pomyślał o czasach, w których leczył królewskiego ojca, Orkyda; pamiętał nawet dziadka, starego króla Morta, zmarłego zaledwie w kilka dni po przybyciu Merkhuda do pałacu. Nikt nie żył dostatecznie długo, by kwestionować pozycję medyka, który spędził ostatnie półtora wieku w pałacu.

Ponieważ Orkyd przez cały okres swojego panowania toczył bitwy, Merkhud zastępował ojca młodemu, podatnemu na wpływy Lorysowi. Orkyd był człowiekiem krzepkim i bezpośrednim, Lorys natomiast bardziej przypominał matkę: średniej budowy, o śniadej cerze, czarnych włosach i głębokich, wrażliwych oczach.

Król ziewnął.

- Wybacz mi, Merkhudzie. Mój sekretarz nalega na podpisywanie papierów, czytanie papierów, autoryzowanie papierów. Gdzie się podziały stare, dobre czasy moich przodków, kiedy wystarczyło królewskie słowo?

Merkhud wiedział, jak bardzo król nienawidzi codziennej biurokracji. Mimo to Lorys był najlepszym i bez wątpienia najbardziej kochanym władcą, jaki kiedykolwiek panował w Tallinorze. Siorbiąc wino i przytakując królowi w kwestii papierów, medyk zauważył, że Lorys posiwił na skroniach. Król nosił krótkie włosy, co nie było w modzie, lecz pasowało do jego kwadratowej twarzy i króciutko przystrzyżonej, także przyprószonej siwizną brody.

- ...i ten tron, na którym tyłek cierpie! Co odbiło mojemu dziadkowi, że wybudował taką potworność? - perorował dalej Lorys, wstawszy, by nalać sobie kolejny kieliszek.

Merkhud usłyszał szcęk mieczy na dziedzińcu i poczuł zapach zapalanych świec lojowych. Westchnął.

- Król Mort zapewnił sobie prawo do rządu w wyniku wielu zaciekłych bitew, podobnie zresztą jak twój ojciec. Obejmował władzę w królestwie, w którym lała się krew. Ważne było, aby wyglądał na swoim tronie równie potężnie, jak na koniu bitewnym. To on zapewnił ci prawo dziedziczenia władzy. Ty musisz tylko od czasu do czasu zasiąść na jego wielkim tronie i sprawiać bardzo królewskie wrażenie.

- Ha! - zaśmiał się Lorys, jak zawsze, gdy dzięki Merkhudowi czuł się znowu młodym księżątkiem. - Opowiedz mi o swoich podróżach, Merkhudzie. Co się dzieje w moim królestwie?

Spod biurka wyrzał nagle wielki, kudłaty pies. Przeciągnął się leniwie, przydreptał do medyka i usiadł obok niego.

- Ani się waż, Drake - ostrzegł go Merkhud. Pies jednak, swoim zwyczajem, nie zwracał uwagi na protesty medyka i klapnął mu tyłkiem na palcach u nóg. Starzec nienawidził tego. - Wynocha, nicponiu!

- Dobrze wiesz, że się nie przesunie - powiedział król. - Lepiej opowiedz mi coś ciekawego.

Merkhud starał się poruszać stopami, siorbał coriela i z namaszczeniem gapił się na zdobiony malowidłami sufit, udając, że przesiewa miriady tematów.

- Hm, jest jedna rzecz, o której warto wspomnieć...

- Świetnie. Więc wspominaj - powiedział król, rozsiadając się wygodnie.

- Zaproponowałem swoje nauki spotkanemu po drodze chłopakowi, który, jak sądzę, ma zadatki na dobrego medyka. Wydaje się...

- Co?! - wrzasnął król, niemal dławiąc się ze śmiechu. - Teraz, po tych wszystkich latach?

Merkhud udawał zirytowanego.

- Nazywa się Torkyn Gynt. Ma szesnaście lat i pochodzi z ludu, z Flat Meadows, ale

wykazuje więcej inteligencji i zdolności uzdrowicielskich niż wszyscy inni młodzieńcy, jakich spotkałem podczas swojej długiej praktyki. Zbyt długiej, powiedzmy szczerze. Wybrałem więc jego.

- Jestem zachwycony, staruszk. Poczeka, aż Nyria to usłyszy...

- Co usłyszy, kochanie? - Słodki zapach uderzył ich w nozdrza, gdy królowa przemierzała komnatę. Żaden z mężczyzn nie słyszał, jak weszła, ale pies był już w połowie drogi do niej.

- Witaj, Drake. - Nyria pogłaskała go po wielkim łbie, podczas gdy jej mąż i jedyny mężczyzna oprócz niego, któremu kiedykolwiek pozwoliła się dotknąć, wstali i skłonili się.

- Dzień dobry, panowie.

Jej cudowny uśmiech zalśnił w oczach Merkhuda jak słońce i serce medyka wypełniło się radością, jak zwykle na widok królowej. Skłonił się ponownie.

- To wspaniale, że wróciłeś, Merkhudzie. - Ujęła jego kościstą dłoń w swoją i ucisnęła mocno. Wiedział, że ta serdeczność jest szczerą.

W drugiej ręce królowa trzymała mały wazonik z różami.

- Pani, nie mógłbym wytrzymać bez widoku twojego blasku ani minuty dłużej.

- Przestań mi kadzić, wstrętny staruchu. - Nyria pogroziła mu palcem, po czym pocałowała króla w usta i postawiła wazonik na stoliku za jego plecami.

„Jak zwykle olśniewająca” - pomyślał Merkhud. Prosta miękka welwetowa suknia ściągnięta w pasie uwydatniała jej wciąż doskonałą figurę. Urzekające niegdyś złote włosy teraz miały bladą, maślaną barwę. Były starannie zaczesane i spięte dwoma polerowanymi grzebykami. Ostatnimi czasy królowa rzadko je rozpuszczała.

Król promieniał.

- Kochanie, nigdy nie odgadniesz tej wieści, więc nawet nie każę ci próbować. Merkhud zaoferował swoje nauki jakiemuś chłopcu z Flat Meadows.

- Żartujesz! - Jej szarawe oczy zaiskrzyły się rozbawieniem wywołanym ekscytacją króla.

- Serio! Mówię ci. Staruszek właśnie mi o tym mówił, gdy weszłaś.

Teraz na odmianę Nyria wpatrywała się z niedowierzaniem w medyka.

Merkhud teatralnie przewrócił oczami.

- Tylko nie zaczynajcie bić w dzwony. To zwykły chłopak z talentem do uzdrawiania, a ja, na wypadek, gdybyście nie zauważyli, bynajmniej nie młodnieję.

- Kiedy będziemy mogli poznać tego młodzieńca?

- Za kilka dni.

- To świetnie. Czy chciałbyś, żebym poprosiła zarządcę domu o wysprzątanie jednego z pokoi w zachodnim skrzydle?

- Nie, pani, ja to załatwię. Ale dziękuję.

Nyria i Merkhud uśmiechnęli się do siebie. Królowa wiedziała, że medyk nienawidzi, kiedy ktoś się pałęta po zachodnim skrzydle, gdzie znajdowały się jego apartamenty i pracownie, a on wiedział, że ona o tym wie. Jeszcze przez chwilę spoglądała na niego z uśmiechem, po czym obróciła się ku królowi.

- Muszę iść, Lorysie. Kucharka chce omówić menu Festiwalu Wszystkich Dusz, a ja już dwukrotnie ją zbyłam. Nie mogę tego zrobić po raz trzeci.

Król kichnął nagle jak z armaty. Raz, potem jeszcze cztery.

- Wiesz przecież, Nyrio, co one ze mną robią - rzekł z łagodnym wyrzutem.

- Możesz je gdzieś przelożyć - zbesztala go równie łagodnie. - Chowasz się w tym kamiennym grobowcu, pozbawionym wszelkich ozdób z wyjątkiem paru obdartych gobelinów na ścianach...

- Słyszałeś to, Merkhud? - zapytał król z udawanym oburzeniem. - Obdarte gobeliny. Największe dzieła rzemieślników z Ildagarth!

Królowa zignorowała go, rzucając swojemu lekarzowi cierpiętniczy uśmiech, i ruszyła ku drzwiom. Drake dreptał posłusznie przy jej nogach.

- Do zobaczenia wkrótce, Merkhudzie. Czy mógłbyś zajrzeć do kwater giermków? Zdaje się, że dwaj chłopcy źle się czują.

- Zaraz tam idę - odparł i skłonił się ponownie.

- Myślę, Lorysie, że zjemy dziś obiad w moich komnatach.

Obaj mężczyźni chrząknęli znacząco, bez trudu odczytując zawarte w jej uśmiechu przesłanie. Tymczasem królowa wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Lorys pociągnął spory łyk wina.

- Jest pewna nagląca sprawa, którą chciałbym z tobą przedyskutować. Ponieważ jeździłeś w tym czasie po prowincji, robiąc nie wiadomo co, pewnie o niej nie słyszałeś.

- Coś cię niepokoi, Lorysie? - zapytał Merkhud, unosząc brew.

- Tak, i to mocno - odparł król, drapiąc Drake'a za uchem. Wielki pies z pomrukiem zadowolenia obrócił się na bok.

Król nie powiedział nic więcej, Merkhud wzruszył więc ramionami i otworzył dłonie w geście bezradności. To było zupełnie niepodobne do Lorysa.

- Powiedz mi. Z pewnością potrafię ci pomóc.

Król przez chwilę starannie dobierał słowa, a gdy się odezwał, w jego głosie nie było

śladu rozbawienia sprzed chwili.

- Merkhudzie, nikt nie wątpi, że wielbię Nyrię całym moim sercem. Nawet to, że nie dała mi dzieci, w niczym nie zmienia mojej miłości do niej, mimo rozpaczy z powodu braku dziedzica.

Merkhud milczał, choć w głowie rozdzwonił mu się alarm. W ciszę wdarły się dźwięki zabawy z mieczami i wykrzykiwanych rozkazów. Lorys odłożył swój piękny kielich na stolik i w końcu spojrzał staremu przyjacielowi w oczy.

- Jest pewna kobieta. Zdaje się, że mieszka obecnie w Wytten. To się zdarzyło pod koniec ubiegłej zimy, gdy wraz z Cyrusem i kilkoma innymi ludźmi udałem się na łowy. Trzeba było uzupełnić zapasy w spiżarniach zamkowych, a ja, jak wiesz, nigdy nie rezygnuję ze sposobności, by zapolować. Może pamiętasz tę wyprawę. To było wtedy, gdy Nyria tak źle się czuła.

Merkhud skinął głową i wstrzymał oddech, słuchając opowieści Lorysa.

- Ostatniej nocy obozowaliśmy w niezbyt dogodnym miejscu, ale pogoda na szczęście obeszła się z nami łagodnie. Było nas tylko sześciu, z czego czterech się upiło, więc owinęliśmy ich w koce i pozostawiliśmy przy ognisku. Drake i pozostałe psy usłyszały ją na długo przede mną i Cyrusem. Wyszła z lasu, zataczając się, z oczami zaokrąglonymi z przerażenia, niezdolna wykrztusić słowa, bo zapało jej dech od biegu.

Merkhud splótł palce i ścisnął mocno dłonie, podczas gdy król, wpatrzony w migoczącą świeczkę, opowiadał o wydarzeniach tamtego zimowego wieczoru.

- Nie miała pojęcia, kim jesteśmy, a my nie zadawaliśmy sobie trudu, by ją oświecić. Wyglądało na to, że została porwana przez Cyganów ze swojej farmy, położonej w odległości trzech mil. Zamierzali ją zgwałcić - w to nie wątpiła - i tylko dzięki ich pijackiej głupocie zdołała im się wymknąć i uciec w dobrze sobie znany las.

Król dopił wino, nieuważnym gestem ocierając z brody krople, nim na nowo podjął opowieść.

- Dziewczyna była obolała i posiniaczona, ale wykazała się wielką odwagą. Cyrus dał jej jakieś ubranie, a ja znalazłem maść na rany. Pamiętam, że doszła do siebie wystarczająco, by poczęstować się gulaszem. Była piękna. Mieszkała z ojcem tyranem, który często ją bił i nie miał dla niej żadnego szacunku.

Król wstał i podszedł do okna, udając, że zainteresowały go ćwiczenia na dziedzińcu; w końcu jednak prawda zaczęła powoli płynąć z jego ust.

- Nie planowałem tego. Od dwóch tygodni byliśmy poza domem, przeważnie, z mojego wyboru, śpiąc na ziemi. Byliśmy zmęczeni i nie mogliśmy się doczekać powrotu do

Tal. Zaoferowałem dziewczynie miejsce w moim namiocie. Chyba na kilka godzin przed świtem zbudziła mnie, prosząc, bym wszedł do środka. Przysięgam ci, Merkhudzie, byłem tak zaspany, że sądziłem, iż znów się czegoś przestraszyła. Wpełzłem do środka i zobaczyłem, że leży naga pod kocem, oferując mi swoje ciało. Błagała, żebym tej jednej nocy dał jej trochę uczucia, które rozjaśni jej żalną egzystencję. Była pewna, że ojciec nie uwierzy w jej opowieść i zbije ją na kwaśne jabłko.

Król uśmiechnął się żałośnie.

- Zdradziłem Nyrię z powodu chwilowego pożądania, z całkiem obcą kobietą. Nie podaliśmy sobie imion i więcej o sobie nie słyszeliśmy... aż do teraz.

Lorys wyjął z kieszeni zabrudzony skrawek papieru i wręczył Merkhudowi.

- Tę notatkę poprzybijano do desek w okolicznych miasteczkach i wioskach. Kobieta rozpoznała, że mówimy akcentem z Tal. Sądzę, że chciała mnie zawstydić.

- I udało jej się - syknął przez zęby Merkhud, gdy skończył czytać.

- Ty, spośród wszystkich ludzi, nie powinieneś mnie osądzać. Popełniłem błąd, lecz wiedzą o nim tylko dwie osoby: dziewczyna i, rzecz jasna, marszałek, któremu zawierzyłbym własne życie.

- Co się stało po tym, jak się z nią przespałeś, Lorysie?

Król z ponurą miną kontynuował opowieść:

- Cyrus o świcie pogalopował do Wytten, gdzie załatwił dziewczynie pracę i mieszkanie w lokalnej gospodzie. Dał jej trochę pieniędzy. Po dwóch tygodniach spędzonych w siodle wyglądaliśmy dość niecywilizowanie, więc mieliśmy nadzieję, że nie rozpozna w nas arystokratów.

Merkhud z niesmakiem rzucił kartkę na stół.

- A wasze konie? Nie sądzisz, że wiejska kobieta rozpoznałaby szlachetnie konie? - Medyk z trudem ukrywał pogardę. Nyria nie może się o tym dowiedzieć.

- Merkhudzie! Nie ma sensu, żebyś roztrząsał to, co ja roztrząsałem już setki razy od czasu tamtej nocy. Jedyńm koniem, którego widziała, był koń marszałka, a Cyrus miał dość rozsądku, by użyć szkapy pociągowej. Chcę jedynie zapomnieć, że to kiedykolwiek się wydarzyło, ale ta kartka nigdy mi na to nie pozwoli.

Merkhud zdławił w sobie gniew. Raz jeszcze przeczytał krótką, niewiele mówiącą notatkę. Była sformułowana w taki sposób, że król mógłby ją zwyczajnie zignorować, nie zawierała bowiem bezpośrednich oskarżeń, a zresztą kogo obchodzi jakaś młódka z Wytten?

- W porządku. Dokończ tę żalną opowieść. Cyrus zobaczył ogłoszenia, połączył fakty w całość i zawiadomił cię, bo się niepokoi?

Król skinął głową i cofnął się, by usiąść na kamiennym parapecie.

- A dziecko wkrótce ma się urodzić? - Merkhud wstał i zaczął się przechadzać po pokoju.

- Być może już się urodziło.

- Skąd wiesz, że jest twoje, panie? Chłopka zachodzi w ciążę. Mogła się przespać z połową wsi i nie mieć pojęcia, kto jest ojcem. Na Światłość, człowieku!

Lorys walnął pięścią w stół, zrzucając kielich, który roztrzaskał się o płytki. Merkhud był wstrząśnięty.

- Do diabła, starcze! Mówię ci, że jest moje! - ryknął. - Ona nie jest taka. Dopiero przy mnie stała się kobietą. I poczęła dziecko. Policz księżycy, przyływy, dni i jakkolwiek będziesz je liczył, medyku, za każdym razem wyjdzie ci, że dziecko jest moje. Królewski bękart.

Rozgniewany Merkhud wstał i delikatnie postawił swój kieliszek na maleńkim stoliku obok.

- Nyria nigdy, przenigdy nie może się o tym dowiedzieć. To by ją zabiło, rozumiesz? - Rzucił królowi listem w twarz, niebezpiecznie łamiąc zasady.

- Nie jestem głupcem, starcze - warknął król.

Teraz z kolei Merkhud ryknął:

- Co ty nie powiesz? Ona ma słabe serce, Lorys. Taki szok uśmierciłby ją ot, tak. - Medyk pstryknął palcami.

- Słyszę cię, Merkhud. - Lorys odzyskał rezon i wyprostował się.

- To dobrze. Zostaw tę sprawę mnie. A teraz muszę iść i zająć się wszystkimi dolegliwościami mieszkańców zamku.

Merkhud rozprostował długą tunikę i zaczął się zbierać do wyjścia, kiedy król podszedł do niego i schwycił go za ramię.

- Dziękuję.

Stary człowiek spojrział na króla i zobaczył łzy w jego oczach. Kochał Lorysa jak syna i, jak każdy ojciec, nie potrafił go winić za to, że uległ czarowi pięknej kobiety. Wyciągnął dłoń i łagodnie ścisnął go za ramię, po czym wyszedł, odprowadzany przez wścibskiego jak zawsze Drake'a.

*

Nie wiedząc, dlaczego to robi, Merkhud pochylił się ku wysokiej kobiecie, która stała z nim w drzwiach, i ucałował jej miękki policzek. Dziewczyna oblała się rumieńcem wstydu.

- Dobrze go wychowaj - powiedział, po czym skłonił się i wyszedł.

Wszedł do gospody, złożył zamówienie i usiadł w ciemnym kącie, zadowolony, że w lokalu panuje tego ranka mały ruch. Marrien go zaskoczyła. Była całkowicie prostolinijna. Odczuwał wstyd na myśl, że podejrzewał ją o jakiejś nieczyste intencje, jakimi mogłaby się kierować, wywieszając ogłoszenie, które tak zaniepokoiło króla.

Jej nowo narodzony syn był silny, zdrowy i kochany. Merkhud nie wątpił, że nawet ze swojej nędznej pensyjki dziewczyna zapewni dziecku stabilny dom. Od Lorysa niczego nie chciała. Wyjaśniła królewskiemu medykowi, że wcześniej nie miała pojęcia, kim byli ludzie, którzy pomogli jej w lesie. Wiedziała jedynie, że obaj mężczyźni odnosili się do niej łagodnie i po rycersku. Ten z krótkimi włosami i brodą rozśmieszał ją, gdy wcale tego nie chciała, a ten zamyślony, który był jego podwładnym, dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Wcale nie chciała skusić tego pierwszego, choć zauroczyły ją jego wesołe oczy i dowcip, ale w nocy poczuła się samotna i wystraszona. Poza tym nie wiedziała, jak się im odwdziżyć. Uśmiechnęła się żałośnie i zgodziła z Merkhudem, że zapłata, którą ofiarowała, była niezmiernie hojna.

- To po prostu się stało. Cóż jeszcze mogę powiedzieć? Byłam szczęśliwa, że mogę oddać swoje dziewictwo mężczyźnie o pięknym głosie i radosnych oczach. Lepiej jemu niż tym Cyganom. Na tym by się zakończyło, bo nie znałam jego imienia ani nie wiedziałam, skąd przybył, i nie miałam zamiaru go szukać.

W rozmyślania Merkhuda wdarł się nagle dźwięk stawianego na stole piwa. Medyk nawet nie kiwnął głową, tylko powrócił pamięcią do rozmowy z dziewczyną. Zapytał ją, w jaki sposób dowiedziała się, kto jest ojcem jej dziecka.

- Przyjaciele namówili mnie, żebym wydała kilka zaoszczędzonych miedziaków na podróż do Tal, by wraz z nimi obejrzeć przedstawienie w amfiteatrze. Kiedy zapadał zmrok, ludzie zaczęli szeptać, że na pierwszy akt przedstawienia przybędzie para królewska. Na Światłość! Byliśmy strasznie podekscytowani. Nie mogłam się doczekać, kiedy na własne oczy zobaczę przystojnego króla Lorysa i naszą piękną panią!

Marrien niemal zemdląca, gdy królewska para zajęła do teatru. Mimo sporej odległości rozpoznała go natychmiast!

- Zaczęło mi dzwonić w uszach i myślałam, że zwrócę wszystkie smakołyki, których się najadłam! Widziałam tylko życzliwego, wspaniałego mężczyznę, który mnie uratował i ukoił mój strach, a potem pomógł zacząć nowe życie z dala od ojca. Tego samego mężczyznę, którego dziecko nosiłam w łonie.

Dalej mówiła o tym, jak wszyscy klaskali i wiwatowali na cześć tak pięknie wyglądającej pary. Król i królowa też się uśmiechali i klaskali swoim poddanym, wywołując

jeszcze większe wiwaty. Marrien usłyszała, jak stojący obok niej ludzie rozmawiają o tym, jakie to tragiczne, że tak wspaniała para nie doczekała się dziedzica. W sposób nieunikniony rozmowa przyjęła bardziej frywolny obrót. Sugerowano, że król może nie mieć tego, co trzeba, żeby spłodzić dziecko.

- Więc postanowiłaś mu powiedzieć - rzekł cicho Merkhud.

Marrien solennie zapewniła, że niczego od króla nie chce.

- Próbowałam wymyślić jakiś sposób, żeby powiedzieć mu o tym, że może mieć syna i że będzie go miał. Nigdy nie chciałam się z nim spotkać. Nie zamierzałam burzyć jego spokoju. To było jedyne, co przyszło mi do głowy - powiedziała smutno. - Teraz rozumiem, że go wystraszyłam. A ja chciałam tylko, żeby się domyślił, że chodzi o niego.

- Myślałaś, że mógłby to zignorować? - zapytał z niedowierzaniem Merkhud.

Skinęła głową, wyraźnie zdenerwowana. Nie sądziła, że przysporzy Lorysowi kłopotów.

- I co teraz zrobisz? - zapytał Merkhud, ciekaw, jaką listę żądań przedstawi mu dziewczyna.

Zaskoczyła go.

Wydmuchała nos w pożyczoną od niego czerwoną chusteczkę, po czym uniosła ku niemu zdumione oczy.

- Nic, proszę pana. Wychowam chłopca w miłości do swojego króla... i królowej. Ich królewskie mości nigdy więcej o nas nie usłyszą, ale pozostaniemy wiernymi poddanymi Tallinom.

Siedząc nad kuflem piwa, Merkhud wspomniął iskrę, która zajaśniała w orzechowych oczach dziewczyny, gdy ta zapewniała o swojej wierności. Nie chciała od niego żadnych pieniędzy, twierdząc, że jest szczęśliwsza niż kiedykolwiek, i dopóki potrafi zarobić na odzież i strawę dla siebie i dziecka, nic więcej jej nie trzeba. W końcu w jego umyśle zaświeciła się lampka, podpowiadająca rozwiązanie problemu. Wiedział, że Lorys będzie się upierał przy zapewnieniu dziecku utrzymania.

- Nie chciałabyś dla mnie pracować? - wypalił.

Wyjaśnił jej, że w stolicy jest kilka kobiet, które wykonują dla niego mieszanki ziołowe, potrzebne mu do leczenia.

- Bardzo mi się przyda para młodych, zręcznych rąk. Mogłabyś pracować w domu i przez cały czas być z chłopcem.

Oczy jej zabłyśły, a potem uśmiechnęła się nagle, objęła go i uścisnęła mocno. Nalegał, by się przeniosła do małego domku na obrzeżach Wytten, łagodnie, lecz stanowczo

tłumacząc, że syn monarchy, nieważne, że z nieprawego łoża, musi się wychowywać w spokoju.

- Obiecuję, że tylko ty i ja będziemy wiedzieć o tej umowie. Nawet król nie zostanie wtajemniczony - rzekł, trzymając ją mocno za rękę, by podkreślić swoje słowa.

Marrien była zadowolona z układu i zgodziła się, by Merkhud załatwił jej przeprowadzkę. Nim wyszedł, wymógł na niej obietnicę, że jeśli kiedykolwiek będzie potrzebowała czegoś dla dziecka, zwróci się z tym bezpośrednio do niego.

Przytulił też przyszłego dziedzica tronu, czując ogromny ból na myśl o Nyrii, którą darzył głębokim uczuciem. Wiedział, że oddałaby własne życie, by dać ukochanemu mężowi syna, nigdy jednak go nie poczęła i choć dzielnie znosiła swój smutek, medyk widział, jak boryka się z nim każdego dnia.

Trzaśnięcie drzwi gospody przywołało go do rzeczywistości. Do środka wpadł podniecony chłopak, wrzeszcząc coś.

Merkhud nie zrozumiał jego słów, zaczepił więc zmierzającą w stronę kuchni dziewczynę.

- Co się stało?

- We dworze wielkie zamieszanie. Przybył jeździec z jakąś straszną wieścią.

Merkhud poderwał się na równe nogi.

- Oberżysto! Co powiedział chłopak?

Szynkarz wzruszył ramionami, ale sam ledwie panował nad podnieceniem.

- Nie wiem. Pojechał do Tal z dostawą i mówi, że miasto huczy od jakichś niepokojących wieści, ale nie wiadomo, co to takiego. - Pokręcił głową i mlasnął.

Merkhud rzucił na kontuar kilka monet.

- Niech tu zaraz przyprowadzą mojego konia. To ten czarny ogier w wioskowej stajni. Dalej, człowieku!

Oberżysta powiedział coś ostro do jednego ze stojących na zewnątrz dzieciaków i rzucił mu miedziaka. Merkhud wyszedł przez gospodę i skrzywił się na widok stajennego w średnim wieku, który przykłusował na Stygianie.

- Świetny koń, proszę pana - zagaił jeździec, nie dostrzegając napięcia na twarzy medyka.

Merkhud zapłacił mu, chwycił lejce, burknął coś, po czym wsiadł i pognał konia w kierunku Tal.

- Zdaje się, że się panu spieszy - zawołał za nim stajenny, nie nadążając za biegiem wypadków. - Cóż... pogadamy innym razem.

*

Merkhud dotarł do pałacu spocony po dzikim galopie. Panował chaos, ludzie biegali w tę i z powrotem, a żołnierze w pośpiechu przygotowywali się do wyjazdu. Spojrzał w kierunku królewskiego skrzydła i zobaczył w jednym z okien przyglądającą się temu wszystkiemu Nyrię. Uniósł rękę, a ona odpowiedziała tym samym gestem. Obok Merkhuda przemknął z grobową miną Callum, giermek, który obecnie stale usługiwał królowi.

- Callum, chłopcze, co się dzieje? - zapytał go medyk, wciskając lejce Stygiana w rękę przechodzącego stajennego. - Koń potrzebuje solidnego mycia, ale schładzaj go stopniowo. Jest zgrzany po galopie z Wytten.

Chłopak skinął głową i odszedł, prowadząc konia.

- Przepraszam, Callum. A teraz, proszę, powiedz mi szybko, co się stało.

- Godzinę temu przybył jeździec z wiadomością, że marszałek Cyrus zniknął. Kompania zatrzymała się na noc w Brewis i ma dziś dotrzeć do miasta, nie wiadomo o której.

- Chłopak był zadziwiająco lakoniczny.

- Niech nas Światłość chroni! Coś jeszcze wiadomo?

- Nie. Tylko tyle podsłuchałem. A teraz muszę pędzić do króla. Ma dla mnie ważne zadania - mówił Callum, wyraźnie przytłoczony nadmiarem wrażeń.

- Pójdę z tobą. Prowadź.

Nyria wyszła im na spotkanie, nim dotarli do gabinetu króla.

- Pewnie już słyszałeś? - zapytała, jak zwykle spokojna i bardziej niż zwykle olśniewająca w swojej niebieskiej sukni.

Serce Merkhuda tradycyjnie fiknęło koziółka, gdy królowa położyła mu rękę na ramieniu.

- Wiem tylko, że Cyrus zniknął, pani. Nic ponadto.

Przykrył jej wypielęgowaną dłoń swoją i poczuł znajomą tęsknotę, którą często musiał w sobie tłumić w jej obecności.

- Chodź, pójdziemy do niego razem.

Wzięła medyka pod ramię i poprosiła Calluma, by szedł przodem i zawiadomił króla, że Merkhud się znalazł.

- Och, szukaliście mnie? - zdziwił się lekarz.

- Wiesz, jak Lorys lubi mieć cię u boku, Merkhudzie. Gdzie byłeś, zagadkowy staruszku? - Nie zdołała powstrzymać uśmiechu na widok jego zmieszania.

- Tak sobie jeździłem. Byłem w... w Wytten. Rekrutowałem dziewczynę do pracy przy moich lekach, pani.

„Gdybyś tylko wiedziała, co robiłem” - pomyślał z ogromnym poczuciem winy.

- A więc teraz to się nazywa rekrutowaniem - zaśmiała się, zakrywając usta dłonią, lecz nie potrafiąc ukryć wesołych iskerek w oczach.

Nyria była jedyną osobą, która umiała wyprowadzić Merkhuda z równowagi. Przestał się nieporadnie tłumaczyć i zamilkł, by umysł mógł dogonić słowa.

- Nie drażnij mnie, Nyrio. Nie potrafię z tobą rywalizować.

Nawet jej uśmiech przyprawiał go o przyspieszone bicie serca.

- Cóż, czas pozbierać myśli, Merkhudzie. Twoja mądrość będzie mu dziś bardzo potrzebna - rzekła, puszczając jego ramię i lekkim krokiem przechodząc przez drzwi, które przytrzymał dla niej Callum.

ZNOWU RAZEM

Tor! Zbudź się!

Tor tak się przestraszył, że aż spadł z łóżka. W głosie Cloota nie było nawet cienia zwykłego humoru. Był jak dzwon bijący na alarm.

Cloot, na Sw...

Rusz się, Tor, dalej! - wrzeszczał do jego śpiącego umysłu Cloot.

Erynia obudziła się, ale wciąż była zasnana; uniosła się na łokciach, odsłaniając piękne piersi, i zza rozczochranych włosów i półprzymkniętych powiek przyglądała się Torowi, który siedział nagi na podłodze.

- Co ty wyprawiasz, Tor? - zachichotała skonsternowana.

- Ciii... śpij, Erynio.

Opadła z powrotem na poduszki, mamrocąc coś pod nosem. Tor tymczasem wstał i włożył bryczesy, wsłuchując się w zaniepokojony głos Cloota.

To Lys. Przyszła do mnie w nocy. Mówi, że mamy zaraz ruszać do Tal. W tej chwili. Nie chciała odejść, póki nie przyrzekłem na życie mojej matki, że cię przekonam do natychmiastowego wyjazdu.

Tor wkładał koszulę.

Powiedziała, po co mamy to robić? - zapytał, ze wszystkich sił starając się nadać tej rozmowie rozsądny kształt.

Erynia jęknęła cicho. Tor miał wielką nadzieję, że śni o nim, a nie o Margolinie.

Cloot nie potrafił ukryć rozdrażnienia.

Hm, pomyślmy. Może miała nadzieją, że poranna przejażdżka dobrze nam zrobi?

Szybko pożałował swojego sarkazmu, ale na szczęście Tor był zbyt zasnany, by czuć się urażony.

Gdy tylko wymieniła twoje imię, uznałem, że obaj powinniśmy jej posłuchać - kontynuował Cloot, już poważnie.

Chcesz powiedzieć, że jestem w niebezpieczeństwie? - zapytał Tor, wkładając buty.

Tego nie powiedziała. Mówiła tylko, że mamy wyjechać bez chwili zwłoki i pognać do

wsi o nazwie Brewis. Znasz to miejsce?

Tor ziewnął.

Nie, ale słyszałem o nim. Merkhud sugerował, żebym się tam zatrzymał po drodze. Zdaje się, że to jedna z wiosek leżących na obrzeżach stolicy.

Powiedziała, że musimy tam jechać, żeby - to jej słowa - „uratować go, bo Tor go potrzebuje”. Nie trać czasu na pytanie, kogo, bo w tej kwestii mnie nie oświeciła.

Myśli Tora były jednym wielkim znakiem zapytania, ale zaczynał się już przyzwyczajając do tego, że los poczyna sobie z nim w ten sposób. Za tymi wszystkimi zwrotami akcji musiał się kryć jakiś głębszy sens. Tor powoli przyjmował do wiadomości fakt, iż intuicja jest mu obecnie bardziej przydatna niż zdrowy rozsądek.

Jestem gotów, Cloot.

Świetnie. A tak w ogóle to gdzie jesteś?

Nie mam czasu na wyjaśnienia. Lecę.

Zamknął łącze i zaczął w pośpiechu pisać kartkę dla cudownej, śpiącej Erynii. Podziękował gwiazdom za to, że w końcu opłaciło mu się hołdowanie zasadzie ojca, aby zawsze mieć przy sobie skrawek papieru i kawałek węgla do pisania. Dziewczyna zasługiwała na więcej i żałował, że nie może jej nic zostawić. W końcu zdjął klejnot, który nosił na łańcuszku przy nadgarstku. Merkhud dał mu go na szczęście, gdy się zegnali. Tor zostawił kartkę przy łóżku Erynii, delikatnie ucałował dziewczynę w usta i z wielkim żalem opuścił po cichu pokój. Dotarł do głównych drzwi, zaklął, gdy głośno skrzypnęły, zignorował dobiegający zza pleców pytający głos i wyszedł.

Wyglądało na to, że spędzili z sobą może ze dwie godziny. Na dworze wciąż panował mrok i do świtu było jeszcze bardzo daleko. Tor szybko przemierzył znajome, bezludne o tej porze uliczki i wpadł do swojego pokoju Pod Pustym Kielichem, gdzie ujrzał Cloota w przebraniu starej baby.

Nie waż się śmiać - ostrzegł go ponuro Cloot.

Nie mam zamiaru. Chodź. Musimy odebrać konie.

Tor zostawił więcej pieniędzy, niż trzeba, by pokryć koszty pokoju i posiłków, po czym obaj wypełzli przez małe okienko na dach i, ostrożnie przeskakując, dotarli do odkrytego wcześniej przez chłopca miejsca, w którym łatwo było spuścić się na ziemię. Tor gorączkowo próbował wymyślić jakiś pretekst dla zbudzenia stajennego. Okazało się, że nie musieli tego robić, bo młody Bart sikał właśnie pod ścianą stajni. Gdy Tor dotknął jego ramienia, chłopak podskoczył, płamiąc sobie spodnie. Wyciągnięta przez Cloota moneta uciszyła jego protesty i przekonała, by otworzył stajnię.

Clout pogłaskał grzywy obu koni. Szeptał do nich dziwne słowa, słyszalne, lecz niezrozumiałe dla Tora. Potem wyjął z torby coś, czego w ciemnościach nie dało się zidentyfikować, ale konie z radością to spałaszowały.

Rosły ogier Cloota nazywał się Chyży. Pomimo jego rozmiarów siedzący okrakiem na grzbiecie mężczyzna w spódnicy wyglądał nad wyraz komicznie.

- Czy jest pan pewien, że... yyy... że ta pani nie wolałaby usiąść bokiem, panie Tor? - zapytał stajenny, pełen cichego podziwu dla starszej kobiety.

- Nie, ona lubi tak jeździć. Dzięki, Bart.

Tor nie potrafił zbyt szybko manewrować Bess. Chyży cierpliwie podążał za nimi. Na szczęście bramy Hatten rzadko zamykano, wyjechali więc na drogę do Tal, nie czyniąc wielkiego hałasu.

Jak to daleko, Clout?

Lys powiedziała, że jeśli będziemy szybko jechać, dotrzemy tam przed świtem.

Dobrze więc... I naprawdę nie zdradziła, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Tor, zwalniając do truchtu.

Nie. Powiedziałbym ci, gdyby było inaczej.

Szczerze mówiąc, nie wiem, czy nasze konie potrafią galopować przez całą noc. A tak przy okazji, wygodnie ci?

Nie martw się o mnie ani o konie. Zadbalem o to. Po prostu jedź.

To rzekłszy, Clout popędził konia do galopu.

*

Gdy dotarli na obrzeża Brewis, czarną noc zaczęła właśnie rozświetlać blada poświata poranka. Tor wiedział, że obaj powinni być wycieńczeni podróżą, ale czuł tylko podniecenie szaloną gonitwą. Dotychczas, w drodze do Hatten, pozwalał sobie zaledwie na kłus i nie sądził, że Bess potrafi tak pędzić. Koń Cloota wydawał się tak świeży, że mógłby zaraz pobiec z powrotem. Pokonanie takiego odcinka w tym tempie było wręcz niewiarygodne.

Gdy zwolnili, by podejść na tę samą grań, na którą poprzedniego popołudnia wspiął się Cyrus i jego adiutanci, Tor zerknął na Cloota. Obaj dyszeli ciężko, ale konie oddychały normalnie.

Jak to zrobileś?

Rzuciłem czar - odparł Clout zwyczajnie i bez wahania, jakby się tego pytania spodziewał.

Ty? - Tor nie mógł w to uwierzyć.

Coś taki zdziwiony? Z jakiegoś powodu Lys mnie wybrała, a teraz najwyraźniej daje

mi srodki. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak to się dzieje. - Cloot wyszczerzył zęby, patrząc w kierunku odnogi Wielkiego Lasu.

Dlaczego mi nie powiedziałaś, że dysponujesz taką magią? - zapytał Tor, nie wiedząc, czy jest urażony, czy zachwycony.

Bo o niej nie wiedziałem, póki nie przemówiłem do koni. To wszystko jest dla mnie nowym doświadczeniem. Gdyby twój umysł nie był tak szczelnie zamknięty, poczulbyś to.

Co chcesz przez to powiedzieć? - Torkyn gwałtownie obrócił twarz ku przyjacielowi.

Od wczorajszego wieczoru dziwnie się z tobą gada - rzekł Cloot, wzruszając ramionami.

Po chwili konsternacji Tor przypomniał sobie, że zasłaniając umysł przed panną Vylet, niemal odciął się od przyływu magii z zewnątrz.

Teraz lepiej? - zapytał z nadzieją.

Znacznie! - odparł Cloot. Na jego brzydkiej twarzy malowało się mnóstwo pytań.

Tor westchnął, jakby rozczarowany.

Moja wina. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Cloot nie odpowiedział, ale kiedy dotarli na szczyt, położył Torowi na ramieniu swoją wielką łapę.

- Dobra - rzekł na głos Tor. - Co teraz robimy?

Tam! - rzucił gwałtownie Cloot, wskazując miejsce, w którym kręcili się ludzie z Kompanii Królewskiej. Niektórzy flegmatycznie zwijali obóz, inni wciąż leżeli na ziemi, prawdopodobnie śpiąc.

Tor obrócił Bess, by mieć lepszy widok.

Myślisz, że są ranni?

Nie - odparł Cloot. - *Pozostali podnieśliby alarm. Ale dzieje się coś dziwnego.*

Czekali, nie wiedząc, czy Lys chce, aby ruszyli do Brewis i tam szukali człowieka, o którym mówiła, czy też znajduje się on tu, w tym oddziale.

Cloot zsiadł z konia i zdjął spódnicę i szale, pod którymi miał swoje prawdziwe ubranie.

Chwilowo mogę je sobie podarować - rzekł, wpychając przebranie do worka i wsiadając z powrotem na grzbiet Chyżego. - *Może powinniśmy...*

Nie dokończył, ponieważ w obozie podniósł się krzyk. Ludzie rozbiegli się w różnych kierunkach.

Jazda! - Nie czekając na odzew, Tor uderzył konia piętami i ruszył w kierunku obozu.

Chwilę później przedzierali się wśród zdenerwowanych żołnierzy, zdążając wprost ku

jedynemu namiotowi, w którym Tor spodziewał się zobaczyć marszałka. Powstrzymał go człowiek o poszarzałej twarzy, w którym rozpoznał kapitana Hereka z gospody.

- Kapitanie, pamięta mnie pan z Hatten? Nazywam się Torkyn Gynt. Znamy się z marszałkiem.

- Owszem, chłopcze, pamiętam cię, ale teraz nie czas na wspominki. Co tu robisz?

Tor myślał intensywnie. Właśnie, co tu robił? Jaką wiarygodną historyjką mógłby wyjaśnić swoje nieoczekiwane przybycie przed świtem?

Uratował go Clout.

Powiedz mu, że postanowiliśmy jednak ruszyć za kompanią.

Herek gapił się na Tora jak na idiotę.

- Słyszysz mnie, chłopcze?

- Tak, kapitanie, przepraszam. Hm, jadę do pałacu, więc marszałek proponował, żebym wyruszył razem z wami, ale wtedy miałem inne plany. Dopiero gdy odjechaliście, zrozumiałem, że była to głupia decyzja, i postanowiłem was dogonić.

Brzmiało to niewiarygodnie, ale kapitan był tak zdenerwowany, że prawie nie słuchał wyjaśnień Tora.

- Kapitanie... Czy coś się stało? - zapytał cicho chłopak.

Herek przetarł oczy. Przybiegł jakiś żołnierz i zasalutował, wyraźnie wstrząśnięty.

- Ilu? - zapytał Herek.

- Wszyscy czterej, sir... w tym porucznik Royce.

Tor zauważył, że kapitan zacisnął zęby.

- A marszałek?

- Ani śladu, sir.

- Dziękuję, Linusie. Pomóż Medlinowi zebrać ludzi. Chcę, żeby obóz był zwinięty, a kompania gotowa do wymarszu przed wschodem słońca. Zawińcie... wartowników i przymocujcie ich do koni. Potem pojedziesz do Tal i wrócisz po rozkazy najszybciej, jak tylko się da - rozkazywał Herek przez zaciśnięte zęby.

Linus ponownie zasalutował i oddalił się. Niebo wokoło szybko się rozświetlało i Tor spostrzegł, że wszyscy żołnierze są już na nogach i szykują się do drogi. Cały obóz spowijała złowróżbna cisza.

- Co się stało, kapitanie?

Herek z trudem powstrzymał zniecierpliwienie.

- Bez urazy, Gynt, ale mam teraz zbyt wiele na głowie, by prowadzić rozmowy towarzyskie z cywilami. Jeśli chcesz z nami jechać, nie ma sprawy. Po prostu podążaj za

kolumną.

Dając do zrozumienia, że rozmowa skończona, Herek obrócił się na pięcie i odszedł. Tor spoglądał w ślad za nim, skonsternowany.

Spróbujmy poszukać Cyrusa - odezwał się Cloot, przywracając mu poczucie celu.

Zaczęli się przedzierać przez zwijających obóz ludzi. Panowała ponura atmosfera.

Są zdeorientowani - zauważył Cloot.

Raczej zszokowani. Prawie z sobą nie rozmawiają. Co tu się mogło stać, na Światłość? I co miał na myśli Herek, każąc zawinąć wartowników?

W tym momencie Tor zauważył Rissa. Pomachał do niego i z ulgą stwierdził, że żołnierz odpowiada tym samym.

- Cześć, Riss! Miło cię widzieć.

Ogorzały wojak obserwował go spod przymkniętych powiek z wyrazem podejrzliwości na twarzy.

- Czyżby? Widzę, że podróżujesz teraz z półgłówkiem?

Tor poczuł, jak Cloota ogarnia zdenerwowanie.

- Tak. Jak widzisz, szybko doszedł do siebie z pomocą lekarza... i twoją - dodał, odpowiadając komplementem na nieufność.

Od grupy żołnierzy odłączył się Golag.

- To znowu ty! - rzekł, podchodząc. Jego głos nie stracił nic ze swojej szorstkości; nadal brzmiał bardziej jak chrzęst niż ludzka mowa. - No i jak tam było z Erynią? Założę się, że szeroko i chętnie rozłożyła nóżki dla takiego chwata jak ty.

Zaśmiał się obleśnie, złapał za krocze i splunął, ale Tor nie odczuwał już zażenowania czy oburzenia. Wyglądało na to, że wulgarność była przyrodzoną cechą Golaga.

- Tak, Golag, była słodziutka jak miód i wprost niesamowita.

- Uśmiechnął się rozkosznie i usłyszał w głowie śmiech Cloota.

A, to już wiem, gdzie byłeś wczoraj wieczorem.

Tor zignorował go.

- Riss, gdzie marszałek?

- Hm, widzę, że znowu prosisz o informacje, chłopcze. Ostatnio dobrze za nie zapłaciłeś. Nasza cena się nie zmieniła.

Golag wyszczerzył zepsute zęby za plecami negocjującego kompana.

Tor nie zwracał na niego uwagi.

- To było banalne pytanie - zwrócił się do Rissa. - Ale zapomnij o nim. Jestem pewien, że Cyrus, kiedy go znajdę i przekażę mu ważną wiadomość od burmistrza Hatten,

będzie wam wdzięczny, że mi pomogliście.

Odwrocił się, by odejść. Cloot ruszył za nim, wyraźnie pod wrażeniem jego blefu.

- Czekaj! - Uśmiech znikł z twarzy Rissa. - Jaką wiadomość?

Tor odwrócił się powoli.

- Już ci powiedziałem. Ważną wiadomość od burmistrza Hatten. Obiecałem przekazać ją osobiście Cyrusowi, gdy tylko dogonię Kompanię Królewską. Kto wie, może pochodzi nawet od samego króla? - zakończył z błyskiem w oku.

Szybko się uczysz - mruknął Cloot.

- Zatem do zobaczenia w Tal. - Po tych słowach Tor znów oddalił się o kilka kroków.

- W porządku, Gynt. Nie mam zamiaru stracić przez ciebie wypłaty. Co to za wiadomość? - Riss był zdenerwowany i Tor napawał się świadomością, że to on go do tego doprowadził.

- Przykro mi, Riss. Mogę ją przekazać jedynie marszałkowi. Pospiesz się, człowieku, czas nagli, a ja muszę jechać do Tal. Wyświadczam tylko przysługę burmistrzowi.

Tym, który w końcu odpowiedział, był Golag.

- Marszałek zniknął w nocy. Nikt nie wie, co się z nim stało. Zabili też czterech wartowników.

I wyłączył się, jak to on.

Brawura Tora ustąpiła miejsca szokowi.

- Jak mógł zniknąć, mając wokół siebie dwustu ludzi?

- Truczna, oto jak - zachrząścił szyderczo Golag.

- Jak to?

- Wczoraj marszałek kazał otworzyć beczki z piwem i zarządził śpiewy. Byliśmy w świetnych humorach, ale szybko posnęliśmy i zbudziliśmy się późno, z bólem głowy - wyjaśnił Riss, rozglądając się z zażenowaniem.

- Chcesz powiedzieć, że zatruto piwo, żeby uprowadzić marszałka, gdy wszyscy pousypiają? - Torowi trudno było uwierzyć we własne słowa. - Ale czego ktoś mógłby od niego chcieć?

Riss wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Zabili czterech naszych ludzi, by go dostać, i zadali sobie wiele trudu, żeby nas unieszkodliwić.

Wokół nich zgromadziła się niewielka grupka ludzi.

Cloot złapał przyjaciela za ramię.

Chodźmy, Tor. Więcej się tu nie dowiemy.

- A ta ważna wiadomość? - warknął Golag.

- Musimy najpierw znaleźć marszałka - rzekł Tor.

Riss zaniósł się ponurym śmiechem.

- Wy? Dzieciak i kaleka? Lepsi od was szukali. Nigdzie nie ma po nim śladu.

- Znajdziemy go, Riss, żywego lub martwego.

Po tych słowach Tor w milczeniu ruszył za Clotem ku koniom.

Chodźmy. - Na widok konsternacji na twarzy Tora Clot postanowił przejąć inicjatywę.

Dokąd?

Po prostu idź za mną. - Clot skierował konia prosto do lasu.

- Zdaje się, że większość ludzi boi się wchodzić do Serca Lasu? - rzucił niby żartem.

Tor nie myślał o tym wcześniej. Odpowiedział machinalnie, jakby prowadzili kurtuazyjną rozmowę, ale myślami był zupełnie gdzie indziej. Zastanawiał się, z jakiego powodu Cyrus był aż tak ważny, że musieli zginąć czterej ludzie.

Tak. Przez całe życie karmił nas przerażającymi opowieściami o dzikich bestiach i dziwnych stworach, które tam żyją. Ja jednak zawsze uważałem to za folklor.

Tak czy owak, strach jest prawdziwy. Założyłbym się, że żaden żołnierz Kompanii Królewskiej nie zapuściłby się w ten las głębiej niż na parę kroków.

Tym razem słowa Cloota przykuły uwagę Tora.

Ale ekipy poszukiwawcze chyba wysłali?

Och, w to nie wątpię. Nie sądzę natomiast, by wykonały one coś więcej niż tylko pobieżne poszukiwania na obrzeżach lasu. A coś mi mówi, że on gdzieś tam jest, a przynajmniej był w nocy.

Tor łagodnie pociągnął za lejce, by zatrzymać konia obok miejsca, w którym przystanął Clot. Oddalili się już dość daleko od obozu i stali pod jednym z wielkich dębów na skraju lasu.

Czujesz to, Tor?

Co?

Mrowienie i lekki szmer. Nie potrafię się z nim sprząc, ale jest tu i kusi mnie, bym wszedł do lasu.

Ja nic nie słyszę. Czuję się normalnie. - Tor był niemal rozgniewany.

To dziwne uczucie, ale dobre. Może oznacza, że las nic nam nie robi.

W porządku, pójdźmy tym tropem. Skoro las przeraża większość ludzi, dlaczego ktoś miałby zabierać tam marszałka?

Cloot mlasnął.

Tego nie wiem - oznajmił znużonym tonem.

Uderzył Chyżego kolanami i ruszył naprzód. Bess podążyła za nim.

Tor był uparty.

Dlaczego po prostu nie pojechali z nim do Brewis i dalej?

Nie znam odpowiedzi, Tor, ale jeśli Lys się w to wmieszała, to znaczy, że Cyrus jest dla ciebie ważny. A skoro zostałem zobowiązany do udziału w tych poszukiwaniach, muszę go znaleźć.

Światło dnia ledwie się przedzierało przez gęsty drzewostan. W dole było chłodno i spokojnie, tylko od czasu do czasu z oddali dobiegał przytłumiony śpiew ptaka albo szelest skaczącej wiewiórki.

Czujesz coś lub słyszysz, Tor?

No... - Tor skrzywił się. - *Tak... Ale obiecaj, że nie będziesz się śmiał, Cloot.* - Przyjaciel skinął głową. - *Mam wrażenie, że las mnie wita.*

Chcesz powiedzieć, że on gada? - zapytał z niedowierzaniem Cloot.

Nie jestem pewien. Ale... gałęzie i liście jakby do mnie kiwały. A las jakby się uśmiechał. Tak, on... on się do mnie uśmiecha, Cloot.

Niech nas Światłość ma w opiece. - Cloot pokręcił głową. - *Moje życie przy tobie staje się coraz dziwniejsze, mały.*

Przez chwilę jechali w milczeniu, chłonąc piękno puszczy i czując żal z powodu rozdeptywania porastających ścieżki leśnych kwiatów. Konie były spokojne i z zadowoleniem meandrowały powoli przez to zaciszne miejsce.

Wyjechali na polanę. W oczy uderzyło ich oślepiające słońce, w promieniach którego pląsały roje komarów. Tor zatrzymał się nagle i spazmatycznie wciągnął powietrze.

To magiczne miejsce, Cloot.

Tak. Lys też tu jest.

Jak to? Widzisz ją? - Tor rozejrzał się gwałtownie.

Nie. Ale czuję jej obecność.

Cloot, co...

Ciii, mały. Mówi do mnie.

Cloot zamknął oczy i znieruchomiał.

Niespodziewanie zaległa całkowita cisza. Żadnych ptaków, żadnego szmeru liści, tylko nieruchome, ciepłe powietrze poranka. Nawet konie przestały przestępować z nogi na nogę. Cloot długo tkwił w bezruchu, aż w końcu Tor pomyślał, że nie zniesie tej samotności

ani chwili dłużej; ale właśnie wtedy jego przyjaciel rozluźnił mięśnie i westchnął. Po policzkach powoli płynęły mu łzy.

Co się dzieje? - zapytał oszołomiony Tor.

Lys mówi, żebyśmy się nie bali. Las chroni ciebie, Tor, i tych, których kochasz. Ale marszałek tu jest i grozi mu niebezpieczeństwo. Musimy go jak najszybciej znaleźć.

Jak? Gdzie zacząć? Czy...

Spokojnie, chłopcze. Lys pokazała mi drogę.

Dlaczego płaczesz, Clout? - zapytał Tor najdelikatniej, jak potrafił.

Jego przyjaciel zawahał się, po czym równie łagodnie odpowiedział:

Chciała, bym podjął decyzję. Dałem jej odpowiedź i na chwilę zrobiło mi się smutno. - Obrócił twarz ku Torowi. - Ale to była mądra decyzja. Cieszę się, że ją podjąłem i jestem szczęśliwy, poznawszy swoją rolę w tej historii.

Tor przyglądał się Cloutowi badawczo, ale zobaczył tylko szeroki, radosny uśmiech, który zdążył już pokochać.

Nie martw się, Tor. Wybacz, że jestem taki tajemniczy. Wszystko wkrótce się wyjaśni. Na razie po prostu mi zaufaj.

Po tych słowach zsiadł z grzbietu Chyżego.

Ufam ci, Clout. Zawierzyłbym ci życie - odparł z powagą Tor.

To dobrze, chłopcze, bo ja zawierzam ci moje.

Przerażasz mnie, Clout.

Wiem, mały, ale proszę cię tylko o zaufanie. Twoje życie będzie skomplikowane, pełne wyzwań i bardzo, bardzo ważne dla losów Tallinom.

Clout zauważył, że Tor chce zaprzeczyć, i uniósł rękę w powietrze.

Wysłuchaj mnie. Nie wiem, czemu służy ta misja ani dlaczego ją realizujemy. Wiem tylko, że musimy to robić, by ocalić nasz kraj. Musimy znaleźć Cyrusa. Wygląda na to, że stanowi on ważny element tej dziwnej układanki. A teraz muszę cię opuścić.

- Co? - wrzasnął na głos Tor.

Tylko na chwilę. Potem wrócę. - Głos Cloota drżał. - *Przywiąż konie i czekaj na mój powrót. Obiecuję, że to nie potrwa długo.*

Ale dokąd idziesz? Dlaczego nie mogę iść z tobą? - Tor był coraz bardziej rozgniewany. Nienawidził tajemnic.

Będę tam. - Clout wskazał zalaną światłem polanę. - *A ty musisz tu zostać, póki nie wrócę.*

Rozumiem, co mówisz, Clout, ale nie rozumiem, co robisz.

Wiem. Musisz mi zaufać. - Clout podszedł do Tora, spojrział w jego przeszywająco niebieskie oczy i uśmiechnął się. - *Wróć. Nie zostawię cię samego... nigdy.* - Objął Tora i mocno przycisnął go do serca. - *Zawsze jestem z tobą.*

Zwalisty mężczyzna odwrócił się powoli i pokuśtykał w stronę polany. Tor czuł ogromny niepokój. Clout mówił tak, jakby się żegnał. W to, że polana jest zaczarowana, Tor nie wątpił. Odbierał tę moc każdym ciałem swojego ciała, ale nie rozumiał jej. To nie była jego magia. Potrafił ją wyczuć, ale nie mógł jej dotknąć ani połączyć się z nią.

Ku zdumieniu Tora Clout zdjął z siebie odzież i stanął w słońcu nagi. Jego dziwne, zdeformowane ciało pośrodku tego pięknego miejsca wyglądało niewłaściwie. Tor nie ośmielił się przemówić. Potem jego przyjaciel przykucnął na ziemi, ukrywając twarz między kolanami i zakrywając się wielkimi, owłosionymi rękoma.

Blask słoneczny zaczął przybierać na sile, najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż wreszcie Tor ledwie dostrzegał sylwetkę Cloota. Z przerażeniem czuł spływającą z góry olbrzymią siłę. Szum, o którym wspominał Clout, był teraz wręcz namacalny: cały las wydawał się drżeć z oczekiwania. Tor uparcie wpatrywał się w przyjaciela mimo rażącego blasku. I wtedy usłyszał głos - głęboki, wibrujący i przerażający:

- Clout, mówi do ciebie Darmud Coril, bóg lasów. Przyjmujemy cię i witamy. Nadaję ci imię Przyjaciela Serca Lasu.

Złote krople światła spłynęły na Cloota i rozpełzły się po jego skulonej postaci. Było tak jasno, że Tor nie widział już prawie nic.

Głos zaś mówił dalej:

- Teraz twój dom jest tutaj. Obyś nigdy nie oddalał się zbyt od niego i obyś zawsze powracał cało.

Z miejsca, w którym znajdował się Clout, wystrzeliła feeria barw i Tor zobaczył, że jego przyjaciel zmienia kształt. Wydawało mu się, że Clout się kurczy. Nie mogąc tego znieść, wykrzyknął jego imię, próbując zagłuszyć magiczny szum, po czym zamknął oczy, chroniąc wzrok przed bombardującymi malejącą figurkę jaskrawymi kolorami.

Nagle zaległa cisza. Tor otworzył oczy dokładnie w momencie, w którym wielki, majestatyczny sokół lekko unióśł się z polany, rytmicznie i mocno uderzając skrzydłami.

Nim Clout zniknął mu z oczu, wzlatując wysoko ponad wierzchołki drzew, Tor krzyknął jeszcze raz, głośno i rozpaczliwie.

*

Długa podróż do Brewis i wstrząs, jakiego doznał na widok transformacji Cloota, tak wyczerpały Tora, że nie potrafił zebrać myśli, aż w końcu zasnął i spał, dopóki Bess nie

zaczęła go skubać w szyję, być może w nadziei na to, że dostanie jabłko. Stojący w pobliżu Chyży zadowalał się trawą.

Dlaczego? Tor w kółko zadawał sobie to samo pytanie. Cloot oczywiście wiedział; to dlatego płakał po tym, jak przemówiła do niego Lys. „Dlaczego nie pobiegłem mu na ratunek - myślał Tor - dlaczego nie próbowałem nic zrobić? Czyż nie mam opinii potężnego maga? Dlaczego zatem nie użyłem swojej magii?”.

Czuł się bezsilny. Cloot po prostu zamienił się w sokoła i odleciał.

Czy jednak chwilę wcześniej nie powiedział mu, że wróci? Czy nie prosił Tora, by pozostał na swoim miejscu i czekał? „To nie potrwa długo”, rzekł. Tor czekał więc z nadzieją w sercu, znów zamknawszy oczy, ale tym razem nie po to, by spać, lecz by się skupić na obecnej w kręgu magii.

Była potężna i nieprzepuszczalna. Poruszając się po jej skraju, wplótł w swój umysł jej wzór i kolor. Pamiętał serdeczne powitanie lasu, więc teraz próbował się z nim porozumieć. Długo posyłał impulsy i wzory myśli, aż w końcu przypomniał sobie, że kiedy las „uśmiechał się”, otoczył go zieloną aureolą. Tor zuchwale wysłał wiadomość, wplatając ją w zieleń lasu. I drzewa odpowiedziały:

- Witaj, Torze. Nie obawiaj się. Twój przyjaciel powróci, a my będziemy go chronić, zawsze, zawsze, zawsze... - szeptały, a ich słowa odbijały się od liści łagodnym echem.

Potem znów musiał zasnąć, ale tylko na moment, bo nagle poczuł obok siebie jakiś ruch. Coś - jakby pióra - dotknęło jego umysłu. Później była próba kontaktu, coraz intensywniejsza, aż w końcu Tor na dobre się zbudził i wyteżył wszystkie zmysły, magiczne i niemagiczne, by się sprząc ze źródłem. I nagle w głowie eksplodował mu głos Cloota, jak gdyby ten znajdował się tuż obok.

Znalazłem go!

Cloot! - wykrzyknął Tor poprzez łącze.

We własnej osobie! Znalazłem Cyrusa. Jest tu, w lesie, całkiem niedaleko.

A ty?

Tutaj! - odpowiedział Cloot i sfrunął, by wylądować wdzięcznie przed nosem Tora.

Tor był tak zaskoczony, że zrobił krok w tył i zderzył się z drzewem.

Przepraszam. Nie miałem zamiaru cię przestraszyć - rzekł Cloot, przekrzywiając głowę.

Wspaniały sokoł wędrowny przyglądał się Torowi wielkim czarnym okiem w jaskrawożółtej obwódce, współgrającej z kolorem równie pięknych łap. Tor nie mógł powstrzymać zachwyty na widok szlachetnego ptaka o lśniących, niebiesko-czarnych piórach

otaczających śnieżnobiłą pierś.

Brzydki Cloot trochę się zmienił, co? - rzucił sokół, przekrzywiając głowę w drugą stronę, jakby chciał, by Tor lepiej mu się przyjrzał.

Ja... bardzo się bałem... - rzekł Tor z wielką powagą.

Sokół podskoczył, po czym z łatwością wystrzelił w powietrze i wylądował na ramieniu chłopaka. Tor wzdrygnął się.

Już nie musisz się bać, Tor.

Dlaczego? - Tor przecesał ręką włosy i zerknął z boku na ptaka, który rozsiadł się wygodnie na jego prawym ramieniu.

Bo twój bohaterski obrońca znów jest przy tobie.

Nie. Chodzi mi o to, dlaczego zmieniłeś się w ptaka?

Nie mam pewności. - Jeśli ptaki potrafią wdychać, to to właśnie zrobił w tej chwili Cloot. - *Lys chciała, by tak się stało, i prosiła, żebym jej zaufał. Zrobiłem to z radością. Zresztą niezbyt lubiłem swoje stare ciało. Ten kształt znacznie bardziej mi odpowiada.*

A więc to już na zawsze? Już nigdy nie będziesz po prostu Clootem? - zapytał ze smutkiem Tor, krzywiąc się z powodu wpijających mu się w ramię silnych szponów.

Jestem po prostu Clootem, Tor. Nie zmieniło się nic oprócz powłoki cielesnej, a zapewniam cię, że w tej czuję się zdecydowanie lepiej. Tak, to na zawsze.

Nie jestem pewien, czy potrafię sobie poradzić z tymi wszystkimi zmianami. Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Cloot... a oni zamienili cię w ptaka - rzekł Tor zdławionym głosem.

Wiem - odparł Cloot, łagodniejąc. - *Ale to wszystko ma jakiś cel. Musimy ufać Lys i sobie.*

Tobie ufam, ale jej? Nie przyniosła ci nic oprócz bólu i rozpacz, a teraz to! - Tor pokręcił głową, wstał i zaczął gniewnie spacerować po polanie. Sokół musiał jeszcze mocniej wpić mu się w ramię, by zachować równowagę.

To ona przywiodła mnie do ciebie, Tor. Tylko tyle wiem. A teraz zamieniła mnie w tego królewskiego ptaka. Jestem szczęśliwy. Nie użalaj się nade mną. Gdybyś wiedział, jak to jest szybować nad ziemią, nie byłoby ci mnie żal. A teraz chodź, nie ma czasu do stracenia. Cyrus jest w poważnych opalach. O osobliwości naszego życia możemy podyskutować później. Teraz trzeba działać. Idziemy, to niedaleko. - Cloot podskoczył, by podkreślić wagę swoich słów.

Cloot... - W głosie Tora pobrzmiwała błagalna nuta.

Cierpliwość ptaka była na wyczerpaniu.

On umiera, Tor! I to w męczarniach. Tylko ty możesz mu pomóc. Porozmawiamy później, teraz w drogę!

Wystarczyły dwa mocne machnięcia skrzydłami, by Cloot znalazł się na górnej gałęzi wysokiego drzewa.

Nie zgub mnie. Musimy się zachowywać najciszej, jak potrafimy, by ich zaskoczyć.

Po tych słowach ruszył w głąb lasu. Tor w milczeniu podążał za nim, nie spuszczać wzroku z miękkich, ciemnych piór na brzuchu sokoła i zastanawiając się, co go czeka i kim mogą być „oni”. Przez kilka minut wędrowali przez las, który gęstniał coraz bardziej, aż w końcu Tor zaczął tracić Cloota z oczu. Gdy ten się zatrzymał, chłopak już w ogóle go nie widział, ale łącze działało i silnie odczuwał bliskość przyjaciela.

Ciii, Tor. Musisz teraz stąpać ostrożnie. Są zaledwie o trzydzieści kroków od ciebie - szepnął mu do głowy ptak.

Tor słyszał już szelest i przytłumione głosy tamtych.

Ilu? - zapytał Cloota.

Pięciu. Przewodzi im Corlin.

Corlin! - Tor z ulgą przyjął fakt, że wrzasnął tylko telepatycznie.

We własnej osobie. - Głos Cloota był przepojony nienawiścią.

A więc to zemsta? - Tor zrobił jeszcze kilka kroków i ukrył się za gęstą kępą młodych drzewek, skąd dokładnie widział oprawców.

Nie wyobrażam sobie innego motywu. Tamtego dnia na rynku Corlin został upokorzony i wini za to Cyrusa.

Cloot cicho sfrunął z wysokości i miękko wylądował na ramieniu Tora.

Tor podskoczył.

Przestań mnie straszyć.

Przyjrzał się scenie. Dwaj ludzie drzemali, dwaj inni pili nie opodal. Corlin siedział nieruchomo w pewnym oddaleniu od nich, w pobliżu koni.

Gdzie Cyrus? - zapytał ostro Tor.

Spójrz w prawo.

Tor obrócił się nieco, by zajrzeć przez szparę między konarami, i niemal zwymiotował. Rozpięty żałośnie pomiędzy dwoma potężnymi drzewami wisiał marszałek z dłońmi przybitymi do pni. Nie wydawał dźwięków i sprawiał wrażenie nieprzytomnego. Z głowy, dłoni i tułowia ściekały mu strużki krwi. Białą niegdyś koszulę plamiła ciemna i rdzawa czerwień. Twarzy nie było widać, głowa bowiem opadła mu na pierś. Gęste, zwykle starannie przyczesane włosy były rozczochrane i posklejane krwią.

Zachowaj spokój - szepnął Cloot i Tor poczuł, jak przez ciało przyjaciela przetacza się potężna fala magii.

Corlin musi za to umrzeć - rzekł beznamiętnie chłopak.

Zgadzam się w zupełności. Ale nie ujawniamy się jeszcze. Nie mamy żadnej broni z wyjątkiem twojej mocy.

Niczego więcej nam nie trzeba - odparł Tor tym samym beznamiętnym tonem, choć drżał od kipiącej w trzewiach magii i napędzającej ją furii.

Pozwólmy im zrobić pierwszy krok, żeby się dowiedzieć, jakie mają zamiary. Podlecę bliżej. - Cloot bezgłośnie uniósł się z ramienia Tora, by po chwili pojawić się ponownie na niskiej, lecz dobrze ukrytej gałęzi jednego z drzew, do których przykuto marszałka.

Nie musieli długo czekać. Corlin poruszył się. Pijący zbudzili kopniakami dwóch pozostałych, a ci w milczeniu kiwnęli głowami w stronę Corlina. Cała piątka wstała. Tor rozpoznał w jednym z mężczyzn Gorona, gbura, przed którym uratował Erynię.

- Rany, cóż za miła gromadka - mruknął pod nosem.

- Już czas - rzekł Corlin i podniósł stojące obok koni wiadro, po czym podszedł do więźnia i wylał mu na głowę jakąś ciemną ciecz. Pozostali ryknęli pijackim śmiechem, z rozbawieniem obserwując, jak Cyrus usiłuje strząsnąć z siebie płyn.

- Mam nadzieję, że smakuje mu używane piwo - powiedział jeden z nich, szturchając kompana.

- Mnie by tam nie smakowało, biorąc pod uwagę, że przeszło już przez twoje wnętrzności - odparł drugi.

- O, umiesz mówić, Fyster! - Tym razem odezwał się Goron. - Twoje szczyny śmierdzą pod niebiosa i nie wątpię, że smak mają piekielny.

Znów zanieśli się śmiechem. W końcu Corlin uniósł rękę, by ich uciszyć. Cyrus jęknął, a Tor zamarł na widok sztyletu w ręku Corlina. Ostrze zaśniło w porannym słońcu.

- Zmęczyłeś mnie już, marszałku gówniarku. A teraz spójrz na mnie, żołnierzu, żebym mógł ci równiutko i z rozkoszą poderznąć gardło. - Corlin schwycił marszałka za włosy i odciągnął mu głowę do tyłu.

Tor w milczeniu wyszedł z ukrycia. Przepelniająca go magia była teraz we władzy zimnej furii. Wystrzelił w kierunku Cyrusa potężny impuls energii. Marszałek przez kilka sekund wił się w drgawkach, rozśmieszając do łez swoich oprawców, sądzących, że drży ze strachu. Potem wziął głęboki oddech.

- O, chcesz coś powiedzieć, świński pomioście? No to zamieniamy się w słuch - zaszydził ze śmiechem Corlin, niszcząc się teatralnie do poziomu głowy Cyrusa.

Tor, nadal niezauważony, wysłał kolejny impuls i z przyjemnością patrzył, jak marszałek otwiera opuchnięte, posiniaczone oczy i dostrzega jego obecność. Ale nawet Tor z trudem zdołał uwierzyć w wykwitający na zmasakrowanej twarzy Cyrusa uśmiech.

- Nie mogę się doczekać chwili, w której ostrze przesyje twoje mordercze gardło, Corlin. Może byś się obrócił? - Cyrus dyszał z wysiłku, plując krwią, ale oczy błyszczały mu od zastrzyku ożywczej energii.

Słyszac śmiałe, lecz niemądre słowa więźnia, czterej mężczyźni znów zanieśli się śmiechem, klepiąc się po udach, a kolegów po plecach. Tylko Corlin się nie śmiał. Idąc za radą Cyrusa, obejrzał się za siebie i zobaczył Tora, samotnego, nieuzbrojonego, spoglądającego nań z uśmiechem z odległości kilku kroków.

- Pamiętasz mnie? - zapytał uprzejmie Tor.

Usłyszał w głowie ostrzegawczy syk Cloota. Potem Corlin wydał ryk furii, puścił włosy Cyrusa i rzucił się na Tora. Pozostali także się obejrzel. Nagle jeden z nich krzyknął, bo z nieba z przenikliwym wrzaskiem spadł sokół, wyciągając szpony ku jego twarzy.

A potem równie nagle zaległa cisza. Pięciu mężczyzn zamarło w dziwnych pozach. Corlin stał z uniesioną ręką i ostrzem noża wymierzonym wprost w Tora. Twarz wykrzywiła mu wściekłość, ciało jednak przykute było do ziemi. Tylko skonsternowane, przerażone oczy poruszały się gwałtownie.

Clout wylądował łagodnie na ramieniu Tora. Obaj przez chwilę gapili się na Corlina, po czym podeszli do Cyrusa, usiłującego utrzymać głowę w górze i zrozumieć, co się dzieje.

Marszałek splunął krwią.

- Czy to sen?

- Nie. Proszę się nie ruszać - rzekł Tor, unikając jego wzroku. Zastanawiał się, jak mu to wszystko wytłumaczy.

Uniósł Cyrusa, by jego ręce nie musiały dźwigać ciężaru ciała, po czym skoncentrował się na gwoździu wbitym w prawą dłoń. Prostym czarem wyciągnął go z kory drzewa. Potem przerzucił sobie mężczyznę przez ramię i powtórzył czar, by wyciągnąć drugi gwóźdź. Cyrus stęknął, gdy Tor ułożył go na ziemi, uwalniając zmartwiałe, pogruchotane dłonie.

- Rozwiąż mi nogi - wysapał, oddychając nierówno.

Tor wstał, podszedł do Corlina i, rozwierając grube paluchy zbira, wyjął z jego ręki sztylet. Wrócił do marszałka i przeciął więzy krepujące mu nogi.

- Pomóż mi wstać, chłopcze.

- Nie, Cyrusie. Proszę, niech mi pan pozwoli...

- Powiedziałem, żebyś pomógł mi wstać. To rozkaz! - głośno rzekł Cyrus, wkładając w to mnóstwo wysiłku.

Podtrzymywany przez Tora marszałek dźwignął się na nogi i z trudem wyprostował.

- Pomóż mi, Gynt... Proszę.

Tor podparł ramieniem chwiejącą się postać i pomógł jej stanąć prosto.

- Co teraz?

- Włóż mi do ręki ten sztylet. Będziesz musiał mi zacisnąć na nim palce, bo są ściernięte.

- Czy nie wolałby pan, aby ci mordercy zostali osądzeni w Tal?

- Ci czterej zostaną, ale on jest mój i osobiście wymierzę mu sprawiedliwość - wycedził Cyrus przez zaciśnięte z bólu zęby.

Wsparty mocno na ramieniu Tora, przekuśtykał mniej więcej piętnaście kroków do miejsca, w którym stał zastygły Corlin ze zmoczonymi ze strachu spodniami. Cyrus długo wpatrywał się w swego oprawcę.

- Kompania Królewska, Tor... Spotkałeś ich?

Tor przełknął ślinę.

- Tak, panie marszałku. Kapitan Herek dowodził. Przygotowywał żołnierzy do wymarszu w kierunku Tal. Mieli wyruszyć o świcie.

- Są cali?

Tor próbował się wykręcić.

- Większość dochodziła do siebie po zatruciu. Bali się o pana.

- Czy kompania jest w komplecie, panie Gynt? Czy są jakieś obrażenia oprócz bolących głów?

Podczas tej wymiany zdań Cyrus nie spuszczał wzroku ze struchlałej twarzy Corlina, który teraz zaczął się ślinić ze strachu. Tor zawahał się. Niewielkie stadko ptaków - chyba strzyżyków - poderwało się hałaśliwie spomiędzy gąszczy liści, być może przestraszone przez jakiegoś drapieżnika. Clout wpił się pazurami w ramię Tora i chłopak ze zdumieniem uświadomił sobie, że jego przyjaciel najwyraźniej ma ochotę zapolować na taką zdobycz.

- Odpowiedz mi, Gynt - rzekł cicho marszałek.

- O ile mi wiadomo, sir, zabito czterech wartowników, w tym pańskiego adiutanta. -

Po tych słowach Tor wstrzymał oddech.

- Royce'a? - zapytał Cyrus, jakby nie zrozumiał słów Tora.

- Nie znam jego nazwiska - odparł zażenowany Tor i przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, by podtrzymać ślaniającego się marszałka.

- Na Światłość! Royce! Ten człowiek był świeżo po ślubie, bezduszny draniu! - ryknął na Corlina, którego oczy rozszerzyły się na widok tańczącego przed nimi ostrza.

Cyrus zebrał resztki sił.

- Twoi kompani staną przed sądem królewskim za zamordowanie trzech dobrych żołnierzy oraz porwanie, torturowanie i niemal zabicie królewskiego marszałka. Ale ty, Corlinie, umrzesz teraz, w lesie, skazany wyłącznie przeze mnie za zabicie mojego adiutanta, pograżenie w bólu jego świeżo poślubionej małżonki i pozbawienie go szansy na spłodzenie potomstwa.

Cyrus z trudem powstrzymał napływające mu do oczu łzy i wielkim wysiłkiem woli wyprostował się, odsuwając ramię Tora. Trzymając krótki, szeroki sztylet obiema zmartwiały mi rękoma, marszałek naparł na niego całym ciężarem i zatopił ostrze w gardle Corlina aż po rękojeść. Było to uroczyste zabicie mordercy.

Na podartą koszulę Cyrusa trysnęła krew Corlina, mieszając się z jego własną. Marszałek stał i pozwalał jej spływać, w milczeniu patrząc, jak życie uchodzi z oprawcy, który nie ocknął się z magicznego odrętwienia.

- Uwolnij go - rzekł do Tora, gdy oczy Corlina zaszkliły się.

Tor zdjął czar z martwego ciała, które ciężko zważyło się na nasiąkniętą krwią ziemię. Zaraz potem Cyrus osunął się na kolana, po czym padł na twarz, pograżając się w błogiej nieświadomości.

*

Dopiero po kilku godzinach Tor był gotów. Odczuwał potworne zmęczenie. Oparty o drzewo spoglądał na Cyrusa, obmytego resztkami wody, zabandażowanego kawałkami starej koszuli Cloota i ubranego w zapasową, znaną w jednej z sakw oprawców.

Cyrus spał, uleczony czarami Tora ze złamań, części opuchlizny i sińców. Corlin i jego świta zatłukli go niemal na śmierć, zmieniając plecy i pierś w jedną wielką ranę. Tor za pomocą magii oczyścił wrzody, by zapobiec dalszym infekcjom. Chciał wyleczyć także skaleczenia, ale Cloot zdecydowanie mu to odradził i Tor musiał się zgodzić, że i bez tego trudno będzie wytłumaczyć ozdrowienie marszałka. Wlał w Cyrusa mnóstwo własnej energii, ratując mu życie, ale teraz, gdy najpoważniejsze rany już się goiły, Tor pozwolił marszałkowi spać, żeby jego system odpornościowy ponownie zaczął działać. Dla zapewnienia głębokiego, bezbolesnego snu podał mu trochę znalezionej wśród dobytku Corlina mocnego trunku.

Pozostałych zbirów Tor kolejno uwalniał spod działania czaru, spętawszy im uprzednio ręce na plecach, a potem powiązał z sobą wygrzebaną z ich bagaży grubą liną. Byli tak przerażeni, że z radością sami by się nawzajem pozwiązywali, gdyby im kazał.

Cloot martwił się, że nawet jeśli słowa tych ludzi będą brzmiały jak brednie, ktoś może zwrócić uwagę na ich aluzje do magii. Ktoś w rodzaju wielkiego inkwizytora Gotha.

Tor zastanawiał się nad tym, wracając po Bess i Chyżego. Przypomniał sobie coś, co kilka lat wcześniej usłyszał z ust Alyssy: „Dla twojej mocy nic nie jest niemożliwe, Tor”. Rozważając te słowa, zadał sobie pytanie, czy udałoby się wymazać z głów czterech zbirów wspomnienia jego interwencji.

Spróbuj - powiedział Cloot, gdy Tor zapytał go o zdanie. - *Nawet ja wiem, że król Lorys nie przepada za Obdarzonymi. Jeśli wyniucha, że ktoś w jego królestwie posługuje się magią, nasze dni są policzone.*

Co w takim razie zrobimy z Cyrusem?

O niego się nie martw. Nie sądzę, by groziło ci z jego strony coś poza wdzięcznością - odrzekł sokół, czyszcząc sobie piórka.

To honorowy człowiek, Cloot. Może się czuć zobowiązany do powiadomienia inkwizycji.

Tor bardziej bał się reakcji Merkhuda na wieść o tym, że jego uczeń afiszuje się ze swoją mocą, niż zabawy, jaką mieliby inkwizytorzy, gdyby wydano w ich ręce potężnego maga.

Spokój i pewność Cloota dodały mu sił.

Cyrus stanowi część układanki, Tor. Czuję, że możemy mu zaufać.

Tor zerknął na grupkę mężczyzn, którzy obserwowali ich przerażonym wzrokiem. Obdarzony mocą chłopak z dzikookim ptakiem na ramieniu... Prawie się uśmiechnął, wyobrażając sobie ich opowieści. Nie miał wyjścia: musiał spróbować. Przysiadł w cieniu pod okazałym drzewem.

No już, do roboty - wołał do niego z góry Cloot.

Na Światłość! Daj mi się skupić. Nie wiem, co robię, szalony ptaku.

Z jakiegoś powodu nazwanie Cloota szalonym ptakiem rozśmieszyło obu do łez. Upłynęło parę chwil, nim Tor zdołał jako tako dojść do siebie. Popatrzył na zaskoczonych zbirów, którzy upewnili się co do tego, że chłopak jest nie tylko niebezpieczny, ale i niespełna rozumu, podobnie jak płaszący dziko po gałęziach narwany sokół.

Musisz po prostu sobie zaufać - szepnął Cloot.

Tor ponownie wspomniawszy słowa Alyssy, zamknął oczy i posłał myśl ku lasowi, który uśmiechnął się zachęcająco. Potem skoncentrował się na zbirach, tkając potężny czar. Kiedy wreszcie otworzył oczy, czterej mężczyźni spali.

Co się stało?

Nic. W jednej chwili byli przytomni i przerażeni, w następnej spali jak dzieci. Myślisz, że się udało? - zapytał Cloot, łądując obok Tora.

Tor wstał.

Sprawdźmy.

Podszedł do zbirów i zbudził ich kopniakami. Byli oszołomieni, ale strach zniknął z ich oczu.

- Goron, zdaje się? - zapytał Tor.

- A jeśli tak, to co? - odpyskował barczysty zbir, próbując uwolnić się z więzów. - Gdzie Corlin?

- Nie żyje.

Złoczyńcy wyglądali na autentycznie wstrząśniętych.

- Kto go zabił?

- Cyrus.

- Niemożliwe - odezwał się zbir imieniem Fyster, potrząsając głową, by rozjaśnić myśli. - Był przykuty do drzew.

- A jednak to zrobił. A wy wkrótce staniecie przed sądem królewskim za zamordowanie czterech jego żołnierzy - odparł Tor, odwracając ich uwagę od Cyrusa ku własnym głowom. Cała czwórka jęknęła. - Co was opętało, żeby to zrobić? - Tor bardzo chciał poznać odpowiedź na to pytanie.

- Pieniądze - rzekł beznamiętnie Fyster. - Corlin nieźle nam płacił. Połowa w Hatten, druga połowa po wykonaniu roboty. Nie powiedział, co to za robota. Wziął parę beczek piwa i przez cały czas nas nim poił. Trzeźwi byliśmy jedynie wtedy, gdy zaskoczyliśmy żołnierzy, co nie było trudne, bo najpierw ich struliśmy. To on zabił wartowników, nie my. - Fyster ze smutkiem pokręcił głową.

- A las? Nie baliście się tam wejść? - zapytał Tor.

- Jasne, że się baliśmy - rzekł człowiek imieniem Chirren.

- Ale pieniądze nas przekonały. Poza tym Corlin dał nam do wypicia jakiś syrop, który miał zabić strach. Był ohydny, ale podziałał. Piliśmy go dwa razy dziennie.

Tor był zaintrygowany.

- Gdzie jest ten syrop?

- Trzymał go w swoim tobołku, w niebieskiej butelce - poinformował go radośnie Chirren, ignorując niezadowolenie pozostałych.

- Ten facet chce nas postawić przed sądem królewskim, debilu, a ty mu jeszcze pomagasz - warknął Goron.

Tor przetrząsał już bagaż Corlina. Wkrótce znalazł niebieską butelkę, odkorkował ją i powąchał. Sądząc po cierpkim zapachu, syrop istotnie musiał być ohydny. Tor postanowił pokazać go Merkhudowi.

- Ty, ja cię chyba znam - odezwał się Goron.

- Nie sądzę - zbył go Tor, po czym pomógł zbirom wstać.

- A teraz, panowie, siadać na konie i żadnych numerów. Gdybym się w porę nie pojawił, by powstrzymać jatkę, marszałek Cyrus zaszlachtowałby was wszystkich. Był w furii i ział żądzą krwi. - Cloot zaśmiał się sarkastycznie w głowie Tora. - Więc jeśli chcecie mojej rady, współpracujcie. Kto wie, może król zlituje się nad wami, gdy usłyszysz, że chociaż braliście udział w tej ohydnej zbrodni, żaden z was nikogo nie zabił.

Przekonawszy nieco zbirów, Tor posadził ich na osiodłanych już koniach. Wydawali się teraz chętni do współpracy, ale nadal nie miał do nich za grosz zaufania, szczególnie do Gorona, więc znów powiązał ich z sobą w taki sposób, że wierzchowce musiały iść w rzędki. Potem łagodnie zbudził Cyrusa i zapytał, czy zdoła wsiąść na konia i przebyć kawałek drogi.

Marszałek był zdumiony, że spał, a jeszcze bardziej zaskoczyło go to, że jego rany zostały opatrzone i czuje się całkiem nieźle.

- Kiedy zabiłem Corlina, wydawało mi się, że i ze mną już koniec, Gynt. Zużyłem na to resztkę swoich sił. - Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Ja też tak myślałem. Mogliśmy tylko oczyścić i zabandażować pańskie rany, a potem modlić się, żeby pan wyżył, dopóki nie dowieziemy pana do doktora Merkhuda.

Cyrus prześwietlił Tora przeszywającym spojrzeniem, które obrosło już legendą wśród jego ludzi.

- Kiepsko kłamiesz, Gynt - prychnął. - A to przekłete ptaszysko, które przyczepiło się do ciebie jak rzep do psiego ogona... Mam dziwne uczucie, że skrywacie jakiś straszny sekret.

Tor poczuł, że włosy na rękach stają mu dęba.

- Spokojnie, Tor - dodał łagodnie Cyrus. - Jeszcze nigdy w życiu nie powitałem nikogo z taką radością, jak ciebie dzisiaj. Jestem twoim dłużnikiem: tylko dzięki tobie nadal oddycham i pożyję dość długo, by pomścić śmierć swoich ludzi. - Wyciągnął rękę, by uspokoić Tora. - Czekaj. Musisz coś wiedzieć. Gdy mnie bili, udało mi się skorzystać z jedynej możliwej drogi ucieczki: straciłem przytomność. Wtedy odwiedziła mnie jakaś kobieta. Nie zdradziła swego imienia i właściwie nawet jej nie widziałem, ale miała piękny głos i uspokajała mnie, wracając wiele razy i powtarzając mi, bym wytrwał. I wiesz, na co kazała mi czekać?

Tor pokręcił głową.

- Na ciebie, Gynt. Powiedziała, że przyjedziesz, żeby mnie uratować. I dodała, że mam strzec twoich sekretów przed wszystkimi, także przed tymi, którym służę, i chronić cię z narażeniem własnego życia. Niezły sen, co, Tor? A potem pojawiłeś się ty.

Wstał powoli, wsparty o Tora.

- Nie mówmy nic więcej. To wszystko i tak jest dla mnie niepojęte, mam natomiast nadzieję, że wymyśliłeś jakąś dobrą historyjkę na użytek armii, która niewątpliwie zmierza w tym kierunku. - Zaśmiał się. - Mówienie dziękuję wydaje mi się trochę nie na miejscu, więc nie będę próbował wyrazić swojej wdzięczności wobec ciebie i twojego... hm... tego tam ptaka.

- To sokół wędrowny - powiedział skromnie Tor.

*

Kolumna ruszyła powoli: najpierw Cyrus na Chyżym, potem czterej jeńcy, na końcu Tor na Bess, prowadząc trzeciego konia. Cloot leciał wysoko w górze, instruując Tora, którądy iść przez las, by dojść do Brewis.

Jeńcy podziwiali orientację Tora, ale marszałek uniósł głowę i zobaczył na niebie wspaniałego sokoła. Uśmiechnął się.

- Mam w swojej kwaterze świetny morriet, Gynt - zawołał przez ramię. - Specjalnie go oszczędzałem. Mam nadzieję, że napijesz się ze mną, gdy dojedziemy.

12

ZDUMIENIE MERKHUDA

Czterdziestu żołnierzy Tarczy jechało w milczeniu, wciąż nie mogąc się otrząsnąć z szoku wywołanego wieścią o zaginięciu ich dowódcy.

Cyrus pełnił dwie funkcje i w obu rolach był ubóstwiany przez podwładnych. Przede wszystkim był marszałkiem Tarczy - niewielkiej prywatnej armii najlepszych wojowników, która miała za zadanie ochraniać monarchę. Większa armia, odpowiedzialna za bezpieczeństwo królestwa i również dowodzona przez Cyrusa, zwana była Kompanią Królewską. W czasach starego króla Morta każdą z tych funkcji pełnił inny człowiek, ale teraz w Tallinorze panował pokój i Cyrus bez trudu łączył obie.

Zazdrośni możnowładcy goszczący w Tal twierdzili złośliwie, że tamtejsza armia nie zauważyłaby prawdziwej bitwy, nawet gdyby ta podeszła i ugryzła ją w tyłek. Mimo to jej długa historia, niezrównane umiejętności bitewne, sławny marszałek i niezmiernie tajemnicze zwyczaje sprawiały, że darzono ją szacunkiem.

Merkhud jechał u boku króla. Nie było to zadanie dla lekarza, król jednak potrzebował wsparcia, a medyk nie chciał odmawiać jego prośbie. Czuł ogromny niepokój, nie tylko w związku z Cyrusem, lecz także z Torem, który - według jego szacunków - powinien był się stawić w Tal dwa dni temu. Całe szczęście, że Merkhud poprosił o pomoc pannę Vylet. Dzięki niej wiedział, że podczas pobytu w Hatten nie spotkało chłopca nic złego. Używając swojej siatki szpiegowskiej, informowała medyka o każdym kroku Tora, tego ranka jednak zakomunikowała, że chłopak zniknął.

Merkhud miał wielką nadzieję, że po powrocie z Wytten otrzyma wiadomość o Torze, nie doczekał się jej jednak. Spotkanie z Marrien, zniknięcie Tora, a teraz nieszczęście Cyrusa... Za wiele tego było jak na jeden dzień.

- Ogłuchłeś, staruszkule? - ryknął mu król do ucha.

- Na Światłość, Lorysie! Słyszę całkiem dobrze, dziękuję. Po prostu się zamyśliłem.

- Zamyślaj się, kiedy jesteś sam, medyku. Martwię się i zabrałem cię z sobą, by słuchać twoich rad, a nie twojego milczenia.

Merkhud nie odpowiedział.

- Nie obrażaj się, Merkhudzie - kontynuował król. - Jesteś na to za stary. Pytałem o twojego nowego ucznia.

- Powinien się wkrótce zjawić, a ty i królowa będziecie pierwszymi osobami, którym go przedstawię. Masz na to moje słowo.

Medyk uprzejmie zbył króla. Nie był w nastroju do rozmowy. Mimo to Lorys nie dałby mu spokoju, gdyby w tym momencie nie nadjechał jeden z jego ludzi z informacją, że w tym miejscu oddzieli się kolejna sześciuosobowa grupa żołnierzy.

- Dobrze, Norrysh, dziękuję. - Król odwzajemnił salut i odwrócił się z powrotem do przyjaciela. - W każdej osadzie w promieniu pięćdziesięciu wiorst od Brewis zostawiam sześciu ludzi, żeby zbierali informacje. Ta szóstka pojedzie do Hobb.

Merkhud skinął głową. Zaledwie dziesięć minut później, po przejechaniu zakrętu, ujrzeli przed sobą pył, który wzniosł się spod kopyt koni Kompanii Królewskiej. Lorys westchnął z ulgą i przyspieszył, by Tarcza jak najszybciej spotkała się z tamtymi.

Poblądły z z troskania Herek zatrzymał swoich ludzi, zeskoczył z konia i skłonił się królowi z głębokim szacunkiem.

- Panie - rzekł, przyklękawszy na jedno kolano. Głos drżał mu z emocji. - Czy mój jeździec dotarł bezpiecznie do Tal?

- Dotarł i przekazał mi złą wiadomość - odparł łagodnie król, zatrzymując przed adiutantem swego okazałego białego rumaka. - Proszę wstać, kapitanie.

Herek wyglądał na zrozpaczonego. Lorys przeszedł pospiesznie do konkretów, czując, że w przeciwnym razie żołnierz po prostu rozsypie się z bólu. Doskonale wiedział, jakim uczuciem członkowie Kompanii darzą swojego marszałka: oprócz niego samego nikt inny w kraju nie miał na żołnierzy takiego wpływu.

- A zatem nie ma żadnych nowych wieści, kapitanie? - zapytał.

- Nie, wasza wysokość. Ani śladu marszałka Cyrusa. Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli Kompania jak najszybciej dotrze do Tal.

- Podjął pan słuszną decyzję. Właśnie tego oczekiwałyby od pana marszałek. Proszę bezpiecznie dowieźć swoich ludzi do Tal. Dla Cyrusa nie możecie w tej chwili nic zrobić. Tarcza przeczesuje teraz okolicę, a jeśli trzeba, przeszuka całe królestwo, by go znaleźć. - Lorys położył dłoń na oklapniętym ramieniu Hereka.

- Pan i pańscy ludzie potrzebujecie odpoczynku i dobrej strawy. Przez większość lata byliście w drodze. Czas, byście wrócili do swoich kobiet i rodzin.

- Czy mogę prosić o zezwolenie na przyłączenie się do żołnierzy Tarczy, panie? - zapytał błagalnie Herek.

Król uśmiechnął się życzliwie.

- Odmawiam, kapitanie. Rozkazuję panu odstawić tych ludzi do Tal i pozostawać tam do chwili otrzymania dalszych rozkazów bezpośrednio ode mnie. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, wasza wysokość. Proszę o wybaczenie.

- Tu nie ma nic do wybaczenia, Herek. Jesteś świetnym żołnierzem. A teraz wskakuj z powrotem na siodło, synu. Tarcza go znajdzie.

Gdy kolumna ruszyła, Lorys szedł powoli wzdłuż szeregu. Uśmiechał się pokrzepiająco, rozmawiał z ludźmi, odpowiadał na ich pokłony. W ciągu tych kilku minut zdołał podnieść wszystkich na duchu i Merkhud nie wątpił, że żołnierze szczerze wierzą, iż król dotrzyma słowa i znajdzie ich ukochanego marszałka.

Wsiadłszy z powrotem na konia, Lorys podjechał do Merkhuda i obaj kłusowali dalej w przyjacielskim milczeniu. Mijając osadę Chigley, zostawili w niej sześciu ludzi, a kolejna szóstka odłączyła się w pobliżu Perswich. Potem oddzielali się następni, aż wreszcie król, Merkhud, Norrysh i ostatnich ośmiu żołnierzy przygalopowało do Brewis.

- Za pańskim pozwoleniem, wasza wysokość, dokonamy pobieżnego przeszukania wioski, po czym udamy się na miejsce obozowiska Kompanii.

Szacunek kazał Norryshowi czekać na odpowiedź. Król skinął głową.

- Jeśli pan Merkhud i wasza wysokość chcieliby się trochę wzmocnić, zamówimy coś do zjedzenia - kontynuował żołnierz.

Tym razem nie czekał na odpowiedź. Jeden z jego ludzi zniknął w gospodzie Pod Koniem i Wozem, by zamówić piwo odpowiednie dla monarchy. Pozostali wypytywali wieśniaków. Merkhud widział, jak tamci kręcą głowami. Podobnie jak Norrysh medyk nie bardzo wierzył w możliwość znalezienia tu jakichkolwiek wskazówek. Chichocząca i dygająca dziewczuszka przyniosła zimne piwo i dwaj mężczyźni pili łączywie, by ugasić pragnienie.

Król wytarł sobie brodę.

- O czym myślisz, Merkhudzie?

Merkhud doszedł do wniosku, że nie ma sensu owijać w bawełnę.

- Spotkałem się dziś z tą dziewczyną, Lorysie.

- Z którą dziewczyną? - zapytał król, unosząc kufel do ust.

- Z tą z Wytten - odparł beznamiętnie medyk.

Lorys obrócił się gwałtownie, zapominając o piwie i koncentrując całą uwagę na medyku.

- Dobrze się czuje? - zapytał niemal szeptem.

- Tak.

- A dziecko? - Lorys odstawił kufel na trawę, bojąc się, że ze względu na drżenie rąk mógłby rozlać zawartość.

- To bardzo zdrowy chłopak. - Merkhud wiedział, że wbija nóż w serce króla.

- Syn. - W tym jednym słowie wyrażała się tęsknota całego życia. Przez twarz monarchy przetoczył się grymas bólu.

- W istocie, mój panie. Jest zdrowy, silny i pod bardzo dobrą opieką. - Merkhud mówił cicho, nie chcąc, by ktokolwiek ich podsłuchiwał. - Zająłem się wszystkim. Marrien i jej syn będą mogli wieść godne życie. - Zamilkł gwałtownie, czekając.

- No to załatwione - powiedział król.

- Załatwione, wasza wysokość. Nie będę więcej rozmawiał z tobą o tej sprawie.

- Czy zamierzasz często kontaktować się z Marrien? - Król wydawał się zażenowany własną dociekliwością.

- Nie, Lorysie - skłamał Merkhud. Wypił resztkę piwa, próbując stłumić w sobie nieznośną rozpacz.

- No to zrobione - rzucił z determinacją król ku niewypowiedzianej uldze medyka.

Merkhud wiedział, że Lorys zawsze dotrzymuje słowa. Temat Marrien i jej syna więcej nie pojawi się w ich rozmowach, a królowa nadal będzie żyć w błogiej nieświadomości tej skazy na skądinąd nieposzlakowanej wierności męża.

Wrócił Norrysh. Merkhud był mu za to wdzięczny.

- Pojedziemy teraz do obozowiska, wasza wysokość. Tutaj nie dowiedzieliśmy się niczego ważnego.

Obóz Kompanii znajdował się w odległości zaledwie dwóch wiorst. Dalej zaczynała się puszcza.

- Wiem, że nasi ludzie boją się tego miejsca, Merkhudzie, ale, choć to dziwne, mnie samego myśl o nim zawsze pokrzepiała - rzekł Lorys, zsiadając z konia.

Zwierzę potrząsnęło łbem i, wlokąc za sobą lejce, podreptało na popas, ale nie zbliżyło się jednak za bardzo do skraju lasu. Pozostałe wierzchowce poszły w jego ślady: te doskonale wyszkolone rumaki rzadko oddalały się od jeźdźców dalej niż na kilka kroków. Koń Merkhuda, Stygian, był jednak ulepiony z innej gliny. Gdy tylko medyk zszedł z siodła, ogier bez oporów podszedł do jednego z wielkich dębów na obrzeżach puszczy i spokojnie pasł się w jego cieniu.

- Czego właściwie szukamy? - zapytał Merkhud.

- Cyrus ma doskonały zmysł taktyczny. Być może pozostawił nam jakąś wskazówkę -

zasugerował Lorys, wzruszając ramionami. Rozpoczęli skrupulatne przeszukiwanie terenu, ale mimo swojej drobiazgowości mieli poczucie, że robią coś beznadziejnego, niemal desperackiego. Merkhud już miał zrezygnować z udziału w tym jałowym przedsięwzięciu, gdy nagle wydało mu się, że słyszy głosy.

- Ciiii... - syknął w kierunku grupy.

Zaniepokojeni żołnierze podnieśli głowy. Nie słyszeli nic niezwykłego. Merkhud tymczasem wypuszczał macki na wszystkie strony. Głosy, wyraźne głosy. Wszyscy gapili się na niego wyczekująco.

- Słyszę jakichś ludzi - rzekł.

Żołnierze dobyli mieczy i złapali za lejce. Król poszedł w ich ślady. Wszyscy wyteżali słuch, by coś usłyszeć. W końcu Lorys się znecierpliwiał.

- Nie słyszę nic oprócz ptaków, staruszku. Dlaczego nas straszysz?

- Bo zbliża się do nas niewielka grupka. Nie żartuję, panie - burknął półgłosem.

- Skąd? Ja nic nie słyszę - odezwał się Norrysh, spokojny jak zawsze.

- Z lasu. Zaufajcie mi.

- Nasi? - zapytał Lorys.

- Nie, wasza wysokość. Ludzie Tarczy nie wyszliby z głębi puszczy - rzekł Norrysh.

Żołnierze oczekiwali w napięciu. Nagle z ciemnego zagajnika po ich prawej stronie wyłonił się marszałek Cyrus, mrugając oślepiłymi od blasku popołudniowego słońca oczami. Za nim pojawiły się trzy konie niosące zgarbionych, zakneblowanych i skrzepowanych jeźdźców. I wreszcie, jako ostatni, osłupiałym oczom Merkhuda ukazał się Torkyn Gynt, wyglądający dość głupawo z sokołem na ramieniu.

- Niech mnie Światłość! - Tylko tyle zdołał wyrzec medyk, ale i tak jego słowa utonęły w powodzi wrzasków radosnego niedowierzania, jakie wydobywały się z ust jego kompanów.

O ile Merkhud był wstrząśnięty pojawieniem się swojego nowego ucznia, jego zdumienie było niczym w porównaniu z przerażeniem, jakie opanowało Tora na widok znajomej postaci w czerni.

O, w mordę! - mruknął poprzez łącze, gdy kolumna się zatrzymała.

Cloot zauważył starca.

Merkhud?

Któżby inny - odparł Tor, podczas gdy Cyrus unosił rękę w geście powitania.

A pozostali?

Zgaduj-zgadula.

Myślisz, że nie zgadnę? - zaperzył się Cloom.

Byle szybko. Ja pracuję nad genialnym wyjaśnieniem swojej tu obecności.

Nie mów o mnie nikomu, a zwłaszcza staremu. - Po tych słowach ptak zamilkł i znieruchomiał.

Co? Dlaczego? - Cloom nie odpowiedział. Zamiast tego uniósł się z ramienia Tora i poszybował w górę.

Podszedł do nich dobrze ubrany mężczyzna o krótko przystryżonej brodzie i pomógł Cyrusowi zejść z konia. Tor także zsiadł i przyglądał się, jak ptak odlatuje ku bezpiecznej kryjówce lasu.

Nie zostawiaj mnie znowu, Cloom! - zawołał poprzez łącze.

Nie będę daleko. Pamiętaj o moim ostrzeżeniu. Muszę zachować anonimowość.

Tor obrócił się i spojrzał w posępną twarz Merkhuda, który dołączył do młodszych towarzyszy. Żołnierze Tarczy witali się z kapitanem tradycyjnym stuknięciem pięści, szczęśliwi, ale skonsternowani.

- Na Światłość, człowieku! Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę! - zawołał do marszałka ich bogato odziany przywódca.

- Panie - odparł ku osłupieniu Tora Cyrus, próbując przykłęknąć na jedno kolano.

Uciekając wzrokiem przed lodowatym spojrzeniem Merkhuda, Tor przyglądał się, jak król podnosi protestującego marszałka.

- Wasza wysokość... tyle mam do opowiedzenia...

- Później, Cyrusie. A ci ludzie? - zapytał monarcha, wskazując brodą Gorona i jego kompanów.

- To szumowiny, panie. Czekają na twój sąd - odparł Cyrus z autentyczną rozkoszą.

Norrysh i jego podkomendni ściągnęli jeńców z koni.

- Na kolana przed waszym królem!

Więźniowie sprawiali wrażenie przerażonych. Narkotyk, który Corlin aplikował im w dużych ilościach, przestał już działać. Teraz, stanąwszy oko w oko z własnymi postępkami, zaczęli jeden przez drugiego wykrzykiwać usprawiedliwienia.

- Zabrać ich - rozkazał Norrysh. - Potem wysłuchamy ich opowieści. Na razie niech poznają gościnność naszych lochów.

Merkhud nie wyrzekł jeszcze nawet słowa. Tor zebrał odwagę, by znów na niego spojrzeć, starając się przybrać możliwie najbardziej skruszony i błagalny wyraz twarzy.

- Czy mi się zdaje, że widziałem na twoim ramieniu drapieżnego ptaka? - zapytał wreszcie starzec.

- Mmm... Tak jest, mistrzu - odparł Tor.

- Aha. A jak ma na imię ta twoja maskotka?

Tor chciał wyjaśnić, że Cloot jest sokołem, ale powstrzymał się.

- Cloot - rzekł tylko.

Starzec wyglądał, jakby Tor go uderzył.

- Powiedziałeś Cloot? - zapytał ze zdumieniem.

- Hm, tak... Spłoszył się i poleciał do lasu, gdy się zbliżyliście...

- Kto mu nadał to imię? - zapytał w napięciu starzec.

Tor nie rozumiał, dlaczego Merkhud tak go o to wypytuje, ale przypomniał sobie ostrzeżenie Cloota.

- Cóż... Kiedy byłem mały, mama często śpiewała mi zabawną piosenkę o człowieczku imieniem Cloot. To z niej zaczerpnąłem to imię.

Miał nadzieję, że Merkhud uwierzy w to kłamstwo. Starzec długo mierzył go wzrokiem, po czym skinął głową.

- Lorysie, pozwól, że - nie bez zdumienia - przedstawię ci mojego nowego ucznia Torkyna Gynta. Oto twój król, Torkynie - rzekł ochryple.

Tor skłonił się nisko, idąc za przykładem pozostałych, po czym przykląkł na jedno kolano.

- Wasza wysokość.

- Na ogień piekielny! Ile jeszcze niespodzianek czeka mnie dzisiaj? A więc to jest długo oczekiwany Gynt? Widzę, że już się poznaliście - zakończył król, wodząc spojrzeniem od Tora do Cyrusa i z powrotem.

- Cóż, tak, panie - odparł Cyrus. - Gdyby nie Torkyn Gynt, moja krew ogrzewałaby trawę w puszczy.

- Wstań, chłopcze. Niech no się tobie przyjrzę. - Król, którego niepokój wyparował na widok Cyrusa, był teraz szczerze rozbawiony. Uwielbiał patrzeć, jak Merkhud się denerwuje.

- Daj spokój, Merkhudzie. Narzekałeś, że chłopak się spóźnia. A oto i on, cały i zdrowy.

- Co się wydarzyło? Skąd wy obaj się tu wzięliście? - Merkhud nie mógł powstrzymać cisnących mu się na usta pytań.

- Marszałek... hm... zaproponował, żebym towarzyszył mu w drodze do Tal. Początkowo odmówiłem, ale potem przemyślałem sprawę, dogoniłem go i... zostałem wplątany w jego... kłopoty... - Tor usiłował pokonać zażenowanie. Wiedział, że Merkhud nie może się przyznać do śledzenia jego poczynań za pomocą magii. A w każdym razie nie przed tymi słuchaczami. Wyjaśnienia musiały poczekać.

Król jęknął.

- Jakie to ma znaczenie, Merkhudzie? Ważne, że chłopak tu jest i że marszałek żyje.

W tym momencie wrócił Cloot i ponownie usadowił się na ramieniu Tora.

- A ptak? - zapytał Merkhud, nie potrafiąc ukryć niedowierzania.

- Piękniejszego nie znajdzie pan w całym Tallinorze - wypalił Cyrus. - Chłopak wygrał go w arcytrudnej partii hari Pod Pustym Kielichem. Wszyscy mu zazdrościli.

- Fakt. - Teraz Tor przejął pałeczkę. - To było drugiego wieczoru. Nie miałem pojęcia, co zrobić z sokołem, ale on szybko mnie polubił - rzekł, czule gładząc piórka na głowie Cloota. - Nie wiem nawet, po co wzięłem udział w grze - skłamał gładko.

- Za dużo piwa, mały, ale grałeś jak demon - zaśmiał się Cyrus, a król mu zawtórował.

- Hari uzależnia, chłopcze. Lepiej o nim zapomnij i skup się na nauce - rzekł Lorys, zerkając z rozbawieniem na Merkhuda, który nerwowo poruszał wąsami.

- Obiecuję, wasza wysokość.

Lorys spoważniał.

- To dobrze. Cyrusie, czy masz dość siły, by streścić mi tę przedziwną historię?

- Oczywiście, wasza wysokość. Usiądźmy, proszę - zaproponował Cyrus, wskazując cień pobliskiego dębu.

Następnie zrekonstruował przebieg wypadków od momentu swego pierwszego spotkania z Torem na rynku, gdy Corlin upokarzał Cloota. Bardzo uważał, by nie podawać imion, a nawet, ku wielkiej wdzięczności Tora, wspomniał mimochodem, iż rannego kalekę po raz ostatni widziano, jak kuśtykając, opuszczał miasto.

- Pewnie umarł, nim zdołał przejść milę - dodał zuchwale Tor.

Wszyscy pokiwali głowami, nie kryjąc obojętności. Tylko Tor słyszał w głowie chichot sokoła.

*

Nanak, musi istnieć jakiś związek!

Małomówny Nanak, strażnik paladynatu, w milczeniu przemyślał sugestię Merkhuda, że Cloot Brock, drugi z paladynów, ponownie objawił się w Hatten w tym samym czasie, gdy do miasta przybył Torkyn Gynt, jedyne znane im ogniwo Trójcy.

Chciałbym wierzyć, że żaden z paladynów nie umiera, Merkhudzie, ale to trochę niewiarygodne. Sokół, powiadasz?

Nanak... Pomyśl! Cloot to imię Brocków. W dodatku dość rzadkie. Żaden Tallinorczyk nie nazwałby tak dziecka, więc opowieść Tora o tallinorskiej piosence jest bzdurą. Ja również tego nie rozumiem, ale przecież twoje czy moje życie też nie bardzo trzyma się kupy, prawda?

Zareagowałeś cynicznie, gdy po raz pierwszy wspomniałem o Cyrusie, ale to nie jest przypadek, przyjacielu: marszałek Cyrus i ten cały Cloot są paladynami.

Merkhud oczekiwał, że Nanak mu zaprzeczy, podając jakiś argument na odparcie tej tezy, po drugiej stronie łączy panowała jednak cisza.

Nie wiem tylko, kiedy i dlaczego ten Cloot zmienił się w dziwnego ptaka - myślał dalej na głos.

Nanak w końcu przemówił.

Dlaczego nazywasz go dziwnym?

Och, nie wiem. Mam wrażenie, że oni się komunikują. Nie dałbym głowy, ale działają wspólnie. Używałem wszelkiej możliwej magii, by coś podsłuchać, lecz nic z tego. Może to moja wyobraźnia, ale, na Światłość, człowieku, zastanów się! A jeśli Cloot i Cyrus naprawdę wrócili, by chronić Tora? To by potwierdzało tezę, że jest Wybrańcem.

Nanak czuł, jak serce wali mu z podniecenia. Nikt nie był bliżej paladynów niż on, ale za każdym razem, gdy jednego z nich pokonywała magia Orlaca, w strażniku coś się wypalało. Ostatnio płakał, gdy zniknął Sallementro. Każda śmierć łamała mu serce, ale trwał na swoim posterunku, znajdując jakoś siłę, by dać pokrzepienie pozostałym.

Podaj mi jeszcze jedno imię, Merkhudzie, a zgodzę się z tobą i razem będziemy świętować.

Znajdę je dla ciebie, Nanaku. Uwierzysz mi. Koła się kręcą. Hostia mówiła prawdę.

W takim razie co z resztą? Gdzie są Juno, Saxon i Adongo? Skoro Cloot i Cyrus wrócili, dlaczego nie ma wieści od pozostałych?

Nie wiem - odparł Merkhud, bombardowany pytaniami, na które nie znał odpowiedzi, a jednak pewien swego. - Poczekamy. Jeśli mam rację, wkrótce się ujawnią.

CYRK ZORROS

Idąc obok starszej pani i jej marudnego osła, Alyssa zastanawiała się, czy kiedykolwiek była szczęśliwsza - z wyjątkiem chwil spędzonych z Torem. Początkowo ciągle o nim myślała i podczas pierwszych tygodni wędrówki, w drodze z Twyfford do Mexford Cross, często przychodziło jej do głowy, że mogłaby wypić którąś z trujących mikstur Sorrel i opuścić ten padół łez. Ostatnio jednak, u progu jesieni, nauczyła się myśleć o nim bez płaczu. Robiła wszystko, by go odzyskać. Raniło ją wspomnienie o nim, ale najbardziej nieznośne było jego milczenie, ciężące niczym kamień za każdym razem, gdy próbowała się z nim skontaktować. Sądziła, że po prostu zamknął łącze, i była tym tak oszołomiona, iż dopiero po dłuższym czasie ponawiała próbę.

Teraz jednak, sondując ową ciszę, zaczęła wierzyć, że zasłona może nie być dziełem Tora. Nie przypominała jego wcześniejszych „pasterskich sztuczek”, jak nazywała je Alyssa. Zasłony Tora były potężne i jedyne w swoim rodzaju. Ta wydawała się znacznie bardziej subtelna, skrupulatnie utkana z ulotnej, nieuchwytnej substancji. Ślady zawsze się urywały. Czy ktoś celowo blokował komunikację między nimi dwójkiem? Alyssa podejrzewała starca, który sprowokował dziwne zachowanie Tora, skąd jednak ten człowiek mógł wiedzieć o ich kontaktach i dlaczego miałby chcieć im zapobiec?

Fakt tak nagłego odejścia z Mallee Marsh w towarzystwie całkiem obcej kobiety także był dla niej nietypowy. Czasami nie mogła uwierzyć, że to zrobiła. Gdy jednak wspominała chwilę, w której błagała Sorrel o zabranie jej z sobą, zdawała sobie sprawę, że był to moment szaleństwa. Wiedziała też, że gdyby nie to szaleństwo i rzucenie się w wir nowych doświadczeń, załamałaby się. Gdy się miało takiego ojca jak Lam Qyn, każdy dzień był dostatecznie trudny, ale bez Tora, który dawał jej nadzieję, nie miałyby już po co żyć. Alyssa wiedziała, że inni młodzieńcy z radością wzięliby ją za żonę, ona jednak nie czułaby się szczęśliwa u boku żadnego z nich. Tor i ona byli sobie przeznaczeni na zawsze.

Wyruszywszy w drogę z Sorrel, natychmiast poczuła się uwolniona od brzemienia własnego życia. Każdego dnia przemierzały wiele mil, a starsza pani opowiadała towarzyszece pasjonujące historie o swoich wędrówkach. Ze szczególną uwagą Alyssa wsłuchiwała się w

nauki dotyczące ziołarstwa. Dowiedziała się, że świstek leczy ból gardła, a zagotowany i wymieszany z miodem stanowi świetne lekarstwo na kaszel. Posmarowanie rany lub wrzodu tepeńią zapewnia szybsze gojenie; pokrzywa, mięta i mniszek dają najlepszy napar przeciwko zapaleniu oskrzeli, a sok ze skórki cytryny zmieszany z sokiem z lawendy ukoji ból ucha szybciej niż cokolwiek innego. Kochała nowy świat, do którego zabrała ją Sorrel - a był to nie tylko świat roślin, lecz także wędrówek po królestwie. Do tej pory najdłuższą wyprawę Alyssy stanowiła jednorazowa wycieczka do Twyfford Cross z Torem i jego ojcem.

Lubiła rodziców Tora. Byli stanowczy, lecz ogromnie kochający i życzliwi, nie tylko w stosunku do syna, lecz także do niej. Alyssa okazywała im więcej uczucia niż własnemu ojcu, choć i jego szczerze kochała. Po prostu nie potrafiła go zrozumieć. Tor miał szczęście. Był kochany. Ona nie zaznała w życiu żadnej miłości poza tą, którą on jej dawał i której kurczowo się trzymała. Jak mógł ją tak zostawić? Wiedziała, że opuściła Marsh głównie z powodu gniewu. Wściekłość wywołana jego odejściem dała jej odwagę, by pójść w nieznaną z obcą staruszką. Alyssa przyznawała przed sobą, że po prostu odpłaca Torowi pięknym za nadobne. Miała nadzieję, że chłopak zacznie jej szukać. To dlatego nie pozostawiła mu żadnej wieści. Chciała, żeby się zamartwiał - ale teraz wiedziała, że nigdy jej nie znajdzie, bo ona sama nie miała pojęcia, dokąd zmierza.

Dzień po dniu wszystkie te myśli odpływały jednak w dal. Alyssa szła obok Sorrel, trzymając luźno dłoń na ramieniu Kythaya, ku północnemu zachodowi, coraz bardziej oddalając się od stolicy królestwa.

- Mówiłaś, że dokąd idziemy? - zapytała roztargnionym głosem, żując źdźbło trawy.

Sorrel nie odpowiedziała od razu. Jej wzrok padł na kępkę niewielkich niebiesko-białych kwiatków, wyrastających spośród grubych traw pod drzewami.

- O! Tonik z płatków wiesiołka świetnie robi na ból brzucha. Zapamiętaj je, dziewczyno, są rzadkie i najlepiej zrywać je jesienią, jak teraz.

Gestem nakazała Alyssie, by jej pomogła. Kroczący wolno Kythay zatrzymał się w tym samym momencie co dziewczyna. Całkowicie panowała nad osiołkiem: wystarczyło jedno uprzejme słowo, by poddał się jej woli. Fakt, iż to uparte, niesforne stworzenie tak łatwo pozwalała Alyssie sobą kierować, był przyczyną ciągłej frustracji Sorrel.

- Cholerny zwierzak! - mruknęła po raz enty, pochylając zboląły kark, by nazrywać cennych płatków.

Podczas gdy kobiety pracowały w milczeniu, osiołek przeżuwał wszelkie smakołyki, jakie udało mu się znaleźć w pobliżu. Kiedy południowe słońce zaczęło im palić skórę, Sorrel wyprostowała się, stękając.

- Idziemy do Ildagarth - rzekła wreszcie, przysiadając, by chwilę odpocząć.

Przyglądała się dziewczynie, która wciąż zbierała kwiatki i wrzucała je do maleńkiego woreczka.

- Aha. A co tam jest? - Alyssa zabiła komara i wierzchem dłoni potarła spierzchnięte wargi.

Sorrel zauważyła, że dziewczyna rozkwitła podczas tych trzech tygodni, które razem spędziły. Jadła regularnie i nie była już tak chuda jak przedtem; tu i ówdzie pojawiły się krągłości. Żwawa wędrowka poprawiła jej kondycję i sprawiła, że śliczna skóra nabrała miodowego odcienia.

Początkowo dziewczyna była bardzo cicha; trzymała się blisko Kythaya i nigdy nie odzywała niepytana. Teraz, po kilku tygodniach od tamtego popołudnia, gdy Sorrel za pomocą manipulacji skłoniła ją do pójścia z sobą, Alyssa stała się ożywiona i rozmowna. Zadawała mnóstwo pytań i śmiała się znacznie więcej. Być może utrata Tora nie napawała jej już takim smutkiem... A może po prostu wędrowka drogami Tallinom obudziła w niej większe zainteresowanie życiem. Cokolwiek to było, wyszło jej na zdrowie. Alyssa promieniała.

A przy tym okazała się diabelnie bystra. Sorrel zwróciła uwagę, jak szybko mała zapamiętuje informacje na temat ziół i roślin. Jeszcze trochę i będzie mogła spokojnie zarabiać pieniądze u jej boku... Na razie jednak, na szczęście, nie potrzebowały żadnych pieniędzy. Merkhud zadbał o to, by Sorrel miała wypchany woreczek, choć Alyssa, rzecz jasna, nic o tym nie wiedziała. Starsza pani co rusz napomykała o tym, że wkrótce będą musiały się wziąć do pracy, ale w każdej wiosce odkładała to na później. Alyssa z niecierpliwością wyczekiwała chwili, w której będzie mogła praktycznie wykorzystać nowo nabytą wiedzę. Na razie zebrały wiele pożytecznych roślin i ziół, nie próbowały jednak sprzedawać żadnych leków. Wszystko w swoim czasie, mówiła Sorrel.

Nie chciała przyciągać niczyjej uwagi. Potrzebowała czasu, by lepiej poznać dziewczynę, zwłaszcza że Alyssa stopniowo zaczęła zarzucać środki ostrożności, prawdopodobnie dzięki spokojnemu życiu i przebywaniu na świeżym powietrzu. Gdyby ulokowały się w jakiejś wsi i zaczęły pracować, sprawy mogłyby przybrać inny obrót.

Sorrel uświadomiła sobie, że nadal nie odpowiedziała na pytanie Alyssy, po co udają się do Ildagarth.

- Cóż, od ładnych paru lat nie byłam w tej części królestwa, a to miejsce jest równie dobre, jak każde inne - skłamała, przeciągając się swobodnie, by nadać lekkości swoim słowom. - Poza tym, w pobliżu Ildagarth leży Caremboche. Słyszałaś o tym miejscu?

Alyssa pokręciła głową, po czym ponownie usiadła obok Kythaya, odgarniając z twarzy złote nitki włosów, które wymknęły jej się z luźnego warkocza. Osiołek obrócił się i łąsił się do niej, a ona szeptała coś do niego.

- Caremboche to bardzo stara miejscowość, w której znajdował się instytut naukowy - kontynuowała Sorrel. - Kiedyś było to bogate miasto, zamieszkane przez czarodziejów i uczonych, artystów i rzemieślników, których otwarcie zachęcano do rozwijania i przekazywania dalej swoich umiejętności. Teraz, dwa wieki później, jest zaledwie cieniem tamtego kwitnącego ośrodka, ale Akademia wciąż istnieje. Chciałabym, żebyś ją zobaczyła.

Widząc brak zainteresowania ze strony Alyssy, starsza pani postanowiła nie zanudzać jej dłużej. Zaciągnęła zasłonę i wysłała sygnał.

Witam, moja droga. Jak się miewasz? - odpowiedział łagodny głos.

Obie mamy się dobrze, Merkhudzie. Zbliżamy się do Fragglesham. Przy odrobinie szczęścia w przyszłym miesiącu dotrzemy do Mexford.

Merkhud westchnął z ulgą.

To dobra wieść. Dziewczyna wie?

Nie. Nie wydaje się zbyt zainteresowana. Jesteś pewien co do niej?

Tak. On nadchodzi. Wkrótce porozmawiamy.

Nim Sorrel zdążyła odpowiedzieć, łącze zatrasnęło się gwałtownie.

Wzdychając głęboko i rozmyślając nad pozornym bezsensu swego żywota, zasugerowała towarzysze, aby postarały się dotrzeć do Fragglesham, odległego zaledwie o kilka godzin marszu. Ostatecznie przybyły do tętniącego życiem miasta nawet szybciej, niż planowały, i natychmiast znalazły pokój w gospodzie Pod Snopem Pszenicy.

We Fragglesham Green obozowała znana trupa wędrowna Cyrk Zorros. Ustawiono rzędy ławek, a arenę obwieszono jaskrawymi proporczykami, łopoczącymi na leniwym wietrzyku. Północny kraniec Green pokrył labirynt małych namiotów i altanek, w których mieszkali artyści i ich zwierzęta. Na południowym obrzeżu, w pobliżu głównego wejścia, zainstalowano pomalowane na jasne kolory mniejsze sceny; pośrodku zaś tętniło życiem coś, co wyglądało jak miasto w mieście: dziesiątki wędrownych artystów, stróży i właścicieli straganów, przygotowujących się do wieczornego przedstawienia.

Alyssa była oczarowana.

- Tyle słyszałam o Cyrku Zorros! Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jest!

Sorrel natomiast nie była zachwycona. Ani chybi cała ta impreza spowolni ich podróż. Dziwiła się, że w gospodzie znalazł się dla nich pokój, dopóki sobie nie przypomniała, iż właściciel wspominał o nocujących tam ludziach króla. Inkwizytor Goth, szepnął

przepraszająco.

Sorrel nigdy nie obawiała się Gotha. Jej zdolności komunikacyjne były daleko poza zasięgiem jego słabych zmysłów, które musiały się uciekać do pomocy zaczarowanego kamienia, by wyłuskać Obdarzonych. Niemal ją to śmieszyło. Ale Alyssa z pewnością się go bała, podobnie jak inni ludzie, nie tylko ci władający mocą. Sorrel nie mogła ryzykować, że dziewczyna się zdenerwuje i zrobi coś, co ją zdradzi. Mimo to wynajęła pokój i zapłaciła z góry, a teraz zastanawiała się, jak, na Światłość, uniknąć zabierania swojej towarzyszki do cyrku. To było niewykonalne. Wspaniałe dekoracje, kręcący się wokół namiotów niesamowici ludzie i jeszcze dziwniejsze zwierzęta pasące się i wygrzewające na słońcu całkowicie zawładnęły sercem i umysłem dziewczyny.

Starsza pani uległa.

- Jeśli chcesz, możemy pójść na występ - powiedziała łagodnie.

Alyssa wyglądała, jakby ktoś wręczył jej cenny klejnot. Wydawało się niemożliwe, aby jej twarz mogła wyrażać jeszcze większą radość, a jednak uśmiech stał się szerszy, oczy bardziej śmiejące, a krzyk, który wydarł się jej z ust, gdy zarzucała ręce na szyję Sorrel, wart był czterech rojali zapłaconych za bilety.

*

Inkwizytor Goth był wściekły. Jego wspaniały rumak potknął się i lekko skręcił nogę w kostce, gdy imponujący oddział inkwizycji wkraczał do miasta. Teraz ku niezadowoleniu jeźdźca koń odpoczywał w stajni tej beznadziejnej miejsciny, do której, na domiar złego, wczoraj przyjechał znieawidzony przez Gotha cyrk - zakała społeczeństwa, wlokąca z sobą zapchłone zwierzęta i cygańskich pokurczów.

Trzasnął kuflem o stół, po raz kolejny okazując jałowy gniew. Jego kompania wracała do Tal, a on siedział w tej dziurze, odmawiając wyjechania bez swego cennego wierzchowca, który potrzebował jeszcze dwóch dni, by wydobrzeć. Goth wiedział, że awanturowanie się nic nie da, ale lubił widzieć, jak gruby oberżysta się poci, a służebne dziewczęta bledną ze strachu. „Może będą łagodniejsze wieczorem, gdy nabiorę ochoty do zabawy” - pomyślał złośliwie. Uśmiechnął się lubieżnie do pewnej młódki, wyobrażając sobie, jak miętosi jej wydatne piersi z taką siłą, że dziewczyna wrzeszczy z bólu. O tak, zapłacą mu za to opóźnienie.

Lewą połowę twarzy od czasu do czasu wykrzywił inkwizytorowi tik, ale mało go to obchodziło. Był wielki. Już nie osierocony bachor zubożalego szlachcica, ale człowiek cieszący się powszechnym szacunkiem. Ogień, który strawił jego rodzinny dom, przysłużył mu się. Był to bolesny moment, ale dzięki niemu Goth pozbył się swoich bezużytecznych

rodziców: pijaka uganiającego się za spódniczkami i jęczącej łajzy, ściganych przez sądy dla dłużników za roztrwonienie fortuny jego dziadka. Wielki pożar Tallinom po prostu przyspieszył ich zejście z tego świata. Po takim bezsensownym, żalonym życiu śmierć musiała być dla nich wielką ulgą. Tak przynajmniej lubił myśleć Goth.

Mały chłopczyk pozostawiony w domu był mocno poparzony, ale oddychał miarowo. Dzięki natchnionym praktykom uzdrowicielskim sławnego medyka Merkhuda Almyd Goth doszedł do siebie, potem wzmocnił się, wreszcie prosto z czegoś, co miało być łóżem śmierci, powędrował w ramiona rodziny królewskiej, która uzaliła się nad zmasakrowaną twarzą chłopca o szlacheckim rodowodzie.

- Pewnie przeklinasz dzień, w którym po raz pierwszy ujrzałaś moją krzywą głowę, Nyrio - mruknął do siebie, chichocząc nad kuflem piwa. - A ten twój żalony stary sługus teraz otruły mnie przy pierwszej sposobności. Na pewno marzy o tym, by cofnąć czas i wyssać życie z dzieciaka, którego z takim poświęceniem ratował.

Wykrzywiwszy wargi w ohydny uśmiechu, ujrzał nagle niezwyklej urody dziewczynę, która weszła do gospody w towarzystwie starszej kobiety.

- A więc dzisiaj?- pytała w podnieceniu swoją towarzyszkę.

Goth skrzywił się pogardliwie. Oczywiście mówiła o cyrku.

- Jeśli tylko dzięki temu przestaniesz trajkotać, Alyso - odpowiedziała starsza pani.

Niezauważony, Goth przyglądał się, jak kobieta popycha dziewczynę w kierunku schodów. Obliznął zniekształcone, sflaczałe wargi - jeszcze jedno dziedzictwo ognia, który zdeformował mu całą twarz z wyjątkiem chłodnych, ciemnoszarych oczu, z lodowatą nienawiścią spoglądających na wszystko, co piękne lub zdolne. Teraz, odprowadzając wzrokiem plecy znikającej na schodach Alyssy Qyn, postanowił, że to z nią zabawi się tej nocy, by zabić obezwładniającą nudę.

*

Gdy Alyssa zeszła na dół, by poszukać Sorrel, żołądek fiknął jej koziółka. Tylko jeden człowiek w Tallinorze miał taką twarz i choć nigdy przedtem go nie widziała, dziewczyna bez cienia wątpliwości odgadła, że to właśnie wielki inkwizytor Goth siedzi pomiędzy nią a drzwiami gospody.

Wlepił w nią przymrużone oczy, sprawiając, że czuła się jak przyparta do muru. „Przecież to niemożliwe, żeby mnie ścigał” - pomyślała. „Nie używałam mocy od czasu opuszczenia wioski”.

Gorączkowo szukała w pamięci chwili, w której mogła się zdradzić. Nic nie znalazła. Powoli szła przez pomieszczenie, zastanawiając się, jaki może być inny powód świdrującego

spojrzenia inkwizytora.

Goth uśmiechnął się krzywo. Wyglądał jak pies szczerzący kły. Alyssa zatrzymała się. Uwielbiał straszyć ludzi swoim wyglądem, a trzeba przyznać, że pozar świetnie go do tego przygotował. Skoro dziewczyna jest przerażona, jej blada, śliczna skóra bardziej zmięknie pod jego dotykiem. „A jest naprawdę piękna - pomyślał - z tymi lśniącościami włosów. Czuję, że pod zniszczonym ubraniem kryje się delikatne ciało u progu kobiecości. „Ani chybi dziewica” - mruknął do siebie i zadrżał z rozkoszy. Czekala go nie lada uczta.

Oblizal łapczywie swoje wstrętne wargi, a Alyssa cofnęła się o krok.

- Mmm... Czy mogę w czymś panu pomóc, sir? - wyjąkała, bezowocnie rozglądając się w poszukiwaniu oberżysty. Przez otwarte drzwi widziała natomiast Sorrel, rozmawiającą z kimś na ulicy w znacznej odległości.

Goth uśmiechnął się obleśnie.

- Z całą pewnością, moja droga. Najpierw chciałbym cię pomacać po tyłku, a potem rzucić na kolana - powiedział słodko.

W Alyssie zawrzała krew. Złapana w pułapkę dziewczyna w przerażeniu patrzyła, jak inkwizytor wstaje, zrzuca z ramion płaszcz i odpina miecz od pasa. „Gdzie są wszyscy?!” - krzyknęła w duchu, podczas gdy on szedł już ku niej. Nie był wysoki, ale potężnie zbudowany, a z pozbawionej wyrazu, szarpanej tikiem twarzy wyglądały wpatrzone w nią złowrogo błyszczące oczy.

Nie potrafiła wykrztusić słowa, więc zrobiła jedyną rzecz, na jaką mogło się jeszcze zdobyć jej struchlałe ciało. Roztrzaskała zbudowany wokół siebie ekran ochronny, uniosła głowę i wysłała przez łącze krzyk przerażenia, kierując go do każdego, kto mógł ją w tej chwili usłyszeć.

Goth poczuł się skonsternowany jej dziwnym zachowaniem, ale z całej siły złapał ją za smukłe ramię. W tym momencie, ku jego wściekłości, w drzwiach pojawiła się towarzyszka dziewczyny, wykrzykując jej imię. Inkwizytora nie obchodziło, co ludzie myślą o jego życiu prywatnym, ale gdyby ktoś z ludu wniósł skargę do króla, donosząc, że Goth zajmuje się nie tylko wypełnianiem obowiązków, byłaby to całkiem inna sprawa. Puścił Alyssę. Już wielokrotnie miewał do czynienia z owym nienawistnym spojrzeniem, którym teraz obdarzyła go stara kobieta. Nie przejmował się nim, choć wydało mu się, że dostrzega w jej oczach coś jeszcze. Coś niezidentyfikowanego.

- Skąd ten pośpiech, droga pani?

Goth był wściekły. Zapłacił oberżystę niebotyczną sumę, by ten trzymał się z daleka, póki inkwizytor nie spotka się z młodą kobietą i nie zabierze jej do swego pokoju. Dał temu

staremu tłściochowi tyle, że powinno wystarczyć na zaangażowanie wszystkich służących i dopilnowanie, by ktoś zagadał staruszkę na ulicy.

Sorrel dyszała ciężko, bardziej z powodu wstrząsu wywołanego krzykiem Alyssy niż samego biegu.

- A, tu jesteś, kochanie. - Po tych słowach wzięła kilka głębokich wdechów, by uspokoić nerwy i głos. - Co cię zatrzymało?

Goth odpowiedział zamiast Alyssy:

- Poślizgnęła się na schodach, szanowna pani. Pomagałem jej.

Sorrel zauważyła, że dziewczyna drży.

- Och, jak to miło z pańskiej strony. Pan Goth, prawda? - zapytała kurtuazyjnie, bulgocząc w duchu z nienawiści. - Moja wnuczka jest strasznie niezdarna. Co z tego, że piękna, skoro potknęłaby się nawet o okruszek chleba. Bardzo dziękuję za pomoc, sir.

W gospodzie zaczęli się pojawiać inni ludzie i Goth wiedział, że stracił swoją szansę. Trudno. Poczekaj na inną okazję. Tak czy owak, dziewczyna będzie jego.

- Nie ma za co - odparł szorstko, po czym, nie oglądając się, wrócił do stołu, zabrał miecz i płaszcz i wyszedł na ulicę.

Przez gospodę przetoczyło się niemal słyszalne westchnienie ulgi.

- Skąd wiedziałas? - Alyssa w końcu odzyskała głos.

- O czym?

- Że potrzebuję twojej pomocy. On... on chciał... - Szloch ścisnął dziewczynę za gardło.

- Nie tutaj, Alyssso. Chodźmy. Na zewnątrz jest bezpieczniej - powiedziała łagodnie Sorrel.

Wstrząśnięte, szły w milczeniu w stronę Green. Ludzie małymi grupkami zmierzali ku namiotowi cyrkowemu, rozmawiając z ożywieniem i co rusz wybuchając wesołym śmiechem, ale radosny nastrój dwóch kobiet prysł po incydencie w gospodzie. Nie znajdowały słów.

Były już prawie przy wejściu do cyrku, gdy Alyssa zatrzymała się nagle, marszcząc czoło.

- Nie odpowiedziałas mi. Skąd wiedziałas, że potrzebuję ochrony przed tym... przed tym potworem? Dlaczego mnie nie zdemaskował, gdy otworzyłam łącze? Dlaczego nie poddano mnie jeszcze ujarzmieniu?

Sorrel wiedziała, że musi działać rozważnie.

- Musimy porozmawiać, Alyssso, ale nie teraz. Ludzie patrzą. Wrócimy do tego, gdy będziemy same.

Możemy mówić bez świadków - wdarła się w myśli Sorrel Alyssa. Oczy błyszczały jej gniewem. Starsza pani nie zdążyła zaciągnąć zasłony.

W niezręcznej ciszy podeszły do pustej ławki stojącej pod jednym z wiązów i usiadły. Nawet gdyby był tam ktoś jeszcze, nie miałyby to znaczenia, bo i tak nie usłyszałyby ich rozmowy.

Od kiedy wiesz? - zażądała odpowiedzi Alyssa.

Sorrel uznała, że nie ma sensu próbować jej ugłaskać. Lepiej niech się wykrzyczy.

Od początku - odparła.

To po co ten kamuflaż?

No... najpierw się bałam - skłamała.

Czego? - zachnęła się Alyssa.

Nie wiedziałam, co może wynikać ze spotkania kogoś dysponującego mocą podobną do mojej. Dotychczas starałam się unikać kontaktu z Obdarzonymi. W społeczeństwie, w którym szaleje Goth, nikt, kto się przyzna do magii, nie żyje długo. Lepiej pozostać w ukryciu. Ale ty byłaś inna. Wzruszyłaś mnie. Może ujrzałam w tobie córkę, której nigdy nie miałam... Czulałam twój ból. Widziałam, jak skrupulatnie przez całe życie ukrywałaś swój talent i jak bardzo pragniesz miłości.

Sorrel dotknęła twarzy dziewczyny.

Kiedy zatrzymałam się w twoim domu, wyglądałaś tak żałośnie i bezradnie, że serce się krajało. Więc postanowiłam ci pomóc...

Starsza pani zamilkła i opuściła dłoń na kolano, nienawidząc kłamstw, które tak gładko wypowiadała.

Alyssa nawet nie próbowała ukryć łez.

Dlaczego przyszłaś do mojego domu?

Jeden z miejscowych ludzi wspomniał, że produkujesz wywary, a mnie kończyły się zapasy, więc pomyślałam, że może odkupię od ciebie trochę ziół.

Coraz bardziej nienawidziła siebie za to, że tak łatwo przychodzi jej nabieranie dziewczyny.

Alyssa prychnęła.

Idziemy do tej... do tej Akademii... dlatego, że jesteśmy Obdarzonymi?

„A więc jednak słuchała” - pomyślała Sorrel. „Mądra dziewczyna”.

Idziemy tam po ochronę dla ciebie, kochanie. Masz wielką moc. Dopiero gdy krzyknęłaś w gospodzie, przekonałam się o jej sile. Ja też jestem zdumiona faktem, że ten rzeźnik Goth nie potrafi wykryć naszych talentów, ale musimy zachować ostrożność. W

Akademii przez jakiś czas będziesz mogła bezpiecznie i spokojnie żyć.

Alyssa wstała i przyglądała się kolorowym proporczykom oraz napływającym przez ozdobne wejścia mieszkańcom Fragglesham.

Dlaczego to dla mnie robisz? - zapytała, porzucając agresywny ton.

Sorrel przez chwilę milczała. Potem wzięła głęboki oddech.

Kiedyś miałam syna. Niech chcę, żebyśmy więcej o nim rozmawiały. Zdemaskowano jego ogromny talent. U progu życia został za to ukarany. Straciłam ukochane dziecko, ubóstwianego męża i szczęśliwe życie. Teraz snuję się po Tallinorze jak Cyganka, sprzedając ludziom lekarstwa, ale nie wtrącając się do ich życia. Jestem coraz starsza i coraz bardziej pusta. Może przed śmiercią zdołam pokonać swoją gorycz i jeszcze raz otworzyć przed kimś serce. Może to bogowie podsunęli mi ciebie, Alyssso.

Dziewczyna zadrzała, przypominając sobie porzekadło, które cytował jej ojciec za każdym razem, gdy przechodził go nagły dreszcz - że bogowie stąpają po jego grobie. Teraz, słuchając wypowiedzianych z powagą słów starej kobiety, rozumiała to uczucie.

Obróciła twarz ku Sorrel i pochyliła się, by ująć jej dłonie.

Dziękuję - szepnęła, całując ją w policzek.

Sorrel uśmiechnęła się, a jej surowe oczy złagodniały.

Chodźmy do tego cyrku, mała, zanim się całkiem rozkleimy. Pokonałyśmy dziś Gotha! Niewiele osób, jeśli ktokolwiek, może się pochwalić takim wyczynem. Musimy to uczcić!

Słynne rogi Cyrku Zorros przywołujące publiczność do porządku nagle, jakby w odpowiedzi na wezwanie Sorrel, zabrzmiały jeszcze głośniej. Obie kobiety zaśmiały się, uniosły rąbki spódnic i ruszyły w stronę wielkiego namiotu. Przez teatralnie udrapowane kotary weszły na główną arenę i przysiadły na skraju ostatniej wolnej ławki. Sorrel przeklinała w duchu twardość drewna, Alyssa natomiast zupełnie na nią nie zważała.

Odczucie ogromu mocy dziewczyny i świadomość, że jej magia jest niewykrywalna dla tego drania Gotha, utwierdziły Sorrel w przekonaniu, że postępuje właściwie. Początkowo wzbraniała się przed ślepym posłuszeństwem wobec woli Merkhuda, który zaplanował uprowadzenie dwojga utalentowanych młodych ludzi. W duchu gardziła sobą za to, że tak perfidnie manipuluje dziewczyną, wiedząc, że medyk jeszcze bardziej subtelnie pokieruje młodym skrybą. Ale cel, który im przyświecał, był znacznie ważniejszy niż życie tych dwojga dzieciaków; ważniejszy niż życie ich wszystkich. A ona ufała Merkhudowi. Wiele przecierpieli, nim doszli tak daleko. Merkhud był całkowicie oddany swojej misji, a Sorrel wierzyła, że o ile jego starannie uknute plany „zawładnięcia” tych dwojgiem mogą się wydawać okrutne i wyrachowane, przyświeca im zbożny cel: znalezienie Wybrańca.

Starsza pani rozumiała, że Alyssa jest kluczowym elementem układanki, ale na poznanie szczegółów musiała jeszcze poczekać. Ta dziewczyna, będąca na dobrej drodze do przeobrażenia się w zdumiewająco piękną kobietę, miała w swoim czasie odegrać ważną rolę. Nikt jednak nie wiedział na razie, jaka to rola.

Z rozmyślań wyrwało ją zamknięcie rogów i głosy uciszających się wzajemnie ludzi. Pogaszono świece, pozostawiając tylko kilka umieszczonych w odpowiednich miejscach latarń, i namiot pogrążył się w ponurym półmroku. Zabrzmiała dysharmonijna muzyka i na arenę wbiegła grupa dziwnie ubranych karłów, fikających koziołki, wykrzywiających się i rzucających w siebie przedmiotami. Usiłowały wdzięcznie tańczyć, szybko jednak popadały w bufonadę, a każda próba balansowania na linie kończyła się tak samo. Karły biegały wśród publiczności, zrzucając kapelusze, kradnąc jedzenie, siadając ludziom na kolanach i wywołując piski wśród dzieci.

Akt skończył się równie nagle, jak się zaczął. Potem zgasły również latarnie i arena pogrążyła się w ciemnościach. Pojedynczy promień światła oświetlił roześmianą, pomalowaną twarz jednego z karłów. Potem zajaśniał kolejny płomień, wydobywając z mroku ekstatyczną twarz następnego klauna, stojącego na ramionach pierwszego. I tak dalej. Na końcu płonęło już dziesięć świeczek, ukazując rząd błyszczących w ciemności niesamowitych, brzydkich twarzy. Widownia klaskała.

Karły jak jeden mąż uniosły do ust pulchne palce, nakazując ciszę. Publiczność umilkła. Wtedy w mroku zagrzemiał głos i zajaśniało jednocześnie sześć pochodni, a oczom zebranych ukazał się najwyższy człowiek w królestwie, przewyższający piramidę karzełków i zwinnie balansujący na niewidzialnych szrudłach.

- Witajcie, dobrzy ludzie z Fragglesham! - zagrzemiał, stawiając wielkie kroki. - Cieszymy się, że zechcieliście przybyć na nasz skromny występ!

Mistrz Zorros zamilkł, a widownia, zgodnie z jego oczekiwaniami, odpowiedziała szalonym aplauzem. Ruszył dalej, wymachując rękoma i opowiadając, jakie dziwne i barwne widoki czekają wszystkich tego wieczoru.

Widzowie mieli zobaczyć brango, niezmiernie płochliwe zwierzęta jaskiniowe, ujarzmione i nauczone eleganckiego tańca; przerażające rogate dząby z północy z wołyżerkami na grzbietach; ludzi-gumy wyginających ciała w niewyobrażalne formy i siłaczy zdolnych unosić niesamowite ciężary.

Widownia zachwycała się kobietą, której przeszywający krzyk potrafił strzaskać lustro oraz parą mężczyzn balansujących z zawiązanymi oczyma na kręcącym się kole, rzucających nożem w trzeciego i chybiających tylko o włos. Największy aplauz wzbudził jednak połykacz

węży, młody chłopak, któremu gad powoli wślizgiwał się głęboko do gardła.

W końcu Zorros zapowiedział numer, o którym większość zebranych słyszała i dla którego tu przyszła: występ Latających Lisów, rodziny akrobatów ćwiczących na trapezie. Była wśród nich chuda pięcioletnia dziewczynka i niesamowity Saxon, wyglądający na ojca tej gromadki. Kiedykolwiek jego wzrok padł na Alysę, dziewczyna wyobrażała sobie, że cyrkowiec patrzy prosto na nią, a właściwie w nią. Przyglądała się, jak mężczyzna przebiega z wdziękiem po linie, niosąc na ramionach i głowie trójkę dzieci. Widownia nie posiadała się z zachwytem. Ze swoimi szerokimi, mocnymi barami i długimi złotymi włosami Saxon wyglądał naprawdę imponująco. Miał na sobie jedynie czarne, związane złotym sznurkiem obcisłe spodnie i miękkie złociste pantofle.

Stopniowo wyczyny Latających Lisów stawały się coraz bardziej niebezpieczne i przenosiły na coraz większe wysokości. Za każdym razem, gdy któryś z członków rodziny śmigał w powietrze, wierząc, że Saxon go złapie, Alyssa wstrzymywała oddech. Mężczyzna był zręczny i pewny siebie. Nigdy się nie mylił. W oczach dziewczyny cała grupa w swoich lśniących kostiumach i z szopami jasnych włosów przypominała anioły.

Potem muzyka stała się bardziej dramatyczna i starsi członkowie rodziny zaczęli się piąć po rusztowaniu aż pod sklepienie namiotu. Odezwały się werble i Saxon mocno rozkołysał się na huśtawce, wyskoczył w powietrze, fiknął parę koziołków, po czym złapał współnika, który przyleciał z drugiej strony namiotu, zatoczywszy łuk. Potem trzech mężczyzn wykonało kilka śmiertelnie niebezpiecznych przejść, stopniowo zwiększając stopień ich złożoności i ryzyka. W końcu na scenę ponownie wkroczył Zorros.

- A teraz - obwieścił - będziemy potrzebowali kogoś z widowni, kto ośmieli się latać wraz z Lisami.

W powietrze uniósł się las dziecięcych rąk, rozpaczliwie usiłujących zwrócić na siebie uwagę maestra, podczas gdy rodzice ze wszystkich sił starali się je zasłonić.

- W takim razie chyba poproszę o dokonanie wyboru pana Saxona - oznajmił Zorros.

- Chciałabym, żeby mnie wybrał, Sorrel - zawołała Alyssa, lekkomyślnie wyrzucając ręce w górę wraz z innymi ochotnikami.

- Siedź spokojnie, kochanie, błagam. To ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy. Moje serce miało już dość wrażeń jak na jeden dzień.

Silny i pełen wdzięku Saxon schodził po linach, a stojąca na ziemi kobieta - prawdopodobnie jego żona - kręciła nimi coraz mocniej, co sprawiało, że Lis krążył coraz szerszym łukiem nisko nad głowami tłumu.

- Wybieraj! - rozkazał Zorros.

Widownia podchwyciła hasło.

- Wybieraj! Wybieraj! Wybieraj! - wołano.

Alyssa krzyczała ze wszystkimi, wpijając paznokcie z ramię Sorrel, by ją nakłonić do przyłączenia się, a nogami z całej siły bębniła w podłogę.

Saxon Lis krążył i krążył wśród gwaru, kobieta zaś niemal niezauważalnie zmieniała rotację lin, aż w końcu prześlizgiwał się tuż nad głowami zebranych. I gdy zdawało się niemożliwe, by mógł zwolnić jeszcze bardziej i nie spaść, Saxon wykonał ostatnią, niewiarygodnie powolną rundę, złapał wyciągniętą rękę Alyssy i zręcznie uniósł dziewczynę w górę, podczas gdy z dołu dobiegał krzyk Sorrel.

- Wybrał! - zaryczał Zorros, a widownia oszalała z zachwytu.

Alyssa spojrzała w dół i niemal się zakrztusiła.

- Nie patrz w dół. Patrz przed siebie albo przynajmniej na mnie - rzekł Saxon. A kiedy dziewczyna zwróciła wzrok ku jego pięknie wyrzeźbionej twarzy o ciemnofioletowych oczach, Saxon uśmiechnął się szeroko i do jej głowy wdarł się jego szept:

Nie bój się.

Wspinali się na sam szczyt namiotu. Alyssa była oszołomiona wysokością i faktem, że Saxon przerzucił ją sobie przez ramię jak worek mąki. Na pewno jej się zdawało. Niemożliwe, żeby Saxon komunikował się z nią poprzez łącze. To przez te emocje.

Zrzucił ją obok dwóch krzepkich chłopaków i odleciał w kierunku odległej platformy.

Zaufaj mi! - zawołał wprost do jej głowy.

A więc nie pomyliła się. Lis połączył się z nią. W gospodzie o pięćset kroków stąd siedział Goth, a ten szaleniec spokojnie posługiwał się magią.

- Nie patrz w dół! - powtórzył Oris, najstarszy z chłopców, podtrzymując ją, gdy się zachwiała.

Jego brat Milt, łudzaco podobny do ojca, ścisnął ją za ramię.

- On cię nie upuści. Po prostu postaraj się być bezwładna i czekaj na szalony aplauz.

Strach wreszcie dotarł do umysłu Alyssy.

- Czy wam zupełnie odbiło?

Chłopcy zaśmiali się. „Całkiem jak ich ojciec” - pomyślała.

- Robimy to w każdym mieście. Zawsze znajdzie się jakaś niemądra ofiara, która ma ochotę polatać. Tylko bez paniki. On - Oris wskazał Saxona, który krążył gdzieś pod nimi w zawrotnym tempie - cię złapie.

- Złapie? - Głos Alyssy brzmiał teraz piskliwie. - Macie zamiar mnie rzucić?

- A myślałaś, że co? - odparli jednogłośnie, chwytając ją za ramiona i odpychając się

od platformy na wielkiej huśtawce.

Alyssa wrzeszczała gniewnie. Widownia w dole była równie przerażona. Werble uderzały głośno, a w powietrzu unosił się zapach wosku i sadzy. Chłopcy rozkołysali ciało Alyssy, starając się uzyskać odpowiedni rytm.

- Przygotuj się! - zawołał złowróźnie Milt.

Chodź, Alyssy - usłyszała w głowie łagodny szept Saxona. - *Zaufaj mi. Przysłano mnie, bym cię chronił.*

Alyssa miała jedną sekundę na zastanowienie się, co miał na myśli, nim jednak zdążyła odpowiedzieć, Oris i Milt rozbujali ją jeszcze mocniej, wyrzucili do przodu i puścili. Leciła bezradnie w dół, fikając w powietrzu szybkie koziołki i krzycząc z przerażenia, pewna, że czekają śmierć.

Tor! - zawołała rozpaczliwie, ale właśnie wtedy w tłumie rozległ się aplauz. Alyssa poczuła, jak silne ramiona wyłapują ją w powietrzu i przyciskają do piersi, i już po chwili kołysała się na huśtawce wraz z Saxonem. Wisiał do góry nogami, trzymając się belki zgiętymi kolanami. Alyssa nie miała zresztą pojęcia, gdzie jest góra, a gdzie dół, ale gdy tylko spojrzała mu w oczy, przestała się bać.

Kim jesteś? - zapytała.

Jestem twój - odparł, celowo uchylając się od wyjaśnień. - *A teraz przyjmij owacje, milady.*

Alyssa ze zdumieniem spostrzegła, że została opuszczona na ziemię, podczas gdy Saxon uniósł się z powrotem, tym razem trzymając belkę stopami.

Uklon dla publiczności - przypomniał jej na odchodnym.

Widownia rzeczywiście oszalała. Nawet Sorrel podniosła się z miejsca i klaskała. Alyssa kłaniała się, ale gdy podniosła oczy, zobaczyła wykrzywioną w wyrazie pogardy zmasakrowaną twarz Gotha. Świadom, że dziewczyna go widzi, inkwizytor oblizał wargi. Alyssę przeszedł zimny dreszcz, w mgnieniu oka zabijając całe podniecenie.

Porzucając wszelki lęk przed zdemaskowaniem, krzyknęła przez łącze:

Sorrel, Goth tu jest!

Sorrel w porę powstrzymała się od natychmiastowego odwrócenia głowy.

Musimy się wtopić w tłum. Teraz masz spokojnie tu wrócić - zakomenderowała.

Alyssa skinęła głową. Gdy spojrzała na scenę, by się przyjrzeć, jak rodzina przyjmuje owacje, Saxon dostrzegł jej wzrok i mrugnął. Zaczerwieniła się. Zawstydzona, nie zauważyła, że na miejsca za plecami Sorrel wepchnęły się trzy osoby, obserwujące raczej ją niż to, co się dzieje na scenie.

- Wymknijmy się teraz - szepnęła do ucha starszej pani, gdy znalazła się przy niej.
- Kiedy będziemy już na zewnątrz, włóż to - rzekła Sorrel, podając jej szeroką chustę, brązową i posępną. - Postaraj się nią zakryć jak największą powierzchnię sukni, a głowę osłoń tym.

- Z tymi słowy wręczyła dziewczynie gruby skórzany rzemień i czepek.
- Gdzie ty to wszystko trzymałaś?
- W swojej czarodziejskiej torbie - odrzekła Sorrel, postukując w sfatygowany tobolek, który zwykle z sobą nosiła. - A teraz chodźmy.

Ukrywszy włosy pod czepkiem, a żółtą sukienkę pod ogromną chustą, Alyssa od razu poczuła się bezpieczniej. Przestała się rozglądać w poszukiwaniu straszliwej twarzy i spokojnie kroczyła w tłumie, wymieniając nawet z nieznanymi uwagi na temat przedstawienia.

Sorrel także czuła się teraz mniej zagrożona. Gdy jednak posłyszała za plecami krzyk: „Pali się!”, lęk ścisnął ją za gardło. Odwróciła się i w odległości kilku zaledwie kroków zobaczyła płomienie trawiące okazałe falbany cyrkowego namiotu. Ludzie podnieśli wrzask, a ci, którzy wciąż byli wewnątrz, wpadli w panikę i zaczęli biec, popychając i depcząc znajdujących się przed sobą. Po kilku sekundach paliło się całe główne wejście, a fala ludzi rozdzieliła Alyssę i Sorrel, odciągając kobiety od siebie.

Biegnij do gospody! - Tylko tyle zdołała wyrzec w panice Sorrel, choć widziała, że tłum, rozpaczliwie uciekający przed płomieniami, które pną się ku kopule namiotu i linkom, spycha Alyssę coraz dalej od miasta. Do krzyków ludzi dołączył ryk przerażonych zwierząt. Jakaś dziewczynka się przewróciła; Sorrel usiłowała ją podnieść i sama upadła, tratowana przez motłoch.

Niech cię Światłość chroni, Alyssu - zdążyła pomyśleć, nim coś uderzyło ją w głowę i świat pogąrzył się w mroku.

*

Obudziła się z bólem głowy. Rozejrzała się wokół, ale nie poznawała tego miejsca. Chwilę potrwało także, nim rozpoznała twarz spoglądającego jej w oczy człowieka. Był nim Saxon Lis.

- Witamy z powrotem - rzekł łagodnie, już bez promiennego uśmiechu.
Usiadła tak szybko, jak tylko pozwoliły jej stare kości, i skrzywiła się z bólu.
- Spokojnie, staruszko. Jestem Saxon Lis z Cyrku Zorros, a raczej z tego, co z niego zostało.
- Wiem, kim pan jest - wychrypiała. - Gdzie moja wnuczka?

- Miałem nadzieję, że pani mi powie.

Potrząsnęła ostrożnie głową.

- Zostałyśmy rozdzielone przez tłum. Co się stało?

Cyrkowiec westchnął.

- Któż to wie? W jednej chwili przyjmowaliśmy owacje, w następnej namiot stanął w ogniu. - Mężczyzna wzruszył ramionami w specyficzny, właściwy tylko jednej rasie ludzi sposób.

- Pan jest Kloekiem - powiedziała, rozpoznając nagle typowy dla tej rasy wzrost, złote włosy i jasne oczy. Łagodny akcent utwierdził ją w tym przekonaniu.

- Oczywiście. Jaka inna rasa jest tak przystojna? - oburzył się Saxon, udając wesołość, której nie odczuwał. - Straciliśmy dziś prawie wszystko. Zginęło wiele egzotycznych zwierząt. Namiot spłonął doszczętnie, chociaż wozy się uratowały. Mała wspaniałomyślność ze strony bogów. Sześciu naszych ludzi nie żyje.

Zamilkł, bo podeszła do nich Greta - kobieta, która brała udział w występie - z poustawianymi na tacce filiżankami.

- Proszę to wypić. - Mówiła z gniewem, co w tych okolicznościach było dla Sorrel zrozumiałe.

Wzięła filiżankę.

- Co to takiego?

- Ukoj ból - powiedziała kobieta, po czym obróciła się na pięcie i odeszła.

Sorrel rozejrzała się. Wokół siedziało lub leżało wiele oszołomionych osób. Jeden z pięknych brango leżał martwy, z poskręcany, zwęglonym ciałem. Sorrel łyknęła odrobinę wywaru i rozpoznała w ognistym płynie smak zioła zwanego rimmisem. Dobry wybór.

- To pańska żona?

Saxon zaśmiał się ochryple.

- Nie. Żona mojego nieżyjącego brata.

Sorrel usiadła prosto.

- Robi dobrą herbatę. Muszę iść szukać Alyssy.

- Pomogę pani - rzekł stanowczo.

- Dlaczego? Nie wystarczy panu zajmowanie się całym tym chaosem? - Sorrel patrzyła na niego badawczo. Dlaczego tak się interesował Alyssą?

- To piękna dziewczyna... i świetnie lata - odparł bez wyczuwalnej obłudy. - Tu na razie mnie nie potrzebują. Proszę pozwolić się chociaż odprowadzić do domu.

- Nie mieszkamy tu, panie Lis. Jesteśmy w podróży. Może pan jednak odprowadzić

mnie do gospody Pod Snopem Pszenicy. Będę wdzięczna za towarzystwo.

Głowa bolała ją okropnie.

- Wolę, by nazywała mnie pani Saxonem - rzekł, pomagając jej wstać.

W gospodzie ludzie biegali chaotycznie w tę i z powrotem. Fragglesham było w szoku. Oprócz sześciu pracowników cyrku zginęło dziewięciu mieszkańców miasteczka. Alyssa nie było na miejscu, a nikt, kto mógłby ją rozpoznać, nie widział jej.

Sorrel zauważyła, że Gotha także nie ma w gospodzie, i to zaniepokoiło ją bardziej niż cała reszta. Rzuciła impuls w kierunku dziewczyny, ale odpowiedziała jej cisza. Nie była zdziwiona. Jak większość telepatów potrafiła komunikować się przez łącze tylko wtedy, gdy druga osoba znajdowała się dostatecznie blisko - o ile, rzecz jasna, nie była z nią sprzężona, tak jak z Merkhudem. Nigdy zresztą nie słyszała, by ktoś oprócz nich porozumiewał się na taką odległość.

Odciągnęła cyrkowca na bok. Musiała mu zaufać.

- Saxonie, czy słyszałeś o inkwizytorze Gocie?

Mężczyzna splunął przez palce na podłogę. Był to kolejny charakterystyczny zwyczaj Kloeków.

- Któż nie słyszał?

- Wiedz zatem, że jest w mieście i okazał więcej niż przelotne zainteresowanie Alyssą. Dziś popołudniu zamierzał... hm... zamierzał, powiedzmy, skompromitować ją.

Fioletowe oczy Saxona zabłyśły, odkrywając przed rozmówczynią więcej, niż ich właściciel chciałby pokazać. „A więc to coś więcej niż tylko pomoc nieznanemu w odnalezieniu krewnej” - pomyślała.

- Myślisz, że ją ma?

Teraz z kolei ona wzruszyła ramionami.

- Być może.

Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że dziewczyna została stratowana przez tłum. Dopóki nie znaleziono ciała, musiała wierzyć, że Alyssa wciąż jest wśród żywych.

- W takim razie znajdę go. Zostań tu, staruszko, bez ciebie będę szybszy.

- Znajdź ją! Musisz ją uchronić - powiedziała ochryple. Rimmis zaczął już działać i myśli Sorrel stawały się mętne.

Nie słyszała, jak Saxon mamrocze pod nosem: „Po to właśnie mnie przysłano”.

*

Gdy zaczęła się panika i Alyssa zgubiła Sorrel, uświadomiła sobie, że lepiej nie walczyć z ludzką falą. Łatwiej było się jej poddać. Dziewczyna przeżyła wstrząs na widok

szybko rozprzestrzeniających się płomieni, pożerających namiot, w którym siedziała zaledwie kilka minut temu. Usłyszała, jak Sorrel każe jej wracać do gospody, ale chwilowo było to niewykonalne. Musiała najpierw dobiec do bezpiecznych pól otaczających Fragglesham i dopiero stamtąd wrócić do miasteczka. Zwolniła wraz z otaczającą ją niewielką grupką; wszyscy byli oszołomieni, ale zdawali się wiedzieć, dokąd idą.

Za plecami usłyszała tętent konia. Czwórka idących obok niej ludzi rozdzieliła się, by przepuścić jeźdźca środkiem drogi. On tymczasem podjechał do nich i zatrzymał się.

- To ona? - zapytał, spoglądając na nią z góry.

Alyssa zamruła, usiłując zrozumieć, co się dzieje. Jeden z ludzi, obok których przed chwilą szła, zbliżył się do niej i, nim zdążyła zareagować, wykręcił jej ręce do tyłu, a któraś z kobiet je związała. Alyssa szarpała się i wrzeszczała, oni jednak zignorowali ją i zwrócili się do jeźdźcy.

- Pieniądze?

Jeździec rzucił w mężczyznę pełnym monet mieszkiem.

- Baw się dobrze - rzekł ten do dziewczyny i wszyscy się roześmiali.

Alyssa zwróciła twarz ku kobiecie, z którą przedtem rozmawiała.

- Proszę mi pomóc...

Tamta uśmiechnęła się szyderczo.

- Ona potrzebuje pomocy, Fil.

Mężczyzna chwycił Alyssę w tali i posadził na koniu za jeźdźcem, który smagnął konia batem i po chwili galopowali już w dal, nie ku Fragglesham, lecz w przeciwnym kierunku.

Wszystko nagle stało się dla Alyssy jasne. Wiedziała już, że na końcu tej drogi czeka na nią Goth.

*

- Witaj, moja droga. - Jego głos przyprawiał ją o mdłości. - Dziękuję, Dreli.

Jeździec skinął głową i odjechał. Alyssa nasłuchiwała cichnącego stukotu kopyt, wiedząc, że wraz z nim oddala się jej nadzieja na ucieczkę. Czuła zimny dotyk rozpacz i pozwoliła jej się opanować, nim obróciła ją w nienawiść - nienawiść do tego gada, który tymczasem rozmyślał nad szklanką wina, jakim torturom ją poddać dla własnej rozkoszy.

Pociągnął łyk, powoli sącząc wytrawny trunek przez zdeformowane wargi.

- Chodź, napij się ze mną. Mamy przed sobą długą noc. Dlaczego nie miałoby ci być przyjemnie? - rzekł, wykrzywiając usta w potwornym uśmiechu szyderstwa.

Odzyskała głos i z dumą odnotowała, że nie brzmi żałośnie.

- Czy tylko w ten sposób udaje ci się kiedykolwiek dotknąć kobiety, Goth? - zapytała.
- Związując ją i biorąc siłą? - Zdumiewała ją własna odwaga. Jej pogarda miała ogromną moc. - Ty żaloszny, zdeformowany wraku. Dalej, zrób to i zabij mnie, bo w przeciwnym razie ja zabiję ciebie.

Przyglądała się, jak szkaradna skóra wykrzywia się, a oczy zmieniają w czarne plamki. Goth był skonsternowany. Nie tak to sobie wyobrażał. Zwykle jego ofiary kwiliły i błagały, a potem zaczynały się łączyć w nadziei ugłaskania go. Ale to tylko wzmagало jego okrucieństwo. Uwielbiał widzieć przerażenie na ich twarzach. I nie lubił, gdy ktoś mu psuł zabawę, tak jak ta tutaj. Więc owszem, zgwałci ją i zabije, ale przedtem musi ją zranić i patrzeć, jak jej oczy wypełniają się cierpieniem. Potem, by położyć kres wszelkim wątpliwościom co do rozmiarów swej nienawiści, przydybie babcię, która prawdopodobnie przeszukuje teraz zasnutę dymem miasto w poszukiwaniu ukochanej wnusi.

Podpalenie cyrku poszło jak z płatka. Goth uwielbiał ogień. To była genialna sztuczka: za jednym zamachem wyłuskał dziewczynę i dopiekł znenawidzonym cyrkowcom. Najchętniej zabiłby wszystkich Cyganów w kraju, ale chroniło ich stare, durne prawo azylu.

Uświadomił sobie, że się zamyślił, gdy tymczasem ona uśmiecha się szyderczo na widok jego rzekomego wahania. To nie mogło jej ująć płazem. W ostatnich chwilach musiał jej towarzyszyć strach, nie triumf.

- Jak sobie życzysz, kochanie. Z całą pewnością twoje cudowne, świeże ciało dostarczy mi rozkoszy. A jeśli pragniesz śmierci bardziej niż mnie, dostaniesz ją. Tyle przynajmniej mogę zrobić w podzięce za twoje usługi.

Odłożył szklanekę i z rozkoszą patrzył, jak dziewczyna się wzdryga.

- A potem, Alyssa - tak masz na imię, prawda? - potem poddam torturom i zabiję twoją ukochaną babcię. Jestem jej winien podziękowanie za dzisiejszą interwencję.

Miał ochotę ryczeć ze śmiechu, widząc, jak jej duma obraca się w proch. Czy ta durna młódka naprawdę sądziła, że może się z nim mierzyć?

- A teraz może byśmy się tak pozbyli tych chłopskich ciuchów, co, kochanie?

Dwoma susami przesadził pokój, odpinając miecz od pasa. Jednym chłasknięciem przeciął jej bluzkę i wszystko, co miała pod spodem, łącznie ze skórą. Krew popłynęła z rany. Było to zaledwie draśnięcie, ale bolało i on o tym wiedział. Alyssa mocno przygryzła wargę, by nie krzyknąć głośno, zamiast tego płakała cicho poprzez łącze, które otworzyła dla każdego, kto mógłby ją usłyszeć.

Wybiegając z gospody, posępny i rozwścieczony tak, że gotów był natychmiast uciąć Gothowi głowę, Saxon Lis usłyszał w głowie krzyk Alyssy i stanął jak wryty.

Gdzie? - ryknął w noc z mieszaniną radosnej ulgi i przerażenia.

Podczas gdy Goth wyrażał udawane współczucie z powodu rany i pochylał się, by zlizać spomiędzy piersi Alyssy strumyczek krwi, dziewczyna najdokładniej, jak mogła, opisywała Saxonowi, gdzie może ją znaleźć.

Pospiesz się, latający człowieku - dodała - *bo zaraz będę trupem.*

Zęby porywacza wgrzyły się w miękką skórę otaczającą sutek i łącze zatrzasnęło się gwałtownie pod wpływem bólu. Alyssa zmusiła się do mentalnej wędrówki w poszukiwaniu Barw.

Nauczył ją tego Tor. Potrafił wprowadzić się w trans, zanurzając się w sobie coraz głębiej, aż znalazł się w otoczeniu oślepiających kolorów. Choć nigdy nie udało jej się osiągnąć nic ponad unoszenie się pośród spokojnej, zmysłowej zieleni, uwielbiała się tam przenosić. Teraz też tam uciekła, by się uwolnić od Gotha. Nie miało sensu próbować pokonać go za pomocą czarów: chronił go kamień skanujący w pierścieniu, odsyłający magię z powrotem do nadawcy. A jednak wszystko wskazywało na to, że inkwizytor nie zdołał wykryć mocy Alyssy. Nie rozumiała tego, ale chwila nie była odpowiednia na snucie domysłów. Zamiast tego Alyssa płynęła poprzez zielenią, modląc się, by Saxon ją znalazł, nim Goth się nią zmęczy. Ostatnią myśl poświęciła Torowi, żałując, że to nie on dzieli z nią moment utraty dziewictwa.

Gotha podniecił smak jej krwi. Zamierzał spędzić całą noc na drażnieniu i dręczeniu dziewczyny, ale rozgniewała go, a upuściwszy jej krwi, padł ofiarą pożądania. Własne żądze nie dały mu czasu na zabawy. Musiał jednak przyznać, że nagie ciało Alyssy jest piękne.

Zerwał dziewczynie wstążkę z włosów i rozpuścił złote loki, a ją samą przewrócił na słomkową matę.

- Choć tu, moja ślicznotko - powiedział, niewiarygodnie zirytowany, że nagle zaprzestała walki, która tak go podniecała. Widząc, że ma zamknięte oczy, uderzył ją mocno.

Unosząca się w zieleni Alyssa wiedziała, że jej ciało jest krzywdzone, ale na szczęście łączność pomiędzy zmysłami a świadomością była przerwana i dziewczyna płynęła dalej w nadziei na wyzwolenie, cokolwiek to oznaczało.

- Dziwka! - Goth mocno uderzył Alyssę w brzuch, po czym wstał i z całej siły zaczął ją okładać kopniakami. Ona jednak ani mrugnęła. Była jak martwa. Natomiast Goth podniecał się coraz bardziej własnym okrucieństwem. Musiał to zrobić teraz. Zwlekając odrobinę dłużej, ryzykował, że jego pożądanie zmarnuje się na brudnej macie, na którą rzucił dziewczynę.

W pośpiechu ściągnął z siebie ubranie, uśmiechając się na widok strasznych blizn po

oparzeniach na piersi. Kobiety nienawidziły tego widoku. Żałował, że ta dziwka nie może go zobaczyć. Ogień nie uszkodził jednak tego, co Goth miał między nogami.

Złapał to teraz i zanurzył głęboko w ciele dziewczyny, niemal nie zauważając symbolicznego oporu. Nacierał z furją, wściekły, że został pozbawiony możliwości słuchania krzyków ofiary.

Gdy Goth pozbawiał Alyssę dziewictwa, bezpieczna zieleń rozwiła się i przed oczami dziewczyny pojawił się obraz dwóch istot - ni to ludzi, ni zwierząt, lecz ich dziwnej kombinacji. Istoty śmiały się. Jedna z nich rozciągała się w coś, co było... lasem? Nie, olśniewająco piękną polaną, na której przepiękne kwiaty pochylały się w łagodnej bryzie, skąpane w promieniach słońca. Dziewczyna niemal czuła ich zapach. Strumyk porywający lśniące kamyki z bulgotem okrążał potężny pień drzewa, błyszcząc w słońcu. A po drugiej stronie przytulali się do siebie kobieta i mężczyzna. Byli piękni. Ona jasnoskóra i złotowłosa, on śniady i przystojny.

Jedno z ludzi-zwierząt podniosło coś z ziemi; gdy cofnęło rękę, Alyssa zobaczyła w niej dziecko. Wzdrygnęła się. Dziecko zakwiliło. Jego żalony krzyk wdarł się do serca dziewczyny. Tymczasem złodzieje uciekali ze śmiechem, unosząc z sobą płaczące niemowlę.

Na pięknych twarzach pary odmalował się szok, nie ruszyli jednak w pogoń. Dlaczego? Alyssa próbowała biec za dzieckiem, ale nogi przywarły jej do ziemi. Zaczęła więc krzyczeć.

Krzyczała i krzyczała. „No, wreszcie tak, jak być powinno” - pomyślał Goth, jeszcze głębiej wchodząc w jej ciało. Teraz dopiero mała poczuje jego potęgę. Z narastającą rozkoszą słuchał jej wrzasków przerażenia.

Powinien był go usłyszeć. A jednak zorientował się, że ktoś jest w pomieszczeniu dopiero wtedy, gdy tamten oderwał go od Alyssy i z całej siły cisnął nim o ścianę. Goth opadł na podłogę, rachitycznie oddając resztki płynu. Szok całkiem go obezwładnił.

Alyssa znów unosiła się pośród łagodnej zieleni, gdy usłyszała - jakby z oddali - czyjeś wołanie. Ufała temu głosowi; należał do kogoś, kto został przysłany, by ją chronić. Pobiegła ku niemu. Wiedziała, że jeśli się z nim spotka, będzie bezpieczna.

Otworzywszy oczy, zobaczyła twarz Saxona Lisa, a potem leżące pod ścianą bezwładne ciało oprawcy. Saxon ukrył twarz w jej włosach i przygarnął ją mocno, drżącą z przerażenia.

Jesteś już bezpieczna - szepnął łagodnie.

Nakrył dziewczynę swoim płaszczem, a ona niezdarnie usiłowała wstać. Skonsternowana, przyglądała się, jak Saxon nakłada na twarz maskę. Inkwizytor powoli

odzyskiwał przytomność. Alyssa cofnęła się.

- Cieszę się, że oprzytomniałeś. Bardzo chciałem, żebyś to zobaczył - rzekł Saxon.

Goth nawet nie zdążył zaprotestować, gdy Saxon sięgnął mu między nogi i w powietrzu śmignęło ostrze, a na podłogę trysnęła krew. Alyssa wybiegła z chaty, by nie słyszeć mrożących krew w żyłach wrzasków i nie widzieć tego, co zrobił Saxon. Wielkimi haustami wdychała powietrze, czując ściekający jej po nogach dowód pożądania inkwizytora.

Wewnątrz chaty Goth skomlał i ślinił się w kałuży własnej krwi. Wiedział, że jest już trupem, ale nie miał odwagi wypluć tego, co wepchnął mu do gardła wściekły, krążący wokół niego maniak. Przerazenie podpowiadało mu, czym jest ta miękka rzecz. Jediną nadzieją w jego słabnącym, umierającym umyśle było wrażenie, że widzi przez drzwi odległą, rozkołysaną latarnię.

- Umieraj powoli, Goth. I obyś wiecznie gnął w ciemności - rzucił obcy.

Saxon również dostrzegł latarnię. Uciekł niedostrzeżony, galopując na pożyczonym koniu w głąb ciemnego lasu za chatą i dopiero stamtąd kierując się ku miastu. Alyssa siedziała przed nim, otoczona jego długimi rękoma, wciąż naga pod osłoną płaszcza.

- Zabiłeś go? - zapytała na głos.

- Tak - odparł beznamiętnie i poczuł, jak dziewczyna drży. - Musimy natychmiast uciekać. Zabierzemy tylko twoją babcie.

- Nie jest moją babcie.

Saxon ucałował ją w tył głowy.

- Wiem.

*

- Zabiłeś go? - Sorrel była wstrząśnięta. - Niech nas bogowie chronią...

Póki nie wrócili, odchodziła od zmysłów, ale i teraz nerwowo krążyła po pokoju, podczas gdy Alyssa stała ze złożonymi rękoma, a Saxon pogrążył się w grobowym milczeniu.

Zaraz po przyjeździe Alyssa obmyła się za parawanem najdokładniej, jak mogła, urywanym głosem opowiadając starszej pani, co się stało. Teraz nerwy zaczęły jej odmawiać posłuszeństwa.

- Dlatego musimy się wynieść z miasta najdalej, jak się da - odezwał się w końcu Saxon.

- Dokąd, głupcze?! - zagrzmiała Sorrel tak, że Lis aż podskoczył.

Łagodny głos Alyssy uciszył staruszkę.

- Nie możemy tu zostać, Sorrel. Wkrótce zaczną szukać zabójcy Gotha i kto wie, co może im podsunąć nasz trop. Znajdą moją chustę i buty... - Dziewczyna spojrzała błagalnie na

Saxona w nadziei, że będzie kontynuował. Miała wrażenie, że uginają się pod nią nogi.

Saxon spróbował łagodnie.

- Posłuchaj mnie, staruszko. Nasza jedyna nadzieja w tym, że natychmiast stąd znikniemy. Znając Zorrosa, już się szykuje do odjazdu, zbierając wszystko, co jeszcze zostało do zebrania.

- To ty popełniłeś morderstwo, przyjacielu Lisie. Nie ja ani ta dziewczyna. My nie mamy się czego bać. - Sorrel sama nie wierzyła we własne słowa.

Saxon splunął.

- I ty nazywasz mnie głupcem? Skoro nie chcesz ratować siebie, pozwól mi uratować przed jego kompanami Alysę. Wytropią i powieszą albo ukamienują was obie. Żadna magia nie pomoże!

Sorrel wyglądała, jakby ktoś wypuścił z niej powietrze. Nie wierzyła własnym uszom. Z autentycznym przerażeniem spojrzała w twarz Alyssie.

- To... to ja mu powiedziałam - wyjąkała dziewczyna, biorąc na siebie błąd Saxona.

Nim zdążyła się zorientować, Sorrel uderzyła ją w policzek z taką siłą, że dziewczyna upadła.

- Zatem jesteś jeszcze głupsza niż on - powiedziała staruszka słabym głosem, tracąc nagle cały animusz.

Saxon już był przy Alyssie. Podniósł oszołomioną dziewczynę i trzymał ją w ramionach.

- Odchodzimy - wycedził lodowato. - Możesz iść z nami lub nie, ale ją stąd zabieram.

Odwrócił się i zwinnie wyszedł przez okno, wciąż przyciskając do siebie osłabioną Alysę.

Sorrel patrzyła, jak mężczyzna pewnie przebiega po dachu gospody, a potem znika za następnym. Potrząsnęła głową, by uwolnić umysł od lęku. Właśnie odebrano jej Alysę, kluczowy fragment tej frustrującej układanki. Jak to się mogło stać? Merkhud ją zabije. Nie miała co do tego wątpliwości.

Nie. Musiała iść z nimi. Kimkolwiek był ten dziwny Saxon Lis, poznając ich sekret, został wplątany w tę historię.

Minęło zaledwie kilka minut, a już pozbierała swoje nieliczne rzeczy, zapłaciła oberżyscie, zabrała ze stajni Kythaya i ruszyła na jego grzbiecie przez dymiące ruiny cyrku.

*

Nawet Goth był zdumiony tym, jak udało mu się pomieszać szyki śmierci, która już dwukrotnie przychodziła po niego i za każdym razem odchodziła z kwitkiem. Rimmis działał

powoli, więc inkwizytor jeszcze raz zaciągnął się kryłem, by uśmierzyć ból. Błady, spocony lekarz zaszywał mu poranione krocze.

- Miał pan szczęście, panie Goth - powiedział drżącym głosem, wstrząśnięty potwornością rany. - O ile, hm, o ile w tych okolicznościach można mówić o szczęściu. Jeszcze chwila i nie zdołalibyśmy zatamować krwawienia. Przez wiele dni będzie pan słaby, ale przeżyje pan.

Medyk zaczął nerwowo sprzątać przyrządy.

- A mój...

- Nie mogę go uratować - przerwał Gothowi zdenerwowany lekarz.

Samo przebywanie w jednym pomieszczeniu z tym człowiekiem wystarczająco go przerażało. Wszyscy wiedzieli, że inkwizytor zabija bez litości. Medyk otrzymał jednak sowitą zapłatę. Teraz musiał tylko dokończyć robotę i wynosić się stąd. Ale nie potrafił zapanować nad nerwami.

- Koniec z pańską płodnością - rzekł, po czym, nim zdążył ugryźć się w język, dał wyraz niepokojącej myśli: - Będzie pan musiał kucać jak kobieta, żeby się wysikać.

Ciałem Gotha wstrząsnął dreszcz furii. Ta dziwka i jej wspólnik, kimkolwiek był ten potężny łotr, zapłacą za to. Złapie ich i zabije. Mimo słabości inkwizytor wyciągnął rękę i schwycił spoconego medyka za gardło, ściskając do utraty tchu.

- Jeśli piśniesz komukolwiek choć słówko, posiekam cię na małe kawałeczki, ale przedtem będziesz patrzył, jak zabijam po kolei całą twoją rodzinę i rzucam na pożarcie bezpańskim psom. Zdaje się, że masz uroczą żonkę i dwie córeczki?

Doktor wpatrywał się we wściekle plamki czarnych oczu pacjenta. Gdy ten puścił jego gardło, medyk zmoczył się w spodnie.

- Nie mam nikomu nic do powiedzenia, sir - wychrypiał, mając nadzieję, że tym razem użył właściwych słów.

Spojrzenie Gotha ani trochę nie złagodniało.

- Idź już, doktorku, i znajdź sobie czyste spodnie. Czy mój człowiek jest na zewnątrz?

- Rimmis stopniowo zaczynał go usypiać. Walcząc o zachowanie świadomości, Goth jak przez mgłę widział niepewne skinienie medyka. - Przyślij go tu natychmiast. I pamiętaj o swojej obietnicy. Ja dotrzymuję słowa.

Medyk wybiegł. Chwilę później przy inkwizytorze pojawiła się jego prawa ręka - Rhus, który pochylił się, by usłyszeć słowa przywódcy.

- Ci ludzie, którzy mnie tu przynieśli... - Rhus pokiwał głową. - Wiesz, kim są? Ilu ich było?

- Tak, lordzie Goth. To rodzina Horrisów. Cztery osoby. Rodzice położyli cię do łóżka, a syna posłali po lekarza. Jego mała siostra pozostała tutaj. Masz ich w ręku.

Rhus nie miał w zwyczaju trwonić słów. Zwłaszcza wtedy, gdy pociągało to za sobą ryzyko rozwścieczenia wielkiego inkwizytora.

Goth westchnął z ulgą.

- Dobra robota. Zabij ich wszystkich razem z lekarzem i jego rodziną. Zrób to natychmiast i nie pozostaw śladów.

SAXON KLOEK

Z małej polanki w pobliżu obozu założonego w północnej części ciągnącego się wzdłuż całego niemal królestwa Wielkiego Lasu dobiegał do uszu Sorrel śmiech Alyssy.

Była zaskoczona, gdy młody Caerys podbiegł do ciągniętego przez Kythaya wozu i przekazał polecenie, by się szykować do rozbicia namiotów. Jak większość Tallinorczyków Sorrel czuła respekt przed lasem. Mówiono, że jest zaczarowany i choć nie przerażało jej to tak jak wielu ludzi, czuła się nieswojo na myśl o spędzeniu tu jednej, a może i kilku nocy. Najwyraźniej jednak tallinorscy Cyganie nie podzielali tradycyjnych wyobrażeń, iż las stanowi odrębny świat.

Zorros powoli szedł wzdłuż rzędu wozów, sprawiając wrażenie, jakby instalowali się w przyzwoitej gospodzie. Sorrel postanowiła wziąć z niego przykład. Nie po to bogowie strzegli jej przez tyle wieków, żeby teraz ją zabić, nim wykona zadanie. Zapomniała o dyskomforcie. Teraz, gdy gulasz pyrkał łagodnie na ogniu, usiadła oparta o stare drzewo, wspominając minione dni.

Gdy tamtej strasznej nocy wróciła do Fragglesham, zastała puste pole. Tylko z daleka migały jeszcze latarnie oddalającego się wozu Cyrku Zorros. Przeklinając swego pecha, Sorrel pogoniła Kythaya, on jednak z właściwym sobie uporem szedł tak, jak mu się podobało, w związku z czym dogonienie wozu, którym podróżowała skulona u boku Saxona Alyssa, zabrało jej sporo czasu. Żadne z nich nie wydawało się jednak zdumione widokiem staruszki.

Sorrel zauważyła, że Alyssa jest chorobliwie blada i ma zamglone oczy. W pierwszej chwili pomyślała, że dziewczynę nafaszerowano narkotykiem i ponownie rozgniewała się na Saxona; nim jednak zdążyła się odezwać, cyrkowiec wyjaśnił, że Alyssa cierpi z powodu zadanych jej przez Gotha ciosów. Był zaniepokojony, zwłaszcza że dobrze wiedział, iż Zorros zamierza jechać bez przerwy przez całą noc, by znaleźć się jak najdalej od Fragglesham.

Razem ułożyli dziewczynę w wozie, a kiedy Saxon ponownie chwycił za lejce, pozostawiając kobiety z tyłu, Sorrel rozebrała Alyssę. Nawet w rozmytym świetle drgającej świeczki widok poranionego ciała dziewczyny był dla staruszki potwornym wstrząsem. Przez

kilka dni niezmordowanie zajmowała się towarzyszką, pomagając jej pokonać wysoką, powodującą dreszcze i majaki gorączkę, uspokajając, gdy rozpaczliwie krzyczała przez sen, wreszcie doprowadzając do ozdrowienia.

Zagoiła najpoważniejsze rany i obłożyła sińce ciepłymi kompresami. Włożyła całą swoją zielarską wiedzę w leczenie obrażeń wewnętrznych. Kazała też Alyssie wypić czarny tonik, który miał wypłukać z jej ciała diabelskie nasienie Gotha. Wkrótce potem dziewczyna zaczęła miesiączkować. To okazało się punktem zwrotnym. Od tamtej pory Alyssa szybko wracała do zdrowia.

Sorrel zauważyła, że przyjaźń dziewczyny z Saxonem także się pogłębiła. Saxon nie podrywał jednak Alyssy, jak początkowo sądziła starsza pani, lecz raczej starał się zastąpić jej ojca. Sorrel cieszyła się teraz, że ten człowiek pojawił się w ich życiu. Był inteligentny, dowcipny i miło się podróżowało w jego towarzystwie.

Za jego namową wędrowały dalej z cyrkiem, kierując się na północny zachód. Saxon zasugerował, by pozostały z trupą tak długo, jak się da, odłączając się dopiero w ostatniej chwili, by podążyć jeszcze dalej na północ, do Ildagarth.

Sorrel zamieszała gulasz. Był niemal gotowy. Usłyszała głos Alyssy i spojrzała w tamtym kierunku, by zobaczyć, jak dziewczyna skręca się ze śmiechu na widok Caerysa demonstrującego jej technikę połykania węża. Przysłuchując się ich rozmowie, staruszka uśmiechnęła się, gdy Alyssa pisnęła na widok wyciąganego z jutowego worka jasnozielonego gada.

- Uch, nienawidzę tego... jak mu tam?

- Dżin. To mój ulubieniec, jak wiesz. Wykonuje sztukę bardzo porządnie, nie sprawiając mi przykrości.

Alyssa skrzywiła się.

Caerys kontynuował:

- Pokażę ci wszystko jeszcze raz. Potem możesz spróbować - zaproponował.

- W porządku. Zgadzam się na wszystko z wyjątkiem tego ostatniego - odparła, chichocząc.

Sorrel wiedziała, że Caerys, podobnie jak wszyscy młodzi cyrkowcy, uległ urokowi Alyssy. Któż mógł ich winić?

Chłopak westchnął.

- Jak chcesz się tego nauczyć bez próbowania?

Alyssa rzuciła mu zabójcze spojrzenie. Skapitulował.

- Nie ma już jadu, bo inaczej na pewno by mnie zranił. Smakuje normalnie, jak

surowe mięso. Z początku kaleczył mi kąciki ust. Łuski trochę drapią, gdy się go wyciąga.

- Brrr... - wzdrygnęła się Alyssa. - Jak to drapią?

- Przyjrzyj się kiedyś wężowi wchodzącemu w małą dziurę. W jedną stronę idzie mu gładko, ale z powrotem jakby pod prąd. Dżin wchodzi mi do gardła na tyle - tu Caerys pokazał dziewczynie odległość pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym - a reszta ciała krąży w ustach. Widziałas, jak go trzymam za ogon, ale nie wiesz, że gdy go szczypię, wtedy on wchodzi.

Alyssa nadal wydawała się zdziwiona.

- Dlaczego więc nie wchodzi coraz głębiej i głębiej?

Caerys rozpromienił się.

- Mądra dziewczynka! Zrobiłby to, jeszcze jak! Ale ja jestem sprytniejszy. Wpijam mu się palcami w ogon jak szczypcami, żeby go nie wypuścić, bo jest śliski.

Pokazał, jak to robi. Alyssa poczuła się nieswojo, obserwując sztukę z tak bliska. Podziękowała, ale nie chciała już patrzeć, jak Caerys wyciąga sobie nieszczęsnego Dżina z ust. Zamiast tego podbiegła do siedzącej przy ognisku Sorrel i objęła wartę przy gulaszu.

- Niezła ta sztuczka z wężem - powiedziała starsza pani, doprawiając potrawę.

- Jasne. Caerys ma głowę na karku. Umie też połykać sztylety i noże. Widziałam nawet, jak połykał naostrzony miecz - oznajmiła z dumą Alyssa.

Sorrel podała jej gliniane miski.

- Saxon je z nami?

- Nie, ze swoją rodziną - rzekła dziewczyna, nakładając gulasz łyżką wazową i przekazując jedno z naczyń towarzyszące.

- Ta kobieta jest o ciebie zazdrosna, wiesz?

Alyssa pokiwała głową.

- Wiem. Słyszałam, jak źle o mnie mówi w rozmowie z Saxonem. On jest bardzo dobry dla niej i chłopców, odkąd jego brat zginął w wypadku, ale ona potrafi mu zająć za skórę.

Alyssa umilkła.

Sorrel cieszyła się, że dziewczyna zaczyna trochę otwierać przed nią serce, zwykle bowiem nie poruszała w rozmowach tematów osobistych. Może nadeszła właściwa chwila.

- Wiesz, kiedy byłaś chora i całymi dniami siedziałam przy tobie w tym wozie, często wykrzykiwałaś w gorączce czyjeś imię.

- Tak? - zapytała z rozbawieniem Alyssa, maczając w sosie kawałek chleba.

- Mhm. Wołałaś kogoś imieniem Tor. Błagałaś go, żeby się do ciebie odezwał.

- Nie pamiętam tego - odpowiedziała ostrożnie Alyssa.

Sorrel nie zamierzała dać za wygraną.

- Kto to taki? - zapytała pozornie lekkim tonem, udając, że bardziej interesuje ją jedzenie.

- Przyjaciel.

- Tęsknisz za nim, mała?

Tym razem Alyssa milczała przez chwilę.

- Bardziej, niż kiedykolwiek będzie wiedział.

- Opowiesz mi o nim?

- Kiedyś - rzekła Alyssa, podnosząc na Sorrel swoje wielkie oczy.

Niezręczną sytuację przerwało pojawienie się Saxona. Cyrkowiec wyjął z kieszeni buteleczkę i pociągnął łyk, po czym podał ją Sorrel, a ta przyjęła. Zaczęli cicho rozmawiać przy ognisku, podczas gdy wokół zapadała noc i obóz szykował się do snu.

- Zorros kieruje się do Ardeyranu na dalekiej północy. Musicie się od niego odłączyć w Bebberton, na obrzeżach Ildagarth. Od czasu do czasu, tam, gdzie uzna to za bezpieczne, będziemy urządzać występy. Musimy zarobić na żywność dla siebie i zwierząt. Na razie nie myślimy o zyskach, tylko o przetrwaniu.

Alyssa zmieniła pozycję, by mieć większy pożytek z ognia. Noce były teraz naprawdę chłodne.

- Jak Sorrel i ja możemy pomóc?

- Zastanawiałem się nad tym. Moglibyśmy was nauczyć kilku sztuczek. Opracowywałem z chłopakami nowy program, który wymaga udziału czwartej osoby. Młody Maze nie ma dość siły, by mu podołać, ale myślę, że ty, po odpowiednim przeszkoleniu, dasz radę. - Po czym zwrócił się do Sorrel: - A ty mogłabyś przygotowywać niektóre leki i uczyć kobiety, jak rozpoznawać choroby i sobie z nimi radzić. Wiem, że Zorros uzna to za wielką przysługę z twojej strony.

Sorrel wzruszyła ramionami.

- To najmniejsza rzecz, jaką mogę zrobić. Ale jeśli chodzi o udział Alyssy w przedstawieniu, nie jestem do tego przekonana, Saxonie.

Alyssa nie zamierzała się pogodzić z tym, że traktują ją jak dziecko albo, co gorsza, jakby wcale jej tam nie było.

- Myślę, że powinnam, Sorrel, choćby w podzięce za to, co ci ludzie dla mnie robią. Poradzę sobie. Saxon będzie przy mnie, a ja ani trochę się nie boję.

Istotnie, jeśli cokolwiek czuła na myśl o występie, to tylko radość z propozycji

Saxona.

- A co Greta o tym myśli?

- Nie ma wyboru - odparł spokojnie cyrkowiec. - Cóż, cieszę się, że się zgadzasz.

Jutro zaczynamy próby.

Sorrel postanowiła się wycofać. Wiedziała, że jeśli sztuczki Saxona okażą się zbyt wymagające, dziewczyna zawsze może się uciec do pomocy magii, ale w społeczeństwie, w którym od wieków tępiono czary, starsza pani nadal odczuwała onieśmienie na widok swobody, z jaką Alyssa posługuje się mocą. Zapadła w niespokojny sen, wiedząc, że będzie musiała opowiedzieć Merkhudowi o ostatnich wydarzeniach... Ale to mogło poczekać.

*

Bezpiecznym w Wielkim Lesie cyrkowcom nie spieszyło się do odjazdu.

- Licz, do diabła! Nie skacz na pięć, tylko na sześć! - zagrział Saxon. Wcześniej ustalili, że w obecności rodziny Lisów będą rozmawiali na głos.

- Myślałam, że kazałeś mi ruszać przy piątym kroku - burknęła gniewnie Alyssa, balansując na złączonych rękach rozbawionych Milta i Orisa.

Saxon odetchnął głęboko, by się uspokoić.

- Nie. Najpierw stawiasz pięć kroków. Potem skaczesz.

Zrobiła, jak jej kazał.

- Dobry skok, Alysso - pochwalił ją Milt.

Saxon prychnął. Miltowi podobało się wszystko, co robiła Alyssa.

- Beznadziejny. Musi ćwiczyć, ćwiczyć i ćwiczyć. Inaczej może ją to kosztować życie. Jeszcze raz.

- Saxon, mam już dość na dziś! - Tym razem starała się nie okazać złości.

- Będziesz próbować tak długo, aż ja, a nie zadurzony w tobie Milt, powiem, że robisz to dobrze. - Saxon odwrócił się, zawstydzony, że tak dołożył biednemu Miltowi, który natychmiast się zaczerwienił.

- Nie ma sensu się kłócić - szepnął Alyssie to ucha Oris. - On zawsze wygrywa. Jest taki sam jak nasz ojciec.

Ostatnie słowa wyrzekł z tęsknotą, a kiedy Alyssa spojrzała mu w oczy, ujrzała w nich smutek. Ona także tęskniła za ojcem.

- Próbujmy więc dalej - powiedziała, uginając lekko kolana. Chłopcy rozluźnili ręce, tworząc rozkołysaną platformę.

Policzywszy do pięciu, wyrzucili ją w górę. Alyssa przekoziółkowała, ale zamiast na ramionach, wylądowała niezdarnie na plecach Saxona.

Tym razem cyrkowiec obrócił się z wściekłością na twarzy i rękoma zaciśniętymi w pięści. Już raz widziała to spojrzenie i wiedziała, że człowiek, dla którego było przeznaczone, został zniszczony.

- Na Światłość, Alyssso! Musisz lądować na moich ramionach za każdym razem, a nie tylko od czasu do czasu. Nie widzę cię, więc nie mogę cię złapać. Sama musisz wykonać ten skok. - Oczy wciąż błyszczały mu gniewem.

Alyssa ześliznęła się na ziemię, zaskoczona jego wrogością i bezgranicznie wściekła.

Otworzyła łącze.

Nie rób mi tego więcej.

- Wracaj i powtórz wszystko - powiedział na głos Saxon, jakby chciał, by mu się sprzeciwiła. Las zamarł, gdy ta dwójka spoglądała sobie w oczy jak dwa drapiezniki.

W końcu to Alyssa skapitulowała. Bulgocząc w duchu ze złości, wspięła się na ręce cierpliwych chłopców. Już ona mu pokaże.

Tym razem zamknęła oczy przy skoku i wypuściła zaledwie mały okruch magii, by wyczuć, gdzie stoi Saxon. Koziółkując wysoko w górze, wyzbyła się wszelkiego lęku i zaufała swoim zmysłom.

Sorrel poczuła dotyk magii w chwili, gdy pochylała się, by zerwać kilka listków szaferu. Saxon też go odczuł, stojąc plecami do dziewczyny i czekając, aż ta wyląduje stopami na jego ramionach.

Gdy to się stało, złapał ją szybko za kostki, by nie upadła do tyłu, choć wiedział, że tym razem to nie nastąpi. Chłopcy wiwatowali i gwizdali; kilku innych, którzy przyglądali się próbom, uśmiechnęło się i zaklaskało, zastanawiając się, o co tyle hałasu.

Alyssa czuła, że Saxon jest z niej zadowolony. Gdy jednak przemówił, starał się tego nie okazywać.

- Teraz dobrze. Wkrótce potrafisz wykonać ten skok z każdego miejsca w dowolnym momencie, z przepaską na oczach, jeśli będzie trzeba.

Przez następne dwa dni cała czwórka nadal ćwiczyła, wykonując precyzyjne instrukcje Saxona, dopóki Zorros nie oznajmił, że następnego wieczoru ruszają w drogę. Dwa dni później, w Shockleton Marsh, zamierzali zorganizować pierwsze przedstawienie.

Gdy ruszyli, Sorrel jechała w wozie z Gretą. Alyssa i Saxon po raz pierwszy od czasu rozprawy cyrkowca z Gothem byli sami. Przez mniej więcej godzinę jechali w swobodnym milczeniu.

- Sorrel bardzo cię pilnuje - odezwał się w końcu Saxon.

Alyssa roześmiała się, a on uświadomił sobie, że uwielbia sposób, w jaki dziewczyna

marszczy nos, i że jest niezwykle piękna.

- To prawda. Chyba sądziła, że masz plany wobec mnie.

Tym razem to on się uśmiechnął.

- Mam. Ale nie takie, jak sądzi.

Alyssa nie była pewna, czy jego oświadczenie sprawiło jej ulgę, czy rozczarowało. Był bardzo przystojny, a ich znajomość bez wątpienia cechowała się pewną intymnością. Dziewczyna uwielbiała z nim przebywać. Potrafił ją rozśmieszyć, rozwścieczyć, doprowadzić do łez. A przede wszystkim czuła się przy nim bezpieczna. Z przerażeniem pomyślała o tym, że wkrótce będą musieli się rozstać, a ona i Sorrel samotnie powędrują do Ildagarth.

Przysunęła się bliżej niego, tak że czuła przez koszulę ciepło jego ciała.

- Chciałabym wiedzieć, co masz na myśli, Saxonie. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, dlaczego jesteście tu razem. Powiedz mi.

Mówiła tak błagalnie, że nie mógł zignorować jej prośby.

- Powiem ci wszystko, co wiem.

Wstrzymując oddech, Alyssa skoncentrowała spojrzenie na uszach idącego wzdłuż wozu Kythaya, które falowały w tę i z powrotem. Karawana przemieszczała się w równym, lecz niezbyt szybkim tempie. Alyssa otworzyła łącze i spokojnie wsłuchiwała się w łagodny głos Saxona, który zaczął snuć swą opowieść.

Był synem stolarza i praczki, obsługującej okoliczne miasta. Mieszkali w miejscowości o nazwie Hertsey, leżącej w środkowo-południowej części królestwa. Nie przelewało im się, ale jakoś wiązali koniec z końcem i wiedli szczęśliwe życie.

Obaj chłopcy, choć urodzeni w Tallinorze, byli świadomi swego kloeckiego pochodzenia. Wieczorami siadywali przy kominku z ojcem, który, paląc ręcznie rzeźbioną fajkę i kołysząc się łagodnie w zrobionym przez siebie krześle, przybliżał im kulturę maleńkiej wysepki. Przybył do Tallinom jako dziecko wraz ze swą rodziną. Z ojczystej wyspy wyгнаła ich bieda, nie przeszkadzało im to jednak pieczołowicie pielęgnować rodzime tradycje.

Saxon i jego starszy o rok brat Lute byli sobie bardzo bliscy. Kłócili się i bili, jak wszyscy bracia, szybko jednak zapominali o niesnaskach. Saxon twierdził, że Lute wcześniej zaczął objawiać talent do akrobacji i został dostrzeżony przez przejezdnych Cyganów. Cyrk Zorros w jakiś sposób dowiedział się o nim i zaoferował niezłą pensję za wstąpienie do nowej trupy akrobatów.

Nikogo nie zdziwiło - choć rodzice ciężko to przeżyli - że Saxon, najwyraźniej niepotrafiący żyć z dala od starszego brata, także przyłączył się do cyrku. Nie był tak gibki

jak Lute, ale miał więcej śmiałości i brawury; wciąż starał się zrobić wrażenie na widzach, przygotowując coraz to trudniejsze sztuczki.

Bracia szybko zyskali dużą popularność, a kiedy Lute poznał i wkrótce potem poślubił Gretę, ku zdziwieniu wszystkich okazało się, że i ona ma wielki talent. Była giętka, szybka i odważna. Lute i Saxon nauczyli ją wszystkiego, co sami umieli, a kiedy bogowie pobłogosławili związek piątką dzieci, w tym bliźniakami, one także ćwiczyły się w rzemiośle. Latające Lisy szybko zdobyły sławę i były owacyjnie witane we wszystkich rejonach kraju.

Co się stało z Lute'em?

Alyssa po raz pierwszy przerwała spokojną narrację Saxona.

Zginął. - W głosie cyrkowca pobrzmiwał ból.

W wypadku?

Nie. To nie był wypadek, lecz przeznaczenie. Ale Lute mógłby tego uniknąć, gdyby jego brat nie upierał się przy podjęciu takiego ryzyka.

Teraz ze słów Saxona wycierał już nie ból, lecz otwarta rana.

Nie chciała naciskać, ale z jakiegoś powodu wydawało jej się to ważne.

Opowiedz.

Milczał przez długą chwilę. W końcu cisza stała się tak niezręczna, że Alyssa omal nie zaczęła się wiercić. Zerknęła na Saxona i zobaczyła, że z trudem powstrzymuje łzy.

To był numer, któremu nadałem nazwę Lot. Bardzo niebezpieczny. Lute był doskonałym akrobatą. Wydawało się, że zawsze trafi w moje ręce, nogi, ramiona, gdziekolwiek by się znajdowały. Ja z kolei lepiej balansowałem. Dlatego zwykle to mnie wyznaczał do najbardziej spektakularnych występów na linie.

Lot stanowił połączenie naszych umiejętności, ale musieliśmy być perfekcyjnie zsynchronizowani, bo gdybym stał choć o włos dalej, niż oczekiwał Lute, albo on skoczyłby minimalnie inaczej, mogło się to skończyć poważną kontuzją... a nawet, jak się okazało, śmiercią.

Alyssę wypełnił ból Saxona i z oczu pociekły jej łzy.

Ćwiczyliśmy ten numer wiele razy - kontynuował Saxon - ale Lute nigdy nie chciał wykonywać go podczas występu ze względu na wysokie ryzyko. Nie upierałem się. Pewnego lata jednak nasz występ zaszczycili swoją obecnością król Lorys i królowa Nyria. Cała arena wrzała od wieści o ich nieoczekiwanym przybyciu. Popularność Cyrku Zorros była tak wielka, że występowaliśmy w Tal przez trzy miesiące, a tego wieczoru para królewska po raz pierwszy pojawiła się na widowni.

Pomyślałeś więc, że należałoby ją uhonorować czymś szczególnym - odgadła Alyssa.

Właśnie. Lute jak zwykle odmówił, ale nalegałem tak długo, aż w końcu się ugiął. - Saxon uśmiechnął się smutno i wzruszył ramionami.

Był tak niechętny, że czekał prawie do końca naszego występu.

Zorros znajdował się już w drodze na arenie, by podziękować za aplauz dla Lisów i zapowiedzieć kolejny punkt programu. Do dziś nie wiem, dlaczego Lute nagle ustąpił i uniósł kciuk w powietrze.

Alyssa czuła, że nie chce dłużej tego słuchać, ale było za późno, by przerwać Saxonowi. Skoro już zaczął, musiał doprowadzić swoją opowieść do końca.

Ja balansowałem jeszcze na linie. Greta domyśliła się, co sygnalizuje Lute, i zaczęła krzyczeć na nas z dołu, żebyśmy tego nie robili. Dokładnie pamiętam uśmiech, który posłał mi brat. Zawarł w nim tyle łagodności i czułości. Miałem ochotę uściskać go za to, że pozwolił mi się popisać przed królem i królową. Wyjęliśmy czerwone chusty, które nosiliśmy w tamtych czasach, i zanim przewiązaliśmy nimi oczy, Lute wyrzekł niemal bezgłośnie: „Nie upuść mnie, braciszku, bo beze mnie będzie ci bardzo smutno”. Zaśmiałem się. Potrafiliśmy praktycznie czytać sobie z warg.

Alyssa zastanawiała się, czy Saxon kiedykolwiek przedtem opowiadał komuś o swoim nierozważnym czynie. Gdy znów zaczął mówić, ujęła go za rękę.

Lute zaczął się huścić. Wiedziałem to mimo przepaski na oczach, bo odezwały się werble. Myślę, że już w momencie, w którym się odepchnął, wszyscy poczuliśmy, że coś poszło nie tak. Krzyknąłem do niego głośno, ale mimo tego krzyku i wrzasku publiczności jedynym dźwiękiem, który pamiętam i którego nigdy nie zapomnę, był potworny odgłos jego ciała uderzającego o podłogę. Chybił... zaledwie o włos. Tyle brakowało do perfekcyjnego wykonania. Uderzył mnie nogą w ramię i spadłem, lądując na jego ciele.

Łzy płynęły już po policzkach obojga.

Bogowie okazali nam jednak trochę łaski. Nie cierpiał. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Saxon zamilkł, a ręce opadły mu, wypuszczając lejce. Mimo to koń i Kythay szły dalej. Alyssa instynktownie otoczyła szeroki tors Saxona ramionami i przytuliła go mocno. Głaskała go po włosach, zdumiona ich miękkością, a potem odruchowo zaczęła całować w szorstki, mokry od łez policzek. Nie wiedząc, dlaczego to robi, obróciła jego twarz ku sobie i czule ucałowała go w usta.

Wyczuła jego zdziwienie, gdy jednak nie zaoponował, kontynuowała, znajdując w sobie oprócz współczucia i bólu namiętność.

Saxon łagodnie schwycił wielkimi dłońmi głowę dziewczyny i odsunął jej wargi od swoich. Na twarzy cyrkowca malował się ogromny smutek, Alyssa wiedziała jednak, że nie

ma on nic wspólnego ze śmiercią brata. Saxon pokręcił głową.

Nie, najdroższa Alyssso. Nie jestem ci pisany - szepnął.

Alyssa czuła się, jakby ją uderzono w twarz.

Saxon wiedział, że dziewczyna zaraz wybuchnie gniewem, więc zamknął łącze i przykrył palcami jej wargi, których smak wciąż czuł na ustach.

- Kocham cię, Alyssso - powiedział na głos - ale nie wolno mi obdarzyć cię taką miłością, jakiej w tej chwili pragniesz. Jest ktoś inny. Pewnego dnia spotkasz się z nim i będziesz wiedziała, że to on.

Głos Saxona był spokojny i stanowczy. Alyssa otarła dłonią usta, by zetrzeć ślady jego pocałunku. Czuła się jak przeganiany dzieciak.

- Nie opowiedziałem jeszcze całej historii, Alyssso - rzekł Saxon, wyczuwając to. - Czy mogę ją dokończyć?

Widząc, że dziewczyna spuściła wzrok i milczy, mówił dalej. Opowiedział, jak od wczesnego dzieciństwa nawiedzała go w snach pewna kobieta. Nigdy jej nie zobaczył, ale wiedział, że jest bardzo piękna, bo miała głos jak kryształowo czysty strumyk, a zapach jak wiosenna łąka. Przychodziła do niego wiele razy. To ona nakazała mu podążyć za Lute'em, choć Saxon zamierzał kontynuować dzieło ojca. Przyznał, że nie pamiętał czasów, w których w jego życiu nie było tej kobiety, opowiadającej mu o dziwnym zgromadzeniu dziesięciu osób, zwanych paladynami. Byli to strażnicy i opiekunowie, wybrani spośród najstarszych ludów Tallinoru.

- Kogo strzegli? - zapytała Alyssa, porzucając gniew na rzecz fascynacji.

- Niebezpiecznego więźnia. Chronili ludzi, których chciał zranić.

Alyssa zmarszczyła brwi.

- Dlaczego ta kobieta ze snu opowiadała ci to wszystko?

- Bo jestem jednym z nich - odparł, spoglądając gdzieś w dal. Nawet jego głos jakby się oddalił.

Otrząsnął się i kontynuował opowieść, opisując, jak po śmierci Lute'a kobieta nalegała, by pozostał w cyrku i wziął na siebie odpowiedzialność za Gretę i jej dzieci.

- I ty tak po prostu się zgodziłeś?

- Nie miałem powodu, by postąpić inaczej. Nie miałem też dokąd pójść, Alyssso. Greta została wdową z pięciorgiem małych dzieci. Czułem się odpowiedzialny za śmierć Lute'a. Występowałem we wszystkich ich numerach i choć bez niego nie były już tak spektakularne, bardzo się staraliśmy. Szczególnie chłopcy po śmierci ojca dawali z siebie wszystko. Po roku czy dwóch nasze występy znów stały się popularne. Być może były nawet lepsze niż

wcześniej, bo odmawiałem podejmowania jakiegokolwiek ryzyka, stawiając zamiast tego na widowiskowość.

- Mów dalej - poprosiła.

- Cóż... Trwało to kilka lat. Wiele podróżowaliśmy po całym królestwie, występując i stopniowo przeobrażając się w rodzinę. Stałem się ojcem dla dzieci...

- Ale nigdy mężem dla Grety? - Alyssa nienawidziła zazdrości, z jaką wypowiedziała te słowa.

Uśmiechnął się lekko i potarł brodę w zażenowaniu.

- Raz. Ale nie czułem się z tym dobrze.

Alyssę ogarnął gniew. A więc miała rację: wrogość Grety miała głębszą przyczynę niż tylko konieczność wyżywienia kilku gąb więcej.

Saxon pospiesznie kontynuował.

- Postanowiliśmy po prostu żyć obok siebie i starać się niczego nie udawać. Podziwiam i szanuję Gretę, kocham jej dzieci i niech tak pozostanie. Zawsze będę uważał tę rodzinę za swoją.

- Pospiesz się i przejdź wreszcie do rzeczy, Saxon. Nie interesuje mnie już, z kim spałeś.

- Czyżby? - Oczy zabłysły mu przewrotnie.

- Nie! Opowiedz mi resztę albo w ogóle się zamknij.

Zmarszczył brwi, koncentrując się, i mówił dalej:

- Pominę zatem wszystkie późniejsze lata i przejdę do niedawnych wydarzeń we Fragglesham. Gdy zbliżaliśmy się do miasta, znów zacząłem mieć te sny i to co noc, a nie, jak dawniej, od czasu do czasu. Musisz zrozumieć, że nigdy nie widziałem tej kobiety, ale była ona ze mną od dzieciństwa, więc mam do niej pełne zaufanie.

Saxon wpatrywał się w dziewczynę tak intensywnie, że aż poczuła, jak włosy jeżą jej się na karku.

- Ma na imię Lys. Przez te wszystkie lata, gdy pojawiała się w moich snach, wspominała o młodej kobiecie, którą miałem się opiekować. Mówiła o niej tak często i tak długo, że w końcu przestałem zwracać na to uwagę. Twierdziła, że ta osoba ma kluczowe znaczenie dla przyszłości kraju. Nigdy tego nie rozumiałem.

Alyssa pragnęła, by Saxon umilkł. Nie chciała słyszeć jego głosu ani dalszego ciągu opowieści. Nie była już zafascynowana, lecz przerażona. On jednak mówił dalej. Wóz toczył się łagodnie pośród nocy, a Saxon powoli snuł swoją historię.

- Na krótko przed dotarciem do Fragglesham kobieta w snach stała się jakby bardziej

wyrazista. Mógłbym niemal przysiąc, że nie śniłem o niczym z wyjątkiem niej i ciebie, Alyssa. Powiedziała mi, że jesteś blisko i że nasze spotkanie będzie wypełnieniem misji całego mojego życia.

- Przestań! Nie mów nic więcej, Saxonie. Nie chcę tego słuchać.

Alyssa przesunęła się, jakby chciała zeskoczyć z wozu, ale on złapał ją i otworzył łącze.

Wysłuchasz tego, bo musisz. Nie unikniesz przeznaczenia, tak jak ja nie uniknąłem swojego.

Twierdzisz, że mnie kochasz, a tymczasem przerażasz mnie.

Kocham cię, Alyssa. I musisz mi zaufać.

Usiadła z powrotem na drewnianej ławeczce.

Niewiele pozostało do opowiedzenia - rzekł, ponownie ujmując lejce, choć i koniowi, i Kythayowi całkowicie wystarczał widok poprzedzającego ich wozu.

Wczesnym rankiem w dniu pożaru, kiedy byłem już bliski przebudzenia, przyszła do mnie. Jak zwykle nie widziałem jej, ale zapach był silniejszy niż zwykle, a głos bardziej wyraźny, jak gdyby leżała obok mnie. Powiedziała, że tego wieczoru pojawisz się w moim życiu i że natychmiast cię rozpoznam. W tym dziwnym stanie pomiędzy snem a jawą w jakiś sposób wymogła na mnie obietnicę, że będę cię chronił... poświęcając własne życie, gdyby okazało się to konieczne. Przypomniała, że jestem jednym z paladynów.

Zamilkł. Alyssa wzięła wreszcie głęboki oddech. Co to wszystko, na Światłość, miało znaczyć?

I rozpoznałeś mnie, Saxonie? Od razu?

Jak tylko wyszedłem na arenę i rozejrzałem się po widowni. Zobaczyłem błyszczące z podniecenia oczy, lśniące włosy i żółtą sukienkę. Wiedziałem, że to ty, i czułem spokój na myśl, że wreszcie cię odnalazłem.

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Resztę już wiesz”.

Przez jakiś czas milczeli. W końcu Alyssa przerwała ciszę.

Wiedziałaś o inkwizytorze?

Nie.

Pokręciła głową.

No to przed czym masz mnie chronić... jeśli nie przed nim? Chyba nie oczekujesz ode mnie przyjęcia do wiadomości, że sensem twojego życia było czekanie na mnie?

Kiedy tak właśnie jest. Musisz to zaakceptować.

Alyssa poczuła, że wzbiera w niej gniew. Czy on celowo się z nią droczył? Usłyszała,

jak daleko w przodzie kilka osób zeskakuje z wozów, by się przejść i rozprostować nogi. Jeszcze minuta, dwie i zrównają się z tamtymi.

Czy jest coś jeszcze, co twoim zdaniem powinnam wiedzieć? - zapytała szybko.

Uścisnął jej rękę z czułością.

Wiesz teraz tyle co ja. Od tego momentu nie mam pojęcia, czego się spodziewać ani czego się po mnie oczekuje.

Tymczasem wóz dogonił połykacza mieczy.

- Może być mnie na chwilę zastąpił, Caerys? - zwrócił się do niego Saxon. - Sprawdź, jak sobie radzi moja rodzina.

Zeskoczył lekko na ziemię i ruszył naprzód. Alyssa zamaskowała konsternację spowodowaną dziwną opowieścią i zazdrość o Gretę słodkim uśmiechem pod adresem młodzieńca, który nie posiadał się z radości, że może jechać u jej boku.

*

Jak się miewasz, przyjacielu Nanak? - zagadnął przez łącze Merkhud.

Niczego sobie, Merkhudzie. Skąd ta weselość u kogoś, kto dźwiga na barkach tak ciężkie brzemie? - zainteresował się strażnik.

Jestem dziś bardzo, bardzo szczęśliwy.

Czy podzielisz się swoim szczęściem, Merkhudzie? Na Światłość, przydałoby nam się trochę radości w tym zakazanym miejscu. - Nanak sprawiał wrażenie zmęczonego.

Merkhud miał mu do zakomunikowania wiadomość takiej wagi, że strażnik powinien oszaleć z zachwytu. Poświęcił całe życie, by ją usłyszeć.

Nanaku - rzekł medyk z powagą - *Saxon się ujawnił!*

Nie kpij ze mnie - warknął spokojny zazwyczaj głos.

Nie kpię, przyjacielu. Przysięgam ci, Saxon jest wśród nas.

Opowiadaj - szepnął wniebowzięty Nanak.

Saxon Kloek - dla nas Szósty - podróżuje teraz z Alyssą. Nie musisz znać szczegółów; wystarczy, że się odrodził i jest z nią.

Saxon... - Nanak miał ochotę w nieskończoność powtarzać to imię. Odważny, potężny Kloek, który tak długo znosił ból; przez dziesiątki lat opierał się podszeptom i mocy Orlaca... tylko po to, by w końcu ulec.

Merkhud pozwolił strażnikowi kontemplować wiadomość w milczeniu. Wiedział, ile znaczy dla niego ta wieść.

Saxon występuje w cyrku - rzekł wreszcie. - *Podobno jest bardzo dobry.*

Chyba po raz pierwszy w życiu usłyszał, jak Nanak się śmieje.

Był to przepiękny dźwięk. Merkhud modlił się, by jeszcze kiedyś dane mu było go usłyszeć.

Wracają, Nanaku. Wszyscy. Przysięgam ci. Teraz to rozumiem. Uciekają od Orlaca, by chronić tych, którzy mają nas zbawić. Musisz być silny. Błagaj, przekonuj, rozkazuj, aby Figgis, Themesius, a zwłaszcza Arabella czekali na mnie. Muszę jeszcze zrobić parę rzeczy; potrzebuję czasu, by dopracować plan.

Dostaniesz go, Merkhudzie. Będziemy czekać. I obiecaj mi, że porozmawiasz z tym sokołem, na którego wołają Clout, i powiesz mu, że Nanak jest z niego dumny. Że paladynowie są z niego dumni.

Ależ on nie mówi, Nanaku. Nie ujawnił dotąd żadnej mocy.

Powiedz mu to, Merkhudzie. Jeśli jest paladynem, zrozumie.

Łącze zamknęło się, tym razem jednak towarzyszyło temu uczucie prawdziwej nadziei - pierwsze po kilku wiekach rozpacz.

ZEMSTA GOTHA

Minęły dwa miesiące, nim Cyrk Zorros dotarł do Bebberton na obrzeżach sławnego Ildagarth. Była to radosna, pozbawiona przygód podróż. Wystąpili w kilku miasteczkach, święcąc triumfy, jakich przedtem nie zaznali. Nie całkiem jeszcze otrząsnęli się z wywołanego pożarem wstrząsu, ale powoli wracały im humory. Wieść o ich tragedii szybko rozniosła się po królestwie i każdy występ przyciągał ogromną widownię.

Zorros był przekonany, że do nadejścia Nowoliścia zdąży nabyć część zwierząt mających zastąpić te, które zginęły. Był takim optymistą, że zamówił już nowe płótna i markizy. Wszyscy wpadli w zachwyt, gdy burmistrz Ildagarth powitał cyrkowców i okazał niesłychaną wspaiałomyślność, nalegając, by pozostali tak długo, jak zechcą - na koszt miasta - w rejonie zwanym Crook. Była to piękna łąka, oddalona od centrum o zaledwie godzinę jazdy.

Burmistrz przekazał cyrkowcom list od samego króla Lorysa, który dowiedział się o tragedii we Fragglesham i osobiście dołączał się do powitania.

Saxona zdumiała ta powszechna życzliwość.

- To dobry człowiek - powiedział o królu.

- O, znasz go? - zakpiła Alyssa. Jej komentarz wywołał przelotny uśmiech nawet na skwaszonej zwykle twarzy Grety.

- Nie. Ale wiem to. Widziałem go. Obserwowałem. Dbą o swój naród, a ten list jest tego dowodem.

Przyglądali się, jak Zorros oficjalnie odbiera królewskie pismo. Ludzie zaczęli wiwatować, trzeba więc było przekrzykiwać tłum.

- Uważałabym go za znacznie lepszego władcę, gdyby zaprzestał prześladowań - wrzasnęła Alyssa.

Niektórzy z pozostałych pokiwali głowami.

- Bez trudu mógłby zdelegalizować stare prawo, pozwalające typom pokroju Gotha buszować po całym kraju, kalecząc i zabijając wszystkich, którzy nie pasują do jego idei społeczeństwa. Takim ludziom nie oferuje się azylu. - Więcej osób pokiwało głowami. Alyssa

kontynuowała: - Gdyby Goth i jego zbiry uznali, że twoje sztuczki na linie są wykonywane pod wpływem magicznego natchnienia, mógłby pod przykrywką prawa zakazać wam działalności albo i zabić. Czy dobry król pozwala na takie rzeczy?

Alyssa wiedziała, że powinna się zamknąć. Sorrel położyła jej rękę na ramieniu gestem, który miał ją powstrzymać od kontynuowania tej tyrady, dziewczyna z ulgą przyjęła więc słowa Saxona.

- Masz rację, rzecz jasna. Nie znam się na prawie. - Resztę dopowiedział poprzez łącze. - *Miejmy nadzieję, że teraz, gdy Goth nie żyje, jego tchórzliwy oddział zostanie zlikwidowany.*

Wtedy będę dobrze myśleć o naszym królu. - Alyssa uśmiechnęła się, by Saxon wiedział, że nie żywi doń urazy, ale zaraz dodała: - *Na razie jednak nim gardzę.*

Była w podłym nastroju. Nadeszła chwila, której się obawiała. Nie miała pojęcia, jak pożegnać się z Saxonem i cyrkiem, który przez kilka ostatnich miesięcy stanowił jej dom. Sorrel wyjaśniła jej, że tego ranka rozstaną się z trupą. Cel ich podróży, Caremboche, leżał zaledwie o pół dnia marszu od Ildagarth, dla Alyssy jednak było to równoznaczne z wiecznością. Nawet gdyby cyrk spędził w mieście wiele tygodni, wiedziała, że prawdopodobnie już nigdy nie będzie tak blisko Saxona.

- No, dziewczyno - rzekła Sorrel, przywołując ją do porządku - musimy ruszać. Lepiej nie przedłużać rozstań.

Uśmiechnęła się promiennie do otaczających ją ludzi i przystąpiła do pożegnań, obejmując tych, których zdążyła lepiej poznać, a pozostałym dziękując za zyczliwość. Alyssa czuła się fatalnie. Poszła za przykładem Sorrel, usiłując nadrabiać miną. Spojrzała na Kythaya i zobaczyła cały ich dobytek przytroczony do jego grzbietu. Osiołek strzygł uszami, nie mogąc się doczekać chwili, w której opuści hałas i smród Bebberton.

Ludzie obejmowali ją i nawet Caerys w końcu zebrał się na odwagę, by ją pocałować. Nie musiała się rozglądać, by wiedzieć, gdzie znajduje się Saxon. Oczywiście obok Grety, z tyłu. Uśmiechał się szeroko, próbując dodać jej odwagi.

W końcu nadszedł czas na rodzinę Lisów. Wszyscy stali w milczeniu, spoglądając na siebie i nie wiedząc, co powiedzieć. Alyssa była przekonana, że gdyby spojrzała Saxonowi prosto w oczy, straciłaby resztki opanowania.

- Żegnaj, Orisie - powiedziała, przytulając chłopaka mocno. Milt także chciał ją objąć, ale gdy się pochylił, dziewczyna pocałowała go instynktownie. - Dzięki, Milt. Byłeś dla mnie bardzo dobry.

Zdziwiła się, że chłopak nie jest tak przytłoczony rozstaniem jak ona, choć wiedziała,

iz się w niej podkochuje. Uśmiechnął się nieśmiało.

Obie z Sorrel po kolei przygarniały młodsze dzieciaki tak mocno, że te aż piszczały, a potem szczerze podziękowały Grecie za wszystkie przysługi, które im wyświadczyła, gdy nie miały dokąd pójść. Alyssa objęła ją serdecznie pomimo obaw, a ta przyjęła to pożegnanie z czymś przypominającym samozadowolenie.

W końcu pozostała już tylko jedna osoba.

Alyssa nie potrafiła się powstrzymać. Uniosła oczy i spojrzała mu w twarz, pragnąc go nienawidzić za ten szeroki uśmiech i niewrażliwość na jej cierpienie. Przywołała zasłonę, odmawiając mu dostępu do swoich myśli.

Zamiast niej odezwała się Sorrel.

- Zawdzięczamy ci życie, Saxonie. Alyssa i ja...

- Daj spokój. - Powstrzymał ją gestem ręki. - To niepotrzebne.

Pochylił się nisko i uniósł starszą panią w objęciach, aż zaczęła krzyczeć i błagać, by ją puścił. Na ten widok Alyssa rozkleiła się wbrew swoim zamiarom. Gdy oczy wypełniły jej się łzami, znienawidziła je za to, że ją zdradzają. Kiedy Saxon obrócił się ku niej, szlochała już na całego.

- Na Światłość, dziewczyno... cóż to ma być?

- Chodź już, Alyso. Szybkie pożegnania są najlepsze - burknęła Sorrel i ruszyła w kierunku Kythaya.

Saxon przyglądał się przez chwilę, a potem znów spojrzał na Alyssę.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał.

Nie uszedł jej uwagi drwiący uśmieszek Grety. Odchrząknęła i ruszyła za Sorrel, rzucając na odchodnym.

- Po prostu mi smutno, ot co. Będę za wami bardzo tęsknić.

Szybkim krokiem podeszła do Kythaya i pomogła starszej pani dosiąść osła. „Potrafię to zrobić” - pomyślała. „Potrafię i już”. Prowadząc Kythaya, ośmieliła się raz jeszcze spojrzeć przez ramię. Saxon wciąż uśmiechał się szeroko, wysoki, przystojny i wesoły. Oderwała od niego wzrok i rzuciła pozostałym fałszywy uśmiech.

On jednak zawołał za nią:

- Hej, a mnie nie uściskasz?

Z tymi słowy teatralnym gestem założył dłonie na piersi. Rodzina parsknęła śmiechem.

Tego już było za wiele dla Alyssy. Puściła lejce osiołka, podbiegła do stojącego z rozłożonymi ramionami Saxona i zaczęła go okładać pięściami. Naprawdę chciała zrobić mu

krzywdę, on jednak ze śmiechem unieszkodliwił ją, splatając jej ręce na plecach i trzymając tak długo, aż przeszła jej wściekłość i dziewczyna przestała się szamotać. Oddychała ciężko, a po policzkach spływały jej łzy.

Zbliżył usta do jej ucha.

- Idę z tobą - szepnął i puścił ją.

Obróciła się gwałtownie.

- Co?

- Słyszałaś. Zostałem posłany, nie pamiętasz?

Alyssa słyszała jego słowa, ale nie docierało do niej ich znaczenie. Dopiero Caerys przywrócił jej poczucie rzeczywistości.

- To prawda. Saxon odchodzi z cyrku. Mówi, że musi być z tobą.

Teraz już wszyscy zanosili się śmiechem. Sorrel zwlokła się z grzbietu Kythaya, by sprawdzić, co zatrzymało jej towarzyszkę. Miała nadzieję, że Saxonowi nie strzeliło do głowy, żeby pójść z nimi. Spojrzała na niego, potem na Alyssę i nikt już nie musiał jej niczego wyjaśniać.

- On mówi, że idzie z nami - rzekła Alyssa, wciąż nie dowierzając.

- Oczywiście pod warunkiem twojej zgody, Sorrel. - Saxon spojrzał na nią, wiedziała jednak, że mimo uprzejmych słów wcale niepotrzebne mu jej przyzwolenie. Po prostu chciał być miły.

- Cóż, Saxonie... Jestem zdumiona. Idziemy do Caremboche i nie wiem, jak nam się tam sprawy ułożą. Tym bardziej nie możemy...

- O to pomartwimy się później. Czy mogę przynajmniej potowarzyszyć wam do bram?

Sorrel zmrużyła oczy.

- Słyszałaś o Caremboche?

- Tak. Każdy, kto podróżował po królestwie tyle co ja, poznał jego legendę.

Dawne niepokoje Sorrel co do intencji Saxona powróciły. Ale to Alyssa zgłosiła sprzeciw.

- A co z Gretą i dziećmi? Nie możesz ich przecież tak zostawić.

- Nie potrzebujemy go - wtrąciła Greta bez cienia złośliwości. - Ktoś inny będzie się o nas troszczył.

Uśmiechnęła się przekornie. Alyssa nie sądziła, że tę kobietę stać na taką wesołość.

- Nic z tego nie rozumiem! - zawołała.

Caerys nie zdołał utrzymać języka za zębami.

- Greta wychodzi za Zorrosa. Kocha się w niej od wieków.

- To prawda - potwierdziła Greta na widok niedowierzania w oczach Alyssy. - Kocham Cię od lat, ale zawsze go odtrącałam. Byłam zbyt przywiązana do wspomnień o zmarłym. - Westchnęła. - Ale dzieci potrzebują męskiej ręki, a zmuszanie Saxona do tego, by nadal pełnił obowiązki swego brata, nie było uczciwe. Lute sam podjął decyzję. Wiedział, że ryzykuje. Straciliśmy go. Nikt nie ponosi za to odpowiedzialności. Saxon w końcu znalazł sens życia - nie winię go, jesteś bardzo piękna - a ja postanowiłam ulec Zorrosowi i jego romantycznym wyobrażeniom o nas. Dzieci go uwielbiają, więc wiem, że przynajmniej one będą zadowolone.

Alyssa z trudem zdołała uwierzyć w promienny uśmiech, który nagle rozświetlił twarz Greta.

- A wasze występy?

- Żona właściciela cyrku nie musi występować nigdzie indziej jak tylko w pościeli. - Greta mrugnęła. - Być może Milt i Oris zdecydują, że chcą dalej pracować, ale jeśli wszystko potoczy się według moich życzeń, młodsze dzieci będą wiodły życie poza areną.

Pojawił się Zorros.

- Wnoszę, że już wam powiedziano - rzekł, obejmując przyszlą żonę. - I co, nie pogratulujecie mi?

- Jasne! - odparła Alyssa, nadal zastanawiając się, kiedy ten sen się skończy, a ona zbudzi się, idąc obok osiołka i starej kobiety samotną ścieżką wiodącą do dziwnego sanktuarium.

*

Przebyli kilka mil dzielących ich od Caremboche szybciej, niż się spodziewali. Sorrel jechała na Kythayu, a Saxon i Alyssa szli żwawo obok niej. Czas mijał bez niespodzianek, a podróż upływała im w miłej atmosferze, z pięknym widokiem na jedną z odnóg Wielkiego Lasu na horyzoncie.

Sorrel postanowiła zaakceptować obecność Saxona. Z pewnością wiedział, że miejsce, do którego zdążają, nie jest przychylne mężczyznom, starsza pani była jednak przekonana, że coś da się wymyślić. Myśląc o tym podczas wędrówki, uświadomiła sobie, że jego towarzystwo może się w istocie okazać błogosławieństwem. Alyssa była niewątpliwie szczęśliwa, że pozostał z nimi, co mogło korzystnie wpłynąć na jej gotowość do poddania się rygorom życia w Akademii.

Wyjaśniła już Alyssie, że jest to azyl, który na jakiś czas zapewni im całkowite bezpieczeństwo. Jeśli jej się spodoba, być może zechce zostać studentką Akademii. Ta decyzja będzie jednak należała wyłącznie do niej. Starsza pani opowiedziała dziewczynie o

dysku archalitowym i o tym, z czym wiąże się jego przyjęcie. Alyssa była bystra. Zrozumiała wszystko, a nawet powiedziała z powagą, że przemyśli taką przyszłość, gdy już się przekona, jak tam jest. Na razie Akademia oznaczała odpoczynek i regenerację sił. Od dłuższego czasu były w drodze. Sorrel wiedziała, że izolacja Akademii przypadnie Alyssie do gustu. Czekala tam jednak również przyjaźń. Dziewczeta w jej wieku prawdopodobnie ciepło ją przyjmą i może będzie miała szansę na budowę nowego życia, o którym mówiła.

Wzdłuż drogi pojawiły się mury, za którymi rozpościerały się sady. Byli już na obrzeżach Akademii.

Kythay zatrzymał się posłusznie, by Sorrel mogła przemówić.

- Bramy są już niedaleko. Co powiecie na to, żebyśmy poszła przodem i zapowiedziała nasze przybycie? Wy możecie dołączyć później, gdy wasze cienie się wydłużą.

Nie była to prośba. Oboje skinęli głowami, a Sorrel łagodnie dźgnęła Kythaya stopą, by przyspieszył. Osiołek wyjątkowo jej usłuchał i wkrótce oboje zniknęli w chmurze pyłu.

Alyssa i Saxon podeszli do żywopłotu. Tego dnia było dość ciepło, a wędrówka zakurzoną drogą z Ildagarth sprawiła, że ich twarze pokryła cienka warstewka potu. Alyssa otarła czoło chustką i rozejrzała się.

- Myślisz, że mieliby nam za złe, gdybyśmy zerwali trochę owoców? - zapytała i, nie czekając na odpowiedź, zaczęła się wspinać po murze.

- A gdyby tak, to co? - odrzekł z rozbawieniem i ruszył za nią.

- Będiesz za nimi potwornie tęsknił, prawda, Saxonie? - zapytała, wypowiadając wreszcie na głos myśl, która cały czas ją gnębiła.

Ugryzł śliwkę. Sok spłynął mu po brodzie, wpadając w maleńki dołek.

- Za rodziną? Tak. Ale Greta podjęła mądrą decyzję, a Zorros bez wątpienia ją kocha. Doskonale się nimi zaopiekuje, zwłaszcza młodszymi. Miała rację. Brat zmarłego ojca nie musi się już przy nich kręcić.

- Och, przestań. Jestem pewna, że zawsze będą o tobie pamiętać - powiedziała, rzucając w niego pestką od śliwki.

- Może i tak. Martwię się o starszych chłopców. Milt i Oris są w głupim wieku i potrzebują silnej ręki, czasu i mądrości ojca. Nie wiem, czy Zorros potrafi im to dać. - Pokręcił głową. - Musiałem zagrozić, że spuszczę im baty, jeśli spróbują iść za nami.

Alyssa była przerażona.

- Chyba nie myślisz, że to zrobią?

- Bez wątpienia. - Zaśmiał się krótko. - W przeciwnym razie serca im pękną z powodu rozłąki z ukochaną Alyssą.

Uśmiechnęła się smutno.

- Ale jak mieliby nas dogonić?

- Miłość potrafi być okrutna, Alyssso. Nie zawahaliby się przed kradzieżą wozu i pościgiem za nami. Dzięki poprzednim podróżom wiedzą nawet z grubsza, gdzie leży Caremboche.

Alyssa nie chciała już myśleć o chłopcach i ich bólu po stracie Saxona, którego kochali jak ojca.

- Idziemy? - zapytała.

- Hm... Pozwól, że ja pójdę przodem.

- Nie! Dlaczego? Pójdziemy razem.

- Och, nazwij to przecuciem starego człowieka. Na wszelki wypadek sprawdzę, czy wszystko jest w porządku, nim się zjawisz. Obiecuję, że to nie potrwa długo; tylko tyle, ile trzeba, by się rozejrzeć. Możesz w tym czasie pozrywać jeszcze trochę śliwek - zasugerował z nadzieją.

Zmrużyła oczy.

- Czy twoja przyjaciółka Lys ostrzegła cię przed czymś? - zapytała, czując, jak po plecach zaczynają jej przechodzić ciarki.

- Nie. Niezupełnie. Po prostu powiedziała coś, co wzbudziło we mnie ostrożność. To naprawdę nic takiego, Alyssso. Ale będę się czuł pewniej, dmuchając na zimne.

Po tych słowach wstał.

- Dobrze, ale już liczę - powiedziała i zaczęła głośno odliczać, a on puścił się biegiem.

Alyssa wstała i powoli podeszła na skraj ogrodu. Długi, wysoki mur ciągnął się, jak okiem sięgnąć, do końca sadu i jeszcze dalej. Zbudowano go z różowawego kamienia - takiego samego jak ten, który, jak przypuszczała, otaczał Akademię.

Sorrel niewiele jej opowiedziała o tym miejscu, być może dlatego, że dziewczyna nie okazała wielkiego zainteresowania. Chodziło jej tylko o obiecaną przystań. Pozostawała kwestia archalitu. Tego dnia Alyssa czuła, że mogłaby to zrobić, mimo iż oznaczało to rezygnację z wszelkiej nadziei na bycie z mężczyzną. Dla niej liczył się tylko jeden mężczyzna, a on zniknął z jej życia. Podobał jej się pomysł studiowania i coraz lepszego poznawania własnych możliwości. Sorrel mówiła, że Akademia ma świetną, obszerną bibliotekę, w której archiwum znajduje się wiele starożytnych pergaminów i ksiąg. To wprawiało Alyssę w zachwyt. Mogłaby się tam zaszyć i może nawet pogrzebać wspomnienie Tora wśród zakurzonych tomów.

Zorientowała się, że może sobie oszczędzić długiego marszu, idąc na przełaj przez

łąkę i przechodząc przez mur. Czy czekała już dostatecznie długo? Nie. Musiała dotrzymać danej Saxonowi obietnicy. Dla zabicia czasu wspięła się na pobliską gruszę i zaczęła zrywać owoce. Gdyby się tak nie zamyśliła, chłonąc obraz spokojnej okolicy i nawet nucąc nieświadomie jakąś melodię, być może usłyszałyby tętent zbliżających się koni.

Upchnęła trzy gruszki po kieszeniach i ruszyła, zadowolona, że dała Saxonowi dość czasu na upewnienie się, że wszystko w porządku. Czego on się obawiał? Goth nie żył, a przecież tylko on stanowił dla niej zagrożenie. Alyssa stanowczo odsunęła od siebie strach i ruszyła w kierunku znajdującego się mniej więcej pół mili od niej odcinka muru nieznacznie tylko oddalonego od drogi.

W pobliżu ogrodzenia stało ogromne drzewo, doskonale nadające się do tego, by wspiąć się po nim i przejść przez mur. Sorrel będzie na nią wściekła za takie wejście. Docierając do muru, Alyssa usłyszała męskie głosy. Pomyślała, że to pewnie mieszkańcy wioski albo pracownicy sadu. Unosząc bawełnianą spódnicę, na której włożenie nalegała Sorrel, dziewczyna zaczęła się piąć po drzewie. Szło jej łatwo - jak w starych, dobrych czasach, przed rozłąką z Torem.

Była wprost nieznośnie szczęśliwa. Ona i Sorrel miały właśnie zacząć nowe życie. Wreszcie znalazła miejsce, w którym mogła osiąść, a w dodatku Saxon nadal był przy niej. Miała nadzieję, że pozwoli mu zamieszkać w pobliżu albo pracować dla Akademii. Po raz pierwszy od wieków czuła się beztroska i niemal wyzwolona spod władzy uczucia do Tora. Nie wspominała go już tak często, a wcześniejszy ból stępsiał, przeradzając się w coś, o czym lubiła myśleć jako o twardym, lśniącym kamieniu, który nosi w sercu. Jakiś czas temu postanowiła go zamknąć i wydobywać tylko od czasu do czasu. Robiła to jednak coraz rzadziej, a próby skontaktowania się z przyjacielem w ogóle zarzuciła. I tak natrafiłaby tylko na gęstą, przygnębiającą mgłę.

Z pewnym wysiłkiem wdrapała się na wysoki mur i aż zachwiała ze zdumienia, spoglądając nierozumiejącym wzrokiem na scenę w dole. Zobaczyła wielki dziedziniec, a na nim konie i co najmniej dziesięciu ludzi z purpurowymi szarfami na piersiach. Zamarła. Z góry, z bezpiecznego gzymsu Akademii, plac obserwowały przerażone kobiety. Alyssa dostrzegła wśród nich zasępioną twarz Sorrel.

Pośrodku dziedzińca, brocząc krwią z licznych ran, klęczał Saxon. Włosy miał zmierzwiłone, ubranie podarte, ciało zmalretowane. Mężczyźni bili go pałkami, on jednak wciąż nie upadał.

Alyssa wrzasnęła przeraźliwie. Jej krzyk rozniósł się echem po dziedzińcu. Gdy Saxon uniół głowę, by na nią spojrzeć, zamiast przepięknych fioletowych oczu miał dwie ziejące

rany, z których strumieniami płynęła ciemna krew.

Do głowy przerażonej dziewczyny wdarł się jego piękny głos.

Wiem, że tu jesteś. Zachowaj spokój, Alysso. Błagam, ratuj siebie. Użyj wszelkich dostępnych ci mocy. Jeśli musisz, zabij nas wszystkich, ale ocal własne życie.

A potem nagle na dziedzińcu rozległ się najbardziej zniechęcony w świecie głos, nienaturalnie wysoki i nie do pomylenia z żadnym innym.

Zobaczyła go. Stał z boku i napawał się widokiem.

- A, tu jesteś, Alysso. Czekaliśmy na ciebie, umilając sobie czas zabawą z twoim przyjacielem. Pogniewałem się, że nieprzyjemnie na mnie patrzy, więc mu wydłubałem te wstrętne gały. Miałem nadzieję, że będzie wrzeszczał i sprowadzi cię tu, ale ten pieprzony bohater tylko jęknął. W ogóle nie mamy z niego pożytku. Jestem pewien, że z tobą będzie inaczej. - Po tych słowach inkwizytor zaniósł się swoim potwornym, dziewczęcym chichotem.

Alyssa chwiała się niebezpiecznie, wsparta o wiszące nad murem gałęzie. To się nie mogło dziać naprawdę! Przecież Goth był martwy.

Saxon usiłował się podnieść, ale bili go bez litości, raz za razem uderzając pałkami po plecach. Nie wydał dźwięku, ale nie próbował już wstać.

Saxonie, proszę... - błagała go poprzez łącze, czując w ustach słony smak łez. - *Oszczędzaj siły. Ratuj życie.*

Jego głos był teraz zaledwie szeptem.

Aż do śmierci, córeczko. Muszę cię chronić aż do śmierci.

Jeśli znów się poruszysz - zagrożiła ze złością - oddam się w jego ręce.

Usłyszała kolejny znajomy głos. Tym razem to Sorrel wymyślała Gothowi. Dzięki temu zyskiwali trochę na czasie.

- A ta stara zdzira co tu robi, do kurwy nędzy? Miałem nadzieję, że zdechłaś we Fragglesham, dziwko ty jedna. Nie moglibyście po prostu wszyscy umrzeć, gdy ja sobie tego życzę?

Inkwizytorzy zarechotali. Goth bawił się w najlepsze: jego ofiara została zwabiona w pułapkę. Nie miała dokąd uciec ani jak się dostać na teren sanktuarium, jedyne miejsca, gdzie nie miał władzy.

Akademia w Caremboche była miejscem eksterytorialnym, chronionym przez króla i starożytne, owiane tajemnicą dekrety. Nawet Goth nie zaryzykowałby bezprawnego przekroczenia jego granic. Na swoje szczęście nie musiał. Alyssa pozostała bezbronna na zewnątrz, jej głupia, skrzecząca babcia tkwiła w środku, a muskularny przyjaciel leżał

zmasakrowany u jego stóp. Za kilka minut będzie ją miał, na razie jednak musiał dokończyć zabawę, odpłacając zawiązką za straszne okaleczenie, jakiego doznał tamtej nocy. Później dopełni zemsty na dziewczynie.

Choć zdawało się to niewiarygodne, w tej właśnie chwili wkroczyli na dziedziniec Milt i Oris. Alyssa domyśliła się, że istotnie ukradli wóz, by do nich dołączyć. Zrozumiała, że nie mogli pozwolić, by Saxon, który był ich ojcem i powiernikiem, odjechał bez nich.

Uśmiechy zastygły im na wargach, gdy zobaczyli potworny widok. Zamarli z przerażenia. Alyssa wrzasnęła, by uciekali. Oni jednak stali, wsparci o siebie, nie mogąc oderwać wzroku od upokorzonego, krwawiącego Saxona, niepewni, czy ratować się ucieczką, czy zostać.

- Milt, uciekaj! - krzyknęła ponownie Alyssa, dławiąc się łzami.

Zbolały, słaby głos Saxona wdarł się do jej głowy.

Chłopcy tu są? - Obrócił twarz ku wejściu na dziedziniec.

Głupcy! Tak, są tutaj.

Saxon z trudem utrzymywał połączenie.

Wysłuchaj mnie teraz, Alyssso. Masz tylko parę sekund. Wdrap się na to drzewo najwyżej, jak się da.

O czym ty gadasz? - wrzasnęła, widząc, jak Goth wymachuje batem w kierunku chłopców i wydaje jakieś rozkazy swojemu adiutantowi.

Właż tam, do cholery! - odkrzyknął z wielkim wysiłkiem Saxon.

Po czym, zebrawszy resztki sił, zawołał do bratanków:

- Lot! Musicie wykonać Lot, chłopcy! Zróbcie to, synkowie moi. Zróbcie to idealnie.

Alyssa krzyknęła ze strachu i rozpacz. Wiedziała, o co prosi ich Saxon. Zdawała sobie też sprawę, że to jej jedyna nadzieja, ale ci ludzie, ci ukochani ludzie, najprawdopodobniej zginą, ratując ją. Nie było jednak czasu na myślenie. Wspinała się coraz wyżej i wyżej i patrzyła, jak chłopcy, wykonując polecenie Saxona, splatają ramiona i wychodzą na środek dziedzińca.

- A te przygłupy co, kurwa, wyprawiają? - zdziwił się Goth.

W tym momencie wrota Akademii otwarły się na oścież i na dziedziniec wyskoczył Kythay, prychając, kwicząc i wierzgając dziko. Nim inkwizytorzy zrozumieli, co się dzieje, czterech z nich leżało już plackiem. Pozostali, wśród nich Goth, rozpierzchli się pospiesznie.

Teraz, Alyssso - ponaglił Saxon. - *Leć. Leć dla mnie, dziewczyno. Nie pozwól, żebym znów zawiódł.*

Alyssa wyzbyła się wszelkich myśli, zamknęła oczy, poczuła wzbierającą wokół

zielen i skoczyła. Obudziła w sobie moc, a ta, jak pęknięta fontanna, zaczęła tryskać magią. Koziółkując, dziewczyna poleciała w stronę czekających Milta i Orisa. Lot zdawał się trwać wiecznie. Kythay sterroryzował inkwizytorów, Goth krzyknął z niedowierzaniem, a ona wylądowała na połączonych rękach chłopców, które jak sprężyna wyrzuciły ją ku gzymsowi. Kręcąc się jak fryga, Alyssa pofrunęła na skrzydłach magii na niewiarygodną wysokość, a tam pochwyciły ją ręce Sorrel i pozostałych kobiet.

Nigdy przedtem nie udało jej się stworzyć takiej kombinacji strachu i mocy. Ta mieszanka niemal pozbawiła ją przytomności. Dziewczyna legła w bezpiecznym schronieniu, a przez ubiór, niczym krew, przesączał jej się sok gruszkowy.

Kythay jakimś cudem odnalazł drogę powrotną do bramy, która zatrasnęła się za nim z hukiem. Chłopcy, jak zbudzeni ze snu, zaczęli się śmiać, szczęśliwi, że sztuka się udała i że Alyssa poleciała tak wysoko. Sorrel z obrzydzeniem patrzyła na Gotha, którego wściekłość przerodziła się w dziką furję. Inkwizytor złapał pałkę i okładał Saxona, dopóki ten nie legł bezwładnie w piachu. Krwawił już chyba każdym calem swego ciała. Widząc, że złamał jego opór, Goth przeniósł uwagę na chłopców.

Na jego histeryczną komendę szczupłe ciała przeszły deszcz strzał. Milta dosięgły cztery, Orisa trzy. Upadli, nie rozplatając rąk i nie przestając uśmiechać się triumfalnie.

Goth tymczasem, niczym obłąkany, wykrzykiwał w stronę gzymsu:

- Jestem cierpliwy, Alysso!

Nie słyszała go. Znikła wśród zieleni i skryła się w najciemniejszym zakątku.

PODRÓŻ TORA

Dziewczyna bawiła się paskiem przytrzymującym jego spodnie na biodrach.

- Już? - zapytała, urażona.

Tor pocałował ją łagodnie.

- Muszę wracać do pałacu. Obowiązki czekają.

- Ja jestem twoim obowiązkiem, medyku - powiedziała, dąsając się jeszcze bardziej.

- Wstyd mi za ciebie, Cassandro.

Jak każdy medyk nosił białą koszulę bez kołnierza z czarnymi szklanymi guzikami. Nie przestawał ich zapinać, choć Cassandra była szybsza w rozpinaniu.

- Przestańże wreszcie! - Nie zdołał powstrzymać śmiechu. - Wkrótce przyjdę znowu, ale teraz muszę iść, moja słodka damo.

Obrócił się na pięcie i rozejrzał po pokoju, sprawdzając, czy nie rzucił czegoś w kąt przed przystąpieniem do wieczornych przyjemności. Znalazł czarny kabat.

Głos Cassandry stał się zrzędlivy.

- Zawsze tak mówisz, a tymczasem muszę czekać i czekać w kolejce za Dorotheą czy Shally, a Betsy mówiła mi nawet, że złożyłeś obietnicę Sissy Beaton. Zabiję cię, jeśli się z nią prześpisz.

Tor zaśmiał się. Znalazł kapelusz, cmoknął ją w policzek i lekko ścisnął jej młodzieńczą pierś.

- Pamiętaj, Cassy, że kocham cię najbardziej ze wszystkich.

Dziewczyna podniosła poduszkę i rzuciła nią w kierunku otwieranych właśnie przez Tora drzwi.

- Nie można się tobie oprzeć, mała. - Tor mrugnął jej na pożegnanie, zamknął drzwi i ruszył, przeskakując po dwa schodki naraz.

Dziewczyny w różnych fazach roznegliżowania zęgały go okrzykami. Większość przypominała mu, że następnym razem, gdy przyjedzie do miasta, by się zabawić, obiecał to zrobić z nimi. Tor wybiegł z burdelu Madame Grace i zmrużył odwykle od słonecznego blasku oczy. Na ramieniu wylądował mu bezgłośnie wielki sokół. Nikt nie zareagował.

Wszyscy przywykli już do widoku Tora i jego majestatycznego ptaka.

Sokół nastroszył pióra i otworzył łącze.

Nie wtrącam się do twoich zabaw z damami, ale spóźnienie na dyżur w pałacu doprowadzi Merkhuda do szalu - rzekł, w ostatniej chwili powstrzymując się od pełnego dezaprobaty młaśnięcia.

Powodzenie Tora u dam było w kręgach pałacowych tak dobrze znane, że stał się czymś w rodzaju maskotki straży. Bynajmniej mu to nie przeszkadzało. Od czasu nocy spędzonej z Erynią towarzystwo kobiet sprawiało mu ogromną przyjemność. Był hojnym i troskliwym kochankiem, a dziewczyny z burdelu, takie jak Cassandra, często stawały się zazdrosne, jeśli nie spędził z nimi całego wieczoru. Swoimi manierami i łagodnością rozkochiwał je w sobie natychmiast, a fakt, że dojrzał i stał się niezmiernie przystojnym mężczyzną, stanowił zaledwie dodatek.

Nadal miał gęste, ciemne włosy, ale teraz nosił je dłuższe. Twarz wyszczuplała i okrzepła; najwięcej komentarzy wywoływały jednak specyficznie niebieskie oczy, tak błyszczące, że ich spojrzenie często peszyło tych, którzy spotkali się z nim po raz pierwszy. Nie wywoływało jednak lęku. W oczach Tora wciąż mrugały wesołe iskierki, a jego śmiech był zaraźliwy.

Przez tych kilka lat wyrósł na człowieka pewnego siebie. Nie spuszczał już wstydliwie oczu jak kiedyś. Teraz trzymał głowę wysoko. Lata ćwiczeń pod kierunkiem Cyrusa dodały mu masy mięśniowej i jego sylwetka wreszcie dorównywała wzrostowi.

Nauki Merkhuda przyswajał z ogromną łatwością, stając się niezrównanym uzdrowicielem. Teraz to jego wzywano w pierwszej kolejności, gdy zaniemógł ktoś spośród dworzan. Pełnił też stałą służbę przy parze królewskiej. Wyżej stał tylko Merkhud, ale i on w głębi duszy wiedział, że ten młody człowiek pod wieloma względami go przewyższa. Ludzie mówili, że dobrze go wyszkolił, on jednak wiedział swoje. Nie nauczył go prawie niczego. Tor rozwinął swój talent i używał mocy z taką brawurą, że starzec nieustannie drżał na myśl o tym, że zostanie wykryta.

Sokół Cloot wciąż gadał, ale myśli Tora odpłynęły tego ranka w siną dal. Myślał o Alyssie, zastanawiając się, jak by zareagowała na jego sukcesy. Nigdy nie przestał wierzyć, że któregoś dnia ją odnajdzie. Spośród wszystkich kobiet, które go kochały i dostarczały mu częstych przyjemności, żadna nie mogła się z nią równać.

Rozmyślał przez całą drogę powrotną, podczas gdy przyjaciel prawił mu kazanie na temat odpowiedzialności.

Tora gnębił niepokój, który towarzyszył mu od czasu Nowoliścia, wzmagając się

coraz bardziej. Odsuwał go na bok, wbijając sobie do głowy, że jego życie jest godne pozazdroszczenia i że nie powinien się przejmować niczym innym. Zdrowy rozsądek rzadko jednak zwyciężał w tej bitwie.

Cloot - przerwał kazanie ptaka - czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że możemy się ludziom wydawać dziwni? Mężczyzna, który przechadza się ze zwariowanym ptakiem balansującym mu przy uchu?

Cloot zamrugał.

Nie. Nigdy. Myślę, że ze mną na ramieniu prezentujesz się dość egzotycznie i właśnie dlatego te wszystkie kobiety za tobą szaleją. Wyglądasz trochę niebezpiecznie i bez wątpienia romantycznie.

Tor skrzywił się.

Pytałem poważnie.

Cloot bardzo dobrze wiedział, co jego przyjaciel ma na myśli.

Obiecałem, że ci powiem, jeśli Lys znowu mnie nawiedzi, ale milczy od pięciu lat. Od chwili przybycia do pałacu ani razu o niej nie śniłem. Jeśli ma dla mnie jeszcze jakieś zadania, muszę na nie poczekać.

Tor szedł naprzód, długimi krokami pokonując odległość dzielącą burdel od bardziej porządnej dzielnicy miasta. Prawie wszystkie mijane osoby pozdrawiał machnięciem ręki, skinieniem głowy czy uśmiechem. Nadal jednak myślami był daleko.

Ale jak myślisz, czego ona ode mnie chce? - Z jego głosu przebijała irytacja.

Cloot zbeształ go łagodnie.

Większość ludzi może jedynie marzyć o przywilejach, które ty traktujesz jako rzecz naturalną. Optywasz w dostatki, wszyscy mężczyźni cię lubią, wszystkie kobiety kochają... Chyba nawet królowa ma do ciebie słabość. W swoim rzemiośle jesteś nie tylko dobry, ale najlepszy. Czego jeszcze można pragnąć?

Tor był coraz bardziej zirytowany.

Wythumaczenia dla Lys, dla ciebie, dla tej szalonej mocy i dla Alyssy. Gdzie jest? Dlaczego nie mogę się z nią kontaktować jak dawniej? Czy mam tak po prostu o niej zapomnieć? Czy to jest częścią planu? - pytał natarczywie.

A, o to chodzi. Myślałem, że dałeś już sobie z tym spokój, chłopcze. Ty wybrałeś swoje życie, a Alyssa swoje. Minęło pięć lat, odkąd opuściłeś Flat Meadows. Nie sądzisz, że odpowiedziałaby ci, gdyby chciała? Czy nie mogłaby napisać albo przekazać przez kogoś wiadomości? Dlaczego wciąż to rozpamiętujesz?

Tor zamilkł na moment, by rozważyć odpowiedź Cloota i odzyskać spokój. Uniósł

rękę, by pomachać przechodzącej drugą stroną ulicy matce z synem. Niedawno uleczył chłopca z zielonej gorączki. Nikt przedtem nie słyszał, by ktokolwiek wyzdrowiał z tej choroby, sprawa odbiła się więc sporym echem. Łamiąc wszelkie instrukcje Merkhuda, Tor użył mocy zamiast korzystać ze swej rozległej już wiedzy medycznej i zielarskiej; wiedział, że żadne ziele nie zdoła ocalić chłopca.

Mieszkańcy miasta rozgłaszali, że w domu zdarzył się cud, ale Merkhud był wściekły. Dopiero po kilku dniach raczył w ogóle spojrzeć na Tora. Gdy wreszcie doszło do rozmowy, Tor dziękował bogom, że zachodnia wieża pałacu znajduje się tak daleko, obawiał się bowiem, że wrzaski Merkhuda mogły dotrzeć nawet do wschodniej części rezydencji. Stary medyk strasznie skrzyczał swojego ucznia za to, że ten zignorował jego żelazny zakaz używania magii w leczeniu.

Tor zdumiał swego mentora spokojnym, lecz zdecydowanym sprzeciwem i stwierdzeniem, że będzie używał mocy tak, jak mu się będzie podobało. Wtedy coś między nimi pękło. Tor zrozumiał, że musi się uwolnić od krępujących go restrykcji Merkhuda i zacząć iść własną drogą.

Nie obawiał się Gotha ani zdemaskowania i odmawiał przyjęcia do wiadomości żądania, by nie używał magii w służbie potrzebującym. Po co w takim razie istniała? Pozostawała też sprawa Cloota. Tor przywykł do faktu, że jego przyjaciel przedzierzgnął się w ptaka, kto jednak uwierzyłby mu, gdyby zechciał opowiedzieć tę historię? Kto by uwierzył, że ten wspaniały ptak był kiedyś kalekim wrakiem?

Tor westchnął. Był ktoś taki. Nigdy nie powracał w rozmowach z Cyrusem do tego, co wydarzyło się w lesie, a jednak od tamtej pory marszałek był jego sprzymierzeńcem w pałacu.

To on nakłonił Tora do brania lekcji fechtunku i sztuk walki, w których niemiłosiernie ćwiczył codziennie straż królewską. Światłość tylko wiedziała, po co mu to było, bo przecież tak naprawdę nie potrzebował broni. Jego moc wystarczała z nawiązką, by pokonać każdego agresora. Cyrus nauczył go także wszystkiego, co wiedział o dobrym winie, kobietach i o tym, czym jest lojalność i szacunek dla króla. Tor zdawał sobie sprawę, że marszałek stał się dla niego kimś w rodzaju starszego brata, ale działało się to stopniowo i tak subtelnie, że dopiero teraz zauważył, jak bardzo się zbliżył do królewskiego powiernika.

Cyrus akceptował sokoła od dnia, w którym Tor i Cloot zjawili się w lesie i ocalili go przed męczeńską śmiercią. Nawet okłamał króla, by kryć Tora. Dlaczego?

I wreszcie, kim była Lys? Dlaczego przysłała mu Cloota? Przed czym go chroniła? Te pytania dręczyły Tora nieprzerwanie. Nie pierwszy i nie ostatni raz łamał sobie nad nimi

głowę.

Cloot milczał. Tor wiedział, że przyjaciel nadal czeka na jego odpowiedź.

Bo ją kocham, Cloot. Patrząc wstecz, niemal wierzę, że Merkhud celowo mnie od niej zabrał. Nawet nie wyczuwam już jej obecności. - Tor wyciągnął rękę i pogłaskał ptaka po głowie. - *Chcę ją odnaleźć.*

Cloot westchnął.

A ja chcę na jakiś czas opuścić to miejsce i dowiedzieć się, czemu ma służyć moje życie. Chcę porozmawiać z Lys, posłuchać, jak Wielki Las do mnie przemawia i zjeść ciastko cioteczki Batt!

Cloot zachichotał, by rozweselić przyjaciela. Obaj jednak wiedzieli, że decyzja Tora jest poważna.

*

Tor przemierzał samotnie chłodne korytarze pałacu, rozmyślając o swojej napaści na Cloota i o niezwyklej decyzji, którą podjął. Nie miał ochoty pracować tego dnia. Znowu będzie musiał koić bóleści, goić rany, nastawiać zwichnięcia i usuwać bóle zębów, nawiedzające regularnie połowę populacji pałacu.

Zza rogu wypadł młody, piegowaty chłopiec o słomianych włosach, przerywając rozmyślenia Tora o spuchniętych palcach i uroczym włókniaku na szyi Peggy Weltsit, który być może dojrzał już do tego, by się nim zająć.

- Panie medyku! - zawołał chłopak. Był blady i ciężko oddychał. Najwyraźniej biegł już od jakiegoś czasu.

- Zwolnij, młody Peagonie. Skąd ten pośpiech? - Tor pochylił się, by spojrzeć chłopcu w oczy. Czasem sam nie mógł uwierzyć, że jest tak wysoki.

- Proszę, panie medyku! Królowa!

Tora wciąż zdumiewało, że ktoś może się do niego zwracać per „pan”. Zmarszczył brwi. Kiedy poprzedniego dnia widział królową, nic jej nie dolegało.

- Chora? - zapytał, przekrzywiając głowę.

- Tak, panie medyku.

- Bardzo?

Peagon wziął głęboki oddech.

- Tak, panie medyku. Bardzo chora.

- Szybko, mały. Jest w swoich komnatach?

Chłopiec skinął głową. Tor ruszył biegiem, pozostawiając zadyszanego giermka daleko w tyle. Znał drogę do apartamentu królowej. Trafiłby tam z zawiązanymi oczami albo

idąc tyłem z dowolnego miejsca w pałacu. Wbiegł do wschodniego skrzydła, przeskakując po trzy schodki naraz. Nie bawił się w czekanie na zezwolenie. Strażnicy i tak go znali. Z wyraźną ulgą odstepili na bok na widok pędzącego medyka.

W środku minął dwie zafrasowane damy dworu. Bezczelne wtargnięcie lekarza do komnat królowej wywołało na ich twarzach dezaprobatę, ale wystarczyło spojrzeć na jego minę, by wiedzieć, że nie należy mu tego wytykać. Jedna z nich wypięlegnowanym palcem wskazała sypialnię.

Tor minął drzwi i natychmiast poszukał wzrokiem królowej. Wyglądała jak zawsze spokojnie, ale takiej bladej nie widział jej jeszcze nigdy. Nawet wargi miała tak bezbarwne, że doskonale współgrały z kremową koszulą nocną z jedwabiu.

Siedziała wsparta o poduszki w swoim wielkim, złożonym łóżu. Oczy miała zamknięte. Król Lorys, wciąż ubrany w strój do jazdy konnej, walczył z haftowanym baldachimem. Jego szerokie bary i ograniczona przestrzeń, w której przyszło mu stać, wydawały się wzajemnie wykluczać. Byłoby to komiczne, gdyby nie malujące się na jego twarzy przerażenie.

Tor nie potrzebował magicznych mocy, żeby postawić diagnozę. Wystarczył mu rzut oka na królową, by wiedzieć, że jest śmiertelnie chora. Wokół tłoczyli się inni wysoko postawieni dworzanie, wśród nich wielki inkwizytor Goth, niechybnie występujący w śmiechu wartej roli kapłana pałacowego. Goth prywatnie nienawidził królowej, ale publicznie podlizywał jej się, jak tylko mógł. Ani Tor, ani Nyria nie dali się jednak nabrać na jego zabiegi. Z całą pewnością inkwizytor nie przybył tu po to, by życzyć jej szybkiego ozdrowienia.

Tor zauważył Cyrusa, który przyciszonym głosem rozmawiał o czymś z królem. Lorys skinął głową i marszałek wycofał się na tyły komnaty.

Przy wielkim ozdobnym oknie, wychodzącym na dolinę, w której leżało miasto, stał Merkhud, spoglądając na bujne wzgórza pięknych Nizin Południowych. Jego proste zwykle ramiona tym razem przygarbiły się. Raczej wyczuł, niż dostrzegł przybycie Tora. Gdy podniósł głowę, Tor zauważył, że starzec przygryza dolną wargę. Robił to zwykle, gdy był rozgniewany lub zrozpaczony... lub jedno i drugie.

Ciężką ciszę przerwał w końcu Lorys.

- Tor, chłopcze, jesteś naszą ostatnią... - Cokolwiek zamierzał potem powiedzieć, uwieźło mu w gardle.

Merkhud pospiesznie wrócił do wezgowia królowej i szepnął coś królowi. Ten odkaszlnął lekko.

- Tak, oczywiście. Szanowni państwo, uzdrowiciele potrzebują spokoju i przestrzeni, żeby wykonywać swoją pracę.

Po tych słowach wskazał gestem salon, a Cyrus już stał przy drzwiach wyjściowych i wyganiał ludzi.

- Będziemy na zewnątrz - rzekł król, zerkając na Merkhuda. Medyk skinął głową. Królowa przez cały ten czas nie otworzyła oczu. Oddech miała płytki.

Pozostali ruszyli za Lorysem. Na odchodnym Goth rzucił Torowi jedno ze swych szyderczych spojrzeń. Obaj darzyli się rzadko skrywaną nienawiścią.

- Proszę się pospieszyć, inkwizytorze. - Tor nie mógł się powstrzymać od złośliwości. Zauważył, że Cyrus jednoznacznie uniósł brew.

- Kapłanie, jeśli łaska. - Oczy Gotha zabłysły w zmasakrowanej twarzy.

Tor milczał rozsądnie. Gdy wszyscy wyszli, zamknął cicho obie pary drzwi. Potem zwrócił twarz ku Merkhudowi.

Starzec odezwał się łagodnym, lecz oskarżycielskim tonem:

- Szukaliśmy cię ładnych parę godzin, Tor.

- Cloot mnie znalazł, mistrzu.

- Ptak? To z niego może być jakiś pożytek? - Merkhud był zły.

„Większy, niż mogłoby ci się zdawać” - pomyślał Tor łagodnie. Jak mógłby się gniewać na tego człowieka, któremu tyle zawdzięczał? Więcej: którego kochał. Merkhud był bardzo zdenerwowany i Tor wiedział, że musi działać rozważnie.

- Powiedz mi, co wiesz - rzekł stanowczo, rzeczowym tonem, by ukryć poczucie winy. Odniosło to właściwy skutek.

Merkhud westchnął.

- Niewiele. To oczywiście serce. Jak ci wiadomo, jest bardzo słabe. Może Cyrus mógłby ci powiedzieć coś więcej. Był przy tym.

Tor zerknął na stojącego w cieniu Cyrusa. Marszałek odchrząknął. Nie poruszył się, lecz zaczął dobitnie relacjonować zdarzenia takim tonem, jakby zdawał raport wojskowy.

- Ich wysokości wracały właśnie z przejażdżki, która przebiegła bez zakłóceń. Dopiero podczas postoju na kieliszek wina królowa wspomniała, że źle się czuje. Król twierdzi, że użyła sformułowania: „Brak mi tchu”. Słabość szybko przeminęła, ruszyliśmy więc dalej, ale po krótkim czasie znów musieliśmy się zatrzymać. Tym razem sprawa była na tyle poważna, że król usłuchał mojej rady. Pozostał na miejscu z niewielką grupką jeźdźców, a ja posłałem gońców, by znaleźli Merkhuda lub ciebie. - Po tych słowach Cyrus zamilkł.

Tor spojrział z powrotem na starca. Nie był zdumiony - jedynie zasmucony - słysząc w

głosie Merkhuda drzenie, kiedy ten zaczął relacjonować wydarzenia od momentu swojego przybycia na miejsce. Podobnie jak wszyscy wiedział, że stary medyk darzy królową wielką przyjaźnią, ale dopiero teraz przyszło mu do głowy, iż Merkhud być może w niej nawet odrobinę zakochany. Wydawało się to niedorzeczne, ale właściwie dlaczego nie miałyby tak być? Była elegancką, ujmującą, atrakcyjną kobietą. Tor skarcił siebie za to, że myśli o niej w czasie przeszłym.

Położył dłoń na ramieniu Merkhuda.

- A potem?

Starzec pokręcił głową.

- Gdy tam dotarłem, Nyria straciła przytomność i nie mogłem nic zrobić, by jej pomóc. A teraz leży tu, piękna i konająca...

- Szybko odwrócił wzrok.

- Nie pozwolimy jej umrzeć, Merkhudzie... Obiecuję. Starzec otworzył łącze i odezwał się nabrzmiałym z emocji głosem, najwyraźniej nie chcąc, by Cyrus usłyszał ich rozmowę.

Jak możesz mi to obiecywać, chłopcze? Nie potrafimy tchnąć życia w umarłych ani nawet w umierających.

Tor wziął głęboki oddech i wskazał gestem królową.

- Mogę? - zapytał na głos.

Starzec skinął głową. Wydawał się znużony i zrezygnowany. *Powinniśmy spróbować wszystkiego, co możliwe... ze względu na Lorysa.*

Cyrus ruszył ku drzwiom.

- Czy wolelibyście, żebym sobie poszedł?

Gdy obaj medycy pokręcili głowami, marszałek puścił klamkę i stanął przy drzwiach.

- Straciliśmy ją, Tor - rzekł Merkhud ze smutkiem.

- Daj mi trochę czasu, Merkhudzie. Hm... usiądź, proszę. Tor odnosił się do swego nauczyciela z ogromnym respektem.

Wiedział, że musi postępować delikatnie, bo to, co za chwilę zrobi, wstrząśnie człowiekiem, który przez kilka ostatnich lat był jego mentorem.

Pochylił się nad Nyrią. Jego dłonie poruszały się, nie dotykając królowej, lecz krążąc tak blisko, jak tylko się dało. Tor stracił kontakt ze światem. Merkhud, Cyrus, ludzie na zewnątrz, pałac i dźwięki - wszystko to znikło, pozostawiając jedynie jego zmysły komunikujące się ze zmysłami Nyrii.

Merkhud się nie mylił. Winne było serce. Królowa miała zator. Musiała umrzeć.

Zostały jej godziny, dzień, co najwyżej dwa. Tor widział to wszystko wyraźnie. Czuł, jak słabnący puls walczy o utrzymanie rytmu. Niemal czytał jej myśli: poplątane, przerażone, rozproszone. I wtedy zawrzały w nim Barwy. Całkiem go pochłonęły: jasne i perfekcyjne, intensywne i subtelne, gdy się łączyły. Młody medyk położył na piersi Nyrii gorące dłonie.

Merkhud i Cyrus krzyczeli coś do niego, on jednak nie słyszał nic z wyjątkiem ciała Nyrii. Barwy przepływały przez jego ręce i wlewały się w jej serce, owijając się wokół chorego narządu. Tętno Tora zaczęło zwalniać i w końcu zsynchronizowało się ze słabym, nieregularnym pulsem królowej.

Stopniowo, krok po kroku, tętno Tora zmuszało tętno królowej do nabrania rozpędu. Szybciej, szybciej, równiej. Ich serca były teraz jednocześnie, uderzenie za uderzenie, pchnięcie za pchnięcie. Barwy pracowały intensywnie, naprawiając to, wobec czego natura była bezsilna.

Gdy ciało Tora w milczeniu kołysało się w tę i z powrotem nad królową, Merkhud z graniczącą z obłędem fascynacją obserwował walkę swego ucznia. Nie widział szalejących wokół młodzieńca Barw, ale czuł jego moc, z ogromną siłą uderzającą w jego własne zmysły. Mimo tego ogromu miał poczucie, że ledwie dotyka źródła siły.

Nie mylił się, stawiając na Tora. Ten młody człowiek był Trójcą. Jak i w jakiej formie - tego nadal Merkhud nie wiedział, ale miał pewność, że jego rola dobiega końca.

Znów spróbował przemówić do Tora, ten jednak najwyraźniej nic nie słyszał. Merkhud dotknął go i cofnął się, przerażony bijącym od młodzieńca gorącem. Przez całe swoje życie starzec nigdy nie zetknął się z czymś takim.

Zza drzwi wciąż dobiegały niespokojne głosy. Rozległo się łagodne pukanie, a po nim szept króla. Gdy Merkhud nie odpowiedział - cóż miałby powiedzieć? - głos monarchy stał się bardziej natarczywy.

Dołączyli inni. Pukanie przeszło w bębnienie, potem w walenie, wreszcie uparte grzmocenie.

- Merkhud, na Światłość, co ty tam wyrabiasz, człowieku? - pytał Lorys z czarną rozpaczą w głosie.

Merkhud czuł się bezradny. Cyrus chciał otworzyć drzwi, ale starzec wiedział, że Goth nie może tego zobaczyć. Pokręcił głową. Dzięki bogom marszałek nie stał po stronie inkwizycji. Był równie wierny Torowi jak i Merkhud. Starzec nigdy nie poznał przyczyny tej lojalności; domyślał się jedynie, że wiąże się ona z jakimiś wydarzeniami z okresu porwania Cyrusa w Wielkim Lesie. Znów pokręcił głową. Powietrze w komnacie aż trzaskało od mocy, której starzec nie pojmował, a głosy na zewnątrz stawały się coraz głośniejsze.

- Już niedługo, panie. - Nie udało mu się zachować naturalnego brzmienia głosu. Wszyscy wyczuli, że Merkhud coś ukrywa.

- Otwieraj, do diabła! - Król prawdopodobnie kopnął w drzwi.

- Straż! - rozległ się wrzask Gotha. Ten piskliwy ton nie wróżył nic dobrego. Wyglądało na to, że naparli ramionami na grube dwuskrzydłowe drzwi, Merkhud usłyszał bowiem skrzypienie, a potem pęknięcie desek. Jeszcze trochę i wedrą się do środka. Cyrus krzyknął do swoich ludzi, by przestali, oni jednak, oszołomieni królewskim rozkazem, który unieważniał wszystkie pozostałe, na chwilę stracili rozum.

Zrozpaczony Merkhud otworzył łącze i cisnął w kierunku Tora silny impuls z prośbą o powstrzymanie ich. Niespodziewanie przytłoczony jaskrawymi barwami poczuł się ślepy i słaby. Nie miał pojęcia, z czym ma do czynienia, ale do tej pory tylko raz zetknął się z taką mocą. Wstrząśnięty, zatrzasnął łącze i chwiejnym krokiem powrócił na krzesło.

Drzwi w końcu ustąpiły i do środka wpadli Lorys i Goth, a za nimi żołnierze. Tor uniósł ręce i odsunął je od królowej. Merkhud czuł, jak magia młodzieńca w mgnieniu oka rozmywa się w nicość.

- Sukinsyny! - Lorys nie był w nastroju na uprzejmości, nawet w stosunku do najdroższego przyjaciela i jego podziwianego skądinąd ucznia.

- Wasza wysokość! - zawołał Cyrus, przerywając reprimendę.

Wszyscy zwrócili twarze ku królowej. Powieki drgały jej lekko, by po chwili się otworzyć i ukazać jasne, najzupełniej przytomne oczy. Na policzki wrócił jej kolor, a na ustach wykwitł łagodny uśmiech. i - Lorysie, mój drogi... co tu się dzieje? - odezwała się donośnie. - Witaj, Cyrusie. Merkhud? Ty tutaj, przyjacielu? I Tor?

Gwardziści jak jeden mąż padli na kolana. Damy dworu pozakrywały usta, by się powstrzymać od krzyku, i także opadły na ziemię. Merkhud, przytłoczony nagle ciężarem długiego, dziwnego życia, zsunął się z krzesła, po czym ukląkł jak inni.

- Witamy z powrotem, wasza miłość - szepnął, przepojony ulgą i radością. Nienawidził siebie za miłość, jaką żywi do Tora za uratowanie królowej życia, a jeszcze bardziej za wściekłość, jaką czuje wobec młodzieńca za tak jawne użycie mocy.

Tor pozbierał się i ukląkł obok Cyrusa, który przyglądał mu się z ogromną ciekawością. Tylko Goth, gwałcąc protokół, zachował pozycję stojącą. Targana nieustannym tikiem twarz nie okazywała żadnych uczuć, ale nerwowe, gniewne oczka wyraźnie zdradzały niezadowolenie z faktu, że ta kobieta nadal żyje, a co gorsza, wygląda na zdrowszą niż kiedykolwiek.

Z tym samym niedowierzaniem, które malowało się na twarzach wszystkich

zebranych, król mocno przytulił królową.

*

Tor siedział oklapnięty na krześle w cichej komnacie Merkhuda. Zachodnie skrzydło zamku było raczej bezludne i ten stan rzeczy zadowalał starego medyka. Torkyn uniósł wspartą na rękach głowę i przyglądał się wypełniającym regały ciemnym butelkom, ciężkim słojom i skrzynkom z tajemniczą zawartością. O miejsce walczyły z nimi zakurzone opasłe tomiska traktujące o starożytnym zielarstwie. Przustudiował je wszystkie i znał ich sekrety na pamięć.

Niewiele osób ośmielało się wejść do zachodniego skrzydła, a do swych prywatnych apartamentów Merkhud zapraszał zaledwie garstkę przyjaciół, wśród nich króla i królową. Żadne z nich nie wiedziało jednak o innych książkach, które stary medyk trzymał w ukryciu. Owe napisane wiele wieków temu tomy traktowały o innego rodzaju rzemiośle: o magii i sztuce posługiwania się mocą.

W ciągu pięciu spędzonych z Merkhudem lat Tor tylko kilka razy miał okazję oglądać te wyjątkowe księgi, staruszek bowiem bardzo się troszczył o to, by nikt nie odkrył ukrywanego pieczołowicie przez lata talentu. |

Tor był zmęczony. Najpierw noc spędzona z Cassandrą, a potem uzdrawianie Nyrii mocno nadwreżyły jego siły. Dźwięk otwierającego się okna przestraszyłby każdego innego, on jednak wiedział, że to Clout. Sokół potrząsnął uroczymi piórami i wlepił w przyjaciela swoje żółte ślepie.

Tor skrzywił się, zawstydzony.

Słyszaleś?

Clout mlasnął, okazując w ten sposób irytację, jaka zwykle zarezerwowana jest dla rodziców karcących dzieci za popełnianie w kółko tych samych błędów.

Nie musiałem. Czulem.

Naprawdę? Ja nie czulem twojej obecności - odparł Tor z autentycznym zdumieniem.

Nie? Pewnie byleś zbyt zajęty. Wskrzyszanie królowych musi wymagać sporego wysiłku.

Zejdź ze mnie, Clout. Przynajmniej ty.

Chyba nie myślisz, że Goth przejdzie nad tym do porządku dziennego? Cały pałac huczy od plotek. Wszyscy wiedzieli, że królowa umiera. Król nawet zaczął już po niej rozpaczać. Merkhud też rozumiał, że nic się nie da zrobić. Dlaczego ty nie potrafiłeś się z tym pogodzić?

Sokół skakał nerwowo po parapecie. Tor dokonał rzeczy cudownej, lecz głupiej. Jak,

na Światłość, wytłumaczy to ludziom?

Goth od lat miał cię na oku. Teraz dałeś mu pretekst do...

Do czego? Do oskarżenia mnie o magię? Jakie ma dowody? Żadnych! Jego głupi krząsek nawet nie błysnie w mojej obecności, choćby stary lotr nie wiem jak tego pragnął. Ile razy mam powtarzać tobie i Merkhudowi, że nie boję się Gotha?

Clout westchnął.

W porządku. Uspokój się. Wiem, że to, co mówisz, jest prawdą. Obawiam się jednak, że igrasz z ogniem. Jestem pewien, że Goth znajdzie jakiś sposób, by cię zranić, więc lepiej już teraz zacznij się pilnować. Nawiasem mówiąc, jak ona się czuje?

Królowa?

Nie, Peggy Weltsit i jej dojrzały włókniak!

Ich śmiech ucichł nagle, gdy do pokoju wrócił Merkhud.

- O, widzę, że ptaszek znów cię znalazł, Tor. To niesamowite, jak on potrafi to robić.

Tor już wcześniej postanowił, że nie pozwoli, by Merkhud wyprowadził go z równowagi. Wiedział, że po tym, co wydarzyło się rano, stary będzie za wszelką cenę dążył do kłótni. Clout, widząc, że jest niepożądany, zeskoczył z parapetu i wdzięcznie wylądował w zagajniku w głębi ogrodów królewskich.

- Ten przeklęty stwór wydaje się dokładnie wiedzieć, o czym gadamy - mruknął rozniewany Merkhud. - Masz, wypij to - powiedział, podając Torowi filiżankę.

Tor zmarszczył nos.

- Co to jest?

- Chcesz dokładny przepis, czy wystarczy ci, jeśli powiem, że łagodzi skutki braku snu i nadmiaru wysiłku?

I tym razem Tor zignorował zaczepkę. Podniósł filiżankę i wypił zawartość. Pokrzywa, ostróżeczka i odrobina korzenia irysa, zanotował w myślach. Merkhud dobrze go wyszkolił.

Odstawił filiżankę.

- Dziękuję.

Merkhud usiadł przy stole.

- Porozmawiajmy.

Zamiast odpowiedzieć, Tor wpatrywał się w okno, Merkhud przemówił więc ponownie:

- Porozmawiajmy o tym, co dziś zrobiłeś.

- Uleczyłem ją.

- Chcę wiedzieć jak.

- Nie wiem, jak to robię.

- To znaczy, że robiłeś to już wcześniej. Ach tak, ten chłopiec... Teraz sobie przypominam. To było to samo?

Tor wiercił się niespokojnie.

- Coś podobnego.

Nigdy nie wspominał o Cloocie ani o Cyrusie.

- Potrafisz tchnąć życie w umarłych? - W głosie Merkhuda pobrzmiwał sarkazm, ale i nutka podziwu.

- Nigdy nie próbowałem, mistrzu.

Nim Merkhud zdążył odpowiedzieć, Tor wstał. Chciał jak najszybciej zakończyć tę konfrontację.

- Myślałem, że będziesz szczęśliwy. Wiem, jak bardzo kochasz Nyrię i Lorysa. Myślałem, że wszyscy będą zadowoleni.

To nie był dobry ruch. Dzięki niemu Merkhud miał okazję dać upust swej złości i wykorzystał to.

- Zadowoleni z tego, że mają w pałacu czarnoksiężnika? Zadowoleni, że mogą cię teraz torturować, zakuć w uzdę i wysłać na roboty do jakiegoś obozu na końcu świata, gdzie przeżyjesz resztę swojego parszywego życia jako nędzny, okaleczony wyrzutek?

Merkhud był tak wściekły, że aż ślina pociekła mu z ust. On także wstał i chodził po komnacie, perorując gniewnie w rytm kroków.

- Zakazałem ci używania mocy wobec chorych. Zakazałem ci posługiwania się nią poza obrębem tych czterech ścian. Zgadza się? - wrzasnął, ale nie czekał na odpowiedź Tora.

- Zabroniłem ci robić cokolwiek, co mogłoby przykuć uwagę tego rzeźnika Gotha i jego wesołej gromadki półgłówków. On tylko szuka okazji, by cię dopaść, Tor. Nienawidzi cię. Nie potrzebujesz magii, by to dostrzec. Jego nienawiść jest tak gęsta, że można by ją kroić i podawać na talerzu. A jeśli nie zdoła cię dopaść, odbije to sobie na innych - tych, którzy cię kochają. Czy pomyślałeś o swoich rodzicach? Przyjaciołach? Tym przeklętym ptaku? Alyssie?

To był błąd: Merkhud zobaczył, jak ciało Tora sztywnieje. Wyciągnął w jego kierunku kościsty palec.

- Zabraniam ci też kolejnych wypadów do miejskich burdeli. Nigdy więcej nie spóźnisz się na obchód w pałacu, bo nie wyjdiesz stąd bez mojego zezwolenia. Zabraniam ci afiszowania się ze swoimi umiejętnościami i sprzeciwiania mi się.

Spojrzał w rozbijające, niebieskie oczy i wiedział, że popełnił błąd. Głos, który mu odpowiedział, był tak zimny, iż zmroził starcowi krew w żyłach. Merkhud miał wrażenie, że zamiast niej przepływa mu przez ciało lodowata woda.

- Nigdy więcej niczego mi nie zabronisz.

Tor sprawiał wrażenie olbrzyma i wydawał się o dziesięć lat starszy. Jego mina pasowała do głosu.

- Odchodzę, mistrzu.

- Nie pozwolę na to! - huknął Merkhud.

Słowa Tora były jak sople lodu.

- Jak chcesz mnie zatrzymać, starcze?

- Jeśli będzie trzeba, każę cię pilnować! - Merkhud wiedział, że to śmieszna groźba, ale chwycił się resztek autorytetu. Tor już go nie słuchał. Starzec zbyt mocno go rozgniewał, wspominając o dziewczynie.

Tor kiwnął palcem i stał się niewidzialny. W głowie Merkhuda otworzyło się łącze i w jego myśli wlał się szept:

Jak mnie znajdą?

Merkhud był wstrząśnięty łatwością, z jaką Tor wykonał sztuczkę, której większość czarodziejów nie nauczyłaby się w ciągu kilku wcieleń. Nie zdawał sobie sprawy, że młodzieniec osiągnął już taki poziom umiejętności. Szybko jednak doszedł do siebie.

- Wyczuwam cię, Tor. Zapominasz, że i ja jestem Obdarzonym.

Ale nie takim dobrym - odparł Tor bardziej nieuprzejmie, niż zamierzał. Zasłonił się magiczną tarczą, dotąd Merkhudowi nieznaną. Przerażony tą nową demonstracją siły Merkhud posłał sondę w przestrzeń, tym razem jednak nie wyczuł obecności Tora. Skonsternowany i rozgniewany przeszukiwał powietrze. To nie było w porządku. Wiedział, że jest najpotężniejszym żyjącym magiem, wybranym i wspieranym przez bogów. Tymczasem własny uczeń robił z niego durnia.

Tor pojawił się ponownie. On sam był zaskoczony: po raz pierwszy w życiu spróbował tej szalonej sztuczki i udało mu się. Odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

Merkhud wyciągnął drżącą rękę i złapał go za ramię. Ostatni pokaz Tora wstrząsnął nim do głębi. Jeśli straci tego chłopca, Trójca będzie skazana na klęskę.

- Tor, ja... - odezwał się starczym, ciężkim od rozpaczony głosem. - Proszę... Wybacz mi. Nie mam prawa tak cię traktować. Wybacz mi, synu. Tak bardzo się o ciebie boję...

Tor odwrócił się. Nienawidził siebie za to, co zrobił temu człowiekowi. Przypomniał sobie słowa Alyssy: „Popisywanie się zawsze będzie się dla ciebie źle kończyć”. Jego twarz

złagodniała. Położył rękę na dłoni Merkhuda. Lodowaty chłód ustąpił; głos Tora był teraz łagodny jak letni deszczyk.

- Kocham cię, Merkhudzie, ale teraz muszę stąd odejść. Muszę się dowiedzieć więcej na temat tego, kim jestem i jaki jest mój cel. Dzięki tobie wiodłem uprzywilejowane życie, ale serce mi mówi, że co innego zostało mi przeznaczone. Ukrywasz coś przede mną. Czuję, że masz dla mnie jakieś zadanie; że to nie przypadek przywiódł cię do mnie.

Merkhud musiał się powstrzymać od krzyku. Chłopak nie mógł się teraz dowiedzieć. Właściwa chwila jeszcze nie nadeszła.

Tor zmarszczył brwi, sondując swoje myśli.

- Męczy mnie to, odkąd pamiętam, ale dopiero teraz ująłem to w słowa - kontynuował.
- Mam wrażenie, że mnie szukałeś. Zabrałeś mnie od rodziców, być może także odciąłeś od Alyssy, sprowadziłeś tutaj i zrobiłeś ze mnie niezłego medyka. Ale masz wobec mnie inne plany, prawda?

Merkhud wyrwał dłoń z uścisku Tora i zatopił paznokcie we własnych rękach, które stanowczym, obronnym gestem skrzyżował przed sobą. Nie może Torowi nic powiedzieć... Jeszcze nie.

- Masz bardzo wysokie mniemanie o sobie, chłopcze, jeśli sądzisz, że spędziłem życie na poszukiwaniu ciebie - powiedział głucho.

- Dlaczego zatem nigdy wcześniej nie przyjąłeś żadnego ucznia?

- Bo go nie potrzebowałem. Teraz jednak obawiam się, że śmierć jest bliska. Czas mnie dogonił i przyszła pora na wychowanie następcy.

Tor zastanowił się. To brzmiało dość wiarygodnie.

- A Alyssa?

- Co Alyssa?

- Gdzie jest?

- Dlaczego sądzisz, że to wiem? - zapytał Merkhud, unikając wzroku Tora.

- A wiesz?

- Nie - skłamał, nie udzielając dalszych wyjaśnień.

Tor wpatrywał się w niego badawczo.

- Cóż - powiedział rzeczowo - to nie zmienia mojej decyzji. Odchodzę... dzisiaj.

- Ale dlaczego?

- Dlatego, Merkhudzie - odparł, powolnie zataczając ręką krąg wokół pokoju. - Nie do tego zostałem powołany. Teraz to wiem. Jestem w tym dobry, bo ty jesteś dobrym nauczycielem. Mówisz, że mam o sobie wysokie mniemanie... To nieprawda. Zbyt długo

wątpiłem w siebie i swój talent. Nie ufałem swoim mocom. Przez wiele lat bałem się ich. Teraz chcę poznać swoje przeznaczenie. Bo czuję, że ono istnieje.

„No, w końcu to powiedziałem” - pomyślał z ulgą Tor. Wreszcie przyznał się do tego, co od dawna go nurtowało. Przeznaczenie. To była ta rzecz.

Merkhud usiadł. Oszołomiony lękiem, myślał intensywnie, jak naprawić choć część szkód wyrządzonych przez tę rozmowę. Potrzebował czasu na myślenie, na planowanie. Ale nie miał go. Tor już zbierał się do wyjścia. Jeszcze chwila i cała skomplikowana intryga Merkhuda spełźnie na niczym.

- Czy mógłbyś mi przynieść szklaneczkę wina, Tor? - zapytał.

Wyrwany z zadumy Tor zauważył, jak źle wygląda jego nauczyciel. Ruszył na zaplecze. Zyskawszy na czasie, Merkhud kombinował pospiesznie, aż w głowie zaświtał mu pewien pomysł. Przemyślał go i postanowił spróbować.

Tor podał mu filiżankę. Starzec uniósł ją do ust trzęsącą się dłonią i wypił zawartość. Zaniepokojony Tor zapytał, czy może jeszcze coś dla niego zrobić.

To była szansa, na którą czekał Merkhud.

- Właśnie sobie uświadomiłem, że od wczorajszego ranka nic nie jadłem - odparł celowo słabym głosem. - To chyba ten głód tak mnie osłabił... Starzy ludzie nie są tak odporni na stres.

- Ręce mu drżały.

Tor znowu poczuł się jak młody uczeń, nadskakujący mistrzowi. Uwielbiał Merkhuda i chociaż wiedział, że nadszedł czas na określenie się i pójście własną drogą, martwił się o staruszkę.

- Chcesz, żebym coś ci przyniósł z kuchni?

- Tak, chłopcze. Przykro mi, ale muszę cię poprosić, żebyś mi przyniósł miseczkę zupy czy cokolwiek kucharka tam gotuje.

Tor wyszedł. Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Merkhud wstał i zaczął nerwowo krążyć po komnacie, obmyślając plan, który zaczął mu się krystalizować w głowie. Otworzył łącze i po mistrzowsku zaciągnął zasłonę. Sygnał odbioru nadszedł w mgnieniu oka.

Wszystko dzieje się szybciej, niż oczekiwałem. Chłopak dzisiaj odchodzi.

Co takiego? Oszalałeś, staruszkę?

Jeszcze nie, moja droga - odparł łagodnie. - A jak ona się miewa?

To wspaniała dziewczyna. A właściwie już kobieta - poprawiła się. - Cóż mogę ci powiedzieć? Uczy się pilnie. Jest bystra, utalentowana, bardzo piękna. Trzyma się na uboczu. Ma tylko jedną bliską przyjaciółkę, również studentkę.

Myślisz, że nam się uda? - zapytał Merkhud. Po raz pierwszy usłyszała w jego głosie niepewność.

Oczywiście. - Starła się, by zabrzmiało to przekonująco, ale dotąd zawsze to on był jej przewodnikiem i czuła się zdeprimowana tym, że nagle stracił przekonanie do tej krucjaty, którą prowadzili już tak długo. - *Teraz wszystko w rękach bogów.*

Merkhud zadrżał na dźwięk jej słów.

Pewnie masz rację. A jak tam Kloek?

Jak zawsze oddany.

Czy może nam przeszkodzić?

Nie pozwolę na to - odparła buntowniczo. - *Zaszliśmy już zbyt daleko.*

Merkhud usłyszał kroki Tora na schodach.

Muszę kończyć, moja droga. Porozmawiamy później.

Zamknął łącze, gdy chłopak stanął w drzwiach, niosąc tackę z luźno przykrytą muślinem miseczką. Merkhud nie spodziewał się jednak, że w ślad za Torem wpadnie do komnaty kucharka we własnej osobie.

- Co ty mi tu wyprawiasz, staruszku? - zagrmiała.

Dla tej kobiety lekarstwem na wszystkie dolegliwości, od kataru po ból kończyn, było jedzenie. Mawiała, że zna potrawę na każdą chorobę w królestwie i większość ludzi, wśród nich Merkhud, nie wątpiła w to. Tor położył tackę na stoliku i stary medyk poczuł wyborny aromat rosółu, który obrósł legendą w całym pałacu. Zupa parowała poprzez muślin, a jej zapach łączył się z kuszącą wonią świeżego chleba, tworząc cudowną mieszankę. Kucharka - jedyna osoba, której takie zachowanie uchodziło na sucho - zaczęła tymczasem besztać Merkhuda.

- Wcinaj to i już, stary durniu, a jeśli jeszcze raz cię złapię na tym, że opuszczasz moje posiłki, własnoręcznie ci stłukę ten kościsty tyłek!

Rzuciła mu serwetkę na kolana, podkasała spódnicę i zdecydowanym krokiem opuściła komnatę. Była już na schodach, a oni wciąż słyszeli jej ciężki oddech. Tor parsknął śmiechem. Merkhud też ledwie się powstrzymał.

- Przypomina ci kogoś, Tor?

- Moją matkę!

- Wspaniała, prawda? - rzekł stary medyk, słysząc, jak zatrząskują się główne drzwi wieży. Wyobraził sobie kucharkę przechodzącą przez dziedziniec, poklepującą młodych chłopaków i straszącą kury. - Co my byśmy bez niej zrobili? - dodał z podziwem.

- Radzę ci szybko jeść, bo inaczej znów się wścieknie.

- Poczekasz, aż skończę, Tor? Mam ci coś do powiedzenia.

Gdyby Tor spojrział na swoje trzy kamienie - te, które Merkhud nazwał Kamieniami Ordoltu - zobaczyłby, że mienia się kolorami.

Tym razem były to barwy ostrzegawcze.

Merkhud nie był głodny, musiał jednak jeść, jakby rzeczywiście od dawna nie miał nic w ustach. Poza tym zupa kucharki istotnie była wyśmienita. Tor usiadł obok niego przy stole, przeżuając suszone owoce i orzechy, które wyniósł z kuchni.

- Słyszałeś o miejscu zwanym Ildagarth?

- Tak. Królowa wspominała mi, że jej gobeliny i narzuta na łóżko zostały wyhaftowane przez tamtejszych rzemieślników. Wiem, że to miejsce słynie z rękodzieła i sztuki.

- Świetnie - pochwalił go Merkhud pomiędzy dwiema łyżkami zupy. Znow byli uczniem i nauczycielem. - A czy słyszałeś o Caremboche, leżącym w obrębie Ildagarth?

- Nie, mistrzu.

Merkhud przełknął kolejny łyk zupy i zagryzł chlebem. Pycha.

- Caremboche to coś w rodzaju zakonu, z braku lepszego słowa. Na przestrzeni wieków stało się schronieniem kobiet posiadających jakąkolwiek magiczną moc. Jego zadaniem jest ochrona tych niewiast przed inkwizytorami. Te najbardziej uzdolnione, rzecz jasna, nigdy nie docierają do jego bezpiecznych, odgradzonych od świata sal. Zostają zaszlachtowane przez Gotha i jemu podobnych. Jednak te, którym się to udaje, znajdują tam ochronę przed społeczeństwem.

Traktuje się je z ogromnym szacunkiem. To ciekawe, Tor. Od zwykłych wiejskich kobiet obdarzonych mocą różni je jedynie fakt, iż mieszkają w Caremboche, które na przestrzeni wieków obrosło legendą i otaczane jest taką czcią, że jego mieszkanki traktuje się jak kapłanki. Nasz król, który pozwala na zakuwanie w uzdy obdarzonych mocą, zaprosiłby kobietę z Caremboche do swego stołu.

- Dlaczego więc wszystkie nie uciekną do tego miejsca? - zapytał Tor, połknąwszy przynętę. Nie wiedział, czego się spodziewać po Merkhudzie, ale z pewnością nie oczekiwał takiej rozmowy.

- Dobre pytanie. - Merkhud skinął głową. - Problem w tym, że Caremboche leży w dość odległej części kraju, daleko na północnym zachodzie. Poza tym wiele kobiet woli ukrywać swój talent i wieść względnie normalne życie z mężem i rodziną, zamiast żyć w odosobnieniu. No i wreszcie... po wiekach inkwizycji nasz lud stracił większość ze swoich umiejętności. Coraz mniej osób przejawia talent. Powiedziałbym, że większość obecnych

magów włada jedynie dziką magią, inaczej niż w czasach, kiedy umiejętności przekazywano z pokolenia na pokolenie.

- Ja też?

- Najprawdopodobniej. Żadne z twoich rodziców nie posiada mocy, prawda? - Merkhud sprawiał wrażenie przerażonego tą myślą, jakby się bał, że coś przeoczył. Ale Gyntowie nie zdradzali żadnych oznak władania magią.

- Nie - odparł pospiesznie Tor. Idąc za radą ojca, nigdy nie powtórzył Merkhudowi opowieści o tym, w jaki sposób trafił do rąk Jhona i Ailsy Gyntów. Przez cały czas utrzymywał, że jest ich rodzonym synem.

- Zatem jesteś po prostu błogosławiony, Torkynie Gynt.

Merkhud wyrzekł te słowa z pewną ironią i Tor dobrze o tym wiedział. W tych czasach magiczne zdolności z całą pewnością nie były błogosławieństwem.

- Dlaczego te kobiety otrzymują takie przywileje, skoro nie różnią się niczym od innych Obdarzonych?

- Cóż, życie w Caremboche ma dla nich wymiar religijny. Studiują, uczą, praktykują zielarstwo na bardzo wysokim poziomie i wspaniałomyślnie przekazują swoją wiedzę naszym społecznościom i ich lekarzom. Stają się, jeśli można tak rzec, sługami kraju. Nie wolno im wychodzić za mąż; nie mogą nawet doświadczać przyjemności cielesnych. To wielka szkoda, rzecz jasna, zwykle bowiem są to bardzo młode kobiety, które uciekły, by uniknąć prześladowań. Często nie zdają sobie sprawy, czego się wyrzekają na rzecz bezpieczeństwa.

- Co by się stało, gdyby schwytano je z mężczyzną?

- Zostałyby ukrzyżowane i ukamienowane - rzekł Merkhud szorstko. Tor wyczuł w tych słowach przestrozę.

- Hm. - Uśmiechnął się. - To dość surowa kara.

Merkhud nie odwzajemnił uśmiechu.

- Dokonały wyboru i muszą przestrzegać zasad. To dlatego na samym początku powiedziałem ci, że to miejsce przypomina zakon. W taki sam sposób, w jaki niektóre kobiety ofiarowują swe życie bogom, te z Caremboche poświęcają je krajowi.

Tor zjadł resztkę orzechów, po czym wolno pokiwał głową.

- W porządku, rozumiem. Dlaczego mi o tym opowiadasz?

- Bo mieliśmy się tam udać.

- Co takiego? - Tor uniósł się na krześle.

- Tak - skłamał Merkhud. - To prawda. Co dziesięć lat odbywa się tam specjalny

festiwal. To niezwykle wydarzenie. Zwykle uczestniczy w nim para królewska, ale teraz to oczywiście nie wchodzi w grę. Jako sługa rodziny panującej mam szczęście być zapraszany do Caremboche co roku. - Uśmiechnął się na myśl o tym, od jak dawna to trwa.

- Kiedy jest ten festiwal? - zapytał Tor.

Merkhud wyjął policzki, po czym ze świstem wypuścił powietrze. Podrapał się po brodzie.

- Niech no pomyślę. Zaczyna się podczas najbliższej pełni i trwa przez kilka dni. Ludzie przyjeżdżają w różnych momentach.

- Co właściwie świętują?

- Przede wszystkim to, że jeszcze żyją, jak sądzę - odparł bez namysłu Merkhud. - Nie, to nie całkiem tak. Oryginalne znaczenie święta dawno zostało zapomniane, jest ono jednak tak mocno zakorzenione w tradycji północy, że tamtejsi ludzie przywiązują doń wielką wagę.

- I my mieliśmy tam pojechać?

- No, tak. Sądziłem, że takie doświadczenie dobrze ci zrobi. Niewiele osób ma tę możliwość... - Celowo nie dokończył zdania.

Tor nie był uszczęśliwiony.

- Pomyśl, Tor - rzekł energicznie Merkhud, jakby przyszedł mu do głowy jakiś nowy, wspaniały pomysł. Sam nie wierzył, że potrafi w tak wesoły sposób wabić Tora do swej pułapki. Nienawidził się za to, co mu robi. Szczerze mówiąc, wolałby sobie odgryźć język, by tylko uchronić tego niewinnego młodzieńca przed dalszym zaplątywaniem się w tę potworną pajęczynę kłamstw, którą dla niego utkał pięć lat temu. - Niezupelnie cię rozumiem, ale szczerze podziwiam pasję, z jaką wyraziłeś dziś swoje uczucia. Być może traktowałem cię zbyt surowo; jeśli tak, to tylko dlatego, że cię kocham, chłopcze. Czuję się, jakbym był twoim ojcem.

Tor wzruszył ramionami. Czuł się niezręcznie, słuchając takich wyznań.

- Niczego przed tobą nie ukrywałem, Tor, ale zawsze chciałem, żebyś był najlepszy. Masz zdumiewający talent. Nie wiem, do czego zostałeś powołany, miałem jednak nadzieję, że zdołam cię uchronić przed roztrwonieniem swoich zdolności. A oddawanie się w ręce pobratymców Gotha temu właśnie się równa.

- Przecież Goth nie zdaje sobie sprawy z mojej mocy, Merkhudzie. Nie widzi jej nikt z wyjątkiem ciebie, mnie i być może kilku podobnych nam osób. Czego więc się obawiasz?

Tor oczywiście miał rację. Goth był kompletnie nieświadom, że tuż przed jego nosem ktoś posługuje się potężną magią. Dostarczało to Merkhudowi pewnej drobnej satysfakcji.

- Dzieciaku, Goth ma dość władzy, by najpierw cię zabić, a dopiero potem prowadzić śledztwo. Nienawidzi cię. Niewiele mu trzeba, by kazać cię uśmiercić.

Tor wybuchnął szczerym, serdecznym śmiechem, który wstrząsnął Merkhudem.

- Myślisz, że Goth może się ze mną mierzyć? - To nie była arogancja, tylko szczere przekonanie, że nic mu nie grozi. - Jak zdoła mnie utrzymać w miejscu dostatecznie długo, by zabić, Merkhudzie?

„To wszystko prawda” - pomyślał Merkhud.

- Zapominasz o tym, co mówiłem wcześniej, Tor - rzekł.

- Goth nie zmusi cię zranić osobiście. Istnieją znacznie bardziej subtelne sposoby skrzywdzenia cię: może zrobić krzywdę komuś, kto jest ci bliski.

Młodzieniec skinął głową. Merkhud miał rację. Goth był pozbawiony skrupułów i nie zawahałby się przed zaplanowaniem śmierci kogoś takiego jak Cyrus, gdyby w ten sposób mógł zranić Tora.

- W takim razie tym bardziej muszę stąd odejść - zauważył.

Merkhud podskoczył jak oparzony.

- Ale nie w ten sposób! Nie możesz tak po prostu sobie iść, nie przejmując się tym, że ludzie, z którymi dzieliłeś życie i którym bardzo na tobie zależy, nigdy więcej o tobie nie usłyszą.

Tor był skonsternowany.

- Masz inny pomysł?

- Tak. Jedź do Caremboche zamiast mnie. W imieniu Lorysa, Nyrii i moim.

- Sam? - zapytał ze zdumieniem młody medyk.

Coś zatrzepotało przy oknie. Nie musieli się odwracać, by wiedzieć, że to Clout powrócił.

Merkhud cmoknął z niesmakiem.

- Czy zgodzisz się ze mną, chłopcze, że ten ptak podsłuchuje wszystko, co mówimy? Jestem pewien, że poleci za tobą, ale poza tym, owszem, pojedziesz sam.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Nic. Masz moje błogosławieństwo na drogę. Otrzymasz konia, żywność i pieniądze. Będziesz reprezentował rodzinę królewską. Mam nadzieję, że uznasz to za zaszczyt.

- Nie zawiodę cię, Merkhudzie. - Tor miał ochotę uściskać staruszka. Jak to możliwe, by jego świat ni stąd, ni zowąd zaczął się kręcić w inną stronę?

Merkhud wyciągnął nagle ręce, złapał Tora za obie dłonie i mocno uściśnął.

- To poważna sprawa, Tor. Masz pewną reputację. Wiem, jak bardzo lubisz

towarzystwo dam. Pamiętaj, że żaden mężczyzna nie może tknąć nawet włosa na głowie kobiety z Caremboche. Oznacza to koniec dla obojga. - Zamilkł na chwilę. - Nie zawahają się przed surowym potraktowaniem takiej pary - powiedział, intensywnie patrząc w oczy Torowi, by chłopak dobrze zapamiętał te słowa.

- Dzięki za ostrzeżenie, Merkhudzie. Obiecuję, że moje zachowanie będzie bez zarzutu.

Merkhud uspokoił się i rzucił uczniowi ciepły uśmiech. Pułapka została zastawiona, a przynęta już wabiła ofiarę. Gdy odwracał się od chłopca, wiedząc, że jego śmierć jest już niemal przypieczętowana, czuł dla siebie ogromną pogardę.

Od tamtej pory nie miał zaznać spokoju.

SERCE LASU

Minęło pięć dni, odkąd opuścili Tal. Bujne winnice południa ustąpiły miejsca surowym skałom środkowej północy. Tor kipiał optymizmem. Nie żałował, że opuścił pałac, choć czuł się nieswojo, nie pożegnawszy się ze swym ukochanym przyjacielem Cyrusem. Przysłaniało mu to radość niczym czarna chmura, ale przez większość czasu potrafił o tym nie myśleć, tłumacząc sobie, że Cyrus otrzyma jego liścik i zrozumie.

Clout był innego zdania.

Co więc, twoim zdaniem, miałem zrobić? Czekać do soboty z nadzieją, że do tej pory zdąży wrócić do miasta? Nikt nie wiedział, kiedy kompania zakończy patrol.

Zasłużył na coś lepszego - upierał się sokół.

Już kilka razy od początku wyprawy spierali się o to. Zwykle rozmowę kończył Clout, zatrzaszukując łącze i oddalając się na chwilę. Tor w głębi duszy zgadzał się z nim, nie wiedział jednak, co innego mógłby zrobić. Załatwiwszy sprawy z Merkhudem, nie miał innego wyjścia, jak tylko wyjechać - tym bardziej, że stary nalegał, aby Tor ruszył w drogę jak najszybciej, jeśli chce dotrzeć do Ildagarth w przyszły czwartek.

Z rozmyślań wyrwał go krzyk ptaka. Uniósł głowę i zobaczył, że Clout krąży wysoko nad jego głową. Z podziwem przyglądał się, jak sokół szybuje bez wysiłku, a potem nagle pochyla głowę i daje nura. Wydawał się spadać z nieba z ułożonymi w kształt strzały skrzydłami, lecąc coraz szybciej i szybciej.

„Pewnie znów zobaczył królika” - pomyślał Tor i żołądek podskoczył mu do gardła na myśl o przyjacielu objadającym się wnętrznościami.

Pozwalając, by koń sam go prowadził wąską ścieżką, powrócił do rozmyślań. Królowa, rzecz jasna, wiedziała. Pamiętał, jak na niego patrzyła, gdy się zegnali. Oboje zdawali sobie sprawę, że jest wystarczająco zdrowa, by wyjść na dziedziniec, ale Nyria odegrała swoją rolę. Najpierw dworki owinęły jej wokół ramion ciężki szal. Potem stała chwiejnie, całym ciężarem wsparta na ramieniu króla, jakby z wielkim trudem podniosła się z łóżka. Wyraz jej twarzy w chwili, gdy życzyła mu spokojnej podróży i szybkiego powrotu do domu, komunikował mu jednak coś zupełnie innego.

- Wracaj jak najszybciej, Torkynie Gynt.

Pochylił się, by ucałować jej dłoń, i nie zdołał się powstrzymać przed okraszeniem pocałunku łagodnym impulsem miłości. Jej oczy zabłysły świadomością magicznej mocy.

- Pani. - Skłonił się nisko, nie śmiąc ponownie skierować na nią wzroku, a ona nie powiedziała już nic więcej.

Z kolei król w ogóle nie potrafił spojrzeć mu w oczy. Tor czuł, że jego pan cierpi. Lorys był świadom, że tylko magia mogła uratować królową od śmierci. Światłość wiedziała, jak niewiele życia zostało w Nyrii. Miłość do żony kazała jednak królowi zignorować to, co się stało. Choć było to sprzeczne ze wszystkim, w co wierzył i co sobą reprezentował, pogodził się z tym, bo oznaczało przywrócenie życia osobie, którą kochał najbardziej na świecie. Tor poczuł ucisk w żołądku, myśląc o tych wszystkich biedakach, których szykanowano, torturowano i skazywano na banicję w imię oczyszczenia kraju z magii.

Najtrudniejsza do zniesienia była jednak świadomość, że Lorys to w gruncie rzeczy dobry człowiek. W okresie przebywania Tora w pałacu wielokrotnie dowodził, że jest doskonałym królem. Jakże współczuł swoim poddanym, jakże kochał królestwo! „Gdyby tylko znalazł w sobie odwagę, by rozprawić się z Gothem i całym niezrozumiałym strachem przed Obdarzonymi” - pomyślał po raz kolejny Tor. Także z tego powodu musiał wyjechać.

Chciał się znaleźć jak najdalej od Lorysa i towarzyszącej jego rządów obludy.

Mnóstwo ludzi zebrało się, by mu życzyć bezpiecznej podróży. W głębi duszy Tor zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ich zobaczy. Nie był pewien, czy wróci, choć udawał, że ma taki zamiar.

Wszyscy oni byli jego wielkimi przyjaciółmi. Nawet młodzi giermkowie przybyli, by go pożegnać. Starzy żołnierze, którzy nie wyruszyli z Cyrusem na patrol, salutowali Torowi. Z lekką zaledwie dumą uświadomił sobie, że zna każdą twarz w pałacu. Nie było nikogo, kim choć przez krótki czas nie opiekowałby się podczas swego pobytu w Tal. Kucharka nie omieszkała zauważyć, że widok tylu zebranych na dziedzińcu osób jest czymś niezwykle, na ogół zarezerwowanym dla pary królewskiej. Nie ulegało wątpliwości, że Tor cieszy się w pałacu ogromną popularnością.

Zmusił się do poszukania wzrokiem Gotha. Znalazł go bez trudu; stał w pobliżu króla, jak zwykle wykrzywiając wargi w szyderym uśmiechu. Oto ktoś, kto z pewnością był zadowolony z tego, że pozbywa się Tora, i prawdopodobnie pojawił się tu tylko po to, by się upewnić, że ten naprawdę opuszcza miasto. Ciekawe, jak inkwizytor radził sobie z cudownym ozdrowieniem królowej. Z pewnością wiedział, że leżała już na łożu śmierci i jej odejście powinno być tylko kwestią czasu. Inną jednak rzeczą jest oskarżenie jakiejś chłopki o

posługiwanie się magią, a inną wysunięcie tego samego zarzutu wobec ulubieńca całego dworu i samej pary królewskiej. Goth musiałby uzasadnić swoje podejrzenia, a znalezienie dowodu nie było łatwe. Inkwizytor skierował swój drwiący uśmieszek wprost do Tora. Obaj wiedzieli, że mają do załatwienia pewne sprawy. Ale to mogło poczekać. Musiało.

W końcu Tor objął Merkhuda na pożegnanie. Ich wzajemne uczucia pozostały szczerze, ale - jak każdy ojciec i syn - nie mogli spędzić razem całego życia, a w tym konkretnym przypadku rozstanie było wręcz nieodzowne.

Gdy tylko Tor wyjechał poza bramę miasta i pozostawił za sobą tłum wielbicieli, nisko nad jego głową pojawił się Clout.

Obaj zaśmiali się, a Tor zmusił do galopu swoją nową klacz, Tamarę, którą otrzymał w prezencie od króla. Galopował, zwalnając dopiero wtedy, gdy znaleźli się na otwartej przestrzeni i Tal pozostało daleko za nimi.

Teraz, prowadząc konia kolanami, jak nauczył go Cyrus, Tor wyjął niewielki mieszek, który trzymał w ukryciu od momentu otrzymania go od Jhona Gynta. Ze zdumieniem zobaczył, że Kamienie Ordoltu, które przez ostatnich kilka lat były matowe i pozbawione życia, teraz mienia się żywymi kolorami.

Nie rozumiał ich mowy, ale nauczył się zawierzać intuicji. Kulki, które pozostawili mu rodzice - prawdziwi rodzice - były jedynym ogniwem łączącym go z przeszłością i coś mu mówiło, że powinien im zaufać.

*

Trzy dni później Clout i Tor przybyli do niewielkiego miasteczka Saddleworth. Tor znalazł skromny pokój w gospodzie Pod Koniem i Barankiem. Sokół wolał przenocować w pobliskim lasku.

Torkyn zajął właśnie smaczny gulasz, gdy Clout przemówił do niego poprzez łące.

A tak przy okazji, jak byś się wytłumaczył Cyrusowi z tego, że odszedłeś bez pożegnania?

Tor nie przerwał jedzenia.

Dlaczego pytasz?

Och, tak tylko pomyślałem, że może będziesz miał okazję - odparł niewinnie Clout.

W tym momencie drzwi gospody otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Cyrus z zagniewaną miną. Gdyby nie to, że Tor siedział oparty o ścianę, z pewnością wywróciłby się wraz z krzesłem.

Cyrus sprawiał wrażenie zmęczonego długą podróżą. Jego zwykle nieskazitelne ubranie było zakurzone, a w szarych oczach malował się zimny gniew.

- Dlaczego? - zapytał groźnie.

Tor wiedział, że nie ma sensu opowiadać mu bajek. Kiedy marszałek był w takim nastroju, dawał się przebłagać jedynie szczerością. By się otrząsnąć z szoku, Tor przełknął gulasz i odczekał chwilę.

- Przyłączysz się do mnie? - zapytał w końcu niezręcznie.

Marszałek zignorował go. W pomieszczeniu zaległa cisza; ludzie wyczuli, że coś się święci, i wpatrywali się w nich.

Tor odchrząknął i uniósł w powietrze kufel, wskazując go oberżycie i pokazując dwa palce. Ten skinął głową i zajął się nalewaniem piwa dla młodzieńca i nowo przybyłego żołnierza. Ta prosta czynność nieco rozładowała napięcie i sprawiła, że ludzie powrócili do swoich rozmów.

Tor z ulgą spojrział na Cyrusa, którego twarz nie złagodniała jednak ani trochę. Zadał sobie pytanie, czy marszałek mógłby go uderzyć, wydawał się dostatecznie rozgniewany.

- Muszę to zrobić, Cyrusie. Sam niezupełnie to rozumiem, ale życie w pałacu już - szukał słów - już mi nie wystarcza.

Uniósł rękę, widząc, że Cyrus jest bliski kolejnego ataku furii.

- Nie, zaczekaj - rzekł Tor stanowczo. - Pozwól, że spróbuję ci to wyjaśnić... Usiądź, proszę, i wypij ze mną piwo. Wyglądasz strasznie.

Dziewczyna z hukiem postawiła na stole dwa kufle. Tor rzucił jej kilka monet. Cyrus usiadł sztywno.

Wszystko w porządku? - zapytał Clout. Tor wyczuł intuicyjnie, że ptak siedzi na drzewie naprzeciw gospody.

Nie jestem pewien. Cyrus żąda wyjaśnień.

Powodzenia. - Po tych słowach sokoł zamilkł.

Cyrus jednym łapczywym łykiem wypił większość zawartości kufła, po czym stalowym wzrokiem spojrział na Tora poprzez stół. Jego słowa zdumiały chłopaka.

- Czy twój wyjazd ma coś wspólnego z tym, co wydarzyło się w lesie pomiędzy tobą, mną i sokołem?

Tor mrugnął. Była to mimowolna reakcja na zaskakujące pytanie, ale dzięki niej Cyrus wiedział, że osiągnął cel. Kontynuował więc:

- Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co właściwie się tam stało, Gynt, ale czy nie sądzisz, że powinniśmy?

Tor w końcu odzyskał rezon.

- Dlaczego jesteś taki wściekły?

Cyrus omal nie rzucił się na niego poprzez stół. Z trudem powstrzymywał gniew.

- Bo byłeś potrzebny w Tal! - wykrzyknął. - Moi ludzie korzystali z twoich umiejętności; ledwie zacząłeś się uczyć władać mieczem, a na dodatek, do diabła, nawet nie podałeś mi powodu, zostawiłeś tylko ten krótki liścik. Dlaczego, na Światłość, miałbyś rzucać wszystko i ruszać w jakąś idiotyczną podróż na drugi koniec królestwa, by potaćzyć w masce i uhonorować dziwaczny festiwal, którego nikt nie rozumie? - Ani jednego z tych słów nie wypowiedział spokojnie.

- To nie tak. - Tor, na odmianę, mówił cicho, zawstydzony spojrzeniami innych ludzi.
- Ty nie jesteś po prostu zdenerwowany. Ty się mnie boisz... a raczej boisz się mnie stracić.

Uwaga, Tor! - rzucił ostrzegawczo Clout.

- Wychodzimy. - Cyrus wstał tak szybko, że jego krzesło przewróciło się z hukiem. Widzowie wstrzymali oddech.

- Hej tam, nie chcemy tu żadnych burd! - zawołał oberżysta.

- Wychodzimy! - ryknął Cyrus.

No, przynajmniej wrzeszczy - skomentował Clout. - *Jest o wiele bardziej niebezpieczny, gdy mówi cicho, nie sądzisz?* - Po tych słowach ptak odchrząknął z zażenowaniem. Być może nie był to najlepszy moment na rozmowę o cechach charakteru.

Tor nie potrzebował dalszej zachęty. Wstał i pokornie ruszył za marszałkiem ku drzwiom. Kilku ludzi, głównie farmerów, zrobiło parę kroków do przodu, jakby chcieli odciąć Cyrusowi drogę. Tor czuł się wzruszony, że starają się uratować mu skórę. To musiało źle wyglądać, ale zgadzał się z Clotem: wrzeszczący Cyrus był znacznie bezpieczniejszy od milczącego.

Marszałek zrzucił płaszcz, ukazując mundur i odznakę. Mężczyźni stanęli jak wryci. Dwaj zaczęli mamrotać słowa przeprosin.

- Wszystko w porządku - rzekł Cyrus. - Jesteśmy przyjaciółmi.

W tych okolicznościach zabrzmiało to dość komicznie. Temperament Cyrusa był w pałacu legendarny, a Tor nie miał najmniejszej ochoty doświadczyć na sobie jego skutków. Nie chciał jednak również poniżyć przyjaciela, używając wobec niego magii, choć czuł, jak ta kipi mu pod skórą.

- Proszę to potrzymać. - Cyrus podał jednemu z farmerów swój płaszcz.

Wieśniak posłuchał. Wszyscy w milczeniu przyglądali się, jak marszałek kroczy ku drzwiom, a za nim wielkimi krokami podąża wysoki młodzieniec. Gdy już znaleźli się na zewnątrz, Cyrus zwrócił twarz ku Torowi. Opanował się już na tyle, by mówić normalnie, ale jego słowa nadal brzmiały w uszach Tora nieprzyjemnie.

- Masz rację, draniu: boję się. Myślisz, że nie wiem o magii, którą leczysz swoich pacjentów? Że jestem tak głupi jak Goth? Jego kamień skanujący jej nie wykrywa - choć tylko Światłość wie dlaczego - zapominasz jednak, że wiele lat temu, w lesie, dotknąłeś mnie, i od tamtej pory czuję twoją moc!

- Naprawdę? - zapytał Tor, nim zdążył się zastanowić.

- Tak. - Cyrusowi zabłyśły oczy.

- Dlaczego wcześniej mi nic nie powiedziałeś?

- A dlaczego miałbym to zrobić? Twoja moc ocaliła mi życie. Byłem już trupem, podobnie jak królowa. A jednak oboje cudem przeżyliśmy, by opowiadać swoje historie, tylko dzięki temu, że ty postanowiłeś nas ocalić!

Cyrus potrząsnął głową. Iskra gniewu zniknęła z jego oczu równie szybko, jak się tam pojawiła. Sprawiał wrażenie pokonanego. Usiadł na beli siana. Tymczasem z ciemności wyłonił się bezszelestnie Clout i wylądował na ramieniu Tora.

Śluchaj go teraz, mały. To ważne - powiedział.

Tor nie miał pojęcia, skąd Clout może to wiedzieć, ale przestał się nad tym zastanawiać, gdy tylko Cyrus rozpoczął swoją opowieść.

- Zacząłem mieć sny. Kobieta, której głos słyszałem w lesie, ta, która mówiła, że nadchodzisz z odsieczą, znów zaczęła mnie odwiedzać.

- Lys... - wyszeptał Tor.

- Tak, ona. Ostrzegła mnie, że opuszczasz Tal i wyruszasz w długą podróż. Kiedy wróciłem, pałac aż huczał od wieści o twoim nagłym wyjeździe.

Cyrus wstał i podszedł do Tora. Wydawał się walczyć ze słowami.

- Co to wszystko znaczy?

Tor był równie skonsternowany jak on.

- Muszę ci coś powiedzieć, Cyrusie. Tamtego dnia, kiedy znaleźliśmy cię w lesie, dojechaliśmy tam przez noc. Wiesz, że nie da się dotrzeć z Hatten do Brewis w ciągu jednej nocy, ale my tego dokonaliśmy.

- To znaczy ty i ten ptak?

Tor stracił rezon.

- Tak - wybąkał.

Nagle zobaczył utkwione w siebie spojrzenie, przed którym ostrzegali go żołnierze gwardii królewskiej. Od czasu pierwszego skrzyżowania wzroku z Cyrusem w gospodzie Pod Pustym Kielichem Tor nie czuł na sobie jego mocy.

- Jestem zwykłym żołnierzem, Tor, ale nawet najprostszycy ludzi nie opłaca się

lekceważyć. Czy nie przyszło ci do głowy, że gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się na rynku, zdradziłeś mi imię przybitego do pala kaleki?

Tor spoglądał na niego niepewnie.

- Gdy nazwałem go półgłówkiem, podałeś mi jego imię - przypomniał mu marszałek.

- Nie skomentowałem tego wówczas. Po prostu pozwoliłem ci gadać.

Tor spuścił oczy. Cyrus umiejętnie złapał go w pułapkę. Teraz chłopak przypomniał sobie tamten błąd.

Powiedz mu - odezwał się Cloot.

Tor nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

Nie czas na wygłupy - ofuknął go ptak.

- Powiedz mi prawdę, chłopcze - nalegał Cyrus, nieświadom tej bezgłośniejszym wymiany zdań. - Czy ten sokół to kaleka, którego torturował Corlin?

- Tak - wymamrotał Tor.

- O, w mordę! - Cyrus klasnął w dłonie, po czym niespodziewanie wybuchnął demonicznym śmiechem. - Wiedziałem. Ty mu to zrobiłeś?

Tor pokręcił żałośnie głową.

- Nie. To się stało w lesie, nim cię znaleźliśmy.

- Jak to? - Cyrus okrążył Tora, wpatrując się z zachwytem w Cloota. Ptak posłusznie ustawił się pod odpowiednim kątem, unosząc nawet skrzydła, by pokazać przepiękne kolory spodnich piór.

- Zmienił się, gdy tylko znaleźliśmy się w Wielkim Lesie.

Cyrus przystanął. Znów był poważny.

- To ta kobieta? Lys?

Tor skinął głową.

- Tak. Teraz obaj wiemy tyle samo. Jak ci mówiłem, byliśmy w Hatten. Konkretnie rzecz biorąc, byłem akurat w burdelu, gdy...

- A to ci niespodzianka! - zakpił Cyrus.

Tor zignorował przytyk.

- ...gdy nagle Cloot wrzasnął mi do głowy, że jesteś w strasznych tarapatkach i że musimy natychmiast jechać do Brewis.

- Wpuścili cię do burdelu z sokołem? - przerwał mu Cyrus.

- Hm, nie. - Tor wziął głęboki oddech i kontynuował: - Cloot potrafi do mnie mówić... telepatycznie.

- Rozmawiacie z sobą.

To nie było pytanie, ale Tor mimo wszystko odpowiedział:

- Tak.

Żołnierz westchnął nabożnie.

- A widziałeś kiedyś tę Lys?

- Nie. Do mnie nie przychodzi. Nigdy nie słyszałem jej głosu ani o niej nie śniłem.

Odwiedza tylko Cloota... no i ciebie.

Tor zauważył, że Cyrus zdecydował się zapomnieć o swojej zwykłej wizji świata. Zaakceptował Cloota, magię, łączy mentalne, nawet Lys. Zachowywał się, jakby wysłuchiwał raportu któregoś ze swoich ludzi. Chłopak był pełen podziwu dla marszałka.

Ten zaś, chodząc w tę w z powrotem, mówił dalej rzeczowo:

- Czemu więc ma służyć ta ucieczka z pałacu?

Tor poszedł za ciosem. Czuł ulgę, że może powierzyć swoje myśli komuś zaufanemu.

- Nie zgadzam się z całą ideą inkwizycji, ale, jak wspomniałeś, Goth i jego świta nic na mnie nie mają. No, może jedynie podejrzenia, ale ja z kolei jestem dobrze chroniony.

Przezeszał palcami włosy. Teraz i on był lekko oszołomiony. Kilka dni temu wszystko wydawało się takie proste.

- Król podejrzewa, że posługuję się sztukami magicznymi, ale obłudnie to ignoruje, bo jestem mu przydatny. Nie mogłem już dłużej znieść przebywania w jego obecności. Królowa, jak się domyślasz, czuje moją moc. Choć nic nie mówi, wiem, że gdyby mogła, natychmiast kazałaby ściąć Gotha za jego zbrodnie i rozwiązać inkwizycję. Król jednak, najwyraźniej w obawie przed zamierzoną przeszłością, nadal przestrzega tych archaicznych praw. Musiałem się wynieść. Poza tym, być może powinieneś się dowiedzieć, że Merkhud wie o moich zdolnościach. Zdaje sobie sprawę, iż jestem Obdarzonym i używam swojej mocy do uzdrawiania. Boi się, że zostanę przyłapany. Mieliśmy rozmowę... Bardzo nieprzyjemną rozmowę. Wyjazd naprawdę był najlepszym wyjściem. On jednak zaproponował, abym skorzystał z szansy dowiedzenia się czegoś więcej o historii królestwa. Sądzi, że jeśli zrozumie, skąd się wzięła inkwizycja, być może stanę się ostrożniejszy, a nawet bardziej tolerancyjny. Chyba ma nadzieję, że dzięki temu zdoła mnie uchronić.

Cyrus nie wydawał się przekonany.

- I dlatego wysyła cię na tę zwariowaną wyprawę do Ildagarth?

Tor zastanowił się. W głębi duszy sam wiedział, że nie brzmi to przekonująco.

- W gruncie rzeczy to chyba dobry pomysł. Zmiana otoczenia może mi dobrze zrobić. Chcę wrócić do Serca Lasu i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o Lys. Mam wrażenie, że to wszystko kręci się wokół niej.

Cyrus skinął głową.

- A więc przynajmniej w jednej kwestii jesteśmy zgodni. I dlatego jadę z tobą.

- Co? - Tor był wstrząśnięty.

- Słyszałeś. Powiedziała mi, że muszę, więc nie próbuj mnie zniechęcić. Oszczędzaj energię. Jestem tylko marionetką w jej rękach, podobnie jak ty i ten ptak. Poza tym nie ścigałem cię przez sześć dni, niemal zajeżdżając konia na śmierć, tylko po to, żeby teraz wracać!

- Ale jak możesz odejść? Co zrobią bez ciebie w pałacu? - wybełkotał Tor.

- Na wypadek, gdyby ci to umknęło, chłopcze: już odszedłem. A oni poradzą sobie beze mnie równie dobrze jak bez ciebie. Nie rozumiem tej całej historii ani ciebie, ale wiem, że jesteśmy sprzężeni, Torkynie Gynt, i że muszę wyruszyć z tobą w tę dziwną podróż. - Spojrzał hardo w niebieskie oczy Tora. - Nie walczmy z tym. Po prostu przyjmijmy to do wiadomości. Zaraz wracam.

Po tych słowach Cyrus oddalił się szybkim, zdecydowanym krokiem.

Tor spojrział na Clouta i wyduł policzki. Był już zupełnie skołowany.

Co o tym myślisz? - zapytał.

Ja nie myślę, Tor, ja działam. Cyrus ma rację. Skoro Lys przemówiła do niego, to znaczy, że to ona podejmuje decyzje za nas wszystkich.

Ale co to znaczy?

Nie zadawaj mi pytań, na które nie potrafię odpowiedzieć. Wszyscy wiemy, że nasza trójka jest w jakiś sposób sprzężona. My dwaj wiedzieliśmy to zresztą wcześniej. Musimy wykonywać jej polecenia. Cóż innego moglibyśmy zrobić?

Tor przemyślał te słowa.

Masz rację. Ale nurtuje mnie jedna rzecz. Sporo o niej myślałem od chwili wyjazdu z Tal: oczekiwałem, że Merkhud będzie się bardziej sprzeciwiał. Zbyt łatwo zgodził się na mój wyjazd. Myślę, że wie więcej, niż mi mówi.

Clout przytaknął. On sam był bardzo podejrzliwy wobec Merkhuda i motywów jego działania.

*

Po nocnym odpoczynku dziwaczne trio wyruszyło na północ. Po kilku godzinach Clout sfrunął na rękę Tora.

- Coś się stało? - zapytał na wszelki wypadek Cyrus, zwracając się do Tora. Ten potrząsnął głową na znak, że nie wie. Sokół zwykle nie siadał mu na ręce.

Clout przez chwilę milczał.

Nie powiedziałem ci tego wcześniej, bo musiałem się zastanowić. - Po tych słowach sokół utkwiał w Torze spojrzenie żółtego oka. - *Ostatniej nocy odwiedziła mnie Lys.*

Tor gwałtownie ściągnął lejce kroczącej wolno Timary. Klacz zatrzymała się posłusznie.

- A więc jednak. - Cyrus także zatrzymał konia.

Tor odezwał się na głos.

- Cloot właśnie postanowił mi powiedzieć, że Lys złożyła mu w nocy wizytę.

Cyrus nie wydawał się szczególnie zdumiony.

- I?

Czekamy - rzekł Tor do Cloota poprzez łącze.

Ptak zignorował jego ton.

Kilka mil na zachód stąd zaczyna się Wielki Las. Mamy pojechać w tamtą stronę.

Rozumiem, że jak zwykle nie raczyła nic wyjaśnić - burknął Tor.

Hm, skoro już o tym mówisz... *Zdaje się, że sądziła, iż mielibyśmy ochotę na piknik w jej towarzystwie.* - Po tej sarkastycznej uwadze sokół odleciał, pozostawiając Tora z płonącymi gniewem policzkami.

- Gadaj - zażądał Cyrus.

- Wygląda na to, że nasza przyjaciółka życzy sobie, abyśmy jechali na zachód, aż dotrzemy na skraj Wielkiego Lasu.

- A potem?

- Tylko tyle powiedziała.

Zafrasowana mina młodzieńca ostrzegła Cyrusa, że lepiej będzie nie nalegać.

- Dobrze. Wiem, dokąd musimy jechać. Jakies trzy, cztery mile stąd na zachód las skręca, a potem gwałtownie się prostuje. Jeśli się pospieszymy, powinniśmy tam dotrzeć przed wieczorem.

Mówił jak rasowy żołnierz. W jego głosie nie było emocji, zniknęła też dociekliwość. Tor był mu za to wdzięczny.

*

Na wiele godzin przedtem, nim ujrzeli na horyzoncie Wielki Las, trzej wędrowcy poczuli jego dziwny zew. Cyrus odczuwał go silniej niż jego kompani, a gdy podjechali do skraju puszczy, stał się małomówny. Nim popołudnie przeszło w chłodny wieczór, żołnierz zamilkł kompletnie. Tor był zaniepokojony. Odkąd postanowili podporządkować się poleceniu Lys, Cyrus wziął na siebie ciężar rozmowy, opowiadając pałacowe plotki, by oderwać towarzyszy od bardziej złowrogich myśli na temat celu podróży. Teraz, gdy on sam

popadł w posepny nastrój, niepokój znów wziął górę.

Co robimy? - zapytał Tor Cloota.

Myślę, że nie powinniśmy jeszcze tam wchodzić. Lys chciała, żebyśmy znaleźli jakieś konkretne miejsce. Czuję, że zbliżamy się do niego.

Ale jak je rozpoznasz?

Zaufaj mi. Ona nam je pokaże.

Cloot wylądował na ramieniu Tora. Przez cały dzień latał wysoko, oddalając się znacznie od towarzyszy. Tor czuł się pokrzepiony jego powrotem.

Sądzę, że powinniśmy teraz rozbić obóz na noc i wyruszyć do lasu rankiem. Cyrus dziwnie się zachowuje, a mrok potrafi robić z ludźmi dziwne rzeczy. To miejsce samo w sobie jest wystarczająco niesamowite, a co dopiero, kiedy jednemu z nas odbije.

Tor kiwnął głową.

- Zgoda - powiedział na głos nieco zbyt wesoło, mając nadzieję, że wyrwie Cyrusa z ponurych rozmyślań. - Nazbieram chrustu.

A ja lecę upolować jakiś obiad - zawołał Cloot, który zdążył już wzbic się wysoko ponad wierzchołki drzew. - *Bądź czujny* - dodał.

Tor zajął się układaniem i podpalaniem ogniska, ale i on czuł bliskość lasu, niemal słysząc jego wołanie. Przypomniwał sobie swoje pierwsze spotkanie z siłą Serca Lasu, tamtego dnia, w którym Cloot został poddany transformacji. Wtedy jednak odczuwał niepokój; teraz miał wrażenie, że Serce go chroni.

Podniósł głowę, by spojrzeć na Cyrusa, który zdawał się wykonywać swoje czynności odruchowo, jakby myślami był zupełnie gdzie indziej.

Gdy już rozbili obóz, ogrzali się i zjedli swoje porcje suszonego mięsa, sera i chleba, Tor zaczął nucić starą piosenkę, której nauczył się od matki. Pomagało mu to rozproszyc niepokój wywoływany przyciąganiem lasu i dziwnym zachowaniem Cyrusa. Miał przyjemny głos. Zaczął się szykować do snu, cały czas mruczając pod nosem tę kołysankę. Gdy podniósł głowę, by życzyć Cyrusowi dobrej nocy, ze zdumieniem zobaczył, że żołnierz płacze cicho. Umilkł.

- To była ulubiona piosenka mojej żony.

- Przepraszam, że...

- Nie przepraszaj. Wspaniale było znów ją usłyszeć. Chyba tak bardzo starałem się ją zapomnieć przez te wszystkie lata, że naprawdę wyleciała mi z głowy.

- Wciąż za nią tęsknisz, Cyrusie?

- Bardzo. Każdego dnia - odparł żołnierz.

- I nigdy nie miałeś nikogo innego? - wypalił Tor, nim zdążył ugryźć się w język.

- Miałem ich wiele. Podobnie jak ty lubię kobiety i podobnie jak ty nie angażuję się.

Nie, nigdy więcej nie będę chciał dzielić z nikim życia. Kiedy ktoś zaznał doskonałej miłości, nawet nie próbuje szukać następnej. - W jego głosie nie było żalu, jedynie rezygnacja.

Tor pokręcił głową.

- To musi być przerażające kochać kogoś tak bardzo.

- Tylko tak można kochać. Czy nigdy nie byłeś naprawdę zakochany, Tor?

- Raz. Ale straciłem ją.

- Umarła? - Cyrus wydawał się wstrząśnięty.

- Nie. To znaczy, raczej nie. To kolejny powód, dla którego opuściłem pałac. Mam przeczucie, że jeśli bardzo się postaram, być może uda mi się ją odnaleźć.

Tor wzruszył ramionami i podał Cyrusowi bukłak z winem, a ten uniósł go w toaście.

- Za stracone dusze i odnalezioną miłość - rzekł, uśmiechając się w końcu.

Tor wykorzystał sytuację.

- Cyrusie, czy nie pogniewasz się, jeśli zapytam, co się dzisiaj stało? - Miał nadzieję, że wybrał właściwą chwilę. - Chodzi mi o to, dlaczego stałeś się taki milczący?

Marszałek westchnął przeciągle, opadł na posłanie i obrócił się plecami do majaczącego w oddali lasu.

- A ty tego nie czułeś? - zapytał.

- Czego?

- W takim razie może to tylko ja... - Cyrus zniżył głos niemal do szeptu. Przymknął oczy.

- Co to było, Cyrusie? - Tor bronił się przed lękiem, grzejąc dłonie przy podskakujących radośnie płomieniach ogniska.

- Wielki smutek. Jakby cała rozpacz, którą odczuwałem w ciągu tych wszystkich lat, cała ta melancholia, znów się przeze mnie przelewała... A potem to wszystko znikło.

- Znikło?

- Kompletnie. Pozostało tylko przemożne pragnienie ponownego wejścia do lasu. Boję się tego uczucia. Boję się tego, co się za nim kryje.

Tor także ułożył się na posłaniu.

- Clout bez wątpienia jest zadowolony z powrotu tutaj - rzekł pocieszająco.

- Jest coś jeszcze - wymamrotał Cyrus. - Przytłaczające poczucie... przeznaczenia.

*

Minął tydzień, odkąd ostatnio widziano marszałka. Herek przywykł do zmiennych

nastrojów Cyrusa; czasami lepiej było pozostawić go w spokoju. Miał skomplikowaną naturę, potrafił całymi dniami chodzić zamyślony - czasem nad przeszłością, czasem nad jakimś aktualnym zdarzeniem. Był człowiekiem rozważnym i rzadko podejmował pochopne decyzje.

Wydawało się, że i tym razem postanowił pobyt trochę sam. Herek nie zamierzał tego kwestionować. W końcu Cyrus był jego dowódcą. Gdy wrócili z południa, dowiedzieli się, że medyk Gynt wyjechał z pałacu na festiwal do Caremboche. Tego roku miał tam reprezentować rodzinę królewską zamiast Merkhuda, któremu szwankowało zdrowie.

W takiej sytuacji wysłanie Gynta było logiczne. Cyrus jednak dziwnie zareagował na tę wieść. Sposępniał, a potem popadł w ten swój ponury nastrój i żołnierze woleli go omijać szerokim łukiem. Dwa dni później oznajmił Herekowi, że ma do załatwienia jakieś osobiste sprawy na północy i kazał mu objąć komendę do czasu jego powrotu. Jednak cały ośmiodniowy tallinorski tydzień upłynął bez żadnych wieści od marszałka i kapitan zaczynał się niepokoić. Podczas patrolu dowódca wyglądał na zmęczonego. Narzekał, że źle śpi i wciąż nękają go jakieś sny. Wówczas Herek nie zastanawiał się nad tym zbytnio, ale teraz uświadomił sobie, że Cyrus rzeczywiście był jakiś nieswój.

Być może marszałek po prostu wziął sobie trochę wolnego. Ale taki profesjonalista jak on powiedziałby o tym swojemu zastępcy. Nie należał do ludzi, którzy znikają bez słowa pożegnania, a jednak tym razem to właśnie zrobił. Zabrał konia, trochę zapasów, spakował się byle jak i odjechał, nie pokłoniwszy się nawet parze królewskiej, co także było całkowicie sprzeczne z jego zasadami. Herek skłamałby, gdyby powiedział, że się nie martwi. Dlatego właśnie tego ranka poprosił o audiencję u króla.

Czekał w przedpokoju, aż go zaanonsują. Drake powitał go przy drzwiach i obwąchiwał mu obcasy, gdy oficer przechodził przez pokój, by pokłonić się nisko królowi Lorysowi.

- A, Herek. Witam. Napije się pan czegoś? Właśnie naszła mnie ochota na zimne piwo.

- Dziękuję, wasza wysokość... Nie na służbie.

- No tak. Słusznie. Prosił pan o spotkanie ze mną?

- Tak jest. - Żołnierz stanął na baczność.

- Niechże pan usiądzie, panie Herek. Spocznij. - Lorys wskazał mu krzesło.

Herek wolałby stać, ale usiadł, żeby sprawić królowi przyjemność. Pies przyczłapał i zwałił mu się na stopy, co było równie nieprzyjemne, jak niewygodne. Żołnierz odchrząknął.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytał król, nie przerywając podpisywania leżących na biurku papierów.

- Chodzi o marszałka, wasz wysokość.

Król podniósł głowę.

- O Cyrusa? A co z nim?

Herek nagle zaczął mieć wątpliwości, czy to był dobry pomysł. Pewnie Cyrus lada chwila wróci i będzie wściekły, że jego adiutant donosi na niego królowi jak stara, nadopiekuńcza ciotka.

Ponownie odchrząknął.

Lorys wlepił w niego wzrok.

- Gadaj, człowieku. Co cię gnębi? Co się stało z Cyrusem?

- Wyjechał, wasza wysokość.

- Dokąd? Dlaczego?

- Nie wiadomo, wasza wysokość.

Król odłożył pióro.

- Chce pan powiedzieć, że zniknął? Tak jak wtedy?

- Tak... To znaczy... niezupełnie, wasza wysokość. - Herek zaczął nerwowo szarpać kołnierz munduru. Przez tego przekłętą psa spocily mu się nogi. W ogóle nie powinien był tu przychodzić. - Wyjechał z własnej woli. Mówił, że chodzi o sprawy osobiste.

- Kiedy?

- Tydzień temu, panie. Ale to nie w jego stylu wyjeżdżać, nie zostawiając informacji, gdzie można go znaleźć, ani nie przysyłając listów.

- Zgadza się, Herek. - Król podrapał się po krótkiej bródce. - Zawsze się u mnie odmeldowywał, gdy opuszczał pałac. Pańskie obawy są uzasadnione.

W tym momencie obwieszczono przybycie Gotha. Herek chciał wstać, ale król gestem nakazał mu, by tego nie robił. Drake nawet się nie poruszył; warknął tylko, niezadowolony, że mu przeszkadzają.

- Przyślij go - rzekł król do swego sekretarza.

Goth natychmiast wszedł do komnaty, skłonił się służalczo Lorysowi i skinął głową Herekowi. Żołnierz, który nim gardził, z zadowoleniem powitał fakt, że Drake podniósł się i obwąchuje krocze zakłopotanego inkwizytora.

- Panie - odezwał się Goth, odpychając ogromny pysk psa.

Drake oddalił się, zadowolony z kawału, który płatał wszystkim nielubianym przez siebie osobom.

- Miłego dnia, Goth. Wcześniej się dziś pojawiłeś.

- Czyżbym przeszkodził waszej wysokości? Czy mam przyjść za chwilę?

- Nie. Przecież już wszedłeś. Prowadziłem właśnie zajmującą rozmowę z panem Herekiem. Podobno marszałek Cyrus zniknął.

Goth wlepił w Hereka spojrzenie swoich świńskich oczek. Były małe, ciemne i bez wyrazu.

- O rany, dwóch w jednym tygodniu. Najpierw Gynt, a teraz marszałek. Może są razem?

Lorys wstał i podszedł do okna. Herek wykorzystał tę okazję, by również się podnieść.

- Moim zdaniem to mało prawdopodobne, Goth - odparł król.

- Cóż, byli sobie dość bliscy. W dodatku wygląda na to, że obaj mają zwyczaj znikać, a potem odnajdywać się nawzajem - zauważył Goth.

Król skwitował ten łagodny żart uśmiechem.

- Ale Gynt udawał się do Ildagarth, a stamtąd do Caremboche, a Cyrus... mówił pan, że dokąd jechał? - zwrócił się do Hereka.

Herek nie chciał ujawniać wszystkiego w obecności inkwizytora.

- Powiedział tylko, że jedzie na północ, wasza wysokość. Nie podał szczegółów.

- Hm, północ, wasza królewska mość... Czyż można jechać dalej na północ niż do Caremboche? - zapytał Goth.

Król pokręcił głową.

- Nie miał powodu, by tam jechać. Ale zgadzam się, że sprawa jest zagadkowa. Dziękuję, panie Herek, że zwrócił mi pan na nią uwagę. Jeśli nie otrzymamy wieści w ciągu najbliższych dwóch dni, może pośle pan kilku swoich ludzi, by się czegoś dowiedzieli?

Herek skłonił się z ulgą.

- Wedle życzenia, wasza wysokość.

- Nie ma potrzeby, mój panie - wtrącił się Goth. - Ja sam wkrótce wyruszam na północ. Moi ludzie i ja z radością rozejrzemy się za Cyrusem. Powiem wręcz, że odkrycie miejsca jego pobytu będzie moim głównym celem. - Uśmiechnął się słodko, ale jego obłuda była dla Hereka niemal namacalna.

- No proszę, panie Herek - rzekł z zadowoleniem król.

Kapitan przez zaciśnięte zęby podziękował obu rozmówcom i wyszedł. Cyrus mu tego nie wybaczy. Modlił się, by marszałek wrócił, nim Goth będzie miał przyjemność oficjalnie go wytropić.

*

Choć dogasające palenisko dawało niewiele ciepła i światła wśród chłodu nocy, obaj mężczyźni zapadli w kamienny sen. Cloot natomiast był niespokojny. Siedział na drzewie nad

obozem i próbował się zabawiać obserwowaniem biegającej bez ładu i składu maleńkiej nornicy. Nagle jego wzrok przykuł jakiś ruch na skraju lasu. Był to początek cudu.

Tor! - wykrzyknął sokół w senny umysł przyjaciela, jak kamień spadając z gałęzi z trzepotaniem skrzydeł i wrzaskiem.

Cyrus natychmiast się zbudził i skoczył na równe nogi, wodząc dookoła nieprzytomnym spojrzeniem.

- Co u...

Zdumienie zamknęło mu usta.

Tor wyczołgał się z posłania i cała trójka w oszołomieniu patrzyła, jak między skrajem lasu a ich obozem zaczyna się snuć wąska, świetlista ścieżka.

Tor przypomniał sobie złote krople, którymi las skropił Cloota podczas transformacji. Oto i one, teraz jeszcze piękniejsze na tle atramentowoczarnej nocy. Ich strażnik, Darmud Coril z Serca Lasu, też tu był. Stał z rozpostartymi ramionami, a z koniuszków palców kapąło mu złoto. Powietrze dźwięczało, jakby tysiące szklanych dzwoneczków drżało na wietrze.

- Jak w niebie - westchnął Tor.

- Jak w domu - rzekł w rozmarzeniu Cyrus.

Musimy pójść tą ścieżką, Tor - powiedział Cloot cichym, podniosłym głosem.

Cyrus zdążył już ruszyć, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Cloot usadowił się na ramieniu Tora i obaj dogonili marszałka. Chłopak położył mu rękę na ramieniu. Wydawało się właściwe, aby cała trójka wkroczyła do Serca Lasu razem.

Żaden nie wiedział, czego się spodziewać, ale Tor każdym calem ciała czuł, że ma do czynienia z najpotężniejszym rodzajem mocy. Ciarki przebiegały mu po plecach. Ostatnim razem, gdy coś takiego się zdarzyło, stracił przyjaciela. Odsunął na bok tę myśl i skupił się na magii, starając się zapamiętać jej szczególny aromat.

Złote kropelki nadal dźwięczały, a gdy wędrowcy zrównali się wreszcie z Darmudem Corilem, ten wzniósł się nad nimi jak drzewo. Jego peleryna połyskiwała zmieniającymi się nieustannie barwami lasu, odcieniami zieleni i brązu. Długa, niemal ciągnąca się po ziemi broda migotała tęczą kwiatów, jakich jeszcze nigdy nie widzieli. Srebrzyste włosy też były ich pełne. Oczarowani goście wkroczyli do jego lasu i instynktownie padli na kolana, pochylając głowy.

Darmud Coril wyciągnął rękę i pogłaskał Cloota. Potem przemówił głębokim, miękkim głosem:

- Nasze serca radują się, że wróciłeś do domu, Cloot.

W milczeniu przeniósł dłoń na ramię Tora.

- Witaj znów, przyjacielu lasu.

Tor zmusił się, by podnieść głowę i spojrzeć w te łagodne zielone oczy.

- Dziękuję - tylko tyle zdołał wyszeptać.

Spaceruj pomiędzy nami bezpiecznie jak zawsze - zaszumiał w jego głowie Darmud Coril. Było to jak dotyk spadającego liścia.

Tor miał ochotę łkać ze wzruszenia. Oparł się pokusie sięgnięcia swoją magią w głąb magii boga, ale jego pamięć precyzyjnie odnotowała jej kształt, by już nigdy go nie zapomnieć.

Potem przyszła kolej na Cyrusa. Tor czuł, jak przyjaciel drży.

Bóg przemówił ponownie:

- A... Cyrus. Serce Lasu świętuje twoje życie i to, że twój duch jest znów wśród nas. Czy słyszysz Płomienie Firmamentu? Śpiewają dla ciebie, Kyrie Cyrus. Witają cię w domu.

Jego życzliwy, szczery głos nappełnił Cyrusa smutkiem. Żołnierz zapłakał cicho.

- Ciii... - uspokajał go Darmud. - Nic ci tu nie grozi, synu.

Żaden z nich nie rozumiał słów Darmuda Corila, wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że dzieje się coś niezmiernie ważnego. Później Tor przeklinał swoją głupotę, a Clout uparcie twierdził, że nie mogli się tego domyślić. Na razie trzej towarzysze czuli się bezpieczni wśród miłości i radości, jaką emanował Wielki Las i samo Serce.

Zapadli w głęboki sen. Gdy się zbudzili, zobaczyli obok siebie mnóstwo jedzenia. Clout wyjaśnił Torowi niektóre z zasad lasu.

Będą nam wszystko dostarczać. Nie mamy zabijać żadnych stworzeń ani zrywać owoców z drzew czy krzewów. Nie wolno nam łowić ryb w leśnych strumieniach ani palić tutejszego drewna.

Zamilkł, by Tor mógł przekazać jego słowa Cyrusowi.

- Kto nam to wszystko przynosi? - zapytał Tor.

Las - odpadł po prostu Clout.

Tor znów zwrócił się do Cyrusa, ale ten machnął ręką.

- Nie musisz. Domyślam się, co powiedział. Niech kontynuuje.

Clout z powagą nastroszył pióra.

Panowie, przedstawiam wam Solyanę.

Na polanę wkroczyła we właściwym swemu gatunkowi majestatycznym milczeniu wielka wilczyca o srebrzystym futrze z białymi plamkami. Inaczej niż w przypadku innych wilków jej oczy były lśniącoczarne i nieprzeniknione. Szybkim krokiem zbliżała się ku nim. Obaj ufali Cloutowi, ale Cyrus na wszelki wypadek sięgnął po miecz i przekonał się, że nie

ma go u boku.

Wilczyca przemówiła do umysłów całej trójki. Dla Cyrusa było to nowe doświadczenie. Miał wrażenie, jakby do głowy wdarło mu się lodowate ostrze. Spazmatycznie wciągnął powietrze.

Miała aksamitny głos.

Jestem waszą przewodniczką. Razem będziemy przemierzać las, by za kilka dni wyłonić się w pobliżu celu twojej podróży, Torkynie.

Ależ to niemożliwe. Przecież jesteście ciągle o cztery dni drogi od Ildagarth.

Gdyby wilki potrafiły się uśmiechać, Solyana by to zrobiła. Jej inteligentne oczy zaśniły wesoło.

W Sercu Lasu nie potrzeba koni ani pomiarów odległości. Zaufaj mi, Torkynie. Zaprowadzę cię, dokąd zechcesz, o wiele szybciej niż tradycyjne środki transportu i zwykłe drogi.

Tor skinął głową. Rozumiał, że musi zaufać magii lasu. Poza tym już zdążył polubić Solyanę i zachwycała go myśl o podróży w towarzystwie wilka... w dodatku tak ogromnego.

- A więc to tak rozmawiacie? - odezwał się Cyrus. Jego zdumienie wywołało uśmiech na twarzy Tora. - Mogę spróbować? - zapytał żołnierz wilczycę.

Odpowiedziała jedwabistym głosem wprost do jego głowy:

Muszę cię uświadomić, że łącza można używać tylko wtedy, gdy jest się sprzężonym. Ty, Kycie Cyrus, nie jesteś sprzężony. Ale tu, w Sercu Lasu, panuje osobliwa magia. Spróbuj. Jeśli chcesz.

Cyrus skłonił się wilczycy uprzejmie, po czym zacisnął powieki. Wyglądał, jakby go coś bolało. Tor parsknął śmiechem.

- Śmiej się, draniu - powiedział Cyrus na głos, ale wesołym tonem. - Nie masz pojęcia, jakie to frustrujące, gdy wy wszyscy sobie gadacie bez mojego udziału.

- Cloot twierdzi, że wie, co próbowałeś nam powiedzieć.

Cyrus zaprzestał wysiłków i spojrzał wyczekująco na Tora.

- Podobno mówiłeś o tym, jaka łatwa byłaby wojna, gdybyś mógł się porozumiewać ze swoimi ludźmi poprzez łącze.

Cyrus sprawiał wrażenie zdumionego.

- Skąd on może to wiedzieć? Słyszałeś mnie, przeklęty ptaku?

- Mówi, że po prostu zgadł - rzekła Tor, wzruszając ramionami.

Solyana powróciła do udzielania im wskazówek.

Proszę, jedźcie do woli. Czeka nas dzisiaj długa podróż, ale nie będziemy się spieszyć.

A nasze rzeczy, Solyano? Czy mamy się przepakować, żeby móc nieść bagaże?

Dziękuję, Torkynie. Zapomniałabym. Nie, zostawcie wszystko. Zajmiemy się bagażami. Niczego nie potrzebujecie. Las będzie was żywił, kąpał, ogrzewał i dawał poślanie. Jest waszym gospodarzem, a wy jego gośćmi.

Zauważyła, że Cyrus chce o coś zapytać i odpowiedziała, nim zdążył się odezwać:

Wasze konie są w dobrych rękach i zostaną wam zwrócone, gdy dotrzesz do północnego skraju lasu, Torkynie.

Cyrus był trochę zirytowany faktem, że wilczyca rozmawia o podróży wyłącznie z Torem, ale przemilczał to. Pokiwali głowami i zamiast deliberować nad swoim dziwnym położeniem, zajęli się napełnianiem pustych żołądków.

Tor usmażył rybę nad małym ogniskiem, rozpalonym przez Cyrusa z dostarczonego chrustu i podpałki. Zjedli smakowite, nieznanne im dotąd jagody oraz suszone orzechy i wypili dziwny napój, który Solyana nazywała mlekiem gurgona.

- Nawet nie pytajmy - rzekł Cyrus, sącząc gęsty płyn koloru masła.

- Dobrze - stwierdził Tor, oblizując wargi. - Jak myślicie, co to takiego ten gurgon?

Lepiej nie zgadujmy - dołączył do dyskusji Clout, czyszcząc dziób ze świeżego mięsa, które mu pozostawiono. - *Pyszna popielica, mniam!* - rzucił prowokacyjnie w stronę Tora, a ten wzdrygnął się, sprawiając mu tym dziką satysfakcję.

Solyana zapewniła ich, że nie muszą się martwić bałaganem.

Wiem, wiem - powiedział Tor. - *Las się tym zajmie.*

Z przyjemnością wsłuchiwał się w jej dźwięczny śmiech w głowie.

Wyruszyli w dobrych humorach. Clout leciał chyżo nad drzewami, Solyana kroczyła dostojnie pomiędzy stawiającymi długie kroki mężczyznami. Po drodze umilali sobie czas opowieściami. Solyana mówiła o życiu w lesie, a Cyrus po raz pierwszy miał okazję wysłuchać historii Tora od momentu, w którym ten był świadkiem ceremonii ujarzmiania w Twyfford Cross.

Mimo iż dni na północy były znacznie chłodniejsze, tym bardziej, że zbliżała się zima, żaden z nich nie potrzebował ciepłej odzieży. W lesie panowało przyjemne ciepło, a motyle, których pobratymcy nawet w południowych krajach zasnęli już na zawsze, fruwały radośnie wśród poszycia. Zmierzch zapadł późno, lecz błyskawicznie; z nadejściem nocy las przybrał bardziej posępne oblicze.

Czy to miejsce na biwak odpowiada wam? - zapytała uprzejmie Solyana.

Cyrus zauważył leżące pod jednym z drzew jedzenie. Gwizdnął przeciągle i pokręcił głową ze zdumieniem.

- Powiedz jej, że jest idealne. Dzięki.

Najwyraźniej zrozumiała bez pomocy Tora. Życzyła całej trójce przyjemnej nocy i zniknęła w gąszczu. Cyrus zajął się rozniecaniem ognia, a Tor zaczął wybierać spośród dostarczonej żywności coś na kolację.

Nie potrzebowali posłań. Gąbczaste podłoże lasu było dostatecznie wygodne i tym razem Cloot całkowicie się rozluźnił, odpływając w ptasi sen, podczas gdy dwaj mężczyźni rozmawiali cicho po posiłku. Tor zgodził się zaśpiewać i wybrał wesołą piosenkę o mężczyźnie kochającym wszystkie kobiety, która rozbawiła Cyrusa. Miło było znów słyszeć jego śmiech.

Wkrótce obaj zasnęli głębokim snem.

Następny dzień wyglądał podobnie. Ledwie zdążyli się posilić, nadeszła Solyana. Przez cały dzień szli spokojnie, bez przygód, prowadzeni przez wilczycę na północ ścieżką, która zdawała się wyłaniać z nicości na kilka kroków przed nimi.

W odróżnieniu od poprzedniego wieczoru nie czuli zmęczenia, gdy dzień dobiegł końca, i w doskonałych humorach ułożyli się do snu w bezpiecznej kryjówce lasu.

Tej nocy jednak obaj mężczyźni śnili.

HISTORIA ORLACA

We śnie Tora odwiedziła Lys. Nie był wstrząśnięty ani zdumiony tym, że wreszcie się ujawniła. Wprawiło go to raczej w zadowolenie. Miał do niej wiele pytań.

Początkowo nie odzywała się. Wciąż pogrążony we śnie Tor czuł, jak ukryte w zawieszonym na jego szyi mieszku kamienie jarzą się olśniewającymi barwami. I odczuwał moc. Ogromną moc.

Witaj, Lys.

Jestem wzruszona, że mnie rozpoznałeś - odparł głos delikatny jak płatek śniegu.

Czekałem na ciebie - kontynuował, zdumiony własnym spokojem.

Przykro mi, że dopiero teraz się ujawniam, Tor.

Podobało mu się, że nazywa go Torem.

Wyjaśnij mi parę rzeczy?

Najlepiej, jak mogę w tej chwili - szepnęła łagodnie. - *Pytaj, Torze Gynt.*

Od jak dawna mnie znasz?

Całe życie. Nawet zanim się urodziłeś.

Zignorował cisnące mu się na usta słowa protestu.

Ludzie, którzy mnie wychowali, Jhon i Ailsa Gyntowie, są opiekunami, a nie moimi prawdziwymi rodzicami.

Czy to pytanie? - zapytała łagodnie.

Zawstydzony, spróbował raz jeszcze.

Kim są moi prawdziwi rodzice?

Ojciec ma na imię Darganoth, a matka Evagora.

Są Obdarzonymi?

Tak. - W jej głosie pobrzmiwała wesołość wywołana jego pytaniem.

Mówiono mi, że nie żyją. To prawda?

Lys spoważniała.

Nie.

Tor był wstrząśnięty. Postanowił na razie nie drążyć tego tematu.

Ale zawsze będą cię kochać - dodała.

Tor kontynuował dochodzenie.

A Alyssa? Żyje?

Lys odpowiedziała entuzjastycznie.

Tak. Jest bardzo piękną kobietą.

Czy czasem o mnie myśli? - zapytał wbrew sobie.

Kiedys nie potrafiła przeżyć dnia bez myśli o tobie. Teraz wspomina cię rzadko i niechętnie. Wiedzie nowe życie.

Więc kocha innego? - Nawet po pięciu latach ból był nie do zniesienia.

Tego nie powiedziałam. Od rozstania z tobą Alyssa nie kochała w ten sposób żadnego mężczyzny. Jest jednak zadowolona z życia, które wie.

Czy mogę ją odnaleźć? Pomożesz mi?

Odpowiedź na oba pytania brzmi: tak. Tor, jest coś, czego musisz się dowiedzieć, nim się zbudzisz.

Wiedząc, że chce jej zadać jeszcze mnóstwo pytań i nie mając gwarancji, że kiedykolwiek otrzyma kolejną szansę, kontynuował pospiesznie.

Dlaczego jestem taki niezwykły, Lys?

Wszyscy jesteśmy niezwykli, Tor.

Dureń! Był wściekły na siebie za ten nietakt.

Czy jest mi przeznaczone coś szczególnego, Lys?

Bez wątplenia.

Opowiesz mi o tym?

Niech to będzie twoje ostatnie pytanie, chłopcze. Pozwól, że zamiast odpowiedzieć, coś ci pokażę.

Twarz śpiącego Tora owiała bryza, a wokół niego skupiła się mgła. Nagle zrobiło się chłodno. Gdy opary się rozwiały, Tor ujrzał przed oczami pałac, bardziej okazały, niż mógłby sobie wyobrazić. Przemieszczał się jego marmurowymi korytarzami, zaglądał do wspaniałych sal i komnat. Wszyscy w pałacu byli niezwykle piękni. Kształty, wymiary, kolory - ci ludzie byli po prostu cudowni. Ale choć Tor widział tak wiele, nie słyszał żadnego dźwięku.

Teraz przyglądał się zalanej światłem sali o wielu sklepionych oknach, imponującej mozaice podłogowej i wysokich, marmurowych kolumnach. Ujrzał kobietę, która urodziła właśnie złotowłosego chłopczyka. Niemowlę płakało, a kobieta łkała ze szczęścia, przyciskając do serca przepiękne dziecko i nie pamiętając już o towarzyszącym porodowi bólu. Nagle do komnaty wbiegł wysoki mężczyzna. Akuszerki szybko przykryły nieumyte

ciało kobiety i padły na kolana, pochylając głowy przez przybyszem.

Miał ciemne, kręcone włosy i błyszczące niebieskie oczy. Ukląkł przy łóżku, pogłaskał lniane włosy kobiety i z wyrazem dumy na pięknej twarzy łagodnie wziął na ręce swojego nowo narodzonego syna.

Nagle Tor znalazł się na zewnątrz. Zobaczył trębaczy, choć nie mógł usłyszeć ich trąb. Przed pałacem zebrał się tłum ludzi. Para pojawiła się na balkonie; ojciec trzymał na rękach synka, nieco już większego. Ludzie klaskali i wiwatowali. Tor zauważył, że para staje się coraz bardziej spięta, tłum bowiem nie malał, a prośby o pokazanie dziecka powtarzały się w nieskończoność.

Domyślił się, że chłopczyk jest księciem. Król i królowa najprawdopodobniej nie mieli innych dzieci, stąd histeria poddanych towarzysząca narodzinom potomka.

Świetnie - usłyszał w głowie szept Lys.

Potem zauważył, że matka płacze. Tłumaczyła coś królowi, a on kiwał głową. Następnym obrazem ukazał mu parę królewską spacerującą wraz z dzieckiem po uroczym, zalanym słońcem lesie. Przechadzali się tylko we troje, bez dworzan, szczęśliwi, że w końcu dano im spokój. Dziecko podrosło. Było już dorodnym chłopczykiem i gaworzyło wesoło w ramionach matki.

W przodzie zamajaczyła nagle polana, jeszcze piękniejsza niż las, po którym spacerowali król i królowa. Zatrzymali się. Ich zdumienie zmieniło się w ciekawość... w każdym razie tak było z królem. Królowa zachowała większą ostrożność.

Tor wiele by dał, by usłyszeć ich rozmowę, ale mógł tylko patrzeć. Płynął tam strumyk o roziskrzonej, niewiarygodnie jasnej wodzie. Kwiaty, jakie mogły istnieć chyba tylko we śnie, kołysały się wdzięcznie na lekkim wietrzyku. Żałował, że nie może poczuć ich upojnego, egzotycznego zapachu.

Król łagodnie pociągnął królową ku polance. Tor wyczuł niebezpieczeństwo; chciał do nich krzyknąć, by tam nie szli. Lys uspokoiła go. Było to jak dotyk puchu, który pojawił się na moment i zniknął.

Pokazuję ci coś, co wydarzyło się dawno, dawno temu, Tor.

Po co?

Bo musisz to wiedzieć.

Ale jak...

Ciii... Patrz!

Rodzina królewska była już na polanie. Chłopczyk siedział pomiędzy nogami ojca. Tor zwrócił uwagę na kontrast pomiędzy nimi; nie wyglądali na spokrewnionych. Chłopiec

miął złote loczki i fioletowe oczy, podczas gdy włosy króla były niemal czarne, a oczy błękitne.

Lys, tu się stanie coś złego. - Tor ledwie śmiał patrzeć.

Lys milczała. Tor poczuł ucisk w żołądku, widząc, jak królowa kładzie się na ziemi. Król już drzemał; wkrótce potem i ona usnęła.

Uwaga Tora przeniosła się teraz na dziecko, które oddaliło się od rodziców, zbierając kwiatki. Chłopczyk był śliczny; Tor wyobrażał sobie, że wyrośnie z niego przystojny mężczyzna. Nic dziwnego, że jego rodzice byli tacy dumni. Zapowiadał się na idealnego księcia i dziedzica tronu... gdziekolwiek ten się znajdował.

Nie wiedział, do kogo należy ręka, która wychynęła z cienia za plecami dziecka. Chłopczyk był zbyt zajęty, by ją dostrzec. Matka ocknęła się gwałtownie i rozejrzała niespokojnie, wykrzykując unię męża, by go obudzić. I właśnie wtedy, gdy odnalazła wzrokiem syna, wyciągającego ku niej bukiet złożony z trzech kolorowych kwiatów, intruz złapał dziecko i zaczął je przeciągać przez szarą, zamgloną dziurę.

Tor znalazł się po jej drugiej stronie i z przerażeniem obserwował, jak złodzieje - pół ludzie, pół zwierzęta - wybiegają z małego zagajnika i pędzą pokrytą pyłem drogą. Śmiali się radośnie, trzymając księcia w ramionach.

Tylko przez krótką chwilę Tor widział przez przejrzystą, lśniąca zasłonę królową, która opadła bezwładnie na kolana, i wykrzywioną bólem piękną twarz króla. Potem znów ujrzał złodziei, tym razem jednak w innych strojach i innym miejscu. Położyli tobolek pod krzakiem i szybko weszli do pobliskiej gospody. Bez wątpienia byli tam obcy, ale nikt spośród obecnych nie wydawał się dostrzegać w nich nic niezwykłego. Złodzieje szybko wypili po kuflu piwa, po czym jeden z nich wskazał rozwalonego przy stole mężczyznę. Drugi wyszczerzył zęby. Podeszli do niego, prawdopodobnie pytając, czy mogą się przysiąść. Chyba nie odpowiedział, ale i tak usiedli. Tor odniósł wrażenie, że ten mężczyzna kogoś mu przypomina. Miał zapadnięte, nabrzmiałe bólem oczy i najwyraźniej topił swoje smutki w piwie.

Przez chwilę cała trójka rozmawiała, a zachowanie mężczyzny wskazywało na to, że jest coraz bardziej zainteresowany rozmową. Rozejrzeli się ostrożnie, po czym ten trzeci stuknął się knykami z jednym ze złodziei. Tor przypomniał sobie, że wiele wieków temu takim gestem wyrażano wiele rzeczy, od powitania po przypieczętowanie transakcji.

Wyglądało na to, że dokonano tego ostatniego.

Mężczyzna poszedł za złodziejami. W ciemnościach, nerwowo oglądając się za siebie, podali mu pakunek. Znajomo wyglądający człowiek odchylił koc. Jego twarz złagodniała i

wykwitł na niej uśmiech, który Tor znał, lecz nie potrafił umiejscowić.

Mężczyzna wygrzebał spod ubrania mieszki i rzucił go złodziejom, którzy ulotnili się w mgnieniu oka.

Potem Tor zobaczył go wchodzącego do domu. Była tam jakaś kobieta. Uniosła dłoń do ust, by stłumić wrzask. Mężczyzna mówił coś szybko, wkładając jej dziecko w ramiona.

Tor znów doznał uczucia, że zna tego mężczyznę. Nie rozpoznawał go, a jednak tak bardzo mu kogoś przypominał... Przyglądał się, jak para tkliwie pieści i całuje chłopczyka, zupełnie tak, jak chwilę wcześniej robili to jego prawdziwi rodzice.

Obraz zamigotał, powróciła mgła i Tor znalazł się sam na sam z Lys. Bardzo chciał się dowiedzieć, co się stało z dzieckiem.

Miałeś rację, Tor. To książę. Ale nie taki zwykły. To książę Hostii.

Bogów? - zapytał z niedowierzaniem Tor.

Tak - odrzekła Lys. - Istnieje zjawisko znane jako Polana. Samo wybiera, gdzie, kiedy i komu spośród Hostii ma się ukazać. Jest to miejsce o wielkim stężeniu magii, a Hostia ostrzega swoich ludzi, by nigdy nie dawali się wciągnąć Polanie. Król powinien był o tym pamiętać... I pamiętał.

To bogowie, Lys! Dlaczego nie potrafili uchronić swego syna?

Bo bogom i ich wielkiej mocy nie wolno przenikać do innych wymiarów. Mogłoby to zburzyć równowagę obu światów, pomiędzy którymi doszłoby do wymiany, i zniszczyć ich tworzywo.

Dlaczego zatem dziecko nie wywołało zamieszania?

Ależ wywołało. - Westchnęła. - Muszę ci jednak coś wyjaśnić. Niemowlę nie jest świadome swojej mocy. Jest także zbyt małe, by móc wiele zdziałać. Przeniesienie chłopca niewiele zmieniło w świecie, do którego trafił. Gdyby jednak król i królowa zrobili cokolwiek, zamiast przyglądać się beczynnemu, teraz ich świat by umierał. Podobnie jak twój - tłumaczyła.

A złodzieje, którzy przeciągnęli chłopca na drugą stronę?

Zwą ich Padlinożercami. Należą do rasy, która żyła z ochłapów pozostawianych przez inne. Włóczędzy bez własnej ziemi. Drobne złodziejzki. Wymarli na przestrzeni wieków.

A co z chłopcem?

Westchnęła.

Dorastał nieświadomy swojego pochodzenia. Rodzice, którzy także go nie znali, zdecydowali się nie mówić mu, że nie jest ich rodzonym synem.

Posiadał moc?

Ogromną. Na szczęście ci ludzie także byli Obdarzonymi; szczególnie ojciec świetnie posługiwał się magią. Musisz zrozumieć, że w tych czasach panowała ogromna harmonia i tolerancja, Obdarzeni żyli szczęśliwie obok zwykłych ludzi, a inkwizycja nie istniała.

Tor nie potrafił sobie wyobrazić świata bez inkwizycji.

Lys kontynuowała pospiesznie.

Wyrósł na gniewnego młodzieńca, nie wiedział jednak, dlaczego tak jest. Rodzice doszli do wniosku, że najlepiej będzie go posłać do Akademii, znajdującej się w miejscu znanym wówczas jako Złoty Kamień, a obecnie jako Caremboche. Został uczniem wielkiego czarodzieja Joromiego. Przez rok czy dwa wszystko wydawało się w porządku, później jednak nauka zaczęła nudzić i drażnić księcia. Był znacznie potężniejszy, niż ktokolwiek sobie wyobrażał i kiedy tylko dojrzał na tyle, by to zrozumieć, zaczął używać magii przeciwko harmonii Akademii.

Nie potrafili temu przeciwdziałać. Chłopak stał się zbyt nieprzewidywalny, zbyt niebezpieczny. Rada Mistrzów uchwaliła ryzykowny plan połączenia się i stłumienia mocy ucznia wspólnymi siłami. Nigdy przedtem tego nie próbowano - nigdy nie było to potrzebne - gdyby jednak zdołali wykorzystać pradawną teorię i wyciszyć moc chłopca, zyskaliby na czasie, by zastanowić się, co robić dalej.

Chłopak dowiedział się o planie. Lata gniewu znalazły wyraz w strasliwym zniszczeniu Złotego Kamienia.

Zburzył miasto? - Gdyby Tor miał w tej chwili otwarte oczy, z pewnością zabłyśłyby podziwem.

I w ciągu kilku chwil zabił ponad dwa tysiące ludzi - odparła ze smutkiem Lys. - Ale zbyt długo już gadam, Tor. Pozwól, że szybko dokończę tę opowieść. Odwiedziłam ziemskiego ojca chłopca i poinformowałam o tym, co się stało. Wstrząs niemal go zabił.

Powiedziałam mu, że jego syn jest księciem bogów, uwięzionym w świecie śmiertelników. Obmyśliśmy śmiały plan. Ojciec zwabił syna do położonego niedaleko Złotego Kamienia miejsca zwanego Runem, jednego z nielicznych portali, przez które mogliśmy się komunikować z Hostią. Tam opowiedział chłopcu jego historię i zmusił go, by porozmawiał ze swymi prawdziwymi rodzicami. Była to z naszej strony strasliwa zdrada. Nie chodziło o rozmowę. Hostia połączyła się z nami i, używając ojca jako medium, dokonała zdumiewającego, złożonego stłumienia mocy. Nigdy nie zapomnę krzyku rozpacz syna, gdy ten zorientował się, co z nim robią - zakończyła Lys.

A nie mógł po prostu...

Wrócić? - zapytała.

Właśnie.

Tor usłyszał jej westchnienie.

Jak już mówiłam, przechodzenie z jednego świata do drugiego jest zbyt niebezpieczne. Zamiast tego Hostia poddała księcia najpotężniejszemu ze swoich czarów. W pewnym sensie chroniła go dzięki temu.

Tor zmarszczył brwi.

Kim jesteś, Lys?

Miał wrażenie, że się uśmiechnęła.

Krążę pomiędzy światami, Tor. Nie należę ani do Hostii, ani do twojego ludu. Jestem czymś w rodzaju strażniczki światów. Pomagam zachować równowagę.

Tor domyślał się, że to nie wszystko, ona jednak rozważnie dobierała słowa.

Zgromadziłam dziesięciu strażników, po jednym z każdego z głównych plemion żyjących w owym czasie w czterech królestwach. Nazwałam ich paladynami. Zabrali księcia, znajdującego się w zaczarowanym więzieniu ze światła, w ukryte miejsce.

Chcesz powiedzieć, że on wciąż żyje?

Tak. Paladynowie pilnują go, ale tracą siły. Księżę od wieków toczy bój z magią Hostii i wytrzymałością oraz mocami swych strażników. Powoli zaczyna zwyciężać w tym pojedynku. Nie wie, co to litość. Karmi się własną nienawiścią, rozpaczą z powodu zdrady obu ojców i żądzą odwetu.

Tor przełknął ślinę..

Uwolni się?

Niemal na pewno. I powróci do Tallinom, by dokończyć to, co rozpoczął.

Lys - Tor oddychał ciężko, ogarnięty paniką - dlaczego opowiadasz mi tę historię?

Bo musisz go powstrzymać, Torkynie Gynt - odrzekła, oddalając się.

Zaczekaj! - zawołał. - Jak on się nazywa?

W twoim świecie znany jest jako Orlac.

Tor czuł, że Lys go opuszcza. Na skraju umysłu majaczyła już świadomość. Budził się.

Lys... Proszę, zdradź mi imię jego ziemskiego ojca. Muszę je znać.

Jej szept dobiegał z bardzo daleka.

Nazywa się Merkhud.

Tor obudził się.

*

Cyrus także śnił. Lys przyszła do niego i przemawiała łagodnie, jak kochanka.

Solyana wkrótce po ciebie przyjdzie, mój dzielny żołnierzu.

Muszę za nią iść? - W jego głosie pobrzmiwał żal.

To twoje przeznaczenie - odparła.

Chciałbym zostać blisko Tora.

Nie, Cyrusie. Na razie musicie się rozdzielić. On ma swoją ścieżkę, a ty swoją. Teraz czeka cię o wiele poważniejsze zadanie. To najcenniejszy dar, jaki od nas otrzymasz.

Boję się, Lys. Wiele razy stawiałem oko w oko ze śmiercią, ale tym razem się jej lękam.

Twoim przeznaczeniem nie jest śmierć, Przyjacielu Serca Lasu. Musisz długo żyć. Las przyjmuje cię jako swojego. Kocha cię. Byłeś silnym i szczerym paladynem. Teraz zostało ich tylko trzech. Wkrótce Orlac się uwolni. Musimy zrobić pewne rzeczy, nim on je uczyni. Twoje zadanie będzie najważniejsze ze wszystkich.

Cyrus nie miał pojęcia, o czym mówi Lys, choć na wzmiankę o paladynach obudziło się w nim jakieś odległe wspomnienie.

Lys... - Ze zdumieniem usłyszał w swoim głosie strach. - Kim ja jestem?

Jednym z paladynów. Strażnikiem. Ona tu jest, Cyrusie. Bądź spokojny. Ona też cię kocha.

Rozejrzał się po polanie. Zobaczył Tora, skulonego na ziemi obok, i wszystkie znajome rzeczy. Dostrzegł także Solyanę, która stała w milczeniu, spoglądając na niego nieskończenie przyjaznymi oczyma.

Przylądziesz się do mnie? - Jej łagodny ton pokrzepił go.

Żegnaj, Cyrusie! - zawołała Lys.

Zapomniał, czego chciał się dowiedzieć. Uleciało mu to z pamięci, gdy Solyana się odezwała. Zamiast tego ruszył powoli za nią, mając wrażenie, że ledwie dotyka stopami miękkiej ściółki. Solyana stąpała w milczeniu zaledwie krok czy dwa przed nim. Cyrus położył dłoń na grubym srebrzystym futrze pokrywającym jej grzbiet. Nie protestowała. Prowadziła go ścieżką, która rozwijała się przed nimi, aż wkrótce znaleźli się daleko od Tora. Cyrus miał nadzieję, że Cloot ich widzi, ale coś mu mówiło, że ptak nie zauważy jednak jego odejścia.

Westchnął, gdy ścieżka ze snu zawiodła go na polanę. Powietrze pachniało przyjemnie, jakby tysiąc kwiatów nagle uwolniło swój aromat specjalnie dla niego.

Nad polaną rozpościerały się korony drzew z gęstym listowiem, a wszędzie wokół tańczyły i dźwięczały wesoło Płomienie Firmamentu. Pośrodku stworzonego przez nie kręgu stał Darmud Coril. Wokół niego zgromadziły się stworzenia Serca Lasu, wszystkie obdarzone mocą. Przyszły, by wziąć udział w ceremonii.

Cyrus czuł, jak w jego ciało wsącza się spokój. Tętno stało się powolniejsze, a oddech głębszy. Uświadomił sobie, że ma otwarte oczy i spojrzał w dół, by ujrzeć swoją dłoń zagrzebaną w futrze Solyany. Wilczyca odwróciła się i popatrzyła na niego ze spokojem, który pokrzepił go jeszcze bardziej.

Witaj w naszej rodzinie, Cyrusie - powiedziały zwierzęta wprost do jego umysłu.

Zapłakał z radości, że znalazł swoje miejsce.

Darmud Coril zaczął czekać, aż żołnierz się uspokoi. Gdy Cyrus zebrał się na odwagę, by spojrzeć w jego łagodne oczy, opuścił go wszelki strach, ustępując miejsca uniesieniu. Cyrus uśmiechnął się, a bóg Serca Lasu odpowiedział tym samym.

Broczyłeś krwią pośród nas, Kycie Cyrus. Jesteś bratem stworzeń Serca Lasu, a bogini Lys mianowała cię obrońcą. - Darmud Coril mówił cicho, lecz wyraźnie.

Zaległa cisza. Nawet płomienie przestały dźwięczeć. Żaden liść się nie poruszał.

Obrońcą czego, Wszehpotężny? - zapytał Cyrus, marszcząc brew.

Obrońcą kogo - poprawił łagodnie bóg. - *Dowiesz się więcej w swoim czasie, synu. Teraz wiedz tylko, że zostałeś wybrany. Jesteś cenny. Na razie to my ciebie chronimy.*

Potem Darmud Coril zwrócił się do swoich stworzeń.

Zróbcie mu miejsce w swoich sercach, dzieci moje.

Cyrus patrzył, jak płomienie strzelają wysoko i płoną jaśniej niż kiedykolwiek, znów podzwaniając czysto wśród nocnej ciszy.

Stworzenia skupiły się wokół kręgu światła i Cyrus, wciąż zaciskający palce na futrze Solyany, został przywitany i wchłonięty przez Pierścień Serca Lasu. W ostatnim momencie doznał olśnienia.

A, to dlatego zwracałaś się tylko do Tora, gdy mówiłaś o naszej wędrówce przez las. Ja tu zostaję.

Niestety, nikt usłyszał jego myśli, gdyż Cyrus nie był sprzężony...

Jeszcze nie.

*

Tor zbudził się nagle. Pamiętał wszystkie sceny, które pokazała mu we śnie Lys, a także wstrząsającą wiadomość o Merkhudzie. Pokręcił głową z niedowierzaniem, ale wiedział, że to bez sensu. Lys nie miała powodu, by go okłamywać.

Cloot usiadł na ziemi przed nim. Pióra miał w nieładzie.

Cyrus odszedł.

Tor rozejrzał się wokół.

Jak to odszedł?

Po prostu. Nie ma go. Poszedł sobie.

Dokąd? - Tor nie zdołał się powstrzymać.

Tor, gdybym to wiedział, nie spędziłbym tych wszystkich godzin, które minęły od świtu, na lataniu po całym lesie. Cyrus nas opuścił.

Tor podniósł się gniewnie.

Przecież to śmieszne. Dlaczego miałby odchodzić? Dlaczego miałby zniknąć bez słowa? No i dokąd poszedł?

Właśnie. Już ze sto razy zadałem sobie te same pytania.

Prawda była taka, że sokół sam nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Był przekonany, że czuwał przez większość nocy, a słuch miał świetny; nawet jeśli przysnął, obudziłby go najlżejszy dźwięk.

Tor przeczesał włosy dłonią i rozglądał się wokół bezradnie, jakby jego niepokój mógł przywołać Cyrusa z powrotem.

Wtedy pojawiła się Solyana.

Nie frasuj się, Torkynie - rzekła, rozwiewając część ich obaw. - Kyt Cyrus jest bezpieczny. Odnalazł swoje miejsce.

A gdzie się ono znajduje, jeśli łaska? - zapytał sarkastycznie Clout. Tor zerknął na niego spode łba.

W Sercu Lasu, przyjacielu Clout. Zeszłej nocy został oficjalnie przyjęty.

Tor przygryzł wargę i poczuł smak krwi. A więc Lys zabrała mu kolejnego przyjaciela. Co za dureń z niego. Mógł być to przewidzieć, gdy witały ich Płomienie i Darmud Coril.

Solyano, czy chcesz przez to powiedzieć, że Cyrus tu zostaje? Nie pójdzie dalej z nami?

Zgadza się.

Przeszył go dreszcz niepokoju.

Dlaczego?

Bo tak musi być. Bo Lys go wybrała. Bo Darmud Coril przyjął go do Serca Lasu. Bo - powiedziała tęsknie - takie jest jego przeznaczenie.

Tor połączył się z Clotem, by Solyana nie mogła go usłyszeć.

Cyrus mówił o tym, nim weszliśmy do lasu. Bał się. Powiedział, że czuje zew przeznaczenia.

Clout usiadł Torowi na ramieniu. Dotyk dawał im poczucie bezpieczeństwa.

W takim razie musimy się z tym pogodzić. Skoro Lys wybrała dla niego taką drogę,

musi to być część tej złożonej pajęczyny, którą tka.

Jak możesz być dla niej tak pobłażliwy, Cloot? - zapytał Tor, zerkając na czekającą cierpliwie Solyanę.

To dlatego, że jestem tym, czym jestem. Byłem kalekim wrakiem człowieka, a ona zamieniła mnie w sokoła. Wierzę w magię Serca Lasu. Ono daje nam schronienie i miłość. Ufam mu. Skoro Lys jest tu mile widziana, to znaczy, że i jej nie musimy się obawiać. Zaufajmy jej. Wiemy, że Cyrusowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Wtedy odezwała się wilczyca.

Może chcecie coś przekąsić - zasugerowała uprzejmie, zerkając na leżące na obrusie z liści jedzenie. - Potem musimy iść dalej. To będzie ostatni dzień naszej wspólnej podróży. Dziś wieczorem dotrzemy do Ildagarth.

XANTIA

Alyssa minęła Xantię przy wyjściu z jadalni Akademii. Południowy posiłek jak zwykle odbywał się wśród hałasu, a ona zdecydowanie wolała spokój biblioteki.

- Wracasz do krypty? - zawołała za nią Xantia. - Za dużo światła?

Alyssa obróciła się, by spojrzeć na młodą kobietę, która stała się jej dręczycielką. Wiedziała, że Xantia i jej przyjaciółki po prostu ją podpuszczają, czekając na pretekst, by zarzucić ją codzienną porcją złościwości.

Nie pamiętała, kiedy ani dlaczego ich przyjaźń tak się zmieniła. Kiedyś były nierozłączne. Alyssa, złotowłosa, zielonooka, o łagodnym spojrzeniu i powściągliwym stylu bycia uroczo kontrastowała z kruczowłosą, śniadą dziewczyną o ognistym temperamentem. Obie wyrosły na piękne kobiety, ale ich wzajemne stosunki pogorszyły się, nim ciała nabrały kształtów.

Pięć lat wcześniej, gdy Alyssa w dramatyczny sposób wylądowała na dachu Akademii, jej równolatka Xantia była gniewną dziewczyną. Nie miała przyjaciół, a jej samotność tylko pogłębiała poczucie wyższości. Tamtego wczesnojesiennego popołudnia większość kobiet poszła do Ildagarth. Co tydzień członkinie Akademii mogły się udawać na targ i większość z nich korzystała z tej chwili wolności. Xantię rzadko zapraszano do towarzystwa, było bowiem powszechnie wiadome, że zawsze jest w złym humorze i mogłaby tylko zepsuć przyjemność ucieczki od ścisłych reguł.

Samotne włóczenie się po rynkach w czasie, gdy inne kobiety spędzały dzień razem, jedynie wzmagало w Xantii poczucie izolacji, często więc wolała pozostać w Caremboche.

Dzięki temu to ona pierwsza usłyszała tamtego dnia harmider na zewnątrz i najszybciej wydostała się na dach. Dołączyła do niej nieznajoma, która rankiem przybyła w odwiedziny do siostry Iris. Starsza kobieta była roztrzęsiona i bełkotała coś do swojej uwięzionej na zewnątrz wnuczki Alyssy.

Przybiegły pozostałe kobiety. Pędziły co sił, ale okazały się nie dość szybkie, by zabronić dziewczynie oglądania rozgrywającej się w dole potwornej sceny. Xantia przyglądała się wraz z nimi, jak nieprzebierający w słowach inkwizytorzy i ich

znenawidzony przywódca torturują bezbronego człowieka. Od zrozpaczonej staruszki dowiedziała się, że to Saxon Lis z Cyrku Zorros, który pomagał jej i jej wnuczce w ucieczce przed inkwizycją.

W ciągu lat swojej obecności w Akademii Xantia często bywała oskarżana o to, że jest zimna, a nawet pozbawiona serca. Nienawidziła tego życia i postrzegała je jako niewolę, a wszelkie urozmaicenie codziennej monotonii, choćby tak krwawe, podniecało ją. Przyglądała się więc, jak torturują Saxona, zwracając uwagę na to, że nie wydaje żadnych dźwięków poza niskim, niemal zwierzęcym warczeniem. Widziała też, jak zabijano chłopców. Nawet wtedy, gdy ich martwe ciała zaciągano na teren Akademii, na ustach wciąż mieli uśmiechy radości wywołanej akrobacjami Alyssy.

Potworność tych scen wstrząsnęła wszystkimi, ale nowo przybyła przez wiele tygodni nie mogła się otrząsnąć. Alyssa po prostu gapiała się przed siebie niewidzącymi oczyma, nie reagując ani na słowa, ani na dotyk. Wyglądało na to, że nawet jedzenie sprawia jej ból. Nie przełknęła nic oprócz, brochenu - lokalnej owsianki - a i ten siłą wlewano jej do gardła. Zafascynowana obcymi Xantia była przekonana, że dziewczyna nie przeżyłaby, gdyby nie upór i poświęcenie Sorrel.

Dopiero gdy człowiek, którego inkwizytorzy uznali za martwego, chwiejnym krokiem wszedł do maleńkiego pokoju Alyssy, dziewczyna powróciła do świata, najpierw drżąc, a potem łkając przez wiele godzin.

Xantia bardzo szybko poprosiła o pozwolenie na sprawowanie opieki nad nowo przybyłymi. Rada Sióstr zgodziła się na to, zadowolona, że studentka okazuje choć trochę współczucia i zainteresowania czymkolwiek oprócz siebie. Dzięki temu Xantia spędziła wiele popołudni na obserwowaniu Kloeka i Alyssy. Choć nic nie mówili, wiedziała, że istnieje między nimi jakaś więź. Rozpaczliwie pragnęła dowiedzieć się więcej.

Dzięki niez mordowanym wysiłkom Sorrel i Rady Sióstr Saxon pozostał przy życiu, ale cena, jaką przyszło mu zapłacić, była olbrzymia. Inkwizytorzy wydłubali mu oczy i obcięli język, który następnie rzucili na pożarcie padlinożernym psom. Potrzaskane ręce dziwnie się zrosły i nie zwisały już naturalnie wzdłuż tułowia. Nogi miał tak zdeformowane, że ledwie chodził, a co do pleców, nawet Xantia wiedziała, że nigdy już się nie wyprostują. Do końca życia będzie kuśtykał jak zgrzybiały starzec. Nie wydawał żadnych dźwięków, najwyraźniej woląc milczeć, niż bełkotać; komunikował się kiwaniem lub kręceniem głową, czasem wzruszeniem ramion. Było jednak oczywiste, że uwielbia Alyssę, co jeszcze bardziej intrygowało Xantię.

Mijały tygodnie. Jesień przeszła w zimę, a goście wciąż nie okazywali chęci wyjazdu;

Rada Sióstr zaproponowała więc Alyssie wstąpienie do Akademii. Kobiety dowiedziały się bowiem od Sorrel, że dziewczyna jest Obdarzoną, a takiej osobie jedynie Akademia mogła zapewnić całkowitą ochronę.

Starsza pani przyjęła tę łaskawą propozycję, ale postawiła warunek: Saxon także pozostanie w Akademii. Rada Sióstr zgodziła się, zastrzegając, że nie będzie mu wolno wchodzić do świętych sal. Zamiast tego opiekował się zwierzętami oraz wykonywał drobne posługi i przeróżne prace na terenie Akademii. Spał w komórcie na siano, a posiłki jadał samotnie na jednym z wielu niewielkich dziedzińców.

Spoglądając teraz na Alyssę, Xantia przypominała sobie, że tylko dzięki jej uporowi dziewczyna wyszła w końcu ze swojej skorupy. Być może to Saxon pozwolił Alyssie pozostać przy zdrowych zmysłach, ale ducha przywróciła jej Xantia. Po pięciu latach trudno było uwierzyć, że to ta sama nieśmiała istota; tylko momentami czuło się, że nosi w duszy jakieś bliźny. Nigdy nie opowiadała o swoim życiu, a na samą wzmiankę o Gocie zamykała się w sobie.

- Mam wiele do zrobienia w archiwum - odrzekła w odpowiedzi na atak Xantii.

Xantia nie miała zamiaru pozwolić jej tak łatwo się wykręcić, zwłaszcza że scenę obserwowała grupka młodszych studentek, na których chciała zrobić wrażenie.

- Odbiło ci, Alyssy? Nie słyszałaś, co mówiła siostra May? Lada dzień można się spodziewać gościa z Tal. Słyszałaś o chorobie królowej Nyrii i o tym, że ani ona, ani król nie mogą w tym roku przybyć.

- Nie interesuje mnie to zbytnio - odparła Alyssa.

Xantia szturchnęła jedną z koleżanek.

- Cóż za świątobliwość. Nawet jeśli zabroniono nam dotyku, wciąż jesteśmy ludźmi z krwi i kości. Wolno nam - przez chwilę szukała odpowiedniego słowa - pożądać - powiedziała w końcu, unosząc brwi.

Uzyskała spodziewany efekt w postaci śmiechu swoich dwóch koleżanek.

Alyssa starała się, żeby jej słowa nie zabrzmiały pretensjonalnie, ale ostatnio nie bardzo jej to wychodziło. W rozmowach z Xantią zawsze przybierała taki ton, jakby pojadła wszystkie rozumy.

- Igrasz z ogniem i dobrze o tym wiesz. Po co dręczyć się myślą o mężczyźnie, skoro nigdy nie będzie ci wolno go dotknąć?

Xantia zignorowała jej słowa i uśmiechnęła się porozumiewawczo do pozostałych dziewcząt. Przez krótką chwilę Alyssa znów widziała w niej przyjaciółkę, którą niegdyś uwielbiała.

- Wiesz, że zwykle przysyłają nam tego starego medyka, o którym nie można powiedzieć nic ciekawego. Ale sprawdziłam: tym razem to nie on. Może przyjedzie ktoś młody, wysoki i diabelnie przystojny. - Xantia udała, że mdleje.

- Mhm. Albo jakiś grubas w średnim wieku o cuchnącym oddechu - ostudziła jej zapal jedną z koleżanek.

Nawet Alyssa nie zdołała powstrzymać uśmiechu, nadal jednak chciała odejść, wiedząc, że Xantia za chwilę powróci do prawienia jej złośliwości. Nie zamierzała na to czekać.

Xantia teatralnym gestem załamała rękę.

- Nie! Nie tym razem. Nigdy w to nie uwierzę.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle się tak podniecasz - powiedziała jedna z dziewcząt.

- Bo po raz pierwszy od dziesięciu lat będzie nam wolno zatańczyć z mężczyzną, idiotko. Z okazji festiwalu rygory zostaną złagodzone. A nasza Alyssa...

„Zaczyna się” - pomyślała Alyssa.

- ...jest taką pięknością, że któż by się oparł pokusie przetańczenia z nią całej nocy?

Alyssa wlepiła w Xantię pogardliwe spojrzenie.

- Lepiej byś zrobiła, koncentrując się na pracy, a nie na mężczyznach. Chyba zapominasz o swojej pozycji.

Natychmiast pożałowała tych słów, wiedząc, że dostarczyła Xantii pretekstu, na który tamta czekała.

- Jak mogłabym o niej zapomnieć? - wybuchnęła. - Żałuję, że się tu znalazłam. Wołałabym zaryzykować wykrycie przez Gotha.

Xantia przyglądała się, jak powściągliwa twarz Alyssy zamienia się w lodowatą maskę. Potem dziewczyna znikła w głębi korytarza. Xantia wzruszyła ramionami, zachwycona, że udało jej się sprawić przyjaciółce ból.

Nienawidziła klasztornego życia w Akademii. Nie bała się Gotha, mimo iż wiedziała, że jej matka, również Obdarzona, została ujarzmiona przez inkwizycję. Gdyby tylko odnalazła tych „dobrodusznych” wieśniaków, którzy oddali ją do Akademii, zużyłaby na ich zniszczenie całą swoją moc. Dawny gniew nigdy nie osłabł w jej sercu. Nienawidziła wszystkiego, co wiązało się z tym miejscem: świątobliwości, niezłomnych reguł, nienaturalnego stosunku do mężczyzn, a w szczególności odgórnego nad indywidualną mocą każdej ze studentek. W odróżnieniu od większości przebywających tu kobiet Xantia nie znalazła się w Caremboche z własnej woli. Wiedziała, że posiada o wiele większą moc niż jej matka, i pragnęła wolności.

Dotknęła archalitowego dysku na czole. Nigdy nie przestała myśleć o tym, jak mogłaby go usunąć, ale okazało się to niemożliwe. Próbowala już wszystkiego, a tarcza wciąż niewzruszenie tkwiła na swoim miejscu. Kiedy była młodsza, często raniła sobie czoło do krwi, próbując ją podważyć. Za każdym razem Rada Sióstr przypominała jej posępnie, że kiedy dysk archalitu dotknie czoła obdarzonej mocą dziewczyny, pozostaje tam już na wieczność.

- W tym królestwie nie istnieje siła, fizyczna ani magiczna, która byłaby zdolna go usunąć. Przyjmij to do wiadomości, dziewczyno - radziła jej siostra Iris.

Xantia wiedziała jednak, że nigdy tego nie zaakceptuje, i obsesyjnie pragnęła się uwolnić od życia słuchaczki Akademii.

Później, mniej więcej przed dwunastoma miesiącami, po śmierci siostry Heleny, ogłoszono, że spośród starszych studentek zostanie wybrana nowa członkini rady. Xantia nie mogła w to uwierzyć. Odkąd przybyła do Akademii przed siedemnastu laty, nikomu nie przyznano statusu siostry. To była jej szansa. Wreszcie trafiała się okazja, by wyrwać się z pęt, uzyskać odrobinę wolności, pozycję, władzę. Może nawet będzie mogła podróżować po królestwie?

Zaczęła snuć marzenia. Wyobrażała sobie, że jest siostrą przełożoną. To byłoby coś. Pragnienie władzy tak ją opętało, że nie potrafiła już myśleć o niczym innym. Wkrótce nabrała przekonania, że nikt nie nadaje się do tej roli lepiej niż ona. Przebywała w Akademii najdłużej ze wszystkich studentek, była niezmiernie inteligentna - nawet jej najzagorzalsi krytycy to przyznawali - i, co najważniejsze, specjalizowała się w dziedzinie, której nikt inny nie miał ochoty studiować. Jej domenę stanowiła czarna magia i nie było nikogo, kto mógłby jej dorównać w rozumieniu tych sił czy znajomości ich historii. Jej prace na temat czarnej magii nie miały sobie równych w całym kraju.

I wtedy nastąpił cios. Pewnego pięknego wiosennego ranka, idąc na skróty przez ogrody, podsłuchiwała rozmowę dwóch wysokich rangą sióstr. Mówiły o tym, która z czterech kandydatek ma największe szanse na zwycięstwo. Ku rozpaczy Xantii obie opowiadały się za Alyssą. Wiedziała, że ich głosy mają w Radzie Sióstr wielkie znaczenie. Jeśli zagłosują na Alyssę, szanse Xantii znacznie zmaleją. Co gorsza, dobrze wiedziała, iż siostra przełożona także żywi dla Alyssy wielki podziw.

Tej wiosny, wbrew swojej woli, Xantia zaczęła się stopniowo odwracać od najlepszej przyjaciółki. Początkowo tylko się dąsała, a Alyssa znosiła to z właściwą sobie cierpliwością. Nim jednak przyszło lato, stosunki się pogorszyły i Xantia zaczęła mieć do Alyssy żal dosłownie o wszystko.

Jej najnowsza strategia polegała na szukaniu sposobów na ośmieszenie Alyssy w oczach koleżanek. Na razie jednak żadna z etykietek, które próbowała jej przyczepić, nie przyłgnęła; Alyssa zawsze wychodziła z zaczepki obronną ręką. Potem, na początku Zmiercholiścia, cierpliwość Alyssy się skończyła. Dziewczyna oskarżyła Xantię o kłamstwa i knowania. Ta odrzuciła oskarżenia, sugerując, że jej przyjaciółka cierpi na manię prześladowczą.

Od tamtej pory Alyssa dała za wygraną i przyjęła do wiadomości, że ich przyjaźń przestała istnieć. Przez ostatnie trzy miesiące odnosiła się do Xantii z chłodną uprzejmością, podczas gdy ta wykorzystywała każdą możliwą okazję, by jej dopiec.

Tak było i tego ranka. W gruncie rzeczy Xantia nie przepadała za dwoma młodszymi dziewczętami, które kręciły się przy niej, ale dzięki nim sprawiała wrażenie popularnej. No i śmiały się, gdy sobie tego życzyła. Teraz jednak, nagle zmęczona trąkoczącymi nowicjuszkami, kazała im odejść. Już zrobiły swoje.

Włóczyła się bez celu wymalowanymi rękami w przepiękne wzory korytarzami Akademii, nie dostrzegając ich uroku. Spojrzenie miała nieprzytomne, a umysł błędził gdzieś. Gdy się ocknęła, znajdowała się w holu wejściowym o wielkich łukach. Cały wyłożony marmurem, zawsze robił odpowiednie wrażenie na gościach. Xantia spędziła większość życia wśród takiego piękna, rzadko jednak dostrzegała choć jego wycinek.

Zauważyła Saxona, kuśtykającego przez przedni dziedziniec w kierunku bramy wjazdowej. Co ten ślepy dureń kombinował? Na ten dzień nie przewidziano żadnej dostawy, a gdyby nawet, zwykle odbywały się one przez tylną bramę. Przyglądała się, jak kaleka odsuwa klapkę przysłaniającą wizjer i przykłada ucho do dziury. „No tak - pomyślała z przekąsem - tylko słuch mu pozostał”. Saxon nasłuchiwał, po czym otworzył maleńkie drzwiczki, przez które wpadła rolka pergaminu. Nie była zapieczętowana i odwinęła się.

Sokoli wzrok Xantii ułowił woskową pieczęć z herbem królewskim. Saxon przejechał po niej palcami, odczytując niepowtarzalny wzór.

- Na Światłość! On tu jest! - wyszeptwała.

Przyglądała się, jak Saxon odryglowuje bramy i z pokornym ukłonem wpuszcza na dziedziniec wysokiego mężczyznę, prowadzącego konia. Ślepiec wymacał rękoma lejce, chwycił je, oddał pergamin i zrobił gest w kierunku holu, w którym stała dziewczyna. Zawstydzona, schowała się za jednym z imponujących, podtrzymujących łuk filarów, mając nadzieję, że zrobiła to wystarczająco szybko. Po chwili wyjrzała ostrożnie.

Był niesamowity. Najniezwyklejsze w świecie niebieskie oczy spoglądały w cień, w którym się ukryła. Czują, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Trafiła jej się niepowtarzalna

szansa na spędzenie paru chwil w towarzystwie mężczyzny. Następna nadarzy się dopiero za dziesięć lat, a wtedy Xantia będzie już starą, niemal trzydziestoletnią kobietą.

Nie miała zamiaru zmarnować tej okazji.

Gdy mężczyzna ruszył w kierunku holu, złamała wszelkie możliwe zasady. Wzięła głęboki oddech, wygładziła tunikę i wyszła z cienia.

- Dzień dobry panu. Witamy w Akademii.

Pokłoniła się nisko, zadowolona z faktu, że krój tuniki doskonale pasuje do jej szczupłej sylwetki, a jeszcze bardziej z tego, że dzisiaj nie spięła swoich lśniących włosów.

Przybysz zatrzymał się.

- A, więc jednak nie zdawało mi się, że kogoś tu widzę. Dziękuję, panno...

- Mam na imię Xantia. Proszę przyjąć ode mnie przeprosiny, że nie został pan przywitany w sposób przewidziany dla królewskich gości, ale nie spodziewaliśmy się pana tak wcześnie. - Uśmiechnęła się, wykorzystując tę chwilę, by wzbudzić jego zainteresowanie.

Tor był rozbawiony. Kusiło go, by ją spytać, skąd wie, że jest przedstawicielem dworu, ale zbyt wiele już czasu minęło, odkąd ostatnio widział taką piękność. Dorównać jej mogła jedynie Erynia, a przed nią tylko Alyssa. Nie potrafił się oprzeć pokusie rozkoszowania się tą chwilą, wciąż jednak pamiętając o przestroгах Merkhuda. Dziewczyna czekała uprzejmie.

- Tak, podróż trwała znacznie krócej, niż się spodziewałem. Mam nadzieję, że moje wczesne przybycie nie sprawiło wam kłopotu, Xantio?

Nawet jego głos był uroczy.

- Bynajmniej. Jestem pewna, że wszyscy z zadowoleniem przyjmą tę niespodziankę - rzuciła kokieteryjnie, z przyjemnością zauważając, że robi to na nim wrażenie.

Z dala dobiegło ich natarczywe gdakanie, a wkrótce pojawiły się zagniewane siostry Iris, May i Ellyn, kładąc kres miłej rozmowie.

Xantia dygnęła, rumieniąc się.

- Studentko Xantio! - skarciła ją siostra Iris.

Dziewczyna nie wątpiła, że przyjdzie jej zapłacić za tę zuchwałość. Utkwiła wzrok w czubkach swoich butów. Mimo złagodzenia rygorów ktoś, kto w tak oczywisty sposób łamał protokół, nie mógł liczyć na pobłażliwość. Jeden ukradkowy rzut oka na twarze sióstr przekonał ją, że są wstrząśnięte.

- Szanowne siostry - rzekł gość, kłaniając się nisko - młodszy medyk Torkyn Gynt wita was w imieniu króla Lorysa i królowej Nyrii. Przybywam w zastępstwie medyka Merkhuda, który tego roku trochę niedomaga. Bardzo przepraszam za nieoczekiwane

przedwczesne przybycie. - Nie dał im czasu na odpowiedź. - Chyba źle zrozumiałem tego niewidomego człowieka. Nic nie mówił, ale wykonał gest w tym kierunku; sądziłem, że to oznacza, iż mam tu czekać.

Zrobił przerwę, spodziewając się, że jego uroczy uśmiech rozchmurzy nadąsane siostry. Nie podziałało.

- I wtedy miła panna Xantia, która przypadkiem tędy przechodziła, tak uprzejmie mnie przywitała - kontynuował. - Chciała natychmiast pójść poszukać sióstr, ale zagadałem ją na temat tej przepięknej architektury. - Obrócił się, by zatoczyć ręką wokół, mrugając przy tym do Xantii.

Wstrzymała oddech, by nie popaść w jeszcze większe tarapaty. Naprawdę mrugnął! Uwielbiała go.

- Może podczas mego pobytu panna Xantia mogłaby mi służyć za przewodnika po miejscach, które wolno mi będzie zobaczyć? - zasugerował.

Musiała zacisnąć zęby, by wyraz skruchy na twarzy nie ustąpił miejsca niedowierzaniu. Siostry właściwie nie mogły otwarcie mu odmówić. Gynt tymczasem uroczyście ucałował w rękę każdą z nich i wręczył siostrze Iris królewski list.

Starsza siostra nadal mówiła surowym tonem, ale Xantia wyczuła, że nie jest już tak zagniewana.

- Cóż, doktorze Gynt, cieszymy się, że miał pan bezpieczną i szybką podróż. Jak się miewa królowa?

- Widziałem się z nią na krótko przed opuszczeniem pałacu. Bardzo szybko wraca do zdrowia.

Czekał w milczeniu, spoglądając na nią tymi rozbrajającymi, wielkimi, niebieskimi oczyma.

- To dobra wieść. - Siostra wykrzywiła usta w próbie uśmiechu. - A nasz drogi przyjaciel, medyk Merkhud?

- Jego stan znacznie się poprawił, siostrze Iris. Nadal jest słaby po przebytej chorobie, ale odzyskuje formę. Bardzo żałuje, rzecz jasna, że nie może wziąć udziału w waszym święcie.

- Będzie nam go brakowało - wtrąciła siostra May.

Atmosfera robiła się coraz przyjemniejsza i Xantia z ulgą zauważyła, że siostry chwilowo o niej zapomniały.

W końcu siostra Ellyn, najmniej surowa z całej trójki, nawet się uśmiechnęła.

- Czy Saxon zabrał pańskie bagaże, doktorze?

- Tak, dziękuję. Może mógłbym najpierw odświeżyć się trochę po podróży i wkrótce dołączyć do sióstr? Przywiozłem wieści i podarki od Merkhuda.

Kobiety skłoniły się.

- Proszę zaprowadzić gościa do jego pokojów - poleciła Xantii siostra Iris.

Dziewczyna była zdumiona i zachwycona, że przydzielono jej to zadanie. Odpowiedziała szybkim skinieniem głowy.

- Xantio...

Ponownie spojrzała w surową twarz.

- Tak, siostrze Iris?

- Wolna godzina dobiega końca. Zaraz potem proszę wrócić do swoich zajęć. - Ton siostry ostrzegł Xantię, że dalsze łamanie zasad nie wyjdzie jej na dobre.

- Dziękuję - mruknęła do Tora, gdy się oddalili.

- Nie ma za co. Zawsze są takie zabawne? - zapytał.

- Nie rozumiem pana. Siostra Iris była w świetnym humorze. - Xantia zaśmiała się z własnego żartu. - Naprawdę chciałby pan, żebym była pana przewodnikiem?

- Oczywiście! Nie jestem jednak pewien, czy wesołe siostrzyczki się na to zgodzą.

Xantia stłumiła w sobie zachwyt wywołany jego świętokradczą kpiną z kobiet, z którymi dzień w dzień musiała się męczyć. Torkyn Gynt wniósł w klasztorne życie ożywczy powiew, a ona postanowił zrobić wszystko, by wykorzystać każdą chwilę jego obecności. Najdłuższą drogą, jaką tylko zdołała wymyślić, prowadziła go ku małemu budynkowi w pobliżu stajni, przygotowanemu dla niego kilka tygodni temu.

- To już tu? - zapytał.

Długo rozpamiętywała te słowa, zastanawiając się, czy naprawdę słyszała w jego cudownym głosie żal.

- Mam nadzieję, że będzie się pan tu dobrze czuł, doktorze - powiedziała, otwierając drzwi i odsuwając się.

Kuśtykając, zbliżył się do nich Saxon. Tor nie mógł się powstrzymać od patrzenia w jego ziejące pustką oczodoły. Próbował sobie wyobrazić, jak mogło dojść do tak potwornego okaleczenia. Saxon wskazał wniesione już do pokoju sakwy Tora i zniknął w stajni.

- Nie jest zbyt rozmowny - zauważył Tor.

- Pewnie dlatego, że nie może mówić. Goth wylupił mu oczy i uciął język, nie licząc innych okropności. - Xantia dostrzegła szok, który odmalował się na gładkiej, pięknej twarzy Tora. - Och, ale przecież pan musi znać wielkiego inkwizytora.

- Wołałbym nie - odparł zimno. - Z wielką przykrością wysłuchałem tej historii.

- Och, jest znacznie gorsza. Ale to długa opowieść, a mnie się dostanie, jeśli zaraz nie wrócę do pracowni.

- Dziękuję, Xantio. Było mi miło i mam nadzieję, że znajdziemy okazję do kolejnej rozmowy. Być może wtedy opowiesz mi całą historię Saxona?

Ujął jej dłoń i ucałował lekko, przyprawiając dziewczynę o dreszcz.

Pilnij się, Tor! - ostrzegł go poprzez łącze siedzący na dachu Akademii Cloot.

Wynocha, ptaku! Upoluj sobie inną ofiarę - burknął Tor.

Igrasz z ogniem - zauważył Cloot. - *Rzeczywiście jestem głodny. Lecę na łowy, ty natomiast lepiej ich zaprzestań!*

I swoim zwyczajem zatrzasnął łącze, nim Tor zdołał odpowiedzieć.

*

Xantia wiedziała, że zrobi wszystko, by znów zobaczyć się z medykiem, niezależnie od tego, czy będzie to legalne. Zaczerwieniła się, zawstydzona własnymi myślami, i pospiesznie odeszła, przezornie wybierając dłuższą, wiodącą przez pracownię siostry Iris drogę, żeby ta mogła ją zobaczyć, jak samotnie pędzi z powrotem, by wrócić do pracy.

Niezdolna się powstrzymać, znów skręciła ku korytarzom, z których miała szansę dostrzec Gynta. Zatrzymała się, widząc go stojącego przy studni, bez koszuli, z twarzą i włosami ociekającymi wodą. Wiedziała, że jest niewidoczna dla medyka, więc czuła się bezpieczna, patrząc zza filara na jego ciało o delikatnych, lekko zarysowanych mięśniach.

Tor, rzecz jasna, czuł, że Xantia go obserwuje. Uśmiechnął się w duchu i przeciągnął, by sprawić jej przyjemność, po czym otrząsnął włosy z wody. Niech sobie dziewczyna popatrzy. Nienawidził myśli, że tak pełna życia młoda studentka może się w przyszłości stać zgorzkniałą babą, jak te stare siostry.

Xantia odeszła ostrożnie, nie śmiąc dłużej zwlekać. Tor wyczuł to i pomyślał o Alyssie, która była mniej więcej w tym samym wieku. Rzucił sondę, nie oczekując jednak, że po tylu latach milczenia otrzyma jakiś odzew. Jak zwykle odpowiedziała mu cisza, tym razem jednak zasłona zdawała się nieco cieńsza. Przerwał wycieranie twarzy i podążył tym tropem. Nie mylił się. Otchłań nie była już tak przeraźliwa.

Poczuł iskierkę podniecenia. Lys powiedziała mu, że Alyssa żyje, i obiecała dopomóc w jej odszukaniu. Może to już się zaczęło. Może nawet dziewczyna była gdzieś w pobliżu.

*

Xantii wprawdzie nie udało się rozwścieczyć Alyssy, ale wytrąciła ją z równowagi wzmianką o inkwizytorze. Alyssa słabo pamiętała wydarzenia z tygodni po ataku i nie miała ochoty do nich wracać. Widok cierpiącego Saxona, umierających chłopców... Nie, nawet

teraz wołała wyrzucić to z pamięci.

W tamtych czasach jedyne schronienie udzielała jej zieleń. Dlatego głos Saxona, wołający ją poprzez łącze, był dla dziewczyny ogromnym wstrząsem. Przecież on nie żył. Jak mógł do niej mówić? Sądziła, że to halucynacje, ale na wszelki wypadek pochwyciła nić i połączyła się z nim, by w końcu otworzyć oczy i przekonać się, że to wszystko dzieje się naprawdę. Saxon przeżył.

Był teraz zupełnie inny. Ale czarne dziury, które zastąpiły jego jasne oczy, nie przerażały jej. Powykręcane ręce, niegdyś stanowiące część zgrabnego ciała, nie raziły. Głos, który mówił do niej poprzez łącze, nadal był taki sam i to jej wystarczało; wtulona w zmasakrowane, wykrzywione ramiona odzyskała spokój.

Przez długi czas nie była świadoma istnienia Xantii, choć później zdała sobie sprawę, że młoda kobieta musiała tam być od samego początku, zawsze czujna i pomocna. Kilka lat później, gdy oficjalnie przyjęto Alyssę do Akademii, utraciła zdolność porozumiewania się z Saxonem i Sorrel za pomocą łącza.

Sorrel poinformowała ją, że zostały zaakceptowane przez Radę Sióstr. Siostry wiedziały, że Alyssa jest Obdarzoną i zaoferowały jej ochronę. Gdy ją wezwano, poszła do wielkiego holu, gdzie zebrały się wszystkie mieszkanki Akademii. Po krótkiej ceremonii siostra Iris wyjęła z welwetowego mieszka piękny zielony dysk i przytknęła dziewczynie do czoła, gdzie pozostawał do dziś. Była teraz pełnoprawną studentką Caremboche, Nietykalaną.

I czuła się z tym bezpieczna.

Xantia wypełniła jej pustkę spowodowaną brakiem przyjaciół. Była zabawna. Rozweselała Alyssę, która wkrótce bardzo się do niej zbliżyła, nigdy jednak nie mówiąc jej o swojej przeszłości. Zaczęła wszystko od nowa. Polubiła spokojne życie w Akademii i szybko okazało się, że ma niezrównany talent do pracy w archiwum.

- Od czasu siostry Arnie nie było w naszym archiwum nikogo tak zdolnego i pełnego poświęcenia - powiedziała kiedyś siostra Iris, nieświadoma, że dziewczyna słyszy jej słowa.

Tak było istotnie. Alyssa świetnie się czuła wśród książek i zaczytywała się w nich. Wiele się nauczyła, a ostatnio natknęła się na mały właz w podłodze biblioteki, o którym nikt inny zdawał się nie wiedzieć.

Był zastawiony regałami i Alyssa odkryła go tylko dlatego, że zabrała się do gruntownego porządkowania biblioteki. Okazało się to niezmiernie wymagającym zadaniem. W ciągu prawie roku nie wykonała nawet połowy prac. Odsunawszy z pomocą Saxona jeden z regałów, znalazła pod nim luźną płytę.

Pod włazem nie kryło się nic ekscytującego, tylko kilka starych, zakurzonych tomów.

Dla Alyssy były one skarbem; pozostałe studentki, oczekujące kufra klejnotów lub czegoś w tym stylu, rozczarowały się. Natomiast siostry, które najbardziej obawiały się, że znajdą tam rozsypujące się szkielety, z ulgą powierzyły Alyssie odkryte księgi.

- Nawet nie wiem, co to za język - powiedziała siostra Ellyn, najbardziej uczona spośród całej rady. - Nigdy się z nim nie zetknęłam.

Alyssa także nigdy wcześniej nie widziała tych skomplikowanych znaków, ze zdumieniem jednak odkryła, że je rozumie, choć nie miała pojęcia jak ani dlaczego.

Właśnie skończyła czytać pierwszą ze starannie wykaligrafowanych ksiąg, gdy dzwon obwieszający drugie śniadanie zmusił ją do opuszczenia bibliotecznej krypty. Alyssa mogła się obyć bez jedzenia, ale obiecała Sorrel, że będzie uczestniczyć we wszystkich posiłkach, nie tylko po to, by się pożywiać, lecz aby się spotykać z pozostałymi kobietami. Sorrel uważała, że to ważne, ale od czasu ochłodzenia stosunków z Xantią przychodziło to Alyssie z coraz większym trudem. Smuciło ją, że tak wspaniała przyjaźń uległa zniszczeniu, i to przez co? Alyssa wciąż zachodziła w głowę, co spowodowało tak wielką agresję Xantii, i nie znajdowała odpowiedzi.

Teraz, wróciwszy do biblioteki, wściekła na Xantię za to, że ta rzuciła jej w twarz imię Gotha, nie miała ochoty rozpoczynać lektury drugiej książki, choć palce same aż się rwały do otwarcia skórzanej oprawy. Wyczytane w pierwszym tomie rewelacje przekonały dziewczynę, że stare podania o czarnoksiężniku Orlacu, który zniszczył to miejsce przed kilkoma wiekami, mają w sobie ziarno prawdy. Było to przerażające odkrycie i na razie postanowiła się nim z nikim nie dzielić.

Odłożyła książki na bok i przygotowywała się do rozpoczęcia przepisywania pergaminu dla siostry Ellyn, gdy poczuła w głowie jakiś impuls. Wiedziała, że to niemożliwe. Od lat nie potrafiła otworzyć, a nawet wyczuć obecności łącza. Ostatnim komunikatem, jaki wysłała, było pożegnanie z głosem Saxona.

Zmarszczyła brwi. Znów to czuła. Coś niemal znajomego, ale bardzo niewyraźnego. Gdyby nie ogromna koncentracja, nawet by tego nie zauważyła, coś jednak ewidentnie ją poszturchiwało. Dotknęła archalitowego dysku na czole: tkwił na swoim miejscu. A zatem otwarcie łącza było niemożliwe. Potrząsnęła głową. Widocznie przez tę ciszę zaczynała mieć omamy.

Doznane uczucie przywiodło jej jednak na myśl Tora. Przez chwilę zastanawiała się, co on w tej chwili robi, i pozwoliła sobie na przelotną satysfakcję płynącą z podejrzenia, że być może to on próbuje się z nią skontaktować. Potem przywołała się do porządku. Tor był teraz tylko wspomnieniem i nie powinna poświęcać mu zbyt wiele uwagi. Nigdy więcej go

nie zobaczy.

Zmusiła się do powrotu myślami do starego pergaminu i skupiła się na przepisywaniu.

*

- Studentka Xantia jest bardzo łatwowierna. Nigdy się nie... powiedzmy, nie oswoiła... ze swoim statusem w Caremboche.

Tor wiedział, że otrzymuje właśnie zawołane ostrzeżenie.

- Czyż to nie same kobiety podejmują decyzję o wstąpieniu do Akademii? - zapytał, by zmienić temat.

- Nie zawsze, doktorze Gynt. Xantia na przykład trafiła tu jako zaledwie czteromiesięczna niemowlę. Jej obdarzona mocą matka została ujarzmiona przez inkwizytorów, więc ludność wioski obawiała się o bezpieczeństwo dziecka.

- To rozumiałe...

- Proszę wysłuchać! - przerwała mu. - Kiedy Xantia była już wystarczająco dojrzała, by zrozumieć, że wyrzekła się wolności, zaczęła protestować i do dziś to czyni. Spośród wszystkich naszych studentek to właśnie ona najbardziej sprzeciwia się pełnemu wyrzeczeń życiu. Mogłaby zasiadać w Radzie Sióstr, ale niestety nigdy do tego nie dojdzie. Jest bardzo inteligentna i doskonale sobie radzi z czarną magią. Oczywiście nie stosujemy jej - dodała pospiesznie - ale dziewczyna świetnie rozumie, jak to się dzieje, że ludzie ulegają ciemnej stronie.

- A więc to jest jej działka? - Tor był zaintrygowany.

- O tak. Zna wszystkie starożytne inkantacje, zaklęcia i uroki, których już dawno nikt nie używa. Nie wolno jej ich stosować. Naszym zadaniem jest wyłącznie przekazywanie historii. W przyszłych wiekach prace Xantii będą dla Tallinom bezcenne.

- Rozumiem - rzekł, popijając ciepłą cytrynową herbatę w jednej z wielu pięknych komnat Caremboche. - Akademia jest niezwykłym miejscem, siostró Iris - kontynuował. - Mam wielką ochotę przyrzeć się jej bliżej, wiem jednak, że nie mogę się przechadzać tymi wspaniałymi korytarzami sam... Muszę mieć kogoś, kto mnie oprowadzi.

Głos siostry znów przybrał surowszy ton.

- Dobrze, doktorze. Pozwolę Xantii być pańską przewodniczką, bo widzę, że bardzo panu na tym zależy. Nie winię pana. Mogę sobie wyobrazić, że myśl o towarzystwie jednej ze starych sióstr nie jest dla pana przyjemna... - Uniosła rękę, by zapobiec protestom. - Jej też się to przyda. Spędzi pan u nas trzy dni, nim zacznie się festiwal, i chciałabym, aby w tym czasie lepiej poznał pan Caremboche. Proszę jednak pozwolić sobie przypomnieć o panujących tu zasadach.

Tym razem Tor zdążył się odezwać.

- Proszę wybaczyć, że się wtrącam, siostrze Iris. Medyk Merkhud zadał sobie wiele trudu, by mi wpoić, czym się zajmuje Akademia i jakim rygorom podlegają jej uprzywilejowane i chronione członkinie. - Pochylił się do przodu z wyrazem wielkiej powagi na twarzy. - Przyjechałem tu, by się uczyć. Nie mam najmniejszego zamiaru naginać, a co dopiero łamać waszych zasad. Nie rozumiem niepokoju siostry. Proszę mi zaufać, chodzi mi wyłącznie o edukację.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- W takim razie wydam Xantii polecenia. Być może nawet wyniesie coś z tego doświadczenia. Mam też nadzieję, że wykorzysta pan sposobność, by porozmawiać ze wszystkimi siostrami. Przekona się pan, jakie to fascynujące miejsce, doktorze Gynt.

- Dziękuję - odparł rozpromieniony. - Będę miał co opowiadać w pałacu.

- Musi pan także odwiedzić nasze archiwum. Tam znajdzie pan najciekawsze historie. Proszę nie zapomnieć powiedzieć Xantii, by panu przedstawiła naszą archiwistkę. - Siostra Iris uśmiechnęła się smutno. - Dodam tylko, że sama tego nie zaproponuje. Rywalizują o stanowisko siostry i z żalem zauważam, że ich przyjazne dotąd stosunki bardzo się obecnie pogorszyły.

Tor zrozumiał, że to koniec audiencji. Z ulgą uwolnił się spod czujnej obserwacji starszej kobiety. Wkrótce potem Xantia dołączyła do niego na głównym dziedzińcu.

- Dzień dobry, doktorze Gynt.

Tor byłby ślepy, gdyby nie zauważył, że dziewczyna wygląda naprawdę prześlicznie. Lśniące czarne włosy miała tego dnia splecione w misterny warkocz, co tylko uwypuklało wyraziste rysy owalnej twarzy. W blasku słońca zwrócił uwagę na oliwkową cerę, na tle której idealne zęby i jasne oczy błyszczały jeszcze bardziej.

Uświadomił sobie, że Xantia spogląda na niego z konsternacją.

- Słucham?

Zaśmiała się.

- Pytałam, jak pan tego dokonał.

- Złowrogie siostrzyczki uległy mojemu urokowi - wyjaśnił.

- Niezbyt w to wierzę. Siostry nie zauważyłyby męskiego uroku, nawet gdyby podskoczył i ugryzł je w...

- O, siostra May. Xantia właśnie mi tłumaczyła, że jest siostrą autorką wyjątkowo cenionych prac na temat zielarstwa - zwrócił się Tor do starszej siostry, przechodzącej przez dziedziniec za ich plecami.

Odparła, że serdecznie go zaprasza do swoich pokojów, na co on łaskawie się zgodził, rzucając towarzyszcze spojrzenie, w którym doradzał jej większą ostrożność.

Poranek minął Xantii stanowczo zbyt szybko. Tor - tak kazał do siebie mówić gość - był wyśmienitym towarzyszem, dowcipnym i inteligentnym. Z przyjemnością przemierzała u jego boku korytarze Akademii i była dumna, że jej wiedza robi na nim wrażenie.

Gdy odezwał się dzwon wzywający na obiad, poczuła żal.

- Przyłączy się pan do nas? Chętnie pochwalę się panem przed innymi studentkami. -
Zaśmiała się uwodzicielsko.

- To bardzo kusząca propozycja. Siostra Iris powiedziała, że koniecznie muszę poznać waszą specjalistkę od archiwów. Podobno mogłaby mi opowiedzieć wiele fascynujących historii. - Xantia nagle przestała się uśmiechać. - Zapewniam panią, że bardzo chcę ją poznać, dziś jednak nie udam się do jadalni, Xantio. Dziękuję za zaproszenie, ale muszę wysłać kilka listów do Tal. Przypuszczam, że wkrótce będziemy mieć mnóstwo zajęć, a to nie powinno czekać.

Pomyślał, że jeśli siostra Iris będzie dziś jadła obiad w jadalni, doceni fakt, iż gość powstrzymał się od zbytnej poufałości z Xantią.

- Do zobaczenia po południu - dodał i oddalił się.

Gdy był w drodze do pokoju, Cloot sfrunął mu na ramię.

Ile świętych reguł dziś złamałeś? - zapytał sokół.

Żadnej.

Cóż, jeszcze wczesnie - odparł ptak, strosząc pióra.

W kominku płonął niewielki ogień, którego rozpalenie Tor przypisywał „niewidzialnej ręce” Saxona, a na stoliku stała tacka z jedzeniem. Obok leżał liścik od siostry Iris. Wyrażała nadzieję, że jest zadowolony z porannej wycieczki, i życzyła mu spokojnego posiłku. Uśmiechnął się do siebie, wiedząc, że słusznie postąpił, gdy zdecydował się jeść w samotności.

*

Sorrel niezwłocznie poinformowała Merkhuda o przybyciu Tora. Zdumiony tempem, w jakim jego zastępca przemierzył królestwo, staruszek zapytał przyjaciółkę, czy jest absolutnie pewna.

Jasne, że to on! - rzuciła zirytowana. - *Nazywa się Torkyn Gynt, nieprawdaż?*

Tak, tak. Nie rozumiem jednak... Przebycie tylu hrabstw i przełęcz górskich powinno mu zabrać co najmniej siedem lub osiem dni.

Cóż... jedyne, co wiem, to że jest tutaj, a twoje starannie zaplanowane spotkanie

prawdopodobnie dojdzie do skutku jutro.

Kto mu towarzyszy?

Nikt - odparła cierpko.

Żadnego ptaka? Żadnego żołnierza?

Chyba musisz odpocząć; Merkhudzie. O jakim ptaku mówisz? Chłopak jest zupełnie sam.

Dziwne... - Głos Merkhuda oddalił się i łącze pomału się zamknęło.

SZOK O PORANKU

Alyssa nie mogła spać. Od momentu oficjalnego przyjęcia do Akademii była traktowana na równi z innymi studentkami. Zamieszkała we wspólnym pokoju z Xantią i dwiema innymi koleżankami. Teraz, słysząc ich powolny, głęboki oddech, mogła im tylko zazdrościć.

Sama była pełna niepokoju.

Jej myśli krążyły nieustannie pomiędzy tajemniczymi księgami a dziwnym uczuciem, że ktoś próbował dziś otworzyć łącze w jej głowie. Nie mogła się opędzić od wspomnienia Tora. Zirytowana własną bezsennością i spokojnym snem towarzyszek, odrzuciła koc i poczuła dotyk mroźnego powietrza. Wśliznęła się w szlafrok, chwyciła buty i na palcach opuściła pokój.

Alyssa kochała ciszę, a ciemność jej nie przeszkadzała. Szybkim krokiem przemierzała labirynt korytarzy, zdążając w kierunku krypty. Miała zamiar natychmiast przystąpić do czytania drugiej księgi; gdy jednak przechodziła przez otwarty odcinek holu, jej wzrok przykuł migotliwy płomień świeczki, widoczny w oknie jednego z małych pokoików w pobliżu stajni.

Przystanąła, zastanawiając się, kto może tam być. Saxon spał przecież w komórce na siano. Po chwili przypomniała sobie o gościu z Tal. Jak mogła o nim zapomnieć po tych wszystkich niemądrych zachwytach Xantii na temat jego urody, cudnego głosu, niebieskich oczu, szarmanckich manier i zabójczego dowcipu?

Opowieść ciągnęła się przez większość obiadu i Alyssa była szczęśliwa, gdy posiłek wreszcie dobiegł końca.

Wpatrywała się w światelko, szczerzej owijając się tuniką. Nim świeczka zgasła, Alyssa zobaczyła cień przechodzącego przez pokój wysokiego mężczyzny, myśląc ze zdumieniem, że przypomina jej Torkyna Gynta. Ale może to tylko umysł płatał jej figle. Nie mogła oderwać wzroku od ciemnego kwadratu okna. Jasne, że to nie on. Po prostu zbyt wiele ostatnio o nim myślała.

- Weź się w garść, Alyso - szepnęła, lekkim krokiem schodząc po krętych schodach

wiodących do archiwum.

Ten odcinek był słabo oświetlony rzadko rozmieszczonymi i na polecenie sióstr nigdy niegaszonymi świeczkami. Teraz, schodząc w głąb budynku, gdzie było jeszcze chłodniej i unosił się słaby, przyjemny zapach ziemi, doceniła ten zwyczaj.

Zapaliła dwie świece i postawiła je obok swojego ulubionego krzesła, ustawionego w kącie pomiędzy dwoma wysokimi regałami i kredensem. Z zadowoleniem zauważyła, że zostawiła tu koc. Wyjęła książki, usadowiła się wygodnie i owinęła kocem. Ziewnęła. Nagle zachciało jej się spać. Cóż - za późno!

Otworzyła drugą księgę, ale zamiast czytać, zaczęła się zastanawiać, w jakim celu ktoś w ogóle miałby ukrywać te tomy. Jeśli opowieść o Orlacu była jedynie wytworem fantazji, bajką wymyśloną, żeby straszyć dzieci przy ognisku, po co została tak starannie spisana starożytnym alfabetem? Jeśli jednak to, co do tej pory przeczytała o skradzionym bogu, było prawdą, niewątpliwie istniał dobry powód, by chronić te księgi.

Alyssa wierzyła, że opisane wypadki rzeczywiście się zdarzyły. Przypuszczała, że któryś z członków starożytnego instytutu naukowego z poświęceniem spisał dla przyszłych pokoleń straszliwe wydarzenia, do jakich doszło przed kilkoma wiekami. Niepokoilo ją to. I ten dziwny zbieg okoliczności, że śmiertelny ojciec młodego boga Orlaca miał na imię Merkhud...

Dzieliły ich wieki, nie mogła jednak nie myśleć o drugim Merkhudzie - królewskim medyku, uwielbianym uzdrowicielu i czczonym mędrca, tym samym, który odebrał jej Tora. Imię Merkhud nie było popularne. Prawdę mówiąc, nadawano je niezmiernie rzadko. Studiowała książki od lat, a jeszcze nigdy nie natknęła się na wzmiankę o żadnym innym Merkhudzie z wyjątkiem ojca Orlaca.

Czy to nie dziwne, że teraz inny Merkhud wytropił chłopca, którego moc pozostawała niewykryta przez inkwizytorów?

Minęło wiele lat, nim Alyssa się dowiedziała, że stary człowiek, który przeraził ją w tamtym brzemienym w skutki dnia Tańca Kwiatów w Minstead był słynnym medykiem królewskim. Nigdy nie zrozumiała, dlaczego starzec szukał Tora i dlaczego jego widok tak przeraził chłopaka. Ale jakim sposobem mógłby to być ten sam człowiek? Merkhud, o którym pisano w starożytnych księgach, musiałby dziś mieć kilkaset lat! To było niemożliwe. A jednak...

Właściwie dlaczego nie? Skoro ona i Tor potrafili ukrywać swoją moc przed ludźmi zajmującymi się jej tropieniem, czemu ktoś nie miałby posiadać zdolności przeżycia wielu wieków?

W końcu Alyssa pogodziła się z tą myślą i dopasowała Merkhuda do układanki. Był ojcem Orlaca. Dlaczego zatem nadal żył i po co potrzebował Tora? Musiało chodzić o jego zdolności magiczne; nawet ona wiedziała, że są ogromne.

Uspokoila się i zaczęła rozmyślać nad tym, czego do tej pory dowiedziała się z owych dziwnych, wspaniałych ksiąg. Odkryła, że skryba nazywał się Nanak. Żywiła jednak przekonanie, że był kimś więcej niż tylko pisarzem. Kunsztowny kształt liter, inteligentne słowa, precyzja narracji - wszystko to sugerowało kogoś znacznie ważniejszego niż zwykły skryba. Mogła się mylić, bardzo jednak chciała wierzyć, iż księgi te spisał jeden z samych mistrzów.

Nanak opowiadał o tym, jak pewnego razu rodzice przywieźli do Złotego Kamienia niezmiernie utalentowanego chłopca. Imię jego ojca, Merkhuda, pojawiało się znacznie później. Orlac dysponował większą mocą niż ktokolwiek, kto żył do tej pory, i mistrzowie byli ogromnie podnieceni, że mają pośród siebie tak zdolnego maga. Wiele sobie po nim obiecywali.

Nanak określał Orlaca mianem „pięknego”, co wydało się Alyssie dziwne, ale im więcej o nim czytała, tym bardziej w to wierzyła. Wystarczyło kilka lat, by chłopak w pełni uświadomił sobie drzemający w nim potencjał. Starannie dobierając słowa, skryba opisywał młodego maga jako gniewnego, przepojonego na pozór bezzasadnym żalem i goryczą.

Przypomniała sobie, jak lakonicznie Nanak podsumował wypadki, które doprowadziły do upadku Orlaca - jak chłopak zaszokował Złoty Kamień, rzucając wyzwanie mistrzom, a potem dowiedział się o przebiegłym planie pozbawienia go mocy. Z wielkim smutkiem skryba opisywał upadek wspaniałego, potężnego instytutu naukowego, zrównanego z ziemią w wyniku działania nadzwyczajnej mocy Orlaca. Chłopak zabił w porywie szału ponad dwa tysiące ludzi, po czym schronił się w katakumbach pod miastem, gdzie ukrywał się przez wiele dni.

Nieliczni ocaleli mistrzowie wezwali rodziców chłopca i dowiedzieli się, że Orlac nie jest ich prawdziwym, lecz przybranym synem. Kupili go od Padlinożerców. Dopiero w tym miejscu po raz pierwszy pojawiało się imię Merkhuda, nadal jednak nie podawano imienia matki. Nanak opisywał następnie, jak mistrzowie zlecili Merkhudowi, by spróbował dowiedzieć się prawdy o pochodzeniu swego syna. Na tym kończyła się pierwsza księga.

Alyssa potarła oczy. Była zmęczona, choć nadal nie przeczytała ani słowa z otwartej drugiej księgi.

Zwyczajna opowieść grozy nie byłaby tak obszerna i nie wymagała pióra profesjonalnego pisarza, być może mistrza sztuk magicznych. Przekazywano by ją z

pokolenia na pokolenie w prostych słowach. Nie, Alyssa była przekonana, że to nie legenda, lecz prawdziwa historia. Czytała o rzeczywistych wypadkach, które wydarzyły się przed wieloma wiekami, gdy Akademia istotnie stanowiła wielki ośrodek naukowy i świetnie prosperujące miasto. Przypuszczała, że pisma zostały ukryte przez samego autora, Nanaka. Dlaczego? Czego się bał? Orlaca?

Stary Merkhud musiał mieć jakieś plany wobec mocy, którą odkrył w Torze. Ale jakie? Jego syn dysponował równie wielkim potencjałem i zrobił z niego bardzo zły użytek. Orlac został uwięziony, a Merkhud wciąż chodził po świecie, choć minęły wieki.

Może chciał wykorzystać talent Tora do uwolnienia Orlaca? Alyssa wcisnęła się głębiej w krzesło i pogrążyła w zadumie, aż w końcu, nie wiedząc kiedy, zapadła w twarde sen. Śniło jej się, że jest w lesie, gdzie wita ją srebrzysty wilk.

*

Wybacz tę późną porę, moja droga.

Sorrel usłyszała w głosie Merkhuda napięcie.

Źle się czujesz?

To tylko zmęczenie.

Jego znużony głos złagodził jej rozdrażnienie.

Czy zbliżamy się do końca, mój drogi?

Wiesz, mam wrażenie, że tak. Tor i Alyssa wkrótce się spotkają. Nie mam pewności, co się stanie potem, ale cokolwiek to będzie, musisz pozostać przy niej i podążyć wszędzie za nimi.

A ty, kochany? - szepnęła poprzez łącze.

Och, ja zaczekam. Ty będziesz moimi oczami. Przekażesz mi wieści. - Jego głos brzmiał potwornie.

To już tak długo trwa, Merkhudzie... Czy jeszcze cię zobaczę?

Nie jestem pewien, Sorrel, ale bardzo cię kocham. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś ujrzę twój piękny uśmiech - powiedział bez przekonania.

Festiwal już za dwa dni - rzekła, by zmienić temat.

Sorrel, Goth może być w Caremboche.

Co? - łącze zadrżało od jej niepokoju.

Nie obawiaj się. Ostrzegłem cię. Zachowaj maksymalną ostrożność - rzekł stanowczo.
- *Nie pokazuj dziewczynie, że się boisz. Musi mieć szansę podjęcia decyzji niewypaczonej lękiem przed Gothem. Nie mam pojęcia, ku czemu to wszystko zmierza. Musimy im zaufać, że wybiorą właściwą drogę.*

Ależ oni nic nie wiedzą, Merkhudzie. Nie zdają sobie sprawy, za kogo uważamy chłopaka, a co do roli dziewczyny w tym wszystkim, nawet my nie mamy o niej pojęcia.

Zgadza się. Tym bardziej pozostaje nam zaufać im i siłom, które ich prowadzą. Musimy, Sorrel. Nic innego nie możemy uczynić. Nie mam innych planów ani pomysłów. Teraz wszystko zależy od Tora. Musi nam pokazać, kim jest i do czego jest zdolny. Po co został tu przysłany.

A jeśli nie jest Wybrańcem?

Jest - odparł lakonicznie Merkhud. - Pamiętaj o mojej przestrodze.

Po tych słowach zatrzęsął łącze.

*

Następnego ranka Xantia obudziła się wcześniej i ubierała z wielką starannością, z rozdrażnieniem zauważając, że Alyssa najwyraźniej wstała już wieki temu; jej rozkopana pościel była zimna, jakby w ogóle nikt w niej nie spał. Dziewczyna nie pokazała się również na śniadaniu, co jednak nie było niczym dziwnym. Wtedy zresztą Xantię zaabsorbował już widok Torkyna Gynta. Siostra Iris nalegała, by dziewczyna dziś przedstawiła mu archiwistkę. Xantia doszła do wniosku, że będzie zabawniej, jeśli potraktuje to jako chwalenie się przed rywalką tym czarującym mężczyzną.

Wyszła z jadalni w otoczeniu innych trajkoczących studentek, tradycyjnie nie biorąc udziału w ich rozmowach. Tym razem była z tego zadowolona, jej myśli bowiem krążyły zupełnie gdzie indziej. Po raz kolejny wyobrażała sobie, że odchodzi z Akademii i podróżuje z Torkynem Gyntem. Czy zgodziłby się? Wątpiła w to z powodu archalitu i tego, co on oznaczał. Nawet ktoś tak utytułowany jak on nie mógł dorównać statusem Nietykalnej. Xantia jednak nie potrzebowała miłości Tora; pragnęła jedynie być przy nim.

Spostrzegła siostrę Iris. Chciała udać, że jej nie widzi, ale starsza kobieta skinęła jej głową.

- Dzień dobry, Xantio.

- Mam nadzieję, że dobrze siostra spała - odrzekła dziewczyna, kłaniając się z szacunkiem należnym wszystkim siostrom.

- Jak kłoda. A ty?

- Spokojnie, dziękuję - odparła Xantia, ignorując lekko uniesioną brew siostry.

- Słyszałam, że byłeś dla naszego gościa wyśmienitą przewodniczką po salach lekcyjnych. Jakie masz plany na dziś, dziecko?

Xantii nie umknął nacisk położony na słowo „dziecko”. Krew w niej zawrzała, ale wyraz twarzy pozostał niewzruszony, a głos pokorny.

- Za pozwoleniem siostry, pomyślałam, że mogłabym zaprowadzić doktora Gynta do archiwum.

- Świetny pomysł, Xantio. Jestem pewna, że ty i Alyssa udzielicie mu fascynującej lekcji.

I tym razem w uprzejmych słowach siostry pobrzmiewała ironia.

- A potem - kontynuowała Xantia, ignorując ją - przyszło mi do głowy, że może mogłabym otrzymać pozwolenie na wzięcie jednego z powozów i obwiezienie pana Gynta po Ildagarth.

- Pomyślę nad tym, ale najpierw sprawdź, czy Saxon ma dziś wolne popołudnie i mógłby zawieźć naszego gościa do miasta.

- Już lecę - odrzekła słodko Xantia, mając nadzieję, że na jej twarzy nie widać szyderstwa.

Saxon właśnie ładował drwa do koszy, którymi objuczony był Kythay. Bez wątpienia zrobiło się już dość zimno, by zacząć palić w kominkach Akademii. Powtórzyła prośbę i nie odchodziła, póki się nie upewniła, że beznamiętne skinienie głowy mężczyzny oznacza zrozumienie i zgodę. Ten stary dureń wraz ze swoim równie durnym osłem już tyle razy przemierzali tę trasę, że żaden nie potrzebował oczu, by zrobić to po raz kolejny.

- Dobrze - powiedziała, mając nadzieję, że wszystko potoczy się po jej myśli.

Była pewna, że siostra Iris udzieli jej tak upragnionego zezwolenia na opuszczenie Akademii i spędzenie kilku godzin z Torem bez nadzoru rady. Odnalazła medyka w sklepionym holu, rozmawiającego z kilkoma najmłodszymi studentkami, które chichotały jak pensjonarki. Poczula ukłucie zazdrości. Zobaczyła, jak medyk uśmiecha się szeroko, szepcze do nich coś, wywołując kolejne piski, po czym kłania się dwornie, przeprasza i odchodzi. Wyczuł obecność Xantii, udawał jednak, że zauważył ją dopiero w tym momencie.

Xantia zmusiła się do uśmiechu.

- Widzę, że dzieciaki już pan podbił.

- Są rozkoszne. Dzięki Akademii - rzekł rozbrajająco.

- W istocie. - Stłumiła zazdrość, wstrząśnięta swoim pragnieniem dotknięcia tego mężczyzny. Nie mogła znieść dzielenia się nim z kimkolwiek, nawet z dziesięciolatkami.

Wzięła się w garść, odsuwając od siebie te pragnienia i uśmiechając się do niego promiennie.

- Dobrze się panu spało? - zapytała, wracając na bezpieczny grunt.

- Spałem jak suseł, dziękuję - odparł.

Wyobraziwszy go sobie, jak leży nagi w pościeli, zaczerwieniła się potwornie i znów

pospiesznie zmieniła temat.

- Jedna z sióstr wspomniała podczas śniadania, że widziała dziś krążącego nad Akademią przepięknego sokoła wędrownego.

- Naprawdę?

- Tak. Była bardzo podekscytowana. Od dziesiątków lat nie widziano w tym regionie sokoła.

Tor uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Należy do mnie.

Ani przez chwilę w to nie uwierzyła. Była pewna, że ją podpuszcza.

- Już to widzę!

- Przysięgam. To mój ptak. Piękniejszego nie znajdzie pani w całym Tallinorze.

- Jest oswojony?

- Owszem. Musi go pani poznać.

Po latach klasztorного życia Xantia z rozkoszą oddawała się żartobliwej pogawędce.

- Och, przedstawi nas pan sobie? A czy ten pański sokół potrafi mówić? - pytała, wskazując korytarz, którym mieli pójść.

- Oczywiście. Ale tylko do mnie. - Mrugnął i ujął ją pod rękę.

Xantia nigdy przedtem nie odczuwała takiego podniecenia. To był zwyczajny, kurtuazyjny gest, ale łagodny dotyk Tora sprawił, że krew uderzyła jej do głowy po raz drugi w ciągu krótkiego czasu. Od tego nowego, osobliwego uczucia aż zakręciło jej się w głowie. Nie miała odwagi się odezwać w obawie, że czar pryśnie, ale Tor i tak go rozproszył.

- A zatem, jakie ma pani plany na dziś wobec mnie, piękna przewodniczko? - zapytał, puszczając jej rękę na widok nadchodzących sióstr.

Była tym ogromnie zawiedziona.

- Chciałabym pana zaprowadzić do naszej biblioteki w krypcie, gdzie pozna pan archiwistkę Akademii.

- A, tak. Podobno ciekawa z niej kobieta.

Xantia milczała, nie chcąc powiedzieć czegoś, czego mogłaby później żałować, zwłaszcza gdyby dotarło to do sióstr.

Tor kontynuował, nieświadom jej zakłopotania.

- Siostra Iris mówiła mi, że to nie tylko niezmiernie uczona, ale i bardzo piękna dziewczyna.

Xantia niechętnie kiwnęła głową i gestem wskazała znajdujący się po lewej stronie labirynt korytarzy wiodący do krypty.

- Śmiertelna kombinacja - powiedział Tor za jej plecami.

*

Alyssa zerwała się gwałtownie, zbudzona łoskotem książek, które zsunęły się z nierównej półki jej kolan i grzmotnęły o płytki podłogi. Wyrwana ze snu, uświadomiła sobie, że spędziła noc w krypcie. Wokół panował półmrok; nie miała pojęcia, ile minęło czasu. Poszukała wzrokiem świec, ale obie były wypalone. Gdyby nie te grubsze, wciąż odważnie płonące w innych punktach biblioteki, siedziałyby w absolutnej ciemności. Żołądek mówił jej, że pora śniadania dawno minęła, ale martwił ją nie tyle głód, ile to, jak na jej nieobecność zareagowała Xantia, Sorrel, a przede wszystkim siostra Iris. Przełożonej Akademii bardzo bowiem zależało na tym, by cała społeczność przynajmniej raz dziennie jadła wspólnie.

Przetarła oczy i próbowała okiełznać niesforne włosy. Będzie musiała się prześliznąć mniej ruchliwymi korytarzami z powrotem do pokoju. Nie ma co zwlekać.

Gdy się schylała, by podnieść rozrzucone księgi, zamarła. Usłyszała stłumione głosy, zdające się dobiegać ze szczytu schodów wiodących do krypty.

Nasłuchiwała. Głos, który teraz mówił, należał do Xantii.

Ależ się wpakowała. Gdyby ją przyłapała któraś z sióstr, też nie byłoby dobrze, ale Xantia z pewnością się postara, by wszyscy o tym wiedzieli. Czego, u diabła, szukała w krypcie? Nienawidziła tego miejsca. Alyssa pomyślała, że dziewczyna prowadzi pewnie inną studentkę, więc nie spieszyła się. Pozbierała książki, położyła je na swoim biurku i właśnie wróciła do kąta, by złożyć koc, gdy weszli goście.

- Halo?

- Chwileczkę! - zawołała zza regału.

- Gdzie jesteś?

- Tu - odrzekła Alyssa, pojawiając się za ich plecami. Była zdumiona, widząc, że obok Xantii stoi wysoki mężczyzna.

Oboje obrócili się na dźwięk jej głosu. W jednej sekundzie znajomy i ukochany uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny, a iskra w niewiarygodnie niebieskich oczach zgasła, ustępując miejsca wywołanej wstrząsem pustce.

Xantia dostrzegła jedynie oplakany stan, w jakim znajdowała się bardzo zwykle zadbana rywalka.

- O rany! Tylko mi nie mów, że znów zasnęłaś w bibliotece.

- Zaśmiała się ochryple, uradowana malującym się na twarzy Alyssy zażenowaniem. - Pozwól, że ci przedstawię...

- Torkyna Gynta - dokończyła Alyssa.

Xantia poczuła się urażona, że Alyssa wchodzi jej w słowo. To miała być jej chwila.

- Zgadłaś - rzekła bez zająknięcia. - Doktorze Gynt, oto...

- Alyssa - powiedział cicho.

Zaległa ciężka cisza. Xantia spojrzała na Alysę, potem znów na Tora.

- Znacie się? - zapytała, skonsternowana.

Tor kiwnął głową, nie śmiąc oderwać wzroku od zdumiewająco pięknej Alyssy Qyn. Nawet potargana, z odcisniętą na policzku fakturą krzesła i w byle jakiej koszuli nocnej była piękniejsza niż ta, którą pamiętał.

Alyssa pierwsza otrząsnęła się z szoku. Zrobiła krok do przodu i skłoniła się formalnie, nie patrząc jednak we wlepione w nią oczy.

- Proszę mi wybaczyć, doktorze Gynt. Zaskoczył mnie pan. Istotnie spędziłam noc w bibliotece, będzie pan więc musiał dać mi chwilę na doprowadzenie się do porządku. - Obróciła twarz ku Xantii. - Zaraz wracam.

I uciekła, wbiegając po kamiennych schodach najszybciej, jak jej pozwalała długa koszula. Zygzakami przemierzała korytarze, bardziej uciekając, niż zmierzając w jakimś konkretnym kierunku, choć nie zdziwiło jej, że znalazła się przy stajniach. Nie mogąc złapać tchu - nie w wyniku biegu, lecz szoku - osunęła się w kąt, przerażona, że Tor mógłby biec za nią.

Niemal wrzasnęła, gdy z cienia wyłoniła się jakaś postać. Powinna była rozpoznać znajome kuśtykanie Saxona, ale w tej chwili nic nie wyglądało dla Alyssy tak, jak powinno.

*

Umyła się, włożyła tunikę, starannie splótła włosy w warkocz i związała rzemieniem. Dzięki tym prostym czynnościom przestała wprawdzie się trząść, ale wewnętrzny niepokój znacznie wzrósł.

A więc to jego sylwetkę widziała zeszłej nocy. Była też przekonana, że to on próbował się wczoraj z nią połączyć. Gdy młodsza studentka przyszła do niej z poleceniem stawienia się w gabinecie siostry Iris, zastała ją zakłopotaną, zagniewaną i przerażoną.

Do idącej przez dziedziniec Alyssy podszedł Saxon. Wręczył jej liścik, ścisnął za ramię i oddalił się. Zatrzymała się na chwilę, spoglądając za nim, nie mogła jednak czytać teraz listu. Dziewczynka najwyraźniej otrzymała polecenie natychmiastowego przyprowadzenia Alyssy i nie miała zamiaru czekać.

Siostra Iris przywitała ją serdecznie. Bardzo lubiła Alysę i doceniała jej poświęcenie dla Akademii. Ta młoda kobieta miała szanse zostać siostrą szybciej niż inne. Będzie świetną przełożoną i wzorem do naśladowania dla młodszych. Dziewczyna tymczasem skłoniła się

siostrze, która pomyślała, że jest w niej coś - próbowała znaleźć właściwe słowo - coś królewskiego.

- Usiądź, moja droga - rzekła. - Czy nic ci nie dolega? Było mi przykro, że nie jadłaś dziś z nami.

- Przepraszam, siostrze Iris, ja...

- Znów zasnęłaś w krypcie? - zapytała życzliwie starsza kobieta.

Alyssa skinęła głową, zastanawiając się, skąd siostra to wie.

- Alyso, podobno miałaś już okazję poznać naszego dostojnego gościa? Czy to prawda, że spotkaliście się wcześniej, dawno temu? Niewiele wiemy o twojej przeszłości i nie mam zamiaru być wścibska, zostawmy to zatem tak, jak jest. Doktor Gynt odwiedził mnie przed chwilą.

- Ach, tak? Muszę przyznać, że byłam zawstydzona i wybiegłam w pośpiechu... Co mówił? - Alyssa starała się, by jej głos brzmiał najbardziej beznamiętnie, jak tylko się dało.

- Och, niewiele. Opowiadał, że wychowywaliście się po dwóch przeciwległych stronach doliny, on we Flat Meadows, a ty w Mallee Marsh. - Siostra Iris zaśmiała się, zdumiewając tym Alyssę. - Wspominał, że strasznie mu dokuczałaś, gdy byliście młodszy.

Alyssa zmusiła się do uśmiechu.

- Pewnie macie sobie wiele do opowiedzenia - kontynuowała starsza kobieta.

- Siostrze Iris, nie widziałam Tora wiele lat. Prawie już nie pamiętam tamtych czasów. Szczerze mówiąc, nawet jego ledwie sobie przypominam.

- Nie bądź taka skromna, Alyso. Masz jeden z najbystrzejszych umysłów w całej Akademii i nie wierzę, by choć jeden szczegół mógł ci umknąć.

Alyssa zarumieniła się.

- Przeżyłam nieprzyjemną niespodziankę, gdy Xantia i nasz gość zaskoczyli mnie w archiwum w chwilę po przebudzeniu. - Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że siostra jej uwierzy. - Czy gniewa się siostra na mnie?

- Bynajmniej, moja droga. Przeciwnie, pomogłaś mi wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Usiądź, proszę, i wysłuchaj mnie.

Chcąc zyskać chwilę czasu do namysłu, Alyssa zajęła się nalewaniem ziołowej herbatki i częstowaniem się ciastkiem. Wiedziała, że nie tak łatwo będzie wyprowadzić w pole starszą siostrę.

- Alyso, Xantia nie ukrywa, że bardzo chciałaby opiekować się doktorem Gyntem podczas jego pobytu w Akademii. Pewnie tego nie wiesz, bo interesują cię głównie twoje książki, ale przybył niemal trzy dni wcześniej, niż się spodziewaliśmy, i nie bardzo wiemy,

co z nim zrobić. Choć osobiście jestem tym zdziwiona, on także wydawał się niezmiernie zadowolony z jej towarzystwa.

Alyssa kaszlnęła i ukryła twarz za filiżanką.

- W rzeczy samej - rzekła siostra, bez trudu odczytując myśli dziewczyny. - Dobrze wiem, po co Xantia to uknęła. Nie wątpię też, że nasz gość świetnie się czuje, mając przy sobie tak żywotną przedstawicielkę naszej społeczności.

Alyssa przygryzała ciastko, rozmyślając intensywnie. Siostra Iris z pewnością nie była głupia.

- Tak czy owak, doktor Gynt zapewniał mnie, że przybył tu wyłącznie w celach poznawczych. Co ciekawsze, przed chwilą przyszedł do mnie z prośbą, abym natychmiast zwolniła Xantię z obowiązku dotrzymywania mu towarzystwa. - Siostra spostrzegła zdumienie malujące się na twarzy Alyssy. - Czy to nie dziwny zbieg okoliczności? Spotyka przyjaciółkę z dzieciństwa, dziś piękną kobietę, i nagle traci zainteresowanie jej mniej intrygującą koleżanką.

Uniosła rękę, by powstrzymać protesty Alyssy.

- Wszystko w porządku, Alyso. Podziw mężczyzn nie jest niczym złym. Jako Nietykalne musimy jednak wiedzieć, kiedy należy powiedzieć „dość”.

Alyssa skinęła głową.

- Zawsze przestrzegałam naszych zasad, siostró - rzekła posłusznie.

- Nie jestem natomiast pewna, czy Xantia nadal będzie to robić. Na szczęście twój przyjaciel jest dostatecznie bystry, by mieć świadomość, że jej zainteresowanie staje się zbyt... powiedzmy, zbyt żarliwe. Może to być niebezpieczne dla jego kariery. Pragnie więc za wszelką cenę uniknąć niezręcznej sytuacji, podobnie jak ja.

- I prosił, żebym to ja zajęła się nim przez resztę pobytu? - celowo beznamiętnym głosem zapytała Alyssa.

- Tak, moja droga, masz rację, a ja nie wyobrażam sobie lepszej kandydatki do tej roli. Jesteś taka wiarygodna. Możemy być pewne, że będziesz dokonywała właściwych wyborów.

Alyssa szybko odstawiła filiżankę w obawie, że ta spadnie na podłogę. Siostra Iris uwielbiała pijać z najlepszej porcelany produkowanej w Ildagarth i roztrzaskanie jej cennego naczynia na pewno nie wyszłoby nikomu na dobre.

- Siostró, jestem strasznie zajęta przepisami ksiąg. Może Shelley mogłaby mnie zastąpić? - zaproponowała desperacko.

- Och, daj spokój, Alyso. Nikt w całej Akademii nie podziwia twojej doskonałej pracy bardziej niż ja, ale nawet taka zgrzybiała baba wie, że każdemu potrzeba odskoczni,

zabawy. Pracujesz zbyt wiele i zbyt ciężko. Mam nadzieję, że nie będę zmuszona nalegać. Chciałabym, żebyś podjęła się tego zadania z własnej woli, wierząc, iż sprawi ci ono przyjemność. W końcu to potrwa tylko do jutrzejszego wieczoru. Co ci szkodzi?

„Może zaszkodzić całemu mojemu życiu” - pomyślała Alyssa, wiedząc jednak, że nie uda jej się postawić na swoim.

- Jakie są siostry życzenia? - zapytała więc.

- Dziękuję, Alysso. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Dziś po południu Saxon zawiezie was do Ildagarth. Xantia miała zamiar oprowadzić gościa po ulicach, na których zaczynają się już uroczystości. Zgadzam się z nią. Dzięki temu upłynie mnóstwo czasu. Nie oczekuję, że szybko wrócicie. Jeśli będziecie mieli ochotę, pozostaniecie w mieście aż do wieczora. Mam do ciebie pełne zaufanie.

Alyssa spojrzała na nią z niepokojem.

- Saxon zostanie z nami?

- Oczywiście.

- A Xantia?

Starsza kobieta skierowała ją ku drzwiom.

- Xantią ja się zajmę.

*

Xantia siedziała na łóżku, czekając, aż Alyssa wróci do pokoju. Gdy to się stało, przyglądała się, jak Alyssa w pośpiechu wrzuca do niewielkiego tobołka kilka rzeczy, szykując się do wyjazdu do Ildagarth.

Alyssa nie mogła znieść unoszącej się w powietrzu nienawiści.

- Xantio, czy nie powinnaś być teraz w sali lekcyjnej?

- Nie bądź taka protekcyjna, Alysso! Jeszcze nie jesteś siostrą! - Xantia uderzyła pięścią w poduszkę. - I prawie nie bywasz w Ildagarth!

- Podobnie jak ty, więc wiemy o nim mniej więcej tyle samo. Jakoś sobie poradzę.

Xantia wyprostowała się gniewnie.

- Dlaczego siostra Iris mi to zrobiła? Zwolniła mnie z tej misji, by mnie upokorzyć i powołać na to miejsce swoją ulubienicę. Teraz ty upajasz się myślą o ucieczce z nim.

- Daj spokój, Xantio! Zachowujesz się jak dziecko. Myślisz, że się palę do tej roboty? Jak ci się wydaje, czy to w moim stylu?

Xantia wykrzywiła usta.

- Skąd mam znać twoje zachcianki, Alysso? Jesteś jak zamknięta księga - rzekła cierpko. - Opowiedz mi o was dwojgu.

- Powiem to tylko raz. Tor i ja wychowywaliśmy się w tej samej okolicy. Widywaliśmy się od czasu do czasu. I tyle.

- Nie potrafię z tym walczyć, Alyssso. - Xantia nie miała zamiaru zwierzać się osobie, którą gardziła, ale słowa same jej się wyrwały. - Kocham go. Pragnę. Muszę z nim być.

Alyssa poczuła obrzydzenie. Nie wiedziała, czy to tęsknoty Xantii, czy własna nieświadoma miłość do Tora tak na nią podziałała.

- Xantio, nosisz na czole jasnoniebieski dysk. To nie ozdoba. To znak. Pozostaniesz Nietykálną, dopóki śmierć cię nie uwolni. Nigdy nie będziesz kochana przez mężczyznę. Nigdy nie poczujesz dotyku jego ramion - wycodziła lodowato.

Przez te wszystkie lata, które minęły od czasu okaleczenia Saxona, Xantia nie dostrzegała w Alyssie żadnych emocji. Teraz jednak nie umknął jej uwagi żar kryjący się za tymi zimnymi słowami.

- Ty, Alyssso, nie potrzebujesz archalitu, by być Nietykálną. I bez niego świetnie ci to idzie, bo jesteś tak zimna jak sama śmierć i być może tylko jej dotyk przyjmiesz kiedyś z zadowoleniem. Nie masz pojęcia, co znaczy tęsknota za dotykiem mężczyzny. Obawiam się, że Goth zrobił ci coś znacznie gorszego niż pobicie twojego pieszczoszka i wycięcie mu języka.

Słowa Xantii tak wstrząsnęły Alyssą, że na chwilę dech jej zapało. Tymczasem Xantia wcale nie zamierzała się zamknąć.

- O tak, słyszałam, jak mówiłaś przez sen. Nie jestem głupia. Cóż za ironia! Spośród wszystkich mężczyzn właśnie ten potwór musiał położyć na tobie łapy. - Parsknęła gorzkim śmiechem. - Rób, co ci polecono. Leć do swojego przyjaciela. Bądź pewną siebie, powściągliwą Alyssą, jaką widzi w tobie Akademia. A kiedy Tor będzie się zastanawiał, dlaczego skazano go na ciebie, ja będę się rozkoszować wspomnieniem jego tęsknego pocałunku na mojej dłoni i pożądlivego spojrzenia. Jutro, podczas festiwalu, gdy reguły zostaną złagodzone - kontynuowała - przeżyję piękne chwile z twoim znajomym z dzieciństwa, a gdy będzie mnie tulił w tańcu, ja mam zamiar celebrować nienawiść do ciebie.

Lata rozpacz i nieodwzajemnionej miłości wzięły górę nad spokojem Alyssy.

- Xantio.

Przyjaciółka obróciła się, upojona zwycięstwem.

- To nie siostra Iris zwolniła cię z zadania. Najwyraźniej zapomniałam ci powiedzieć, że ten mężczyzna, którego tak kochasz, bez którego nie możesz żyć i który podobno tak strasznie cię pragnie, osobiście ją prosił o uwolnienie od twojego towarzystwa. Bawił się tobą, Xantio, bo tak łatwo wyrzucić na tobie wrażenie. Zrobiłaś dokładnie to, czego od ciebie

oczekiwał: uległaś jego czarowi, ośmieszając się w jego oczach. I jeszcze jedno - dodała - siostra Iris mnie nie wybrała ani ja nie prosiłam jej o powierzenie mi tej roli. To doktor Gynt nalegał, bym była jego przewodniczką.

Twarz stojącej przed nią dziewczyny pociemniała jak niebo przed burzą. Alyssa wiedziała, że przysporzyła sobie nowego wroga, równie zacieklego jak Goth.

- Nienawidzę cię, Alysso - tylko tyle zdołała wykrztusić Xantia.

Alyssa nawet na nią nie spojrzała.

- Zamknij za sobą drzwi, Xantio.

ACZABBA VEISZUIT

Alyssa ujrzała go stojącego obok wozu. Powiedział coś do Saxona, którego ramiona po raz pierwszy od lat zatrzęsły się w paroksyzmie śmiechu. Wyglądało na to, że wdzięk Tora działa na wszystkich.

Obserwowała ich, stojąc w cieniu, a ręce, by nie drżały, wcisnęła w kieszenie. Nagle jej palce natrafiły na skrawek pergaminu. Był to liścik Saxona. Jakim sposobem udało mu się go napisać, nie widząc? Alyssa rozwinęła pergamin i rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu. Była sama. Przeczytała list.

Pamiętasz, jak ci mówiłem, że nie jestem ci przeznaczony... że jest ktoś inny? Powiedziałem, że kiedyś cię znajdzie. Już tu jest. Idź za nim. Wierz w niego. On jest Wybrańcem.

Przeczytała to trzy razy. O czym on, u diabła, mówił? Pamiętała tamten dzień w lesie i łagodną stanowczość, z jaką Saxon uchylił się przed jej pocałunkami.

W pośpiechu schowała liścik. Później się nad tym zastanowi. Wyszła na blade światło słoneczne zimowego poranka, przyglądając się obu mężczyznom. Jeden - upokorzony, zmaltretowany, postarzały kaleka; drugi - w kwiecie wieku, wyglądający jak piękny bóg oddany światu w dzierzawę. Pewny siebie, niewątpliwie przyzwyczajony do uwielbienia kobiet i przyjaźni mężczyzn.

Spojrzał na nią, wyprostował się, demonstrując swój imponujący wzrost, i pomachał ręką, po czym jakby się zawstydził własnego entuzjazmu. Spodobało jej się to. Może jednak nie był aż tak pewny siebie. Świadomość, że nadal potrafi wprawić w zakłopotanie Torkyna Gynta, sprawiła jej przyjemność.

Stanąwszy naprzeciw niego, najpierw zwróciła się do drugiego mężczyzny.

- Dziękuję za pomoc, Saxonie.

Saxon wzruszył ramionami, a Alyssa obróciła się w stronę Tora, mając nadzieję, że nie uznał jej głębokiego oddechu za wyraz zdenerwowania, choć w istocie tak było.

- Witam ponownie, doktorze Gynt.

Odwzajemnił spojrzenie, patrząc jej w oczy nieco zbyt natarczywie.

- Wsiadamy? - zapytała, wskazując powóz.

- Tylko jeśli będziesz mnie nazywać Torem, a nie doktorem Gyntem.

Skinęła głową.

Obaj mężczyźni zaoferowali jej pomoc. Wybrała spracowaną dłoń Saxona i zgrabnie wskoczyła na górę. Tor usiadł obok niej na tylnej ławce. Saxon cmoknął na konie, a dwie siostry otworzyły bramę. Wkrótce znaleźli się na zewnątrz, powolnym truchtem przemierzając sad.

Tor nie mógł się powstrzymać. Wyciągnął rękę i ujął dłoń Alyssy, ta jednak wyrwała ją.

- Daj spokój - powiedziała, przestraszona uczuciem, które dojrzała w jego oczach. Dla większego bezpieczeństwa włożyła rękę do kieszeni i ponownie wymacała liścik.

„On jest Wybrańcem” - powtórzyła w myślach, gdy zapadła niezręczna cisza.

Tor nagle spojrział w górę i już po chwili z nieba sfrunął majestatyczny sokół, lądując na drewnianej ławce obok Saxona, lecz przodem do nich. „To niemożliwe” - pomyślała Alyssa i z ust wyrwał jej się okrzyk przestachu. Ze zdumieniem zobaczyła, że Tor uśmiecha się szeroko.

Dobry moment, Clout - rzekł poprzez łącze.

Miałem wrażenie, że potrzebujesz ratunku. Nie poganiaj jej, Tor - doradził mu sokół. - *Pamięta cię jako chłopca. Mężczyzny nie zna.*

Ptak wczepił się w ławkę ostrymi szponami i przekrzywił głowę na bok. Alyssa miała wrażenie, że ją ocenia. Tor obrócił się. Pomyślała, że nie ma sensu unikać jego spojrzenia.

- Clout - powiedział na głos Tor - chciałbym ci przedstawić kobietę, o której ci opowiadałem. Oto Alyssa.

Wielki ptak przestąpił z łapy na łapę i przyglądał jej się badawczo jasnożółtymi oczyma. Alyssa wpatrywała się w niego z podziwem.

Tor szturchnął ją, po czym chrząknął i wskazał głową ptaka. Alyssa przypomniała sobie o dobrych manierach.

- Yyy... Jak się masz, Clout? - rzekła, wciąż nie mogąc wyjść z podziwu, po czym zwróciła się do Tora: - To twój jastrząb?

- Sokół wędrowny, jeśli łaska - poprawił ją. - Clout bardzo się denerwuje, gdy ktoś nazywa go jastrzębiem.

Oczy jej zabłyśły.

- Istotnie. I nie mam wątpliwości, że rozumie moje słowa.

- Co do jednego, więc bądź miła.

Znów przeniosła wzrok na ptaka.

- W takim razie muszę powiedzieć, że jesteś najprzystojniejszym sokołem, jakiego w życiu widziałam, Cloot.

Z zachwytem zobaczyła, że ptak porusza głową.

- Gratuluje ci wyśmienitego gustu - przetłumaczył Tor, z przyjemnością słuchając śmiechu dziewczyny.

Niewzruszony towarzystwem drapieżnika Saxon wskazał niewielki strumyk, który właśnie mijali.

- Właśnie - rzekł Tor - może byśmy przystanęli tu na chwilę?

Gdy Alyssa z niezadowoleniem przyjęła pomysł tak wczesnego postoju, pogroził jej palcem.

- Masz być moim przewodnikiem. A ja właśnie tu chcę się zatrzymać, by podziwiać piękne okolice Ildagarth.

Saxon pokazał gestem, że pozostanie przy koniach. Tor i Alyssa w swobodniejszym już milczeniu podeszli do brzegu strumyka, podczas gdy Cloot poleciał naprzód, w kierunku niewielkiej kępy drzew. Alyssa podziwiała jego grację.

- Opowiedz mi o Cloocie - rzekła, gdy już się usadowili na gąbczastej trawie.

Tor zadumał się, najwyraźniej walcząc z sobą. W końcu westchnął.

- Od czego by tu zacząć?

- Może od Tańca Kwiatów? - zasugerowała łagodnym głosem, w którym pobrzmiwał ból.

Tak uczynił. Opowiedział jej wszystko. O tym, jak Merkhud wyczuł łączącą ich więź mentalną, o kamieniach, o tym, że Gyntowie nie są jego prawdziwymi rodzicami i o poczuciu, iż musi podążyć za Merkhudem do Tal. Mówił, jak dwa dni później pojechał do Mallee Marsh, by ją odnaleźć, błagać o przebaczenie i o rękę, nakłaniać, by pojechała z nim, i dowiedział się, że zniknęła, nie pozostawivszy żadnej wskazówki, gdzie jej szukać. Przeczesał włosy palcami. Pamiętała ten gest. Potem opowiedział o tym, jak samotny czuł się bez niej i jak niezliczoną ilość razy w ciągu tych wszystkich lat usiłował się z nią skontaktować, wciąż trafiając w pustkę, ale nie tracąc nadziei.

Wtedy to ona ujęła jego dłoń. Jej dotyk dodał Torowi sił.

Dalej mówił o tym, jak natknął się na przybitego do pala łagodnego olbrzyma, kalekę, który potrafił komunikować się z nim poprzez łącze i błagał, by się nie oddalał. Gdy powiedział, że obcy miał na imię Cloot, zaintrygowana Alyssa zerknęła na strojącego piórka na pobliskiej gałęzi ptaka. Tor wiedział, że sokół popisuje się przed dziewczyną. Kazał mu

przestać, ten jednak zignorował go i szeroko rozpostarł potężne skrzydła, by Alyssa mogła podziwiać jego szeroką, piękną pierś. Zaśmiała się, ale szybko spoważniała.

Tor opowiedział, jak ciężko zraniono wówczas Cloota. Mówił o marszałku Cyrusie i doktorze Freybergu, o mrówce rozczłonkowującej karalucha i o uleczeniu swego nowego przyjaciela. Przekazał też nieliczne posiadane przez siebie informacje na temat paladynów. Postanowił nie wspominać o tym, jak obwołano go królem morza, ani o Eryonii. Nie był to dobry moment na opowiadanie o tym, jak kochał się z inną kobietą, ponieważ Alyssa zaczęła właśnie gładzić jego dłoń.

Historia rozkręcała się coraz bardziej: nocna jazda do Brewis, przemiana Cloota w przepięknego sokoła, uratowanie przykutego do drzewa Cyrusa, król i królowa, Merkhud, życie w pałacu i narastające pragnienie odnalezienia jej.

Łzy dziewczyny kapąły na dłoń Tora, którą Alyssa mocno teraz zaciskała w swojej.

Pospiesznie kończył opowieść, szczegółowo relacjonując uzdrowienie królowej i wywołaną tym kłótnię z Merkhudem, swoje podejrzenia co do starca, zniknięcie Cyrusa w Sercu Lasu, spotkania z Darmudem Corilem i z Lys. Nie wspominał jednak o swoich snach ani o tym, co w nich zobaczył. Zachował to na później.

Teraz patrzył na nią z powagą.

- Wierzysz mi?

Alyssa spojrzała mu w oczy, jakby zaglądała w duszę.

- Całkowicie, Tor. Saxon opowiadał mi o tej samej kobiecie ze snów. Tej, którą nazywasz Lys. To ona przyprowadziła go do mnie.

Pokiwał głową.

- To ma sens. Jest twoim strażnikiem.

Ona nie dostrzegała w tym większego sensu, ale nim zdążyła się odezwać, Tor mówił dalej.

- Przebaczysz mi Minstead?

Chłodną dłonią zamknęła mu usta, by nie mógł kontynuować, i pokiwała głową.

- A Xantia? - zapytała cicho.

- Xantia? - powtórzył, jakby nie rozumiał. - Ona jest nikim, Alysso... To tylko rozrywka...

- Ach tak? W takim razie wiedz, że ta rozrywka przez kilka lat była moją najlepszą przyjaciółką. Ostatnio postanowiła zostać moim wrogiem.

- Przeze mnie?

- Nie. To bardziej skomplikowane. Zawładnęły nią dwa rodzaje zazdrości. Wkrótce

ma zostać wybrana nowa siostra. Xantia wierzy, że to jej należy się to stanowisko. Wyłoniono cztery kandydatki i ja jestem wśród nich, uważa mnie więc za zagrożenie. - Alyssa nie wnikała w szczegóły, Tor domyślił się jednak, że to ona jest główną faworytką. Zachował tę myśl dla siebie.

- Ostatnio natomiast zakochała się - kontynuowała dziewczyna. - W tobie. Żadne argumenty do niej nie przemawiają. A we mnie, osobie już i tak przez siebie pogardzanej, widzi jedynie rywalkę do serca mężczyzny, którego zna od kilkunastu godzin i rzekomo uwielbia. Tor, ona myśli, że jesteśmy kochankami!

Uśmiechnął się.

- Zatem nie rozczarowujmy jej. Niech wasz konflikt ma przynajmniej podstawy.

Mówił poważnie. Dostrzegła to w jego błyszczących oczach.

Sokół chyba powiedział coś do Tora, bo mężczyzna skrzywił się mocno, jakby chciał go zbesztać.

- Nie wiem dlaczego, Tor, ale ostatnio w kółko przypominam ludziom, co oznacza ten archalitowy dysk na moim czole.

- To coś?

Dotknął kamienia, a ten bezdźwięcznie spadł na grubą warstwę materiału utworzoną przez połażowaną na jej skrzyżowanych nogach tunikę.

Alyssie odebrało mowę. Nawet Tor wydawał się zaskoczony. Uniósł dysk w swoich długich palcach i skierował ku słońcu. Zielony klejnot zalśnił mocnym blaskiem.

Tor otworzył łącze w jej umyśle.

Witaj z powrotem - rzekł, po czym wrzucił dysk do kieszeni i pochylił się, by pocałować dziewczynę.

Oniemiała Alyssa pozwoliła mu na to, nie odwzajemniając jednak pocałunku. Czowała się tak, jakby przez ostatnie lata widziała świat przez mgłę i słyszała przez gazę. Teraz, gdy ją uwolniono od archalitu, każdy kolor, zapach i dźwięk - prawdopodobnie także smak - zyskał na intensywności.

Tor oderwał usta od jej warg. Od jak dawna o tym marzył? Nie przeszkadzało mu nawet, że dziewczyna nie bardzo odwzajemnia jego zapał.

Saxon! - zawołała Alyssa poprzez łącze.

Przyszedł tak szybko, jak tylko mu pozwalały powykrzywiane nogi i ślepotą. Wyglądał na podekscytowanego.

Wróciłaś! - odezwał się w jej głowie swoim cudownym, głębokim, wytęsknionym głosem. - *Jak?*

Tor tego dokonał.

Na zniszczonych wargach Saxona zagościł cień dawnego promiennego uśmiechu.

To dlatego, że jest Wybrańcem.

*

Dopiero około południa dotarli do właściwego Ildagarth. Saxon wstrzymywał konie, by zapewnić cennej parze dość czasu na powiedzenie wszystkiego, co mieli sobie do powiedzenia.

- A twoje życie?

Alyssa spojrzała pytająco na Tora, by odwlec nieco chwilę, gdy będzie musiała ponownie przeżyć to, co próbowała wymazać każdego dnia z pamięci.

- To dla mnie bolesne, Tor.

Popatrzyła na fioletowe wzgórza w oddali i rozpościerające się wokół trawy o różnych odcieniach zieleni. Przysięgłaby, że dociera do niej z wiatrem zapach rosnącej na wzniesieniach lawendy.

Tor ujął dłoń dziewczyny i łagodnie ucałował jej wnętrze.

Powiedz mi - rzekł wprost do jej głowy.

Opowiedziała więc, nie przemilczając żadnego z brutalnych szczegółów. Uśmiechnął się, gdy wspominała loty z Saxonem Lisem. Gdy mówiła o pierwszym spotkaniu z Gothem, ujrzała w jego oczach smutek, który zmienił się w ból i nienawiść, kiedy opowiedziała o tym, co się stało podczas drugiego spotkania.

Głos jej się trząsnął, gdy powracała myślą do tych zdarzeń, ale dotyk dłoni Tora, choć również drżącej, uspokoił ją w wystarczającym stopniu, by zdołała dokończyć opowieść. Być może sądził, że najgorsze ma już za sobą, ale poczuła, jak jego ciało sztywnieje, gdy dotarła w swojej relacji do tego, co zrobił Goth Miltowi i Orisowi, jak okaleczył Saxona i obiecał, że będzie na nią czekał.

Kiedy skończyła, niewielka przestrzeń pomiędzy nimi wypełniła się ciszą. W końcu Tor pokiwał głową.

- Teraz rozumiem, dlaczego wybrałaś Akademię. Żywię nawet podziw dla archalitu za to, że cię chroni. Ja nie zdołałem tego uczynić.

- Daj spokój, Tor. Nie miałaś pojęcia, co się zdarzy. Zapominasz, że to ja sama postanowiłam odejść z Sorrel. To moje życie, nie twoje.

Uświadomiła sobie, że nie wspomniała Torowi o śnie, który nawiedził ją, gdy uciekła w zieleń przed odbierającym jej dziewictwo Gothem, ale nie było już czasu. Saxon otworzył łącze, by zakomunikować, że dotarli niemal do celu podróży.

Zanotowała w pamięci, że musi później opowiedzieć towarzyszowi o skradzionym dziecku i książkach. Może będzie coś wiedział o tej historii albo o jej związku z Merkhudem.

Ścisnął jej dłoń.

- Chodź. Wykorzystajmy ten dzień.

*

W normalnych okolicznościach Tor z rozkoszą chłonałby uroki miasta, szczególnie tak sławnego jak Ildagarth, tym razem jednak myślał wyłącznie o Alyssie. Samo przyglądanie się, jak dziewczyna porusza rękoma, gdy mówi, było daleko bardziej fascynujące niż wspianiała, choć zrujnowana architektura, która go otaczała.

Mówiono, że Ildagarth nigdy naprawdę nie podniosło się ze zniszczeń, jakich dokonał w nim czarnoksiężnik Orlac. Wszędzie dokoła rozpościerały się ruiny, tak rozpaczliwie piękne, że wyglądały, jakby przeniesiono je na ziemię z innego świata. Wokół nich wyrosło nowe miasto, ale stare wciąż było widoczne.

Miejscowa ludność obojętnie patrzyła na przepiękne marmurowe kolumny, ozdobne posadzki, z których pozostał czasem tylko niewielki fragment, boleśnie urocze rzeźby. W najstarszej i najbardziej fascynującej części miasta mieszkała nowa, świetnie prosperująca społeczność, zajmująca się handlem i mniej filantropijnym rodzajem nauki. Dla obcego natomiast Ildagarth stanowiło miejsce o niezrównanej wspianiałości, gdzie niemal można było usłyszeć głosy duchów przeszłości, spacerując samotnie wśród pustych, zniszczonych budowli.

Teraz jednak miasto szybko zapełniało się ludźmi, przybyłymi z całego królestwa Tallinom, a nawet ze wszystkich Czterech Królestw, by świętować najslynniejszy z festiwali: Czabbę. W dosłownym tłumaczeniu jego nazwa oznaczała śmierć, święto jednak bynajmniej nie należało do poważnych. Jego korzenie sięgały kilku wieków wstecz, do epoki legendarnego Orlaca, ale w miarę upływu czasu pierwotne znaczenie uległo zatarcu. Merkhud miał rację: festiwal rozrósł się do rozmiarów wielkiej maskarady, podczas trwania której każda ulica rozbrzmiewała echem radosnej zabawy.

W świąteczną noc wszyscy przywdziewali maski. Tradycja głosiła, że jeśli uczestnik zakrył twarz, śmierć nie mogła go rozpoznać. Zawsze było więc mnóstwo masek przedstawiających samą śmierć, a także najróżniejsze fantastyczne stworzenia. Istniał jednak zwyczaj - choć nikt nie potrafił wyjaśnić, skąd się wziął - że podczas każdego festiwalu musiało pojawić się jedenaście konkretnych masek. Wykonywali je najlepsi rzemieślnicy w królestwie, a możliwość włożenia którejs z nich uchodziła za jeden z największych zaszczytów, jaki może spotkać mieszkańca Ildagarth.

Jedną z tych masek była właśnie śmierć pod postacią przystojnego mężczyzny, rzekomo o wyglądzie Orlaca. Pozostałe przedstawiały najstarsze rasy ludzi z całego królestwa Tallinom. Tak przynajmniej twierdzili uczeni. Czy było tak istotnie? Dla współczesnych uczestników festiwalu nie miało to znaczenia, dodawało jedynie Świątu Śmierci splendoru i tajemniczości.

Alyssa nagle pojęła, że tych dziesięć starożytnych ras oznacza paladynów. Kolejny fragment układanki znalazł się na swoim miejscu.

Oprowadzała Tora po ulicach, które знаła ze swych nielicznych wizyt w mieście. Chłopak chłonął jej spokojny głos, przyglądał się ruchom warg, wspominał, że jako dziecko tak samo bawiła się swoimi miodowymi włosami. Jej długie dłonie z idealnymi paznokciami w kształcie migdałów znacznie bardziej przykuwały jego uwagę niż opisy życia w Ildagarth, niezależnie od sławy miasta.

Dotarli na ulicę słynącą z wyśmienitych, jak nazywała je Alyssa, „źródełek”. Serwowano tu każdą możliwą herbatkę ziołową oraz napój o nazwie zabub - gęsty, mocny, smaczny wywar z dodatkiem cukru. Była to miejscowa specjalność i Alyssa zaproponowała towarzyszowi, by jej spróbował.

Tor przysłuchiwał się, jak dziewczyna składa zamówienie w języku ulicznych sprzedawców z północy. Wyglądało na to, że posiada spore zdolności językowe.

- A zatem to także twój pierwszy festiwal Czabba? - zapytał.

- Tak - odparła, po czym zmarszczyła brwi. - Myślisz, że z Saxonem wszystko w porządku? A Clout?

Tor uśmiechnął się szeroko.

- Clout potrafi o siebie zadbać. Nie przepada za tłumami ani miastami. Będzie się trzymał blisko, a cały czas jest obecny w mojej głowie.

Alyssa westchnęła.

- Kiedyś między Saxonem a mną też tak było. Przed archalitem.

- Nie musisz się o niego martwić na zapas. To mądry człowiek. Będzie czekał przy koniach na obrzeżach miasta.

- Ciągle myślę o tym, że Goth dotrzyma obietnicy. Chce mnie zniszczyć, bo dwa razy wymknęłam mu się z łap.

Zauważyła, że chłopak zacisnął zęby na dźwięk tych słów.

- Nigdy więcej cię nie dotknie, Alysso. Obiecuję ci to. Ten człowiek to potwór. Musi zapłacić za to, co ci zrobił.

Nim Alyssa zdążyła coś powiedzieć, przyniesiono napoje.

To przeszłość - szepnęła poprzez łącze. - *Dajmy jej spokój.*

Podziękowała młodej kelnerce i stuknęła się z Torem kuflami.

- Zabub zawsze jest podawany na gorąco, jako napój rozgrzewający podczas zimowych dni. Uważaj, nie poparz sobie ust.

Tor dmuchnął na parujący płyn i upił trochę. Był smaczny, z dodatkiem egzotycznego alkoholu.

- Mmm... - mruknął z autentycznym zadowoleniem, które rozbawiło Alyssę. - Zatem, co myślisz o tym całym święcie?

- Niewiele dla mnie znaczy, Tor. Szczerze mówiąc, wolę świętować życie.

- Albo raczej przetrwanie - rzekł łagodnie. - Czabba... to w miejscowym języku?

- Tak, ale w bardzo starym dialekcie, nieużywanym już od wieku lub więcej. - Alyssa znieruchomiała nagle, z kuflem znajdującym się w pół drogi do ust. Zmarszczyła czoło.

- Uważaj, bo połkniesz muchę - zażartował, używając ulubionego powiedzenia swojej matki.

- Tor...

- Tak, wciąż tu jestem... i słucham cię uważnie.

- On nie oznacza śmierci.

- Obawiam się, że nie nadążam.

- Czabba... festiwal... nie oznacza wyłącznie śmierci.

- Tak? - zapytał, zbity z tropu i całkowicie obojętny na wszystko z wyjątkiem chęci ponownego ucałowania jej słodkich ust.

Głos Alyssy nagle zaczął zdradzać rozgorączkowanie.

- Posłuchaj, to naprawdę ważne. Czytałam dwa starożytne rękopisy, znalezione w krypcie, w miejscu, które nie było zwykłą, prowizoryczną skrytką. Te księgi zostały starannie ukryte.

Tor kiwnął głową. Miał wielką ochotę znów jej dogryźć, wydawała się jednak bardzo skupiona na tym, co mówi. Zachował powagę.

Alyssa tymczasem kontynuowała:

- Zawierają coś, co wygląda na prawdziwą relację, spisaną przez jednego z mistrzów Złotego Kamienia imieniem Nanak. Historia jest zbyt długa, by ją tu przytaczać, z grubsza jednak chodzi w niej o to, że ukradziono pewne dziecko. Niezwykle dziecko, Tor. Boga.

Tor przełknął napój bardzo powoli, po czym łagodnym ruchem odstawił kufel na stół.

- Mów dalej - rzekł wyraźnie, zapominając o wszelkiej nonszalancji.

- Został skradziony z Hostii i sprzedany śmiertelnikom przez...

- Padlinożerców - wpadł jej w słowo.

Tym razem to ona odstawiła kufel. Zbladła.

- Wiesz o tym?

- Mów dalej, proszę - zachęcił, unikając jej wzroku.

Była jak w transie.

- Ja... już wcześniej chciałam ci o tym powiedzieć. Kiedy Goth mnie gwałcił, wykorzystałam zieleń, by uciec przed jego dotykiem i przed bólem. W zieleni miałam wizję. Widziałam dziecko, które skradziono rodzicom. Byli piękni i stali na uroczej polanie. Nie zrobili nic, by uratować chłopca; po prostu patrzyli, jak złodzieje z nim uciekają.

- I co dalej? - ponaglił ją.

- Na tym wizja się skończyła. Pozostaje to, co wyczytałam w księgach. Dziecko dorastało wśród śmiertelników, nie wiedząc, kim jest. Jego ziemscy rodzice, będący Obdarzonymi, także nie mieli pojęcia o jego pochodzeniu. Chłopiec okazał się uzdolniony, posiadał ogromną moc. Zapisali go do Akademii. Mistrzowie zaczęli się go bać, kiedy odkryli, że dysponuje potężniejszą magią niż oni sami.

Gdy zamilkła na chwilę, Tor, któremu niedawny sen stanął jak żywy przed oczami, kontynuował:

- Gdy uknuli plan stłumienia jego mocy, młodzieniec zrównał z ziemią Złoty Kamień, starożytny instytut naukowy, zabijając dwa tysiące ludzi. To miasto jest dziś znane jako Ildagarth, a Akademia znajduje się na miejscu dawnego instytutu.

Alyssa z niedowierzaniem kręciła głową.

- Tor, musisz mi powiedzieć, skąd to wiesz.

- Śniłem o tym. - Skonsternowany, pocierał policzki dłońmi.

Dziewczyna mówiła z takim podnieceniem, że słowa wręcz obijały się o siebie.

- Na razie przeczytałam tylko pierwszą księgę. Jest napisana w starożytnym języku. Nie wiem, jak mogę ją rozumieć. Nikt inny nie potrafi. Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z tym językiem. Skąd go znam? Skąd wiem, że ten festiwal to nie Czabba, tylko Aczabba Veiszuit?

Tor w milczeniu kręcił głową, czekając na wyjaśnienia.

- Czabba to w dialekcie Ildagarth śmierć, ale sądzę, że to złe tłumaczenie albo raczej uproszczenie słów pochodzących ze starego języka, w którym spisano księgi. Aczabba Veiszuit oznacza Śmierć Boga. - Klasnęła w dłonie z podziwu. - Opowiedz, o czym jeszcze śniłeś.

Mrówki przebiegły Torowi po plecach. Zaczął relacjonować resztę swojego snu. Gdy

skończył, przez długą chwilę siedzieli w milczeniu.

- Ta Lys, o której mówisz... Powiedziała ci, że on żyje i że powróci? Że musisz go powstrzymać? To jakieś szaleństwo, Tor!

- Żadne szaleństwo. Orlac. Tak ma na imię.

Pod Alyssą ugięły się kolana. Tor mówił prawdę.

- Jest jeszcze gorzej. - Tor dopił napój. - Zgadnij, jak ma na imię jego ziemski ojciec?

- Nie muszę zgadywać. Wyczytałam to w książce. Merkhud.

- Ten sam.

- Ależ to by znaczyło, że twój Merkhud ma już kilkaset lat! - Pragnęła, żeby ta niedorzeczność zmieniła całą tę historię w bajkę.

- Dlaczego nie? W moim życiu nic już nie trzyma się kupy, w twoim zresztą też. Otacza nas i dotyka potężna magia. Inkwizytorzy nas nie wykrywają, a Merkhud mimo to odnajduje. On wydaje się stanowić oś tego wszystkiego. Byłbym skłonny uwierzyć, że uknuł plan opuszczenia przez ciebie Mallee Marsh, bo podejrzewał, że będę chciał cię zabrać do Tal.

Tor zmarszczył czoło, jakby próbował połączyć wszystkie strzępy domysłów, które od lat zbierały się na obrzeżach jego umysłu.

- Nie odpowiadałaby mu twoja obecność przy mnie, ale wiedział, że jesteś Obdarzoną i podobnie jak ja pozostajesz niewykrywalna. Byłaś zbyt cenna, by cię zignorować. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale uwierzyłbym nawet w to, iż utkał zasłonę pomiędzy nami! - Tor podskoczył, porażony nową myślą. - Dlaczego odeszłaś? Co cię skłoniło do powędrowania w nieznaną z kobietą, której nigdy wcześniej nie spotkałaś?

Alyssa wytężyła umysł.

- Po Tańcu Kwiatów miałam nadzieję, że... że może... no, wiesz.

Kiwnął głową, wiedząc to aż za dobrze.

Alyssa westchnęła.

- A zamiast tego przestraszyłeś mnie ostrymi słowami i gniewnym głosem. Tego pierwszego dnia, gdy czułam się samotna i wystraszona, pojawiła się ona i była dla mnie taka dobra... Gdy jednak myślę o tym teraz, uświadamiam sobie, że Sorrel celowo zawiadomiła mnie o twoim wyjeździe. A jeszcze słyszę, że wcale nie wyjechałeś. Może ona po prostu chciała, żebym się na ciebie pogniewała. Nie wiem. W przeciwnym razie po co miałyby kłamać?

- Właśnie! Postawiłbym całe złoto Ildagarth na to, że Sorrel stanowi część tej misternie utkanej przez Merkhuda sieci. Alyssu, skoro Merkhud jest śmiertelnym ojcem

Orlaca, to może...

- Nie mów tego, Tor. Proszę. Opiekowała się mną przez pięć lat. Chroniła mnie i czuwała nade mną.

- Jasne, że tak! Na tym polega jej zadanie. Może i kocha cię, Alyssa, ale wykonuje polecenia swego męża, Merkhuda. Dlaczego? Powiem ci. Bo jest śmiertelną matką Orlaca. Od samego początku manipulowali nami i trzymali nas z dala od siebie. - Tor zdołał wreszcie połączyć wszystkie strzępy, ale w jego głosie nie było uniesienia.

Alyssa czuła pustkę. Wiedziała, że zbyt łatwo pozwoliła Sorrel zaistnieć w swoim życiu i że kobieta pojawiła się w idealnym momencie, by pomóc cierpiącej dziewczynie stanąć na nogi i znaleźć cel. Słowa Tora zabolowały ją tak bardzo właśnie dlatego, że trudno było im zaprzeczyć. Fragment układanki przez chwilę unosił się w powietrzu, po czym wskoczył na swoje miejsce.

Merkhud i Sorrel, ziemscy rodzice Orlaca, wspólnie kształtowali bieg wypadków.

- Czy sam postanowiłeś pojechać na północ, gdy wyjeżdżałeś z Tal? - zapytała w zamyśleniu Alyssa.

- Nie. To był pomysł Merkhuda.

- Zatem, jeśli przyjmujemy twój tok rozumowania, zaplanowali nasze spotkanie. Wiedzieli, że będziemy musieli znów na siebie trafić. Dlaczego?

Nim Tor zdążył odpowiedzieć, wzrok Alyssy przykuła znajoma postać. Dziewczyna zamarła, zmrożona do szpiku kości. Ponad szerokimi ramionami Tora ujrzała bowiem błysk purpury - koloru, za którym nie przepadała od czasu Fragglesham, kiedy to utraciła coś cennego na rzecz mężczyzny znienawidzonego bardziej niż ktokolwiek. I ten człowiek kroczył właśnie ulicą Ildagarth, przechodząc obok miejsca, w którym siedziała i popijała zabub, próbując poskładać łamigłówkę.

Tor przyglądał się, jak na twarzy Alyssy zaduma zmienia się w przerażenie. Odwrócił się i natychmiast dostrzegł źródło tego strachu. Zawrzał w nim gniew, ale chłopak opanował się. Nauczył się tej sztuki podczas walki o życie Cloota. Tamtej nocy po raz pierwszy odsunął od siebie strach, zastępując go mocą - własną, wewnętrzną mocą. Od tego czasu wielokrotnie sięgał do tych rezerw i zrobił to także teraz, wiedząc, że lęk przyciągnąłby wroga.

Otworzywszy łącze, kazał Alyssie spojrzeć na siebie. Z wysiłkiem odwróciła wzrok od purpury i popatrzyła w niebieskie oczy, którym ufała.

Naciągnij kaptur na głowę - rzekł spokojnie. - Nie patrz na Gotha.

Potem skomunikował się z Clootem i poinformował przyjaciela, co się dzieje. Sokół wzbił się w powietrze, nim Tor zdążył ponownie zwrócić się do Alyssy.

Połącz się z Saxonem. Powiedz mu, że nadchodzisz. Niech się przygotowuje do natychmiastowej ucieczki do Akademii.

Wypełniła polecenie.

Dobrze. A teraz, najdroższa, muszę zrobić coś, czego niezmiernie żałuję, ale to ponownie cię uratuje.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl jasnozielony dysk archalitu.

Krażący w górze Cloot rzucił ostrzeżenie.

Jest o jakichś czterdzieści kroków od ciebie, Tor. Rozmawia ze sklepikarzem. Nie patrzy w waszym kierunku.

Tor przycisnął archalit do czoła Alyssy, a ten natychmiast przyłgnął. Znów znalazła się w matowym świetle, odcięta od Saxona i Tora. Ogarnęło ją dotkliwe poczucie izolacji i nowa fala lęku, ale Tor wstał i ścisnął ją za łokieć, dodając sił. Odwrócił ją od Gotha i mówił cicho, lecz stanowczo, puszczając jej rękę, by nie przykuwać uwagi.

- Idź szybko, ale nie biegnij. Przejdź obok niego. - Na twarzy dziewczyny odbił się strach. - To najkrótsza droga powrotna do Saxona. Goth cię nie zauważy, bo ja odwrócę jego uwagę. Obiecuję, że będziesz bezpieczna.

Widział w jej przerażonych oczach, że mu nie wierzy, ale miała dość odwagi, by zrobić to, o co prosił.

Cloot?

Wciąż się targuje o jakąś błyskotkę. Teraz albo nigdy, moi drodzy.

- Kocham cię, Alyssy - rzekł czule Tor, po czym dodał stanowczo: - Idź już.

Już raz, pewnego słonecznego dnia w Minstead Green, tak ją przegonił. Teraz znów porzucała go wbrew swojej woli, tym razem odchodząc od mężczyzny, którego kochała, w kierunku tego, którego nienawidziła.

Tor obserwował ją z ukrycia. Nie mógł wkroczyć do akcji, nim dziewczyna bezpiecznie nie minęła Gotha, nadal zawzięcie kłócącego się ze sprzedawcą.

Goth miał koszmary dzień. W tej chwili nie było przy nim żadnego z jego ludzi i chociaż bez nich nie mógłby przeprowadzić ujarzmienia, mógł przynajmniej pokłócić się z niechlujnym sklepikarzem, okradającym ludzi z ciężko zarobionych pieniędzy.

Kątem oka wielki inkwizytor dostrzegł tunikę mijającej go w pośpiechu studentki Akademii. Dzięki wyćwiczonej technice obserwacji zauważył, że pod strojem kryje się drobna, szczupła kobieta. Twarzy nie widział, była bowiem odwrócona. Potem dziewczyna znikła, a on powrócił do historyjki o ośmiu gębach do wykarmienia i starej matce, którą musi się zajmować.

W tym momencie sklepikarz zamilkł i ze zdumieniem spojrział w niebo. Goth także uniósł głowę i zobaczył krążącego wysoko w górze sokoła. Sprzedawca i otaczający go ludzie z podziwem wpatrywali się w ptaka, komentując, że od lat nie widywano sokołów w tych stronach.

Bystremu umysłowi Gotha wystarczyła sekunda, by poskładać wszystko w całość. Od tygodni deptał po piętach temu bękartowi Gyntowi. Stracił go z oczu w Saddleworth i miał nadzieję dogonić na przełęczy wiodącej przez południowy skraj gór Rorky'el, lecz tak się nie stało, choć była to jedyna droga na północ. Mimo to nie miał wątpliwości, że latający w górze ptak jest sokołem Gynta. A zatem medyk już tu był. Goth zrezygnował z dalszych targów i rozglądał się chaotycznie.

Zdolności obserwacyjne także tym razem go nie zawiodły. Prawie wszyscy wokół spoglądali w górę, na ptaka... wszyscy oprócz oddalającej się studentki. Ona natomiast, owinięta szczelnie tuniką, jak gdyby nie chciała, by ją zauważono, umykała.

Goth zawsze kierował się w życiu instynktem i ten jeszcze nigdy go nie zawiodł. Teraz podpowiadał mu natarczywie, by podążył za tą niewysoką, szczupłą postacią. Rozsądek wprawdzie informował go, że obiekt pościgu - Torkyn Gynt - jest w pobliżu, trzewia jednak wciąż żądały, by ścigał kobietę, bo jedyną mieszkanką Caremboche, jaka mogłaby przed nim uciekać, była Alyssandra Qyn. Oddalając się od spoglądającego w niebo tłumu, zastanawiał się tylko, jak mogła zostać studentką Akademii, nie będąc Obdarzoną. Może to przebranie, a może to w ogóle nie ona... Niezależnie od tych rozważań podążył za nią. Wiedział, że kobiety z Akademii chroni królewski dekret, ale miał gdzieś te przepisy. Znajdzie sposób na ominięcie ich.

Ona bez wątpienia zaprowadzi go do Gynta. Jeszcze trochę i dopadnie medyka... a oprócz tego będzie znów trzymał w ramionach drżącą, przerażoną Alyssę Qyn.

*

Tor wybiegł na ulicę i poczuł skurcz żołądka. Zamiast zbliżyć się do niego, Goth oddalał się w kierunku Alyssy.

Zdaje się, że jestem w tych stronach jakimś rarytasem - mruknął Clout. - Polecę za Alyssą, żeby się upewnić, czy bezpiecznie dotrze do Saxona.

Tor szybko dogonił Gotha, ale nie pokazywał mu się, chowając się za każdą napotkaną osobą, zwierzęciem, straganem czy kolumną. Nie mógł się skontaktować z Alyssą, ale widział, że dziewczyna zaprzestała kamuflażu i ruszyła biegiem.

Zaryzykowała jedno spojrzenie przez ramię. Nie spodziewała się niczyjego widoku, ujrzała jednak w odległości około pięćdziesięciu kroków wykrzywioną twarz Gotha, tak

bliską, że dało się dostrzec pokrywające ją bąble. Inkwizytor podążał za dziewczyną. Zrzuciła kaptur, puściła spowalniającą krok tunikę i ruszyła biegiem. Goth ryknął z zachwytu na widok jej złotych włosów.

- To ty, Alysso! Jakże się cieszę z tego spotkania!

I pobiegł za nią.

Był niski, ale zwinny i silny. Depczący mu po piętach Tor widział, że schwywanie Alyssy przez inkwizytora jest kwestią kilku chwil. Musiał coś zrobić, nie mógł jednak uderzyć bezpośrednio w Gotha, osłanianego przez ten sam archalit, który chronił Alyssę. Myślał szybko. Nie miał czasu do stracenia.

Jakiś człowiek prowadził dwa konie w kierunku stajni. Gdy Goth biegł w ich stronę, Tor rzucił w zwierzęta wiązkę silnego bólu. Nie zawiodły go: oba stanęły dęba, rżąc. Jeden wyrwał się wstrząśniętemu stajennemu, a drugi wierzgał wściekle.

Kopniak trafił Gotha w ramię. Nie był to silny cios, zdołał jednak powalić inkwizytora na ziemię. Ludzie rzucili mu się na pomoc. Odepchnął ich i skrzywił się, nie tyle z powodu bólu ramienia, ile wściekłości, że jego zwierzyna skręca za róg i znika mu z oczu.

Alyssa słyszała konie, ale nie obróciła się. Biegła dalej, aż dotarła do skraju miasta, gdzie miał na nią czekać Saxon. Zerknęła w górę i mimo strachu poczuła się uskrzydłona widokiem towarzyszącego jej Cloota. Kochała go za to. Ośmieliła się nawet mu pomachać.

Alyssa sobie poradzi - rzucił sokół w kierunku Tora. - Teraz ty musisz dotrzeć bezpiecznie do Akademii. On wie, że tu jesteś. Rozpoznał mnie.

Zdaje się, że wraca do stajni po swojego konia. Czy z Alyssą na pewno wszystko w porządku?

Jest już z Saxonem i oboje pędzą do domu, co koń wyskoczy - odpowiedział Cloot. - Wystarczy, że zajmiesz czymś Gotha jeszcze przez kilka minut.

Myśl! - wrzasnął do siebie Tor, zawracając ku stajni.

Cloot znów się odezwał.

Pamiętasz czar pozorowania, o którym wspominał Merkhud? Ten, z którym ci wszyscy mistrzowie mieli takie problemy? Wiem, że nigdy nie zawracałeś sobie nim głowy, ale może właśnie teraz nadszedł odpowiedni moment.

To było jak promień słońca przedzierający się przez czarne chmury.

Kocham cię, Cloot.

Co ty byś beze mnie zrobił? - rzucił ptak i zamknął łącze.

Pozorowanie było niezwykle trudnym czarem, wydającym się - podobnie jak stąpanie w cieniu - istnieć jedynie w teorii, ponieważ nawet wielki mistrz Joromi nie potrafił dokonać

żadnej z tych sztuk. Mimo to, gdy Goth zniknął w stajni, Tor skoncentrował się i poczuł otaczające go Barwy. Na piersi czuł rytm kamieni, wibrujących swoją i jego mocą; po raz kolejny żałował, że nie zna ich prawdziwego przeznaczenia.

Tego już było za wiele. Goth ciął Gynta biczem poprzez twarz, a potem rzucił się na niego w furii. Miał ochotę rozerwać go na strzępy. Alyssa znów mu umknęła, ale miał kogoś, na kim mógł się wyżyć za tę stratę. Jakież ręce odciągały go gorączkowo, on jednak był silny; przyssał się do medyka i uderzał jego głową o bruk.

Usłyszał własny chichot. O rany! Będzie się musiał nieźle tłumaczyć w sądzie. Ale co tam. Wyłga się.

Gdy w końcu oderwano go od ciała, zobaczył leżące bez życia dziecko, którego krew mieszała się z sokiem zgniecionych pomarańcz. To nie miało sensu. Co się stało z Gyntem? Gniew w mgnieniu oka opuścił inkwizytora.

Ludzie wokół szeptali, większość była jednak zbyt wstrząśnięta, by mówić głośno. Wielu znało tę dziewczynkę od urodzenia. Nikt nie miał pojęcia, że może być Obdarzoną. Dlaczego inkwizytor zatłukł ją na śmierć?

*

Na szczęście Tor nie widział następstw swojego czaru pozorującego. Gdy przekonał się, że dwie pierwsze sztuczki doskonale się udały, umknął i prześlizgiwał się brukowanymi uliczkami Ildagarth, by znaleźć się jak najdalej od Gotha. Wydostawszy się poza miasto, biegł przez pola w kierunku Akademii.

Cloot natomiast widział wszystko. Postanowił jednak nie otwierać łącza i nie mówić Torowi, że jego czar ma jeszcze jeden aspekt, polegający na przechodzeniu czaru z jednej osoby na drugą poprzez dotyk. Zachował milczenie, biorąc na siebie winę za śmierć dziecka.

*

Łącze otworzyło się i zabrzmiał w nim łamiący się głos Nanaka.

Kapłanka Arabella uległa mocy Orlaca.

Merkhud wykrzywił twarz w grymasie rozpacz.

To niemożliwe. Zbyt wcześnie.

A jednak.

Mówiła coś?

Po prostu zawołała, że nadszedł jej czas.

I znikła jak pozostali?

Tak.

Merkhud spacerował po gabinecie. Nanak nie powiedział nic więcej.

Zatem ujawni się gdzie indziej, przyjacielu. Powróci. Teraz to wiemy. Jej życie jako strażniczki Orlaca dobiegło końca. Rozpoczęła nowe jako opiekunka Trójcy.

Nie otrzymał odpowiedzi. Łącze zamknęło się.

22

AZYL

Tor wrócił do Akademii i po pospiesznym doprowadzeniu się do porządku wyruszył na poszukiwanie Alyssy. Zamiast niej znalazł Xantię.

- Już z powrotem, doktorze Gynt? Sądziłam, że nawet Alyssa potrafi pana zabawić odrobinę dłużej.

Tor nie był w odpowiednim nastroju.

- Wie pani, gdzie ona jest?

- Niestety. - Zrobiła kilka kroków w jego kierunku i ośmieliła się nawet przejechać palcem po jego dłoni. - Może mogłabym panu pokazać to, czego ona nie zdążyła?

Tor bez trudu pojął sugestię.

- Jestem pewien, że zdołam ją odnaleźć - odparł i oddalił się.

- Będę czekać na dzisiejsze tańce, Torkyn! - zawołała za nim.

Zignorował ją i ruszył w stronę krypty.

Jak słusznie przewidywał, tam właśnie schroniła się Alyssa. Sprawiała wrażenie spokojnej, ale na policzkach miała silne rumieńce. Oprócz niej w bibliotece były inne studentki, więc zerknęła na Tora ostrzegawczo.

- Wszystko w porządku? - szepnął, rozpaczliwie pragnąc ją przytulić.

Skinęła głową.

- Dopiero wróciłeś z miasta? - zapytała zdławionym głosem. Tym razem to on skinął głową. - A nasz wspólny przyjaciel?

- Zgubił twój trop - szepnął ponownie Tor, czując walenie pulsu w skroniach dziewczyny. Tak potwornie przerażała ją myśl o inkwizytorze. - Musimy porozmawiać.

- Nie tu - ostrzegła go. - Spotkajmy się przy fontannie. Wkrótce tam przyjdę, by cię oprowadzić po ogrodach.

Alyssę ogarnęły złe przeczucia. Pościg Gotha, choć przerażający, nie był ich jedyną przyczyną. Powrót Tora obudził w niej emocje, o których sądziła, że dawno już umarły. Udało jej się przekonać samą siebie, iż życie w Akademii jej wystarczy; teraz wiedziała, że to nieprawda. Rozumiała uczucia Xantii. Teraz ona sama pragnęła tylko jednego: być z Torem.

Ale nic nie mogło już być takie jak wczoraj. Jej gniewne słowa, rzucone w twarz Xantii, wydawały się całkiem puste dziś, gdy próbowała postępować zgodnie z nimi.

Była Nietykalną. Archalitowy dysk stanowił jej jedyną ochroną przed Gothem, ale także skazywał na niespełnienie miłości do Tora. A jednak Saxon kazał jej uznać w Torze mężczyznę, za którym musi pójść. Skonsternowana wędrowała korytarzami Akademii, ale dopiero gdy zobaczyła Saxona stojącego na dziedzińcu, uświadomiła sobie, że to jego szukała. W rękach trzymała dwa tomy dzieła Nanaka.

- Ukryj je dla mnie, Saxonie - powiedziała, niezupełnie wiedząc, dlaczego to robi.

Podobnie jak Goth Alyssa kierowała się w życiu instynktem i to on podpowiedział jej, by jeszcze raz schowała książki, ale trzymała je blisko siebie. Saxon skinął głową. Zabrał tomy i umieścił je pod szmatą z tyłu wozu, który właśnie naprawiał.

Rewelacje, o których tego dnia rozmawiała z Torem, stanowiły kolejny powód jej posępnego nastroju.

Spotkali się przy fontannie.

- Musimy być bardzo ostrożni. Siostry wszystko widzą.

Zaczęli spacerować ścieżkami. Alyssa opowiadała o roślinach, historii ogrodów, ziołach i specjalnych wywarach produkowanych w Caremboche, a także nowo odkrytych lekach. Pod przykrywką tych opowieści prowadzili prawdziwą rozmowę.

- Co zrobiłeś?

- Sztuczkę.

- ...szalak ma wiele różnych zastosowań... On wróci. Przyjdzie tu dziś wieczorem, gdy łatwiej mu będzie mnie zranić.

- Więc nie wychodź na zewnątrz.

- ...robimy z niego pastę, którą następnie... Muszę. To część ceremonii. - Po czym kontynuowała: - ...nieznacznie podgrzewamy.

Tor przeczesał palcami włosy.

- Posłuchaj. Dostarczą ci dziś do pokoju maskę. Postaraj się, żeby Xantia ją zobaczyła. Miej ją na sobie, gdy będziesz opuszczać sypialnię.

- ...dobry na wszystkie rodzaje bólu, ale szczególnie pomocny przy skurczach żołądka.

A ten tam mały różowy kwiatek to strap... Mam już zamówioną maskę.

Tor wskazał gestem ławkę. Usiedli.

- Musisz włożyć tę, którą ci przyniosą.

- Co to za maska?

- Lis - odparł. - Ja będę świnią.

- Pasuje - powiedziała, nie mogąc powstrzymać przelotnego, smutnego uśmiechu.

Wstała i na nowo podjęła opowieść o roślinach.

- Alyso, mamy mało czasu! - niecierpliwił się Tor.

Dziewczyna zatrzymała się, by zamienić kilka słów z dwiema nieznanymi mu siostrami.

- Smakował panu słynny zabub, doktorze Gynt? - zapytała jedna z nich.

- Ogromnie - odparł.

Siostry uprzejmie pokiwały głowami i ruszyły dalej.

- Co mówiłeś? - zapytała Alyssa. - A, że mało czasu. Kiedy zatem wyjeżdżasz?

- Dziś w nocy.

- Och! - Alyssa próbowała wymyślić coś, czym mogłaby zatuszować zaskoczenie, lecz

Tor szybko dodał:

- Ale nie sam, Alyso. Tym razem zabiorę cię z sobą.

Uniósł palec do ust, by ją uciszyć. Obróciła się, zaniepokojona.

- W tym miejscu nie jesteś już bezpieczna. Możesz sobie mieć status Nietykanej, ale przeznaczone nam jest być razem. Nawet Merkhud tego chciał. Nie opierajmy się więc.

Opracowałem plan.

Minęła ich niewielka grupka studentek.

- Dzień dobry - powiedziała do dostojnego gościa jedna z nich.

Tor i Alyssa uśmiechnęli się z przymusem.

- Po prostu włóż maskę lisa i rób, co ci każę - kontynuował Tor.

- A Saxon?

- Jedzie z nami. Sorrel też. Są zaangażowani w tę dziwną łamigłówkę, którą próbujemy poskładać, równie mocno jak ty i ja. Dziś po południu porozmawiam z Sorrel. Zostaw to mnie. Udawaj niewiniątko, gdy będą cię o cokolwiek pytać, ale zadbaj o to, by Xantia zobaczyła twoją maskę.

- Rozumiem.

- Kocham cię, Alyso.

Jego słowa dodały jej otuchy, choć wypowiedział je zaledwie półgłosem.

- Nawzajem - odparła.

Po tych słowach rozstali się.

*

Goth musiał wykorzystać cały swój spryt i zdolności przekonywania, by się wydobyć z kabały, w którą się wpakował. Na szczęście w końcu dotarła do Ildagarth mała grupka

inkwizytorów i poparła jego twierdzenie, że cygańska dziewczynka była Obdarzoną. Goth wmówił władzom miasta, że mała kipiała mocą i próbowała jej użyć przeciwko niemu, a on bał się o życie otaczających go ludzi. Przeprosił za sposób, w jaki się z nią rozprawił.

Matka dziecka była zrozpaczona i żądna krwi. Władze, rzecz jasna, wiedziały, że Goth nigdy nie zostanie osądzony, ale wytłumaczyły mu, że muszą jakoś udobruchać kobietę, która, jakkolwiek by na to nie patrzeć, straciła dziecko.

Goth, nawet gdy był w najlepszym humorze, nie miał litości dla Cyganów. W gruncie rzeczy, siedząc teraz w gabinecie burmistrza, popijając zabub i przysłuchując się miejskiemu gwarowi, zdołał niemal przekonać siebie, że zrobił coś pożytecznego. Odebranie życia cygańskiemu bachorowi oznaczało, że będzie o jednego wędrownego złodziejaska mniej. Wiedział, że nie może tego powiedzieć publicznie, ale jego pokrętny umysł napawał się wyższością tej myśli i Goth zdawał sobie sprawę, że wiele osób przyklasnęłoby mu.

- Zrekompensuję to rodzinie, rzecz jasna - powiedział wspaniałomyślnie. - Jest liczna?

- Zdaje się, że mają siedmioro dzieci... hm, teraz sześcioro - odparł niezręcznie jeden z mężczyzn. - Bez ojca, ale z dziadkami.

Jakby zgadł: cała brudna banda złodziejskich szcurów! Goth opamiętał się, nim przyczajony pod skórą szydery uśmiešek zdążył w pełni wypełznąć na guzkowatą twarz. Nie wolno mu okazywać prawdziwych uczuć.

- Burmistrzu Jory, może mógłbym posłać wieczorem swoich ludzi do ich domu z pełną sakiewką? Przekazą im ode mnie wyrazy współczucia i wyjaśnią moje stanowisko. To oczywiście niezwykle gest z mojej strony, biorąc pod uwagę fakt, że mała była Obdarzoną i należało się z nią rozprawić, ale mam wyrzuty sumienia, że nie odbyło się to zgodnie z protokołem. - Przemawiał kurtuazyjnie i z pokorą.

Zdążył już zauważyć, że burmistrz nie przepada za niższymi sferami miejskiej społeczności. Tolerował je podczas festiwalu, gdy hordy Cyganów zalewały Ildagarth, by zarobić na tysiącach pielgrzymów i świętujących. W tym okresie przydawali się na coś, ale zaraz potem chciał się ich pozbyć. Może należało go po prostu zachęcić.

- Sądzę, że to wystarczy - rzekł burmistrz obłudnie. - Jestem panu wdzięczny za cierpliwość, wielki inkwizytorze.

Goth machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że przynajmniej tyle mógł zrobić w tych okolicznościach. Zawołał swojego człowieka i rozmawiał z nim cicho.

- Każ przysłać do domu burmistrza dwie skrzynki morrieta z życzeniami ode mnie - szepnęła, wciskając tamtemu do ręki sakiewkę. - To też mu daj.

Człowiek skinął głową.

- I zawołaj tu Rhusa - dodał Goth, nim inkwizytor wyszedł.

Pojawił się Rhus. Goth wstał i ostentacyjnie wyjął duży i bez wątpienia ciężki mieszek ze złotem.

- Daj to rodzinie dziecka, Rhus - rzekł dostatecznie głośno, by wszyscy rajcy usłyszeli. Przyglądał się, jak z aprobatą kiwiają głowami, po czym odwracają się, by rozmawiać o czym innym. Rhus zerknął na dowódcę, wiedząc, że teraz otrzyma bardziej precyzyjne polecenia.

- Sześcioro dzieci, matka i dziadkowie. Podobno mieszkają teraz pod namiotem na obrzeżach miasta, razem z resztą cygańskiej hołoty. Przy odrobinie szczęścia może się jednak zdarzyć, że czekają na dole na wynik tej narady.

Inkwizytor ruszył ku wyjściu, doskonale wiedząc, co ma robić.

- A, Rhus... matka jest całkiem niezła. Możecie się z nią zabawić, ale bądźcie dyskretni i dobrze ukryjcie ciała.

Mężczyzna uśmiechnął się ponuro.

- Nie będzie śladu, lordzie Goth. Mieszek wkrótce zwrócę.

- Dziękuję.

*

Alyssa czuła się zdenerwowana. Tor nie zdążył jej objaśnić swoich planów, wiedziała jednak, że chłopak ma rację. Tutaj nie była już bezpieczna. Goth czyhał. Jediną nadzieją dla niej i Tora jest próba ucieczki. Trzymała się kurczowo tej myśli mimo świadomości, jak trudno będzie to zrealizować. Była naznaczona, a Tor świetnie znany w pewnych kręgach; w takiej sytuacji niełatwo po prostu zniknąć.

W przekonaniu, że postępuje właściwie, utwierdzał ją liścik od Saxona. Skoro on, który został posłany, by ją chronić, i nigdy dotąd jej nie zawiódł, kazał jej podążać za Torem, powinna tak zrobić, nawet jeśli zdawało się to niebezpieczne. Te książki, dziwny sen Tora, nawet jej wizja w zieleni... Zaczynała mieć wrażenie, że to wszystko jest częścią jakiegoś wielkiego planu. Za bardzo się bała, by móc się rozstać z Torem.

Przez całe popołudnie udawało jej się unikać Xantii, ale zgodnie z zasadami zameldowała się u siostry Iris. Wyjaśniła, że w mieście panował zbyt duży tłok i trudno było coś zobaczyć wśród tej rozbawionej gawiedzi. Siostra bez zastrzeżeń przyjęła takie usprawiedliwienie wczesnego powrotu. Alyssa powiedziała też, że oprowadziła doktora Gynta po ogrodach, a teraz medyk pisze listy do pałacu i przygotowuje się do wyjazdu, który ma nastąpić jutro rano. Przez resztę dnia będzie zajęty.

- Czy ktoś pamiętał o masce dla niego, Alyso? - zapytała z niepokojem siostra.

- Wszystko pod kontrolą - odparła dziewczyna, po czym odmeldowała się i umknęła

do krypty. Tam znalazła ją Sorrel. Były same, mogły więc swobodnie rozmawiać.

- Dziś po południu odwiedził mnie doktor Gynt.

Alyssa uznała, że nie ma sensu się wykręcać.

- Powiedział ci o spotkaniu z Gotham?

- Tak. Jak ci się udało uciec?

- Byłam szybka. Mówił coś jeszcze? - zapytała niemal nieśmiało.

- Wiesz, że tak - odparła Sorrel, po czym usiadła i wpatrywała się w Alyssę. - Jesteś tego pewna?

- Tak. Sorrel, czy pamiętasz, jak mnie zapytałaś, przed czym uciekam, tamtego dnia w Mallee Marsh?

- Jakby to było wczoraj - odparła starsza pani.

- To przed nim uciekałam.

- Tego zdążyłam się domyślić - odrzekła Sorrel, zadowolona z faktu, że pomogła w zorganizowaniu ponownego spotkania. - Teraz sobie przypominam: to ten młody skryba, który wyjeżdżał z Flat Meadows, by się kształcić w pałacu.

Alyssa skinęła głową, w duchu jednak miała ochotę krzyknąć na Sorrel. Gdy Tor zasugerował, że kobieta może być ziemską matką Orlaca, wydawało się to całkowicie uzasadnione. Wspominając wszystkie swoje pozornie niewinne rozmowy z Sorrel, Alyssa powzięła podejrzenie, że starsza pani przez cały czas ją podpuszczała. Pojawienie się Sorrel, przyprowadzenie Alyssy do Akademii i trzymanie się blisko niej było jedną wielką manipulacją. Jediną niewiadomą w tym wszystkim wydawał się Saxon. Prawdopodobnie dlatego Sorrel początkowo była wobec niego tak agresywna.

Alyssa jednak potrzebowała jej. Jeśli Tor miał rację i Merkhud utrzymywał bezpośredni kontakt z tą kobietą - być może swoją żoną - mogła im nadal służyć za przewodnika. Sorrel była Obdarzoną, więc nietrudno sobie wyobrazić, że wszystko, co obie kobiety uczyniły od momentu odejścia z Mallee Marsh, odbywało się pod dyktando Merkhuda, który doskonale wiedział, kiedy pozwolić Torowi odejść. Na samą myśl o tym Alyssie robiło się niedobrze.

- Źle się czujesz, moja droga? - zapytała Sorrel.

„Graj dalej - powiedziała sobie Alyssa - udawaj niewiniątko, jak radził Tor”.

- Wszystko w porządku... Po prostu na myśl o spotkaniu z Gotham robi mi się słabo. Tor nie zdradził mi jeszcze swoich planów.

Sorrel już je znała.

- Zamierza uciec dziś w nocy, podczas uroczystości - poinformowała Alyssę. - Saxon

przygotowuje powóz. Medyk chce to zrobić najprościej, jak się da. Pod osłoną ciemności i w festiwalowym chaosie nikt nie powinien zauważyć wytaczającego się przez tylną bramę starego wozu.

To rzeczywiście wydawało się proste, lecz Alyssa nie była głupia.

- Ale dokąd się udamy?

- Cóż... - westchnęła Sorrel. - Tor zdaje się sądzić, że jeśli dotrzemy do skraju lasu, będziemy bezpieczni. - Próbowwała ukryć własne wątpliwości.

Alyssa też je miała.

- Sorrel... Czy ciebie to naprawdę obchodzi?

- Na Światłość, dziewczyno! Cóż to za dziwne pytanie? Dlaczego mi je zadajesz?

Sorrel wyglądała na tak wstrząśniętą, że Alyssa pożałowała pochopnych słów.

- Och, nie wiem. Przepraszam, że to powiedziałam. Po prostu czuję się zagrożona.

- Wiedz jedno, Alyso - rzekła z powagą Sorrel. - Oddałabym za ciebie życie. I może wkrótce tak się stanie.

*

Zimą na północy szybko zapadał zmrok. W lodowatym powietrzu unosiła się obietnica śniegu, ale tej nocy, gdy w Ildagarth i Caremboche płonęły radosne ognie, a całą drogę między nimi oświetlały pochodnie, niebo było czyste.

Wielki inkwizytor Goth, którego oddział powiększył się do niemal dwóch tuzinów jeźdźców, w podnieceniu czekał na chwilę, w której będzie trzymał w ramionach słodkie ciało Alyssy. Sam był zdumiony, jak bardzo dręczy go ta myśl. Nie miał pojęcia, dlaczego ta dziewczyna tak zawładnęła jego zmysłami. Teraz, gdy stała się kobietą o krągłych, o ileż bardziej obiecujących kształtach, pożałował jej jeszcze dotkliwiej.

Wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Z Cyganami rozprawiono się po cichu, a ciężki mieszek wrócił do jego kieszeni. W tę mroźną, gwieździstą noc, gdy Ildagarth pulsowało w rytm muzyki i odgłosów zabawy, Goth czuł się niepokonany.

Dotknął zakrywającej mu twarz maski demona, uśmiechając się na myśl, że jej brzydota jest w istocie mniej odstręczająca niż kryjące się pod nią groteskowe oblicze. Ponownie pomyślał o marszałku, zastanawiając się przez moment, gdzie mógł zniknąć, po chwili jednak jego uwagę przykuł widok tańczącej dziewczyny o złotych włosach.

Miała na twarzy maskę kota. Wyglądała niemal jak Alyssa, ona jednak nie odważyłaby się tak otwarcie świętować. Z pewnością będzie się ukrywała w swoim azylu w Caremboche najdłużej, jak się da, ale w którymś momencie musi się pokazać. I wtedy wpadnie w jego ręce.

Może uda mu się zgarnąć również Gynta? To byłby już szczyt rozkoszy. Wielki Torkyn Gynt zdany na jego łaskę. Już on mu zmaże z twarzy ten arogancki uśmieszek. Jakież to wygodne, że osoba, której najbardziej pragnął, i ta, której najbardziej nienawidził, znalazły się w tym samym miejscu o tej samej porze. Jeszcze raz pogratulował sobie świetnego wycucia czasu.

Podczas gdy Goth drżał z podniecenia, Alyssa trzęsła się ze strachu, jakby czuła, że inkwizytor o niej myśli. Dotknęła dysku na czole i poczuła się silniejsza, przypominając sobie, że archalit zapewnia jej bezpieczeństwo.

Ponownie zerknęła na leżącą na łóżku maskę lisa. Była już gotowa, ubrana w tradycyjną karmazynową tunikę, którą kobiety z Caremboche zakładały raz na dziesięć lat, w dniu festiwalu Czabba. Przyszło jej do głowy, że ciemna czerwień może symbolizować rozlew krwi, do którego doszło tamtego strasznego dnia przed wiekami, gdy wielu mistrzów padło z ręki gniewnego boga Orlaca. Kilka dni temu taka myśl wydawałaby się czystą fantazją; teraz Alyssa wierzyła, że kolor tunik jest związany z historią opowiedzianą przez Nanaka.

Miała wilgotne dłonie. Puszczaly jej nerwy. Wytarła ręce o gruby materiał sukni i błagała siebie o zachowanie spokoju. Pozostałe dziewczęta dawno już wyszły na zewnątrz, by przyłączyć się do świętujących. Nie miały zamiaru przepuścić okazji do tańców, a nawet lekkiego flirtu z mężczyznami.

Dokładnie w momencie, w którym pomyślała o Xantii, otworzyły się drzwi i ta weszła do pokoju. Alyssa sięgnęła po maskę, co przerwało niezręczną ciszę.

- No wiesz, Alyssso, spodziewałam się, że wymyślisz coś bardziej wyrafinowanego niż lis. To takie banalne.

- Mnie się podoba. Sądzę, że lisy są inteligentne i przystojne - zaproponowała.

- To ciekawe, bo większość ludzi uważa je po prostu za szkodniki. Są stanowczo zbyt sprytne i najlepiej się je ogląda zawieszane na płocie w celu odstraszenia ich współbraci od polowania na coś, co nie należy do nich. W gruncie rzeczy to świetnie do ciebie pasuje - powiedziała słodko, po czym włożyła maskę pięknej dziewczyny o zbyt różowych policzkach i pełnych, karminowych ustach. Twarz otaczała kaskada lnianych włosów.

Xantia zaprezentowała się Alyssie.

- Co, nic nie powiesz na temat mojego przebrania?

Alyssa nie dałaby się sprowokować, ale podobieństwo maski do niej nie uszło jej uwagi. Xantia zachowywała się jak idiotka. Alyssa nie chciała ryzykować kolejnej konfrontacji i ucieszyła się, gdy do drzwi zapukały dwie inne studentki w ich wieku, pytając,

czy przyjaciółki są już gotowe. Obie zanosły się śmiechem na widok maski Xantii.

- Wyniosła dziewczica! Co za złośliwość, Xantio! Maski jest super!

Alyssa minęła je i opuściła pokój, wkładając po drodze głowę lisa. Starła się mówić spokojnie i przyjaźnie.

- Dalej, dziewczęta. Bawmy się, póki jest okazja.

Cała czwórka wyszła w chłodną noc. Alyssa instynktownie rozglądała się, czy w pobliżu nie ma Gotha. Xantia bez zastanowienia uznała, że jej rywalka szuka Tora.

- Jest tam - powiedziała, wskazując stertę opału w rogu głównego dziedzińca, obok której Tor, łatwo rozpoznawalny mimo świńskiego łba, rozmawiał z grupką podekscytowanych młodych studentek.

- Szukałam kogo innego - odparła chłodno Alyssa.

- To dobrze. W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko temu, że dotrzymam obietnicy i podejść do twego przyjaciela.

Cierpliwość Alyssy wyczerpała się, ale spokojny głos ukrywał irytację.

- Rób, co chcesz, Xantio. Jestem już tobą zmęczona.

Nie miała pojęcia, jakie wrażenie zrobiły jej słowa na Xantii. Maski wyniosłej dziewczicy pozostawała spokojna. Alyssa tymczasem szybkim krokiem ruszyła w przeciwnym kierunku, ku głównej bramie, po raz pierwszy od dziesięciu lat otwartej na oścież przed mieszkańcami miasta, wścibskimi gośćmi i pielgrzymami. Wokół płonących ognisk ludzie wykręcali się w dziwacznej sekwencji kroków, znanej jako cleffyngo. Dzicy, wściekli i hałaśliwi tupali i klaskali do rytmu wybijanego przez bębny i cymbały.

Wiedząc, że ma jeszcze trochę czasu, nim będzie musiała się przyłączyć do uroczystości, starała się trzymać jak najbardziej na uboczu, czujnie wypatrując Gotha i jego ludzi. Dla bezpieczeństwa wmieszała się w sporą grupę świętujących. Stojąc w jej cieniu, miała całkiem dobry widok na to, co się dzieje wokół. Obserwowała Tora.

Samo spojrzenie na jego wysoką, postawną sylwetkę, górującą nad większością ludzi, sprawiło, że serce zabiło jej szybciej. Miała ochotę go objąć, leżeć w jego ramionach... Uśmiechnęła się żałośnie pod lisim pyskiem. Nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek znów zatęskni za dotykiem mężczyzny. Starsza i mądrzejsza, uświadomiła sobie, że incydent z Saxonem wynikał po prostu z jej pragnienia uczucia. Była wtedy taka młoda, niedoświadczona i przerażona pierwszym kontaktem z ohydą niepożądanego dotyku. Być może Saxon stanowił dla niej ucieleśnienie bezpieczeństwa.

Dziwne, że zachęcał ją do bycia z Torem. Bez wątplenia bardzo pragnął ich związku, dowodził tego liścik, który od niego otrzymała. Przyszło jej do głowy, że prawdopodobnie

poprosił o jego napisanie kogoś w Ildagarth. Co Saxon mógł wiedzieć takiego, o czym ona nie miała pojęcia?

Starła się rozwikłać zagadkę. Jeśli to Merkhud i Sorrel zaaranżowali jej ponowne spotkanie z Torem, oni także musieli chcieć, aby coś się między nimi wydarzyło. A jeśli ta dwójka działała pod wpływem jakiejś wyższej magii, tak jak Saxon przez całe życie wykonywał polecenia Lys, czy Alyssa nie powinna zaakceptować Tora jako swoje przeznaczenie?

A Clout? Doszła do wniosku, że sokół musi odgrywać podobną rolę jak Saxon. Został przysłany, by chronić Tora. Jego przemiany nie dało się wytłumaczyć niczym innym, jak tylko działaniem potężnej magii.

Jej rozmyślania przerwał nagle roześmiany od ucha do ucha wilk, który poprosił ją do tańca. W noc Czabby nikomu nie było wolno odmawiać, Alyssa pozwoliła się więc poprowadzić w kierunku jednego z pieców, by dołączyć do kłębiących się postaci. Przekrzykując hałas, jej partner powiedział, że jest miejscowym handlarzem z bazaru. Sprzedajemy wyroby cukiernicze, oznajmił z dumą. Alyssa uśmiechała się uprzejmie, zadowolona, że nie trafiła na prawdziwego wilka - tego z purpurową szarfą.

W istocie nigdzie wokół nie było widać purpurowych szarf, dziewczyna zatańczyła więc jeszcze dwa razy, nie bez strachu, ale bez konsekwencji. Wróciwszy za bramę i ukrywszy się w cieniu, wrzasnęła niemal, gdy nagle ktoś złapał ją za przegub dłoni. Obróciła się z przerażeniem i zobaczyła łeb świni.

- Czy mogę prosić o jedną rundkę dookoła ognisk? - zapytał Tor.

Roześmiała się z ulgą, ale przybycie wyniosłej dziewczicy spowodowało ponowny wzrost napięcia.

- Widzę, że jesteście dzisiaj nierozłączni - powiedziała Xantia jadowicie, a przynajmniej tak zabrzmiały jej słowa w uszach dobrze ją znającej Alyssy. Znow zadała sobie pytanie, jakim sposobem ich stosunki w tak krótkim czasie zmieniły się nie do poznania.

- Dzień dobry, Xantio. Dobrze się pani bawi? - Tor był wcieleniem uprzejmości.

- Obiecał mi pan taniec, panie Świnio - przypomniała mu, kładąc nacisk na dwa ostatnie słowa, wskutek czego zabrzmiały jak obelga.

- Tańczcie - powiedziała Alyssa. - Ja i tak jestem wykończona. Muszę się napić zimnej wody.

Była zdumiona, gdy Tor nie zaprotestował.

- Zatem, jeśli wybaczysz, Alyssso, tej młodej damie nie mogę odmówić - powiedział, uruchamiając cały swój wdzięk.

Alyssa patrzyła, jak oczy Xantii rozszerzają się pod maską, jakby dziewczyna z trudem potrafiła uwierzyć w to, co się dzieje. Nagle stała się niedojrzała i wstydliva. Alyssa odwróciła się, by nie powiedzieć czegoś, czego potem mogłaby żałować.

- Cóż, panie Tor - zagruchała radośnie Xantia - będę zachwycona.

- Cała przyjemność po mojej stronie, szczerze. Spotkajmy się obok tamtego ogniska - powiedział Tor słodko, wskazując największe ognisko za bramą. - Muszę najpierw przynieść mojej zaufanej przewodniczce kubek wody. Za moment do pani dołączę. Proszę się pospieszyć, by zająć dobre miejsce. Lubię tańczyć cleffyngo w pierwszej parze. Pani nie?

Maska Xantii nie zdradzała uczuć, ale wyzierające spoza niej oczy zwęziły się.

- Ja także. Więc zaraz pan przyjdzie?

- Obiecuję. Ale nie mogę zapomnieć o rycerskości. Mój król byłby rozczarowany, gdybym przyjął wobec Alyssy inną postawę.

W tej sytuacji Xantii nie pozostało nic innego, jak tylko skierować się ku bramie. Ledwie obróciła się do nich plecami, Tor schwycił Alyssę za łokieć i zmusił, by usiadła na starym pniu, szczęśliwie ukrytym w cieniu.

- Czekaj tu - przykazał i pobiegł w kierunku długich stołów, na których stały regularnie napełniane wodą ze studni Akademii dzbany.

Po chwili wrócił i podał Alyssie kubek. Zanim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, zdarł jej maskę i dotknął czoła. Natychmiast zalała ją znajoma, niemal nieznośna fala barw, dźwięków i zapachów. Usunąwszy archalitowy dysk, Tor z powrotem włożył jej maskę, nie pozostawiając czasu na protesty. Zrobił to wszystko tak zręcznie, zasłaniając przy tym widok swoją barczystą sylwetką, że nikt niczego nie zauważył.

Poczuła w głowie łagodny dotyk jego łącza.

I co, nie lepiej? - zapytał, oddalając się, nawet nie spojrzawszy w jej kierunku. - *Nikt nie będzie nic podejrzewał, bo twoja maska ukrywa prawdę. Zachowuj się normalnie i nie zamykaj łącza. Muszę być z tobą w stałym kontakcie.*

Pospiesz się z tym tańcem - odparła. - *I pamiętaj, komu obiecałeś następny.*

Uczucie ulgi szybko jednak prysło na widok pierwszej purpurowej szarfy. Nie był to Goth, ale obecność jakiegoś inkwizytora oznaczała, że i on jest w pobliżu.

Widzę - rzekł Tor w nadziei, że ją podniesie na duchu. - *Gotha tu nie ma. Uspokój się, najdroższa. Jeśli będziesz się zachowywać nienaturalnie, zaczniesz zwracać na siebie uwagę.*

Alyssa przyglądała się, jak Tor bierze w ramiona Xantię i mówi coś, co najwyraźniej rozśmieszyło tamtą, głowa wyniosłej dziewczycy odchyliła się bowiem kokieteryjnie. Potem zagrzmiało cleffyngo. Alyssa cieszyła się, że jest zbyt głośno, by tancerze mogli rozmawiać.

Po chwili znów usłyszała w głowie głos Tora.

Podczas gdy ja odwracam uwagę Xantii, wymyśl jakąkolwiek wymówkę, żeby zejść z powrotem do krypty. Spiesz się. W skrytce na księgi znajdziesz nową maskę. Przesunąłem kamień. Nikt o tym nie wie. Ruszaj.

Nie traciła czasu, ale gdy pędziła w stronę Akademii, spostrzegła ją siostra Iris. Pod maską lisa twarz Alyssy wykrzywiło przerażenie.

- To ty, Alysso, moja droga? Dokąd tak gnasz, dziecko? Za kilka minut rozpocznie się nasza ceremonia.

Alyssa myślała pospiesznie.

- Wiem, siostró - powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie. - Właśnie dlatego pędzę. Ta lisa maska ma w środku coś ostrego i kaleczy mnie. Muszę sprawdzić, czy da się coś z tym zrobić, ale wiem, że nie wolno nam ich zdejmować podczas festiwalu, więc wolę to zrobić w swoim pokoju.

Kobieta skinęła głową.

- Pospiesz się zatem.

Siostra przełożona nie potrafiła źle myśleć o Alyssie i nigdy nie przyszłoby jej do głowy, by zakwestionować uczciwość ulubienicy. Ruszyła dalej, a Alyssa pobiegła co tchu.

W krypcie ze zdumieniem wydobyla spod podłogi maskę upiора ze zrećcznie przyklepioną peruką. Pomyślała z uznaniem, że Tor nie wybrał kruczycich włosów, które byłyby oczywistym kamuflażem dla jej jasnej czupryny. Zamiast tego peruka utrzymana była w bardzo matowym odcieniu ciemnego brązu, całkowicie nierzucającego się w oczy i uczesana bez śladu zrozumienia dla próżności. Tor zostawił jej liścik, w którym polecił, by spięła swoje włosy i starannie umocowała je z tyłu głowy pozostawionymi przez niego spinkami. Znalazła też nową karmazynową tunikę, którą polecił jej koniecznie włożyć. Strój pogrubiał sylwetkę, ale było to celowe działanie ze strony Tora, który nakazał jej bardzo luźno zawiązać pasek. Do kompletu pozostawił buty na niesamowicie wysokim obcasie. Alyssa nigdy przedtem takich nie widziała i wątpiła, czy potrafi ująć w nich więcej niż dwa kroki, a kiedy je włożyła, okazały się na domiar złego strasznie ciasne.

Gotowa? - huknął przez łącze Tor. - Już mi się w głowie kręci od wywijania z Xantią wokół tego przeklętego ogniska!

Co to wszystko ma na celu, Tor?

Zachowanie twojej pięknej głowy na równie pięknym karku, żebyś mogła ją oprzeć na moim ramieniu, podczas gdy ja będę ją całował i cieszył się, że wciąż żyjesz.

Nie mogę w tym chodzić!

Musisz w tym chodzić i obiecaj mi, że będziesz stąpać pewnie. Pamiętaj, że Goth szuka niskiej, szczupłej, złotowłosej kobiety, a nie przygarbionego, przerośniętego upiora o szaroburych włosach, które, nawiasem mówiąc, są prawdziwe. Wydałem na nie fortunę!

Jego humor poprawił jej nastrój, ale tylko nieznacznie. Dłonie miała już nie wilgotne, lecz mokre. Wepchnęła wszystkie niepotrzebne rzeczy z powrotem do dziury, którą następnie udało jej się zakryć kamieniem. Nie miała pojęcia, skąd wzięła tyle siły. Przypisywała to silnemu zdenerwowaniu. Gdy chwiejnym krokiem zmierzała ku schodom krypty, zadawała sobie pytanie, jak, u licha, da radę się poruszać w tym dziwnym stroju.

*

Tor właśnie skończył prawie Xantii komplementy na temat jej niezwyklej umiejętności tańczenia cleffyngo, gdy w głowie odezwał mu się Clout.

Goth się zbliża.

Tor czuł, że sokół jest zdenerwowany. Jego plan był prosty, lecz zuchwały i nawet lojalny ptak kwestionował zdrowy rozsądek przyjaciela.

Medyk próbował ogarnąć wszystko krok po kroku.

Saxon gotowy?

Wszystko zapięte na ostatni guzik. Są z nim Sorrel i osioł.

Tor mamrotał coś na temat przyniesienia Xantii lampki wina, ale na dźwięk ostatnich słów Clouta zamilkł.

Osiół?

Tak. Wiesz - długouchy, dziwna bestia, coś jakby koń, wydaje niesamowite ryki.

Tor zniecierpliwiał się. Nie był w nastroju do wysłuchiwanie żartów Clouta.

- Xantio, proszę pozwolić, że przyniosę pani szklaneczkę - rzekł i oddalił się, nie czekając na odpowiedź.

Wiem, co to osioł - burknął przez łącze. - Co mu odbiło, żeby go zabierać? Spowolnij nas.

Nie mam pojęcia. Nie wiem, czy to zauważyłeś, Tor, ale Saxon to dziwny gość. Może osioł jest dla niego ważny, a w tym stadium twojego niepewnego, wybitnie niedopracowanego planu to chyba najmniejszy powód do obaw, nie uważasz? - Po tych słowach Clout rozłączył się.

Tor zobaczył, jak sokół wlatuje pomiędzy drzew i krąży wysoko w górze. Kątem oka dostrzegł także pojawienie się upiora, ale celowo nie patrzył prosto w tamtą stronę.

Wyglądasz prześlicznie - szepnął przez łącze. - Panny z Minstead byłyby z ciebie dumne.

Nie dała mu satysfakcji słownej, ale za to dostał mentalną sójkę w zębra, jakiej nie czuł od lat. Była to klasyczna sztuczka Alyssy i musiał stłumić jęk, udając, że popija ze szklanki Xantii, a potem kaszłąc teatralnie.

Refleks ci słabnie. Starość nie radość, co, Tor? Powinieneś być się tego spodziewać.

Miała rację. Skrzywił się, podszedł do czekającej cierpliwie Xantii i podał jej wino.

- Nie wypije pan ze mną, Torze?

- Z przyjemnością. Muszę jednak porozmawiać z siostrą Iris. Szuka mnie. Proszę mi wybaczyć na moment, Xantio. Zaraz wracam.

Skinęła głową i Tor oddalił się. Nie minęła nawet chwila, a już Goth i większość jego jeźdźców pojawili się u bram.

Pochodzące z królewskich stajni w Tal konie słynęły ze zdyscyplinowania i rzadko je przywiązywano. Goth i jego ludzie zsiadli i rzucili lejce na ziemię, wiedząc, że zwierzęta będą zadowolone, mogąc skubać trawkę na poboczu, i nie oddały się ze swoich miejsc.

Rozbawiony tłum przycichł nagle. Wielu spośród zebranych widziało, jak Goth rozprawił się z cygańską dziewczynką, a niemal wszyscy słyszeli o jego haniebnym czynie.

Goth uśmiechnął się pod maską demona. Uwielbiał psuć ludziom zabawę. Gdy muzyka znów rozbrzmiała i wszyscy niechętnie powrócili do tańców, picia oraz rozmów, siostra Iris powitała Gotha w bramie. Miała na sobie surową maskę byka. Jej nastrój na widok Gotha odpowiadał wyrazowi twarzy zwierzęcia.

- Nie mogę panu zabronić przyłączenia się do nas, panie Goth, choć bardzo bym chciała - rzekła i zamilkła.

„Pieprzona wiedźma” - pomyślał demon i skłonił się wytwornie.

- Mogę jednak - kontynuował z niezmienną surowością byk - zakazać panu i pańskim ludziom przechodzenia przez tę bramę. Ostatnim razem, gdy odwiedziliście Akademię, pozostawiliście po sobie stos ciał. Słyszałam o cygańskiej dziewczynce. Boli mnie, że nie widzę w pańskich zimnych oczach śladu skruchy.

„Już ja ci dam skruchę, stara dziro” - pomyślał.

- Siostro - powiedział - moi ludzie i ja przybyliśmy jedynie na uroczystość. Zapewniam, że odjedziemy stąd zaraz po głównej ceremonii.

- To dobrze - odparła siostra Iris. - Proszę zatem pozostawać za tą bramą.

- Chciałbym jednak prosić siostrę o pomoc w pewnej sprawie - kontynuował Goth, niespeszony jej postawą.

- Mianowicie? - zapytała oschle.

- O ile wiem, przebywa tu obecnie z ramienia dworu mój przyjaciel, medyk Gynt.

Może mogłaby go siostra poprosić, by wyszedł? Proszę jednak łaskawie nie mówić mu, że tu jestem. Chcę mu zrobić niespodziankę.

Na te słowa wystąpiła naprzód kobieta w karmazynowej tunice i masce wyniosłej dziewczicy.

- Ma na sobie maskę świni, panie inkwizytorze - powiedziała, zachwycona widokiem człowieka o legendarnym okrucieństwie i w jakiś tajemniczy sposób powiązanego z Alyssą. - Jeśli pan chce, mogę go poszukać.

Siostra Iris obróciła się ku Xantii. Gdyby dziewczyna mogła zobaczyć wyraz twarzy kryjący się pod pyskiem byka, zamarłaby. Sprawy zaszły jednak za daleko. To była jej szansa na zranienie Alyssy.

- I jeszcze jedno, panie Goth - rzekła słodko. - Jeśli przypadkiem szuka pan także Alyssy, ma na sobie maskę lisa.

- Xantio! - zganiła ją głośno siostra Iris. - Trzymaj swój złośliwy język za zębami, dziewczyno!

- Alyssa... - Goth męł to słowo swoimi gumowymi wargami.

Gdyby Xantia nie stała przed obliczem wściekłego byka, skakałaby z radości. Tajemnicza młodość Alyssy zaczynała powoli się odsłaniać i dziewczyna była pewna, że nim skończy się noc, pozna całą historię. Upajała się myślą o upadku dawnej przyjaciółki. Zedrze warstwy kłamstw, pod którymi żyje Alyssa, i wyjawi siostronom ukrywaną pieczołowicie przeszłość dziewczyny. Postara się, by Alyssa nigdy nie zasiadała w radzie.

Ocknęła się z rozmyślań, słysząc głos siostry Iris.

- Odejdź, Xantio. Przygotuj się do ceremonii, a zaraz po niej wróć do swojego pokoju i czekaj na moje wezwanie. - Po tych słowach siostra zwróciła się do Gotha: - Proszę nam wybaczyć.

- Ależ oczywiście - odparł Goth, kłaniając się ponownie.

Gdy tylko kobiety się oddaliły, kazał swoim ludziom wyruszyć na poszukiwanie świń i lisów. Zauważył już, że jest ich wiele, ale jego ofiary wyróżniały się dostatecznie, by można je łatwo rozpoznać mimo masek. Będzie miał oboje, nim nadejdzie świt.

*

Gdy siostra Iris karciła Xantię, Tor ulotnił się. Teraz wrócił na ceremonię. Widział Alyssę stojącą z tyłu sporej gromady ludzi. Na razie była tam bezpieczna. Tor poszedł za jej przykładem, chowając się głęboko w cieniu przed szpiegującym wzrokiem Xantii. Dziewczynie jednak ograniczono wolność. Siostra Iris stanowczo nakazała jej pozostawać u boku innej z sióstr, która nie miała zamiaru pozwolić studentce na lekceważenie rozkazów.

Tor niemal fizycznie czuł frustrację Xantii i pozwolił sobie na przelotny uśmiech zadowolenia. Wygrali drobną potyczkę, ale musieli jeszcze stoczyć całą wojnę.

W tej chwili siostry i główni aktorzy przedstawienia przygotowywali się do oficjalnej części uroczystości. Wokół zebrały się setki ludzi, którzy przelewali się w tę i z powrotem przez bramę sławnego Caremboche. Im więcej ich było, tym bardziej rosły szanse Tora i Alyssy na wtopienie się w tłum.

Na razie szczęśliwie trzymali się z dala od ludzi Gotha, którzy chodzili wśród zgromadzonych, zrywając maski niezliczonych świń i lisów. Tor dokonał dobrego wyboru. To były dwa najpopularniejsze przebrania.

Goth nie brał udziału w tych poniżających działaniach. Brudną robotę pozostawiał innym. Bystre oczka pod maską demona ani na chwilę jednak nie przestały się poruszać, wyławiając z tłumu wysokich, ciemnowłosych mężczyzn i młode, złotowłose kobiety. Wiedział, że jeśli tylko zobaczy swoje ofiary, natychmiast je rozpozna. Odgadł już, że Alyssa najprawdopodobniej zakryła włosy, przyglądał się więc dokładnie każdej brunetce, która znalazła się w zasięgu jego wzroku. Dziewczyna nie mogła jednak ukryć swojej szczupłej budowy. Goth znał ją dobrze, zważywszy na to, jak bezpośredni kontakt miał kiedyś z jej ciałem. Gdy zobaczył ją dzisiaj, spostrzegł, że niewiele urosła, może jedynie zaokrągliła się nieco.

Studentki na polecenie sióstr formowały linie i przedstawiały jakieś zdarzenie ze starożytnej opowieści o zamordowaniu obdarzonych mocą mistrzów Złotego Kamienia. Goth miał gdzieś legendę, a jeszcze mniej obchodzili go magowie, prawdziwi czy mityczni. Zamiast tego myślał o Alyssie. Będzie miał tylko chwilę na rozmowę z nią. Zastanawiał się przez moment, czy udałoby mu się ją porwać, ale status Nietykalnej onieśmielał nawet takiego bluźniercę jak on.

Wystarczy, że ją zmusi do zatańczenia z nim Tańca Śmierci. Wtedy będzie miał okazję ją objąć. Nie mogła, rzecz jasna, odmówić; nawet ta stara wiedźma nie potrafiłaby go powstrzymać, ze względu na uświęconą tradycję. Żałował, że został okaleczony i nie może wpełznąć jej w odpowiednie miejsce tej części ciała, która wzbudziłaby w niej strach. Rozpaczliwie tęsknił za widokiem przerażenia w jej oczach.

Potrząsnął głową, by odpędzić te myśli. Niemal zapomniał o medyku. Trzeba go znaleźć i rozprawić się z nim. Dał Rhusowi rozkaz, by ten wzmógł poszukiwania. Gynt musiał zostać pojmany.

Jakiś wóz podjechał na skraj tłumu i zatrzymał się przed samą bramą Akademii. Był niewielki, ciągnięty przez dwie szkapy. Obok przywiązano osła. Powoził nim wysoki,

barczysty mężczyzna o długich ciemnych włosach i twarzy ukrytej pod maską świni. Mimo słabego światła Rhusowi wydało się, że go rozpoznaje. Zaczął się przepychać w kierunku Gotha, wiedząc, że ta wieść sprawi jego dowódcy wielką radość.

Rozległo się uroczyste bicie dzwonu i dziesięć postaci z legendy o Czabbie zaczęło się powoli przemieszczać, intonując słowa niezrozumiałe dla nikogo oprócz nich. Za nimi szedł przystojny młodzieniec, odpowiedzialny za zniszczenie.

Potem zabrzmiał harmonijny śpiew wszystkich członków Akademii. Xantia poczuła uszczypnięcie siostry Li, nakazującej jej przyłączyć się do pieśni, którą ćwiczyły przez wiele miesięcy; ona jednak rozglądała się wśród otaczających ją dziewcząt w poszukiwaniu Alyssy. Była wściekła, że jej nie dostrzega. W zasięgu wzroku nie pojawił się żaden lisi łeb ani smukła sylwetka o złotych włosach.

Zwyczaj nakazywał, by w noc Czabby wszystkie studentki potwierdziły swoją obecność, odpowiadając, gdy wymieniano ich imiona. Siostry bardzo poważnie traktowały tę część ceremonii, kilkakrotnie przeliczając grupę, by się upewnić, że nikogo nie brakuje. Zarówno Goth, jak i Xantia wyraźnie usłyszeli odpowiedź Alyssy, gdy ta została wywołana. Goth uśmiechnął się, ale Xantia, rozpoznając głos rywalki, lecz nie wiedząc, skąd dobiega, jeszcze bardziej się rozeźliła.

Skorzystała z okazji, gdy studentki musiały wyjść poza główną bramę, by spotkać się z jedenastoma postaciami. Tłum rozstępował się przed nimi, a pieśni obu grup mieszały się z sobą, tworząc crescendo głosów. W finale miał nastąpić Taniec Śmierci, zaczynający się spokojnie, a potem przybierający na intensywności. Wszyscy brali w nim udział. Xantia była pewna, że Goth wykorzysta tę sposobność, by ponownie spotkać się z Alyssą.

Idąc ku bramie, stopniowo pozostawała z tyłu, aż w końcu znalazła się na samym końcu, skąd mogła się przyjrzeć wszystkim koleżankom. Alyssy jednak wśród nich nie było. Gdzie ona mogła się ukryć? Nagle ktoś w przodzie potknął się, sprawiając, że kilka dziewcząt się zachwiało. W zamieszaniu Xantia dostrzegła but na obcasie, jakiego nie widziała jeszcze nigdy w życiu. Po sekundzie zniknął, przysłonięty szkarłatem.

Przerwała śpiew i rozglądała się chaotycznie. Jej wzrok zatrzymał się na osobie w luźnej tunice. Matowe włosy wyglądały nieznajomo, a twarz skrywała maska upiora, której wcześniej Xantia nie widziała u żadnej ze studentek.

- Alyssa... - szepnęła. - Alyssa! - wrzasnęła na cały głos.

Upiór odwrócił się, a potem wyskoczył spomiędzy kobiet, wywołując istne pandemonium.

W tym samym momencie, w którym Xantia dostrzegła but Alyssy, Rhus w końcu

dotarł do dowódcy.

- Mam Gynta, sir. Jest tam.

Goth spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył medyka stojącego na wozie przed jego nosem. Świński łeb obrócił się jak na sznurku, po czym Gynt ciał batem spłoszone konie, a te natychmiast ruszyły galopem. Goth spoglądał na to wszystko z niedowierzaniem, gdy nagle usłyszał czyjś krzyk: „Alyssa!”. Zza bel siana leżących z tyłu wozu wychyliła się jakaś postać i zrzuciła koc, by odsłonić głowę lisa i kaskadę złotych włosów.

- Za nimi! - wrzasnął.

Rozpacz wywołana faktem, iż pozwolił jej wymknąć się w ten sposób w towarzystwie tego bękarta Gynta, sprawiała, że krew zawrzała w żyłach inkwizytora. Pierwszy wskoczył na konia i bezlitośnie smagał go biczem, inicjując pościg.

Ukryty zaraz za bramą Tor pędem wybiegł na drogę. Zdjął koński łeb, w który wcześniej się przebrał, i patrzył, jak inkwizytorzy znikają w obłoku pyłu. Alyssa przepchnęła się przez tłum i niezgrabnie podbiegła do niego na swoich wysokich obcasach. Xantia stała niedaleko, wrzeszcząc zza maski wyniosłej dziewczycy, a po chwili pojawiła się także siostra Iris.

- Doktorze Gynt... co tu się dzieje? Alyssu, Xantio... cóż to za zachowanie?

Odpowiedziało jej milczenie. Xantia zaczęła ciągnąć Alyssę za maskę, ta jednak trzymała ją mocno, za wszelką cenę starając się ukryć twarz.

Ponad zamieszaniem Clout spokojnie odezwał się do Tora.

Zatrzymaj konie, a zatrzymasz ludzi.

Otoczywszy Alyssę ramieniem, Tor przywołał do siebie Barwy. Wiedział, że iluzja z pewnością traci na sile, ale Saxon jest już bardzo blisko skraju Wielkiego Lasu. On i Sorrel będą tam bezpieczni. Clout miał rację, wystarczyło spowolnić konie.

Rzucił czar.

*

Saxon śmiał się jak wariat, choć jego oczy nic nie widziały. Najwyraźniej Kythay i szkapę pod wpływem czaru Clouta wiedziały dokładnie, dokąd biec.

Był to jeden z nielicznych przypadków od czasu okaleczenia Saxona, gdy Sorrel słyszała jego głos. Zdarła z twarzy maskę lisa i zauważyła, że jej towarzysz także pozbył się świńskiego łba. Widok nadającego tempo Kythaya zaparł jej dech w piersiach. Oczy osła były równie szerokie jak oczy Saxona.

Przyłgnęła do ściany wozu, bojąc się, że wypadnie na zewnątrz, i obejrzała się do tyłu. Nie musiała widzieć ludzi Gotha, wystarczyło, że ich słyszała. Byli tuż-tuż. Obróciła się z

powrotem i zobaczyła wyciągającą się ku nim odnogę Wielkiego Lasu. Tor powiedział, że wystarczy dotrzeć do skraju puszczy, by znaleźć schronienie. Ostrzegł także, że Goth nie może rozpoznać Saxona. Sztuczka zadziałała, ale teraz mężczyzna musiał się dobrze ukryć.

On tymczasem puścił lejce, bo nie było potrzeby ich trzymać. Konie galopowały jak opętane, pędząc za Kythayem, który najwyraźniej nie miał zamiaru się zatrzymać, póki nie znajdą się w obrębie lasu.

- Ukryj się za belami! - wrzasnęła Sorrel do Saxona, spychając go w dół i oglądając się znowu.

W samą porę. Mogłaby przysiąc, że dostrzegła białka oczu Gotha. Niespodziewanie, jakby chciała rzucić wyzwanie zagrożeniu, zawtórowała Saxonowi szaleńczym śmiechem.

Wybieg się udał: wszyscy inkwizytorzy pędzili za nimi. Sorrel usłyszała przekleństwo Gotha, gdy ten w końcu zobaczył, kogo ściga, i uświadomił sobie, że został wyprowadzony w pole. Oczy płonęły mu żądzą mordy.

Pod Sorrel ugięły się kolana. Już się nie śmiała; na pomarszczonej twarzy malowało się przerażenie.

- Będziecie za to cierpieć!

Zniewieściały głos wyraźnie przebił się przez tuman pyłu i Sorrel przygotowała się na śmierć. Zamknęła oczy i w tej samej chwili poczuła uderzenie potężnej magii.

Konie niosące inkwizytorów były niemal tak blisko, że ci mogliby wskoczyć na wóz, ale nagle zaczęły zwalniać. Niezależnie od tego, jak mocno jeźdźcy smagali je batami i bodli piętami, zwierzęta przestawały biec i przechodziły w stęp. Goth z przerażeniem uświadomił sobie obecność magii.

Gdy wóz znalazł się w bezpiecznej kryjówce lasu, Sorrel zaśmiała się jeszcze głośniejsze. Las wydawał się rozstępować przed nimi, a potem zamykać, tworząc zaciszny azyl.

Saxon podniósł się zza bel siana i rozglądał wokół w oczarowaniu. Las witał kolejnego ukochanego paladyna.

*

W Caremboche zapanował chaos. Ceremonia została przerwana i nic nie wskazywało na to, by siostra przełożona miała zamiar ją wznowić. Była zbyt zajęta żądaniem wyjaśnień od stojącej na drodze trójki.

Tor ledwie słyszał jej pytania. Alyssa trzymała się go kurczowo. Xantia wpadła w histerię i obrzuciła oboje stekiem ordynarnych przekleństw, po czym skierowała swój gniew ku siostrze Iris.

W końcu Tor usłyszał to, na co czekał.

Są bezpieczni w lesie. Saxon nie został rozpoznany - doniósł Clout.

Tor był wniebowzięty.

A Goth?

Kipi z wściekłości na kuśtykającym koniu. Powodzenia w następnej odsłonie. Będę na ciebie czekał, przyjacielu.

Wkrótce do ciebie dołączę, Clout. Tor zwrócił zmęczone spojrzenie ku pozostałym.

- Czas na nas, siostró Iris. Musimy odejść.

Starsza kobieta zdjęła maskę, uświadamiając sobie w końcu, że tej nocy zabawa już się skończyła. Wlepiała w Tora nienawistny wzrok.

- Xantio, zamknij się z łaski swojej - powiedziała, zmęczona wyzwiskami dziewczyny. - Chyba rzeczywiście czas na pana, doktorze. Proszę jednak wyjaśnić, co pan rozumie przez „my”.

Tor nadal trzymał Barwy w pogotowiu. To, co planował, było niezmiernie ryzykowne. Przyciągnął Alysę do siebie, sprawiając, że poczuła się jak szmaciana lalka w jego ramionach.

- Alyssandra Qyn była zmuszona pozostać w Akademii z powodu inkwizytora Gotha, ale nie tu jest jej miejsce.

Siostra Iris stłumiła w sobie gniew.

- My znamy ją jako Alysę. Gdzie zatem, pańskim zdaniem, jest miejsce Nietykanej?

- Miejsce tej jest przy mnie. Zabieram ją tam, gdzie będzie bezpieczna.

Na te słowa Xantia znów zaczęła z siebie wyrzucać potok wyzwisk, tym razem jednak w obcym, starożytnym języku. Tor poczuł, jak Alyssa sztywnieje, a następnie zaczyna drżeć.

Co się dzieje? - zapytał łagodnie poprzez łącze.

Rzuca na nas klątwę. To ten sam język, w którym napisano księgi.

Idziemy - powiedział, wiedząc, że Alyssa ledwie panuje nad sobą.

Ktoś w tłumie krzyknął. Tor podniósł głowę i ujrzał biegnącego ku nim Gotha, który wobec dziwnego zachowania koni wolał zawierzyć własnym nogom. Przez chwilę medyk odczuwał podziw dla determinacji tego człowieka, przyglądając się w zdumieniu, jak ten, pędząc na krótkich nóżkach, niebezpiecznie szybko zbliża się do celu.

- Doktorze Gynt, proszę natychmiast puścić Alysę - zażądała siostra Iris, nadal wierząc, że ma w tej sprawie coś do powiedzenia.

Tor pokręcił głową.

- Przykro mi, siostró.

Przywołał Barwy, zintensyfikował ich jasność i skupił się. Ostatnimi dźwiękami, jakie

do niego dotarły, były krzyki tłumu.

Alyssa natomiast usłyszała jeszcze głos Xantii, rzucającej przerażającą klątwę, która wyzwałała mrocznego i mściwego boga. Te słowa przeraziły ją jak jeszcze nic w życiu. Natychmiast przypomniała sobie legendę o Orlacu i mrozącą krew w żyłach opowieść Tora o tym, że bóg żyje i powróci do Tallinom, by się zemścić.

A potem to poczuła. Gdzieś bardzo daleko coś otworzyło oczy i uśmiechnęło się w odpowiedzi na wezwanie w starej mowie. Potem musnęło zmysły Alyssy, zmrażając jej ciało.

Tor także powinien to poczuć, ale był zajęty przywoływaniem właściwego zapachu, kombinacji kolorów i najdrobniejszych szczegółów mocy Darmuda Corila. Zbyt zaabsorbowany wzywaniem jednego boga, nie zauważył delikatnego dotyku drugiego.

Żądał, by moc mu odpowiedziała i połączyła się z jego własną; otworzył się przed bogiem lasu i zaklinał go, by mu pomógł. Potem zalała go potężna fala. Darmud Coril usłyszał i odpowiedział.

Świadkowie z przerażeniem i zdumieniem spoglądali, jak ze splecionej ramionami pary wystrzela nagle tęcza barw, unosząc się ku Wielkiemu Lasowi i dalej. Płonęła tak jasno, że na moment oślepli, a zaraz potem znów zrobiło się ciemno. Pary jednak nie było.

Xantia milczała. Siostra Iris osunęła się na kolana. Nigdy dotąd nie zetknęła się nawet z ułamkiem takiej mocy.

Pozostali poszli za jej przykładem. Tymczasem na miejsce dotarł zziębnięty wielki inkwizytor Goth, buchając parą wśród chłodu nocy. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. W końcu sam padł na kolana, nie z podziwu jednak - nawet nie ze strachu - lecz z zimnej, mrocznej furii.

Walił pięściami w bruk, aż strumień krwi począł spływać na miejsce, w którym przed chwilą stała Alyssa.

ZAKAZANA MIŁOŚĆ

Otaczała ich cisza. Tor otworzył oczy i zalała go fala triumfu. Dokonał tego! Spowijała ich posępna ciemność lasu. A więc zdołał się sprząc z mocą boga. Wykorzystał Darmuda Corila, by się tu znaleźć.

Witaj w azylu, Alyssso.

Alyssa obróciła się i zobaczyła stojącego niedaleko nich wielkiego srebrzystego wilka. Otworzyła usta w zdumieniu.

Solyana - rzekł łagodnie Tor. - Dziękuję - dodał z pokorą.

Błyszczące oczy wilczycy nie spojrzały na niego. Wciąż wpatrywały się nieruchomo w jego spłoszoną towarzyszkę. Tor ujął Alyssę za rękę i podprowadził bliżej.

Moja droga, poznaj naszą wyjątkową przyjaciółkę. Oto Solyana. Należy do czarodziejskich stworzeń Serca Lasu, które nas chroni.

Uwierzywszy wreszcie, że Goth jej nie dopadnie, Alyssa wolno osunęła się na ziemię. Otoczyła ramionami ogromną szyję wilczycy i łkała z ulgą. Tor i Solyana stali w milczeniu.

Wilczyca szeptała do głowy dziewczyny słowa otuchy. Było to przesłanie skierowane wyłącznie do niej.

Tak długo na ciebie czekaliśmy, Alyssso. Teraz jesteśmy gotowi służyć Trójcy.

Alyssa zajrzała w nieprzeniknione oczy zwierzęcia. Policzki wciąż miała mokre od łez.

My? - zapytała, również zwracając się tylko do Solyany. - To znaczy kto?

Paladynowie.

„A więc Saxon nie kłamał” - pomyślała. Spokój szlachetnego stworzenia dodawał jej sił. Ponownie spojrzała wilczycy w twarz.

Ślubuję wam wierność - powiedziała.

„Ciekawe, o czym one tam gadają” - pomyślał Tor. Ale były inne, ważne pytania. Nim zdążył zadać pierwsze z nich, Solyana odpowiedziała.

Niedawno do Wielkiego Lasu wjechało dwoje ludzi. - Tym razem słyszeli ją oboje. - Saxon i Sorrel czują się dobrze. Nie obawiajcie się, Serce Lasu chroni ich i leczy. Proszę za

mną.

Szli obok wilczycy, aż dotarli do dużej sadzawki. Z jej powierzchni unosiła się delikatna mgiełka i mimo ciemności zdołali docenić urok tego miejsca.

Możecie się wykąpać w tym ciepłym źródelku - powiedziała Solyana. - Tam dalej leżą czyste ubrania dla was. Pod drzewem znajdziecie jedzenie. Ja na razie was pożegnam. Za chwilę oświetlą was Płomienie Firmamentu, które następnie zaprowadzą was na miejsce spoczynku. - Solyana zaczęła się oddalać, po czym obejrzała się i dodała: *- Cieszcie się swoim towarzystwem.*

Zerknęli na siebie, zawstydzeni tą uwagą. Po raz pierwszy byli tylko we dwoje. Tor wiedział, że musi wziąć na siebie inicjatywę, odrzucić wstyd i wszelkie wątpliwości. Kochał Alysę i wiedział, że ona go kocha. To był ich czas.

- Wskakujemy? - zapytał, balansując na jednej nodze, by ściągnąć but.

Alyssa czuła się onieśmielona.

- Jesteśmy tu całkiem sami?

- Tak. - Tor podszedł do niej na bosaka. Mimo jej wysokich obcasów musiał się nieco pochylić, by móc ją łagodnie pocałować. - Na pewno chcesz się pozbyć tych butów.

- Nie chcę ich więcej widzieć! - Usiadła na gąbczastej ziemi, w oczarowaniu wdychając ciepłe powietrze. - Zdawało mi się, że jest zima.

- W Sercu Lasu nigdy nie ma zimy - powiedział Tor i zdjął koszulę, nie patrząc na Alysę. Wiedział, że nie może jej poganiać. Jej pierwsze zetknięcie z mężczyzną było tak bolesne i podłe.

- Jesteś piękny, Tor. Masz ciało boga. - Gapiała się bezwstydnie na jego szeroką, mocną pierś. - Kiedyś byłeś chudzielcem.

Roześmiał się.

- Marszałek Cyrus poświęcił kilka lat na zmianę tego stanu.

- Brakuje ci go?

- Tak. Utraciłem go, by odnaleźć ciebie. - Tor ujrzał na jej twarzy grymas bólu. - Nie, nie to chciałem powiedzieć. Chodzi o to, że choć jest mi bliski, uczucie do niego nie mogłoby stanąć na drodze mojej miłości do ciebie. Musiałem cię znaleźć albo próbować aż do śmierci. Ale tęsknię za jego radami, szorstkimi manierami, siłą...

- Tor, przecież on podobno jest tutaj! Może moglibyśmy poprosić Solyanę...

- Nie wierzę, że mi cokolwiek powie. Wygląda na to, że Serce Lasu go wchłonęło. Myślę, że żyje i ma do wypełnienia jakąś misję. Ale my już go nie zobaczymy - rzekł ze smutkiem.

Cloot pojawił się w najwłaściwszym momencie. Wylądował obok Alyssy.

- Cloot! - dziewczyna była zachwycona jego przybyciem. Pozwolił jej głaskać się po głowie.

O rany, muszę częściej rozstawać się na dłużej z twoją ukochaną.

Tor też się cieszył, że ma sokoła znów przy sobie.

Gdzie byłeś, łobuzie? Co z Saxonem i Sorrel?

Och, wcinają kolację, a za chwilę pewnie będą spać jak zabici. Saxon wydaje się dziko szczęśliwy. Cały czas się szczerzy. Ale Sorrel martwi się o was.

Tor przekazał Alyssie wieści. Ucieszyła się, że Saxon jest szczęśliwy.

- Dlaczego? - zapytała.

Hm... zobaczysz - odparł wymijająco Cloot, gdy Tor przekazał mu pytanie Alyssy.

- Jak mamy się z nimi skontaktować? - zapytała.

Cloot zaczął czyścić piórka.

Cóż, jestem przekonany, że Solyana znajdzie sposób na uspokojenie ich. Tymczasem jednak noc należy do was i nie powinniście się o nich martwić... hm...

Co ty kombinujesz, ptaszysko? - zapytał Tor.

Och, nic. Ale niestety muszę już uciekać.

Przecież dopiero przyleciałeś!

Cloot podfrunął i usiadł mu na ramieniu.

A teraz odlatuję. Takie jest życzenie Serca Lasu.

Ta tajemniczość doprowadzała Tora do szału. Poprzednim razem Cloot zachowywał się w ten sposób przed swoją przemianą w sokoła. Ptak wyczuł niepokój medyka.

Nie ma powodów do obaw, przyjacielu. To prywatne miejsce, przeznaczone jedynie dla was dwojga. Do zobaczenia rano.

Alyssa milczała, gdy rozmawiali przez łącze. Nie przeszkadzało jej, że nie bierze w tym udziału. Posunęła się nawet do rozwiązania luźnego paska i karmazynowa tunika wisiała teraz na niej wielkimi fałdami. Dziewczyna zerknęła na Tora.

- Wygląda na to, że polecono zostawić nas w spokoju - rzekł, wyjaśniając odlot Cloota. - Cóż, ja jestem gotów na ciepłą kąpiel. A ty?

Skinęła głową.

- Ty pierwszy.

Tor zrzucił resztę ubrania i powoli podszedł do sadzawki. Gdy przystanął na skraju wody, wystrzeliły z niej nagle setki maleńkich płomyczków, które śpiewały dla niego, gdy brodził, a potem zanurzał się w ciepłej, gościnnej głębi.

Alyssa stała w otoczeniu tańczących i dźwięczących światełek, nie posiadając się z zachwytu. Wyciągnęła rękę. Przy każdym muśnięciu płomyka słyszała, jak ten przemawia do niej na powitanie. Przypomniała sobie, jak wyglądało w ich otoczeniu olśniewające ciało Tora, i znów nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jest to ciało boga.

Wypląnął na powierzchnię niemal na drugim końcu sadzawki.

- Tu jest jak w niebie - zawołał. - Na co czekasz?

Znów zanurkował. Alyssa domyśliła się, że robi to, żeby nie czuła się nieswojo, rozbierając się w jego obecności.

Zdjęła pofałdowaną tunikę i bieliznę. Poczowała dreszcze; nie z zimna, lecz dlatego, że otaczające ich powietrze działało jak dziwny balsam. Nawet nie. To był dreszcz podniecenia. Nagle Tor wyskoczył na powierzchnię, potrząsając głową i pryskając na wszystkie strony połyskującymi w świetle płomieni kroplami.

Alyssa przyglądała się, jak chłonie jej nagość, i wyzbyła się oporów. Tor podpląnął ku niej zachłannie i stanął na płyciźnie, wyciągając ręce. Postąpiła ku niemu, a gdy ją objął, roztańczone płomienie wokół nich zjednoczyły się w złotym blasku, po czym wybuchły feerią cudownych barw.

*

Później leżeli objęci na miękkim kocu, rozłożonym w porośniętym mchami dołku. Alyssa miała zamknięte oczy, ale nie spała. Tor przejechał palcem po jej twarzy, a potem powędrował w dół, wzdłuż ciała. Uśmiechnęła się, połaskotana, i ponownie sięgnęła ustami jego warg.

- Jesteś tak piękna w dotyku, Alysso - powiedział, gdy pocałunek się skończył. - Chcę zawsze cię mieć przy sobie.

- Więc miej - odparła szczerze.

Pogładził jej piersi.

- Nie jesteś zmęczony? - zapytała, wierząc się.

- Nigdy.

- No to przynajmniej głodny? - pytała dalej, zwróciwszy ku niemu twarz.

Diabelski błysk w jego oczach udzielił jej odpowiedzi, Alyssa była jednak wystarczająco szybka. Przeturlała się tak, by nie mógł jej dosięgnąć.

- Miałam na myśli jedzenie - powiedziała ze śmiechem.

Ruszyła po smakowitą kolację, którą im dostarczono. Wsparty na łokciach Tor zamknął oczy i uśmiechnął się, przywołując z pamięci każdą chwilę ich zbliżenia. Za pierwszym razem robili to pospiesznie, nawet niezdarnie. Później, gdy podniecenie zelżało,

poznał warstwy rozkoszy zarezerwowane dla prawdziwych kochanków. Całe pożądanie, jakiego doświadczył w domu panny Vylet, teraz ukazało mu się we właściwej perspektywie. Wiedział, że już nigdy nie zapragnie innej kobiety. O świcie wezmą ślub. Nie wytrzymałby kolejnego dnia.

Rzucił sondę w kierunku Cloota. Sokół był niezadowolony, że go budzą, ale Tora nie interesowało, która jest godzina. Opowiedział Clootowi o swoich zamiarach. Ku jego zdumieniu ten nie zgłaszał sprzeciwów.

Poprosisz Solyanę? - gorączkował się Tor.

Tak, a teraz zostaw mnie w spokoju. Do świtu pozostały nam tylko dwie godziny.

- Idziesz czy nie? - zawołała Alyssa.

- A wyjdiesz za mnie?

Odłożyła soczyste jagody, którymi się objadała, i otarła usta. Podeszła do miejsca, w którym stał Tor, i ucałowała jego szeroką pierś.

- To zakazane. Ale zdaje się, że złamaliśmy już wszystkie święte zasady Caremboche dotyczące Nietykalnych.

*

Chciałeś ze mną mówić, Torze?

Chłopak obudził się na dźwięk łagodnego głosu wilczycy. Alyssa jeszcze spała.

Dziękuję, że przyszedłeś, Solyano. Czy Cloot powiedział ci o naszych planach?

Tak - odparła, odciągając go od śpiącej Alyssy. - *To się da zrobić. Jest pewna święta kobieta, pustelniczka, która odnosi się do nas z szacunkiem.*

Tor przysiadł koło wilczycy.

Ma na imię Arabella.

Mieszka daleko stąd?

Usłyszał w głowie śmiech Solyany.

Spośród wszystkich ludzi akurat ty powinieneś wiedzieć, że w Sercu Lasu nic nie jest daleko. Tym razem jednak mamy dla was transport. Możecie wyruszyć, gdy tylko będziecie gotowi.

Wskazała pyskiem Alyssę. Tor spojrzął za siebie i zobaczył, że dziewczyna otworzyła oczy i przeciąga się. Solyana obróciła się, by odejść.

Do zobaczenia wieczorem. Wtedy też spotkacie się z przyjaciółmi.

Solyano... chciałbym cię spytać o Cyrusa.

Zastanawiała się przez chwilę.

Mogę ci powiedzieć, że cieszysz się dobrym zdrowiem i jest w doskonałym nastroju.

Świetnie mu się żyje w Sercu Lasu.

Czy jeszcze kiedyś go zobaczę?

Być może.

Tor wiedział, że więcej na ten temat nie usłyszy. Wilczyca poczęła się oddalać.

Usłyszał prychnięcie i obrócił się.

- Kythay?

Alyssa całkiem oprzytomniała i z wielką radością powitała starego przyjaciela. Przytuliła osła. Była jedyną osobą, której pozwalał na takie zachowanie.

- A ja to co? - Tor pociągnął ją ku sobie i wziął w ramiona.

- Proszę bardzo - ucałowała go lekko. - Piękne miejsce. Mogłabym tu spędzić całe życie.

- Może tak będzie. Jesteś szczęśliwa, Alyso?

- Nieznośnie - szepnęła, trzymając policzek blisko jego twarzy.

- W takim razie zrealizujemy dziś obietnicę, którą daliśmy sobie podczas Tańca Kwiatów. Ubieraj się, najdroższa, ruszamy do kapłanki.

- Co?

- Dalej, dalej. Osioł czeka, a narzeczony się niecierpliwi.

Alyssa ubrała się, zadowolona, że pójdzie do ślubu w prostej, lecz pięknej odzieży. Już nigdy w życiu nie chciała widzieć karmazynowej tuniki Nietykalnej. Przez chwilę żałowała, że w pobliżu nie rosną żadne kwiaty, które mogłaby sobie wpiąć we włosy. Potrząsnęła głową, by odpędzić absurdalne pomysły, ale właśnie w tym momencie nadleciał Clout, niosąc niewielki wianek z leśnych kwiatków. Jak gdyby słyszał jej myśli.

Przewodnik melduje się do usług - powiedział, siadając na ziemi przed nią. - *To dla Alyssy, Tor.*

Gdy ruszyli, Alyssa opowiedziała Torowi o rozmowie z Solyaną. Chłopak nie miał pojęcia, o co chodzi.

Słyszałeś o jakiejś Trójcy, Clout?

Odpowiedź sokoła poprzedziła chwila ciszy.

Tak.

To świetnie. Opowiedz mi - rzucił niecierpliwie Tor.

Trójca uratuje ziemię przed zagładą.

No i?

Zaległa cisza.

Rozdrażniony Tor powtórzył Alyssie słowa Cloota.

- Często mi to robi - powiedział.

- Podobnie jak Saxon - zauważyła Alyssa. - Może nie wiedzą więcej?

Tor skinął głową. To nie była wina Cloota.

W takim razie opowiedz mi jeszcze raz o paladynach - rzekł poprzez łącze.

Tym razem ptak odpowiedział natychmiast.

Jest ich dziesięcioro. Dwaj są sprzężeni z każdym z was i będą was chronić aż do śmierci.

Jednym z nich jesteś ty, a drugim? - zapytał Tor.

Zgadnij - odparł Cloot.

Tor powtórzył wszystko Alyssie.

- Ten drugi to Saxon - powiedziała, myśląc głośno. - Jest sprzężony ze mną. Solyana także należy do dziesiątki. Z kim jest sprzężona? W każdym razie nie z nami. I dlaczego jest ich dziesięcioro, skoro nas, potrzebujących opieki, jest tylko dwoje? Kto jeszcze mnie chroni? I przed czym?

Tor wzruszył ramionami. Przekazał pytanie Clootowi, oczekując, jak zwykle, niejasnej i wymijającej odpowiedzi.

Przed Orlakiem - odparł ptak.

Tor zatrzymał się, zdumiony tym, co usłyszał. Alyssa spojrzała na niego.

- Mówi, że chronią nas przed Orlakiem.

Alyssa poczuła ucisk w gardle.

- Powiedział coś jeszcze?

- Przypuszczam, że to i tak zbyt wiele - odparł Tor, nie wiedząc, co o tym myśleć.

Cloot odezwał się ponownie, tym razem krótko.

Arabella czeka.

Czuli zapach gotującego się jedzenia. Gdy wyszli z gąszczu, ujrzeli maleńką chatkę. Na zewnątrz stała wysoka, ładna kobieta; jej ciemne, przetkane siwizną włosy były związane i podpięte, a nieliczne zmarszczki na kanciastej twarzy nie raziły na tle jasnej, oliwkowej cery. Gdy wbiła w Tora spojrzenie ciemnych oczu, czuł się, jakby wiedziała o nim wszystko.

- Torkyn Gynt i Alyssandra Qyn. Czekałam na was. Witajcie.

Kobieta uniosła rękę w stronę Cloota, siedzącego na najwyższej gałęzi, jaką tylko udało mu się znaleźć.

- Jesteś piękny! - zawołała do niego, traktując gości z pełną swobodą.

Tor był zdumiony. Solyana mówiła, że ta kobieta to pustelniczka. Spodziewał się kogoś mniej towarzyskiego.

- Pani jest tą świętą kobietą, Arabellą?

- Do usług - odparła. - Wejdźcie. Przekąsimy coś wspólnie.

Zjedli lekki posiłek. Jedzenie było wyśmienite, a rozmowa naturalną kolejną rzeczą zeszła na kwestię ślubu.

- Nie mamy pierścionka - powiedziała przepraszaście Alyssa.

- Nie potrzebujemy go, dziecko - uspokoiła ją Arabella. - Pierścionek to tylko symbol. Ale jeśli dzięki niemu poczujesz się lepiej... - Wsunęła rękę do ukrytej kieszeni w tunice. - Może to wystarczy.

Po tych słowach wręczyła Alyssie maleńki krążek upleciony z cienkiej trawy. Był przepiękny.

- Pewnie, że wystarczy - odparła z zachwytem dziewczyna.

Objęły się jak stare przyjaciółki. Gdy Alyssa puściła Arabellę i zwróciła twarz ku Torowi, dłoń kapłanki zsunęła się na brzuch dziewczyny.

- Nie bój się - rzekła uspokajająco święta kobieta, po czym powoli i delikatnie dotykała brzucha Alyssy, koncentrując się.

W lesie zaległa cisza. Clout wylądował na ramieniu Tora, na moment łagodząc napięcie.

Nagle Arabella opadła na kolana.

- Stało się! Jesteśmy uratowani! - wykrzyknęła ku wierzchołkom drzew. - Alyssa jest brzemienna!

*

Tego popołudnia czekała Alyssę jeszcze jedna niespodzianka.

Kythay niósł pannę młodą na grzbiecie, podczas gdy pan młody szedł obok, a jego przyjaciel sokół siedział mu na ramieniu. Stworzenia Serca Lasu wyszły, by ich przywitać, ustawiając się wzdłuż ścieżki, która zdawała się otwierać przed nimi i zamykać za ich plecami. Słońce dopiero zachodziło, ale pod koronami drzew zmrok zapadał znacznie szybciej. Płomienie Firmamentu nową, jaskrawą kakofonią barw jarzyły się już na tle ciemniejącego tła, dźwięcząc i tańcząc wokół nowo zaślubionej pary.

Tor i Alyssa dostrzegli z przodu czekającą na nich Solyanę. Gdy otoczyły ją płomienie, zauważyli, że wilczycy towarzyszy dwoje ludzi. Serce zabiło Alyssie mocniej. To musieli być Saxon i Sorrel, czy jednak na pewno? Mężczyzna wydawał się zbyt wysoki.

Przygotuj się na scenę - mruknął Clout do Tora.

Medyk nie zdążył dowiedzieć się więcej. Odwrócił się dokładnie w momencie, w którym Alyssa zeskoczyła z grzbietu osła, podkasła spódnicę i pobięła.

Choć zdawało się to niemożliwe, z drugiej strony pędził ku niej Saxon. Lśniące złote włosy dumnie, w kloeckim stylu spływały mu na ramiona. Znów był całkowicie wyprostowany i swobodnie poruszał rękami, a nogi miał całkiem proste. Tor z zachwytem spoglądał w jego ślepe niegdyś oczy: teraz były jasne, nietknięte i przepełnione triumfem.

- Alyssa! - wykrzykiwał Saxon, aż znalazła się przy nim i wpadła mu w ramiona. Wyrzucił ją wysoko w powietrze, jak kiedyś, gdy była młodą dziewczyną, uczącą się tajników cyrkowego rzemiosła.

Tor spoglądał na to wszystko z pokorą. Wyczuwszy obecność Solyany, która przydreptała po cichu i stanęła u jego boku, zanurzył dłonie głęboko w jej futrze. Radość z powodu szczęścia Alyssy i jej wiernego, dzielnego przyjaciela odebrała mu głos.

Serce Lasu leczy swoje stworzenia - wyjaśniła Solyana.

Saxon, Alyssa i Sorrel usiedli razem. Alyssa w podnieceni przekazywała towarzyszom najświeższe wieści - tę o ślubie i tę o ciąży. Saxon zaś opowiedział o tym, jak bóg, Darmud Coril, wezwał go do siebie i uleczył.

Tor pozostał z wilczycą, dając Alyssie czas na rozmowę z przyjaciółmi.

Solyano - zapytał - *czy Arabella należy do grona paladynów?*

Tak - odparła.

Poczuł dreszcz podniecenia. Zaryzykował ponownie.

Cyrus też?

Tak, Torze. - Sprawiała wrażenie zadowolonej, że sam się tego domyślił.

A zatem brakuje jeszcze pięciorga. Nie będę cię dalej naciskał, Solyano.

Dziękuję ci za to, przyjacielu. Obiecuję, że zrozumiesz wszystko, gdy nadejdzie właściwy czas. - Obróciła ku niemu wielką, szlachetną głowę. - *Lys cię nie opuści* - dodała.

Skinął głową. Ufał im wszystkim.

Czy wszyscy paladynowie zgromadzą się w Sercu Lasu?

Kiedyś tak. Minie jednak wiele czasu, nim będziemy w komplecie.

Tor rozpaczliwie pragnął ją zapytać, jaka jest ich rola, lecz stracił szansę, bo zbliżali się już do niego Saxon i wciąż zapłakana, podekscytowana Alyssa. Dopiero teraz medyk uświadomił sobie, jak wysoki i barczysty jest Kloek. W nowej postaci wydawał się imponująco silny i zdrowy.

- Gratuluje, Tor! - zagrzniał, zachwycony, że znów może mówić.

- Ja tobie również, przyjacielu. - Tor skrzyżował dłonie na kloecką modłę. Saxon docenił gest.

Dołączyła do nich Sorrel. Miała zagadkową minę, ale Tor nie zaprzętał sobie tym

głowy. Starsza pani z natury była tajemnicza, a teraz prawdopodobnie gromadziła wieści, by przy najbliższej okazji przekazać je Merkhudowi. Nie miał jej tego za złe tak bardzo, jak wcześniej mógłby sądzić. Po raz pierwszy od wielu lat czuł, że sprawuje kontrolę nad swoim życiem i nie obawiał się manipulacji Merkhuda.

Saxon poklepał go mocno po plecach.

- No, no, Tor! Sądziłem, że to ja przyniosę wam dzisiaj najbardziej zdumiewające wieści, ale wygląda na to, że ty i Alyssa też nie próżnowaliście.

Uśmiechnął się przekornie i Tor odpowiedział tym samym.

Nadszedł czas świętowania.

*

Sorrel była wycieńczona. Miała za sobą długą i huczną noc, ale nie mogła żywić żalu do towarzyszy za to, że chcieli trochę poszaleć. Światłość wiedziała, ile musieli przejść, by tu szczęśliwie dotrzeć. Niestety, starsza pani mimo szczerych chęci i stwarzania pozorów nie podzielała ich radości.

Alyssa spodziewa się dziecka!

Sorrel zadrżała na myśl o tym, jak by na to zareagowały siostry z Akademii, ale tamto życie nagle wydało jej się bardzo odległe.

Wiedziała, że musi zrelacjonować Merkhudowi te wszystkie zdarzenia. Na razie wiedział tylko o ich ucieczce przed Gothem i przybyciu do Wielkiego Lasu.

Reszta kompanii poszła spać. W lesie panowała cisza. Sorrel posłała impuls, wiedząc, że starzec z pewnością nie śpi. Odpowiedział natychmiast.

Jakie wieści, moja droga? Tęskniłem za tobą.

Jego słowa pokrzepiły ją.

Odkąd rozmawialiśmy ostatnio, wydarzyły się przedziwne rzeczy, Merkhudzie. Saxon został uleczony za pomocą magii.

Przez Tora?

Nie. Podczas pierwszej nocy Kloek niespodziewanie zniknął. Z przykrością przyznaję, że przespałam całe wydarzenie, on jednak mówi, że wielka srebrna wilczyca zaprowadziła go na miejsce, w którym następnie został uleczony. Tylko tyle wiem.

Widziałas tę wilczycę?

Widziałam ją przez chwilę, gdy znaleźliśmy się w lesie, więc wiem, że Saxon mówi prawdę, ale tak naprawdę poznałam Solyanę dopiero dziś wieczorem.

Solyanę! - Merkhud zachichotał osobliwie.

Co cię tak cieszy, mój drogi?

Twoje wieści, Sorrel, nic innego.

Hm, mam jeszcze do opowiedzenia bardziej dramatyczną historię. Nie będę się wdawać w szczegóły. Powinieneś wiedzieć, że Tor i Alyssa wzięli ślub.

Jak to możliwe?

Jak to jak? Potajemnie złożyli sobie przysięgę. Na dowód tego Alyssa nosi pierścionek z plecionych traw.

Więc po Wielkim Lesie snują się kapłani, udzielający ślubów, gdy zajdzie potrzeba? - zapytał sarkastycznie.

Sorrel powstrzymała się od ofuknięcia go.

Nie - odparła spokojnie. - Podobno żyje tu pewna święta kobieta. Kapłanka, znajoma Solyany.

Powiedz mi, że ma na imię Arabella, Sorrel! Daj mi pewność! - rozkazał, bardziej podekscytowany niż kiedykolwiek podczas ich długiego wspólnego życia.

Zgadza się. Wymienili to imię.

Zaległa cisza, ale Sorrel wiedziała, że łącze nadal jest otwarte. Czekala więc. W końcu starzec westchnął.

Dziękuję, moja droga. Bardzo uporządkowałaś sprawy. Nanak będzie wniebowzięty.

Nie zadała sobie trudu zapytania, kim jest Nanak.

To nie wszystko, Merkhudzie. Mam nadzieję, że siedzisz? - Merkhud mruknął potakująco. - Tor i Alyssa twierdzą, że gdy Arabella objęła Alyssę, poczuła coś i zapytała, czy może dotknąć Alyssy. Kiedy to zrobiła, oznajmiła, że dziewczyna spodziewa się dziecka.

To jest to! - wrzasnął. - To jest to! - ryknął jeszcze głośniej.

Niby co, Merkhudzie?

Trójca, kobieto! To tego potrzebowaliśmy! Tora, Alyssy i dziecka! Tria, Trójcy! Że też wcześniej na to nie wpadłem! To przecież oczywiste.

Zaczął trajkotać, rozpatrując różne pomysły i scenariusze. W całym tym podnieceniu zupełnie zapomniał o Sorrel.

Staruszka czekała cierpliwie, aż Merkhud skończy.

Co mam robić? - zapytała potem.

A oni co mówią?

Wierz, że jest im pisane życie w Sercu Lasu. Tor mówi, że powinni pozostać w jego schronieniu, przynajmniej do czasu narodzin dziecka. A potem - kto wie?

W takim razie po prostu trzymaj się blisko nich. Jak wspomniałem, na razie bieg wypadków pozostaje poza naszą kontrolą. Być może nasza rola skończy się wraz z

narodzinami dziecka, a wtedy, moja droga, będziemy mogli wreszcie zasnąć.

Nie była to wesoła perspektywa, ale Sorrel poczuła w sercu dziwną lekkość, słysząc te słowa. Czowała się już zmęczona długą krucjatą.

NARODZINY

Naliczyli osiem miesięcy od dnia ślubu.

Życie w Sercu Lasu było wysublimowane; po ciężkich doświadczeniach, jakie dotychczas dotknęły każdego z nich, hojność i spokój boru napępiały ich pokorą. Wszyscy tak się przyzwyczaili do tego nowego świata, że nikt, a zwłaszcza przyszli rodzice, nie mieli zamiaru kiedykolwiek się stamtąd ruszać.

Tor i Alyssa wiedli małżeńskie życie w chatce zbudowanej z gałęzi zrzucanych przez drzewa. Był to prosty, beztroski żywot. Sorrel wróciła do dawnego fachu. Rzadko ją widywali, bo zwykle włóczyła się po lesie, zbierając swoje zioła i prowadząc spokojną, koczowniczą egzystencję. Saxon, podobnie jak młodzi małżonkowie, mieszkał w skromnym domku, skleconym z oferowanych przez las materiałów, ale większość dni spędzał na wędrówkach i penetracji terenu.

Choć mieli wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu, bo wszystkie dni były do siebie podobne, Alyssa szybko przybierała w tali. Dziecko rosło jak na drożdżach. Dziewczyna świetnie znosiła ciężę i wszyscy byli przekonani, że poród odbędzie się bez komplikacji.

Arabella często ich odwiedzała. Zaprzyjaźniła się też z Saxonem i Clootem. Chociaż wszyscy byli paladynami, żadne z nich nie pamiętało pozostałych. Gdzieś w mrocznych zakamarkach ich umysłów majaczyły niejasne wspomnienia, ale dawno już poddali się wobec frustrującej niemożności nadania im kształtu. Pewnego razu Tor zasugerował, że ich moc sama się ujawni, gdy będzie potrzebna; że przypomną sobie przeszłość, gdy ta nabierze znaczenia w terażniejszości. Jego słowa uspokoiły ich nieco i zgodzili się z nim.

Wielki Las był tak rozległy, że Saxon dopiero po dłuższym czasie natrafił w swoich wędrówkach na stary wóz, którym triumfalnie wjechał w knieje wiele miesięcy temu. Zabrał wówczas tylko kilka najpotrzebniejszych rzeczy, takich jak garnek do gotowania jedzenia. Wszystko, co nie było im w tamtej chwili potrzebne, zostawił i zapomniał o tym.

Po tygodniowej nieobecności zjawił się z powrotem z workiem, który Alyssa natychmiast rozpoznała. Nawet dziecko w jej brzuchu zaczęło kopać, jakby i jemu udzielił się niepokój matki na wspomnienie o Orlacu.

- Cześć, Saxon! - zawołał Tor, oczyszczając teren między dwoma młodymi drzewkami. Zamierzał rozwiesić tam hamak, w którym Alyssa mogłaby kołysać maleństwo. Praca była męcząca, ucieszył się więc, że mu przerwano. - Miło cię znów widzieć. Zaraz pogadamy.

Saxon skinął mu głową i podszedł do Alyssy, wymachując workiem.

- Pamiętasz to?

- Wcale mnie nie cieszy, że to znalazłeś - odparła.

Położył worek na ziemi.

- Więc nie patrz na niego.

Alyssa zignorowała jego słowa i potarła brzuch.

- Urósł?

- Jeszcze jak! Wygląda, jakbyś tam nosiła całą trupę cyrkową.

Oboje uśmiechnęli się, wspominając dni, które zdawały im się zamierzchną przeszłością.

Stęknęła.

- Wciąż czuję się taka zmęczona. - Nalała mu kubek wody.

- Posiedź ze mną chwilę.

- Dwa dni temu spotkałem Sorrel.

- Jak się miewa?

- Och, marudzi jak zawsze. Powiedziała, że wkrótce wróci, na wypadek, gdyby dziecko miało się urodzić wcześniej, niż powinno.

- To dobrze. Nie mówiłam o tym Torowi, Saxonie, ale boję się.

Wyciągnął kubek po dolewkę.

- Czego?

- Hm, właściwie nie wiem... Pewnie nieznanego. Narodzin dziecka, życia w lesie...

- Nie ma powodu do obaw. Po pierwsze, Sorrel jest doświadczoną akuszerką. Po drugie, znajdujesz się w najbezpieczniejszym z możliwych miejsc. Pamiętaj, że Serce Lasu leczy swoje dzieci. - Ucieszył się na widok uśmiechu na jej twarzy. - Po trzecie, otrzymasz wszelką pomoc, jaka będzie ci potrzebna.

- Wiem.

Tor podszedł do nich i spojrzął na worek.

- Co tam masz, Saxonie?

- Alyssa dała mi te rzeczy na przechowanie, nim wyjechaliśmy z Akademii.

Tor zerknął na Alyssę. Skrzywiła się.

- Pisma Nanaka.

- A! - Tor także nie chciał, by mu o tym przypomniano, więc zmienił temat. - Hamak dla młodego Gynta jest gotowy - rzekł, z dumą wskazując swoje dzieło.

- Być może będziemy go potrzebować wcześniej, niż się spodziewaliśmy. - Alyssa poruszyła się ociężale. - Od rana odczuwam jakieś bóle.

Obaj mężczyźni sprawiali wrażenie przestraszonych. Alyssa uśmiechnęła się.

- Nie teraz. Po prostu być może trochę wcześniej, niż myśleliśmy - uspokoiła ich.

Późnym popołudniem jednak żadne z nich się nie uśmiechało. W ciągu kilku godzin bóle Alyssy nasiliły się dramatycznie. Spacerowała, by zmniejszyć poczucie dyskomfortu. Tor i Saxon na zmianę podpierali ją ramionami. Zapadał zmierzch, a Alyssa wciąż chodziła. Była coraz bardziej zmęczona. Mężczyźni zmieniali się teraz rzadziej: podczas gdy jeden odpoczywał, drugi ciężko pracował, by utrzymać dziewczynę na nogach.

O zmroku wszyscy z ulgą ujrzeni wkraczającą na polanę Sorrel. Alyssa zawiadomiła ją przez łącze, kiedy ból był jeszcze dość słaby, więc starsza pani znajdowała się już w drodze, gdy znalazła ją zaalarmowana przez Tora Solyana. Zielarka zadziwiająco szybko przyjechała na grzbiecie Kythaya.

Kazała mężczyznom się usunąć, obiecując, że wkrótce zawoła ich z powrotem. Okazało się, że będzie musiała wykorzystać wszystkie swoje umiejętności akuszerki, dziecko bowiem nietypowo się ułożyło. „To będzie trudny poród dla kobiety, która wcześniej nie rodziła” - pomyślała. Wyjęła ze swojej słynnej starej torby jakiś płyn i podała Alyssie do wypicia. Dziewczyna uspokoiła się i zapadła w niespokojną drzemkę.

Sorrel natychmiast znalazła zadania dla dwóch zdenerwowanych mężczyzn, którzy czekali przyczajeni na skraju polany. Cieszyli się, że mogą czymś zająć ręce. Tor zaczął drzeć płótno na szmaty, a Saxon rozpałił ogień i podgrzewał wodę.

Solyana krążyła w pobliżu niczym cień, odpędzając ciekawskie zwierzęta, a Clout trzymał wartę wysoko w górze. Bystry wzrok pozwalał mu doskonale widzieć wszystko nawet z wierzchołków najwyższych drzew. Trzymał się z dala od Tora, przez cały dzień bowiem targało nim uczucie trwogi i nie chciał zarazić nim przyjaciela, co mogłoby przypadkiem nastąpić, gdyby Tor sprzął się z nim. Strach Clouta nie dotyczył Alyssy czy dziecka, choć nowe okoliczności jeszcze go wzmogły. Głównie jednak bał się Gotha, który nie zaprzestał poszukiwań, wielokrotnie powracając w miejsce, w którym Saxon i Sorrel wjechali do lasu.

Clout przypuszczał, że inkwizytor sądzi, iż natrafienie na ślad wozu lub jego pasażerów byłoby równoznaczne z odnalezieniem Alyssy. Sokół bacznie obserwował postępy

Gotha w miesiącach, które nastąpiły po ślubie Tora i Alyssy. Cztery najazdy nie przyniosły rezultatu i tylko rozwścieczyły inkwizytora. Teraz wracał, tym razem wiodąc z sobą żołnierzy gwardii królewskiej. Wyglądało na to, że Lorys popiera jego przedsięwzięcie. Clout zastanawiał się też, czy tylko mu się zdaje, że tym razem las pozwolił Gothowi wejść głębiej niż poprzednio.

Do tej pory sokół z przyjemnością przyglądał się odprawom, jakie dostawał ten łotr. Pod ściółką pojawiały się nagle dróżki, które okazywały się wieść donikąd; inne, o obiecującym wyglądzie, prowadziły z powrotem do punktu wyjścia. Jeszcze innymi podróżni docierali do wodospadów lub nieprzebytych gąszczy. A jedna nawet doprowadziła ich do gołej ściany skalnej. O tak, Clout widział to wszystko i śmiał się z Gotha, na każdym zakręcie przechytrzanego przez drzewa. Ale teraz coś się zmieniło. Goth zdołał dotrzeć do najgłębszych zakamarków Serca Lasu. To właśnie ta odmiana tak zaniepokoiła sokoła.

Wkrótce zjawiała się Arabella. Sorrel była zadowolona, mając do pomocy drugą kobietę. Teraz one na zmianę prowadziły Alyssę, gdy ból stawał się nieznośny.

Była północ. Alyssa męczyła się od dziesięciu godzin i nic nie wskazywało na to, że sytuacja wkrótce się zmieni. Sorrel wyjaśniła pozostałym, że istnieją trzy etapy związane z wydaniem na świat dziecka; dziewczyna znajdowała się w początkowym stadium drugiego, ale nie było postępu. Proces narodzin znalazł się w impasie.

- Czeka nas długa noc - ostrzegła Sorrel, nie pokazując po sobie, jak bardzo się niepokoi. Sprawy nie wyglądały dobrze. Obawiała się o zdrowie dziecka. Nie zanosilo się na rychły poród; dziecko miało przed sobą kolejnych dziesięć, może więcej, godzin męczarni. Do tego czasu i ono, i matka znajdą się na skraju wytrzymałości. Sorrel uspokajała się jednak myślą, że zewsząd otacza ich magia.

Tor wykonał już wszystkie zadania, jakie były do wykonania, i teraz stał nerwowo w cieniu. Żałował, że Clout postanowił się ukryć w koronach drzew; czułby się raźniej, mając go na ramieniu. Obaj niepokoiłi się jękami Alyssy; mimo braku doświadczenia odnosili wrażenie, że dziewczyna słabnie.

Tor próbował odpędzić niepokój, rozmawiając z Clootem.

Co słyhać na zewnątrz?

Lepiej, żebyś nie wiedział - odparł sokół i natychmiast tego pożałował, bo Tor przeniósł na niego całą swoją uwagę.

Co chcesz przez to powiedzieć?

Tak mi się wymknęło. Masz zbyt wiele na głowie, Tor. Pomówimy o tym później. - Clout ze wszystkich sił starał się wymyślić inny temat. - *Sprawdzimy, co u Sorrel?*

Nie, Cloot. Widzę, że z Alyssą wciąż jest kiepsko. Powiedz mi, co chciałeś przede mną ukryć.

Cloot został przyparty do muru.

Goth jest w lesie. - Westchnął. - *A z nim specjalny oddział gwardii królewskiej.*

Tora natychmiast rozboleł żołądek. On sam nie bał się Gotha, ale wiedział, jak bardzo inkwizytor przeraża Alyssę.

Od kiedy?

Od pięciu miesięcy - odparł łagodnie sokół.

Tym razem Tor nie przejmował się łączem.

- Co?! - wrzasnął.

Wszyscy, nawet cierpiąca Alyssa, odwrócili się w jego stronę. Machnął ręką w odpowiedzi na ich pytające spojrzenia i wszedł głębiej w las.

O czym ty gadasz, na Światłość?

Nie każ mi tego powtarzać - odparł stropiony Cloot.

Kiedy zamierzałeś mi to powiedzieć?

Po narodzinach dziecka.

O ile w ogóle się urodzi. A jeśli nawet, Goth prawdopodobnie je zabije.

Dość tego, Tor! Goth nie znajdzie twojego dziecka. Serce Lasu ochroni was wszystkich. Do tej pory umiejętnie wodziło go za nos. Któż mógł przypuszczać, że aż tak mu zależy na znalezieniu was? Jest opętany.

Więc co mamy robić?

Na razie nic. Ty zajmij się żoną.

Alyssa krzyknęła i wszystkie rozmowy umilkły. Tor pognał ku niej. Saxon również pędem wybiegł z zacisznej kryjówki w cieniu. On także cierpiał w milczeniu.

Spod halki dziewczyny tryskała krew. Sorrel pobladła, a na beztraskiej zwykle twarzy Arabelli zagościł niepokój.

- To zły znak - mruknęła Sorrel, nie przejmując się już, że inni zauważą jej zdenerwowanie. Krew oznaczała, że śmierć jest blisko, starsza pani nie zamierzała jednak tak łatwo oddać Alyssy ani jej cennego dziecka.

Gdy ból zelżał na chwilę, Alyssa otworzyła oczy. Spojrzała na Tora i uśmiechnęła się z wysiłkiem spierzchniętymi wargami.

- Kocham cię - szepnęła, nim zalała ją kolejna fala bólu. Krew wciąż płynęła, wsiąkając w ziemię, na której klęczał Tor.

Mężczyzna rozplakał się. To nie mogło się dziać naprawdę. Alyssa nie mogła umierać

na jego oczach, powoli przegrywając bitwę o wydanie na świat ich dziecka.

- Nic więcej nie mogę zrobić - rzekła bezradnie Sorrel. - Tylko cud może uratować dziecko. Alyssa też ma niewielkie szanse - powiedziała, wyrażając przypuszczenia wszystkich.

- Nie! - krzyknął Saxon, nie chcąc dopuścić do świadomości tej prawdy.

Tor opanował się. Rozejrzał się dookoła, próbując coś wymyślić. Solyana przydreptała ku nim i stała obok Saxona. Tor ponownie zerknął na żonę. Była blada, bezwładna i obficie krwawiła. Tak właśnie, rodząc ją, straciła życie jej matka. Nie mógł pozwolić, by historia się powtórzyła. Nie było czasu na myślenie. Należało działać.

Solyano, czy możemy przywołać Darmuda Corila?

- Jestem tu - odezwał się donośny głos. - Podajcie mi ją - rozkazał.

Tor i Saxon natychmiast się pochyliłi, by podnieść Alyssę, ale to nie do nich przemawiał bóg lasu. Spod ściółki wypełzły błyskawicznie gałązki winorośli i owinęły się wokół dziewczyny. Listki i witki splotły się pod nią i wielkie, majestatyczne drzewo pochyliło się, by łagodnie otulić leżącą postać i włożyć ją w ramiona Darmuda Corila.

Wielki i imponujący, otoczony roziskrzonymi barwami lasu bóg utulił Alyssę, jak gdyby była dzieckiem. Natychmiast zapłonęły Płomienie Firmamentu i otoczyły dziewczynę, dźwięcząc łagodnie. Winorośl nadal rozrastała się wokół zebranych, dopóki wszyscy nie zostali połączeni mocą boga.

W niemym podziwieniu przyglądali się, jak Darmud Coril czyni cud, o który błagała Sorrel. Zaczął nucić swoim głębokim głosem sekwencję nut, ale nie tworzyła ona żadnej melodii. Płomienie płonęły wokół Alyssy jaskrawym światłem, kołysząc się w rytmie wyśpiewywanych przez boga nut, a drzewa pochyliły się ku niej, szepcząc.

Dopiero potem zebrani przyznali się sobie, że nie tylko widzieli, ale i czuli potęgę boga. Spośród nich jedynie Sorrel została jednak przez tę moc odmieniona, choć nie wiedziała wówczas, co dobrego ani co złego z tego wyniknie.

Wszyscy musieli zasłonić oczy przed blaskiem, ale Tor patrzył poprzez niego, pochłaniał najdrobniejsze szczegóły potężnej magii, która wlewała się w ciało jego żony, i ponownie zapamiętywał jej strukturę oraz zapach.

Wydawało im się, że minęła wieczność, nim płomienie powróciły do zwykłej intensywności, drzewa się wyprostowały, a oczy boga lasu spojrzały przytomnie na zgromadzonych.

Darmud Coril uniósł Alyssę do twarzy i czule ucałował w czoło, a potem oddał drzewu, które łagodnie złożyło ją z powrotem na kocu.

- Nie krwawi już i śpi najtwardszym ze snów. Ten sen ją uleczy, ale nie będzie pamiętała całego zdarzenia. Odbierz dziecko, akuszerko. Już czas.

Chwilę potrwało, nim Sorrel uświadomiła sobie, że to do niej zwraca się bóg lasu. Podreptała w kierunku dziewczyny i zajrzała pod pokrwawioną odzież.

- On ma rację! - wykrzyknęła. - Dziecko się rodzi!

Tor padł bogu do nóg.

- Jak mam ci dziękować? - wymamrotał z pochyloną głową, przepelniony wdzięcznością.

Tor - odezwał się w jego głowie donośny, lecz łagodny głos Darmuda Corila - jesteście Wybrańcem, który kiedyś zbawi nas wszystkich. Wtedy to my tobie będziemy dziękować. Przedtem jednak musisz pokonać wiele przeszkód i znieść wiele bólu. Zamiast przyjmować twoje podziękowania, chcę cię prosić o przebaczenie za to, co musi zrobić Serce Lasu.

Tor zmarszczył brwi.

Nie rozumiem.

Zrozumiesz, synu - jeszcze smutniejszym głosem powiedział bóg. Płomienie zamigotały i zgasły, a wraz z nimi zniknął Darmud Coril.

- Tor! - zawołała Arabella. - Twoje dziecko zaraz przyjdzie na świat!

Tor obrócił się i zobaczył, jak święta kobieta i Saxon obejmują się, zapłakani. A potem ciszę Serca Lasu przerwał najbardziej zdumiewający dźwięk, jaki Tor kiedykolwiek słyszał.

Głos płaczu jego dziecka.

- To chłopiec - powiedziała Sorrel nabrzmiałym z emocji głosem, klęcząc pomiędzy podkurczonymi nogami Alyssy i wyciągając dziecko ku niemu.

Arabella podała Torowi płachtę miękkiego materiału. Mężczyzna wziął dziecko z rąk Sorrel i rozplakał się, tym razem nie czując wstydu.

- Och, Gidyonie - szepnął - twoja matka będzie z ciebie taka dumna.

Uroczysty nastrój przerwał nagle jakiś hałas; to leśne zwierzęta wyskoczyły z krzaków i rozbiegły się na wszystkie strony.

Coś je spłoszyło - rzekła ostrzegawczo Solyana i pospiesznie podreptała w kierunku miejsca, z którego wybiegły.

Twarz Saxona sposepniała nagle i Tor zrozumiał, co ukrywał przed nim paladyn.

Goth tu był.

- Czekaj z Alyssą i Sorrel - rozkazał Torowi Saxon i podążył za Solyaną. Arabella pobiegła za nimi.

Cloot! - wrzasnął przez łącze Tor. - *Co się dzieje?*

Zaczął się koszmar. Musisz zabrać Alyssę i dziecko w bezpieczne miejsce.

Tor nie miał jednak czasu do namysłu, bo w tej samej chwili Sorrel krzyknęła:

- Jest jeszcze jedno!

Był pewien, że ze zdenerwowania się przesłyszał. To niemożliwe, żeby Sorrel miała na myśli jeszcze jedno dziecko. Podszedł bliżej, ale zatrzymał się jak wryty, gdy ujrzał w rękach kobiety jeszcze jedno płaczące niemowlę. Zdumienie odebrało mu mowę.

- Siostra. Bliźniaczka - wyjaśniła ochryple Sorrel. Ona także była wstrząśnięta. Alyssa nie dawała znaków życia.

- Umarła? - zapytał Tor głosem równie zimnym jak słowa, które wypowiadał.

- Jeszcze żyje - odparła Sorrel, podając mu córkę. - Trzymaj. Ja muszę się zająć twoją żoną.

Tor łagodnie chwycił maleńkie dziecko. Dziewczynka miała czerwoną, wykrzywioną twarz, a miękki puch włosów koloru truskawek posklejały wody płodowe. Bardzo różniła się od brata, ten bowiem miał czarne, grube i sterczące włosy. Rysy dziewczynki były łagodne i regularne, jak u matki, podczas gdy twarz chłopca była śniada i kanciasta.

- Przywitaj siostrę, Gidyonie - rzekł drżącym głosem Tor, obserwując Sorrel próbującą ocucić Alyssę. - Ma na imię Lauryn.

Tor! - rozległ się w jego głowie natarczywy głos Cloota. - *Musisz zabrać dzieci w bezpieczne miejsce!*

Jak blisko są?

Zbyt blisko. Pozostali próbują ich odciągnąć. Zabierz dzieci i uciekaj.

Nie! - krzyknął Tor. - *Jeśli tylko Goth mnie zobaczy, pobiegnie za mną. To ja muszę odwrócić jego uwagę. Arabella ani Saxon go nie obchodzą. Chce dopaść mnie. Sądzi, że gdy tego dokona, będzie miał także Alyssę.*

Cloot nie dyskutował.

Co chcesz zrobić?

Ile mamy czasu?

Być może parę minut. Saxon zwabił ich w inne miejsce.

Nie zamykaj łącza. Informuj mnie o wszystkim.

Tor nie tracił czasu na relacjonowanie Sorrel wydarzeń. Wyglądało na to, że kobieta już wie o obecności Gotha.

- Musisz iść - powiedziała.

- A moja rodzina?

- Wysłuchaj mnie uważnie, Tor. Zabiorę dzieci tam, gdzie będą bezpieczne. Musisz jednak przez jakiś czas utrzymywać Gotha z dala od tego miejsca, żebym zdążyła to zrobić. Odciągnij go od Serca Lasu tak daleko, jak tylko to możliwe.

- A Alyssa? - szepnął, zdruzgotany takim rozwojem wypadków.

- Znajdę jej jakąś kryjówkę. Nie mogę przenieść wszystkich. Pamiętasz, co mówił Darmud Coril? Ona przeżyje. Wyzdrowieje i nie będzie niczego pamiętać. Słuchasz mnie, Tor? Jeśli Goth znajdzie te dzieci, zabije je bezlitośnie na oczach matki. A potem ukrzyżuje was oboje. Po jego stronie stoi starożytne prawo i król, który je sankcjonuje. Status Alyssy poza obrębem lasu nie zmienił się. Dla ludzi pokroju Gotha te dzieci są czymś potwornym.

- Po co mi to mówisz, Sorrel? Myślisz, że o tym nie wiem? - wrzasnął na starą kobietę Tor.

Mówiła teraz cicho, niemal szeptem.

- Nie mów o tym nikomu. Tylko ty, Clout i ja wiemy o istnieniu dziewczynki. Powiemy, że chłopiec umarł. Wszyscy będą myśleli, że Tor i Alyssa Gyntowie nie doczekali się potomstwa.

- Patrzyła stanowczo w jego zdezorientowane oczy. - Nawet matka dzieci nie będzie o nich wiedzieć - dodała.

Tor spoglądał na nią z przerażeniem, usiłując pojąć sens jej słów. Miał wrażenie, że ktoś wbija mu nóż w serce.

- Mam ją zdradzić? - wyszeptał.

- Masz ją uratować! - burknęła. - Uratować żonę, dzieci, a przy odrobinie szczęścia także własną skórę.

Torowi zakręciło się w głowie. Plan Sorrel był bezwzględny, ale miała rację. Staruszce błyszczały oczy.

- Biegnij! - wrzasnęła ponownie. - Ratuj swoją rodzinę! Odciągnij stąd Gotha!

Wstrząśnięty Tor cofnął się o kilka kroków. Clout, który przez otwarte łącze słyszał całą rozmowę, także był oszołomiony. Dzieci znów zaczęły popłakiwać. Patrząc na twarz Tora, Sorrel widziała wszystko, co działo się w jego głowie: początkowy szok po chwili ustąpił miejsca rozpacz, wreszcie akceptacji.

- Jak cię znajdę?

- Znajdziesz nas. - Odwróciła się, dwa zawiniątka płakały już na dobre. - Musisz iść, Tor, inaczej wszyscy zginiemy i to, co wydarzyło się dotąd, pójdzie na marne. Jeśli mnie posłuchasz, nikt nie umrze. Wiem, że umiesz posługiwać się magią i mógłbyś zabić ich wszystkich, gdybyś zechciał. Ale ty tego nie chcesz. Jeśli zachowasz w sekrecie istnienie

dzieci, zdołamy uchronić ciebie i Alyssę. Proszę, Tor, pozwól mi je zabrać w bezpieczne miejsce!

- Zaczekaj! - krzyknął. Sięgnął do kieszeni i wyjął mały skórzany worek. Wysypał z niego trzy mieniące się kulki. - Weź to. Po jednej dla każdego z moich dzieci i jedna dla ciebie. Gdziekolwiek pójdziesz, pilnuj ich i zawsze miej je przy sobie.

- Do czego służą? - zapytała, zabierając dar. Gdy je chwyciła, barwy zgasły i kulki zmieniły się w matowe kamienie.

- Jeszcze ich nie rozumiem, ale wierzę, że będą was chronić. I... nie wiem - rzekł zmęczonym głosem - być może dzięki nim uda mi się was odnaleźć.

Sorrel uśmiechnęła się najpiękniejszym, najbardziej promiennym uśmiechem, jaki Tor kiedykolwiek widział na jej twarzy. Nie miał pojęcia, że jest zdolna do tak ciepłych uczuć. Jednak na tle otaczającej ich rozpacz jej uśmiech wydawał się niemal brzydki.

- Zaczekam na ciebie, Tor. Będę strzec twoich dzieci.

Przyciągnęła ku sobie jego twarz i ucałowała go, a potem przygarnęła zachłannie.

- A teraz idź, synu - rzekła łagodnie.

Tor ukląkł przy nieprzytomnej żonie i wydobyl coś z maleńkiej kieszeni w ubraniu. Ucałował ją na pożegnanie, po czym przyłożył jej do czoła dysk archaiku. Gdyby Goth ją znalazł, krążek przynajmniej w pewnym stopniu ochroniłby ją. Następnie Tor pospiesznie pocałował dzieci i wstał. Wszystko zostało już powiedziane. Jego wzrok padł na worek z książkami Nanaka. Mężczyzna chwycił go i nie oglądając się za siebie, zniknął w głębi lasu, licząc na to, że wierny sokół poprowadzi go do wrogów.

Zostawszy z dziećmi i ich nieprzytomną matką, Sorrel natychmiast spróbowała połączyć się z Merkhudem. Musiała go niezwłocznie poinformować, jak fatalny obrót przybrały sprawy.

Nie otrzymała odpowiedzi.

Zmarszczyła brwi i jeszcze raz posłała impuls. Tym razem z przerażeniem uświadomiła sobie, że to nie tylko brak odpowiedzi: po drugiej stronie była pustka. Spróbowała znowu. Łącze rozpadało się i znikało w nicości.

Niepokój przeszedł w trwogę, gdy drzewa zaczęły się zacieśniać wokół niej i poczuła nieuchwytną, wszechpotężną obecność Darmuda Corila.

- Będziesz posłuszna mojej woli - powiedział bóg.

*

Przez dwa dni w Wielkim Lesie trwała zabawa w kotka i myszkę. Korzystając z pomocy Cloota, Tor kilkakrotnie pokazał się wrogom i za każdym razem Goth zawzięcie go

ścigał. Dzięki tym manewrom Torowi i Clootowi udało się wyprowadzić inkwizytorów i gwardzistów poza obręb Serca Lasu.

W tym okresie Tor stracił z oczu Saxona, Arabellę, nawet Solyanę. Znów miał tylko Cloota. Rozmawiali tak rzadko, że wpędzało ich to w jeszcze większe przygnębienie, ale przez otwarte łącze wciąż przenikały emocje i nastroje.

Trzeciego dnia, głodny i zmarznięty - Wielki Las nie zaopatrywał go bowiem tak jak Serce, a ponadto panowała w nim zima - Tor podjął śmiałą decyzję.

Wracam - oznajmił ku zaskoczeniu Cloota.

Tor, nie!

Tak. Pójdiesz ze mną albo zostaniesz. Wszystko mi jedno. Muszę odnaleźć Alyssę. Może nie żyje. Nigdy bym się o tym nie dowiedział.

Nie umrze, Tor. Darmud Coril nie pozwoliłby na to.

Tor uniósł wzrok ku gałęzi, na której siedział sokół.

Nie? - zapytał gniewnie. - *Pozwolił, żeby ci oprawcy przyszli tu za nią Dlaczego nie miałby im pomóc jej zabić?*

Przezań! - zażądał Cloot. - *Mówisz jak szaleniec. W porządku. Pójdę z tobą. Choćby po to, by ci udowodnić, że się mylisz.*

Po czym zatrzasnął łącze.

Tor wstał i zmęczonym krokiem ruszył w powrotną drogę. Jakimś cudem wędrówka trwała tym razem znacznie krócej, zaledwie półtora dnia. Cóż - zdążyli się już przyzwyczaić do faktu, że w Sercu Lasu wszystko jest dziwne.

Dotarli na polanę o zmroku. Tor rozglądał się w oszołomieniu. Nigdzie nie było śladu Alyssy ani niczego, co by świadczyło, że kiedykolwiek ktoś tu mieszkał. W miejscu, w którym znajdowała się ich chatka, teraz stało drzewo. Na oczyszczonej wcześniej ziemi zalegała gęsta warstwa liści i mchów. A tam, gdzie podczas porodu leżała Alyssa, rosły śnieżnobiałe kwiaty, jakich przedtem w Sercu Lasu nie widziano.

Nogi ugięły się pod Torem i padł na porośniętą kwieciami ziemię, rozpaczając po utracie najbliższych.

*

Ciszę przerwał odgłos jakiegoś stworzenia, powoli przedzierającego się przez krzaki. Cloot wiedział, z kim ma do czynienia, nim Kythay pojawił się w zasięgu wzroku Tora. Mężczyzna z radością powitał osiołka, pamiętając, jakim sentymentem darzyła go Alyssa. Poglaskał Kythaya po karku. Zwykle zwierzak nie pozwalał się dotykać w ten sposób nikomu oprócz ukochanej pani, ale może i on za nią tęsknił.

Kythay zrobił kilka kroków do przodu. Tor stał w miejscu, usiłując zebrać myśli. Co zrobić? Szukać Arabelli? A może Saxon jest gdzieś w pobliżu?

Osiół zaryczał do niego, znów zrobił parę kroków do przodu, obrócił się i patrzył na Tora.

- Co jest, kolego? - zapytał ten łagodnie.

Jeśli się nie mylę, Kythay chce, żebyś za nim szedł - zasugerował Clout.

Ciekawe dokąd.

Clout mlasnął gniewnie.

Dowiemy się, jeśli za nim pójdziemy. - Po tych słowach sfrunął na grzbiet zwierzęcia. - *Chodź, Kythay.*

Osiół ruszył, jakby usłyszał jego słowa, i cała trójka ponownie opuściła Serce, zmierzając w nowym kierunku. Tym razem szli w stronę jednej z odnóg Wielkiego Lasu.

Następnego dnia wyszli poza jego obręb i znaleźli się nad wąską, rwącą rzeczką. Na przeciwległym brzegu, po drugiej stronie chybottliwego mostka, stał domek z dymiącym kominem. Perspektywa ogrzania rąk przy ogniu, a może i otrzymania czegoś do zjedzenia dodała otuchy zmarzniętemu na kość Torowi. Zastanawiał się, czym mógłby zapłacić. Pogrzebawszy w kieszeni, wydobyl kilka monet, których nie potrzebował od czasu pewnego bardzo już odległego popołudnia w Ildagarth.

To wspomnienie przywiodło mu na myśl Alysse, szybko jednak oddalił od siebie smutne myśli. Teraz musiał się troszczyć o własne przetrwanie, starannie planując każdy następny krok. Priorytetem było jedzenie... i sen.

Clout jakby czytał w jego myślach.

Po co Kythay nas tu przyprowadził?

Z jednego z domków wyszedł jakiś mężczyzna, najwyraźniej z zamiarem załatwienia potrzeby fizjologicznej. Widok stojącego na brzegu rzeki nieznanego przestraszył go.

- Proszę - odezwał się Tor. - Jestem sam. Znużony wędrowiec, pragnący jedynie kubka bulionu i ogrzania się przez chwilę przy ogniu. Mogę? - Chuchnął na rękę, uświadamiając sobie nagle, jak zmarzły. Sięgnął do kieszeni i wyjął pieniądze. - Zapłacę - dodał.

Mężczyzna tylko gapił się na niego w milczeniu. Uwagę Tora zwrócił tymczasem jakiś ruch w drzwiach domu. Pojawiła się w nich Alyssa. Szła jak w transie. Tor nie wierzył własnym oczom. Pobiegł ku niej, po czym stanął jak wryty, a jego ulga przeszła w podszytą rozpaczą panikę.

Obok dziewczyny, nonszalancko trzymając ją za łokieć, kroczył wielki inkwizytor

Goth.

POJMANIE

Alyssa patrzyła prosto na Tora, lecz zdawała się go nie widzieć. Inaczej rzecz się miała z Gothem.

- Nie próbuj żadnych sztuczek, Gynt - odezwał się swoim wstrętnym głosem. - Wokół jest dwudziestu pięciu ludzi gotowych w każdej chwili podziurawić strzałami ciebie, twoją dziwkę, a nawet tego durnego osła.

Zachichotał obleśnie.

- Czego chcesz, Goth?

- Och, czyżbyś nie wiedział? Przepraszam, zapominam o dobrym wychowaniu.

Kapitanie Herek, proszę...

Z domu wyszedł kapitan gwardii królewskiej Herek. Tor dobrze go pamiętał.

Ciekawe, czy mają tam w środku całą armię - mruknął Cloot.

Gdzie jesteś? - zapytał Tor, nie spuszczać wzroku ze stojącej pokornie obok inkwizytora Alyssy. Zauważył, że Goth szepcze coś do kapitana.

Niedaleko.

Nie pokazuj się. Musisz być moimi oczami.

Pozwolił Barwom wypłynąć na powierzchnię. Z nimi czuł się bezpiecznie.

Podszedł do niego kapitan Herek, porządny człowiek i dobry żołnierz, o którym Cyrus miał jak najlepsze zdanie. Stał tak, by Goth go nie słyszał ani nie widział twarzy Tora. Mówił krótko.

- Mam dopilnować, abyś został bezpiecznie przewieziony do Tal. Takie są rozkazy króla. Podporządkuj się, proszę, żeby nie dać temu zgniłkowi za moimi plecami pretekstu do skrzywdzenia ciebie lub kobiety.

Tor myślał szybko. Jeśli żołnierze mogli ich ochronić, warto było wrócić do Tal cało i mieć okazję do rozmowy z Lorysem. W ciągu kilku sekund przez głowę przebiegły mu różne szalone pomysły, od błagania o zmiłowanie po ucieczkę. W końcu skinął głową i żołnierz odsunął się na bok.

Z kryjówek wokół domu zaczęli wychodzić inni wojskowi. Tor był wściekły na siebie

za to, że nie wyczuł ich obecności. Kapitan Herek ogłaszał jego pojmanie w imieniu króla i królestwa Tallinom, on jednak nie słuchał. Było mu już wszystko jedno.

Kythay odchodzi - rzekł cicho Clout. - Idzie z powrotem w kierunku, z którego przyszliśmy.

Nie zatrzymują go?

Nikt nie zwraca na niego uwagi.

Ma z sobą książki? - zapytał z niepokojem Tor.

Tak.

Zauważył, że Goth zmierza ku niemu, prowadząc Alyssę. Żołnierze tymczasem zaczęli się szykować do wymarszu. Tor usłyszał jeszcze, jak Herek mówi coś o przyprowadzeniu koni, a potem stanął oko w oko z diabłem.

- Nie przywitacie się? - zapytał beztrąsko Goth. - Mogę się mylić, ale wygląda na to, że Alyssa niedawno urodziła. Czy ty się aby nie prosisz o śmierć, Gynt? Nietykalna ucieka z królewskim medykiem i zachodzi w ciążę. Świetna rzecz. Nie mogę się doczekać reakcji Lorysa.

Krew zawrzała w Torze. Barwy zapłonęły.

Nie, Tor - powstrzymał go sokół. - Herek ma rację. Powrót daje ci jakąś szansę.

Torowi zaschło w gardle, gdy spoczął na nim wzrok Alyssy. Miała przytomne spojrzenie, ale w jej oczach nie było dawnej jasności.

- Gdzie moje dziecko?

Przełknął ślinę. W obliczu zagrożenia kłamstwo gładko przeszło mu przez usta.

- Nasz syn nie żyje. Poród był ciężki i chłopiec zmarł prawie natychmiast.

- Och, cóż za nieszczęście, droga Alyssy! Mówiłem ci, że znaleźliśmy martwe niemowlę, ale nie chciałaś wierzyć - błaznował Goth obrzydliwie słodkim głosem. - Przykra sprawa. Dobrze, że tobie udało się przeżyć.

Zniosła to mężnie.

- Wolałabym być martwa - powiedziała, patrząc na Tora.

To były ostatnie słowa, jakie do niego wypowiedziała, nim został stracony.

*

Powrót do stolicy zajął im aż sześć dni. W tym czasie jedynie żołnierze odnosili się do Tora w cywilizowany sposób. Mieli dobrą pamięć i nie zapomnieli opowieści marszałka Cyrusa o tym, jak Torkyn Gynt uratował mu życie. Już choćby za to traktowali Tora z szacunkiem, gdy tylko mieli ku temu okazję.

Alyssa sztywno jechała przodem z ludźmi Gotha. Raz czy dwa wielki inkwizytor

zmusił ją nawet do towarzyszenia sobie, choć męczyło to konia, i Tor z rozpaczą uświadamiał sobie, że Goth miał wówczas sposobność dotykania dziewczyny i szeptania jej do ucha nikczemnych słów. Ona jednak nie reagowała. Tor ani razu nie widział, by wyrzekła do swoich strażników chociaż jedno słowo. Dzięki temu kamiennemu milczeniu mimo pokrwawionej odzieży i mizernego wyglądu udało jej się jakoś wytworzyć wokół siebie aurę dostojeństwa.

Jedną rzecz powstrzymywała Tora przed uwolnieniem Barw: zaskakujący powrót Lys, która znów zaczęła nawiedzać go w snach i wymogła na nim obietnicę, że pod żadnym pozorem nie zdradzi się z tym, że posiada magiczną moc. Z wyjątkiem Alyssy nikt w tym gronie nie wiedział o jego talentach; Goth nadal sądził, iż to ona w jakiś sposób jest odpowiedzialna za wydarzenia, których świadkiem był w noc Czabby.

Inkwizytor nie potrafił oczywiście wyjaśnić tego, co się stało, ale nienawidził Nietykalnych i niewiele potrzebował, by przekonać siebie, że pomagał jej ktoś obdarzony większą mocą. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że mógł to być Gynt. I choć niepokoił go fakt, iż jego kamień skanujący nie pomógł w wykryciu winnego, inkwizytor wciąż ślepo wierzył, że jest niepokonany.

Torowi śniło się, że spaceruje po Sercu Lasu w towarzystwie Lys, której jednak, podobnie jak przedtem, nie widział.

Co on miał na myśli, mówiąc o martwym niemowlęciu? - zapytał ją.

To sztuczka. Przepraszam, że cię wystraszyłam.

Wieść o podstępie ucieszyła go. To mogło mu ułatwić obronę w pałacu. W głowie powoli układał mu się plan.

Tor, czy pamiętasz ostrzeżenie Darmuda Corila, że czeka cię jeszcze wiele przeszkód i bólu?

Westchnął potakująco.

Masz przed sobą długą podróż. Musisz mi zaufać. Nie zawiodę cię. Zdasz się na mnie? Będziesz posłuszny moim instrukcjom?

A czy mam wybór? - zapytał gniewnie.

Oczywiście.

A jeśli odmówię?

Zginą niewinni. Ziemia zostanie zniszczona. Serce Lasu przestanie bić. A paladynowie, którzy walczyli przez wieki, przegrają.

I to wszystko przeze mnie - powiedział, tym razem z drwiną.

Miał nadzieję, że sprowokuje Lys, ale jej głos nawet nie zadrżał.

Wszystko, co robimy, robimy przez ciebie i dla ciebie. Jesteś Wybrańcem.

Czy to z powodu Gotha Darmud Coril prosił mnie o przebaczenie? - Tor zmienił temat, niezadowolony z kierunku, w którym zmierzała rozmowa.

Przecież już się o tym przekonałeś - odparła cierpliwie.

A więc ułatwił Gothowi znalezienie nas?

Można tak powiedzieć.

Dlaczego, Lys? Dlaczego Serce Lasu miałoby się od nas odwrócić?

Zrobiło, co w jego mocy, by ocalić wasze dzieci. To była słuszna decyzja. Musisz nam zaufać. - Po czym dodała z naciskiem: *- Pewne rzeczy muszą się wydarzyć, aby Trójca zwyciężyła.*

Cmoknął z niesmakiem.

Kiedy się dowiem, czym jest ta słynna Trójca?

W trakcie swojej wędrówki, Tor.

Odwiedzała go co noc i wciąż rozmawiali na ten sam temat. Lys była nieubłagana. Nie pozwalała mu używać mocy, cokolwiek by się działo. Gdy w końcu dotarli do wiosek otaczających Tal, Tor miał już serdecznie dość jej żądań. Nie mógł spać po nocach, a dni nie dawały mu ukojenia.

Na obrzeżach stolicy spotkali się z nowym kontyngentem żołnierzy wysłanym, by odprowadzić więźniów do pałacu. Goth postarał się, żeby przeprowadzono ich przez całe miasto, jakby stanowili jego trofea. Tor dostrzegł szok na twarzach mijanych mieszkańców: był tak znany, że wieść rozniosła się lotem błyskawicy i wkrótce za eskortującym go wojskiem ciągnął się tłum gapiów.

Gdy weszli przez pałacową bramę, Goth triumfalnie wjechał na dziedziniec. Król Lorys i królowa Nyria stali na schodach w oficjalnych strojach, ze wszystkimi insygniami władzy. Podobnie jak podczas pożegnania Lorys nie potrafił spojrzeć Torowi w oczy. Nyria usiłowała ukryć swoje uczucia, zaciskając pięści pod osłoną długich rękawów, ale Tor dostrzegł jej zakłopotanie i zamierzał je wykorzystać.

Po pobieżnym zerknięciu na Alyssę Nyria zażądała, by dziewczynę natychmiast zaprowadzono do pokoju. Tora wkrótce odesłano do celi, gdzie miał oczekiwać na widzenie z Lorysem; nim jednak to nastąpiło, zdążył rzucić okiem w kierunku zachodniego skrzydła. Jego sokoli wzrok ułowił Merkhuda wyglądającego z okna najwyższej komnaty. Większość ludzi w ogóle by go nie dostrzegła; Tor zdołał odczytać malujący się na twarzy medyka wyraz rozpacz.

Zdumiał się, gdy do maleńkiej wieżyczki, w której go trzymano, wpadła królowa. Wcześniej łaskawie pozwolono mu się umyć i przebrać w czyste ubranie. Nyria zażądała, by pozostawiono ich samych.

- Głupcze! - krzyknęła na niego, gdy strażnicy odeszli.

- Pani, ja...

- Mogłeś mieć każdą kobietę, jakiej zapragnąłeś, a wybrałeś Nietykalną! - wyrzucała mu.

Spuścił głowę i pozwolił jej wyładować gniew.

- Lorys usiłował mi tego zabronić, ale muszę się dowiedzieć, co cię skłoniło do odrzucenia wygodnego życia dla tej niepozornej, choć, przyznaję, pięknej dziewczyny.

Otworzył usta, by się odezwać, ale ona mówiła dalej:

- Do tego moje dworki szepczą, że krew na jej spódnicy pochodzi z powodu. Powiedz mi, że to nieprawda, Tor! Moje serce by tego nie zniosło.

- Gdzie jest Merkhud, wasza wysokość? - zapytał ochryple.

- Odpowiedz mi, do diabła! - Oczy Nyrii zaszyły łzami, ale opanowała się, mierząc go wzrokiem.

Chwilę studiował jej twarz, po czym wskazał gestem niewygodne krzesło. Gdy usiadła, opowiedział jej o swojej miłości do Alyssy. Mówił o przyjaźni z dzieciństwa i o tym, jak zostali parą, marzącą o połączeniu się węzłem małżeńskim; o tym, że nagle rozdzielili ich wyjazd Tora do pałacu i stracili z sobą kontakt. Twarz królowej złagodniała, gdy opowiadał o latach katuszy, które cierpiał, nie wiedząc, co się dzieje z Alyssą; o tym, że kochał swoją pracę i otaczających go ludzi, lecz opłakiwał utraconą miłość i szukał ukojenia w ramionach innych kobiet, które jednak nie mogły mu dać tego, co dawała ta jedyna.

Nyria nie mogła wyjść z podziwu, gdy relacjonował niecodzienne okoliczności swojego ponownego spotkania z Alyssą. Opowiadał o tym, jak się dowiedział, iż uciekając przed inkwizytorami, dziewczyna najpierw ukryła się w cyrku, a potem w Akademii. Gdy mówił o gwałcie, na twarzy królowej znów odmalowało się napięcie. Nyria nienawidziła Gotha.

Tor wstał i począł chodzić po celi, opowiadając o szczęściu, jakim było dla niego ponowne połączenie się z Alyssą, i o tym, że pozostał z nią mimo świadomości konsekwencji grożących za miłość do Nietykalnej. Nie planowali wspólnego życia. Ich zniknięcie zostało wymuszone ponownym pojawieniem się Gotha, który nadal czyhał na dziewczynę.

- Cóż miałem robić, wasza wysokość?

- Może poprosić nas o pomoc, Tor? - zasugerowała.

- Brakowało czasu. Alyssa była przerażona. Uciekliśmy do lasu i odkryliśmy, że jest to przyjazne miejsce. Żyliśmy tam samotnie, skromnie i w miłości.

Nyria uśmiechnęła się na dźwięk ostatnich słów Tora. Był to szczerzy uśmiech, lecz kryła się pod nim pułapka. Właśnie wtedy, gdy Tor zaczynał się czuć swobodniej, królowa wypowiedziała zdanie, które przeszło mu serce jak sztylet.

- Podobno przenieśliście się do lasu dzięki potężnej mocy, Tor. - Przyglądała mu się badawczo. Nie zapomniała o swoim cudownym uleczeniu.

Tor milczał przez chwilę, zastanawiając się, co robić. Mógł nadal kłamać albo też zdradzić część prawdy i przeciągnąć królową na swoją stronę. Czuł, że może jej ufać. Nie miał zresztą nic do stracenia. Zaryzykował.

- Wasza wysokość - rzekł, przyklękając na jedno kolano - nie będę kłamał. Jestem Obdarzonym.

Na dźwięk tych słów oczy Nyrii zabłyśły. Zaczęła coś mówić, ale Tor jej przerwał. Jeszcze nie skończył.

- Jakakolwiek będzie kara, poniosę ją sam. Od samego początku to ja uwodziłem Alysę, a ona się opierała. Jestem pewien, że siostra Iris to potwierdzi. Długo przebywaliśmy z dala od siebie. W tym czasie Alyssa nauczyła się szacunku i miłości dla życia wśród sióstr. Jedynym jej grzechem, pani, jest to, że od dzieciństwa mnie kochała. Nie szukała mnie jednak. Jedynym powodem, dla którego zgodziła się ze mną pójść, był strach przed inkwizytorami.

Świetnie. Zrobił, co trzeba. Teraz liczył na to, że dzięki przyjaźni królowej ocali Alysę.

Nyria położyła rękę na pochylonym czole więźnia.

- Wiem, jak to jest kochać kogoś całym swoim jestestwem. W odróżnieniu od Lorysa nie obawiam się mocy twojej ani podobnych tobie. Jakżeby mogła? Zawdzięczam ci życie. Poczułam dotyk magii i było mi z tym cudownie. - Wstała. - Będę strzec tego sekretu, Torze. I wstawię się za twoją ukochaną. Jednak twój los zależy wyłącznie od króla.

Wciąż klęcząc, Tor ujął jej szczupłą dłoń i ucałował.

- O nic więcej nie proszę. Jesteś miłościwa, pani.

- Stawiam jeden warunek.

- Zrobię, co będzie trzeba, by ocalić Alysę.

- Nie wolno ci użyć mocy przeciwko Tal. Wydam jednemu z dworzan polecenie natychmiastowego stracenia Alyssy, jeśli tylko podniesiesz rękę na Lorysa lub mieszkańców stolicy. Nie dotyczy to wielkiego inkwizytora. Z nim możesz zrobić najgorszą rzecz, jaka ci

przyjdzie do głowy - zakończyła posepnie.

- Cóż za bezwzględność, wasza wysokość - wyszeptał z podziwem.

- Nie zapominaj, że jestem królową, Tor. Służę swojemu królowi i królestwu. Pamiętaj także, że kocham Lorysa równie mocno, jak ty Alyssę, i zrobię wszystko, co w mojej skromnej mocy, by go ochronić. A zatem umowa stoi? Ostrzegam, że nie będziesz wiedział, komu przekazałam instrukcje. Musiałbyś zabić nas wszystkich, by mieć pewność, że Alyssa jest bezpieczna.

- Masz moje słowo, pani - rzekł.

To wystarczyło Nyrii.

- A wasze dziecko? - zapytała łagodnie.

- Zmarło, wasza wysokość. - Kłamstwo zabrzmiało tym razem tak prawdziwie, że sam niemal w nie uwierzył.

Nyria uściśnęła dłoń swojego uzdrowiciela.

- Może tak jest najlepiej - powiedziała.

Potem w milczeniu opuściła celę.

Godziny płynęły powoli. Życie na dziedzińcu toczyło się jak dawniej, mimo czternastomiesięcznej mniej więcej nieobecności Tora w mieście. Widział żołnierzy zmieniających się na warcie, giermków biegających w tę i w tę jak pracowite mrówki, spocone pomoce kuchenne, które odchodziły od gorących pieców, by się napić z zamkowej studni; raz nawet dostrzegł przemaszerowującego przez dziedziniec z właściwą sobie pompatycznością i arogancją Gotha. Wielki inkwizytor podniósł wzrok i zauważył Tora. Twarz więźnia stężała. Goth jedynie uśmiechnął się szyderczo.

W końcu w głowie Tora odezwał się oczekiwany od chwili powrotu głos. Więzień natychmiast rozpoznał unikalny charakter łącza.

Nie wolno mi się z tobą widywać - oznajmił Merkhud, nie siląc się na serdeczne powitanie.

Mamy przynajmniej to.

Przez chwilę panowała cisza. Wypełnił ją Tor, biorąc na siebie ciężar prowadzenia rozmowy.

Sorrel została w lesie. Nie wiem, co się z nią stało, gdy przybyli inkwizytorzy.

Opowiadał ostatnie wydarzenia beznamiętnym tonem, wiedząc jednak, że rani Merkhuda. Robił to celowo. Spodziewał się wykrętnej odpowiedzi, zaprzeczania, jakoby Merkhud i Sorrel w ogóle się znali.

Nie rozumiem tego. Od tygodnia nie mogę się z nią skontaktować - odparł smutno

starzec.

Tor obliczył w myślach, że rozstał się z Sorrel dokładnie tydzień temu.

Co powiedziała Nyria?

A zatem Merkhud śledził bieg wypadków, nawet jeśli sam tym razem nie brał w nich udziału.

Że wstawi się za Alyssą u Lorysa. Ty oczywiście wiedziałeś o jej obecności w Caremboche, gdy mnie tam wysyłałeś. - To nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

Tak. Miałem nadzieję, że znów będziecie razem - odparł Merkhud zagadkowym tonem.

Wiem o Orłacu, Merkhudzie. Jestem zaprzyjaźniony z pięciorgiem paladynów. Opowiedz mi o Trójcy - zażądał ochryple Tor.

Tym razem głos starca drżał z niepokoju.

Kto ci powiedział?

Nieważne. Czas pracuje na naszą niekorzyść. Mów.

Merkhud nie był na to gotów, ale wszystkie plany mu się sypały. Sorrel zniknęła i nie dawała znaku życia. Tor był więźniem. Spośród paladynów tylko Themesius i Figgis nadal strzegli Orłaca. Jeszcze trochę i bóg się oswobodzi, a oni nawet się nie zbliżyli do rozwiązania zagadki Trójcy. Musiał zdradzić Torowi wszystko, co wiedział.

Zaczął opowiadać historię, która rozpoczęła się wiele wieków wcześniej. Tor siedział w milczeniu, z głową wspartą na rękach, a starzec mówił o niemowlęciu sprzedanym młodemu, obdarzonemu mocą i rozpaczającemu po stracie nowo narodzonego syna mężczyźnie.

ROZPRAWA

Tora eskortowało sześciu gwardzistów królewskich.

- Nie patrz na Gotha - szepnął przez zaciśnięte zęby idący obok kapitan Herek. - Zrobi wszystko, by ukryć swoje prawdziwe motywy.

Goth nie miał przyjaciół w straży.

Gdy otwarto drzwi sali tronowej, Tor, który podczas swego życia w pałacu wielokrotnie przemierzał to obszerne pomieszczenie, nagle poczuł strach. Wcześniej zdołał zebrać w sobie siłę potrzebną, by stanąć przed władcą i wytłumaczyć się. Szedł wyprostowany, a nawet z pewną butą, wiedząc, że będzie mówił elokwentnie i znajdzie właściwe argumenty. Teraz jednak, na widok wypełniających salę posępnych twarzy, z których wiele rozpoznawał, po raz pierwszy zaczął się obawiać o swoje życie. Chyba nie takie plany miała wobec niego Lys? Chwyając się tej myśli i przekonując siebie, że przeznaczyła mu jakieś ważniejsze zadanie, Tor powiódł wzrokiem po znajomych twarzach. Większość odwracała spojrzenie. Jego jednak interesowała tylko Alyssa.

Siedziała wyprostowana i spokojna w pobliżu okna, przez które wpadało słońce, oświetlając jedną połowę nieruchomej, pozbawionej wyrazu, pięknej twarzy. Serce zabiło mu mocniej na jej widok; zapragnął raz jeszcze ją przytulić i powiedzieć, że ją kocha i że przeprasza. Instynktownie otworzył łącze i rzucił impuls. Nic. Archalit powrócił na swoje miejsce i bronił mu dostępu. Alyssa jednak spojrzała na niego i wiedział, że coś poczuła; choćby tylko lekkie drgnienie.

Z oczu dziewczyny zniknął wyraz rozmarzenia. Były teraz przytomne i patrzyły na niego. Nie oszukiwał się, że jest w nich miłość - raczej odwzajemniona rozpacz. Podobnie jak on Alyssa poczuła unoszącą się w sali atmosferę beznadziei.

Herek dotknął łokcia Tora, wrywając więźnia z zamyślenia. Poproszono go o podejście przed tron. Ich wysokości jeszcze się nie pojawiły, ale rosnący tłum powoli zaczynał się uciszać. Tor zauważył plamę purpury. To Goth, a obok jego prawa ręka, równie podły jak wielki inkwizytor - Rhus. Był też Merkhud, siedzący w cieniu i odwrócony tyłem do Tora. Łącze jednak otworzyło się bez trudu.

Masz dość odwagi?

Miałem - odparł Tor - *dopóki jej nie zobaczyłem.*

Starzec zmarszczył czoło.

Jak tylko ten teatr się skończy, musimy pogadać. Niezależnie od tego, jak się rozwiną wypadki, nie mów nic, czego nie przedyskutowaliśmy.

Znowu tkasz swoją pajęczynę, Merkhudzie? - Tor był zdumiony, że w takiej chwili zebrало mu się na żarty. Niecierpliwil się; chciał, żeby to wszystko skończyło się jak najszybciej.

Miałem tej nocy dziwny sen, Tor - rzekł Merkhud, ignorując jego uwagę. - *Odwiedziła mnie jakaś kobieta.*

Nazywa się Lys.

Lys? - Starzec wzruszył ramionami. - *Nie mam pojęcia. Szeptala mi różne rzeczy. Wiesz, co to jest Przeniesienie?*

Nie.

Właśnie dlatego musimy porozmawiać.

Więcej nie zdołali powiedzieć, ponieważ w tej właśnie chwili heroldowie dali sygnał i wszyscy wstali. Ze znajdujących się za podium drzwi wyszła para królewska, by zasiąść na swoich tronach. Oczy Nyrii pobiegły ku Torowi; było w nich błaganie o siłę.

Lorys sztywno usadowił się na wielkim tronie, na którym przedtem zasiadali jego przodkowie. Zgromadzona szlachta i wysocy rangą dworzanie powrócili na swoje miejsca. Gdy odgłosy kaszlu, szurania, chrząkania i tym podobnych rzeczy ucichły, król odwrócił się i skinął głową na Gotha.

Był to moment, w którym spełniły się marzenia inkwizytora. Zwykle jego publiczność stanowili wieśniacy; w najlepszym wypadku kupcy, handlarze win, sklepikarze, od czasu do czasu jakiś oberżysta lub bogaty właściciel burdelu. Tym razem było inaczej: miał przed sobą widownię, jakiej pragnął. Musi podziękować Gyntowi za tę nagrodę.

Dobrze się przygotował, spojrzal jednak na fantazyjnie złocony sufit i zrobił długą pauzę, udając, że szuka właściwych słów. Potem, jakby z żalem, że przyszło mu wypełniać tak niewdzięczne zadanie, zaczął zapewniać zgromadzonych o potworności zbrodni więźnia.

- *Panie* - rzekł, kłaniając się Lorysowi. - *Wasza miłość* - kontynuował, pochylając kurtuazyjnie głowę przed Nyrią, lecz wymawiając te słowa w sposób zgoła niekurtuazyjny. - *Zebraliśmy się tu w celu spełnienia bolesnego obowiązku osądzenia jednego z nas. Jest to potworna historia zdradzonego zaufania, nadużycia przyznanej przez dwór w dobrej wierze władzy oraz pożądania młodego człowieka, który wyrwał się spod kontroli.*

Przerwał, by napić się wody i poczekać, aż wygłoszony wstęp przeniknie do umysłów słuchaczy.

- Torkyn Gynt - mówił dalej Goth - został przyjęty do pałacowej społeczności ponad sześć lat temu jako uczeń czcigodnego medyka królewskiego Merkhuda. - Po tych słowach inkwizytor skłonił się starcowi, ten zaś go zignorował. - Nie ulega wątpliwości, milordzie, że chłopak miał talent. Torkyn Gynt był, i nadal jest, niezmiernie uzdolnionym uzdrowicielem i pojętym uczniem. Nasza ukochana królowa na własnej skórze doświadczyła jego ożywczego dotyku w sytuacji, w której większość lekarzy wzywałaby już mnie, bym udzielił ostatniego namaszczenia.

- Uśmiechnął się groteskowo połową twarzy. - Gynt przez lata cieszył się przywilejami, stanowiskiem i przychylnością naszych miłościwych władców. - Goth zauważył, że Lorys kiwa głową.

Ucieszyło go to. - Gdy królowa chorowała, a doktor Merkhud był zbyt słaby, by ruszyć w podróż, zaproponował, by to Gynt udał się zamiast niego na odbywający się co dziesięć lat festiwal Czabba jako przedstawiciel rodziny królewskiej. Przełożony Gynta pouczył go, jak wielka spoczywa na nim odpowiedzialność, mój panie, oraz zdecydowanie zakazał wchodzenia w bliższe stosunki z członkiniami Akademii. - Goth ponownie wziął łyk wody, patrząc na Tora. - Wasze wysokości, uważam, że medyk Gynt świadomie, czynnie i bez poszanowania dla świętości tych kobiet zignorował pradawne, nienaruszalne prawo. Musi ponieść karę.

Nadał się i zwrócił twarz ku królowi. W sali panowała cisza; tylko przez jedno z okien dobiegał trzepot skrzydeł sokoła.

Lorys celowo pomilczał chwilę, po czym rzekł:

- A co z kobietą znaną nam jako Alyssandra Qyn, lordzie Goth? Jaką karę pan dla niej przewidział?

- Jak każda Obdarzona musi zostać poddana ujarzmieniu. Obawiam się, że po przespaniu się z mężczyzną utraciła status Nietykanej.

Goth nie mógł się doczekać widoku Alyssy rzuconej przed nim na kolana, w nabitej archalitem matowej uździe na głowie.

- A jeśli ów akt odbył się wbrew jej woli, wielki inkwizytorze?

- Spędziła w lesie ponad dziesięć miesięcy, królu. Tak zwykle nie postępują osoby rozpaczliwie pragnące uciec. - Goth zachichotał i powiodł spojrzeniem po widowni w nadziei, że inni się przyłączą, ale uczynił to jedynie Rhus.

Merkhud wstał i wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

- Wasze wysokości. - Skłonił się zgodnie z protokołem. - Czy mogę podejść?

- Oczywiście, doktorze Merkhud. Chciałbym wysłuchać pańskiej opinii na ten temat - odparł Lorys z wyraźną ulgą.

Merkhud skinął głową i zabrał głos. Goth niechętnie ustąpił mu miejsca.

Zaufaj mi Tor. Nie używaj mocy. Wiem, co robię - rzucił stary medyk, nim zwrócił się do zgromadzonych.

Zaufaj mu - szepnął Cloot. - *Lys przez niego przemawia* - dodał enigmatycznie.

Merkhud w zamyśleniu przygładził wąsy i rozpoczął przemówienie:

- Istotnie pouczyłem młodszego medyka Gynta, jak ma się zachowywać podczas pobytu w Caremboche. Zrozumiał moje słowa. Potwierdził to dwukrotnie w mojej obecności.

Nyria wyglądała na roztrzęsioną. Spodziewała się po Merkhudzie obrony, nie ataku.

- Podejrzewam, że ta dziewczyna została uwiedziona przez elokwentnego i sprytnego podrywacza. Jego sukcesy u płci pięknej są legendarne i trudno się temu dziwić. Sądzę, że każdy mężczyzna na tej sali przyzna, iż jest to czarujący i ujmujący młodzieniec, a każda kobieta myśli, że gdyby miała o dziesięć lat mniej...

- Począł, aż umilknie echo jego głosu, wzruszył ramionami, po czym usłyszał ze strony publiczności kilka chichotów, na które czekał.

Twarz Gotha pociemniała. Nie tak to sobie zaplanował.

- Alyssandra Qyn jest młoda i wrażliwa, nie potrafiła sobie poradzić ze sztuczkami czarującego mężczyzny, będącego zarazem honorowym gościem, przedstawicielem dworu i człowiekiem, którego z polecenia sióstr miała zabawiać najlepiej, jak potrafiła. Przypuszczam, że jeśli zapytamy o to młodszego medyka Gynta, sam przyzna, że uwiódł dziewczynę. Nie jest ona zatem współwinną, lecz ofiarą.

Nyria miała ochotę klaskać. Ten stary łobuz świetnie to rozegrał. Początkowo zaniepokojona jego postawą, teraz czuła się pokrzepiona, widząc, że Lorys kiwa głową.

Król dał znak Herekowi i Alyssa została przywiedziona przed jego oblicze.

Po raz pierwszy miał okazję dobrze jej się przyjrzeć. Gdy ją poprzednio widział, była brudna, rozczochrana i niezbyt przytomna. Teraz dumnie stanęła naprzeciw niego, z błyszczącymi włosami, w prostej, lecz zgrabnej jasnozielonej tunice, którą musiała jej pożyczyć jakaś dobra duszyczka z pałacu. To wystarczyło, by wydobyć całą urodę dziewczyny. Była niezwykłą piękną i Lorysowi zaschło w gardle od samego widoku tych spoglądających nań wojowniczo oczu.

Tor wyczytał to z jego twarzy; Nyria także. Był to jeden z nielicznych przypadków w życiu Lorysa, kiedy zaskoczyła go kobieta. W obliczu nagłego pożądania rozsądek zszedł na

dalszy plan.

Herek chrząknął cicho i król uświadomił sobie, że gapi się na dziewczynę.

- Co pani na to? - zapytał łagodnie i odkaszlnął, by ukryć zażenowanie.

Alyssa nie wahała się.

- Nie mam nic do powiedzenia człowiekowi o takiej władzy, który tyranizuje bezbronnych ludzi, będących w dodatku jego wiernymi poddanymi, zachęca do ich torturowania i sankcjonuje zabijanie tylko dlatego, że są obdarzeni mocą. Niech pan zrobi z nami, co zechce. Wygląda zresztą na to, że to pański wielki inkwizytor tu rządzi zamiast pana, wasza wysokość.

W tłumie zawrzało. Zdrada, wydawały się mówić twarze ludzi. Sam Lorys na moment zapomniał języka w gębie, oszołomiony oskarżeniem Alyssy, ale przede wszystkim jej odwagą. Zdążył się już otrząsnąć z zachwyty nad jej urodą - choć zdawał sobie sprawę, że dla kogoś takiego mężczyźni są zdolni do niebezpiecznych czynów - i teraz na odmianę był porażony jej siłą. Nie mógł pozwolić, by tę kobietę zakuto w uzdę i zesłano w jakieś odległe miejsce.

Uniósł rękę i w sali natychmiast zapanował spokój.

- Rzuca pani niebezpieczne oskarżenia.

- Nie mam nic do stracenia, wasza królewska mość. Jeśli pan sądzi, że boję się śmierci, myli się pan. Wolę umrzeć, niż pozostać przy życiu po stracie ukochanego mężczyzny i dziecka. A jeśli pan myśli, że obawiam się o swoją wolność, pańska purpurowa ropucha już dawno mi ją odebrała.

Była to zawołowana aluzja, zrozumiała jedynie dla tych nielicznych którzy wiedzieli o gwałcie.

- Proszę mówić jaśniej, młoda damo - zażyczył sobie król.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. - Po tych słowach Alyssa skłoniła się parze królewskiej i beczelnie wróciła na swoje miejsce przy oknie.

Jej postępek wywołał kolejną falę szeptów i szmerów, z których większość wyrażała podziw, że ktoś ośmielił się rzucić wyzwanie Lorysowi.

Król przyglądał brodę. Bez wątplenia znalazł się z trudnej sytuacji. Skoro dziewczyna nie chciała otwarcie powiedzieć tego, co wydawała się sugerować, jak mógł ją ocalić od kary?

Podczas gdy król rozmyślał, Cloot połączył się z Torem.

Mają Saxona!

Aresztowali go? - Tor rozpaczliwie liczył na to, że Saxonowi uda się uniknąć niewoli.

Nie. Herek zostawił w lesie kilku ludzi, by go znaleźli. Myślę, że wyjdzie to Alyssie na

dobrze. Kapitan zamierza spróbować sztuczki, która może pogrzebać szanse Gotha na dostanie jej w swoje ręce.

Inkwizytor wyczuł niezdecydowanie króla i pospieszył przywracać równowagę, która w ostatnich minutach zachwiała się na jego niekorzyść; został jednak powstrzymany przez Tora, który nagle wstał.

- Królu, chciałbym powiedzieć coś, co może ci ułatwić ocenę roli Alyssy i wyjaśnić, po co w ogóle schroniła się ona pod skrzydłami Akademii.

- Mów - rzekł król, poprawiając się na tronie i kręcąc głową w kierunku Gotha, który kipiał z wściekłości.

- Tylko ja ponoszę winę za tę sytuację, panie. Przyznaję bezwzględnie, że uwiodłem Alyssandrę Qyn pomimo wszelkich ostrzeżeń. To, że się kochamy, nie ma tu nic do rzeczy.

Gdyby w tym momencie ktoś w sali tronowej upuścił na podłogę igłę, usłyszeli by to wszyscy.

- Zdradziła mi tajemnicę, za której ujawnienie przed tymi zacnymi ludźmi z pewnością mnie znienawidzi. Ale, jak wszyscy już wiecie, nie jestem człowiekiem honorowym, więc bez wahania mogę wam to powiedzieć.

Zanim Alyssa została studentką Akademii i była jeszcze zwykłą wiejską dziewczyną, obdarzoną niewielką mocą, natknęła się we Fragglesham na wielkiego inkwizytora Gotha, który miał akurat ochotę się zabawić.

Goth ze wszystkich sił próbował przerwać Torowi, ale król najwyraźniej chciał usłyszeć resztę historii i nakazał mu gestem, by się nie wtrącał, po czym skinął na Tora, żeby kontynuował.

- We Fragglesham Goth najął ludzi, by porwali Alyssę. Zabrano ją do domu na obrzeżach miasta, gdzie inkwizytor rozebrał ją, torturował i zgwałcił.

W sali tronowej zapanował chaos. Ludzie zerwali się z miejsc. Żołnierze natychmiast otoczyli parę królewską, by nie dopuścić do ewentualnego wybuchu zamieszek.

- To jakiś absurd! - prychnął Goth. - Ten człowiek jest zbrodniarzem. Jak możesz wierzyć jego słowom, panie? Dziewczyna milczy. Nie ma świadków. Ten przestępca po prostu usiłuje się wybielić, żeby otrzymać łagodniejszą karę.

Tor zwrócił się wprost do Lorysa.

- A jeśli jest świadek, panie? - zapytał cicho. - Niezaangażowana strona, która potwierdzi nie moją opowieść, lecz słowa przerażonej młodej kobiety?

- Przyrowadź go! - zakrzyknął teatralnie Goth, wiedząc, że nikt, kto mógłby świadczyć przeciw niemu, nie pozostał przy życiu. Rhus był mu wiemy, a człowiek

nazwiskiem Dreli, który wtedy porwał Alysę, dawno już zmienił się w stertę kości. Rhus postarał się, by i on, i ludzie, którym Goth zapłacił za poprowadzenie Alyssy w złym kierunku po ucieczce z płonącego namiotu cyrkowego, opuścili ten świat.

Tor zerknął na Hereka, a ten rzucił mu spojrzenie przywodzące na myśl marszałka Cyrusa: kpiący uśmieszek, uniesiona brew. Skąd chłopak wiedział o Kloeku? Odnalezienie go było mistrzowskim posunięciem, a namówienie do przyjazdu do Tal, gdzie znajdowała się dziewczyna, nie nastręczyło trudności. Herek nie miał pojęcia, jaki jest związek Saxona z tą historią; wiedział jedynie, że ten człowiek łąknie krwi Gotha. Przyprowadzić go, hm. Proszę bardzo. Herek skinął głową.

- Wasze wysokości, jest świadek! - głos Tora przebił się ponad wrzawą.

Gwar przycichł i ludzie ponownie zajęli miejsca, zafascynowani rozwojem wydarzeń. Król gestem nakazał przyrowadzenie świadka, kimkolwiek on był. Herek dał znak stojącym przy drzwiach żołnierzom.

Drzwi otworzyły się i do środka wkroczył potężny, złotowłosy mężczyzna rasy kloeckiej. Alyssa zerwała się na równe nogi, ale Tor błagał ją spojrzeniem, by nie okazywała emocji. To mogłoby zaszkodzić ich linii obrony. Pochwyciła jego spojrzenie i opanowała się.

- Kto to jest? - zapytał Lorys, patrząc na Gotha, który z kolei z otwartymi ustami wpatrywał się w Saxona. Tik wielkiego inkwizytora stał się bardziej widoczny, a ziemista cera nabrała upiornego wyrazu.

- Przecież cię okaleczyłem! - wykrzyknął piskliwie. - Wydłubałem ci oczy. Rzuciłem twój język psom. Kazałem cię zabić. Ty nie żyjesz!

Rhus poczuł pierwsze ukłucie strachu. Merkhud, Tor i Herek mieli ochotę się uśmiechnąć. Było lepiej, niż się spodziewali: Goth sam się pogryzał.

Saxon zignorował inkwizytora. Pozdrowił z szacunkiem króla, a następnie złożył kurtuazyjny ukłon królowej.

Coś zaświtało Nyrii w pamięci.

- Zaraz, zaraz - powiedziała, łamiąc protokół - pan jest Saxonem Lisem z Cyrku Zorros!

- Tak, wasza wysokość - odparł rozpromieniony Saxon, po czym przeniósł wzrok na Lorysa. - Jestem gotów dać świadectwo, panie.

- Mów! - rozkazał król.

- Goth kazał uprowadzić Alysę Qyn we wskazane przez siebie miejsce, w którym ją pobił i bezlitośnie zgwałcił. Wiem o tym, ponieważ znalazłem ich w noc pożaru w cyrku. Kiedy nakryłem go na gorącym uczynku, rozprawiłem się z nim.

- Stul pysk, parszywe kloecie ścierwo! - wrzasnął Goth.

Król zignorował wielkiego inkwizytora.

- W jaki sposób znalazł się pan na obrzeżach miasta? - zapytał Saxona.

- W trakcie pożaru uciekaliśmy w różnych kierunkach. Chwilę wcześniej wykonałem Lot z tą piękną kobietą, która wtedy była młodziutką dziewczyną. Być może wasza wysokość pamięta tę część przedstawienia, w której występuje z nami osoba spośród publiczności. Wybraliśmy właśnie ją. Później, uciekając przed ogniem, zauważyłem, jak ta sama dziewczyna wrywa się porywającemu ją jeźdźcowi, i poczułem, że powinienem ruszyć za nimi i przyjść jej z pomocą. Nie miałem jednak konia, więc zabrało mi to trochę czasu. - Saxon zamilkł gwałtownie.

- W jaki sposób rozprawił się pan z nim? - zapytał król.

- Wasza wysokość, proszę mi wybaczyć, że użyję prostych słów w tak zacnym towarzystwie. Skopałem go do nieprzytomności i tym oto ostrzem pozbawiłem możliwości dokonania kolejnego gwałtu. - Saxon wzruszył ramionami. - Być może należałoby poprosić wielkiego inkwizytora, by udowodnił, że kłamię.

Król wstał. Był teraz wściekły i czuł, że zrobiono z niego durnia. Goth zawiódł pokładane w nim zaufanie. Lorys obrócił się i wskazał palcem Alysę.

- Proszę to potwierdzić, a będzie pani wolna.

Ona także wstała.

- A Torkyn Gynt, wasza wysokość?

- Odpowiedz mi! - wrzasnął, niechętnie przyznając przed sobą, że pragnie tej kobiety. Kochał jej pasję i całkowity brak poszanowania dla władzy.

Saxon, Tor, nawet królowa - wszyscy patrzyli teraz na Alysę, wstrzymując oddech i zaklinając ją milcząco, by się ratowała.

Czuła ich presję. Pomyślała o swoim synu, gnijącym gdzieś w lesie. Przypomniała sobie pisma Nanaka i to, jak na wzmiankę o Orlacu dziecko poruszyło się w jej łonie. Miała do wykonania jakieś zadanie i z pewnością nie była nim śmierć ani ujarzmienie, jakiemu poddaje się zwykłych Obdarzonych. Skoncentrowała się na Torze i poczuła dotyk jego miłości. W tej chwili jeszcze bardziej niż zwykle nienawidziła Gotha i króla, który tak długo popierał jego działania. Nie miała wyjścia. Jej świadectwo bez wątpienia położy kres potędze inkwizytora.

- To prawda - rzekła wyraźnie, patrząc królowi w oczy.

Herek zdążył już polecić żołnierzom, by otoczyli obu inkwizytorów. Silne ręce unieruchomiły Gotha.

- Królu - wykrzyknął ten ponad wrzawą - ktoś musi się za nią wstawić. Nadal jest oskarżona o władanie magią. Potrzebuje poręczenia ze strony kogoś wysokiego rangą!

Goth wiedział, że jego los jest przypieczętowany, cieszył się jednak, że jeszcze raz zdołał wbić Torowi nóż w serce. Nikt nie mógł poręczyć za Alysę.

Król również to wiedział. Poczuł się bezradny. Goth istotnie był bardzo sprytny. Nawet w chwili skrajnego przerażenia znalazł chwyt, dzięki któremu tej pięknej kobiecie mogły zagrozić tortury, więzienie, może okaleczenie poprzez wypalenie piętna. Lorysowi opadły ręce.

- Wielki inkwizytor Goth ma rację. Starożytne prawo głosi, że za Obdarzonym musi się wstawić ktoś posiadający wyższą rangę niż oskarżający go członek inkwizycji. Goth jest najwyższym rangą urzędnikiem na tej sali z wyjątkiem mnie. Ja nie mogę poręczyć za tę kobietę, a zatem nikt nie może tego zrobić.

Na drgającej twarzy Gotha pojawił się triumfalny uśmiezek.

- Czyżby? - odezwała się Nyria. - Ja za nią poręcę. Mam wyższą pozycję niż ta kreatura, która teraz kuli się u naszych stóp, mój panie.

Na sali tronowej rozległ się aplauz. Swoją dumą i odwagą Alyssa już na początku procesu zdobyła sobie sympatię tłumu, a zatem zwycięstwo, które odniosła dzięki Nyrii, było też jego zwycięstwem. Niektórzy zaczęli nawet klaskać.

Królowa jednak nie skończyła jeszcze.

- Zdaje mi się, Lorysie, że starożytne prawo głosi, iż oskarżony, jeśli uda mu się otrzymać poręczenie, może wybrać karę dla oskarżyciela. Czy nie tak?

Król skinął głową.

- Alyssandro Qyn, zostaje pani uniewinniona ze wszystkich zarzutów. Ten człowiek popełnił przeciwko pani nieprzebaczalny grzech i ma pani prawo zdecydować o jego losie.

Wszystkie oczy były wlepione w Alysę. Gothowi nie pozwolono wstać z klęczek ani podnieść głowy. Chciał spojrzeć jej w oczy, przestraszyć ją i zmusić do uległości, jak zwykle czynił. Trząśł się z furii, wściekły, że nie wolno mu na nią patrzeć.

- Musi spłonąć - powiedziała Alyssa cicho i bez wahania. - Może płomienie, które ukształtowały go w dzieciństwie, oczyszczą jego zgniłą duszę.

- Tak się stanie - rzekł król. - Wyprowadzić go.

- Chwileczkę! - zaskrzeczał Goth. Miał w rękawie jeszcze jedną kartę. - A co z Gyntem, królu? Jaką karę on poniesie za odbywanie stosunków cielesnych z tą samą kobietą, o pożycie z którą mnie się oskarża? Żądam kary przewidzianej przez starożytny kodeks. Przyznał się do winy; wasza wysokość to słyszał. Musi zostać ukrzyżowany i ukamienowany.

Lorys ponownie znalazł się w pułapce. Gdyby mógł w tej chwili i w tym miejscu poderznąć Gothowi gardło, zrobiłby to. Od ponad dwóch dekad popierał barbarzyńskie prawo uchwalone przez swoich przodków. Teraz musiał wydać kolejny nieludzki wyrok na Torkyna Gynta, by nie skompromitować się jako władca. W przeciwnym razie rywale uznają go za słabego, gorzej - za hipokrytę.

- Wyprowadzić go - rzekł.

Goth został zaciągnięty do drzwi.

- Do zobaczenia na krzyżu, Gynt! - zawołał przez ramię do Tora.

- Ale ty najpierw spłoniesz! - odrzyknął tamten. Brzmiało to odważnie, w rzeczywistości jednak Tor był przerażony. Czuł, jak Barwy szaleją wokół niego. Merkhud też musiał poczuć emanującą z Tora moc, bo szybko połączył się z nim i błagał, by się opanował.

Pamiętaj o kobiecie z mojego snu, chłopcze.

Tor jednak nie myślał o Lys. Myślał o obietnicy złożonej Nyrii. Dał królowej słowo.

Gdy zamknięto drzwi za szamoczącym się inkwizytorem i jego poplecznikiem, w sali znów wybuchła wrzawa. Każdy chciał wyrazić swoje zdanie.

Lorys siedział w milczeniu, oszołomiony po raz drugi w ciągu tego samego dnia. Nyria łagodnie dotknęła jego ramienia i wbiła w niego wzrok.

- Nie możesz tego zrobić, Lorysie. Zabraniam ci. Błagam.

- Nie mam wyboru, Nyrio.

- Uniewinniasz obcą kobietę, a chcesz uśmiercić człowieka, którego od tak dawna znasz i lubisz? Lorysie, on uratował mi życie!

- Muszę przestrzegać prawa, które ustanowiłem w Tallinorze na cały czas mojego panowania. Goth ma rację. Jeśli teraz zlekceważę to prawo, ośmieszę siebie i swoje rządy. Taka jest smutna prawda.

Jego wzrok pobiegł bezwiednie ku stojącej przy oknie pięknej kobiecie. Patrzyła na niego pełnymi nienawiści oczyma.

- Smutna prawda? Lorysie, tu chodzi o życie porządnego człowieka!

Nyria była przerażona. Wiedziała, że ten wyraz twarzy męża, tak zaciśnięte szczęki, oznaczają nieodwołalność decyzji. Nic, co mogłaby teraz powiedzieć, nie przekonałoby go.

Odwróciła wzrok.

- Niech bogowie mają w opiece twoją duszę, Lorysie.

Gdy król wydawał wyrok śmierci na Torkyna Gynta, nikt z wyjątkiem samego więźnia nie potrafił mu spojrzeć w oczy.

GOŚCIE

To prawdopodobnie nasza ostatnia rozmowa - rzekł cicho Merkhud do Nanaka.

Brzmi to bardzo definitywnie, przyjacielu.

I tak jest. Pod warunkiem, że uda mi się osiągnąć potężną moc, potrzebną do Przeniesienia.

Słyszałem o nim - powiedział w zamyśleniu Nanak. - Ale nie znam nikogo, komu by się udało - dodał.

Muszę spróbować. To nasza ostatnia nadzieja. - Merkhud spróbował podnieść głos. - A co z pozostałymi?

Wciąż na posterunku, Merkhudzie. Themesius i Figgis są równie silni, jak zawsze.

A ty?

Rozmowa z tobą zaniepokoiła mnie, ale przedtem byłem w dobrym nastroju.

Opowiedz o tym. Potrzebuję pocieszenia - rzekł z westchnieniem Merkhud.

Odwiedziła mnie Patronka. Wciąż drzę na myśl o tym zaszczycie.

Merkhud zmarszczył brwi na dźwięk rozradowanego głosu Nanaka.

Patronka? Któż to taki?

Jak to kto? Lys!

Medyk usłyszał kroki.

Muszę kończyć, Nanaku. Nie wiem, czy będę jeszcze miał okazję porozmawiać z tobą.

Tak, już mi to mówiłeś.

Trzeba ci wiedzieć - rzekł pospiesznie Merkhud, czekając na nieuchronne pukanie do drzwi - że i mnie odwiedziła.

Na krótką chwilę zapanowała cisza.

Zatem zostałeś uhonorowany i musisz być jej posłuszny.

Rozległo się pukanie, a po nim głos:

- Wiem, że tam jesteś, staruszk. Otwieraj!

Królowa. Pomimo tej komendy jej głos drżał.

Żegnaj, przyjacielu Nanak - powiedział smutno Merkhud i zamknął łącze.

Miał tyle do powiedzenia, a czas uciekał. Podniósł z krzesła swoje zmęczone kości i podszedł do drzwi, za którymi stała coraz bardziej zniecierpliwiona monarchini. Ledwie otworzył, z płaczem wpadła mu w ramiona.

- Co my zrobimy, Merkhudzie? - wyszeptala. - Jutro mają ukrzyżować naszego Tora.

Po raz pierwszy od dwudziestu lat Merkhud przytulił kobietę, którą wielbił przez ten cały czas, i podziękował wszelkim bogom, jacy mogli go usłyszeć, za umożliwienie mu tego przed śmiercią.

„Co zrobimy?” - powtórzył w duchu, głaszcząc jej miękkie włosy.

„Będziemy posłuszni Patronce”.

*

Gdy strażnik otworzył drzwi celi, by sprawdzić, co robi wielki inkwizytor, rozweselił go widok Gotha przykucniętego w najciemniejszym kącie. Nie zmienił pozycji od chwili wyjścia gości... Strażnik położył na stęchłej podłodze miskę rzadkiej owsianki i pchnął ją stopą do przodu, z radością korzystając z okazji okazania łotrowi wzgardy.

Sprawdzanie cel nie należało do rutynowych czynności, ale strażnik był podejrzliwy. Jedna z osób, które odwiedziły Gotha, odznaczała się niespotykaną urodą, a do tego jej pojawienie się w celi tego potwora wydawało mu się dziwne. Mimo woalki strażnik zauważył, że kobieta jest piękna. Jak mogła twierdzić, że łączy ją z więźniem pokrewieństwo? A jednak to na tej podstawie ona i stara wiedźma, którą z sobą przywlokła, zażądały widzenia z Gothem.

Strażnik podrapał się po głowie, spoglądając na zakapturzoną, kołyszącą się wolno sylwetkę Gotha. Jego makabryczną egzekucję wyznaczono na następny dzień. Miała nastąpić wcześniej niż ukamienowanie biednego medyka, trzymanego w drugim końcu lochu. Strażnik zadrzał na myśl o ogniu, który strawi swoją ofiarę w najbardziej bolesny z możliwych sposobów.

- Masz tu swoje żarcie - burknął.

Zamykając drzwi, usłyszał kroki gwardzistów, którzy nadchodzili, by zmienić kolegów.

- Jak tam Goth? - zawołał jeden z nich.

- Jak przedtem - odparł strażnik, wzruszając ramionami.

Nowo przybyły zerknął przez uchylone drzwi celi.

- Hej, Goth! Jeśli zaraz tego nie zjesz, będziemy musieli to jutro podgrzać w płomieniach razem z tobą!

Wszyscy wartownicy zachichotali. Z wyjątkiem Rhusa w zamku nie było nikogo, kto

nie miałyby zamiaru świętować śmierci Gotha. Całkiem inaczej rzecz się miała z drugą z zaplanowanych egzekucji.

- Wiesz co - dodał żołnierz - przyniosę trochę chleba i posilimy się razem z tobą.

Goth w końcu zwrócił twarz ku swoim prześladowcom. Tyle że to nie był Goth. Zamiast niego ujrzeni uśmiechającą się bezzębnymi dziąsłami szaloną kobietę, Heggie, która zwykle włączyła się po otaczających Tal polach, zebrząc o jedzenie.

Wstrząśnięty żołnierz zatoczył się do tyłu i wpadł na ścianę. Strażnik wypchnął go na zewnątrz i zaczął się szamotać z kluczami, chcąc zamknąć Heggie w środku. Nie wiedział, po co to robi. Przecież nie była więźniem.

Tymczasem zjawił się kapitan Herek, by omówić plan na następny dzień.

- Co się dzieje? - zapytał.

- To Goth, kapitanie - wymamrotał strażnik.

- Co z nim?

Żołnierz mimo oszołomienia zdołał stanąć na baczność.

- Gadaj - zażądał zirytowany Herek.

- Kapitanie - zaczął żołnierz - tam siedzi Heggie. Goth zniknął.

- Zniknął? Czyś ty się upił? - Herek postąpił naprzód, wziął klucz i otworzył drzwi.

Niemal natychmiast cofnął się.

- Zabrać ją stąd - rozkazał drugiemu gwardziście.

Herek ze wszystkich sił starał się zdławić w sobie lęk i zachować władczy ton.

- Tłumacz się, strażniku!

Strażnik osunął się na pobliski stołek.

- Goth miał dziś gościa... hm, gości. Odwiedziły go dwie kobiety. Tylko jedna mówiła. Była młoda i bardzo ładna, z woalką na twarzy. Przedstawiła się jako kuzynka, a ja pomyślałem, że to nic złego... nie, żebym się przejmował, gdyby Gothowi coś się stało... Druga kobieta w ogóle się nie odzywała. Wyszły po kilku minutach.

- Kto to był, człowieku? Podała jakieś imię?

- Mówiła, że nazywa się... - Strażnik wyteżył umysł, wiedząc, że pogrąży się jeszcze bardziej, jeśli będzie musiał zajrzeć do rejestru. W końcu na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. - Xantia. Tak się przedstawiła.

UKAMIENOWANIE

Tor powrócił do hałaśliwej, przerażającej rzeczywistości swojej egzekucji. Nie było sensu rozmyślać o przeszłości.

Uświadomił sobie, że znów mruży oczy, by się uchronić przed południowym słońcem. Mrugając, zauważył niewiele starszego od siebie mężczyznę, który podszedł i dotknął jego ramienia. Jego badawcze spojrzenie przykuło wzrok Tora. Żołnierze szybko wepchnęli mężczyznę z powrotem do szeregu gapiów, doskonały słuch medyka zdążył jednak dokładnie wychwycić jego słowa.

- Jestem Sallementro, muzyk. Będę ją chronił.

Serce fiknęło Torowi koziółka. Nieznajomy bez wątpienia mówił o Alyssie. Jeszcze jeden paladyn? Kiwnął głową w kierunku mężczyzny, znikającego w powodzi szerszych ramion i wyższych głów.

Hałas krzyczących do niego i domagających się jego natychmiastowego uwolnienia ludzi był przytłaczający. Tor zastanawiał się, czy potrafi dotrzymać danego Merkhudowi i Lys słowa. Obiecał, że im zaufa... Spotkanie z Sallementrem obudziło w nim jednak nadzieję. Być może zdoła sobie przekonać, że to nie koniec, a tylko początek czegoś nowego. Poczł się pokrzepiony.

Clout sfrunął mu na ramię. Tor unióśł dłoń i dotknął sokoła.

Tor... - szepnął zdławionym głosem Clout.

Wiem. Muszę zaufać Lys.

Clout był równie przerażony, jak wszyscy, że ta egzekucja stała się rzeczywistością. Nigdy nie kwestionował mądrości Lys, ale rozpościerająca się przed jego oczami sceneria poddała jego lojalność próbie. Nie wtajemniczono go w dalsze plany. Chciał błagać Tora, by przywołał Barwy i uciekł, ale powstrzymał się od tego, z wysiłkiem dławiąc w sobie strach.

Rozległo się żalobne bębnienie i Tor uświadomił sobie nagle, że stoi już na pospiesznie wzniesionym podium, a kat czeka, by mu się przedstawić.

Miał na imię Jod. Uroczyście, jakby dobijał targu, po tallinorsku uściskał dłoń Tora. Był to dziwnie pokrzepiający dotyk. Po chwili u boku Tora pojawił się Herek i ujął go za

ramię. Kolejna porcja otuchy.

Jod mówił cicho i zdumiewająco elokwentnie. Głos miał szorstki i głęboki.

- Nie lubię swojej pracy, ale jestem w niej dobry. Nie, jestem najlepszy w Czterech Królestwach, jeśli wybaczy mi pan tę arogancję. Kapitan Herek powiedział mi, że ta egzekucja nie cieszy się poparciem ludu, doktorze Gynt. Nie mnie osądzać pańskie grzechy, ale ponieważ słyszałem o pańskich zasługach dla królestwa, obiecuję panu, iż pańska śmierć będzie tak szybka i bezbolesna, jak tylko się da. Użyję do przywiązania namoczonej skóry zamiast tradycyjnego szpagatu, a kamienie będą miały ciężar pierwszej klasy.

Tor przypuszczał, że to oznacza, iż lżejszych kamieni używano do odwleczenia chwili zgonu i zapewnienia widowni rozrywki podczas egzekucji. Zrobiło mu się słabo. Usłyszał, jak Herek w jego imieniu dziękuje Jodowi za współczucie.

Kat chrząknął i uprzejmym gestem wskazał leżący na podium krzyż.

- Jeśli pan łaskaw - rzekł.

Tor zerknął na Hereka. Nic nie rozumiał.

- Musisz się położyć na krzyżu, Tor - powiedział kapitan - aby on mógł cię przywiązać.

Tor nie ufał już własnemu głosowi. Skinął głową. Przez cały ten czas tłum ani trochę nie przycichł. Większość zebranych była przeciwna jego śmierci, ale przyszła tu, by okazać szacunek w chwili egzekucji.

Herek pomagał Torowi ułożyć się na krzyżu.

Cloot! - zawołał w panice skazaniec.

Jestem tu z Alyssą, Tor. - Sokół zdołał się uspokoić i teraz przelewał ten spokój do głowy człowieka, którego obiecał chronić z narażeniem własnego życia. - *Spójrz na nią. Proszę.*

Do tej pory Tor starał się nie patrzeć na dziewczynę, obawiając się, że jej widok całkiem zburzy jego chwiejną równowagę. Gdy jednak Jod zaczął go przywiązywać do drewna za nadgarstki i kostki u nóg, Tor posłuchał Cloota i odnalazł ją wzrokiem. Zmuszając się do drżącego uśmiechu, Alyssandra Qyn zakomunikowała wieczną wierność jednemu mężczyźnie, którego kiedykolwiek kochała, i wyciągnęła ku niemu dłonie.

Ten prosty gest miłości wywołał najróżniejsze reakcje. Większość obecnych w tłumie kobiet rozplakała się jeszcze bardziej. Mężczyźni z zażenowaniem pospuszczali głowy.

Królowa Nyria nie chciała patrzeć, jak przywiązują Tora. Zamiast tego obróciła się ku staremu medykwowi, który z rozkazu pary królewskiej towarzyszył jej w tej chwili. Na widok z trudem zachowującego spokój Merkhuda ogarnął ją niezmierny smutek.

Gdy Lorys zobaczył gest Alyssy, zapragnął jej jeszcze bardziej, o ile było to możliwe. Powróciły nurtujące go pytania: Czy powinien przerwać egzekucję? Czy nie straci korony, jeśli to zrobi?

W tym samym czasie przebrany, zawoalowany i wtopiony w tłum wielki inkwizytor Goth i jego nowa towarzyszka Xantia napawali się grozą tej sceny. Do pełni szczęścia brakowało im jedynie osobistego przyłożenia ręki do śmierci młodego człowieka, którym oboje pogardzali.

*

Nyria źle odczytała uczucia Merkhuda. Widok jego młodego ucznia przygotowywanego na śmierć istotnie był dlań trudny do zniesienia, ale malujące się na twarzy medyka silne emocje wiązały się przede wszystkim z obawą o powodzenie niecodziennego wyczynu magicznego. Nerwowy i drżący Merkhud usiłował zgromadzić całą dostępną sobie moc, czekając na właściwy moment do dokonania Przeniesienia.

Cisza uderzyła w tłum niczym fala. „Pewnie stawiają krzyż” - pomyślał starzec.

Nie mylił się. Żołnierze gwardii królewskiej powoli podnosili Tora do pozycji pionowej. Chłopak znał wszystkich trzech; w minionych latach regularnie ćwiczył i pił z nimi. Działaniami kierował Herek, ostrym głosem wydając rozkazy, by jak najszybciej mieć za sobą ten przykry obowiązek.

Tor poczuł, że krzyż wskoczył na swoje miejsce. Skazaniec wisiał żałośnie, spoglądając na setki znajomych twarzy. Była wśród nich twarz Saxona, stojącego niedaleko podium. Nagle w tłumie podniosła się wrzawa i ręce uniosły się, by wskazać majestatycznego sokoła wędrownego, który cicho wylądował na czubku krzyża. Wszyscy wiedzieli, że to ptak młodego medyka.

Clout agresywnie rozpostarł skrzydła i złowrogo spoglądał na zgromadzonych. Była to instynktowna reakcja. Nie miał zamiaru tego robić, ale czuł wściekłość. Rzadko mu się to zdarzało.

Jestem tu, Tor.

Uważaj na kamienie - odparł drżącym głosem skazaniec.

Nie boję się ich. Ty też nie. Zrobimy to razem.

Łzy płynęły Torowi po twarzy. Nie zależało mu już na zachowaniu pozorów dzielności.

Nie gin' ze mną, Clout. Błagam cię.

Zginę tylko wtedy, jeśli i ty zginiesz.

Herek rozpoczął oficjalne odczytywanie wyroku. Nie miał tendencji do

dramatyzowania, co rozwścieczało Gotha, który nie mógł patrzeć, jak ten oschły człowiek marnuje tak wyborną okazję. Kapitan zwinął pergamin niemal w tym samym momencie, w którym go rozwinął.

Tor uświadomił sobie nagle, że pytają go, czy chce przemówić. W tłumie natychmiast zaległa cisza. Słyszał własny oddech.

- Wszystkim, którzy mnie kochali lub nazywali przyjacielem, pragnę powiedzieć, że mi przykro. - Wyrzekł te słowa, patrząc na Alysse, po czym obrócił jasnoniebieskie oczy ku Lorysowi. - Wybaczam ci, panie.

Tłum w dalszym ciągu milczał, wzruszony jego szlachetnością.

Czar przysł, gdy Jod gestami nakazał widzom odsunąć się na odległość mniej więcej trzydziestu kroków od krzyża, by zrobić mu miejsce. Niosąc kosz okrutnych, ciężkich, zabójczych kamieni, stanął naprzeciw Tora.

Tor poczuł, jak w głowie otwiera mu się łącze i usłyszał głos Merkhuda.

Jesteś gotów? - pytał starzec.

Potrafimy to zrobić?

Spróbujemy. Do tej pory nikomu się nie udało. Teraz rozumiesz: nasze dusze zamieniają się ciałami. Będziesz mieszkał w moim, dopóki nie będziemy mogli cię przenieść z powrotem do twojego. Z kolei mój duch przeniknie do twojego ciała.

Merkhudzie - szepnął Tor, patrząc, jak Jod stawia kosz na ziemi - *dlaczego musisz zginąć w moim ciele?*

To jedyny sposób. Mój czas dobiegł końca. Znalazłem ciebie i teraz ty masz wypełnić przeznaczenie. Musisz przeżyć, a ja muszę umrzeć. Wykorzystaj moje ciało, by dotrzeć bezpiecznie do Serca Lasu. Nie ma już czasu. Mimo tego, co, jak ci się zdaje, zrobiłem, naprawdę cię kocham, dziecko. Udziel mi swojej mocy. Będzie mi potrzebna.

Przerażony Tor zerwał wszystkie zasłony i zabezpieczenia, pozwalając Barwom wrzeć. Merkhuda na moment zamroczyła ta ogromna siła, którą mu powierzono, wiedział jednak, że ma tylko chwilę. Drugiej szansy nie będzie.

Jod odezwał się po raz ostatni. W rękach trzymał dwa kamienie, które wygładził, nadając im kształt ciężkich śmiercionośnych kul.

- Zamknij oczy, chłopcze. Będę celował w głowę. Tak jest najszybciej. - Nietypowym dla siebie gestem zważył kamień w prawej ręce. - I nigdy nie chybiam - dodał, cofając rękę.

Gdy Tor zamknął oczy, szykując się na śmierć, Xantia uśmiechnęła się, a Goth doznał uczucia rozkoszy. Nie wiedzieli, że skazaniec zrobił to, by skoncentrować swoją moc na Merkhudzie i umożliwić im obu zatracenie się w tajemniczej i najbardziej skomplikowanej

formie magii.

Merkhud dał sygnał.

Teraz! - wrzasnął poprzez niemal nieznośnie potężne łącze.

Tłum przyglądał się, jak Jod wkłada każdą uncję swojej ogromnej siły w rzut kamieniem. Ten uderzył Tora w czoło z taką siłą, że rozłupał czaszkę. Trysnęła krew. Jod rzucił dwa kolejne pociski. Pierwszy profesjonalnie uderzył skazańca w skroń; drugi, mający ugodzić w serce, by przestało bić, także trafił idealnie.

Wstrząśnięty, oniemiały tłum patrzył, jak światło w najbliżej oczach gaśnie, a krew strumieniem spływa po białej koszuli Torkyna Gynta.

Skrzeczący rozpaczliwie sokół uniósł się w powietrze i bił potężnymi skrzydłami, by uciec przed widokiem śmierci.

Gdzieś w głębi Serca Wielkiego Lasu odezwało się wycie srebrnego wilka.

*

Lorys spojrział na Alysę. Jej drobna postać trzęsła się z przerażenia, a zalane łzami oczy utkwiała w bezwładnym ciele ukochanego, którego twarz była teraz niemal nie do poznania.

Król nie posiadał się z rozpacz. Egzekucja Gynta z całą pewnością odbyła się w majestacie prawa, które domagało się takiego rozwiązania, on jednak miał w rękach dostateczną władzę, by się mu sprzeciwić. I mógł to zrobić.

Gdyby tylko zechciał.

Od czasu rozprawy w sali tronowej Lorys czuł wobec młodego medyka nieopanowaną zazdrość. Dlaczego Tor miałby być z tą kobietą? Zwłaszcza że to zakazane. Kierując się tą pokretną logiką, król usprawiedliwił prawo i wyegzekwował je co do joty.

Teraz żałował swojej decyzji, podobnie jak zazdrości i słabości. Nienawidził siebie za to, że zdradził Nyrię w myślach, za to, że zdradził Tora, a w gruncie rzeczy także tę kobietę, którą powinien był chronić, bo zobowiązywał go do tego królewski dekret.

- Kochany - wykrztusiła Nyria przez łzy, on jednak powstrzymał ją, bo dziewczyna odwracała właśnie wzrok od trupa na krzyżu ku zdrajcy na balkonie.

Dumna twarz z pogardą wpatrywała się w Lorysa. Alyssa uniosła dłoń ku czołu i przyglądała kosmyk złotych włosów. Spojrzała na królową, skłoniła się uprzejmie i wraz ze strażnikami zniknęła w cieniu.

- Nigdy mi nie przebaczy - wyszeptał mimowolnie Lorys.

- Nie trzeba szukać przebaczenia, mój królu, jeśli nie popełniło się grzechu - rzekła znacząco Nyria, po czym odwróciła się do niego plecami. Chciała opuścić salę, uciec do

swoich komnat. Koszmar jednak nie dobiegł jeszcze końca. Zauważyła, że Merkhud z trudem podnosi się z miejsca, na którym siedział przez całą egzekucję. Wyglądał na zdezorientowanego.

Ruszyła szybko ku niemu, wołając Lorysa.

- Merkhudzie!

Starzec oparł się o ścianę z drżącymi nogami i dziwnym, rozbieganym spojrzeniem szarych oczu. Lorys złapał go za ramię i zaczynał właśnie wzywać pomoc, gdy Merkhud przemówił:

- Nie, nic mi nie będzie. Dajcie mi tylko chwilę.

Miał dziwnie skrzypiący głos.

Przyglądali się, jak starzec łapie powietrze. W końcu poczuł się lepiej. Śmierć Tora była dla niego zbyt wielkim wstrząsem, zawyrokowała Nyria. Na twarzy medyka pojawił się tymczasem krzywy uśmiech, by niemal natychmiast zniknąć.

- Mam coś do załatwienia - wysapał Tor ustami Merkhuda.

- Pozwól nam wezwać pomoc. Zaprowadzimy cię do twoich komnat.

- Nie, Lorysie! - upierał się starzec. - Ciało. Muszę przypilnować, by wykonano moje instrukcje.

Odepchnął ich ręce.

- Dokąd się wybierasz? - Nyria była równie uparta jak on.

- Odchodzę, pani - odparł stanowczo Tor.

Lorys spodziewał się tego.

- Opuszczasz nas, staruszkule?

- Nie mogę zostać, Lorysie. Nie zgadzam się z tym, co dziś zrobiłeś. Obiecałem rodzicom tego chłopca, że będę go chronił, karmił i otaczał opieką. - Starzec westchnął głęboko. - Zawiodłem ich i jego.

Nyria zaczęła szlochać.

- Więc teraz muszę wyprawić chłopakowi pogrzeb, na jaki zasługuje. - Tor wpatrywał się w króla stanowczym spojrzeniem Merkhuda.

Król obrócił dłonie wierzchem do góry.

- Ależ, Merkhudzie, możemy...

- Ponownie odmawiam, Lorysie. Zabieram Torkyna Gynta w specjalne miejsce spoczynku. Wybaczcie mi to pospieszne odejście.

Nyria przygarnęła go i ze zdumieniem zauważyła, że znów się zachwiał. Wydawał się bardzo słaby.

- Błagam, Merkhudzie, pozwól przynajmniej, by towarzyszył ci któryś z żołnierzy - zaklinała.

- Dziękuję, Nyrio, ale wszystko już załatwiłem.

Cóż więcej można było rzec? Oszołomiona para królewska patrzyła, jak starzec, który służył im od niepamiętnych czasów, niepewnym krokiem podąża ku wyjściu, by zniknąć z ich życia.

Odgłos zatraskiwanych drzwi był niczym nóż wbity w zbolełe serce Nyrii.

*

Tor schodził chwiejnie po schodach, usiłując zapanować nad rękoma i nogami Merkhuda, gdy nagle ujrzał żołnierzy eskortujących Alyssę z powrotem do jej pokoju. Był wśród nich kapitan Herek, który mówił coś do niej cicho. Na widok Merkhuda żołnierze rozstąpili się, by go przepuścić.

Tor stanął naprzeciw Alyssy i wpatrywał się w nią. Nie mógł oderwać od niej Merkhudowych oczu, lecz milczał. Żołnierze wymieniali skonsternowane spojrzenia, zastanawiając się, czemu ma służyć ta niema konfrontacja.

Alyssa odezwała się pierwsza.

- To wszystko przez pana - powiedziała twardym, okrutnym głosem.

Tor czuł w głowie zamęt. Zaangażował cały potencjał fizyczny i umysłowy w utrzymanie ciała Merkhuda w pozycji stojącej i nie starczało mu już sił na to, by pozostawać skupionym. Staruszek ostrzegł go, by się nie ociągał. Nie miał wiele czasu. Tor podejrzewał, że Alyssa zareaguje na jego słowa obelgami, ale bardzo chciał ją pocieszyć. Musiał tylko uważać, by się z czymś nie zdradzić. Już teraz Herek dziwnie na niego patrzył.

W końcu Tor odezwał się miękkim głosem Merkhuda:

- Szukaj Sallementra, Alyssy. To paladyn.

Żołnierze ruszyli dalej, prowadząc dziewczynę. Gdy obejrzała się i zerknęła zza ich szerokich barów, Tor posłał jej całusa.

„Co ten staruszek wyprawia?” - zastanawiał się stojący obok medyka Herek.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

W kąć ust medyka zamajaczył przebiegły uśmiešek.

- Nie jestem dziś sobą, Herek. Ale niepotrzebnie się o mnie martwisz. Czy wóz jest gotowy?

- Tak, doktorze. Zgodnie z instrukcją.

- Jestem ci wdzięczny, Herek. Dobry z ciebie człowiek.

- Muszę panu coś powiedzieć, doktorze. Do tej pory ukrywaliśmy tę wieść przed

królem, ale właśnie idę mu ją przekazać.

- Mów.

- Goth uciekł zeszłej nocy. Wysłałem pościg. Znajdziemy go.

Tor miał wrażenie, jakby i Merkhuda dosięgnął jeden z kamieni Joda. Zakaszłał z gniewu i frustracji, czując, jak przez ciało starca przebiega jego własna rozpacz.

- Dziewczyna wie? - zapytał ostro.

- Jeszcze nie, doktorze. Najpierw muszę powiadomić króla. Panu mówię o tym tylko dlatego, że wiem, iż ma pan udział w tej historii i opuszcza nas pan.

Herek patrzył, jak Merkhud opiera się o ścianę. Był pewien, że Starzec nie wróci z podróży, w którą wybiera się z ciałem Tora.

- Obiecuj mi, że będziesz ją chronił, Herek. A przede wszystkim znajdź go!

Kapitan skinął głową.

- Dwa razy tak, doktorze. Obiecuję.

Tor podążał dalej chwiejnym krokiem, aż znalazł się na zewnątrz pałacu. Miejsce, które niegdyś było jego domem, wyglądało teraz żałośnie. Całe życie wewnątrz zamarło, nie nawet nie wskazywało, by gotowano jakieś jedzenie. Tor czuł wdzięczność wobec mieszkańców dworu za tę ciszę.

Dostrzegł wóz i leżący na nim ładunek. Spoczywało tam jego ciało. Owinięto je w muślin, który jednak zdążył już przesiąknąć krwią. Tor wpatrywał się w zwłoki przez dłuższą chwilę. Musiał mieć pewność. Z wielkim wysiłkiem wdrapał się na miejsce woźnicy i ujął lejce czekających cierpliwie koni. Usłyszał jakiś hałas. Uniósł głowę. Tak jak się spodziewał, spostrzegł w górze swojego przewodnika - Cloota.

To ty? - zapytał ostrożnie sokół.

Ja, Cloot - odparł Tor.

Stary człowiek cmoknął cicho na konie i rozpoczął powolną podróż z ciałem Torkyna Gynta do Wielkiego Lasu, gdzie Merkhud miał spocząć na zawsze.

OSTATNIA ZDRADA

Wielki Las tak pokierował swoją osobliwą magią, że cenny ładunek znalazł się w Sercu już po kilku godzinach, choć normalnie zajęłoby to kilka dni.

Kapłanka Arabella przyglądała się, jak starzec imieniem Merkhud niemal spada przed nią z wozu.

- Przybywam zgodnie z zaleceniem - zaskrzeczał Tor głosem Merkhuda. - Jego... moje ciało jest na wozie.

- Szybko ci poszło.

- Powiedziano mi, że czas działa przeciwko nam.

- Nie zmarnujemy już ani chwili - odparła Arabella. - Pomóż mi zanieść zwłoki na polanę.

- Obawiam się, że będzie to ostatnia rzecz, jaką uczyni na tej ziemi ciało Merkhuda - rzekł Tor znużonym głosem.

Z trudem ponieśli stygnące zwłoki Tora na polanę i złożyli tam. Wspólnie, bez słowa, zdarli muślinowy całun. Arabella skrzywiła się na widok głowy broczącej krwią z otwartej rany, która położyła kres życiu. Położyła rękę na przegubie dłoni Merkhuda, chcąc uspokoić Tora. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak potworny jest dla niego ten obraz. Mężczyzna oddychał ciężko.

- Już czas - powiedziała kapłanka.

- Wiem. - Ujął jej dłoń i ucałował. - Dziękuję - wyszeptał.

Arabella przyglądała się, jak Merkhud z wysiłkiem kładzie się na ziemi obok ciała swego ucznia.

- Żegnaj - rzekł tylko, nim zamknął oczy.

Potem, tak jak wcześniej tego dnia, zdarł wszelkie zasłony i wypuścił swoją wielką moc.

Małeńkie płomyki strzeliły i dźwięczały łagodnie wokół nich, otaczając całą trójkę. Darmud Coril był przy nich. Moc onieśmiała.

Arabella nie patrzyła już na Merkhuda. Zamiast tego skupiła wzrok na

z maltretowanej, posiniaczonej twarzy trupa Tora, czekając na błysk w pięknych niegdyś oczach. Była cierpliwa, lecz zdenerwowana. Ten plan od początku wydawał się ryzykowny, pełen pułapek, o których wolała nie myśleć. Teraz nastał właściwy moment. Kapłanka mocno wbiła paznokcie w wewnętrzną stronę swych zaciśniętych pięści, próbując się uspokoić. Nie przestawała się wpatrywać w rozoraną twarz.

Usłyszała niedaleko cichy odgłos, coś jakby westchnienie. Wiedziała, że to Merkhud. A zatem akt się dokonał. Starzec wypełnił ostatnie zadanie, jakie zleciła mu Hostia w ramach zabezpieczenia Trójcy. Kapłanka zerknęła na niego i poczuła niewielki wstrząs, widząc jedynie pogniecione ubranie i kupkę pyłu w miejscu, gdzie przedtem znajdowało się liczące wieki ciało Merkhuda. Łagodny wietrzyk zaczął już rozwiewać pył.

Wielki Merkhud odszedł, ale Arabella wiedziała, że w istocie zginął wiele godzin wcześniej, gdy jego duch wszedł w ciało Tora, by ponieść karę. To tam, w cudzym ciele, wydał ostatnie tchnienie.

Arabella przeniosła wzrok na Tora.

Po chwili przymknęła powieki, składając dziękczynienie bogom i radując się w milczeniu. Ujrzała bowiem błysk życia w pięknych błękitnych oczach Torkyna Gynta.

Winorośle skradały się już ku Torowi, by otoczyć go łagodnie. Drzewa pochylały się, by unieść w gałęziach ledwie żywe ciało i oddać w ręce swojego boga. Płomienie Firmamentu zapłonęły cudnymi barwami tęczy, Wysoko wśród szepczących drzew kwilił Clout. Torkyn Gynt powrócił do życia, by rozpocząć kolejny etap swojej wędrówki.